

KOLEJNY PO MOTYLKU I WIĘCEJ CZERWIENI
TOM SAGI O POLICJANTACH Z LIPOWA.

KATARZYNA PUZYŃSKA



TRZYDZIESTA PIERWSZA

lesiojot

Prószyński i S-ka

KATARZYNA
PUZYŃSKA
**TRZYDZIESTA
PIERWSZA**

Prószyński i S-ka

Dla Barbary, Krzyśka oraz Jacka, który bardzo
chciał wiedzieć, co się stało z ojcem Daniela.

Z prawdą jak z ogniem – grzeje, ale i pali zarazem.

Aleksander Fredro

PROLOG

Lipowo. Środa, 13 stycznia 1965

Zrobiło się całkiem ciemno. Ciemno i mroźno. Powietrze niemal skrzypiało przy każdym jej oddechu, a para z ust zmieniała się w maleńkie kryształki lodu. Zadrżała w cienkiej płóciennnej koszuli, którą kazał im nosić. Przez chwilę chciała zrezygnować z całego przedsięwzięcia. Ucieczka wydawała się niemożliwa, mimo że dookoła nie było przecież murów. Nie było nawet niewielkiego ogrodzenia. Świat stoi przede mną otworem, powtarzała sobie przez chwilę w myślach. Nieprzekraczalne bariery znajdowały się tylko w jej głowie. Nigdzie indziej.

Oddychała przez chwilę szybko. Jej płuca wypełniło palące zimnem powietrze styczniowej nocy. W końcu podjęła decyzję. Nie może tu zostać. Wiedziała, co on planuje, i nie miała najmniejszej ochoty brać w tym udziału. To było szaleństwo. Rozejrzała się raz jeszcze na wszelki wypadek. Nikogo. O tej godzinie to zresztą nic dziwnego, mieli przecież swoje zwyczaje. Wolą się jednak upewnić.

Jej oddech znowu przyspieszył. Ale przecież nie było nikogo. Nikt jej nie widzi. Zrobiła kilka ostrożnych kroków po skrzypiącym śniegu. Wiedziała, że zostawi za sobą wyraźne ślady, ale na to nic nie mogła poradzić. Miała tylko nadzieję, że zauważą jej zniknięcie dopiero, gdy będzie już bardzo daleko. Teraz, kiedy podjęła już decyzję, ogarnęło ją nagłe przekonanie, że wolałyby umrzeć, niż zostać tu choć kilka minut dłużej.

Chwyliła pokrytą szronem klamkę i zaczęła ostrożnie zamykać drzwi. Nie chciała, żeby wydały chociaż najcichszy dźwięk. Świece w okolicznych chatkach były pogaszone, ale nie oznaczało to, że wszyscy śpią. Wiedziała, że niektórzy szpiegują dla niego.

Zerknęła ostatni raz do izby przez szparę w niemal już zamkniętych drzwiach. Napotkała pytające spojrzenie swojego Dziecka. Zadrżała. Myśli wirowały w jej głowie. Nie mogła zostawić Dziecka. To by znaczyło, że on zdołał już całkiem wyprać ją z uczuć. To by oznaczało, że naprawdę zmienił ją w trzydziestą pierwszą, tak jak to często powtarzał. To by oznaczało, że pozbawił ją jej samej. Nie mogła zostawić Dziecka. To by oznaczało, że on wygrał.

– Chodź – powiedziała w ciemność.

Dziecko ruszyło za nią posłusznie. Tego było nauczone. Bezwzględne posłuszeństwo albo Loch. Tylko taki był wybór. Ich kroki skrzypiały na śniegu, kiedy oddalali się przez zasypane białym puchem pole. W kieszeni jej cienkiej koszuli pobrząkiwało kilka monet, które ukradła z jego domu. Tylko tyle albo aż tyle. Nie mogła pozwolić sobie na więcej. Musiała tylko się stąd wydostać. Potem będzie już łatwiej.

Jej ciało drżało tak, że niemal nie mogła iść. Z drugiej strony czuła w sobie wielką siłę. Z każdym krokiem była przecież coraz dalej.

Jakkolwiek to się skończy, woli umrzeć, niż tu wrócić.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Lipowo i Stare Świątki.
Piątek, 20 grudnia 2013. Przed południem

Młodszy aspirant Daniel Podgórski zadrzał lekko z zimna. Leżał przez chwilę z zamkniętymi oczami, starając się odpędzić natrętną myśl, że jest nie tam, gdzie powinien. W końcu powoli uniósł powieki. Dookoła panowała ciemność. Najkrótszy dzień roku zbliżał się nieubłaganie. Policjant usiadł powoli na łóżku. Własnym łóżku.

W ciągu ostatnich miesięcy Daniel rzadko nocował w swoim niewielkim mieszkanku w suterenie domu matki. Można było powiedzieć, że praktycznie zamieszkał w położonym na wzgórzu starym dworku Weroniki Nowakowskiej. Po chwilowym kryzysie, który przeszedł ich związek podczas ostatnich wakacji, nie było już śladu. A może Daniel się mylił? Jeżeli chodzi o sprawy damsko-męskie, Podgórski nie był już niczego pewien. Wszystko zdawało się niebezpiecznie względne. Niezaprzeczalnym faktem było natomiast to, uznał policjant, że Weronika zdecydowała się wyjechać na dwa tygodnie do Warszawy. Miała spędzić święta Bożego Narodzenia z rodziną, która mieszkała w stolicy. Nie z nim.

– Tak będzie lepiej – tłumaczyła, zaczesując za ucho ognistorude włosy. – Ja pobędę trochę z rodzicami, a ty ze swoją mamą. Wydaje mi się, że ostatnio Maria czuje się nieco zaniedbana.

– Nic takiego nie zauważyłem – powiedział Daniel cierpko.

Jego zdaniem matka zachowywała się zwyczajnie, ale nie był przecież psychologiem, jak Weronika.

Nowakowska uśmiechnęła się miło. To był uśmiech, któremu Podgórski od początku nie umiał się oprzeć.

– Sam zobaczysz, jak te dwa tygodnie szybko miną – zapewniła i pocałowała go czule na pożegnanie. – Kocham cię. Widzimy się po świętach!

To było wczoraj po południu, ale Daniel Podgórski zaczynał nabierać przekonania, że dwa tygodnie rozłąki będą ciągnęły się w nieskończoność. Pewnie jest niepoprawnym romantykiem, ale nic nie może na to poradzić.

Budzik zadzwonił donośnie, przerywając te rozważania. W łagodnej ciszy poranka natarczywy dźwięk wydawał się nie do zniesienia. Daniel gwałtownie machnął ręką. Zegarek spadł na podłogę z głośnym trzaskiem. Bateria potoczyła się po dywanie, aż w końcu zastygła bez ruchu. Policjant wpatrywał się w nią przez chwilę w słabym świetle budzącego się powoli zimowego poranka. Wcale nie miał ochoty iść do pracy. O wiele przyjemniej byłoby poleżeć jeszcze i poodpoczywać.

Takie rozleniwienie zdarzało się Podgórskiemu coraz częściej. W pewnym sensie, po wydarzeniach ostatniego lata, Daniel czuł się wypalony. Miał ochotę na dłuższy odpoczynek. Zniknął gdzieś zapał do działania i chęć udowodnienia sobie i innym, że jest wartościowym policjantem. Może dlatego szef komisariatu w Lipowie nadal nie potrafił zdecydować, co dalej. Kilka miesięcy temu prokurator Jacek Czarnecki zaproponował Podgórskiemu stanowisko w policji kryminalnej w Komendzie Powiatowej w Brodnicy, ale Daniel cały czas się wahał. Zostać w Lipowie czy rozpocząć pracę w mieście, jak zawsze o tym marzył? Policjant ciągle odwlekał decyzję. Dni zmieniały się w tygodnie, a tygodnie w miesiące. Podgórski miał nadzieję, że w końcu serce podpowie mu, co zrobić. Odpowiedź jednak nie nadchodziła.

Na górze, w domu matki, stary zegar zaczął wybijać pełną godzinę. Jego rytmiczne uderzenia słyhać było aż tu, w suterenie. Daniel wiedział, że musi już wstać. Dłużej z pójściem do pracy zwlekać się nie da. Podniósł się i ziewnął

ospale. Z namaszczeniem włożył mundur i zajrzał do lodówki. Przez chwilę rozważał różne możliwości. W końcu westchnął i sięgnął po kawałek ciasta z kremem. Zapowiadał się długi zimowy dzień.

Spojrzał w lustro. Niechętnie. Unikał tego. Przez te piętnaście lat bardzo się zmienił. Właściwie był niemal nie do poznania. Twarz, którą widział przed sobą, nie należała już do Tytusa Weissa. Teraz był więźniem numer 1126 w Zakładzie Karnym w Starych Świątkach niedaleko Rypina. Zniknęły gdzieś rumiane policzki i chłopięca uroda, które charakteryzowały go wcześniej. W więzieniu daleko by go nie zaprowadziły. Przekonał się o tym na samym początku odsiadki. Boleśnie. Szybko więc postanowił się zmienić. Zerknął do lustra ponownie. Nadmiar mięśni na ramionach i szyi sprawił, że wyglądał teraz jak wiecznie przygarbiony, gotowy do ataku wściekły byk.

Westchnął cicho. Jego aparycja była adekwatna do tego, co czuł. Wściekłość? Czy to dobre słowo? Nie pamiętał, czy zanim trafił do więzienia, czuł kiedykolwiek coś takiego jak wściekłość. Wtedy był raczej strach, może niepewność. Trzask zamykanych krat wyzwolił w nim jednak głęboko ukryte pokłady furii skierowanej do wszystkich i jednocześnie do nikogo konkretnego.

A może to była wściekłość i pustka, zastanawiał się dalej więzień numer 1126. Jakby go oszukano. Jakby został sam. Jakby? Przecież właśnie tak było. Został sam. Nikt się z nim nie kontaktował przez te piętnaście lat. Nikt oprócz matki. Brat najwyraźniej wolał o nim zapomnieć. Mieszkańcy wsi go nienawidzili. Tego był pewien. Została mu tylko matka. Tylko ona.

Więzień numer 1126 przejechał dłonią po policzku. W ostatnich dniach pojawił się tam upragniony cień zarostu. Nareszcie. Poprzedni dyrektor Zakładu Karnego w Starych Świątkach nie tolerował najmniejszej niesubordynacji. Każdy z półtora tysiąca mężczyzn musiał mieć gładko ogoloną twarz.

Teraz było inaczej. Więzień numer 1126 nie miał zamiaru już nigdy golić się na gładko. Piętnaście lat wystarczyło mu aż nadto. Już niedługo spakuje swój skromny dobytek i pójdzie na zwolnienie warunkowe. Nie obchodziło go, że będzie musiał arbajtować. Wręcz przeciwnie. Miał wielką nadzieję, że szybko uda mu się znaleźć jakąś pracę. Tęsknił za normalnością bardziej niż za czymkolwiek innym, a praca to była właśnie normalność.

– Co się tak jebiesz w to lustro? – rzucił frajer z drugiego bloku. Jego ton był buńczuczny, jak u ledwo opierzonego kogucika. – No co?

Więzień numer 1126 spojrzał na młodego mężczyznę przelotnie. To był cuwaks, którego przywieźli do Starych Świątek nie dalej jak kilka tygodni temu. Od kilku dni sprząтали razem łazienki w centralnym budynku zakładu karnego. Więzień numer 1126 widział też chłopaka kilka razy na dreptaku.

– No co się tak jebiesz? – powtórzył frajer. Chłopak myślał chyba, że przekleństwa zapewnią mu szybki respekt. Ci, którzy dopiero co się tu znaleźli, często tak myśleli. – Kurwa, głuchy jesteś czy co?

Więzień numer 1126 wzruszył ramionami zamiast odpowiedzi i przetaił lustro wilgotną ścierką. On nie musiał już walczyć o respekt. Zdobył go dawno temu. Poza tym nie chciał alarmować charta, który stał w drzwiach i cicho pogwizdywał jakąś starą piosenkę. Więzień numer 1126 nie chciał w żaden sposób się wychylać.

Nie teraz, kiedy był już tak blisko wolności.

– Podobno garujesz tu za damski chuj? – zagadnął znowu chłopak, przybierając minę specjalisty w tych sprawach. – To prawda?

Więzień numer 1126 uśmiechnął się pod nosem. Przypomniał sobie siebie samego piętnaście lat temu. Czy był tak samo naiwny jak ten tu? Czy to możliwe? Teraz ta naiwność zdawała się nieprawdopodobna i w pewien sposób piękna. Na naiwność nie było miejsca w Starych Świątkach. Naiwność to była część wolności, a nie życia za kratami.

– W więzieniu wszyscy są niewinni – mruknął z niejakim rozbawieniem. Czuł się przy tym jak starzec. – W więzieniu wszyscy są niewinni...

Przeczytał te słowa w jakiejś książce, którą wypożyczył z więziennej biblioteki rok temu. Ich biblioteka była całkiem dobrze wyposażona. Może to był Stephen King. „W więzieniu wszyscy są niewinni”. Tak powiedział jeden z bohaterów powieści. Te słowa spodobały się więźniowi numer 1126. Bardzo.

Strażnik chyba usłyszał, o czym rozmawiają, ponieważ zaśmiał się cicho i spojrzał na więźnia numer 1126 przelotnie. Ten chart był akurat w porządku, ale 1126 i tak szybko odwrócił wzrok. Nie ściągać na siebie uwagi. To było teraz najważniejsze. Za wszelką cenę zachować neutralność. Być niewidzialnym aż do momentu, kiedy stanie po drugiej stronie więziennego muru. Czekał na to za długo, żeby teraz coś zepsuć.

– Jutro wyklepka na wolkę? – spróbował znowu młody frajer.

Chłopak najwyraźniej chciał podtrzymać kulejącą rozmowę. Bajera nie brzmiała najlepiej w jego ustach, uznał więźień numer 1126, ale trzeba było przyznać, że chłopak się starał. Można było zrobić pewien ukłon w jego stronę. Nikomu nie było łatwo w pierwszych miesiącach odsiadki.

– Warunek – wyjaśnił 1126 ledwo dosłyszalnie. – Zajmij się bardachą i nie gadaj tyle. Pies czuwa.

Chłopak posłusznie wziął bejzę i zaczął czyścić ubikację. Więzień numer 1126 nawet go polubił, ale nie zamierzał być dla niego belfrem. Wcześniej czy później frajer i tak dostanie bęcki. Co lepsze, to już nie będzie problem więźnia numer 1126. Teraz ważne było tylko jedno: wrócić do Lipowa i zacząć normalne życie na wolności.

– Kończcie już – pouczył strażnik. – Wracacie do celi.

Więzień numer 1126 spojrzał na obskurną łazienkę. Na suficie widniały plamy wilgoci, a farba odłaziła ze ścian. W kabinach pełno było obscenicznych napisów, które, chociaż zakazane, zawsze jakoś się tam pojawiały. Kafelki miały kolor

zimnej zieleni, która przypominała raczej pleśń widoczną na suficie niż trawę. Wszystko to potęgowało tylko pustkę, którą czuł.

Więzień numer 1126 miał nadzieję, że widzi to pomieszczenie po raz ostatni w życiu. Skończył trzydzieści trzy lata, z czego piętnaście spędził w Zakładzie Karnym w Starych Świątkach. Tyle wystarczy. Zdecydowanie.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska związała włosy w niski kucyk. Spojrzała przelotnie na swoje odbicie w kuchennym oknie wynajętego na krótko domu. Szyba była częściowo zasłonięta kwiecistą zasłonką, którą zawiesił właściciel domu albo poprzedni lokator. Policjantka od początku obiecywała sobie, że się jej pozbędzie, ale w końcu uznała, że prawdopodobnie ona i jej syn nie zabawią w Lipowie dłużej, niż trzeba. Nie było sensu nic tu zmieniać.

Emilia Strzałkowska odsunęła firankę na bok i raz jeszcze przyjrzała się swojemu odbiciu w oknie. Zaparowana szyba nie była najlepszym doradcą, ale policjantka uznała, że wygląda wystarczająco dobrze. To miał być jej pierwszy dzień w nowej, a raczej tymczasowej pracy w komisariacie w Lipowie. Była ciekawa, czy Daniel Podgórski jeszcze ją pamięta.

Strzałkowska za to pamiętała Podgórskiego bardzo dobrze. Właśnie dlatego, kiedy okazało się, że na małym posterunku w Lipowie nagle zabrakło rąk do pracy, Emilia natychmiast poprosiła o przydział. Spontanicznie. Nie czuła wcale, że musi jakoś specjalnie długo nad tym myśleć, mimo że to mogła być decyzja, która zmieni jej życie. Tak było na początku. Wątpliwości dopadły ją dopiero później. Nie mogła jednak cofnąć już swojego podania. Daniel Podgórski, jako szef komisariatu, zaakceptował jej kandydaturę i tak oto, razem z synem, znalazła się w tej niewielkiej wiosce dwieście kilometrów od Warszawy.

To był jej pierwszy dzień w nowej pracy, ale Emilia Strzałkowska nie zamierzała za bardzo się szykować. Zdecydowanie nie należała do kobiet, które spędzają długie

godziny przed lustrem. Być może wynikało to z zupełnego braku umiejętności nakładania makijażu, chociaż Strzałkowska wolałaby się do tego nie przyznawać. Każda próba nałożenia kredki do oczu czy cieni do powiek, którą policjantka podejmowała, kończyła się opłakanym stanem całej twarzy. Strzałkowska nie była pewna, czym właściwie jest eyeliner, a pomadka z reguły rozmazywała się jej dookoła ust, powodując, że wyglądała jak klaun, który za bardzo się starał. Tak, makijaż z pewnością był jej wrogiem. Z tego właśnie powodu postanowiła, z niejakim żalem, że lepiej zostawić go innym kobietom.

– Mamo, mleko kipi – poinformował Strzałkowską jej trzynastoletni syn Łukasz. Prawie czternastoletni, dodała policjantka w duchu. Czas mijał szybko.

Łukasz nie podniósł nawet głowy znad gry, którą dostał na święta od babci. Z wyprzedzeniem. W tym roku nie usiądą razem przy wigilijnym stole, jak to mieli w zwyczaju. Emilia Strzałkowska i Łukasz spędzą tegoroczne Boże Narodzenie we dwójkę z dala od miasta. Policjantka miała nadzieję, że syn z łatwością odnajdzie się w nowej sytuacji. Nigdy przecież nie sprawiał problemów.

– Ty też możesz wyłączyć, prawda? – upomniała go.

– Może – odparł beztrzesko i wstał, żeby wyłączyć gaz.

Emilia nie mogła uwierzyć, że Łukasz tak urósł. Niedługo będzie znacznie wyższy niż ona. Trudno uwierzyć, jak ten czas szybko płynie, pomyślała po raz kolejny tego dnia. Zdjęła nieco przypalony garnek z palnika i uśmiechnęła się do syna.

– Napijesz się ciepłego mleka?

– Ohyda – uznał Łukasz i wykrzywił się komicznie. Usiadł przy stole i wrócił do rytmicznego uderzania w klawisze.

– Musisz coś zjeść – zarządziła Emilia Strzałkowska głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Później.

– Cały dzień będę w pracy... – przypomniała policjantka.

Syn spojrział na Emilię przelotnie.

– Daj spokój, mamu – mruknął. – Ty zawsze jesteś w pracy. Radzę sobie nieźle sam. Nie ma problemu. Odgrzeję sobie coś,

jak zwykle. Nic się nie martw.

– Przygotowałam ci obiad. Wszystko masz w lodówce. Poradzisz sobie? – upewniła się Strzałkowska. – Jakby co, mam komórkę. Dzwon!

– Jasna sprawa, że sobie poradzę – zapewnił chłopak.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska poczuła, że ogarnia ją dziwna czułość. Kochała tego wyrosniętego, nieforemnego nastolatka nad życie. Z drugiej strony kochała też swoją pracę. Te dwie miłości czasem bardzo trudno było w sobie pomieścić. Tym bardziej że zawsze musiała udowadniać swoim sceptycznie nastawionym przełożonym, że samotne rodzicielstwo i kariera dadzą się jakoś pogodzić. Prawda była jednak taka, że Emilia powoli przestawała dawać sobie radę. Może to właśnie było głównym powodem jej nagłego przyjazdu do Lipowa? Coś trzeba z tym wszystkim zrobić, i to jak najszybciej. Musi tylko poczekać na odpowiedni moment.

Jerzy Grala zatrzymał swojego starego volkswagena transportera przed wjazdem na posesję zwaną „Wrzosy”. Spojrzał krytycznie na budynek. Wyjął ze schowka oprawiony w skórę kalendarz i jeszcze raz sprawdził adres, który podał mu właściciel gospodarstwa. Główna 25, 87–312 Lipowo. Jerzy zerknął nieufnie na dość dużą tablicę na bramie. „Wrzosy”, informowała wywieszka, nie pozostawiając dalszych wątpliwości, że dotarł pod właściwy adres. Pod spodem wisiała zapisana ręcznie kartka, informująca o wolnych pokojach. To właśnie tu Grala miał mieszkać w czasie, kiedy będzie badał osadę sekty Świątynia położoną kawalek za wsią Lipowo.

Jerzy Grala westchnął przeciągle. Od lat zajmował się badaniem miejsc zamieszkiwanych przez sekty oraz mechanizmami, które kazały ludziom zostawić wszystko i pójść za duchowym przywódcą głoszącym wątpliwej jakości prawdy. W związku ze swoim zawodem musiał dużo podróżować i mieszkał w najróżniejszych warunkach. Od pięciogwiazdkowych hoteli po rozpadające się chałupy. Zwykle to nie był problem. Tym razem jednak zawiodło go

chyba samo nastawienie. Grała wyobrażał sobie bowiem „Wrzosa” zupełnie inaczej. Właściciel domostwa, Seweryn Dworakowski, z którym Jerzy rozmawiał przez telefon, podawał się za profesora. Grała sam miał stopień naukowy i oczekiwał chyba po koledze czegoś więcej. Tymczasem miał przed sobą nieotynkowany klocek, który wyglądał tak, jakby jego budowę przerwano wiele lat temu. Nie trzeba dodawać, że wrzosów nie było widać nigdzie w pobliżu. Zamiast tego na balkonie od frontu ktoś rozwiesił migającą irytująco płataninę świątecznych lampek. Jakby tego było mało, pośrodku szarawego trawnika stał pękaty, pomalowany na krzykliwe kolory renifer. Jerzy Grała zaśmiał się w duchu. „Wrzosa” to była ostatnia nazwa, którą nadałby temu gospodarstwu.

Nagle ktoś uderzył ręką w drzwi pasażera. Jakiś otyły, sporych rozmiarów mężczyzna siłował się z klamką. Jerzy Grała wzdrygnął się, przestraszony tym nagłym atakiem. Na szczęście drzwi jego starego volkswagena nie ustąpiły. Mimo to imponującej budowy nieznajomy nie ustawał w staraniach, mruczając coś przy tym niezrozumiale pod nosem.

– Albin! Nie wolno tak – rozległo się od strony domu. – Tyle razy ci mówiłam.

Jerzy Grała spojrział w kierunku, z którego dochodził głos. Liczył na jakieś wybawienie z opresji. Z domu zwanego szumnie „Wrzosa” wyszła niewysoka młoda kobieta. Otuliła się swetrem i podbiegła do samochodu. Delikatna budowa i zwinne ruchy sprawiały, że przypominała mknącą wśród kniei sarnę.

– Albinie Dworakowski, nie wolno tak – powtórzyła cierpliwie do otyłego mężczyzny. – Twój tata byłby bardzo niezadowolony. Pamiętaj, co ci tłumaczył. Z gośćmi trzeba się najpierw grzecznie przywitać. Dopiero później można poprosić ich o przejazdkę.

Albin spuścił wzrok zawstydzony. Dziewczyna poklepała go po ramieniu.

– No już dobrze – powiedziała z uśmiechem. – Idź do domu, Albinku.

Kiedy olbrzymi mężczyzna zniknął w budynku, Jerzy Grala wysiadł ostrożnie z samochodu. Zawieszenie zatrzeszczało niepokojąco.

– Pan do nas? – zapytała drobniutka kobieta uprzejmie.

Grala pokiwał głową.

– O ile to są „Wrzosy” – odparł, starając się ukryć niechęć.

Westchnął cicho. Trzeba będzie zacisnąć zęby i jakoś przetrwać najbliższe dni z tymi ludźmi. Zwłaszcza że o tej porze roku nie było tu łatwo o lokum. Położony nad jeziorem Bachotek ośrodek czasowy Słoneczna Dolina był zamknięty na zimę, a codzienne dojazdy z Brodnicy byłyby stratą czasu i pieniędzy na benzynę. Zresztą stary transporter i tak ledwo już jeździł.

– Jestem Jaśmina Ciosek-Dworakowska – przedstawiła się kobieta wesoło. Nie zauważyła chyba niechęci swojego gościa.

– Pan Jerzy Grala, tak?

– Doktor Jerzy Grala – powiedział Jerzy godnie.

Nie mógł się powstrzymać przed tą drobną uszczypliwością. Właściciel „Wrzosów” wielokrotnie podkreślał, że jest profesorem. Grala też mógł zacząć używać swojego stopnia naukowego, jeżeli w tym gospodarstwie tytuły są aż tak ważne.

– Jest pan lekarzem? – zapytała Jaśmina Ciosek-Dworakowska.

Uśmiech chyba nigdy nie schodził jej z ust.

– Nie. Bynajmniej. Zajmuję się badaniem sekt – wyjaśnił krótko Jerzy Grala. – Jestem socjologiem i psychologiem społecznym. Kończyłem oba te fakultety.

Przyzwyczał się, że niektórzy ludzie reagowali na jego dziedzinę drwiącym grymasem albo pobłażliwym uśmiechem. Świat intensywnej indoktrynacji, która miała miejsce w sektach, był im zupełnie obcy. Woleli się trzymać od niego jak najdalej. Nic dziwnego. To nie było łatwe zagadnienie.

– No proszę – odparła Jaśmina z umiarkowanym zainteresowaniem. – Zamierza pan zbadać nasz Cichy Lasek, tak? Tam chyba mieszkała kiedyś jakaś sekta. Ludzie mówią, że to miejsce jest nawiedzone. Nikt z nas tam nie chodzi.

Jerzy Grala odchrząknął głośno. Nie wierzył w duchy.

Do wszystkiego starał się podejść naukowo i systematycznie.

– Jak najbardziej. W latach sześćdziesiątych była tu osada zamieszkiwana przez członków sekty zwanej Świątynia. Po to właśnie tu jestem. Chcę się przyjrzeć bliżej temu miejscu – wyjaśnił Jerzy. Zaczynał mieć dosyć tej jałowej rozmowy. – Proszę mi wybaczyć, ale przez telefon rozmawiałem chyba z kimś innym...

– Tak – przerwała mu Jaśmina. – Rozmawiał pan z moim wujem, Sewerynem Dworakowskim. To on jest właścicielem „Wrzosów”. Od razu uprzedzę, że nie ma go teraz w Lipowie, bo pojechał na wykłady do Warszawy. Jest profesorem na Wydziale Chemii Politechniki Warszawskiej. W każdym razie proszę się nie martwić, panie Grala, ja się panem zajmę. Kiedy wuja nie ma, to ja nadzoruję dom i pilnuję naszego Albina.

Jerzy Grala zdrzął na wspomnienie wielkiego mężczyzny, który przed chwilą próbował dostać się do jego samochodu. Jaśmina chyba zauważyła jego minę, ponieważ uśmiechnęła się jeszcze szerzej i powiedziała:

– Sam pan zobaczy, że Albin to chłopak o złotym sercu.

Otyły olbrzymi mężczyzna chłopakiem o złotym sercu, prychnął w duchu Jerzy Grala. Co to, to nie. Naukowiec dobrze znał się na ludziach.

– Chłopak? – zapytał Grala, starając się zamaskować kasznięciem ironię, która sama jakoś zagościła w jego głosie.

– Albin to chłopiec w ciele mężczyzny – wyjaśniła Jaśmina Ciosek-Dworakowska spokojnie. Wyglądało na to, że powtarzała to zdanie setki razy. – Nie jest niebezpieczny. Zwykle zajmuje się sobą. Nie będzie panu przeszkadzał, sam pan zobaczy, panie Grala. Albin naprawdę ma złote serce. Ani się pan obejrzy, jak go pan pokocha. U nas w Lipowie wszyscy go uwielbiają. Tylko od razu uprzedzam, proszę mu nie dawać cukierków! Jak raz dostanie jakieś słodczyce, nie da panu spokoju. Pójdzie za panem wszędzie.

Jerzy Grala wzdrygnął się niechętnie. Gospodarze coraz mniej mu się podobali. Starał się zapomnieć o uprzedzeniach, ale nie było to łatwe. „Wrzosy” od początku nie przypadły mu

do gustu.

– No, nie stójmy tu na zimnie. Śniegu co prawda nadal nie ma, ale i tak lepiej nie ryzykować. Zapraszam do domu – rzuciła Jaśmina Ciosek-Dworakowska, racząc go kolejnym uśmiechem. – Jakby panu był potrzebny masaż, to nie ma problemu. Zrobiłam dwa kursy masażu. Klasyczny i bańką chińską. Jestem w tym dobra. Mam nadzieję, że kiedyś pojedę studiować rehabilitację do Warszawy. Albin ciągle potrzebuje różnych ćwiczeń... byłoby taniej, gdybym mogła mu sama pomagać. Zamiast tych wszystkich spotkań z terapeutą. Nie wyobraża pan sobie, jakie to drogie.

Jerzy Grała sięgnął do samochodu po walizkę. Resztę sprzętu zamierzał zostawić na razie w aucie. Planował najpierw pójść do osady sekty na piechotę i zobaczyć, czy będzie można dojeżdżać tam samochodem. Jeżeli nie, czekało go sporo dźwigania. W tej sytuacji najlepiej byłoby wynająć kogoś miejscowego do pomocy. Transporter miał już swoje lata i wszystko działało coraz gorzej. Zawieszenie trzeszczało podejrzanie, a wskaźnik poziomu paliwa zupełnie się zepsuł. Prawdopodobnie Jerzy i tak będzie musiał pozwolić staremu volkswagenowi odpocząć na podwórku „Wrzosów”, a sam będzie musiał znaleźć jakiegoś silnego asystenta.

Jaśmina Ciosek-Dworakowska poprowadziła Grałę do nieotynkowanego domu. Cały czas opisywała mu rozmaite historie swojego życia i plany na przyszłość. Jerzy praktycznie jej nie słuchał. Myślni był już w osadzie sekty, czyli w Cichym Lasku, jak nazywali ten obszar miejscowi. Ludzi fascynowała zagadka zbiorowego samobójstwa, które popełnili członkowie sekty zimą 1965 roku. Jerzy Grała też czuł wzbierające emocje, kiedy o tym myślał. Amerykanie mieli swojego Jima Jonesa i jego apokaliptyczną Świątynię Ludu, Polacy zaś mogli poszczycić się Witalisem Sobierajem i jego Świątynią. Grała wielokrotnie zastanawiał się nad zbieżnością tych dwóch nazw i historii dwóch zbiorowych samobójstw.

– Oprócz pana mamy jeszcze dwójkę gości – zakończyła swój wywód Jaśmina Ciosek-Dworakowska. – To para Szwedów. Dobrze mówią po angielsku. To brat i siostra gdzieś z południa

kraju, zdaje się. Wydawali się porządnymi ludźmi, ale teraz już sama nie wiem, czy to dobrze, że ich przyjeśliśmy. Podobno...

Nie dokończyła. Otyły olbrzym Albin Dworakowski wyszedł z domu zapłakany. Twarz dorosłego mężczyzny wykrzywiona była dziecięcą bezradnością. Jerzy Grała poczuł nagłe ukłucie wyrzutów sumienia. Może źle ocenił tego chłopca w ciele mężczyzny? Może cukierki wcale nie były takim złym pomysłem?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski ruszył przez wieś do komisariatu. Powietrze zdawało się mroźne, ale śnieg nadal nie padał. Policjant usłyszał gdzieś, że jak na razie zima zapowiadała się na najcieplejszą od lat. Gdyby nie piękne świąteczne ozdoby, które mieszkańcy Lipowa porozwieszali na swoich balkonach i płotach, trudno byłoby uwierzyć, że zbliżała się Gwiazdka.

Kilka osób pozdrowiło Daniela uprzejmie. Policjant zaczynał powoli odzyskiwać humor. Każdemu zdarzało się od czasu do czasu wstać lewą nogą, ale trzeba było sobie z tym jakoś poradzić. Weronika może i pojechała do Warszawy spędzić święta z rodziną, ale przecież to nie koniec świata. Ani ich związku.

Podgórski dotarł do niebieskiego budynku komisariatu w Lipowie z lekkim uśmiechem na ustach. Błękitne ściany, na które zdecydowali się przy poprzedniej renowacji, okazały się niewypałem, chociaż nikt głośno o tym nie mówił. Daniel od roku obiecywał sobie, że zdobędzie fundusze na ponowne otynkowanie komisariatu na jakiś bardziej neutralny kolor. Jak do tej pory jakoś się nie udało. Poprzedniej zimy mieli ważniejsze sprawy na głowie, a latem nie było lepiej.

Daniel Podgórski wszedł do recepcji przy akompaniamencie skrzypienia drzwi wejściowych. Kolejna rzecz do zrobienia. Z drugiej strony nienaoliwione drzwi miały też swoje plusy. Pojawienie się każdego gościa czy interesanta nie mogło pozostać niezauważone.

– Danielku, wyczyściłeś buty? – rozległo się od strony biurka,

gdzie od najwcześniejszych godzin rannych rezydowała jego matka. – Właśnie przetałam podłogę. Chciałabym, żeby chociaż przez chwilę było czysto.

Matka. Maria Podgórska była ich recepcjonistką, organizatorką pracy całego komisariatu, dostarczycielką domowych wypieków oraz żoną zmarłego bohatersko policjanta w jednym. Chyba tylko te zaszczytne funkcje Marii ratowały Daniela przed uszczypliwymi uwagami ze strony kolegów. Pracował z matką, mieszkał z matką, spędzał święta z matką... Podgórski zdawał sobie sprawę, że nie wyglądało to najlepiej. Miał nadzieję, że wkrótce to wszystko się zmieni i jego związek z Weroniką Nowakowską przerodzi się w coś poważniejszego.

– Tak, mam – potwierdził cierpliwie Daniel. – Buty wyczyszczone na błysk. Sama zobacz. Nie zabrudzę ci podłogi.

– Cześć, szefie – rzucił muskularny Marek Zaręba, który właśnie wyszedł na korytarz ze swojego gabinetu. – Co słyhać?

Starszy sierżant Marek Zaręba był najmłodszym funkcjonariuszem w lipowskim komisariacie i serdecznym przyjacielem Daniela. Ostatnio Zaręba pracował na pół etatu, ponieważ we wrześniu urodziła mu się druga córeczka i młody policjant pomagał żonie w opiece nad maleństwem. Wkrótce Marek miał pójść na niewykorzystany dotąd urlop ojcowski i na dwa tygodnie zniknąć z życia komisariatu.

Daniel Podgórski westchnął cicho. Marek był chyba najlepszym funkcjonariuszem w Lipowie. W każdym razie to właśnie z nim Danielowi pracowało się najlepiej. Młodemu tacie przysługiwały dwa tygodnie. Dwa tygodnie. Czy wszyscy znikali na dwa tygodnie? Najpierw Weronika, a teraz Marek.

– Cześć, Młody. U twoich dziewczyn wszystko w porządku? – zapytał Podgórski, porzucając swoje rozważania.

– Jak najbardziej – uśmiechnął się Marek Zaręba.

– Mareczek pokazał mi piękne zdjęcie Zuzi. Jest taka słodka – entuzjasmowała się Maria Podgórska. – Danielku, a kiedy ty i Weroniczka sprawicie mi wnuka, co?

Zaręba zachichotał głośno. Podgórski przewrócił oczami.

– Mam, daj już spokój...

Daniel miał dosyć ciągłego nacisku ze strony matki. Od kiedy tylko Markowi urodziła się Zuzia, Maria nie ustawała w dążeniu do uzyskania nobilitującego statusu babci. Podgórski musiał przyznać, że sam nie miałby nic przeciwko. Od dawna czuł się gotowy do założenia rodziny. Wyglądało jednak na to, że Weronika nie chciała jeszcze zostać mamą.

Drzwi zaskrzypiały przeciągle i do środka wkroczył trzeci z lipowskich policjantów, młodszy aspirant Paweł Kamiński. Daniel i Paweł byli równolatkami, a ich ojcowie przez wiele lat ramię w ramię pracowali w lipowskim komisariacie. Aż do swojej bohaterskiej śmierci podczas niezaplanowanej akcji. Poczucie służbowego obowiązku i etos policjanta były dla nich tak ważne, że nie wahali się ani przez moment, czy wejść do płonącego budynku. Musieli uratować koleżankę z komisariatu i jej siostrę. Nie mogli stać bezczynnie. Od śmierci ojca Daniel marzył, żeby być choć w połowie tak dobrym i oddanym służbie policjantem jak on.

– Niby śniegu nie ma, ale, kurwa, ziąb taki, że... – zaczął Paweł Kamiński, rozcierając zaczerwienione z chłodu dłonie.

– Pawełku, wiesz, co myślę o przeklinaniu w komisariacie – upomniała Kamińskiego Maria Podgórska. – To nie przystoi.

Matka była pulchną starszą panią, ale miała dar budzenia respektu nawet u najtwardszych mężczyzn. Daniel podejrzewał, że jej słynny jabłecznik z kruszonką, a właściwie jego brak w przypadku nieposłuszeństwa, mógł mieć z tym bezpośredni związek. Jabłecznikowi Marii nikt nie mógł się oprzeć.

– Przepraszam, pani Mario – rzucił Paweł Kamiński niechętnie. – Ja jebie, znowu jest tyle roboty co wczoraj? Z tymi świętami to można jednak zwariować. Kurwa! Kto to widział? Też mi świąteczna atmosfera.

Maria Podgórska otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Bez słowa usiadła przy swoim świeżo wysprzątanym biurku w recepcji. Kolorowe karteczki do robienia notatek, długopisy i wreszcie zniechęcony przez Marię wymysł techniki, czyli nieco przestarzały komputer. Wszystko to było równo poukładane i gotowe na nowy dzień pracy.

– Na razie to co zwykle – rzucił młody Marek Zaręba.
– Znowu znalazłem Romana Gierota w rowie. Odstawiłem go do domu.

– Boję się, że Gierot którejs nocy nam zamarznie – zmartwiła się Maria.

– Jest wypełniony wodą, to nie zamarznie. Zresztą jak zamarznie, to już jego broszka. Moim zdaniem – obwieścił Kamiński i ruszył do pokoju socjalnego. – Jakoś przeżył tyle zim, to i teraz dociągnie do lata. Słuchajcie, to dzisiaj ma przyjść ta nowa baba? Jak ona się nazywa?

Podgórski chciał odpowiedzieć, ale Maria go ubiegła.

– Emilia Strzałkowska – poinformowała starsza pani.
– Przygotowałam pyszne ciasto na jej powitanie. Pierwszego dnia nigdy nie jest łatwo.

Daniel Podgórski wolał nie myśleć, że od jutra, kiedy młody Marek Zaręba pójdzie opiekować się córeczką, na służbie zostanie tylko on i Paweł Kamiński. Ich czwarty kolega, wąsaty aspirant Janusz Rosół, udał się na zasłużone i długo planowane wakacje z synem i córką.

Ponieważ Kamiński zazwyczaj bardziej przeszkadzał, niż pomagał, Podgórki postanowił poprosić Komendę Powiatową w Brodnicy o jakieś tymczasowe wsparcie. Szybko dostał informację zwrotną, że niejaka sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska prosi o przydział w jego komisariacie.

Emilia Strzałkowska. Rozpoznał to nazwisko od razu. Kilkanaście lat temu, jeszcze w szkole policyjnej, młodszy aspirant Daniel Podgórski spotykał się przez jakiś czas z kobietą, która tak właśnie się nazywała. To był przelotny romans, którego żadne z nich nie traktowało zbyt poważnie. Teraz Emilia zgłosiła się, żeby tymczasowo zastąpić Marka Zarębę i Janusza Rosoła. To mogło być trochę niezręczne spotkanie po latach. Podgórski nie widział jednak wyraźnego powodu, żeby odmówić. Tym bardziej że do pracy w lipowskim komisariacie nie zgłosił się nikt inny.

Filip Weiss podjechał śmieciarką pod dom matki. Hamulce

zaprotestowały głośno, ale stara ciężarówka w końcu stanęła. Filip włożył rękawice i podszedł do pojemników ustawionych przed domem. Śmieci Urszuli Weiss były zawsze idealnie posegregowane. Filip podejrzewał, że matka starała się specjalnie dla niego.

Wielu pogardziłoby zawodem śmieciarza, ale Filip uważał, że miał prawdziwe szczęście, kiedy dostał tę pracę. To był uczciwy, solidny zawód, a on potrzebował stałego zatrudnienia jak mało kto. Żona urodziła mu synka we wrześniu, a on już w październiku jeździł tą starą zieloną śmieciarką. Czuł, że dobrze się spisał jako głowa rodziny. Nie zarabiał może dużo, ale wydawało mu się, że wystarczająco. Pieniądze nigdy nie miały dla niego większego znaczenia. To były tylko papiery.

Przed ślubem z Izą z pracą bywało różnie. Filip Weiss miał się różnych zajęć, aż w końcu zdecydował się na wyjazd do Szwecji. Miał nadzieję, że szybko się dorobi i wróci do kraju. Życie za granicą okazało się jednak zupełnie inne od oczekiwań. Nic nie przychodziło samo, a Filip nie miał smykałki do interesów. Zdecydował się więc na powrót.

Znowu zaczęły się żmudne poszukiwania jakiegoś zajęcia, które przyniosłoby jakikolwiek dochód. Filip pukał do wielu drzwi, ale w Lipowie wszystkie zdawały się przed nim zamknięte. Weiss nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to przez brata. Przez mordercę, bo właśnie mordercą był jego brat. Nikim innym. Tytus Weiss był podpalaczem i mordercą.

– Pomyśleć, że już jutro ten potwór wychodzi z więzienia – mruknął Filip, wrzucając worki sprzed domu matki na tył śmieciarki. Zgniatarka do śmieci pracowała równo, mimo że ciężarówka była taka stara. – To bez sensu.

Tytus Weiss wychodził jutro z Zakładu Karnego w Starych Świątkach. Po zmianie dyrekcji zakładu niespodziewanie uzyskał zwolnienie warunkowe. Filip wolałby o tym zapomnieć. To było jednak niemożliwe. Rozmowy i ukradkowe spojrzenia już się zaczynały. Wkrótce powrót jego brata do Lipowa stanie się tematem numer jeden.

Filip nienawidził brata z całego serca. Chcący albo niechcący Tytus zniszczył mu życie. Zawsze i wszędzie postrzegano go

jako brata tego Tytusa Weissa. Tytusa Weissa, który zabił trójkę policjantów z Lipowa i jedną osobę cywilną. To była głęboka niesprawiedliwość. To przecież nie Filip podłożył ogień tamtej nocy, tylko Tytus. Był bratem mordercy, a nie mordercą. Przed niechęcią jednak nie mógł uciec.

Zaklął cicho pod nosem. Postanowił skupić się na pracy. To na pewno było lepsze niż rozważania na temat Tytusa. Brat nie był tego wart. Filip odstawił pojemniki na odpady zmieszane na swoje miejsce. Zerknął na żółte torby, w których matka umieściła stare gazety. Stały w najdalszym kącie ogrodu.

Urszula Weiss zawsze wzdragała się przed wyrzucaniem jakiegokolwiek zapisanego papieru. Chyba z uwagi na zawód miała do niego szczególny szacunek. Prowadziła niewielką bibliotekę publiczną, która mieściła się tuż koło stawu w Lipowie. Matka kochała książki nad życie i starała się zarazić pozostałych mieszkańców wsi swoim entuzjazmem do literatury.

Filipa ogarnęło rozrzewnienie. Postanowił, że zanim pojedzie dalej, zajrzy do matki na chwilę. Przeszedł po równym chodniku, który sam kiedyś kładł. Matka nie mogła przecież tego robić. Na nikogo innego nie mogli liczyć. W końcu starszy brat wolał w tym czasie siedzieć w więzieniu, pomyślał Filip cierpko, a ojca nigdy nie mieli. Weiss przywykł już do tej myśli. Byli tylko on i mama.

Potem wyjechał do Szwecji w poszukiwaniu szybkich pieniędzy, a znalazł tylko Carin Nilsson. Przez jakiś czas Carin zapewniała mu wygodne życie, to prawda, ale na dłuższą metę nie mógł z nią żyć. Dusiła go sama jej obecność. Wrócił do Polski, kiedy tylko stało się to możliwe. Potem spotkał Iżę, z którą chodził jeszcze w podstawówce, i... wszystko potoczyło się szybko. Urodził się mały Oskarek, którego Filip nie zamierzał nigdy opuścić. Oskarek nie będzie miał takiego dzieciństwa jak on. Filip na to nie pozwoli. Jego syn musi mieć pełną rodzinę, ojca i matkę. Za wszelką cenę.

Weiss zapukał dwa razy do świeżo pomalowanych drzwi domu Urszuli. Właściwie nie musiał tego robić, ale taki już mieli z matką rytuał.

– Wchodź, syneczku! – zawołała bibliotekarka.

W domu unosił się zapach zakurzonych książek. Wszystkie ściany wypełnione były od podłogi po sufit różnymi powieściami. Filip zawsze się zastanawiał, czy matka przeczytała je wszystkie. On, ku pewnemu rozczarowaniu Urszuli, sam jakoś nie złapał czytelniczego bakcyła. Bibliotekarka nigdy jednak na niego nie naciskała. Można było powiedzieć, że była matką idealną, uznał Filip. Lepszej nie mógł sobie wymarzyć.

– Co słyhać, syneczku? Dużo pracy dzisiaj?

– Jutro on wychodzi... – powiedział Filip Weiss, jakby to miało wszystko wyjaśnić. Imienia brata nie wymawiał praktycznie nigdy. Obiecywał sobie, że nie będzie o tym mówić, ale nie wytrzymał.

Urszula Weiss pokręciła głową. Mimo swoich sześćdziesięciu trzech lat matka nadal mogła uchodzić za atrakcyjną. Zawsze ubierała się klasycznie i elegancko. Teraz, kiedy jej włosy były lekko przyprószone siwizną, pasowało to do niej jeszcze bardziej. Zawsze też dbała o figurę. Wygląda co najmniej dziesięć lat młodziej, zdecydował Filip z zadowoleniem. Był dumny z matki. Doskonale sobie poradziła. Dała mu wszystko, co mogła. Weiss miał nadzieję, że też będzie umiał dać tyle swojemu synkowi. Gdyby tylko Izka mu tego nie utrudniała.

– Synku, Tytus to twój brat – upomniała go Urszula stanowczym tonem, jakby kiedykolwiek mógł o tym zapomnieć. – Ma tylko nas. Musisz o tym pamiętać.

Filip Weiss zdusił przekleństwo, które cisnęło mu się na usta.

– Tytus to podpalacz i morderca – oświadczył powoli, siłąc się na spokój. – Jeżeli o mnie chodzi, to może sobie gnść w więzieniu. Nie zgadzam się na to, żeby tu u ciebie mieszkał. Nie wiadomo, co mu przyjdzie do głowy. Ten człowiek jest nieobliczalny.

– A gdzie ma się podziać? – zapytała spokojnie Urszula.

– Ludzie i tak chcą go zlinczować. Myślisz, że nie wiem, co się we wsi mówi? Jestem jego matką. Gdzie miałyby mieszkać, jeżeli nie u mnie? Może zamieszka z tobą, co?

Słowa zawisły przez chwilę w powietrzu.

– Wykluczone – odparł Filip szybko. Znienawidzony brat miałby mieszkać w jego gospodarstwie? – Sama dobrze wiesz, że to jest wykluczone.

– No widzisz. Tytus zamieszka u mnie – zakończyła matka twardo. – Nie ma innego wyjścia.

– W porządku, ale nie mam zamiaru się z nim spotykać – odparł gniewnie. – Jak ma być lincz, to ja chętnie do niego dołączę.

Urszula Weiss pokiwała głową smutno i gestem ręki zaprosiła Filipa do wyłożonej drewnianymi panelami kuchni.

– Uważaj na słowa, synku. Pamiętaj, że ludzie się zmieniają i każdy ma prawo do drugiej szansy.

Filip usiadł ciężko przy drewnianym stole w kuchni. Kiedyś jadali tu we trójkę. Zanim Tytus podpalił dom państwa Dworakowskich. Od tamtej pory minęło piętnaście lat, ale Filipowi wydawało się, że nawet więcej. Starszy brat go zawiódł. Całkowicie. Nie mogło być mowy o żadnym odkupieniu.

– Każdy ma prawo do drugiej szansy – powtórzyła matka. Napelniła szklanek i popiła kilka lekarstw. – Nigdy o tym nie zapominaj.

– Nie Tytus – odparł Filip Weiss twardo. – Nie on.

ROZDZIAŁ 2

Lipowo.

Piątek, 20 grudnia 2013. Po południu

Starszy sierżant Marek Zaręba starał się bez powodzenia stłumić ziewnięcie. Było dopiero popołudnie, a on od kilkunastu minut walczył z zamykającymi się powiekami. Marek i jego żona Ewelina wstawali do maleńkiej Zuzi na zmianę i młody policjant tęsknił za możliwością przespania pełnych ośmiu godzin. Ich starsza córka, dziesięcioletnia Andżelika, była zdecydowanie cichszym dzieckiem. Przez pierwsze miesiące swojego życia spała jak suszeł, co zresztą zostało jej do teraz. A może to on się zestarzał i brakowało mu już cierpliwości do nocnego wstawania? O ile można tak powiedzieć o kimś, kto nie przekroczył jeszcze trzydziestki, zaśmiał się Marek Zaręba w duchu.

Młody policjant ziewnął jeszcze raz przeciągle i wyłączył komputer. Wyszedł ze swojego gabinetu i ruszył do salki konferencyjnej, która w ich komisariacie pełniła właściwie funkcję pokoju socjalnego, gdzie wszyscy spędzali czas, jedli posiłki i plotkowali. Wkrótce mieli zacząć codzienną odprawę. Zwykle spotykali się z samego rana, ale przybycie nowej koleżanki, która miała dołączyć do ich niewielkiego zespołu, zmieniło nieco zwyczajowy harmonogram dnia.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska zjawiała się jakiś czas temu, ale do tej pory siedziała w gabinecie Daniela Podgórskiego. Marek Zaręba podejrzewał, że szef musi załatwić wszystkie formalności związane z jej tymczasowym zatrudnieniem w Lipowie. Teraz wszyscy mieli się oficjalnie poznać. Młody policjant był bardzo ciekaw nowej koleżanki. W końcu Emilia miała zastąpić właśnie jego. Marek znowu ziewnął szeroko. Od jutra jego życie zmieni się diametralnie.

Przez najbliższe dwa tygodnie będzie polegało na zmienianiu pieluch i utulaniu córeczki do snu, a nie na ściganiu przestępców.

– Młody, widziałeś tę nową? – zapytał Paweł Kamiński, który siedział już w pokoju socjalnym i popijał wodę z plastikowej butelki. – Niezła z niej dupa czy raczej nie za bardzo? Bo ja jej nie widziałem. Ciekawe, ciekawe... zawsze powtarzałem, że za mało u nas w komisariacie płci pięknej. Może być zajebicie ciekawie.

Kamiński zaśmiał się rubasznie, wylewając przy tym trochę wody na blat stołu.

– Czy ja wiem... – odparł Marek Zaręba, ignorując ton kolegi. Każdy wiedział, jaki jest Paweł. – Widziałem ją przez chwilę, kiedy przyszła rano. Zwyczajna dziewczyna, ale wydaje się całkiem w porządku.

W rzeczywistości sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska zdaniem Zaręby nie wyglądała zbyt spektakularnie. Miała lekko przetłuszczone, związane w koński ogon włosy w nieokreślonym kolorze i lekką nadwagę zlokalizowaną wokół bioder. Na pewno nie była w typie Marka. Jego żona Ewelina była przecież najatrakcyjniejszą dziewczyną w całym Lipowie. Tego młody policjant był pewien. Nawet teraz, po urodzeniu dwójki dzieci, nie miała sobie równych.

Drzwi salki konferencyjnej otworzyły się ostrożnie i do środka zajrzała Maria Podgórska. Niosła półmisek z ciastem. W powietrzu zawisł zapach jabłek i cynamonu.

– Jeszcze jej nie ma? – zapytała starsza pani konspiracyjnym tonem. – To świetnie. Chłopcy, pomóżcie mi tu wszystko przygotować. Musimy ją przyjąć z otwartymi ramionami. Niech zobaczy, jak tu u nas w Lipowie przyjemnie. Niełatwo jest zaczynać nową pracę. Mareczku, wyjmij talerzyki z szafki.

Zaręba zaczął posłusznie rozkładać talerze na okrągłym stole. Paweł Kamiński nadal siedział z założonymi rękami i nie miał najmniejszego zamiaru ruszyć się z miejsca. Uśmiechał się tylko pod nosem ironicznie.

– Pomyślcie tylko, chłopcy – powiedziała Maria Podgórska.
– Emilia Strzałkowska będzie pierwszą policjantką w naszym

komisariacie od czasów Zosi Dworakowskiej.

W głosie starszej pani pojawiła się nutka smutku. Młody Marek Zaręba doskonale wiedział dlaczego. W Lipowie wszyscy znali tę makabryczną historię. Aspirantka Zofia Dworakowska, żona profesora Seweryna Dworakowskiego z „Wrzosów”, zginęła w pożarze wywołanym przez Tytusa Weissa. Ojciec Daniela Roman Podgórski i ojciec Pawła Jan Kamiński zginęli tego samego dnia. Próbowali ratować koleżankę z komisariatu i jej siostrę z płonącego domu. To było niesamowite poświęcenie służbie. O tej dobrowolnej akcji dwóch lipowskich policjantów krążyły już legendy, a Roman Podgórski i Jan Kamiński uważani byli za bohaterów wsi.

Zapadła nieco niezręczna cisza, przerywana jedynie przygotowaniami na przyjęcie nowej policjantki. W końcu drzwi pokoju otworzyły się. Daniel Podgórski przepuścił przed sobą nową policjantkę.

– Och, jesteście już! – zawołała Maria Podgórska.
– Siadajcie, kochani.

– Jak to miło z pani strony – powiedziała uprzejmie Emilia Strzałkowska na widok przygotowanej na stole uczy.

– Zrobiłam moją specjalność. To jabłecznik z cynamonem i kruszonką. Na pewno ci posmakuje, Emilio. Zobaczysz. Siadajcie wszyscy – zachęciła starsza pani, jakby nie byli w komisariacie, tylko w jej własnym salonie. – Częstoście się. Starczy dla wszystkich. W razie czego w lodówce mam jeszcze trochę na dokładkę.

Wszyscy zabrali się ochoczo do jedzenia. Młody Marek Zaręba obiecał sobie, że od jutra wróci do treningów. Przez zarwane noce mało ostatnio biegał. Nie chciał skończyć jak Daniel Podgórski z pękatym brzuszkiem i puciołowatymi policzkami.

– No dobrze. Zajmijmy się wprowadzeniem Emilii w bieżące sprawy – zaproponował Daniel nieco sztywno, kiedy wszyscy zjedli swoje ciasto. – Paweł, zacznijmy od ciebie. Jest coś nowego w twojej dzielnicy?

Kamiński odchrząknął głośno i wytarł usta ręką.

– Na moje, to możemy mieć kupę problemów z tymi

cholernymi Szwedami – zawyrokował, wycierając rękę o spodnie. – Ja pierdole, co za pieprzony bałagan z nimi.

– Jakimi Szwedami? – zapytała z zaciekawieniem Emilia Strzałkowska.

Paweł Kamiński spojrział na nową koleżankę taksująco. Zawiesił na chwilę wzrok na jej niewielkim biuście. Młody Marek Zaręba poczuł się zawstydzony zachowaniem kolegi. Z drugiej strony, jeżeli Emilia Strzałkowska chciała zostać w Lipowie na dłużej, będzie musiała przywyknąć do zachowania Pawła. Wyglądało jednak na to, że nowa policjantka nie była w najmniejszym stopniu poruszona obcesową oceną swojego wyglądu. Patrzyła Kamińskiemu prosto w oczy i ani razu nie spuściła wzroku.

– Droga koleżanko – stwierdził z przesadną słodyczą Kamiński. – Kilka dni temu przyjechali do nas jacyś ludzie i, kurwa, ciągle powodują problemy.

– Jakiego rodzaju problemy powodują, drogi kolego? – zapytała Emilia Strzałkowska spokojnie.

Paweł Kamiński zrobił się czerwony na twarzy. Sięgnął szybko po kolejną butelkę wody i wypił długi łyk.

– No mówię, kurwa, że problemy, to tyle chyba ci starczy, prawda?

– Pawełku! – wtrąciła się Maria Podgórska. – Prosiłam, żebyś nie używał takich słów. Zwłaszcza w towarzystwie kobiet. Jeżeli można.

– Będę mówił, co i kiedy mi się podoba, pani Mario – odpowiedział Kamiński, ale już nieco spokojniej.

Marek Zaręba postanowił, że czas się wtrącić.

– Ta dwójka Szwedów ma coś do Filipa Weissa – pospieszył z wyjaśnieniami młody policjant. Nie miał dziś ochoty na żadne kłótnie. Z niewyspania bolała go głowa i czuł się nieprzyjemnie zirytowany. – Filip Weiss to nasz śmieciarz. Z tego, co wiem, pracował przez jakiś czas w Szwecji. Może tam się poznali, on i ta dwójka.

– Filip Weiss twierdzi, że nie zna tych Szwedów – poinformował Daniel Podgórski. – Rozmawiałem z nim na ten temat wczoraj wieczorem.

– Myślisz, że mówi prawdę? – zapytał sceptycznie Zaręba.

– Nie wiem, Młody. – Daniel podrapał się po brodzie. Od dawna nosił kilkundniowy zarost. Uważał, że dobrze z tym wygląda. Marek był nieco innego zdania. – Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że Filip Weiss doskonale wie, kim są ci Szwedzi i dlaczego przyjechali. Nie wiem, dlaczego śmieciarz kłamie, ale nie podoba mi się to.

– Ta parka sterczy pod domem Weissa – dodał Paweł Kamiński. – Próbowałem z nimi porozmawiać, ale za nic nie zrozumiałem, co tam bełkoczą. Jak chcą do nas przyjeżdżać, to niech się, kurwa, polskiego porządnie nauczą. Żeby jakiś był z nimi kontakt, a nie tak.

– Może ja z nimi rozmawiam, drogi kolego – zaproponowała Emilia Strzałkowska równie spokojnie jak przedtem. – Mówię trochę po angielsku. Może mnie uda się z nimi dogadać.

Młody Marek Zaręba zaczynał lubić Strzałkowską. Może nie była najbardziej atrakcyjną kobietą pod słońcem, ale wydawała się dobrą kandydatką na koleżankę.

– W porządku – zgodził się Daniel Podgórski. – Emilia, zajmijmy się tym razem. Jutro. Dasz radę?

Nowa policjantka skinęła głową.

– Jasne. Nie ma problemu.

– Jest jeszcze coś – zaczął Daniel ostrożnie. Wszystkie oczy skierowały się na szefa komisariatu. Po zmianie w głosie Podgórskiego Marek Zaręba domyślał się, do czego zmierza przyjaciel. – Nie wiem, czy wszyscy już wiedzą, ale Tytus Weiss wychodzi jutro ze Starych Świątek na zwolnienie warunkowe.

Przez chwilę w pokoju socjalnym panowała całkowita, niczym niezmacona cisza. Tytus Weiss. Tylko Emilia Strzałkowska wydawała się zaskoczona efektem, jaki wywołało to nazwisko u pozostałych.

– Ja pierdołę – rzucił cicho Paweł Kamiński. – Kurwa, ja zajebię tego cwela. To jest popierdolone, żeby ten chuj wychodził. Odsiedział dopiero piętnaście lat. Dostał dwadzieścia pięć. Nie powinni go, kurwa, wypuszczać.

Tym razem Maria Podgórska nie zareagowała na wiązanek

przekleństw. Spojrzała tylko twardo na Daniela.

– Dlaczego już go wypuszczają? – zapytała cicho.

Daniel Podgórski wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że nowy dyrektor więzienia w Starych Świątkach był zdania, że...

– Kurwa, jak Tytus Weiss pojawi się w Lipowie, to...

– przerwał mu Paweł Kamiński. – Nie ręcę za siebie!

Pokój wypełniały niemal namacalne emocje. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska spojrzała pytająco na Marka Zarębę. Młody policjant bezgłośnie obiecał nowej koleżance, że wszystko wyjaśni jej później. Strzałkowska skinęła głową.

– Tytus Weiss nie ma prawa wracać do Lipowa – rzucił znowu Paweł Kamiński ostro. – Możemy coś z tym zrobić? Kurwa, musimy!

– Chętnie bym mu zakazał powrotu do nas – przyznał Daniel Podgórski – ale nie mogę tego zrobić. To wolny kraj.

– Wszyscy na pewno pokażą mu, że nie jest tu mile widziany – szepnęła Maria Podgórska i spuściła wzrok, jakby zawstydzona.

– Jest jeszcze coś – dodał niemal równie cicho Daniel.

– Kurwa, co jeszcze? – Paweł znowu poczerwieniał na twarzy.

– Tytus Weiss ma w zwolnieniu warunek, że przez pierwsze dwa miesiące musi stawiać się w naszym komisariacie co dwa dni – powiedział szybko Podgórski. – Będzie musiał tu przychodzić. W kolejnych miesiącach to już będzie rzadziej.

– Ja pierdolę. – Kamiński wstał nagle od stołu. – Nie chcę widzieć tego kutasa ani przez minutę. Czy ci ludzie powariowali?

Maria Podgórska też nie wydawała się zachwycona tą informacją.

– Nic nie możemy z tym zrobić. Musimy to jakoś przeczekać – powiedział Daniel Podgórski w stronę matki, jakby chciał ją pocieszyć. – Musimy to przeczekać.

Starszy sierżant Marek Zaręba znał dobrze Podgórskiego i wiedział, że przyjaciel bardzo przeżył śmierć ojca. Najbliższe tygodnie na pewno nie będą łatwe. Młody policjant westchnął

cicho. A mnie nie będzie w komisariacie, pomyślał przelotnie. To nie był dobry moment na urlop, ale Marek obiecał już Ewelinie, że zajmie się Zuzią i odciąży żonę od obowiązków. Nie mógł się teraz wycofać.

Jerzy Grala rozpakowywał walizkę i ułożył rzeczy na półkach w drewnianej szafie. Pokój, który wynajął we „Wrzosach”, okazał się zaskakująco schludny. Można go było nawet określić jako całkiem przyjemny, uznał naukowiec w przyływie dobrej woli.

Grala rozejrzał się po pomieszczeniu. Było w nim właściwie wszystko, czego potrzebował. Dość duże łóżko, szafka nocna, gdzie mógł postawić szklankę wody na wypadek, gdyby w nocy zachciało mu się pić. Przy oknie zaś stało biurko, gdzie zdążył już rozłożyć materiały dotyczące sekty Świątynia, które ze sobą przywiózł. Ekran laptopa oświetlał archiwalne dokumenty. Jerzy nie potrzebował większych wygód.

Wiecznie uśmiechnięta drobniutka Jaśmina Ciosek-Dworakowska zaproponowała Grali obiad. Domowy posiłek, podobnie jak pokój na piętrze, również okazał się lepszy, niż naukowiec się spodziewał. Obiad zjedli we dwójkę z Jaśminą. Szwedzi, którzy wynajmowali drugi pokój we „Wrzosach”, gdzieś wyszli. Ku pewnej uldze Jerzego, olbrzymiego Albina Dworakowskiego także nigdzie nie było widać. To wszystko sprawiło, że Gralę ogarnął dobry humor.

– Pewnie Albinek spaceruje po wsi – uznała młoda gospodyni, dokładając gościowi sałatki jarzynowej.

Jerzy nie jadł takiej sałatki od śmierci matki rok temu. Matka wręcz uwielbiała siekać wszystkie składniki w drobną kostkę. Potrawa nie była może zbyt oryginalna, ale jemu zawsze bardzo smakowała.

Po skończonym posiłku naukowiec wrócił do swojego pokoju na piętrze i wyjrzał przez okno. Śniegu ciągle nie było widać, ale dni były teraz bardzo krótkie. Grala zerknął na zegarek, który zawsze nosił na srebrnym łańcuszku. Była dopiero trzecia, a zaczynał zapadać już wczesny zimowy zmierzch. Jerzy

zdecydowanie za długo rozmawiał z Jaśminą. Dziś już było stanowczo za późno, żeby zaczynać pracę w osadzie sekty Świątynia. W ciemności praca nigdy nie szła dobrze.

Jerzy Grala westchnął głośno. Miał poczucie straconego czasu. W końcu uznał, że może poczuje się lepiej, jeśli jednak pójdzie odwiedzić osadę sekty już tego wieczoru. Mimo mroku mógł przynajmniej pobieżnie zorientować się, jak wygląda sytuacja na miejscu. To pomoże zaplanować zadania na jutro.

Patryk Sołtysik szedł przez Lipowo nieprzyjemnie podenerwowany. Tak było zawsze, kiedy rozmowa z żoną schodziła na kwestie ich ekologicznej farmy i pieniędzy. Pieniądze stanowiły wieczny problem jego żony. Jagna potrzebowała ich ciągle więcej i więcej. Zawsze okazywało się, że muszą dokupić jeszcze tylko jeden ul, jeszcze tylko poprawić szklarnię, jeszcze tylko wyremontować zagrodę dla kóz. Jeszcze tylko to, jeszcze tylko tamto, przedrzeźniał żonę w duchu Patryk, ale nigdy nic nie powiedział. Słuchał cierpliwie, usiłując powstrzymać cisnące się na usta przekleństwa.

– Na razie musimy inwestować – przekonywała go Jagna. – Jak przyjdzie czas, zarobimy na turystach z miasta. Sam wiesz, że nasze rejony są coraz bardziej popularne. Na Mazurach tłok, a u nas jest w sam raz. Wtedy wszyscy się rzucą na ekologiczne produkty.

Jak przyjdzie czas, to się odkują. Tego była pewna. Jego Jagna. Patryk Sołtysik zagryzał zęby, kiedy żona wyciągała rękę po pliki banknotów, jakby nie zdawała sobie sprawy, że ich oszczędności już dawno zniknęły. Patryk nie miał serca jej tego mówić. Jego Jagna była jak kolorowy motyl w szarej rzeczywistości Lipowa.

Co miał zrobić? Patryk Sołtysik pożyczał. Tylko to przyszło mu do głowy, kiedy znaleźli się w potrzebie, a ich ekofarma nie przynosiła praktycznie żadnych wymiernych zysków. Tylko kolejne długi.

Najbardziej żałował, że zapożyczył się u Filipa Weissa. Patryk i Filip przyjaźnili się od dzieciństwa. Śmieciarz był

człowiekiem, który nie znał wartości pieniądza. W tej kwestii był niesłychanie naiwny i właściciel ekofarmy czuł się, jakby przyjaciela wykorzystał. Filip nie zastanawiał się ani chwili i o nic nie pytał. Nie odmówił pożyczania sporej sumy. Sołtysik obiecywał, że odda w ciągu miesiąca. Był jednak pewien, że nie będzie mógł zwrócić pieniędzy przed wakacjami. A jak tak dalej pójdzie, to być może nawet nigdy. Okłamywanie przyjaciela bolało, ale miłość do Jagny warta była poświęceń.

Wszystkie te zmartwienia powodowały, że Patryk coraz częściej przesiadywał wśród popijających pod sklepem Wiery Rosłońskiej. W butelce taniego alkoholu niezawodnie znajdował zapomnienie. Nie pamiętał o wygórowanych oczekiwaniach Jagny, rachunkach za kolejne remonty, o pożyczce u naiwnego przyjaciela ani o dojeniu znienawidzonych kóz. Bezsensowne rozważania o niczym w towarzystwie zapijaczonych mężczyzn przynosiły ulgę.

Patryk zdawał sobie sprawę, że nie może tego ciągnąć w nieskończoność, ale na razie nie miał siły przerywać codziennych posiadówek. Zwłaszcza że zima jak dotąd łaskawie traktowała wielbicieli taniego wina zgromadzonych pod sklepem. Mimo że w przyszłym tygodniu miała już być Wigilia, śniegu nie było ani śladu. Patryk Sołtysik mógł nawet przysiąc, że trawa w ogródku żony coraz bardziej się zieleni.

Chwilę wcześniej Patryk wymknął się z domu i szybkim krokiem ruszył w kierunku sklepu i swoich nowych kompanów. Kiedy mijał kiosk nad stawem pośrodku wsi, zauważył tę dziwną parę cudzoziemców, która przyjechała do Lipowa kilka dni temu. Szwedzi siedzieli na ławce i żywo o czymś dyskutowali. Patryk nic z tego nie rozumiał. Wiedział tylko, że ci ludzie sprawiają jakieś problemy Filipowi Weissowi. Sołtysik próbował zapytać przyjaciela o szczegóły, ale Filip o dziwo milczał w tej sprawie jak zaklęty.

Sołtysik naciągnął mocniej czapkę na uszy i przyspieszył kroku. Para Szwedów spojrzała na niego przelotnie, kiedy mijał ich ławkę. Nie przejmował się tym. Był u siebie. Wkrótce znalazł się pod sklepem. Dwójka pijaków siedziała przy stole, który pani Wiera Rosłońska postawiła specjalnie dla nich

pod zadaszeniem. Miło z jej strony.

Być może dostała hojny datek od syna, uznał Patryk. Pieniądze. Do nich wszystko się sprowadzało. Sołtysik zazdrościł sklepikarce tego nagłego przyływu gotówki. Też bardzo by chciał odkryć, że w jego rodzinie jest ktoś bardzo, bardzo bogaty. Jagna na pewno szalałaby z radości i kupowała kolejne ekologiczne nasiona. Tak dobrze jednak nigdy nie było. Pozostawało kupowanie losów na loterię i zalewanie robaka w towarzystwie najgorszego elementu Lipowa. Och, jaką ulgę to przynosiło.

– Cześć, Łysy – rzucił do niego Gierot.

Gierot wyglądał, jakby ledwo doszedł do siebie po wczorajszej posiadówce. Ale Gierot zawsze tak wyglądał. Jego twarz była permanentnie czerwona i spuchnięta od alkoholu.

– Łysy, widziałeś, że przyjechał jakiś jajogłowy do „Wrzosów”? – zapytał do wtóru Melek.

Gierot i Melek stanowili niemal nierozłączną parę. Gierot miał żonę i dzieci, ale wolał spędzać czas z Melkiem. Mimo wzajemnej zażyłości żaden z pijaczków nie protestował, kiedy Patryk Sołtysik pewnego dnia do nich dołączył.

– Nie mówcie na mnie Łysy – obruszył się właściciel ekofarmy.

Tego jednego nie lubił w nowych kolegach spod sklepu Wiery Rosłońskiej. Zawsze przezywali go „Łysy”. Patryk rzeczywiście prawie zupełnie wyłysiał. I to już w wieku dwudziestu czterech lat. Była to cecha rodzinna Sołtysików. Jego ojca spotkało to samo. Na geny nic poradzić się nie da. Mimo wszystko Patryk nie umiał się z tym defektem pogodzić i nie lubił, kiedy mu o nim przypominano.

Gierot podał Patrykowi puszkę piwa. Sołtysik otworzył ją ochoczo i zaczął pić. Piwo było dobre na początek alkoholowej sesji.

– Jaśmina była przed chwilą wszystko opowiedzieć Wierze, to i nam powiedziała – wyjaśnił pijak. – Mają nowego mieszkańca we „Wrzosach”.

– Jo – przytaknął Melek, nie przerywając picia.

– Podobno ten facet ma badać Cichy Lasek.

– Jo – Melek miał zwyczaj dorzucania swoich trzech groszy do każdej wypowiedzi Gierota.

Patryk wzruszył ramionami. Miał znacznie ciekawsze informacje.

– Wiecie, że Tytus Weiss wraca? – zrewanżował się kolegom.

Gierot zaśmiał się chrapliwie. Białka jego oczu były bardzo przekrwione. Nie wyglądało to najlepiej. Patryk Sołtysik miał cichą nadzieję, że on sam nigdy nie zmieni się w kogoś takiego jak Melek i Gierot. Problemy finansowe musiały się przecież kiedyś skończyć. Ekofarma musiała przecież kiedyś rozwinąć skrzydła, prawda? Wtedy Patryk przestanie pić.

– Się wie, że wraca. Plotki już krążyły od pewnego czasu – zachnął się Gierot jakby urażony i zgniótł puszkę taniego piwa. – Będzie się działo. Zapamiętajcie moje słowa. Będzie się działo!

– Jo! – Melek aż się opluł z ekscytacji.

– Widziałem tych Szwedów – spróbował znowu Patryk.

Trudno było zaskoczyć Melka i Gierota jakąkolwiek nowiną. Ta dwójka wiedziała dosłownie o wszystkim, co działo się w Lipowie. Nawet największa plotkara wsi, pani Drewniakowa, nie miała takiego zasobu informacji jak oni.

– No i? – zaśmiał się znowu Gierot.

– Gadali o czymś – stwierdził zrezygnowany Patryk Sołtysik.

– I? – mruknął Melek z nadzieją.

– Nic nie zrozumiałem – przyznał Patryk. – Mówili po szwedzku.

Właściciel ekofarmy znał trochę niemiecki i wydawało mu się, że rozpoznał kilka słów, ale wolał się na razie nie wychylać. Tym bardziej że Filip Weiss był w tej sprawie taki tajemniczy.

– Te, Łysy, ty lepiej idź postawić flaszkę, zamiast głupoty pierdzielić – zarządził Gierot, rozsiadając się na drewnianej ławce przed sklepem. – Za darmo pić nie będziesz.

Pieniądze. Właściciel ekofarmy Patryk Sołtysik sięgnął po portfel. Jagna nie będzie zadowolona, kiedy Patryk wróci wieczorem do domu. Z drugiej strony jego żona nigdy nie była zadowolona. W tej sytuacji nie było się czym przejmować.

Jerzy Grala ruszył przez ciche o tej porze Lipowo. W oknach ceglanych domostw paliły się światła, a na dachach i balkonach błyszcząły świąteczne dekoracje. Jerzego opanował podniosły nastrój. Lubił Boże Narodzenie. Na pasterkę poszedł pierwszy raz dopiero jako dorosły mężczyzna. Zakochał się we wspólnym śpiewaniu kolęd. Od tamtej pory chodził na wigilijną mszę co roku.

– Cicha noc, święta noc, pokój niesie ludziom wszem – zanucił pod nosem. Ta kolęda idealnie pasowała do nastroju spokojnej wsi, pogrążonej w zimowych ciemnościach. – A u źłóbka Matka Święta czuwa sama uśmiechnięta nad Dzieciątka snem. Nad Dzieciątka snem.

Kiedy Jerzy Grala przechodził obok sklepu, kilku pijaczków spojrzęło na niego badawczo. Było poza sezonem. Pewnie nie widywali o tej porze roku zbyt wielu obcych przybyszów, uznał naukowiec i ruszył dalej niezrażony, nie przerywając nucenia. Poprawił przewieszoną przez ramię torbę z niezbędnymi rzeczami. Jutro będzie potrzebował znacznie więcej.

Obok położonego na wzniesieniu starego dworku Grala skręcił z głównej szosy na polną drogę. Trasa prowadziła wzdłuż skraju lasu z prawej strony, a zaoranych obecnie pól z drugiej. Szlak wyglądał na uczęszczany. Mimo to naukowiec uznał, że nie będzie chyba ryzykował przyjeżdżania jutro do osady swoim starym transporterem. Trzeszczące zawieszenie wysłużonego volkswagena zdecydowanie nie nadawało się na tę drogę.

Grala ruszył wzdłuż skraju lasu. Drzewa po prawej stronie szeleściły niepokojąco. Jerzego ogarnął pierwotny, irracjonalny lęk przed nieznanym niebezpieczeństwem czającym się w ciemności. Starał się odegnać te myśli.

Nagle znowu usłyszał szelest od strony lasu. Zadrzał wbrew sobie.

– Jest tam kto? – zapytał, przybierając jak najspokojniejszy ton głosu. – Halo! Jest tam kto? Proszę się odezwać. Halo!

– Halo – rozległo się od strony lasu.

Głos wydawał się nieco bełkotliwy i na pewno nie należał

do echa.

– Kto tam? – zapytał znowu Jerzy Grała.

W odpowiedzi z krzaków niezgrabnie wyszedł olbrzymi Albin Dworakowski. Chłopiec w ciele mężczyzny, przypomniał sobie naukowiec. Tak chyba opisała Jaśmina Ciosek-Dworakowska swojego kuzyna. Opis zdawał się teraz jak najbardziej adekwatny. Albin ścisnął w potężnych dłoniach torebkę z cukierkami. Na jego twarzy malowała się błogość zachwyconego życiem dziecka.

Albin wyjął jednego cukierka i wsadził go sobie do ust. Zaczął głośno przeżuwać. Młaskanie zdawało się roznosić echem po pustym polu. Ciemność przestała być nagle taka złowroga.

– Haaalo – powtórzył Albin Dworakowski. – Halo! Halo!

Grała spojrzął na przybysza niechętnie. Nie miał najmniejszej ochoty niańczyć Albina. Ruszył dalej szybkim krokiem. Miał nadzieję, że chłopiec w ciele mężczyzny zrozumie sugestię. Niestety, zamiast się wycofać, otyły mężczyzna podbiegł niezgrabnie do Jerzego. Wyglądało na to, że ma zamiar towarzyszyć mu w dalszej wędrówce. Szli tak przez chwilę we dwóch. Nad lasem przeleciał wielki kruk. Naukowiec badał kiedyś sektę, która czciła kruka jako Strażnika Tajemnic. Przy okazji Grała dowiedział się wielu ciekawych rzeczy na temat tych niezwykle inteligentnych ptaków. Niektórzy twierdzili na przykład, że kruki, podobnie jak ludzie, nadają sobie imiona i potrafią nawoływać się za ich pomocą.

– Halo! – powtórzył Albin Dworakowski w kierunku majestatycznego ptaka, jakby odgadł myśli Jerzego. – Halo!

Grała milczał. Nie chciał zachęcać tego onieśmielającego olbrzyma do dalszych dyskusji. Albin zdawał się tym niewzruszony. Wspięli się na niewielkie wzniesienie. Wokół roztaczał się teraz widok na całe Lipowo i okoliczne pola. Polodowcowe wzgórza i niewielkie doliny sprawiały przyjemne wrażenie w świetle powoli malejącego księżyca. Niedaleko przed sobą Jerzy Grała zobaczył nareszcie sosnowy zagajnik zwany Cichym Laskiem, gdzie członkowie sekty Świątynia zbudowali swoją osadę.

– Cichy Lasek nie – powiedział Albin Dworakowski

automatycznym tonem, jakby uczono go, żeby nigdy się do zagajnika nie zapuszczał. – Cichy Lasek nie!

Jerzy Grala poczuł, że teraz ma szansę pozbyć się niechcianego towarzysza. Postanowił ją wykorzystać.

– Właśnie. Nie wolno tam wchodzić. Wracaj do domu, Albinie – rozkazał, naśladując ton Jaśminy Ciosek-Dworakowskiej. – Wracaj do domu.

– Cichy Lasek nie – powtórzył Albin Dworakowski.

– Idź do domu, Albinie.

Chłopiec w ciele mężczyzny stał przez chwilę niezdecydowany. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie niezadowolenia. W końcu olbrzym odwrócił się na pięcie i ruszył niezbornym truchtem z powrotem ku wsi.

Naukowiec uśmiechnął się do siebie zadowolony. Jaśmina Ciosek-Dworakowska przekonywała, że Albin jest niegroźny. Jerzy nie czuł się jednak w najmniejszej mierze komfortowo w towarzystwie tego masywnego człowieka i z ulgą patrzył, jak Albin znika w ciemności.

Kiedy olbrzymia nie było już widać, Jerzy Grala wyciągnął z torby latarkę i ruszył w stronę Cichego Lasku. Polna droga stawała się coraz bardziej zarośnięta, jakby nikt nigdy z tej jej części nie korzystał. Mimo zimy pozostałości wysokiej trawy utrudniały przedzieranie się w kierunku zagajnika. Grala kilka razy omal się nie potknął, ale nie chciał jeszcze zapalać latarki. Na razie światło księżycy wystarczało.

Z bliska Cichy Lasek okazał się znacznie większy, niż wydawało się to ze wzgórza, na którym stanęli z Albinem. Jerzy wszedł ostrożnie między drzewa. W zagajniku panował absolutny spokój, jakby wszystko zastygło w bezruchu. Ciszy nie przerywał żaden najmniejszy nawet odgłos. Nawet kroki naukowca zdawała się pochłaniać wszechobecna martwota. Cichy Lasek. Grala musiał się zgodzić, że nazwa pasowała wręcz idealnie.

Wśród drzew majaczyły stare, pokryte strzechą opuszczone budynki. Niektóre wyglądały na zupełnie zniszczone, inne na niemal nowe. Grala odetchnął głęboko. To tu zimą 1965 roku kilkanaście osób popełniło zbiorowe samobójstwo

poprzez zażycie cyjanku. Zginęli wszyscy członkowie sekty, którzy wówczas tu mieszkali. To właśnie tu, według okolicznych mieszkańców, ciągle jeszcze pojawiały się duchy zmarłych samobójców.

Jerzy wszedł pomiędzy zrujnowane domostwa. Wciągnął głęboko powietrze do płuc i zamknął oczy. Teraz, w niczym niezmaconej ciszy zimowej nocy, niemal słyszał głosy członków sekty, którzy zajmowali się swoimi codziennymi sprawami. Musiał przyznać, że sprawiało to niesamowite wrażenie. Nawet na sceptycznym naukowcu, za którego się uważał. Czy magia charyzmatycznego przywódcy sekty Świątynia, Witalisa Sobieraja, nadal działała w tym miejscu? Jak Sobieraj pociągnął za sobą kilkadziesiąt osób i zaprowadził je na dobrowolną śmierć?

Grała zapalił latarkę i zaczął powoli przechadzać się po starej osadzie. Tyle budynków, które należało dokładnie opisać, westchnął w duchu. Doszedł do wniosku, że rzeczywiście przyda mu się pomoc kogoś z miejscowych. Jutro z samego rana będzie musiał znaleźć chętnego do pracy asystenta. Nie może przecież spędzić w Lipowie całej zimy.

Fryzjerka Ewelina Zaręba popchnęła mocniej wózek i podjechała nim pod krawężnik z pewnym trudem. Maleńka Zuzia zaśmiała się podekscytowana. Od jutra córeczką zajmować się miał Marek. Dla Eweliny i jej salonu zaczynał się gorący przedświąteczny okres. Właśnie o tej porze roku miała najwięcej klientek. Prawie każda mieszkanka Lipowa chciała pięknie wyglądać przy wigilijnym stole, a potem podczas balu w sylwestra. Ona i Marek nie mogli sobie pozwolić na stratę takiego utargu. Zwłaszcza teraz, kiedy ich rodzina się powiększyła. Młodemu policjantowi przysługiwał dwutygodniowy urlop ojcowski, więc wspólnie uznali, że czas, by fryzjerka wróciła do pracy. Ewelina była pewna, że Marek doskonale poradzi sobie z opieką nad córeczką.

Fryzjerka zatrzymała się przed domem rodziców Izki Weiss. Przedtem przychodziła po Izkę do domu jej męża, ale od kilku

tygodni przyjaciółka nie mieszkała już z Filipem. Żona śmieciarza była przyjaciółką Eweliny od najmłodszych lat. W szkole Ewelina, Izka i Jagna Sołtysik były właściwie nierozłączne. Teraz też spędzały ze sobą bardzo dużo czasu. Zwłaszcza że maleńka Zuzia i Oskarek urodzili się w tym samym miesiącu. Wspólny spacer z niemowlakami był od września stałym elementem każdego dnia.

Ewelina Zaręba poprawiła lśniące czarne włosy i obciągnęła kusą kurteczkę. Zima jak dotąd była niezwykle łaskawa, ale w krótkiej puchówce zaczynało jej się już robić zimno. Przepędowała z nogi na nogę w swoich wysokich skórzanych szpilkach, czekając na przyjaciółkę. Zuzia zasnęła tymczasem smacznie w wózku. O dziwo.

– No proszę – mruknęła fryzjerka pod nosem. – Teraz śpisz!

Szkoda, że córeczka nie miała ochoty na sen, kiedy przychodził wieczór. Nawet najlepszy korektor nie potrafił teraz zamaskować podkrążonych oczu Eweliny.

W końcu Izka Weiss wyszła z domu rodziców opatulona w długi płaszcz i futrzaną czapkę. Jej synek spał grzecznie w wózku. Oskarek był całkowitym przeciwieństwem maleńkiej Zuzi. Prawie cały czas spał.

– Idziemy po Jagnę? – zapytała Izka.

Ewelina Zaręba miała wrażenie, że przyjaciółka jest podenerwowana. Podejrzewała, że chodzi o kolejną kłótnię z Filipem. W ostatnich miesiącach zawsze o to chodziło. Fryzjerka postanowiła jednak niczego nie komentować. W swoim czasie Izka pewnie sama opowie, co jej leży na sercu.

Ruszyły przez Lipowo w kierunku ekofarmy. Jagna Sołtysik czekała już na nie przed bramą swojego gospodarstwa. Latem już tu słychać było głośne bzyczenie pszczół, mimo że ule znajdowały się daleko od drogi. Farmerka miała burzę ciemnoblonde włosów i zawsze ubierała się bardzo kolorowo. Przypominała Ewelinie roztańczoną hipiszkę.

– Co słychać? – zagadła fryzjerka.

Przez cały dzień była tylko z Zuzią. Jej starsza córka, Andżelika, najpierw była w szkole, a potem wyszła do koleżanki. Mąż siedział w komisariacie. Ewelina skrycie

tęskniła za możliwością porozmawiania z kimś dorosłym.

– Strasznie ci zazdroszczę – wybuchnęła Iza Weiss i natychmiast zamilkła zaszępiła.

Oskarek zakwilił cicho w wózku, zaniepokojony emocjonalną reakcją matki.

– Izka, co się dzieje? – wtrąciła się Jagna Sołtysik.

– Iza! – Ewelina Zaręba dotknęła czule ramienia przyjaciółki.

– Powiedz nam wszystko po kolei.

– To jest niesprawiedliwe! – zawołała żona śmieciarza płacząc. Oskarek znowu zakwilił. Izka Weiss zaczęła kołysać wózkiem nieco histerycznie, aż synek się uspokoił. – Żebyście wy wiedziały...

Ewelina Zaręba zauważyła, że stara Drewniakowa przygląda im się przez kuchenne okno. Przekupka wietrzyła już pewnie kolejną plotkę.

– Chodźmy stąd – zaproponowała cicho fryzjerka. Sama uwielbiała plotkować, więc rozumiała zainteresowanie starszej pani. Wołała jednak, żeby Izka mogła mówić otwarcie.

Trzy przyjaciółki odeszły kawałek drogą prowadzącą do Szramowa. Wózki podskakiwały lekko na wyłożonej wielkimi płytami nierównej drodze do sąsiedniej wsi.

– Co się dzieje, Izka? – ponowiła pytanie Jagna Sołtysik.

– To jest niesprawiedliwe – wykrztusiła znowu żona śmieciarza. Fryzjerce wydawało się, że zauważyła lzy w oczach przyjaciółki. Szybko sięgnęła do torebki i wyciągnęła nowy pakiecik chusteczek. Była mamą dwóch dziewczynek. Zawsze musiała być przygotowana. – Ewelina, jak to jest, że ty i Marek tak dobrze się dogadujecie? Przecież Andżelika też była wpadką. Tak jak mój Oskarek!

Ewelina Zaręba odwróciła wzrok. Wyglądało na to, że tylko ona z nich trzech dobrze trafiła, jeżeli chodzi o towarzysza życia. Wiedziała, że Marek raz ją zdradził, ale to było dawno. Teraz nie mogła narzekać. Młody policjant był wspaniałym ojcem i czułym mężem. Co było wcześniej, to było. Nie chciała do tego wracać.

– Filip jest absolutnie do niczego – stwierdziła krótko Izka Weiss. W ostatnich miesiącach często powtarzała te słowa.

– W ogóle do siebie nie pasujemy. Ten ślub to była zupełna pomyłka! Po co mi to było?!

Filip Weiss i Izka spotykali się jeszcze w czasach szkolnych. Potem zerwali i każde zajęło się swoim życiem. Filip wyjechał pracować za granicą. Kiedy wrócił, jakoś tak wyszło, że Izka spotkała się z nim kilka razy. Ewelina Zaręba pamiętała, że nie była z tego powodu zbyt zadowolona. Przyjaciółka dopiero co zerwała z poprzednim chłopakiem i szukała chyba zapomnienia w ramionach ekspartnera.

Jednak wszystko ma swoje konsekwencje i po miesiącu okazało się, że Izka jest w ciąży. Filip Weiss natychmiast się oświadczył. Fryzjerka podejrzewała, że zrobił to tylko z obowiązku, ale Izka chwyciła się myśli, że Oskarek to dziecko miłości, i rzuciła się w wir przygotowań do ślubu. Jagna Sołtysik była druhną, a Ewelina wszystko organizowała. Przecież we trzy były nierozłączne. Uczesała Izkę najpiękniej, jak umiała.

Niestety jeszcze przed porodem okazało się, że Filip nie jest księciem z bajki, tylko mężczyzną z krwi i kości. Zwyczajnym. Z wadami i zaletami. Izka nie mogła się chyba z tym pogodzić i zaraz po urodzeniu synka wyprowadziła się od męża do rodziców.

– Co on ci teraz przeszkadza? Nie mieszkacie już razem, to ci nie powinien wadzić – przekonywała Jagna, poprawiając kolorową wełnianą czapkę. – Pomyśl, co ja mam! Mój Patryk codziennie przesiaduje z tymi menelami pod sklepem Wiery. Mam już tego dość. To ja muszę się ciągle wszystkim zajmować. Patryk nawet palcem nie kiwnie. Miał naprawić zagrodę dla kóz w stodole, a w końcu sama to zrobiłam... wyobrażacie mnie sobie z młotkiem i gwoździami? Mało sobie palca nie przybiłam do deski, ale jakoś dałam radę. A ten leń nic! Woli pić! Wiadomo. Tak jest łatwiej.

– Filip chce mi zabrać Oskarka – przerwała koleżance Izka. Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz.

– Co?! – krzyknęły jednocześnie Ewelina i Jagna.

Izka pokiwała głową.

– To, co słyście.

- Ale dlaczego? – chciała wiedzieć Ewelina.
- Poprosiłam go o rozwód – poinformowała żona śmieciarza.
- Wiecie, co on mi na to odpowiedział?
Żadna z przyjaciółek się nie odezwała.
- Otóż Filip powiedział, że nigdy nie da mi rozwodu
- wyznała Izka Weiss płacząco. – A jeżeli do rozwodu kiedykolwiek by doszło, to on zabierze Oskarka. Nie mam nawet co o tym myśleć, jeżeli nie chcę stracić synka. Nie chcę być do końca życia w związku z tym ograniczonym palantem.
- Dlaczego Filip to robi? – zapytała cicho Ewelina Zaręba.
- Popatrzyła na śpiącą w wózku małą Zuzię. Gdyby ktoś próbował odebrać jej którąkolwiek z córek, gotowa byłaby walczyć do ostatniej kropli krwi. Doskonale rozumiała poruszenie Izki.
- Filip twierdzi, że kocha i mnie, i naszego synka. Głędzi coś o tym, że rodzina musi trzymać się razem – powiedziała Izka Weiss, naśladując głos męża. – Twierdzi, że mamy tylko przejściowe kłopoty. Przejściowe kłopoty? Bzdury. Dziewczyny, ja długo już tego nie wytrzymam. Mam nadzieję, że ci Szwedzi go wykończą. Naprawdę. Nie wiem, dlaczego oni po niego przyjechali, ale mam nadzieję, że nie dadzą mu żyć.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski usiadł przy stole w domu matki. W powietrzu unosił się intensywny zapach kapusty z grzybami. Maria lepila świąteczne pierogi z wyrazem błogości na pulchnej twarzy. Gotowanie zawsze ją uspokajało. Kiedyś, kiedy ojciec Daniela jeszcze żył, ich wigilijne przygotowania zawsze tak wyglądały: Maria w kuchni z rękami całymi w mące, a Daniel z ojcem zaplątani w łańcuchy i sznury światełek na choinkę. To wszystko skończyło się piętnaście lat temu, kiedy Tytus Weiss podpalił dom państwa Dworakowskich.

Tytus Weiss.

Podgórski poczuł, że jego ciało przeszywa głęboka nienawiść do tego człowieka. Tytus Weiss. Teraz morderca miał wyjść na wolność. I to przed odbyciem pełnej kary. Policjant nie mógł przestać o tym myśleć. Uważał się za spokojnego człowieka,

którego trudno było wyprowadzić z równowagi, śmierci ojca nie mógł jednak Tytusowi wybaczyć w żaden sposób.

– Wkładamy je do wody – zawyrokowała Maria Podgórska, wskazując gotowe pierogi. – Pomóż mi, synku.

Daniel posłusznie zaczął wrzucać pierogi do garnka. Maria nastawiła minutnik.

– No, teraz sobie chwilkę poczekamy – powiedziała starsza pani. – Tyle nalepiłam tych pierogów, że na pewno wystarczy dla wszystkich.

Myśli Daniela uciekły niespodziewanie w stronę Emilii Strzałkowskiej. Nie rozumiał, dlaczego policjantka poprosiła o przydział do Lipowa. To, że ona i Podgórski byli kiedyś w przelotnym związku, a teraz razem pracowali, musiało być nie do końca komfortowe także i dla niej. Przez cały dzień, kiedy Daniel wprowadzał Emilię w działanie lipowskiego komisariatu, zgodnie unikali tematu swoich relacji z czasów szkoły policyjnej. Całe szczęście. Daniel miał jednak wrażenie, że Strzałkowska nie była z nim do końca szczerą.

– Miła ta Emilia – stwierdziła Maria Podgórska, jakby czytała synowi w myślach. – Cieszę się, że wreszcie mamy na posterunku jakąś kobietę. Za dużo mężczyzn w jednym miejscu nigdy dobrze nie robi. Mam nadzieję, że będzie godną następczynią Zosi Dworakowskiej.

Daniel pokiwał głową i mruknął jakieś niewyraźne potwierdzenie. Nie chciał rozpoczynać tego tematu. Woda bulgotała głośno. W kuchni zrobiło się zdecydowanie za ciepło.

– Danielku, a Weronika jak? Dojechała do Warszawy bezpiecznie? Rozmawialiście już dzisiaj?

– Tak, mam – przyznał Podgórski.

Rzeczywiście, rozmawiał z Nowakowską pod wieczór. Krótko i węzłowato. Ale nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. W każdym razie pierwszy dzień rozłąki nareszcie już minął.

Grażyna Kamińska położyła najmłodsze dzieci spać. Starsze umiały się już sobą zająć same. Łącznie ona i Paweł mieli piątkę pociech. Pociecha. Grażyna nie lubiła tego słowa. Miała

wyrzuty sumienia, ale prawda była taka, że przez większą część dnia żona policjanta marzyła o całkowitej ciszy. Cisza w ich domu była rzadkością. Prawda była taka, że dzieci nie były dla niej pociechą, chociaż bardzo chciała uwierzyć, że tak jest.

– Kurwa, Grażka! Mogę wiedzieć, gdzie ta kolacja? Ja pierdołę. Człowiek haruje jak wół i wieczorem nawet porządnej kolacji dostać nie może! – krzyknął Paweł z ich zagraconego salonu. – Chyba nie oczekuję zbyt wiele, prawda?

Grażyna wzdrygnęła się. Głos męża zawsze doprowadzał ją do takiego stanu. Nic nie mogła na to poradzić. Paweł był wściekły, od kiedy tylko wrócił z pracy. Mąż ciągle się złościł, ale teraz to było coś innego, uznała Grażyna. Kamiński wyciągnął stare albumy ze zdjęciami rodzinnymi i długo wpatrywał się w fotografię swego ojca. Jan Kamiński również był policjantem w Lipowie. Grażyna nie знаła teścia zbyt dobrze. Zaczęła się spotykać z Pawłem już po jego bohaterskiej śmierci.

Nietrudno było zgadnąć, że całe to rozdrażnienie spowodowane było powrotem Tytusa Weissa. Grażyna słyszała o tym, kiedy robiła dziś rano zakupy. Kobiety mówiły ściszonymi głosami. Zwłaszcza kiedy pojawiła się ona. Kamińska przemknęła obok plotkar, udając, że nie wie, o czym mówią. Miała wrażenie, że kobiety wytykają ją palcami.

– Kurwa, będzie ta kolacja czy nie?! – krzyknął znowu Paweł.

– Już robię – odpowiedziała Grażyna najpotulniej, jak umiała.

Nadal miała ten odruch. Od zimowych wydarzeń rok temu Paweł praktycznie już jej nie bił. Strach jednak pozostał. Zaczęła podgrzewać wczorajszą zupę, kiedy ktoś zastukał cicho w kuchenne okno. Grażyna uchyliła je natychmiast. Na podwórku stała sąsiadka, Irena Gierot. Wychudzona kobieta drżała lekko w domowym ubraniu.

– Wymknęłam się tylko na chwilę – szepnęła Gierotowa wyjaśniająco. – Mąż wrócił już spod sklepu. Mam tylko moment...

Słowa zawisły w powietrzu. Grażyna dobrze wiedziała, co teraz nastąpi. Nie przelewało im się. Paweł pracował jako

policjant, a ona zajmowała się dziećmi. Wiedziała jednak, że w domu sąsiadów jest jeszcze gorzej. Gierot, miejscowy pijaczyna, praktycznie nigdy nie miał pracy, a to, co zarobił lub dostał, przepijał szybciej, niż ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić. Sąsiadka utrzymywała siebie i dwójkę synów ze sprzątania w ośrodku wczasowym Słoneczna Dolina, ale pracę miała tylko podczas sezonu turystycznego. Przez resztę roku polegała na pomocy wszystkich, którzy skłonni byli ją wesprzeć.

– Grażyna, strasznie cię przepraszam... – zaczęła sąsiadka, patrząc w ziemię.

Kamińska bez słowa sięgnęła po starą puszkę po ciastkach. Chowała tam czasem pieniądze, które zostały jej z zakupów. Paweł wcale nie musiał o tym wiedzieć. W milczeniu wcisnęła sąsiadce pomięty banknot i kilka monet.

– Oddam, przyrzekam – obiecała Irena Gierot, nadal nie patrząc Kamińskiej w oczy.

ROZDZIAŁ 3

Lipowo.

Piątek, 30 października 1998

Aspirantka Zofia Dworakowska szła przez jesienne Lipowo w towarzystwie swojego kolegi z komisariatu starszego aspiranta Romana Podgórskiego. Patrolowali wieś powoli i metodycznie. Nie chcieli więcej kłopotów. Wystarczyło im już tego, co działo się w ostatnich miesiącach.

Zofia szczególnie wypatrywała Tytusa Weissa. Syn bibliotekarki ciągle powodował jakieś mniejsze lub większe problemy. Dworakowska nie miała wyjścia i już raz go aresztowała. Chłopak spędził w areszcie tymczasowym dwadzieścia cztery ostrzegawcze godziny. Nie spowodowało to wcale oczekiwanej poprawy w jego zachowaniu. Wręcz przeciwnie. Teraz wyglądało na to, że Tytus zawziął się na nią.

– Mam już serdecznie dosyć wybryków tego Weissa – odezwała się Zofia Dworakowska do Romana Podgórskiego. – Chciałabym jakoś wlać mu trochę oleju do tej jego młodocianej głowy. Chętnie bym nim potrząsnęła!

Starszy aspirant Roman Podgórski sięgnął po broń i cicho gwizdnął pod sumiastym wąsem.

– Możemy użyć tego – zażartował, wskazując na pistolet.

Dworakowska westchnęła głośno. Podgórski bywał w gorącej wodzie kąpany. Nigdy nie wiadomo, co mu przyjdzie do głowy. Gotów jeszcze naprawdę postrzelić Tytusa. Chociaż może chuliganowi właśnie tego było trzeba.

Zofia natychmiast skarciła się w duchu. Może niepotrzebnie w ogóle zaczynała temat Weissa. Była doświadczoną policjantką i umiała sobie przecież poradzić z takim gówniarzem sama. Bez pomocy kolegi. Słowo się już jednak rzekło i postanowiła kontynuować temat. Trzeba było w końcu

o czymś porozmawiać.

– Dzisiaj Tytus oblał nam płot białą farbą. A ja i Seweryn dopiero co go odmalowaliśmy. We wrześniu! Nawet nasz Albinek nam pomagał. Sam widziałeś, jak teraz ten nasz płot wygląda – powiedziała policjantka wzburzona. – Wszystko trzeba będzie zrobić od nowa. Romek, wiesz, ile to roboty?!

Roman Podgórski przytaknął. Schował służbowy pistolet do kabury.

– Wiem. Sam malowałem płot w sierpniu. Maria nie dawała mi już spokoju, a wiesz, jaka moja żona potrafi być – przypomniał policjant ze śmiechem. – Jeżeli chodzi o wasz płot... Sama wiesz, jak jest. Nie było świadków, więc nie możemy nic z tym zrobić. Przynajmniej na razie Tytusowi się upieczę.

Aspirantka Zofia Dworakowska wzruszyła ramionami zdenerwowana. Miała ochotę porozmawiać sobie sam na sam z Tytusem Weissem i porządnie przetrzepać mu skórę. Chłopak nie był zbyt wysoki. Może to by się nawet udało. Trzeba było wreszcie zrobić z nim porządek. Powstrzymywał ją jedynie policyjny mundur, który z dumą nosiła.

– Zimno dzisiaj, co? – zagadnął Roman Podgórski, zmieniając temat. – Na Wszystkich Świętych może być nawet śnieg, jak tak dalej pójdzie.

Zofia przytaknęła. Ich oddechy zmieniały się w obłoki pary. Powietrze robiło się coraz mroźniejsze. Prognozy pogody wspominały o opadach śniegu i śniegu z deszczem. Policjantka zapięła szczelniej kurtkę. Było zimno, ale w końcu to już prawie listopad. Nic dziwnego.

– Spokojnie dziś, prawda? – spróbował znowu Roman Podgórski i wrócił do rytmicznego pogwizdywania.

Zofia Dworakowska uważała, że te jego koncerty były dość irytujące, ale postanowiła koledze nie przerywać. Tego dnia wieś rzeczywiście zdawała się wyjątkowo spokojna. Wiele osób podążało już w kierunku cmentarza robić porządki na grobach bliskich. Policjantka lubiła ten magiczny czas zadumy. Mimo chłodów.

Dotarli pod ceglany kościół, który był dumą Lipowa. Obecną

świątynię zbudowano w dziewiętnastym wieku, ale parafia istniała tu już w średniowieczu. Za bramą cmentarza, w ciemności jesiennego wieczoru, błyszczą światła zniczy. Zofia pomyślała, że wygląda to niezwykle romantycznie. Może to nie było najszcześniejsze porównanie, ale takie właśnie policjantka odnosiła wrażenie. Całe życie była bardzo uczuciowa.

– Ten ogień na grobach przypomina mi o tym pożarze w Göteborgu – zagadnął znowu Roman Podgórski, przerywając zarówno rozważania koleżanki, jak i swój popis gwizdania.
– Makabryczne wydarzenie, prawda?

Dworakowska spojrzała na kolegę zaskoczona.

– Nie wiem, o czym mówisz, Romek – przyznała.

– Nic nie słyszałaś? – zdziwił się Roman Podgórski. – Całe rano mówili o tym w radiu. Ktoś podpalił dyskotekę w Göteborgu. To jest w Szwecji. Chyba na zachodzie, z tego, co pamiętam, ale pewien nie jestem.

Zofia Dworakowska próbowała wyobrazić sobie mapę Szwecji, ale nie potrafiła jakoś przypomnieć sobie, gdzie konkretnie leży to miasto.

– W każdym razie – kontynuował Podgórski – wczoraj zginęły tam sześćdziesiąt trzy osoby. Co gorsza, jeszcze dwieście trzynaście zostało rannych. Wyobrażasz sobie taką tragedię? Wyobrażasz to sobie, Zośka? I to wszyscy w wieku od dwunastu do dwudziestu pięciu lat! Nie do pomyślenia. To mógłby być mój syn. Albo twój.

Myśli aspirantki Zofii Dworakowskiej popłynęły od razu do syna. Albin. Jej synek miał już dwadzieścia jeden lat, ale ciągle był taki bezbronny. Lekarze nie potrafili wyjaśnić powodu jego niepełnosprawności. Zofia przeplakała wiele nocy, ale w końcu pogodziła się z tym, że syn nie będzie wiódł takiego życia, jakie dla niego zaplanowała. Mimo ułomności tak bardzo go kochała. Gdyby tylko mogła, bez najmniejszego wahania oddałaby swój umysł synowi, żeby to on mógł wieść normalne życie.

– To mógł być mój albo twój syn – powtórzył starszy aspirant Roman Podgórski. Jego wielkie, sumiaste wąsy ruszały się

rytmicznie z każdym słowem. – Pomyśl tylko, Zośka!

W pewien sposób Zofia Dworakowska była wdzięczna koledze za te słowa. To mógł być mój albo twój syn, powiedział policjant. To oznaczało, że Roman stawiał swojego Daniela na równi z jej Albinem. Zupełnie jakby Albin był całkiem normalnym chłopcem i mógł chodzić na dyskoteki. Zofia westchnęła cicho.

– Zobacz, idzie Urszula Weiss – rzucił Podgórski. – To może jest dobra okazja, żeby z nią porozmawiać o Tytusie. Ten chłopak naprawdę zaczyna powodować zbyt dużo problemów. Ja też już powoli zaczynam tracić cierpliwość. Brak mu silnej ręki. Gdyby nie był bękartem, może byłoby inaczej.

Zofia Dworakowska odwróciła się i zobaczyła Urszulę Weiss. Bibliotekarka szła na cmentarz z plastikową reklamówką wypełnioną zniczami. Skinęły sobie grzecznie głowami.

– Pani Urszulo – zagadnęła Zofia, zanim elegancka kobieta zdążyła się oddalić. – Proszę chwilę poczekać.

Policjantka miała nadzieję, że może kolega miał tym razem rację i rozmowa z matką Tytusa przyniesie jakąś odmianę w zachowaniu młodego chuligana.

– Dobry wieczór – odparła grzecznie Urszula Weiss.

– Musimy z panią poważnie porozmawiać na temat pani syna – włączył się Roman Podgórski, nie dopuszczając Zofii do głosu. Jego ręka znowu powędrowała na kaburę służbowej broni. – Jak tak dalej pójdzie, Tytus zapewne nie skończy najlepiej.

Bibliotekarka spojrzała na dwójkę policjantów gniewnie.

– Tytus jest młody – stwierdziła, zachowując spokój. – Musi się wyszaleć. Pan nie był lepszy, panie Podgórski. Doskonale pamiętam.

Zofia Dworakowska zerknęła z rozbawieniem na koleżkę. Urszula Weiss miała trochę racji. Roman Podgórski wcale nie należał do niewiniątek ani jako młodzik, ani teraz. To nie był jednak czas na wspominki. Kolega stanął po jej stronie i Zofia musiała to docenić.

– Nie boi się pani, że Tytus daje zły przykład pani młodszemu synowi? – zaatakowała Dworakowska. – Chyba pani nie chce,

żeby Filip też został chuliganem, prawda?

Policjantka chciała odwołać się do matczynych uczuć Urszuli Weiss. Chciała porozmawiać jak kobieta z kobietą. Być może to odniesie jakiś skutek.

Bibliotekarka znowu spojrzała na nich gniewnie.

– Niech państwo lepiej zajmą się swoimi dziećmi – poradziła.
– Albin raczej inteligencją nie grzeszy, a Daniel chodzi po wsi z włosami dłuższymi niż niejedna dziewczyna. Myślę, że państwo mają więcej zmartwień niż ja z moimi synami. Tytus może i rozrabia czasami, ale przynajmniej jest normalny.

Albin raczej inteligencją nie grzeszy. Zofia Dworakowska zdusiła w sobie gniew. Nienawidziła, kiedy ktoś mówił w ten sposób o jej synu. Roman Podgórski też wyglądał, jakby bibliotekarka trafiła w jego czuły punkt. Jedyne dziecko policjanta, Daniel, rzeczywiście przeżywał teraz okres fascynacji muzyką, jakiej Zofia nawet nie próbowała słuchać, i nosił bardzo długie włosy.

– Pani starszy syn, Tytus Weiss – powiedziała policjantka, przybierając ostry służbowy ton – oblał dzisiaj mój płot białą farbą. Chyba nie muszę tłumaczyć, że to jest akt wandalizmu. I jako taki powinien zostać ukarany.

Bibliotekarka Urszula Weiss poprawiła szalik godnym ruchem.

– Proszę go sobie oskarżać. Jestem pewna, że mój syn jest niewinny – stwierdziła. – Ma pani jakichś świadków tego zdarzenia?

– Tytus już wcześniej niszczył moje mienie – oznajmiła Zofia Dworakowska zamiast odpowiedzi.

Bibliotekarka uśmiechnęła się złośliwie.

– Trzeba go było nie aresztować w te wakacje – powiedziała.
– Już mówiłam, że chłopak musi się wyszaleć. Mój Tytus nie jest w tym inny od pozostałych młodych ludzi.

Starszy aspirant Roman Podgórski odchrząknął głośno, jakby chciał skierować na siebie uwagę obu kobiet.

– Pani Urszulo – zwrócił się policjant do bibliotekarki.
– Bardzo proszę porozmawiać z synem poważnie. Teraz Tytus jest już pełnoletni i może trafić do więzienia. Tego przecież

byśmy nie chcieli, prawda?

Pytanie zawisło w chłodnym powietrzu listopadowego wieczoru.

– Grozi mi pan? – zapytała bibliotekarka cicho.

ROZDZIAŁ 4

Lipowo i Stare Świątki.
Sobota, 21 grudnia 2013. Przed południem

Filip Weiss jechał przez ciemną jeszcze wieś swoją wysłużoną śmieciarką. Słońce dopiero się budziło. Widać już było jednak, że dzień zapowiada się bardzo pogodny. Śmieciarz lubił zaczynać pracę o poranku. O tej porze jedni jeszcze spali, inni zajmowali się swoimi sprawami. O poranku nikt Filipowi nie przeszkadzał. Przynajmniej tak było aż do teraz.

Od kilku dni było niestety inaczej. Olbrzymi Albin Dworakowski ubzdurał sobie, że będzie pomagał Weissowi przy wywozie śmieci. Filipowi szkoda było tego wielkiego mężczyzny o umyśle kilkuletniego dziecka. Nie tylko ze względu na jego niepełnosprawność. Również, a może lepiej powiedzieć głównie, ze względu na to, co rodzinie Albina zrobił Tytus.

Mimo wczesnej pory Albin Dworakowski stawał na rozstaju dróg, całkiem niedaleko swojego nieotynkowanego domu zwanego szumnie „Wrzosa”. Olbrzym czekał cierpliwie, aż Filip Weiss podjedzie i pozwoli mu wsiąść do starej śmieciarki. Ten rytuał powtarzali dzień w dzień.

Trzeba było przyznać, że siła chłopca w ciele mężczyzny często się Filipowi przydawała. Albin, mimo niezdarności ruchów, bez trudu przesunął wielkie kontenery ze śmieciami i cieszył się, kiedy Filip dawał mu za to cukierka. Śmieciarz nie miał poczucia, że w jakiś sposób wykorzystuje olbrzymiego chłopca w ciele mężczyzny. Albin miał już przecież trzydzieści sześć lat i tym samym był starszy od Filipa. Musiał nauczyć się jakoś żyć. Jaśmina Ciosek-Dworakowska i profesor Seweryn Dworakowski nie będą się nim wiecznie opiekować. W pewnym sensie Filip czuł się odpowiedzialny za chłopca.

Dziś jak zwykle Albin stał na rozstaju dróg i patrzył

wyczekująco w kierunku śmieciarki. Filip zatrzymał się na poboczu i otworzył drzwi od strony pasażera. Torebkę czekoladowych cukierków miał już przygotowaną od wczoraj.

– To co? – zagadnął chłopca w ciele mężczyzny. – Jedziemy?

Albin pokiwał energicznie głową. Filip Weiss wrzucił bieg i już miał wcisnąć pedał gazu, kiedy nagle zza zakrętu wyjechał samochód.

– Tata – stwierdził Albin wesoło, uderzając wielką pięścią w szybę.

Filip poczuł lekki ucisk w dołku. Z tego, co wiedział, profesora nie było w Lipowie od kilku dni. Sądził, że właściciel „Wrzosów” pojechał prowadzić wykłady do Warszawy.

Weiss zdjął nogę z pedału gazu. Nie był pewien, co ma właściwie teraz zrobić. Jaśmina wiedziała zapewne, że Albin pomaga Filipowi. Wyglądało nawet na to, że dała na tę współpracę ciche przyzwolenie. Z profesorem Sewerynem Dworakowskim mogło być jednak zupełnie inaczej. Filip Weiss głośno przełknął ślinę. Profesor mógł wszystko opacznie zrozumieć. Filip był przecież bratem Tytusa, zabójcy jego żony.

Profesor Dworakowski zatrzymał swojego granatowego saaba 900 obok starej śmieciarki. Wysiadł z samochodu z lekkim trudem. W szarym świetle budzącego się dopiero dnia jego mlecznobiałe włosy wyglądały nieco upiornie.

– Dzień dobry panu – powiedział Filip Weiss sztywno, uchylając okno kierowcy.

– Albin, chodź do taty natychmiast – rozkazał profesor Dworakowski, ignorując uprzejme słowa śmieciarza.

Otyły olbrzym otworzył drzwi śmieciarki i ruszył pospiesznie w kierunku ojca.

– Wsiądź do samochodu, synu – dodał profesor.

– Porozmawiamy potem.

Filip Weiss wrzucił bieg i zaczął zamykać okno. Korbka ciężko podnosiła szybę do góry. Chciał jak najszybciej stąd odjechać, zanim dojdzie do bezcelowych dyskusji. Mina profesora Dworakowskiego sugerowała, że Filip nie może raczej spodziewać się pochwały za przysposobienie Albina do pracy.

– Co pan sobie wyobraża, panie Weiss? – zapytał profesor bardzo cicho. – Jeżeli mogę zapytać.

Mimo szeptu głos siwowłosego mężczyzny brzmiał niemal donośnie, jak u osoby przyzwyczajonej do ciągłego przemawiania do dużych grup ludzi. Filip Weiss zrezygnowany wcisnął hamulec. Stara ciężarówka zaprotestowała, ale śmieciarz nie chciał odjechać bez słowa. To byłaby ucieczka, a nie czuł się w żaden sposób winny. Nie miał przecież złych intencji wobec Albina.

– Pana syn i ja lubimy razem pracować – wyjaśnił defensywnie. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że taka właśnie jest prawda. Z Albinem pracowało się o wiele przyjemniej niż samemu. – Ot co.

Profesor Dworakowski podszedł do ciężarówki z niespodziewaną jak na siedemdziesięcioletniego mężczyznę szybkością.

– Co pan sobie wyobraża, panie Weiss? – powtórzył Dworakowski równie cicho jak przedtem. – Z całym szacunkiem.

Filip poczuł, że traci resztki odwagi.

– Dawałem mu cukierki – powiedział głucho, jakby to bezsensowne stwierdzenie miało wszystko wyjaśnić. – Albin nie pracował za darmo. Chciałem mu pomóc.

Profesor Seweryn Dworakowski zaśmiał się krótko. Było w tym śmiechu coś dziwnego. Ten krótki urywany śmiech był bardziej przerażający niż jakiegokolwiek groźby. Filip Weiss zadrżał za kierownicą śmieciarki.

– Nie chcę pana widzieć w pobliżu mojego syna, panie Weiss – poinformował cicho profesor Dworakowski. – Czy dobrze się zrozumieliśmy?

– Jak najbardziej – zapewnił Filip pospiesznie.

Miał już tego dosyć. Wszystko, co ostatnio robił, nawet z dobrymi intencjami, obracało się przeciwko niemu. Najpierw Izka i jego kilkumiesięczny synek Oskarek, teraz Albin i profesor Dworakowski. Nie można było również zapomnieć o Carin Nilsson i jej bracie. Wszystko układało się nie tak, jak powinno.

Profesor wpatrywał się w Filipa intensywnie.

– Chyba już pojedę – rzucił Weiss. – Mam śmieci do wywiezienia. Samo się nie robi.

Profesor Seweryn Dworakowski spojrział na niego raz jeszcze. Filip zadrżał, jakby nagle zrobiło się o wiele zimniej.

Starszy sierżant Marek Zaręba pchał przed sobą wózek ze swoją maleńką córeczką Zuzią. Dziewczynka ciągle się do niego uśmiechała. Radość tej delikatnej istotki wynagradzała mu fakt, że przez najbliższe dwa tygodnie nie będzie pracował. Marek bardzo lubił być policjantem, cokolwiek by inni mówili. Czuł, że się w tym zawodzie spełnia. To była praca jego marzeń od wczesnego dzieciństwa.

Zaręba odprowadził Ewelinę do salonu fryzjerskiego. Miała zacząć dzień od ostrzyżenia Grażyny Kamińskiej. Żona kolegi z komisariatu korzystała z okazji, że Paweł miał dziś wolne i pojechał do Brodnicy. Marek nie był pewien, co właściwie ma myśleć o małżeństwie Kamińskiego. Na wszelki wypadek wołał za bardzo się nie wtrącać. Ewelina też wiele na ten temat nie mówiła, chociaż zapewne znała więcej szczegółów.

– To co, biegniemy? – zapytał córeczkę młody policjant.

W ostatnim tygodniu, w oczekiwaniu na urlop ojcowski, Marek Zaręba kupił specjalny wózek do uprawiania joggingu. Sobotni ranek wydawał się idealny, żeby go wypróbować. Przerwa w treningach nie wchodziła przecież w grę. Na początku marca młody policjant miał zamiar pobic w dwumaratonie w Bydgoszczy.

Zaręba zrobił kilka niepewnych kroków powolnym truchtem, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Zuzia znowu się uśmiechnęła z głębi wózka. Chyba lubiła prędkość. Marek przyspieszył.

Naukowiec Jerzy Grała spakował torbę z narzędziami. Po krótkim namyśle dorzucił jeszcze nieco staroświecki, oprawiony w skórę notes. Lubiał najpierw zapisywać wszystko

ręcznie, a dopiero potem przenosić notatki do komputera. Papierowy notes miał również tę przewagę, że Jerzy mógł z łatwością w nim szkicować. Na szyi zawiesił jeszcze aparat fotograficzny. Zamierzał wszystkie swoje poczynania dokładnie dokumentować. Aparat był dość dobrej jakości, więc zdjęcia powinny wyjść porządne nawet przy dość słabym świetle. Jeśli zbierze odpowiednio dużo materiału, rozprawa naukowa może nawet zmienić się w całą książkę?

Jerzy Grala zszedł po drewnianych schodach na parter. Schody, tak jak i całe „Wrzoso”, zdawały się niewykończone. Nie było balustrady, a przy suficie wisiała goła żarówka. Wyglądało na to, że właściciel domu nie ma czasu albo funduszy na dokończenie remontu.

– Dzień dobry, doktorze Grala.

Wiecznie uśmiechnięta Jaśmina Ciosek-Dworakowska wyszła z kuchni. Jerzy uklonił się uprzejmie. Wiedział, że jest przy tym nieco staroświecki, ale tak został wychowany.

– Ma pan ochotę na śniadanie? – zapytała młoda gospodyni.

Naukowiec największą ochotę miał na rozpoczęcie pracy w Cichym Lasku. Nie chciał już żadnych opóźnień. I tak miał już wrażenie, że czas przecieka mu przez palce. Musiał przecież jeszcze znaleźć jakiegoś miejscowego pomocnika. Przynajmniej do wstępnych oględzin całej osady. Poza tym emocje przed rozpoczęciem pracy sprawiały, że Jerzy Grala nie odczuwał głodu. To nie było właściwie nic nadzwyczajnego. Bywało, że kiedy badał szczególnie interesujące lub ważne miejsce, chudł kilka kilogramów. Kiedy dziesięć lat temu pracował nad sektą zwaną Słowo Prawdy, schudł całe osiem kilo.

– Dziękuję bardzo, ale nie – odparł uprzejmie.

– Mimo wszystko zapakuję panu kanapki – zaproponowała Jaśmina niezrażona. – Proszę chwileczkę poczekać, to zajmie mi dosłownie minutkę. Nie chcę, żeby pan tak wychodził bez jedzenia. Śniadanie to najważniejszy posiłek całego dnia.

Jerzy Grala wszedł za drobniutką młodą kobietą do kuchni.

– Nie wie pani może, czy ktoś z miejscowych nie szuka przypadkiem pracy? – zagadnął, przyglądając się, jak Jaśmina kroi chleb i układa na nim plasterki sera. – Potrzebuję

pomocnika. Mam sporo sprzętu do noszenia. Samochodem nie będę jeździł tam przez pole. Poza tym osada jest całkiem duża i asystent bardzo by mi się przydał.

– Proszę pójść pod sklep Wiery Rosłońskiej – poradziła Jaśmina, zawijając kanapki w folię spożywczą. – Tam zawsze jest kilku bezrobotnych. Lubią sobie popić, ale pewnie znajdzie się ktoś w miarę trzeźwy do pomocy.

Nie zabrzmiało to zbyt zachęcająco, ale Jerzy Grala mimo wszystko postanowił, że zacznie właśnie od sklepu. Miał nadzieję, że nie będzie musiał współpracować z jakimś zapijaczonym flejtuchem. Nie lubił takich ludzi.

– Może Albin mógłby panu pomóc – zaproponowała Jaśmina Ciosek-Dworakowska nagle. – Teraz wyszedł pomagać komuś innemu, ale powinien zaraz być. On zawsze tak się cieszy, kiedy może coś robić z dorosłymi.

Grala aż się wzdrygnął. Wystarczyło mu pomocy chłopca w ciele mężczyzny wczoraj wieczorem. Jerzy nie chciał jednak urazić Jaśminy. Nie był pewien, jak delikatnie dać młodej gospodyni do zrozumienia, że woli trzymać się od jej kuzyna jak najdalej.

– A właśnie. Dziś przyjeżdża mój wuj, Seweryn Dworakowski – poinformowała Jaśmina, wybawiając tym samym naukowca z opresji. – Jeśli pan trochę poczeka, to powinien pan go spotkać. Wuj lubi wyjeżdżać z samego rana. Z reguły rusza z Warszawy nawet przed świtem. On wykłada na Politechnice, na Wydziale Chemii. Nie wiem, czy już wspominałam?

Jerzy pokiwał głową z lekkim rozbawieniem.

– Myślę, że spotkam się z nim, kiedy wrócę z osady. Zależy mi, żeby zacząć pracę jak najszybciej – wyjaśnił. – Muszę napisać moją rozprawę do końca lutego. Liczę na grant badawczy na moją wyprawę do Ameryki Łacińskiej w przyszłym roku. Taka podróż sporo kosztuje. Sama pani rozumie, że gonią mnie terminy.

– Ależ oczywiście. Nie ma problemu – powiedziała młoda gospodyni ze swoim zwyczajowym uśmiechem. Na jej policzkach pojawiły się urocze dołeczki. Wręczyła Grali plastikową torebkę z kanapkami zapakowanymi w folię. – Tak

jak mówiłam: niech pan idzie pod sklep Wiery Rosłońskiej. To po drodze do Cichego Lasku. Chyba już pan widział ten sklep?

Jerzy Grała przypomniał sobie, że wczoraj, idąc do Cichego Lasku, mijął dość duży pawilon z drewnianym zadaszeniem dobudowanym z prawej strony budynku. Zgromadzeni tam pijaczkowie przypatrywali mu się ciekawie.

– Tak. Wiem, gdzie to jest. Dziękuję za pomoc, pani Jaśmino.

Jerzy Grała wyszedł rażno na dwór. Ruszył kamienistym podjazdem do głównej ulicy Lipowa. Wzdłuż drogi pysznił się imponujący lipowy starodrzew. Nietrudno było zgadnąć, skąd wieś wzięła swoją nazwę.

Jerzy szybko dotarł pod sklep, o którym mówiła Jaśmina Ciosek-Dworakowska. Mimo wczesnej pory wyglądał na otwarty. Na podjeździe przed budynkiem stała stara śmieciarka. Pod drewnianym zadaszeniem siedziało zaś dwóch obskurnie ubranych mężczyzn. Grała westchnął przeciągle. Rozmowy z pijaczkami nie należały do przyjemności. Nie miał jednak wyboru, od czegoś musiał zacząć.

– Przepraszam – odezwał się ostrożnie.

Mężczyźni spojrzeli na niego znad butelek taniego alkoholu.

– Nazywam się Jerzy Grała – wyjaśnił naukowiec. – Zajmuję się badaniem osady sekty Świątynia, czyli waszego Cichego Lasku.

– Wiemy, kim pan jesteś – odparł jeden z mężczyzn.

– Jo – poparł go drugi.

Grała odchrząknął.

– Szukam asystenta do pomocy w badaniach. Czy któryś z panów byłby zainteresowany pomaganiem mi? Oczywiście zapłacę. Myślę, że...

– Co niby trzeba by robić? – zapytał pijaczek o przekrwionych oczach.

– Nosić sprzęt, pomagać mi przeszukiwać budynki i dokumentować znaleziska – wyliczył powoli Jerzy.

Z każdym kolejnym słowem Grała był coraz bardziej pewien, że żaden z mężczyzn nie nadaje się na asystenta. Przynajmniej nie dla niego. Wchodzenie w układy z tymi ludźmi to była ostateczność, której wolał uniknąć. Odchrząknął znowu niezbyt

głośno.

– Przepraszam, że się wtrączę – zainteresował się mężczyzna, który właśnie wyszedł ze sklepu. Miał rumianą twarz i uniform śmieciarza. – Przypadkiem usłyszałem, co pan mówił. Potrzebuję teraz trochę dorobić. Chętnie panu pomogę w Cichym Lasku. Nie boję się ani duchów, ani pracy fizycznej. Kiedy chciałby pan zacząć?

Jerzy Grała obrócił się w stronę nowo przybyłego. Śmieciarz wyglądał znacznie bardziej zachęcająco niż dwaj pijacy siedzący pod drewnianym zadaszaniem.

– Jak najszybciej. Najlepiej zaraz.

– Tym lepiej dla mnie – ucieszył się śmieciarz. – Jestem Filip Weiss. Pójdę tylko odwieźć zakupy do domu. Zostawię śmieciarkę u siebie i możemy zaczynać. Im szybciej, tym lepiej. Mam, że tak powiem, nóż na gardle. Niech pan tu na mnie zaczeka. Niedługo będę z powrotem i możemy zaczynać.

Weiss oddalił się spiesznym krokiem.

– Wolisz pan brata mordercy niż porządnych ludzi? – zapytał jeden z pijaczków, zgniatając puszkę taniego piwa. – A to dopiero! My byliśmy pierwsi.

W powietrzu zawisła ciężka woń kiepskiego alkoholu.

– W jakim sensie brata mordercy? – zapytał Grała zdziwiony. – Co pan ma na myśli?

– To, co właśnie powiedziałem – zaśmiał się mężczyzna szorstko.

– Jo – poparł go jego kompan.

Jerzy Grała spojrział w kierunku śmieciarki. Brat mordercy? Rumiana twarz Filipa Weissa nie wydawała się już wcale taka poczciwa jak na początku. Śmieciarz wskoczył do starej ciężarówki i odjechał.

– Jego braciszek podpalił dom Dworakowskich – kontynuował swoją opowieść pijaczek i sięgnął po kolejną puszkę piwa. – To było chyba w dziewięćdziesiątym ósmym. Bodajże. Mam rację, Melek?

– Jo.

– Podpalił „Wrzosa”? – zdziwił się Jerzy Grała. Budynek nie wyglądał na spalony.

– Jakie tam „Wrzosi”! Nic pan nie zrozumiałeś. Piętnaście lat temu „Wrzosów” jeszcze nie było – zachnął się pijaczek.

– Gierot jestem. Siadaj pan z nami, to opowiem po kolei.

Jerzy Grala zerknął z niechęcią na poplamioną drewnianą ławkę i ludzi, którzy na niej przesiadywali.

– Wolę postać – odparł sztywno.

Tamci zarechotali głośno, jakby nie spodziewali się żadnej innej odpowiedzi.

– Tak więc w dziewięćdziesiątym ósmym roku ten brat śmieciarza podpala dom, nie? Oblewa chałupę benzyną i rzuca koktajle Mołotowa, tak to właśnie podobno zrobił – kontynuował swoją opowieść Gierot. – W środku jest żona profesora, niejaka Zośka Dworakowska z naszego tu komisariatu. Ale nie tylko ona tam jest. Jest tam też i jej siostra, czyli matka Jaśminy. Nazywała się Marta Ciosek, ta matka Jaśminy, patrz pan. No więc ta Marta Ciosek przyszła w odwiedziny do Zośki Dworakowskiej, bo ona mieszkała w zupełnie innym domu. Pecha miała i tyle kobiecina. By nie spłonęła, gdyby nie przyszła siostry odwiedzić.

– Jo – odpowiedział drugi pijaczek. – Pecha miała na całego.

Jerzy Grala patrzył w osłupieniu na zapijaczonych mężczyzn. Nie był pewien, czy wszystko dobrze zrozumiał z tej zawilej historii.

– Ten tu to Melek – przedstawił swojego kompana Gierot. – No więc matka Jaśminy to była Marta Ciosek. Już mówiłem! Przyszła do Zośki Dworakowskiej nocować czy co tam. Brat Filipa, Tytus Weiss się nazywa, podłożył ogień.

– Już to mówiłeś – upomniał go Melek.

Gierot wzruszył ramionami.

– Profesor Seweryn Dworakowski był wtedy w domu? – zapytał z niedowierzaniem Jerzy Grala. Nie był pewien, czy obskurni mężczyźni z niego nie drwią i nie wymyślają całej tej historii na poczekaniu.

– Nie no, jasna sprawa, że jego nie było w domu. Przecież on się nie spalił, nie? – zachnął się Gierot. – Profesor Dworakowski pojechał tamtej nocy z Albinem na rehabilitację, czy jak to tam zwal.

– Zwał, jak zwał – dodał Melek, z satysfakcją sącząc jakiś podejrzaną trunek.

– Albin to...

– Spotkałem już Albina – uciął Jerzy Grala.

– No i dom się pali. Ktoś w końcu zawiadomił straż pożarną, ale nasza remiza wtedy nie działała i straż jechała z Brodnicy, uwierzy pan? Wtedy naszą wsią mało kto się przejmował. Takie czasy były. Nieważne, na miejscu pierwsi pojawili się nasi stróże prawa. – Gierot zaśmiał się cicho. Mimo wszystko Grala zauważył, że była w tym śmiechu pewna doza współczucia czy może nawet swoistego podziwu. – Ludzie biegną ze wszystkich stron. Jaśmina krzyczy, że w środku jest jej mama. Policjanci nie wytrzymują i postanawiają wejść w płomienie, żeby uratować kobiety... Panie, to była najlepsza policyjna akcja, o jakiej słyszałem! Co za odwaga!

– Jo – dodał Melek. – To był stary Podgórski i stary Kamiński. Porządne chłopcy. Nie dało się o nich złego słowa powiedzieć.

Jerzemu Grali nic nie mówiły te nazwiska, ale skinął na wszelki wypadek głową. Cały czas wyglądał powrotu śmieciarza. Naukowiec był już niemal pewien, że dwaj pijackowie z niego drwią. Oby ten cały rumiany Filip Weiss nie mieszkał za daleko.

– No i kolejny pech. Akurat kiedy stary Podgórski i stary Kamiński byli w środku, zajął się piec gazowy i duża część domu zwyczajnie wybuchła, o tak. – Gierot zrobił znaczący ruch ręką, imitując wybuch. – Zgon na miejscu, uwierz pan. Ciała rozerwane. Do tego stopnia, uważaj pan, że matki Jaśminy w ogóle nie mogli poskładać. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. To znaczy ani wcześniej, ani już później. Wszędzie jakieś kawałki ciała. Mówię ci pan... takiego widoku się nie zapomina.

– Pieprzysz, Gierot. Zachlałeś wtedy mordę i nic żeśmy nie widzieli – sprzeciwił się po raz pierwszy Melek.

– Ludzie mówili, że tak było, a to prawie jak ja bym widział – powiedział Gierot przeciągle. – No więc, było nie było, Tytus Weiss zabił cztery osoby. Niby sam nie zabił, ale na jedno

wychodzi. Uważaj pan, u nas tak się już o nim myśli. Że to morderca jest. Inaczej się o nim nie mówi. A co najlepsze, on dziś wychodzi z więzienia. Będzie się działo, zapamiętaj pan moje słowa. Będzie się działo.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska czekała na młodszego aspiranta Daniela Podgórskiego pod błękitnym budynkiem komisariatu w Lipowie. Słońce igrało na gałązkach rachitycznego iglaka, który rósł przed wejściem. Sprawiało to dziwnie swojskie wrażenie. Minęły dopiero dwa dni, odkąd Emilia tu mieszkała, ale policjantka zaczynała się już czuć w Lipowie jak w domu. Brzmiało to okropnie banalnie, ale policjantka miała wrażenie, jakby wszystkie elementy układanki nagle wskoczyły na swoje miejsce. I nie chodziło wcale o samego Daniela. Ten etap był zakończony. Przynajmniej dla niej. Starła się jednak nie być samolubna.

Nastoletni syn Strzałkowskiej, Łukasz, stał obok niezdecydowany, co robić dalej. Syn postanowił odprowadzić dziś mamę do pracy. Emilia czuła lekkie wyrzuty sumienia, że nie powiedziała mu wszystkiego. Woląla jednak zobaczyć, jak się sprawy potoczą. Dała sobie tydzień na decyzję.

Łukasz kopnął niewielki kamień, który potoczył się pod nogi nadchodzącego właśnie Daniela Podgórskiego. Szef komisariatu w Lipowie nie zmienił się za bardzo od czasu, kiedy Emilia widziała go ostatni raz. Był może nieco okrąglejszy, ale jego twarz, mimo że dość przeciętna, nadal miała pewien urok.

– Cześć – przywitał się Podgórski ze zwykłą sobie uprzejmością.

Emilia wiedziała doskonale, że Daniel czuje się nieco zażenowany jej nagłym przyjazdem do Lipowa. Trudno było mu się dziwić. Na jego miejscu też byłaby zdziwiona, że ekskochanka dąży do ponownego kontaktu. Takie sytuacje nigdy nie były komfortowe.

– Cześć – odparła beztrzesko, porzucając swoje rozważania.
– To mój syn Łukasz. Rzadko która matka może liczyć

na odprowadzanie do pracy przez takiego przystojniaka, nie uważasz?

Łukasz zrobił zabawny grymas. Chłopak miał trzynaście lat i choć nadal łąsy na matczyne pieścizoty, publicznie wołał się do tego nie przyznawać.

– Jak ci się u nas podoba, Łukasz? – zapytał Daniel Podgórski wesoło.

– Nie jest źle – odparł syn Strzałkowskiej tonem znudzonego nastolatka. – Ujdzie w tłoku, ale wołę Warszawę. Tam mam kolegów i szkołę. No i jest babcia.

Emilia Strzałkowska uśmiechnęła się w duchu.

– Dobra, zmykaj, mały. I zachowuj się – upomniała syna policjantka, chociaż dobrze wiedziała, że Łukasz nigdy nie sprawia problemów. – Widzimy się wieczorem.

Chłopak był bardzo dojrzały jak na swój wiek. Od dawna musiał radzić sobie praktycznie sam, kiedy matka całe dni spędzała w pracy. Utrzymanie rodziny, nawet tak małej jak ich, przy jednej policyjnej pensji nie było łatwe.

– Gotowa na pierwszy dzień pracy? – zagadnął Podgórski, kiedy Łukasz zniknął za rogiem.

– Jasne. Ale, Daniel...

Policjant poprawił czapkę nieco nerwowym ruchem. Chyba obawiał się, że Strzałkowska opowie mu jakąś łązawą historię z przeszłości i będzie go przekonywać o nagłym powrocie dawnych uczuć.

– Tak? – zapytał powoli.

– Zaczniemy od nowa, jakbyśmy się nie znali – zaproponowała Emilia. Uznała, że to dobra strategia na początek. – Co o tym myślisz? Zapominamy o tym, co było, i idziemy dalej. Dla nas obojga tak chyba będzie łatwiej.

Na te słowa Daniel Podgórski wyraźnie się rozluźnił.

– Jasne. Nie ma problemu. Przejdźmy w takim razie do rzeczy. Tak jak mówiłem ci wczoraj, chciałbym porozmawiać ze Szwedami, którzy sprawiają kłopoty naszemu śmieciarzowi Filipowi Weissowi. Mieszkają w domu, który nazywa się „Wrzosa” – poinformował rzeczowo szef komisariatu w Lipowie. – Teraz ich tam nie ma. Sprawdziłem,

kiedy tu szedłem. Podejrzewam, że kręcą się po wsi. Najlepiej zaczniemy pod domem Weissa. Odkąd ci Szwedzi do nas przyjechali, często tam stoją. Niestety.

Emilia ruszyła za Danielem. Szli spacerowym tempem. Lipowo wydawało się Strzałkowskiej urocze. Większość domów była ze starej cegły, chociaż pomiędzy wiekowymi gospodarstwami pojawiły się już nowe domostwa. Obejścia zdawały się zadbane. Latem zapewne tonęły w kolorowych kwiatach.

– Cały czas mówicie, że ci Szwedzi „sprawiają problemy”
– powiedziała policjantka, robiąc znak cudzysłowu palcami.
– Grozili temu Filipowi Weissowi czy co?

Podgórski pokiwał głową.

– Na razie tylko raz.

– Ale co konkretnie się stało?

– Weiss twierdził, że Szwedzi grozili mu pobiciem. Na razie nie mamy świadków takiego zdarzenia. Faktem jest natomiast, że ta para ciągle stoi pod domem Filipa. Chcę zawczasu uniknąć ewentualnych problemów. Zwłaszcza teraz przed świętami – wyjaśnił policjant. – Mam nadzieję, że uda się z nimi jakoś normalnie porozmawiać i zorientować się, o co im właściwie chodzi. Może ten spór da się rozwiązać polubownie. Na pewno nie chcę żadnych bijatyk.

– I mówisz, że ten Weiss twierdzi, że nie wie, kim są Szwedzi?

Daniel Podgórski znowu pokiwał głową.

– Filip twierdzi, że ich nie zna, ale jestem pewien, że kłamie. Tak jak już mówiłem wczoraj na odprawie – przypomniał policjant. – Weiss pracował w Szwecji przez jakiś czas. Prawdopodobnie wtedy się poznali. Trudno sobie wyobrazić, żeby jakaś para przyjechała do Lipowa i losowo wybrała osobę, którą będzie bez powodu nękać.

– Masz rację. To by chyba nie miało sensu – zgodziła się Emilia Strzałkowska. – Bardziej prawdopodobne jest, że Weiss doskonale ich zna.

– No i jesteśmy prawie na miejscu – powiedział Podgórski.

Drewniany dom śmieciarza Filipa Weissa położony był

kawałek za główną częścią wsi w polodowcowym jarze otoczonym nieregularnie porzrzucanymi kępami krzewów. Zarośla nie miały obecnie liści, ale latem czy jesienią dom pewnie był za nimi całkowicie ukryty. Nawet teraz ledwo było go widać za gąszczem splątanych gałęzi. Wyglądało na to, że Filip Weiss cenił sobie swoją prywatność. W oknach na parterze zamontowano grube metalowe kraty, które jeszcze bardziej potęgowały raczej ponure wrażenie, które sprawiła na Strzałkowskiej ta odosobniona siedziba.

Gospodarstwo było nieco oddalone od szosy i prowadziła do niego polna droga wysypana szutrem. Przy drodze sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska zauważyła dwójkę ludzi. Pewnie to właśnie owi tajemniczy Szwedzi. Cudzoziemcy rozpoczęli dzień jak zwykle, czyli od obserwacji domu Filipa Weissa.

Daniel i Emilia podeszli niespiesznie.

– *God morgon* – zagadnął Szwedów Podgórski.

Emilia była chyba równie zaskoczona co przybysze zza Bałtyku. Szef komisariatu uśmiechnął się uprzejmie bez dalszych wyjaśnień swojej znajomości podstaw języka szwedzkiego.

– *How do you like our village?*¹ – zapytał policjant, przechodząc na niezbyt płynny, ale zrozumiały angielski.

Wysoki Szwed wzruszył ramionami.

– *We like the village, but not necessarily all of the people who live here*² – powiedział znacząco mężczyzna. Na koniec dodał coś, czego Emilia Strzałkowska nie rozumiała.

Policjantka już od dawna obiecywała sobie, że jak będzie miała nieco więcej czasu, podszkoli swoją znajomość języków. Przed mistrzostwami Euro 2012 w jednostce, gdzie wówczas pracowała, zajęcia z języka angielskiego były obowiązkowe. Przychodziła do nich jakaś miła lektorka i starała się coś przekazać znudzonej grupie policjantów. Większość kolegów Emilii nie była skora do zbytniego wysiłku umysłowego. Uważali, że te lekcje to strata czasu, a w kluczowym momencie i tak ważniejszy będzie język ciała. Kilku chłopaków robiło

1 Jak się państwu podoba w naszej wsi?

2 Wieś nam się podoba, ale niekoniecznie wszyscy jej mieszkańcy.

sobie nawet niewybredne żarty na ten temat. Strzałkowska przyzwyczaiła się już do tego, że w męskim gronie takiej tematyki nie da się uniknąć. Głupawe żarty na temat kobiet i seksu przestały już ją razić.

– *My name is Daniel Podgórski. I'm from the police station in Lipowo*³ – przedstawił się policjant.

– *I'm Crister Nilsson* – odparł wysoki mężczyzna. – *This is my sister*⁴.

Emilia Strzałkowska uznała, że Crister Nilsson wygląda dokładnie tak, jak policjantka sobie Szwedów wyobrażała. Był wysoki i miał włosy w kolorze białego lnu. Jego towarzyszka natomiast stanowiła całkowite przeciwieństwo brata. Była zdecydowanie niższa i pulchniejsza niż Emilia, a jej włosy przypominały kolorem raczej lśniący heban niż len.

– Carin Nilsson – przedstawiła się kobieta. Była lekko zachrypnięta. – *We don't want any trouble*⁵.

– *I understand.* – Daniel Podgórski pokiwał spokojnie głową. – *However, as far as I know, you are bothering Filip Weiss*⁶.

Crister Nilsson mruknął coś niezrozumiale. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska nie była pewna, w jakim właściwie języku.

– *Can you tell me what's the problem?*⁷ – spróbowała włączyć się do rozmowy.

Miała nadzieję, że to, co powiedziała, miało sens. Nie chciała wyjść na idiotkę przy Danielu Podgórskim. Mimo wszystko był przecież jej szefem. Nawet jeżeli tylko przez krótki czas. Wczoraj na odprawie Emilia zgłosiła się do rozmów ze Szwedami właściwie tylko po to, żeby zrobić na złość Pawłowi Kamińskiemu. To był typ człowieka, którego bardzo nie lubiła. Niestety chyba przeceniła swoje zdolności językowe. Teraz jednak nie zamierzała się wycofywać.

Crister Nilsson powiedział coś bardzo szybko. Z potoku jego

3 Nazywam się Daniel Podgórski i jestem z komisariatu w Lipowie.

4 Nazywam się Crister Nilsson. To moja siostra.

5 Nie chcemy żadnych kłopotów.

6 Rozumiem. Jednak z tego, co wiem, niepokoiacie Filipa Weissa.

7 Moglibyście mi wyjaśnić, w czym problem?

słów Strzałkowska wychwyciła tylko jedno: złodziej.

Czy Filip Weiss okradł rodzeństwo Nilssonów? Pieniądze to uniwersalny powód do wszelkiego typu kłopotów, uznała sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska, kiwając głową ze zrozumieniem. W cichej wsi Lipowo, w Warszawie czy Sztokholmie. Policjantka podejrzewała, że wszędzie funkcjonowało to tak samo.

Izka Weiss położyła małego Oskarka obok siebie na kanapie. W domu męża mieszkała tylko kilka miesięcy i teraz znowu spała na tej czerwonej wysłużonej sofie w swoim starym pokoju w domu rodziców. Dookoła synka ułożyła poduszki, żeby chłopczyk się nie zsunął.

Po ostatniej rozmowie z Filipem Izka czuła się okropnie. Miała wrażenie, że nigdy nie wypłucze się z tego nieudanego małżeństwa. Utraty dziecka nie mogła ryzykować. Nie wyobrażała sobie życia bez Oskarka, mimo że przecież synek nie był planowany.

Włączyła stary laptop i pograżyła się w poszukiwaniu jakiegoś rozwiązania tej patowej sytuacji. Nie mogła pozwolić, żeby Filip odebrał jej dziecko.

– Jeżeli spróbujesz rozwodu, zabiorę Oskarka – zagroził mąż.
– Masz wrócić do domu. Daję ci tydzień, a potem zaczynam kontaktować się, z kim trzeba. W tym kraju nadal męzczyzna ma silniejszą pozycję, więc nie łudź się, że coś wskórasz.

„Daję ci tydzień na powrót do domu. Inaczej stracisz Oskarka”. Tak dokładnie powiedział i zdawał się zdolny do spełnienia swoich gróźb.

– Nie wiem, co robić, Oskarku – poskarżyła się Izka Weiss synkowi. Chłopczyk patrzył na nią czule, jakby rozumiał wszystkie jej problemy.

Nie mogła go stracić. Tego była absolutnie pewna. Powrót do gospodarstwa męża nie wchodził jednak w grę. Nie chodziło wcale o to, że Filip był złym człowiekiem. Może nawet wręcz przeciwnie. Był uroczo naiwny i czuły. To musiała przyznać. Problem polegał na tym, że zwyczajnie do siebie nie pasowali.

Mimo to Izka nie potrafiła żałować wpadki, która im się przydarzyła. Oskarek to był jej promyczek słońca. W pewnym sensie rozumiała, że mąż także kocha synka i chce go mieć obok siebie. Nie rozumiała tylko, dlaczego za wszelką cenę chce związać się na stałe z nią. Przecież teraz rozwód już nikogo nie dziwił. Nawet u nich w Lipowie stało się to niemal sprawą oczywistą. Minęły czasy, kiedy kobieta i mężczyzna byli skazani na swoje towarzystwo do grobowej deski.

Otworzyła wyszukiwarkę i wpisała frazę „jak się pozbyć niechcianego męża?”. Pozbyć się? Co to miało właściwie oznaczać? Wydawało się, że palce same pisały, bez udziału mózgu. Przez chwilę żona śmieciarza wahała się, czy nacisnąć „Enter” i zatwierdzić wyszukiwanie. Wycofała się w ostatnim momencie. Palce paliły ją, jakby klawisze starego laptopa były rozgrzane do czerwoności.

Oskarek poruszył się niespokojnie. Gdyby nie było synka, Izka w ogóle by się Filipem nie przejmowała. Wiedziała jednak, że mąż, wbrew swojej chłopięcej naiwności, mógł okazać się zdolny do wszystkiego. Wystarczy spojrzeć na jego brata mordercę. Kto wie, czy taka agresja nie jest rodzinna. Tytus Weiss przyczynił się przecież do śmierci czterech porządnych osób. Izka nie chciała, żeby i ją to spotkało.

Brama Zakładu Karnego w Starych Świątkach koło Rypina zamknęła się za nim głośno. Stał, delektując się tą długo wyczekiwaną chwilą. Słodycz wolności mieszała się jednak z nieprzyjemną goryczą gdzieś na granicy świadomości.

– Będziesz tu tak sterczał? – zawołał strażnik z wyraźnym rozbawieniem. Miał chrapliwy głos starego palacza. – Idź, zanim ktoś się rozmyśli. Jesteś w miarę porządnym facetem, jak na tych tu, jeden jeden dwa sześć. Mam nadzieję, że szybko cię tu z powrotem nie zobaczę. Dopilnuj tego. Rozumiemy się, co?

– Tak – powiedział więzień numer 1126.

Lubił tego starego charta. Facet nigdy nie nadużywał swojej pozycji. W Zakładzie Karnym w Starych Świątkach to była

rzadkość.

– Spływaj – powtórzył strażnik jeszcze bardziej rozbawiony.

Więzień numer 1126 zrobił długi krok w kierunku wyboistej szosy przed wejściem do zakładu karnego. Kierowca przejeżdżającego drogą samochodu zatrąbił głośno. Ostry dźwięk wyrwał więźnia z dziwnego odrętwienia, w jakie popadł po przekroczeniu progu wolności.

Nagle poczuł, że nie jest już tylko numerem. Jakby więzień numer 1126 rozplynął się gdzieś w nicości. Teraz był tylko on, Tytus Weiss. To było niesamowite wrażenie znowu mieć imię. Imię i nazwisko oznaczały wolność, możliwość podejmowania decyzji i odpowiedzialność za własne czyny.

Tytus przeszedł przez szosę z nową energią i spojrzął na mury więzienia z chodnika po drugiej stronie. Z tej perspektywy wydawało się całkiem niewielkie. Przez piętnaście lat stanowiło jednak cały jego świat. Teraz wokół nie było murów. Nagle Weissa opanowało uczucie, którego od dawna nie doznawał. Strach. Psycholog, który przychodził na spotkania z więźniami, przekonywał, że taka reakcja może się pojawić i jest to jak najbardziej normalne. Weiss uważał wtedy, że facet pieprzy głupoty. Teraz okazało się, że miał rację. Tytus zwyczajnie się bał.

Ulicą przejechały kolejne samochody. Marki były znajome, ale modele się zmieniły. Tytus Weiss rozpoznał kilka z gazet, które były dostępne w więzieniu. Teraz widział je pierwszy raz na żywo. Nie na pogniecionym niezliczonymi rękami papierze.

Odetchnął głęboko. Po tej stronie chyba nawet powietrze pachniało inaczej. Przynajmniej tak mu się wydawało. Jakby specjalnie na jego wyjście wypogodziło się i na niebie nie było ani jednej chmurki. Oddychał przez chwilę pełną piersią. Jakiś przechodzień spojrzął na niego zdziwiony. Tytus odruchowo napiął mięśnie. Spędził w więzieniu prawie połowę swojego życia. Zdążył się nauczyć zasad, które panowały w tamtym świecie. Po tej stronie muru wszystko było nowe i niepokojąco nieznanne.

Nagle Tytus usłyszał wesoły, niczym nieskrępowany śmiech jakiegoś dziecka. Czekał na ten moment bardzo długo.

W więzieniu nie było dzieci. Dzieci oznaczały normalność. Dzieci oznaczały wolność. Mięśnie rozluźniły się. Więźnia numer 1126 przecież już nie było. Był tylko Tytus Weiss.

Ruszył chodnikiem wzdłuż dziurawej ulicy. Zaciskał rękę na skromnej drelichowej torbie, którą wcisnęła mu matka, kiedy zabierali go do Starych Świątek. Przez te lata wspominał ten dzień wielokrotnie. To właśnie wtedy po raz ostatni był Tytusem Weissem. Później przez długie piętnaście lat miał tylko numer. 1126.

Myśli Tytusa wróciły do tamtej nocy. Nadal słyszał wybuch pieca gazowego, który spowodował śmierć czterech osób. Weiss wiele razy zastanawiał się, czy mógł zrobić coś więcej, czy dobrze wybrał. W więzieniu czasu na rozmyślania, nawet jałowe, było aż zanadto, ale nigdy nie doszedł do żadnych konkretnych wniosków.

Ruszył przez miasteczko Stare Świątki. Oddychał szybko. Nie z powodu zmęczenia, ale raczej narastającej paniki. Świat wolności nagle go przytłoczył. O tym też wspominał ów przemądrzały psycholog więzienny.

– Kurwa, weź się w garść, człowieku – mruknął Tytus pod nosem. – Dasz radę. To nic trudnego.

Te słowa jakby dodały mu otuchy. Bez problemu dotarł na dworzec, gdzie miał złapać autobus do położonej niecałe trzydzieści kilometrów dalej Brodnicy, a stamtąd kolejny do rodzinnego Lipowa. Strażnik przy wyjściu nie zakładał bałacha.

– Nie oszukał mnie – poprawił się Tytus Weiss.

Tak długo mówił gwarą więzienną, że teraz przychodziła sama. Tytus zdecydował, że od tej chwili nigdy już nie będzie jej używać. Nie był już przecież numerem. Nie chciał już nigdy wracać za kraty. Nawet jeżeli oznaczało to, że codziennie będzie musiał patrzeć w oczy policjantom na posterunku w Lipowie. Już nie był numerem, był człowiekiem.

– Czy pan coś mówił? – zapytała jakaś gruba kobieta, która najwidoczniej nie mogła poradzić sobie z walizką.

– Może pani pomóc? – zaproponował Tytus Weiss w nagłym odruchu, który pochodził gdzieś z zapomnianej części

świadomości. Na wolności mężczyźni pomagali kobietom. To była normalność.

– Jakby pan mógł – odparła grubaska z wyraźną ulgą na spoconej mimo chłodu twarzy.

Tytus Weiss pociągnął walizkę pod krawężnik przystanku autobusowego.

– Dzięki – rzuciła kobieta. – Warunek?

Tytus Weiss wzdrygnął się na te słowa. Poczul się brudny. Panika zaczęła powoli wracać.

– Słucham? – zapytał z wystudiowanym spokojem.

Gruba kobieta uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Spokojnie – mruknęła. – Mój mąż też siedzi. Na kilometr rozpoznaję takich jak wy. Mój stary ma wyjść za tydzień. Dzieciaka swojego nawet nie poznał. Zwinęli go, zanim urodziłam. Takie cholerne życie, ale co człowiek ma robić.

Tytus Weiss nagle stracił ochotę na rozmowę.

– Rozumiem – odparł, siłąc się na beztroskę. – Przepraszam. Muszę jeszcze coś załatwić. Wesółych świąt.

Oddalił się pospiesznie. Serce znowu zaczęło bić zbyt szybko.

ROZDZIAŁ 5

Lipowo. Sobota,
21 grudnia 2013. Po południu

Słońce tańczyło na ciemnozielonych igłach sosen w zagajniku zwanym przez wszystkich Cichym Laskiem. Filip Weiss otarł pot z czoła. On i naukowiec Jerzy Grała pracowali w starej osadzie sekty Świątynia już od kilku godzin. Z naukowcem o dziwo nie współpracowało się źle. Grała wydawał Filipowi proste, konkretne polecenia i notował w swoim skórzanym zeszytiku, co znaleźli w kolejnych domach. Dziś naukowiec chciał zrobić ogólną dokumentację całej osady. Jutro mieli przeszukać znacznie dokładniej każdy dom po kolei.

Filip Weiss zaczął powoli odczuwać zmęczenie, mimo że był przyzwyczajony do pracy fizycznej. Praca śmieciarza nie należała przecież do lekkich. Drżenie zmęczonych mięśni cieszyło go jednak bardzo. Mógł w ten sposób zapomnieć o tym, że dziś miał wrócić znienawidzony Tytus.

– Tytus – mruknął jadowicie Filip.

Zebrał narzędzia i ruszył do kolejnego rozsypującego się domostwa. Był pewien, że nienawidzi brata z całego serca. Czuł się przez Tytusa głęboko zdradzony i nie miał zamiaru nagle mu wybaczyć, tak jak sugerowała to matka. Brat go zostawił. Tamtej nocy w 1998 roku, kiedy doprowadził do śmierci czterech osób, Tytus porzucił swojego młodszego brata. Filip miał wówczas zaledwie czternaście lat i nie był wcale gotowy przejąć obowiązków jedynej mężczyzny w domu. To była rola Tytusa, nie jego.

Filip Weiss wyważył drewniane drzwi kolejnego zrujnowanego domu. Trzymały się zaskakująco mocno, zważywszy na to, jak długo pozostawały już zamknięte. Śmieciarz nie wiedział, kto to wszystko pozamykał. Być może

zrobili to jeszcze członkowie sekty, zanim popełnili zbiorowe samobójstwo w latach sześćdziesiątych. Bardziej prawdopodobne wydawało się jednak, że zrobiła to milicja, która przyjechała na miejsce zdarzenia już po tragedii i zabezpieczała ślady.

Filip nie do końca rozumiał, po co Grala chce rozbierać na części pierwsze to wszystko, co zdarzyło się kilkadziesiąt lat temu w Cichym Lasku. To nie miało jednak teraz większego znaczenia. Ważne było, że naukowiec będzie mu płacić całkiem porządne dniówki. Może w ten sposób uda się rozwiązać przynajmniej sprawę Nilssonów. Wtedy pozostanie tylko kwestia Izki i Oskarka. To jednak musiało poczekać. Sprawa Nilssonów nie przedstawiała się bowiem najlepiej. Crister Nilsson twierdził co prawda, że chodzi im tylko o zwrot skradzionej sumy i nic więcej. Filip wiedział jednak swoje. Przeklinał dzień, w którym związał się z Carin. To był jego kolejny życiowy błąd.

Skradziona suma. Filip widział to zupełnie inaczej. Bardziej jako rodzaj pożyczki, którą zaciągnął u Carin, kiedy wyjeżdżał ze Szwecji. Faktycznie nie planował jej zwracać. Przynajmniej nie w najbliższym czasie. Carin przecież także była mu coś winna za wspólnie spędzony czas, tłumaczył sobie w duchu. Nie zabrał chyba aż tak dużo. Gorzej, że Nilssonom nie chodziło chyba tylko o pieniądze. Filip nie powinien był zadzierać z Carin. Dobrze to teraz rozumiał. Szkoda, że było już za późno.

Drzwi starej chaty puściły i z hukiem upadły na ziemię. Filipowi Weissowi szybciej zabiło serce. Starał się nie myśleć o historiach, które słyszał od najwcześniejszego dzieciństwa. W Cichym Lasku straszy i lepiej tam nie chodzić, powtarzały wszystkie okoliczne dzieciaki i konsekwentnie się tego trzymały. Być może właśnie dlatego domostwa pozostały w zaskakująco dobrym stanie. Nie były pokryte napisami ani wątpliwiej jakości rysunkami.

Filip do tej pory pamiętał, jak kiedyś zapuścili się do Cichego Lasku z Tytusem. Miał wówczas chyba sześć lat, a Tytus dziesięć. Było lato, a oni skradali się we dwóch przez pole.

Wokół szumiały na wietrze łany zboża, ale im byli bliżej zagajnika, tym wszystko stawało się cichsze. Jakby z każdym niepewnym krokiem przenosili się do zupełnie innego świata. Kiedy dotarli niemal do skraju osady, coś nagle poruszyło się pomiędzy starymi domostwami i chłopcy uciekli ile sił w nogach. Nie oglądali się nawet za siebie. Jakoś nigdy później nie było okazji, żeby tu przyjść. Nie było po co. Aż do teraz.

– Wchodzimy, panie Filipie – zarządził Jerzy Grała. – Nie ma czasu do stracenia.

Naukowiec przeszedł ostrożnie nad szczątkami drewnianych drzwi. Okna budynekczku zabite były deskami, więc w środku panował półmrok. Filipa Weissa przebiegł dreszcz. Znowu poczuł się jak dziecko. Z jedną tylko różnicą. Nie było przy nim brata. I już nigdy nie będzie. Filip nie zamierzał płakać nad rozlanym mlekiem. Żałował tylko jednego w swoim życiu: tego, że pozwolił Izce wyprowadzić się z domu. Rodzina powinna trzymać się razem. Rodzina, czyli on, Izka i ich synek Oskarek. Dla Tytusa Weissa nie ma miejsca w tej układance.

Jaśmina Ciosek-Dworakowska sprzątała pokój państwa Nilssonów. Utrzymanie porządku w pokojach do wynajęcia było jednym z jej obowiązków. Wykonywała go chętnie. Chociaż w ten sposób mogła wynagrodzić wujowi, że przyjął ją do „Wrzosów” jak własną córkę, kiedy jej mama zginęła w pożarze piętnaście lat temu.

Tego dnia Jaśmina chciała jak najszybciej uwinąć się z pracą. Jak wszyscy inni mieszkańcy Lipowa wiedziała doskonale, że do wsi wraca Tytus Weiss. Dziewczyna potrzebowała trochę czasu, żeby to przetrwać i spokojnie przemyśleć, co w związku z tym czuje. Przez te wszystkie lata starała się usilnie zapomnieć o pożarze, który zabrał jej matkę. Przez te wszystkie lata Jaśmina nie myślała też o mordercy. Teraz nadchodził moment, kiedy nie było już wyjścia. Podpalacz wrócił.

– Nie powinnam myśleć o przeszłości – upomniała się Jaśmina szeptem. – Nawet teraz. Trzeba patrzeć w przyszłość. Co było, to było.

Najlepszym lekarstwem na niechciane myśli wydawała się praca. Jaśmina ścierała kurz szybkimi wprawnymi ruchami. Zasłała ponownie dwa łóżka, mimo że zagraniczni goście całkiem porządnie je zostawili. Podłączyła odkurzacza i zaczęła nucić cicho piosenkę Adele, którą usłyszała kiedyś w radiu. Melodia cały czas błąkała się po jej głowie nieproszona.

Never mind
I'll find someone like you
I wish nothing but the best for you too
Don't forget me, I begged
I will remember you said:
*„Sometimes it lasts in love
But sometimes it hurts instead”.*
Sometimes it lasts in love
But sometimes it hurts instead.

Odkurzacza pracował miarowo, pochłaniając słowa piosenki razem z kurzem i piaskiem z podłogi. Jaśmina szybko uporowała się z dywanem i zaczęła odkurzać podłogę pod łóżkiem, które zajmował blondwłosy Crister Nilsson.

Nagle szczotka odkurzacza uderzyła o coś ukrytego pod łóżkiem. Jaśmina Ciosek-Dworakowska schyliła się, żeby zobaczyć, co trafiło w tak dziwne miejsce. Pokręciła głową zaskoczona.

– Jaśmino... – usłyszała za plecami.

Dziewczyna poderwała się z ziemi przestraszona. Nie spodziewała się, że ktoś jest na piętrze. Odwróciła się szybko. W drzwiach stał profesor Dworakowski. Odkąd wuj wrócił do „Wrzosów”, nie mieli okazji jeszcze porozmawiać. Twarz profesora była bez wyrazu. Jaśmina wiedziała, że to nie oznacza nic dobrego. Seweryn Dworakowski nie należał do osób, które łatwo traciły panowanie nad sobą. Bardzo się tym różnił od swojej zmarłej żony. Ciocia Zosia często wpadała w skrajne emocje. Przynajmniej z tego, co Jaśmina pamiętała.

Kiedy wuj był bardzo zły, na jego twarzy pojawiała się dokładnie taka mina. Mina maska.

Dziewczyna wyłączyła odkurzacz. Znaleźisko spod łóżka zupełnie wyleciało jej z pamięci. Miała teraz ważniejsze sprawy na głowie.

– Jaśmino – zaczął znowu profesor.

Wuj zawsze mówił cicho, ale za to bardzo donośnie, z głębi przepony. Lata wykładów w obszernych aulach Politechniki Warszawskiej zrobiły swoje.

– Coś się stało, wuju? – zapytała Jaśmina ostrożnie.

Od czasu śmierci matki piętnaście lat temu profesor Seweryn Dworakowski był dla Jaśminy jak ojciec. Jej biologiczny tata zginął jeszcze przed śmiercią mamy w pożarze domu wujostwa. Jaśmina nie miała więc nikogo innego. Onieśmielający Seweryn Dworakowski i chłopiec w ciele mężczyzny, Albin, to była chwilowo jej jedyna rodzina.

– Czy wiedziałaś, że Albin spędza czas z Filipem Weissem? – zapytał profesor Dworakowski ostro, cedząc słowa.

Jaśmina po raz pierwszy słyszała, żeby wuj mówił w ten sposób. Nawet kiedy jego żona i szwagierka zginęły w płomieniach piętnaście lat temu, zachował większy spokój. Współpraca Albina ze śmieciarzem musiała przelać czarę goryczy.

Jaśmina doskonale wiedziała, że Albin od kilku dni pomaga Filipowi Weissowi przy wywozie śmieci. Wiedziała też, że chłopiec w ciele mężczyzny to uwielbia. Przejazd starą ciężarówką to była nie lada atrakcja. Dla Albina nie miało większego znaczenia, że Filip jest bratem człowieka, który wysłał jego matkę do nieba. Do aniołków, jak mówił Albin. Chłopiec w ciele mężczyzny kochał wszystkich ludzi. Bez wyjątku. To było w nim najbardziej urzekające. Przy nim Jaśmina zapominała o wszelkich swoich wadach. Czuli się wyjątkowa.

– Wiedziałam – przyznała powoli.

Nie tylko wiedziała, ale nawet pozwoliła Albinowi spędzać czas z Filipem Weissem. Nie miała serca odmówić kuzynowi.

– Albin nie może spędzać czasu z bratem zabójcy swojej

matki – powiedział profesor Dworakowski już nieco spokojniej. Powrócił donośny ton wykładowcy z wielkiej auli, a zniknęły syczące emocje. – Czy zrozumiałaś?

Jaśmina przytaknęła skwapliwie. Nie było większego sensu się usprawiedliwiać. Wuj był człowiekiem nieprzejednanym.

– Myślałem, że mogę mieć do ciebie pełne zaufanie. Myślałem, że mogę zostawić mojego jedyne go syna pod twoją opieką – mówił dalej profesor. – Czy się myliłem?

– Oczywiście, że możesz mi ufać, wuju – zapewniła dziewczyna. – To się nie powtórzy. Obiecuję.

Tytus Weiss wyglądał przez okno autobusu. Pekaes zapewne nie jechał szybko, ale Tytus miał wrażenie, jakby pędzili. Chciał wstać i podejść do kierowcy. Może poprosić go uprzejmie, żeby zwolnił i pozwolił mu się lepiej przygotować na powrót do rodzinnej wsi.

Minęli Jajkowo. Ze szczytu polodowcowego wzniesienia widać już było pofalowane pola Lipowa. Jego wieś. Wzgórza wyglądały jak namalowane na wielkim płótnie. Tytus nie widział tych pól przez długie piętnaście lat. Serce znowu zaczęło bić mu szybciej. Tym razem z tłumionego wzruszenia. Czuł strach pomieszany z głęboką radością. Wracał do domu.

Jakkolwiek pięknie by to brzmiało, Tytus Weiss był pewien, że mieszkańcy Lipowa nie pozwolą mu zapomnieć o tym, że był więźniem numer 1126 Zakładu Karnego w Starych Świątkach. Mimo to, kiedy pekaes wjeżdżał pomiędzy piękny lipowy starodrzew, mężczyzna poczuł nikły promyk nadziei, że z czasem wszystko się jakoś ułoży.

Kiedy Tytus Weiss wysiadał z autobusu na odrapanym przystanku niedaleko budynku szkoły, kilku oczekujących tam pasażerów popatrzyło na niego nieufnie spod oka. Nie znał ich wszystkich, ale parę twarzy rozpoznał. Starał się zignorować ciężkie od wyrzutów spojrzenia. Na przeszłość nie mógł już przecież nic poradzić. Stało się to, co się stało.

Odetchnął głęboko. Nozdrza wypełniły mu znajome zapachy wsi. Jak dawno nie czuł czegoś tak pięknego. Tytus nie

podejrzewał sam siebie o takie rozrzewnienie. Więzień numer 1126 nie miał przecież uczuć. Nie czuł radości ani strachu. Przede wszystkim zaś nie czuł bólu. Ani fizycznego, ani tym bardziej psychicznego. Więzień numer 1126 walczył jedynie o respekt, aż do momentu, kiedy go sobie wypracował. Na ramieniu dorobił się już generalskiego wężyka. Więzienna dziara była trwałym znakiem, że odsiedział swoje. Tak, więzień numer 1126 nie czuł nic. Tytus Weiss natomiast czuł aż za dużo.

Zarzucił sobie torbę na ramię i ruszył w stronę domu matki.

– Spierdalaj, ty śmieciu – usłyszał z lewej strony. – Nie chcemy cię tu, morderco. Morderca!!!

– Wypierdalaj! – zawtórował ktoś inny.

Tytus Weiss nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, że jadowite słowa skierowane były do niego. W Zakładzie Karnym w Starych Świątkach nikt nigdy by się tak do niego nie odezwał. Przynajmniej jeżeli chciał się cieszyć wszystkimi zębami. Mięśnie stężały automatycznie. Tytus postanowił jednak zignorować zaczepkę. Ludzie nic nie rozumieli i tak miało pozostać. Musiało tak pozostać.

Kiedy mijał niewielki pawilon poczty udekorowany świątecznymi lampkami i wizerunkiem Świętego Mikołaja, kilka osób splunęło w jego stronę. Tytus znowu poczuł znajomy gniew. Zacisnął mocniej rękę na pasku drelichowej torby. Nie był już numerem 1126. Teraz zaczynało się nowe życie. Miał wybór. Przynajmniej według więziennego psychologa. Mam wybór, powtórzył sobie Tytus w myślach.

– Morderca – syknęła jakaś kobieta i minęła go szybkim krokiem.

Tytus Weiss zerknął na nią przelotnie. Pamiętał ją dobrze. To była pani Drewniakowa. Największa plotkara w całej wsi. Bardzo się postarzała przez ostatnie piętnaście lat. Twarz miała teraz pomarszczoną, a włosy cienkie i szare.

– Morderca! – rozległo się z drugiej strony ulicy. – Pieprzony podpalacz. Nie chcemy cię w Lipowie!

Tytus przyspieszył kroku. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać ani na nikogo patrzeć. Jeszcze nie teraz. Na szczęście Urszula

Weiss mieszkała niedaleko, tuż obok biblioteki, którą z taką pasją prowadziła. Dotarł pod dom matki, oddychając ciężko. Zauważył, że budynek jest w dobrym stanie. Tynk wyglądał na świeży, a ogród na zadbane i przygotowany na zimę. Nie przypominało to domu, który pamiętał z dzieciństwa. Wyglądało na to, że Urszula Weiss wreszcie wyszła na prostą. Tytus miał nadzieję, że Filip dobrze się nią zajął, kiedy jego zabrakło. Na mężczyznę, który był ich ojcem, nie można było przecież liczyć.

Zapukał delikatnie, niemal nieśmiało, do drzwi rodzinnego domu. Otworzyły się natychmiast, jakby matka czekała na niego niecierpliwie tuż za drzwiami. Urszula Weiss nie zmieniła się prawie. Jej twarz i figura wyglądały jak zawsze. Była może nieco bardziej wysuszona, a oczy miała podkrążone. Matka i syn objęli się w nieco wymuszony sposób. Chyba oboje czuli się skrepowani całą tą sytuacją.

– Wejź – powiedziała bibliotekarka w końcu. – Witaj w domu, Tytusie.

Młodszy aspirant Paweł Kamiński wracał właśnie z bardzo owocnej wyprawy do Brodnicy. Byli z kolegami tu i tam i policjant wcale nie miał zamiaru spowiadać się z tego żonie. Minął tablicę informującą o wjeździe do Lipowa. Jechał odrobinę za szybko. Nie mógł jednak nic poradzić na to, że jego nowe bmw wprost stworzone było do szybkiej jazdy. Określenie „nowe” nie było do końca trafne, ponieważ samochód pochodził z połowy lat dziewięćdziesiątych. Znajomy sprowadził je dla Kamińskiego z Niemiec po okazyjnej cenie. Auto wyróżniało się rzadkim kolorem *Violett Schwarz* i Paweł ciągle nie mógł się nowym nabytkiem nacieszyć. Był pewien, że teraz bez problemu stanie do wyścigu z równie starym subaru imprezą należącym do Daniela Podgórskiego i także wiekową hondą prelude młodego Marka Zaręby.

Nagle na drogę wybiegł olbrzymi Albin Dworakowski. Jego potężne ciało zatoczyło się nieco. Paweł Kamiński nacisnął z całej siły na pedał hamulca i skręcił ostro kierownicę. Autem

zarzuciło trochę, ale chłopiec w ciele mężczyzny stał na drodze cały i zdrowy. Kamiński otarł pot z czoła i wyskoczył z samochodu.

– Kurwa jego mać, czy ty oszalałeś, Albin? – krzyknął policjant z wściekłością pomieszaną ze stresem. – Ja pierdole, ty idioto, mogłeś zginąć!

Tak naprawdę Paweł Kamiński lubił tego cudaka. Może właśnie dlatego tak się zdenerwował. Nie chciał mieć Albina na sumieniu.

– Nie wolno tak wychodzić na jezdnię – powiedział już nieco spokojniej. – Coś ci się może stać. Chyba nie chcesz, żeby twojemu tacie było smutno, że cię nie ma, prawda?

Chłopiec w ciele mężczyzny nie wyglądał na poruszonego wywozem policjanta. To było irytujące.

– Taaaaaam – powiedział, wskazując na szutrową drogę prowadzącą do ukrytego w polodowcowej dolinie gospodarstwa Filipa Weissa. – Tam!

Wyglądało na to, że Albin Dworakowski bardzo chce coś Pawłowi przekazać.

– Co się dzieje? – zapytał policjant, siląc się na spokój. Tak trzeba było postępować z Albinem. Nadmierne pospieszanie olbrzyma z reguły przynosiło skutek wręcz odwrotny do zamierzonego.

– Tam – powtórzył Albin i zrobił nieszczęśliwą minę.

Młodszy aspirant Paweł Kamiński zaklął cicho pod nosem i przeparkował swoje fioletowoczarne bmw na pobocze. Nie chciał, żeby ktoś zarysował samochód.

– Zobaczmy, co się tam dzieje – oznajmił i ruszył za Albinem.

Olbrzym biegł nieporadnie w kierunku domu Filipa Weissa. Kamiński przyspieszył kroku. Zauważył tam pewne poruszenie. Śmieciarz stał przy swoim płocie, a obok niego znajdowała się para Szwedów. Rosły Crister Nilsson pchnął Filipa tak, że mężczyzna niemal upadł na ziemię.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – zapytał Paweł Kamiński głośno. – Jest jakiś problem?

Kamiński był w cywilnym ubraniu i mówił po polsku, ale

Szwed chyba zrozumiał powagę sytuacji. Cofnął się i stanął spokojnie obok swojej czarnowłosej siostry.

– Dobrze, że jesteś, Paweł – krzyknął Filip Weiss. – Ten facet mnie w końcu zabije.

Policjant odwrócił się do niego powoli.

– Po pierwsze, dla ciebie pan młodszy aspirant Paweł Kamiński – syknął. – Nikt z twojej popieprzonej rodzinie nie będzie do mnie mówił po imieniu, Weiss. Wystarczy mi już za pierdoloną obelgę, że twój braciszek wraca do Lipowa przed odsiedzeniem pełnego wyroku.

Filip zrobił się czerwony na twarzy.

– Tytus nie jest moim bratem! – krzyknął niemal piskliwie i splunął, jakby chciał się pozbyć imienia Tytusa ze swoich ust.

– Dla mnie jest tyle samo wart co dla ciebie. Daruj sobie, Paweł. Zajmij się lepiej tymi wariatami.

Młodszy aspirant Paweł Kamiński spojrzał podejrzliwie na parę Szwedów. Carin i Crister Nilssonowie wyglądali, jakby nic z całej tej wymiany zdań nie zrozumieli. Paweł uznał, że prawdopodobnie tak właśnie było.

– Trzeba się było, kurwa, polskiego uczyć, zanim się tu przyjechało – rzucił z satysfakcją w ich kierunku.

To wystarczyło. Kamiński nie zamierzał więcej interweniować w obronie Filipa Weissa. Przecież nie był na służbie. Niech oni wszyscy się nawzajem pozabijają i tyle, uznał zadowolony. Tym lepiej.

Poprawił kurtkę i ruszył z powrotem do samochodu. Albin, który przez cały czas trzymał się cicho z tyłu, zakwilił przeciągle. Policjant spojrzał w jego stronę. Chłopiec w ciele męczyzny kołysał się z nogi na nogę w dziwnym monotonnym tańcu.

– Paweł, chwileczkę, nic nie zrobisz? – zawołał za policjantem Filip Weiss. – Ten facet, ten Crister Nilsson, jest zdolny do wszystkiego. Musicie coś z nim zrobić. To wasz pieprzony obowiązek mnie chronić. Jestem obywatelem tego kraju! Po to jesteście! Płacę podatki, jak każdy! To wasz obowiązek! To twój obowiązek! Paweł!

W głosie śmieciarza wyraźnie pobrzmiwał strach. Młodszy

aspirant Paweł Kamiński poczuł z tego powodu jeszcze większą satysfakcję. Było mu wszystko jedno, z którym z braci Weissów ma do czynienia. Tytus czy Filip. Nieważne. Obaj muszą zapłacić za śmierć Jana Kamińskiego, i to słono. Już Paweł się o to postara. Śmierć ojca i pozostałych trzech osób piętnaście lat temu w płonącym domu Dworakowskich nie mogła pozostać bez kary. Kamiński już dawno to sobie obiecał.

– Obowiązek? – syknął, nie zważając już na Szwedów, którzy rzucali sobie zdziwione spojrzenia. – Powiem ci jedno, chuju jebany, te piętnaście lat temu to ty i ten twój braciszek morderca powinniście byli spłonąć w domu profesora Dworakowskiego. To wy powinniście byli umrzeć! Nie mój ojciec!

Twarz Filipa Weissa dla odmiany zrobiła się dziwnie blada.

– Jeszcze raz mówię, że Tytus to nie mój brat – powtórzył dobitnie śmieciarz.

Młodszy aspirant Paweł Kamiński zaśmiał się głośno.

– Szczerze? Chuj mnie obchodzi, co mówisz, Weiss. Na moje, to ten Szwed może cię zająbać na śmierć. Powiem więcej. To jest mi nawet na rękę. Mniej pracy dla mnie.

Filip otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Żadne słowo nie wydobyło się jednak spod jego spierzchniętych warg.

– *Have a nice day*⁸ – dorzucił Paweł Kamiński w kierunku Nilssonów, sięgając pamięcią do angielskiego ze szkolnej ławy.

Uprzejmości wobec zagranicznych gości w Lipowie nigdy za wiele.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska powiesiła klucz na gwoźdźniku. Wbiła go w ścianę tuż obok drzwi zaraz po tym, jak wprowadzili się z synem do tego domu. Dopiero wtedy poczuła, że może tu mieszkać. Była tak przyzwyczajona, że po powrocie do domu zawsze wiesza klucze na gwoźdźniku, że czegoś innego zupełnie sobie nie wyobrażała.

– Jestem już! – krzyknęła do Łukasza.

– Cześć, mamó – usłyszała przytłumioną odpowiedź z pokoju

8 Milego dnia.

syna.

Strzałkowska była pewna, że chłopak cały dzień grał na komputerze. Siedzenie przed komputerem było ulubionym sposobem jej syna na spędzanie wolnego czasu. Policjantka martwiła się tym trochę, ale nie wiedziała, co właściwie mogłaby w tej kwestii zrobić. Nie była nawet pewna, czy siedzenie przed komputerem jest dla Łukasza złe. Czasem niczego nie była już pewna, jeżeli chodziło o wychowanie syna. Bała się zrobić jakikolwiek krok. W tę czy w tamtą stronę. Panicznie się bała, że popełni jakiś tragiczny w skutkach błąd wychowawczy, który skaze jej jedyne dziecko na katusze w dorosłym życiu. Matka uspokajała policjantkę, że lęk to normalna część macierzyństwa, a ona zostawiała ją samą sobie i nic przecież złego z tego nie wyniknęło. To były inne czasy, przekonywała matkę Strzałkowska w odpowiedzi. Na to rodzicielka nie miała już nic do dodania oprócz krótkiego wzruszenia ramionami.

– Jak ci zleciał dzień, mamó? – zapytał Łukasz, wyłaniając się z pokoju.

Na widok rozczochranych włosów syna znowu opanowało Emilię matczyne rozczulenie, na które nigdy nie pozwalała sobie w pracy.

– Jak na pierwszy dzień, nieźle – odparła. – Rozmawiałam dziś z jakimiś obcokrajowcami, którzy tu trochę przeszkadzają, a potem byłam z Danielem Podgórskim na patrolu. Na koniec trochę roboty papierkowej i jestem. Jadłeś coś?

– Yhym. A skąd ci cudzoziemcy? – zainteresował się Łukasz.

– A co to właściwie za różnica?

Syn wzruszył ramionami.

– To jakieś rodzeństwo – wyjaśniła Emilia. – Chyba ze Szwecji. Mają coś do jednego z mieszkańców. Trzeba ich trochę uspokoić.

– Gram z jednym Szwedem w Diablo – poinformował matkę Łukasz. – Trochę mnie nauczył po szwedzku. Może się przydam, jak będziecie ich przesłuchiwać?

Emilia Strzałkowska mogła przysiąc, że w głosie syna pojawiła się ledwo słyszalna nuta nadziei.

– Zobaczymy. Niewykluczone – powiedziała wymijająco.
– Na razie nic wielkiego jeszcze nie zrobili. Mam nadzieję, że wszystko się uspokoi. Zawsze najlepiej, jak uda się uniknąć kłopotów. Kolacja za dziesięć minut.

Właścicielka ekofarmy kolorowa Jagna Sołtysik spojrzała zdenerwowana na zegarek. Jej męża Patryka oczywiście nie było. Obiecał, że wydoi kozy, ale jak zwykle nie można było na niego liczyć. Nietrudno było zgadnąć, że znowu przesiaduje pod sklepem Wiery Rosłońskiej, pijąc z Gierotem i Melkiem.

Nie było wyjścia, Jagna musiała wydoić kozy sama. Była z zamiłowania pszczelarką. Kochała miarowy śpiew pszczół letnim wieczorem. Lubiła też pracę w ogrodzie. Sadzenie warzyw i zajmowanie się nimi to była przyjemność. Kozy natomiast zdawały się złem koniecznym. Udój to była czynność, którą najmniej lubiła na ich ekofarmie i Patryk doskonale o tym wiedział. Miał ją w tym wyręczać. Przynajmniej w tym jednym. Gospodarstwo nie mało szansy zacząć efektywnie funkcjonować, jeżeli tylko ona się nim zajmowała. To nie była robota dla jednej osoby.

– Ale nie! Wiadomo, że lepiej pić z koleżkami! – mruknęła Jagna pod nosem, zanosząc mleko do magazynku. – Trzeba będzie pomyśleć o wynajęciu pracownika! Koszty, koszty, koszty!

Jagna Sołtysik wstawiła kozie mleko do chłodni w magazynku. Nie lubiła jego zapachu, ale podobno kozi ser był teraz modny wśród miastowych. Być może to był właśnie upragniony klucz do sukcesu. Niestety. Jednak była gotowa na to poświęcenie. Miała nadzieję, że wreszcie wyjdą na prostą. Inaczej będą musieli zamknąć farmę. Nie mogła do tego dopuścić. Po prostu nie mogła. Ekologiczna farma to było spełnienie jej marzeń.

Zamknęła drzwi magazynku i znowu spojrzała na zegarek. Patryk siedział pod sklepem Wiery Rosłońskiej prawie cały dzień. Jagnę ogarnęło zniechęcenie. W końcu uznała, że najlepiej będzie pójść po męża i zmusić go do pomocy, choćby

siłą.

– Tak dalej być nie może – powiedziała do jednej z kóz, żeby dodać sobie otuchy.

Z trzech przyjaciółek tylko Ewelina Zaręba dobrze trafiła z mężczyzną. Jagna zazdrościła żonie Marka. Zaręba miał normalną pracę i regularnie przynosił do domu wypłatę. Co więcej, młody policjant pomagał przy dzieciach, a teraz nawet wziął urlop, żeby wyręczyć Ewelinę w opiece nad maleńką Zuzią. Jagna nie miała co się oszukiwać. Patryk nigdy by dla niej czegoś podobnego nie zrobił. Wolał siedzieć z pijakami i pozwalać, żeby czas przeciekał mu przez palce.

Jagna włożyła czapkę w różowe groszki i okrągłe okulary. Zarzuciła fioletowy płaszcz na plecy i ruszyła zdecydowanym krokiem przez Lipowo. Dzisiaj Patryk nie będzie siedział pod sklepem aż do nocy. Dziś będzie jej pomagał.

Maria Podgórska postanowiła przygotować kompot z suszu. Wigilia co prawda dopiero za dwa dni, no może trzy, ale starsza pani czuła, że musi się czymś zająć. Powrót Tytusa Weissa do Lipowa zupełnie wytrącił ją z równowagi.

Starsza pani z całych sił starała się Tytusowi wybaczyć, ale nie umiała. Z jego matką, bibliotekarką Urszulą Weiss, i jego młodszym bratem Filipem Maria starała się utrzymywać poprawne stosunki. Uważała, że mimo wszystko tak właśnie wypada. Z Tytusem nie umiała sobie tego w żaden sposób wyobrazić. To przez niego zginął jej mąż. Przez te długie piętnaście lat nie było godziny, kiedy przestałaby za mężem tęsknić.

Maria westchnęła i starannie rozłożyła wszystkie składniki kompotu na kuchennym stole. Jabłka, suszone śliwki, wędzone gruszki, daktyle i trochę rodzynek. Lepiej skupić się na gotowaniu niż rozważaniach na temat rodziny Weissów. Starsza pani była zdania, że kompot z suszu to obowiązkowy element każdego wigilijnego stołu. Dla niej był niemal symbolem Bożego Narodzenia. Maria miała nawet swoją sekretną recepturę, której nikomu nie zdradzała.

– Mamo, gdzie ustawić choinkę? – zapytał Daniel, zaglądając do kuchni z uśmiechem. – Tam gdzie zawsze?

Daniel boleśnie przypominał ojca. Ten sam szelmowski uśmiech i błysk w oku. Czasami Maria czuła niemal fizyczny ból, patrząc na syna.

– Oczywiście – odparła, starając się porzucić wspomnienia.

– Szkoda, że nie będzie Weroniki – mruknął Daniel.

Maria pokiwała głową. Miała nadzieję, że jej syn szybko ułoży sobie życie z Weroniką Nowakowską, ale na razie wszystko wskazywało na to, że rudowłosa warszawianka nie jest gotowa na stały związek. Starsza pani wiele by dała, żeby wszyscy razem usiedli do wigilijnego stołu.

Patryk Sołtysik jakoś dotoczył się do domu. To znaczy do ich ekologicznej farmy, poprawił się w duchu. Od sklepu Wiery Rosłońskiej było do nich dość daleko. Przynajmniej teraz tak się wydawało, kiedy nogi wcale nie chciały go słuchać, a w głowie szumiał spirytus.

Z tego, co mógł się zorientować, jego kolorowa Jagna wyglądała na wściekłą. Całą drogę gadała mu o tym, że musi wreszcie zacząć pomagać jej na farmie. Patryk nie mógł już tego znieść. Słowa żony zmieniały się w chaos dźwięków, który powoli rozsadał mu czaszkę. Czuł, że dłużej nie wytrzyma.

W końcu weszli do domu. Jagna mocno trzasnęła drzwiami i Patryk miał wrażenie, że ceglana konstrukcja ich domostwa zaraz się zawali. Dom pochodził z początków dwudziestego wieku i chyba nigdy nie był remontowany.

– Nienawidzę cię – rzuciła Jagna jadownicę. Jej piękna twarz wykrzywiona była furją.

Na pewno nie ucieszy jej to, co miał jej do powiedzenia, ale Patryk musiał w końcu zebrać się w sobie i to wykrztusić. Musiał być mężczyzną. Tak sobie dziś przecież postanowił. A może to było wczoraj...

– Gadałem z Filipem Weissem – wybełkotał.

Starał się mówić wyraźnie, ale język też płatał mu figle. Zupełnie jak nogi. Kiedy szedł przez przedpokój, zauważył

swoje odbicie w starym lustrze. Czapka nieco się przekrzywiła, ukazując łysą czaszkę. Twarz była czerwona od alkoholu. Przez chwilę Patryka opanowało przerażenie. Czy już zmienił się w takiego Melka albo Gierota? Czy to już...

– I co? – zapytała Jagna niecierpliwie. – Gadałeś z Filipem Weissem i co?

Patryk Sołtysik zebrał się w sobie. Jagna nie będzie zadowolona. Koniec ich ekofarmy zbliżał się wielkimi krokami.

– Filip chce, żebyśmy natychmiast oddali mu pieniądze, które pożyczyłem – wykrztusił. – On z kolei musi oddać temu wielkiemu Szwedowi. Inaczej tamten porządnie go pokiereszuje.

Jagna patrzyła na męża, jakby nie rozumiała, co właśnie powiedział.

– Słuchaj, Jagienka, nie mam wyjścia – spróbował znowu bełkotliwie Patryk. – Muszę wziąć te pieniądze, które nam jeszcze zostały, i oddać Filipowi przynajmniej część pożyczki. Nie chcę, żeby tamten Szwed go pobił. Sama wiesz, że ja i Filip się przyjaźnimy. To by było bardzo nie w porządku. Tym bardziej że czuję się, jakbym Filipa wykorzystał. Sama wiesz, jaki on jest. Złotówka w tę czy w tamtą. On nic z tego nie pojmuje, póki nie jest za późno.

Patryk Sołtysik sam usłyszał, jak to brzmi. Wiedział też dokładnie, jaka będzie reakcja Jagny. Jego cudowna kolorowa hipiska odwróciła się na pięcie i powiedziała, nie patrząc na męża:

– To jest absolutnie niemożliwe. Rozumiesz to, Patryk, prawda? Jutro muszę zapłacić ratę za remont magazynku i za tę chłodnię. Chyba wiesz, ile to dla mnie znaczy?

Patryk Sołtysik przytrzymał się ściany. Pokój wokół niego wirował w oparach alkoholu.

– Ale Filip naciska – mruknął. – Jagienka, co mam niby zrobić? Filip poważnie naciskał.

– Groził ci? – podchwyciła Jagna.

Wyglądało na to, że żona znalazła sobie kolejnego kozła ofiarnego zamiast niego, więc Patryk Sołtysik chwycił się tej szansy. Wreszcie to nie on był obiektem ataku Jagny.

– Tak – powiedział nieco zbyt skwapliwie, ale żona nie zwróciła uwagi na to oczywiste kłamstwo. Filip miałby mu grozić? To było śmieszne.

– Nic mu nie oddajemy – zdecydowała Jagna twardo.

– Jakoś sobie z nim poradzimy. Już ja coś wymyślę!

ROZDZIAŁ 6

Lipowo.

Niedziela, 22 grudnia 2013. Przed południem

Filip Weiss jak przez mgłę usłyszał, że dzwoni budzik. Leżał przez chwilę wpatrzony w sufit, słuchając ostrego dźwięku zegarka. Całkowite wybudzenie się zajęło mu dłuższą chwilę. Z reguły nie miał problemów z wczesnym wstawaniem, ale teraz dodatkowa praca z Jerzym Grałą w Cichym Lasku sprawiła, że był bardziej zmęczony niż zazwyczaj. To było jednak dobre zmęczenie. Pomagało zapomnieć o nurtujących go nieprzyjemnych sprawach. Kłopoty z żoną, Nilssonami i powrotem brata do Lipowa stawały się jakby nieco mniejsze, kiedy mięśnie piekły od zakwasów.

Filip wybrał opcję drzemki na budziku i ponownie zamknął oczy. Mógł puścić w niepamięć kłopoty rodzinne. Uznał jednak, że o kwestii Nilssonów nie powinien zapominać. Crister mógł być niebezpieczny. Filip uznał, że ze zwrotem „pożyczonych” od Carin sumy nie powinien zbyt długo zwlekać. Część miał zamiar zarobić, pracując dla Jerzego Grali. Potrzebował jednak znacznie więcej. Oznaczało to, że powinien jakoś zmusić Patryka Sołtysika do zwrotu długu, który przyjaciel jakiś czas temu u niego zaciągnął. To było, zanim do Lipowa przyjechali Crister i Carin Nilssonowie, zanim Filip sam znalazł się na grząskim gruncie.

Rola komornika nie była zbyt przyjemna, ale Filip Weiss nie miał wyjścia. Wczorajszego wieczoru po raz kolejny zadzwonił do Patryka, żeby przypomnieć przyjacielowi o nagłym terminie spłaty. Weiss może i nie znał się na biznesie, ale był właściwie pewien, że Sołtysik nie będzie miał potrzebnych

funduszy, Jagna bowiem szastała pieniędzmi bez opamiętania. Uznał jednak, że nie zaszkodzi spróbować.

– Pieniądze będą już wkrótce – zapewnił Patryk, kiedy rozmawiali przez telefon.

Właściciel ekofarmy był wyraźnie spięty. Słysząc to było w jego drżącym głosie. Poza tym prawdopodobnie wypił już nieco zbyt wiele. Ostatnio często mu się to zdarzało.

– Patryk, słuchaj, wiem, że nie masz lekko z Jagną, ale ja muszę dostać te pieniądze – powiedział Filip. Starał się mówić zdecydowanym tonem, ale nie było to łatwe. – Crister Nilsson prawdopodobnie mnie zabije, jeżeli mu nie zwrócę.

Na chwilę zapadła cisza. Filip słyszał tylko przyspieszony oddech przyjaciela w słuchawce telefonu.

– Muszę ci coś powiedzieć o Tytusie – rzucił nagle Patryk Sołtysik, zupełnie porzucając temat zwrotu pożyczki.

Filip Weiss poczuł, że jego mięśnie tężeją nieprzyjemnie. Każde, nawet najmniejsze wspomnienie o starszym bracie bolało.

– Co?

– Nikomu tego nie mówiłem – kontynuował Patryk nerwowo. Język plątał mu się nieco. – Ale teraz Tytus wrócił do wsi... nie wiem. Złe się z tym czuję, mimo że minęło tyle lat. To chyba nie jest już takie ważne.

– Mów – rozkazał krótko Filip.

Patryk Sołtysik rozpoczął nieco nieskładną opowieść. Śmieciarz słuchał w osłupieniu. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Cały czas miał w głowie słowa kolegi. Czy to, co właściciel ekofarmy powiedział na temat Tytusa, mogło być prawdą? Trudno było w to wszystko uwierzyć. W ciszy poranka Filip uznał, że będzie musiał porozmawiać z matką. Może ona wyjaśni to lepiej.

Budzik zadzwonił ponownie. Jego ostry dźwięk przerwał rozważania Filipa. Weiss wyskoczył z łóżka jak oparzony. Nie miał wiele czasu. Zrobił sobie kanapkę i zapakował w kawałek gazety. Śniadanie będzie mógł zjeść później. Umówił się z Jerzym Gralą, że zaczną badania osady sekty Świątynia z samego rana. Filip nie chciał się spóźnić. Naukowiec płacił

mu za przepracowane godziny, a teraz liczył się przecież każdy grosz. Filip postanowił, że w ciągu dnia wyrwie się na chwilę, żeby porozmawiać z matką o tym, co powiedział mu na temat brata Patryk. Razem zdecydują, co z tym począć.

Poszedł na skróty przez pole w kierunku Cichego Lasku. Jerzy Grala czekał już na niego na skraju sosnowego zagajnika. Niebo było błękitne, a powietrze przyjemnie ciepłe. Temperatura nadal utrzymywała się na poziomie kilku stopni powyżej zera, mimo że był już przecież grudzień.

– Dzień dobry – przywitał się naukowiec uprzejmie.
– Dobrze, że pan już jest, panie Filipie. Dziś czeka nas szczególnie interesujące zadanie. Otóż chciałbym, żebyśmy skupili się na domu przywódcy sekty, czyli Witalisa Sobieraja. To ten największy budynek z południowej strony osady. Tam nieco na uboczu.

Ruszyli przez Cichy Lasek.

– Trudno uwierzyć, że ten facet zgromadził tu tych wszystkich ludzi – zagadnął Filip Weiss, żeby przerwać panującą wokół ciszę. – W którym to było roku?

– Członkowie sekty popełnili zbiorowe samobójstwo w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku – przypomniał Jerzy Grala. – W lutym. Podobno zima była wówczas szczególnie mroźna. Nie tak jak teraz. Ja sam pamiętam z dzieciństwa wielkie śniegi. Chociaż taka łagodna aura jak teraz nam akurat sprzyja. Mam nadzieję, że dzięki temu zakończymy badania szybko i sprawnie.

Znowu zapadła cisza. Filip Weiss nadal czuł się w Cichym Lasku nieswojo. Opowieści o duchach, które słyszał w dzieciństwie, nagle zaczęły przerażać go na nowo. Brak jakichkolwiek odgłosów życia w tym niewielkim zagajniku zdawał się upiorny. Jakby jakieś złowieszcze fatum wisiało nad grobem samobójców sprzed kilkadziesiątu lat.

– Ja nic z tego nie pamiętam – zagadnął po chwili. – To znaczy mnie jeszcze w ogóle wtedy nie było na świecie. W listopadzie skończyłem dwadzieścia dziewięć lat. To chyba były zupełnie inne czasy, jak pan myśli? Zbiorowe samobójstwo? Trudno mi sobie wyobrazić, żeby coś podobnego

wydarzyło się dzisiaj. Dlaczego oni nie puciekali z tej osady?

Jerzy Grała wzruszył ramionami.

– Mechanizmy działania przywódców sekty są złożone – wyjaśnił. – Przynależność do tego typu organizacji powoduje trwałe zmiany w konstrukcji ludzkiej psychiki. Oczywiście te zmiany nie dokonują się z dnia na dzień. Taka destrukcja osobowości postępuje stopniowo. Krok za krokiem członkowie sekty uzależniają się całkowicie od swojego guru i ślepo za nim podążają. Nawet na śmierć. Tak jak to było w przypadku wyznawców Witalisa Sobieraja z sekty Świątynia.

– Słyszałem chyba kiedyś, że ci ludzie oddali przywódcy cały swój majątek i porzucili domy i mieszkania, żeby zamieszkać w tej osadzie. To prawda?

– Tak – przyznał Grała. – Kiedy milicja wkroczyła tu jakiś czas po zbiorowym samobójstwie, w domu Witalisa Sobieraja znaleziono nawet cały rejestr przekazanego mu mienia. Przeglądałem go przed przyjazdem do Lipowa. To stara sprawa, więc nie było szczególnego problemu z wglądem do akt. I tak już zostały skierowane do archiwum. Sobieraj rzeczywiście przejął od członków sekty spore sumy. Zwłaszcza jak na tamte czasy. To były lata sześćdziesiąte. Pieniądz miał inną wartość niż teraz.

Zatrzymali się przed zrujnowanym budynkiem na południowym krańcu osady. Był największy ze wszystkich. Nietrudno się było domyślić, że właśnie tu rezydował Witalis Sobieraj, niesławny przywódca Świątyni.

– To czego my właściwie szukamy, skoro milicja już przeczesała wtedy wszystkie te budynki? – zapytał śmieciarz.

– Dobrze pytanie – przyznał naukowiec. – Wszystkiego i niczego. Przeglądałem już całą dokumentację, ale chcę się temu wszystkiemu przyjrzeć na żywo. Część rzeczy i sprzętów na pewno tu została. Nie wszystko ma przecież faktyczną wartość materialną. Chodzi natomiast o rozwój nauki. Proszę otworzyć te drzwi, panie Filipie.

Weiss wziął łom i wyważył zabite deskami drzwi do domostwa przywódcy sekty. Na rękach miał już pęcherze, ale to chyba były ostatnie zamknięte drzwi tej osady. Śmieciarz

odetchnął z ulgą.

– Wspaniale – pochwalił Jerzy Grala. – Pomyślałem, że podzielimy się pracą. Ja zajmę się parterem. Chciałbym osobiście się przyjrzeć pokojowi zwanemu Świątynią Kontemplacyjną. Pan zajmie się górą.

– Świątynia Kontemplacyjna? Dziwna nazwa – podchwycił Filip. – Co jest szczególnego w tym pokoju?

– Tam podobno Witalis Sobieraj medytował i kontaktował się ze Stwórcą. Znajdują się tam też interesujące rysunki na ścianach. Zrobione są ochrą, ponieważ Sobieraj uważał, że ochra ma szczególną moc. Podobny był w tych swoich wierzeniach do Indian, a nawet ludów wcześniejszych okresów. Tym zajmę się ja. Muszę porobić zdjęcia. Chciałbym, żeby pan w tym czasie przejrzał pokoje na piętrze i spisał wszystkie przedmioty, które tam są. Jak pan będzie gotowy, to niech pan przyjdzie do mnie.

Jerzy Grala podał Filipowi Weissowi średniej grubości notes oprawiony w skórę.

– Tu proszę wszystko zapisywać – dodał. – Mam tylko nadzieję, że przez te lata ludzie nie rozkradli wszystkiego.

– Spokojna głowa. Nikt z Lipowa się tu raczej nie zapuszcza – pocieszył naukowca Filip Weiss. – Może to śmieszne, ale mam wrażenie, że my raczej unikamy Cichego Lasku. Takie tam głupoty o duchach, ale ludzie w to wierzą.

Niedziela rozpoczynała się pięknie. Tytus Weiss wyjrzał ostrożnie przez okno. Niemal bał się, że w magiczny sposób pojawi się w nim więzienna krata. Okno domu matki było jednak takie samo jak wczoraj, kiedy tu przyjechał. Czysta szyba za świeżo wypraną białą firanką.

Matki już nie było. Poszła do kościoła, a potem planowała popracować w bibliotece. Tytus nie mógł wyjść z podziwu, jak Urszula Weiss się zmieniła przez te lata. Nie zewnętrznie, bo tu pozostała niemal taka sama. To nie była już jednak ta sama osoba. Od powrotu Tytusa do domu ani razu nie wspomniała o ojcu. Ani razu. Piętnaście lat temu to byłoby niemożliwe.

Wtedy właściwie każda ich rozmowa kręciła się wokół tego tematu.

Tytus miał nadzieję, że jest już po wszystkim. Tym bardziej że dziś miał po raz pierwszy stawić się w komisariacie w Lipowie. To był jeden z warunków zwolnienia z więzienia. Od teraz miał żyć na wolności, ale być niejako pod kuratelą policjantów z rodzinnej wsi. Weiss nie był pewien, czy sędzia, który o tym zdecydował, zdawał sobie sprawę z sytuacji. Być może tak. Może zrobił to specjalnie. Pozwolił Tytusowi opuścić więzienie, ale skazał go na nienawistne spojrzenia rodzin ofiar pożaru sprzed piętnastu lat.

Była niedziela i Tytus miał nadzieję, że w wolny dzień w komisariacie nie będzie praktycznie nikogo. Wolałby podejść do tego rozsądnie. Nie był pewien, co właściwie powinien zrobić. Przeprzić? Czy tego właśnie wszyscy od niego oczekiwali? Przeprzyny od mordercy?

Tytus rozejrzał się po swoim dawnym pokoju. Niewiele się tu zmieniło przez te lata. Matka chyba cały czas pielęgnowała to pomieszczenie dla niego. Zerknął do szafy w poszukiwaniu jakiegoś ubrania. Wyglądało jednak na to, że kilogramy zbędnych mięśni, które wypracował w więziennej siłowni, nie pozwolą mu się wcisnąć w żadne ze starych chłopięcych strojów.

Więzień numer 1126 zamknął szafę gniewnym ruchem. Czy to był on czy Tytus? Który z nich? Drewniane drzwiczki uderzyły o framugę głucho. Mam wybór, powtarzał sobie w duchu. Nie jestem już numerem.

– Spokojnie – powiedział na głos. – Psycholog więzienny i o tym wspominał.

Z braku innych możliwości Tytus Weiss włożył tę samą lekko przepoconą bluzę, w której przyjechał do Lipowa. To będzie musiało wystarczyć. Policjanci i tak nie zauważąliby jego starań. W to nie wątpił. W pewnym sensie trudno było im się dziwić.

W pełnym książek korytarzu Tytus włożył czapkę i wytartą kurtkę, którą zdobył jeszcze podczas odsiadki. Wyglądała na wojskową. Może nawet należała kiedyś do jakiegoś

żołnierza. Jego odbicie w lustrze, mimo stosunkowo niewielkiego jak na mężczyznę wzrostu, wyglądało imponująco. Był gotowy.

Zamknął drzwi domu matki i stał przez chwilę na ganku. Chodnikiem przechodziło kilku mężczyzn. Kolejne wyzwicka popłynęły w stronę Tytusa. Jeden z przechodniów splunął wprost na starannie ułożone kostki ścieżki. Więzień numer 1126 poczuł, że jego mięśnie automatycznie się napinają, a ciało gotowe jest do natychmiastowej walki. Był to nawyk z więzienia, który pozwolił uniknąć kilku niezbyt przyjemnych sytuacji. Na splunięciu się skończyło. Mężczyźni nie rwali się do bójki.

Tytus Weiss ruszył w kierunku komisariatu. Drogę pamiętał doskonale, mimo że przez te wszystkie lata Lipowo bardzo się zmieniło. Gruntowe drogi powykładane były teraz kostką albo wylane asfaltem. Powstały nowe zabudowania. Stare wyremontowano porządnie. Ścięto też wielką starą lipę, która przez lata rosła obok budynku remizy ochotniczej straży pożarnej. Tytus uśmiechnął się w duchu. Tu za dawnych czasów odbywały się dyskoteki. Nie wiedział, czy nadal są organizowane.

Budynek komisariatu nadal przypominał kwadratowe kartonowe pudełko. Tyle tylko, że teraz pomalowany był na intensywnie niebieski kolor. Przed wejściem rósł rachityczny iglak. Drzwi zaskrzypiały, kiedy Tytus przekraczał próg przybytku sprawiedliwości.

W recepcji siedziała Maria Podgórska. Tego spotkania Tytus obawiał się chyba najbardziej. Pani Maria zawsze była dla niego miła, mimo że za młodu często tu trafiał. W pożarze piętnaście lat temu zginął między innymi jej mąż. Teraz Weiss bał się spojrzeć w oczy tej pulchnej starszej pani. Bał się, że zobaczy w nich oskarżenie. Wyglądało jednak na to, że Maria Podgórska również unika patrzenia mu w oczy.

– Musisz podpisać tu. – Starsza pani podała Tytusowi formularz. – Dziś na służbie jest tylko mój Daniel i Emilia Strzałkowska. Nie znasz jej. Są teraz na patrolu. Paweł Kamiński ma sobotę i niedzielę wolną. Ale to chyba lepiej...

radziłabym ci go unikać.

Tytus Weiss wziął formularz i długopis. Tłumione przez lata emocje sprawiały, że ręka trzęsła mu się w niekontrolowany sposób.

– Tu masz ulotkę na temat możliwości podjęcia pracy po odbyciu kary pozbawienia wolności – kontynuowała Podgórska. – Możesz też...

– Pani Mario – przerwał jej.

Starsza pani spojrzała na Tytusa Weissa po raz pierwszy. W jej oczach zobaczył wszystko to, czego się obawiał. W jakiś paradoksalny sposób dodało mu to odwagi.

– Pani Mario, przepraszam, że tak to się potoczyło – powiedział wymijająco. – Nie wiedziałem, że oni tam zginą. Proszę mi uwierzyć.

Starsza pani wpatrywała się w niego intensywnie.

– Tytusie, bardzo bym chciała powiedzieć, że to nie twoja wina. Naprawdę. Niestety nie potrafię tego zrobić. Przykro mi.

– Nie oczekuję tego – odpowiedział Tytus Weiss cicho.

– Kiedy mam się tutaj stawić ponownie?

Maria Podgórska postukała w klawisze komputera.

– Masz przyjść w Wigilię rano – poinformowała go służbowym tonem. – Jeżeli się nie stawisz, trafiasz z powrotem do więzienia w Starych Świątkach. Pamiętaj o tym.

Tytus Weiss doskonale wiedział, że jego przyszłość, lub jej brak, zależy teraz od ludzi, którzy widzą w nim tylko mordercę swoich bliskich. Dla nich nie był człowiekiem. Był jedynie mordercą.

Właściciel ekofarmy Patryk Sołtysik zdjął czapkę. Poczul powiew lekkiego wiatru na swojej niemal łysej czaszce. To nie było zbyt przyjemne, ale potrzebował teraz jakiegokolwiek bodźca, żeby jakoś dojść do siebie po wczorajszej rozmowie z Jagną. Do wieczora snuli przeróżne plany. Patryk nie mógł uwierzyć, że tak łatwo dał się wciągnąć w chore rozważania żony. Chodziło przecież o Filipa Weissa, który był jego bliskim przyjacielem. Jedynym, co Sołtysik miał na swoje

usprawiedliwienie, było to, że podczas rozmowy był zupełnie pijany i głównie to Jagna mówiła.

Alkohol może i był wytłumaczeniem, ale sprawił też, że wczorajszego wieczoru wszelkie granice się zatarły. Rano jednak powróciły razem z nieznośnym bólem głowy i poczuciem niesmaku w ustach. Patryk Sołtysik wymknął się ostrożnie z łóżka, zanim Jagna się obudziła. Nie chciał z nią rozmawiać. Nie po tym, co żona planowała wczoraj. Właściciel ekofarmy nie poznawał ani siebie, ani Jagny. Chodziło przecież o Filipa. Nie o kogoś obcego. O Filipa.

Patryk oddychał przez chwilę głęboko, smakując ciepłe powietrze. Mimo że grudzień zbliżał się już do końca, nadal nie czuć było zapachu zimy. Sołtysik poczuł tylko ostry zapach kóz. Zerknął niechętnie w stronę stodoły. Postanowił, że dziś wydoi te nieszczęsne kozy. Dzięki temu Jagna nie będzie miała pretekstu, żeby przychodzić po niego pod sklep. Wolał jej teraz unikać.

Wydoił i nakarmił kozy. Zwierzęta wydawały się zachwycone jego towarzystwem, więc Patryk zdobył się nawet na pogłaskanie ich po kosmatych łebkach. Schował szybko mleko do chłodni, niezwykle drogiej chłodni, trzeba byłoby dodać, i ruszył szybko przez wieś.

Na szczęście Gierot i Melek, mimo wczesnej pory, siedzieli już pod drewnianym zadaszaniem sklepu Wiery Rosłońskiej. Nos Gierota wyglądał na złamany.

– Co się stało? – zapytał Patryk, chociaż niespecjalnie go to interesowało.

Wszystko było jednak lepsze niż rozmyślanie nad wczorajszą nocną rozmową z Jagną i nieoczekiwanym odkryciem ciemnej strony jej charakteru. Jak ona mogła knuć przeciwko Filipowi?

– Nie uwierzysz, Łysy.

Znienawidzone przewisko sprawiło, że Patryk Sołtysik poczuł się jeszcze gorzej.

– Gadaj wreszcie – rzucił do Gierota zdenerwowany.

– Albin mi przyłożył w nos – poinformował pijak.

Sołtysik spojrział na Gierota zaskoczony.

– Jo – poparł kolegę Melek. – Sam widziałem.

Patryk musiał wyglądać zabawnie z wyrazem całkowitego niedowierzania na twarzy, ponieważ Melek i Gierot zachichotali znacząco. Sołtysik poprawił czapkę z godnością.

– Albin? – upewnił się. – Albin Dworakowski złamał ci nos? Gierot, co ty gadasz? Chyba już ci się zupełnie pomieszało w tym zapijaczonym łbie!

– No jo. Albin Dworakowski mi przyłożył. A jakiego innego Albina mamy w Lipowie? – zirytował się Gierot. Jego głos stał się bardziej bełkotliwy.

– Przecież Albin nie skrzywdziłby nawet muchy – nie dowierzał Patryk. – Wszyscy to wiedzą.

Wszyscy w Lipowie znali chłopca w ciele mężczyzny, który zawsze prosił o cukierki. Mimo że Albin Dworakowski był prawdziwym olbrzymem, trudno było wyobrazić go sobie w roli agresywnego napastnika. Chłopiec w ciele mężczyzny nigdy się nie złościł. Aż do teraz. Nie wróżyło to nic dobrego.

– Najwyraźniej jednak tak, kurwa jego mać, bo mi nosa przetrącił! – krzyknął pijak.

Na policzkach Gierota widać jeszcze było ślady zaschniętej krwi, jakby po tym przykrym incydencie nawet nie umył twarzy.

– Ale jak to się stało? – chciał wiedzieć właściciel ekofarmy.

– Wracalem do domu, nie? Wczoraj wieczorem. Trochę już zapilem, nie powiem – przyznał Gierot. – Sam zresztą wiesz, jak to jest, Łysy. To było jakiś czas po tym, jak ta twoja damulka tu wparadowała. Zdecydowaliśmy z Melkiem, że czas się zwinąć, a tu wpada Albin i wali mnie prosto w mordę. O tak!

Gierot wykonał zamaszysty ruch ręką, udając niezborne ruchy chłopca w ciele mężczyzny.

– Jo – poparł kolegę Melek. – Odbiło mu całkowicie, temu Albinowi. Był jak dzika bestia! Mówię ci! To był widok.

– Tak zupełnie bez powodu? – zdziwił się Patryk Sołtysik.

Gierot wzruszył chudymi ramionami.

ROZDZIAŁ 7

Lipowo.
Niedziela, 22 grudnia 2013. Po południu

Urszula Weiss korzystała z niedzieli, żeby starannie poukładać książki w bibliotece. Ludzie czasami przeglądali je bez wypożyczenia, a potem nie odkładali na miejsce. Wtykali je tylko, gdzie wygodniej. To było wyjątkowo irytujące, ale Urszula nie mogła nic poradzić na niechłujstwo innych.

Niedziela to był jedyny dzień tygodnia, kiedy biblioteka w Lipowie zamykała swoje podwoje przed miłośnikami czytania. Nigdy nie było tu tłumów, ale zawsze kilka osób decydowało się wypożyczyć tę czy inną pozycję. Urszula Weiss chętnie używała Internetu, żeby się dowiedzieć, jakie są obecnie najpopularniejsze bestsellery, i starała się zdobyć je dla lipowskiej biblioteki. Dawno już straciła nadzieję, że ktoś z mieszkańców zainteresuje się jej ukochaną półką z utworami wielkich literatów. *Czarodziejska góra*, *W poszukiwaniu straconego czasu*, *Miłość w czasach zarazy* czy *Proces* stały zapomniane. Urszula odkurzała jednak tę półkę wytrwale. Dziś nawet jeszcze bardziej wytrwale niż zazwyczaj.

Przed chwilą odwiedził ją jej ukochany syn Filip i nadal nie mogła dość do siebie.

– Jestem tylko na chwileczkę – powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Urszula Weiss myślała, że młodszy syn chce spędzić z nią chwilę. Czasami przychodził posiedzieć z matką w bibliotece. Okazało się jednak, że tym razem chodziło o coś zgoła innego. Chodziło o Tytusa i wydarzenia sprzed piętnastu lat. Filip snuł swoją opowieść z wypiekami na rumianej twarzy. Bibliotekarka słuchała, zaciskając zęby. Każde słowo jej młodszego syna było jak nóż, który boleśnie ranił jej ciało.

Urszula Weiss poczuła się w najgorszy sposób zdradzona. To nie miało być tak. Nie mogła uwierzyć, że jej ukochany Filip może sugerować coś takiego. Bo przecież sugerował, prawda? Jej Filip? Już prędzej spodziewałaby się tego po Tytusie. Ale Filip?

Odłożyła kolejną książkę na właściwą półkę. Głęboko u podstawy czaszki poczuła dawno zapomniany szum. Wiedziała, co powinna zrobić w takiej sytuacji. Lepiej działać zawnazasu, niż potem żałować, sugerował doktor.

Urszula podbiegła do biurka i wyciągnęła z głębi szuflady fiolkę tabletek. Ważyła ją przez chwilę w dłoni. Nagle zrozumiała, że wcale nie chce wracać do lekarstw. Sprawiały, że źle się czuła. Nie była sobą. Hamowała się.

Decyzja zapadła i Urszula wrzuciła opakowanie tabletek z powrotem do szuflady. Niemal w tym samym momencie usłyszała, że drzwi biblioteki otwierają się. Miała cichą nadzieję, że to Filip wraca powiedzieć jej, że cofa wszystko, co sugerował przed chwilą, że to tylko pomyłka.

– Mamo? – usłyszała głęboki głos starszego syna. – To ja, Tytus.

A więc to nie Filip... Mimo ogłuszającego już teraz szumu w głowie bibliotekarka poprawiła włosy. Zawsze starała się być elegancka. To bardzo w życiu pomagało. Takie właśnie pozory sprawiały, że przez tak długi czas jakoś się trzymała. Może teraz też pomogą.

– Jestem tutaj – poinformowała. – Byłeś już w komisariacie?

Tytus Weiss wyłonił się zza regału. Pobyt w więzieniu sprawił, że trudno było teraz uwierzyć, że on i Filip są braćmi. Zniknęły resztki podobieństwa między jej synami.

– Tak. Poszło dobrze – powiedział Tytus lakonicznie.

Urszula Weiss starała się wychwycić fałszywą nutę w jego głosie.

– Pytali o coś? – zaryzykowała.

Nie chciała alarmować Tytusa, póki nie przemyśli całej sytuacji i tego, co powiedział jej Filip.

– Nie. Wszystko w porządku – zapewnił ją starszy syn.

Fryzjerka Ewelina Zaręba zmiatała włosy z podłogi swojego salonu. Jej starsza córka Andżelika grała w jakąś zajmującą grę na telefonie komórkowym z różowym breloczkiem. Muzyczka towarzysząca zdobywaniu kolejnych punktów rozbrzmiewała w całym salonie.

Być może przez kontrast z kilkumiesięczną Zuzią Andżelika wydawała się teraz fryzjerce niesłychanie dorosła. Dziewczynka miała niecałe jedenaście lat, ale Ewelina czuła, że córka nie jest już dzieckiem. Andżelika znalazła się w zawieszaniu gdzieś pomiędzy dzieciństwem a nastoletnim okresem buntu.

– Mamo, idę do Klary – poinformowała dziewczynka, odkładając komórkę. – Mogę?

Ewelina Zaręba odłożyła miotłę w kącie.

– Jasne. Mam dziś sporo klientek, więc i tak nie będzie mnie w domu do wieczora – powiedziała. – Tata poszedł z Zuzią na spacer. Nie wracaj za późno, kochanie.

– Chyba ciocia Iza idzie do ciebie – stwierdziła Andżelika, wkładając kurtkę.

Fryzjerka wyjrzała przez okno. Rzeczywiście szybkim krokiem zbliżała się żona śmieciarza. Izka zostawiła pewnie małego Oskarka z dziadkami, ponieważ nie pchała przed sobą wózka.

– To ja już idę, dobra, mamo?

– Tak, tak, kochanie – odpowiedziała Ewelina machinalnie.

Andżelika i Izka Weiss minęły się w drzwiach. Żona śmieciarza wyglądała na przygnębioną. Stała pośrodku salonu, jakby niepewna, co właściwie ma zrobić.

– Ewelinka, muszę z tobą pogadać – powiedziała w końcu nieswoim głosem.

– Zaraz mam klientkę, ale siadaj i mów szybko. Chcesz kawę?

Izka Weiss niecierpliwie machnęła ręką.

– Muszę się jakoś pozbyć Filipa – oznajmiła równie obcym głosem jak poprzednio.

Ewelina Zaręba spojrzała na przyjaciółkę zaskoczona.

– Izunia, o czym ty mówisz? Jak to pozbyć się Filipa?

Izka otworzyła usta, ale nie zdążyła odpowiedzieć. Do salonu

weszła największa plotkara we wsi, pani Drewniakowa. Przy niej żadna rozmowa nie była możliwa. Chyba że ktoś liczył na szybki rozgłos. Ewelina Zaręba sięgnęła po nożyczki, spoglądając jednocześnie na Izkę z niepokojem.

Jerzy Grała zaczął pakować sprzęt. Został w osadzie sekty Świątynia sam. Jego pomocnik poszedł już do domu. Na dziś zdecydowanie wystarczyło im emocji. Grała jeszcze raz rzucił okiem na pomalowaną ochrą ścianę w pokoju zwanym Świątynią Kontemplacyjną. Wytarł ręce. Wszystko było już gotowe.

Jerzy zamknął torbę i przewiesił ją sobie przez ramię. Była ciężka, ale jakoś musi donieść ją do „Wrzosów”. Może jutro trzeba będzie jednak podjechać do Cichego Lasku samochodem? Grała szybko odrzucił tę myśl. Resory starego transportera chyba nie dałyby rady na piaszczystej polnej drodze i polodowcowym pagórkom.

Naukowiec wyrzał przez okno domu przywódcy sekty. Zachodzące słońce złościło zapadnięte słomiane dachy pozostałych zabudowań osady. Jerzy wcale nie chciał jeszcze stąd odchodzić. Miał niejasne odczucie, jakby to miejsce go przyciągało. Zbadał już dziesiątki tego typu miejsc, ale pierwszy raz tak się czuł. Czyżby jednak Witalis Sobieraj miał w sobie jakąś moc i używał jej nawet zza grobu, jak twierdzili miejscowi? Umysł Jerzego Grały buntował się przed taką możliwością. Nigdy nie był przesądny, a przede wszystkim nie wierzył w duchy.

Wyszedł na dwór i rozejrzał się dookoła, jakby szukał pretekstu, żeby jeszcze chociaż przez chwilę nacieszyć się niespotykaniem ciepłym grudniowym popołudniem na wsi. Przypomniał sobie nagle o szopie, która znajdowała się za domem Witalisa Sobieraja. Nie zdążyli jej jeszcze przeszukać.

Zadowolony z siebie naukowiec postanowił, że przyjrzy się drewnianemu kantorkowi, a później wróci do „Wrzosów”. Szopa była ostatnim niezbadanym miejscem w Cichym Lasku.

Graża czuł, że nie zmrzy oka, jeżeli tam nie zajrzy.

Jerzy wziął pozostawiony przez Filipa Weissa łom i ruszył do drzwi niewielkiego budynekczku. Otworzył je bez większych problemów, mimo że na ramieniu nadal miał ciężką torbę. Nie chciał jej już zdejmować. W powietrzu unosił się kurz. Graża zakrztusił się i zmrzył oczy. Stał przez moment w drzwiach, czekając, aż pył nieco opadnie.

W końcu jego oczom ukazało się mroczne wnętrze szopy. Powietrze było nieprzyjemnie stęchłe. Bardziej może nawet niż w pozostałych zabudowaniach osady. Graża wszedł do środka z niechęcią. Może jednak wizyta w składziku na sam koniec dnia pracy i po tylu emocjach nie była najlepszym pomysłem.

Już miał się wycofać, kiedy zauważył spory kufer pod przeciwną ścianą. Podeszedł do skrzyni, ostrożnie stąpając pomiędzy zbutwiałymi trzonkami grabi i szpadli. Zajrzał do środka, ale nie było tam nic godnego uwagi. Głównie nadgryzione przez myszy płócienne worki, które kiedyś zapewne wypełnione były zbożem albo nasionami.

Naukowiec zamknął wieko. Zauważył wówczas, że skrzynia była dziwnie odsunięta od ściany, jakby coś za nią leżało. Jerzy Graża sięgnął do torby po latarkę. Serce zaczęło mu bić szybko.

Niemal upuścił latarkę z zaskoczenia, kiedy zobaczył, co ukryte jest za skrzynią.

Carin Nilsson wymknęła się z „Wrzosów”, jak najdyskretniej umiała. Crister brał kąpiel, a ona wiedziała, że to może trochę potrwać. Miała nadzieję, że uda jej się szybko załatwić sprawę i wrócić do pokoju, zanim brat zauważy jej nieobecność.

Przez kilka dni pobytu w Lipowie Carin zdążyła już dość dobrze poznać tę niewielką wioskę. Pobiegła na skróty w kierunku ukrytego kawałek za główną częścią wsi domu śmieciarza Filipa Weissa, mężczyzny, którego kiedyś tak bardzo kochała. Carin bardzo długo myślała, że ona i Filip są dla siebie stworzeni. Nie potrafiła zacząć go nienawidzić nawet po tym, co jej zrobił.

Niemal biegła przez tonącą już w mroku wieś. W oddali

zobaczyła jakieś poruszenie, ale nie przejęła się tym zanadto. Miała tylko nadzieję, że Filip będzie w domu. Musiała z nim jak najszybciej porozmawiać. Zanim będzie za późno.

Dotarła do domu śmieciarza, kiedy Weiss akurat wychodził. Najpierw spojrzął na nią niechętnie, ale zaraz rozejrzał się trwożnie. Zapewne w poszukiwaniu Cristera. Brat miał talent do skupiania na sobie całej uwagi.

– *Vad vill du, Carin?*⁹ – zapytał Weiss prawie przyjaźnie, kiedy upewnił się, że Cristera z nią nie ma.

Carin Nilsson uwielbiała ten dziwny, słowiański akcent, kiedy Filip nieco niezdarnie mówił po szwedzku. Zdawał się przyjemnie egzotyczny. Czasem szyk zdań zmieniał się w coś niezgłębionego, innym razem był perfekcyjny.

– Filip – zaczęła.

Uwielbiała nawet jego imię. Sama tego nie rozumiała. Zdawała sobie sprawę, że Weiss nie ma w sobie właściwie nic szczególnego. Mimo to nadal go kochała. Jakby się od niego uzależniła i nie potrafiła już funkcjonować bez jego ciągłej obecności. Te kilka miesięcy po jego ucieczce z Trelleborga było prawie nie do wytrzymania.

– *I came to warn you* – powiedziała, przechodząc na angielski. W tym języku najczęściej się porozumiewali, żeby uniknąć ewentualnych niedomówień. – *Crister... he is...*¹⁰.

Carin nie wiedziała, jak to wyrazić po angielsku, ale uważała, że brat jest zdolny do wszystkiego. Jego krew była gorąca, jakby pochodził z dalekiego południa.

– *Crazy* – dopowiedział śmieciarz. – *I know*¹¹.

– *You don't understand anything* – powiedziała, siląc się na spokój. – *Sometimes even I am scared of him*¹².

Filip spojrzął na Carin Nilsson badawczo albo przynajmniej tak jej się wydawało. Wiatr szumiał w zaroślach otaczających jego dom.

9 Czego chcesz, Carin?

10 Przyszłam cię ostrzec... Crister... on jest...

11 Szalony. Wiem.

12 Nic nie rozumiesz. Czasami nawet ja się go boję.

– *Lyssna, Carin. Jag är ledsen att jag behandlade dig så*¹³
– spróbował Filip Weiss po szwedzku. Zabrzmiało to sztucznie. Jakby mówił za niego mechaniczny głos komputerowego tłumacza.

– *It's OK* – zapewniła go Carin po angielsku, jakby to wszystko miało jeszcze jakieś szanse powodzenia.

Filip pokręcił głową zdecydowanie.

– *I shouldn't have...* – zaczął, ale nagle jego ton się zmienił.

– *Why have you told your brother? Why?*¹⁴

Dlaczego? Carin Nilsson poczuła, że wzbiera w niej gniew. Postanowiła jednak nic nie mówić. Nie ufała teraz swojemu głosowi.

– *Anyway, I will give you your money back* – obiecał Filip Weiss z nagłą mocą. – *Don't worry. The situation has changed. But you have to give me a couple more days. Now I have to go, baby*¹⁵.

Serce Carin Nilsson zabiło mocniej na to pieszczotliwe określenie, którego zawsze w stosunku do niej używał.

– *Ja...*¹⁶ – wydusiła.

Starszy sierżant Marek Zaręba bujał z przejęciem wózek z maleńką Zuzią. Truchtał trochę w miejscu, ponieważ wraz z zapadnięciem zmroku zdążyło się już znacznie ochłodzić. Córeczka kwiliła cicho, ale młody policjant wcale nie miał ochoty odchodzić spod Cichego Lasku.

Jakąś godzinę temu biegł lekkim truchtem przez polną drogę. Miał już za sobą ponad piętnaście kilometrów i zależało mu na spokojnym ostudzeniu rozgrzanych mięśni. Przed sobą pchał wózek z Zuzią. Bieganie z maleńką córeczką wcale nie było takie trudne, jak się początkowo obawiał.

Nagle z zarośniętej drogi od strony zagajnika zwanego przez

13 Słuchaj, Carin. Przepraszam, że tak cię potraktowałem...

14 Nie powinienem był... Dlaczego powiedziałaś bratu? Dlaczego?

15 W każdym razie oddam ci te pieniądze. Nie martw się. Sytuacja trochę się zmieniła. Dajcie mi jeszcze kilka dni. Teraz muszę lecieć, mała.

16 Tak...

wszystkich Cichym Laskiem wyszedł rozgorączkowany mężczyzna. Marek Zaręba od razu rozpoznał w nim naukowca, który zatrzymał się u profesora Seweryna Dworakowskiego we „Wrzosach” i miał badać osadę sekty samobójców.

– Dobrze, że pana widzę! – zawołał Jerzy Grała na widok Marka. – Ma pan może telefon komórkowy? W moim wyładowała się bateria.

– Czy coś się stało?

Zaręba odruchowo przyjął oficjalny policyjny ton, mimo że przecież formalnie nie był na służbie. Przez dwa tygodnie był tatą na pełny etat, a nie funkcjonariuszem tutejszego komisariatu.

– Jestem doktor Jerzy Grała – przedstawił się mężczyzna. Cały czas zdawał się bardzo czymś poruszony. – Badam osadę sekty Świątynia i...

– Wiem, kim pan jest – pośpieszył mu z pomocą młody Marek Zaręba. – Proszę powiedzieć, co się stało. Pracuję w tutejszej policji. Może będę mógł jakoś panu pomóc.

Na te słowa Jerzy Grała wyraźnie się uspokoił.

– Tam w osadzie znalazłem jakieś kości – wyjaśnił. – Widocznie milicja musiała pominąć ciało jednego z samobójców, kiedy przeszukiwali teren w sześćdziesiątym piątym roku. To by oznaczało, że było trzydziestu jeden samobójców, a nie trzydziestu, jak się powszechnie uważa... nic z tego nie rozumiem. Jestem całkiem roztrzęsiony. Nie wiedziałem, że było ich trzydziestu jeden w dzień samobójstwa. To przeczy wszystkim moim informacjom!

– Proszę mnie tam zaprowadzić – poprosił Marek. – Zobaczymy, jak wygląda sytuacja. Niech pan się niczym nie martwi.

Jerzy Grała spojrzawszy sceptycznie na nieco przepecony od długiego biegu dres Marka Zaręby i śpiące w wózku do joggingu dziecko.

– Nie powinniśmy po kogoś zadzwonić? – zapytał naukowiec.

– Oczywiście, że zadzwonimy – zapewnił młody policjant.

– Ale najpierw chciałbym sam zobaczyć te kości.

Starszy sierżant Marek Zaręba nie chciał niepokoić kolegów, jeżeli mieli do czynienia ze szczątkami jakiegoś zwierzęcia. Zaaferowani cywile mogli wziąć kości nawet niewielkiego psa za trupa, jeżeli tylko towarzyszyło temu wystarczająco dużo emocji.

Młody policjant pamiętał, że mieli już taki przypadek jakiś rok, może dwa temu. Ekipa patologa nie była zadowolona, kiedy zjawiała się na miejscu, żeby odkryć grób z kośćmi czyjegoś czworonożnego pupila. Dlatego właśnie Marek wolał dmuchać na zimne. Jerzy Grała może i był naukowcem, ale i w nim emocje mogły wziąć górę. Jeżeli okaże się, że szczątki chociaż trochę przypominają ludzkie, Zaręba miał zamiar od razu wezwać Daniela Podgórskiego i ekipę z zakładu medycyny sądowej. Wszystkie szczątki ludzkie, bez względu na to jak stare, muszą zostać zbadane. Dyrektywa z góry.

Tak było godzinę temu. Teraz sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej. Cichy Lasek wypełnił się głosami ludzi. Na szczycie pobliskiego wzgórza błyskał kogut radiowozu z posterunku w Lipowie. Marek Zaręba, Daniel Podgórski i ich nowa koleżanka Emilia Strzałkowska stanęli nieco z boku i obserwowali ekipę kryminalistów uwijających się po całej osadzie sekty Świątynia. Znalezienie jednych zapomnianych szczątków mogło bowiem oznaczać, że czterdzieści osiem lat temu milicja przeoczyła jeszcze kogoś.

– Jak to możliwe, że tego ciała nie odkryto w latach sześćdziesiątych? Nie było jakiegoś spisu członków tej sekty?

– zainteresowała się sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska.

– Nikt się nie zorientował, że kogoś brakuje?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – przyznał młodszy aspirant Daniel Podgórski. – Będziemy musieli to sprawdzić. Jak będzie już orzeczenie od medyka sądowego na temat tych kości, pewnie to na nas spadnie ustalenie tożsamości tej nieznaney osoby. Trzeba będzie dokładniej przejrzeć dokumentację tej sekty.

Rozgorączkowany Jerzy Grała stanął kilka kroków od policjantów i również obserwował zamieszanie, które zapanowało na terenie jego badań.

– Według dokumentacji podczas samobójstwa w osadzie sekty Świątynia przebywało dokładnie trzydzieści osób – pospieszył z informacją naukowiec. Markowi wydało się, że męczyzna przykłada niezwykle dużą wagę do szczegółów. – Witalis Sobieraj, który był przywódcą tego zgromadzenia, robił bardzo dokładne notatki na temat wszystkich dorosłych członków sekty. Nie wspominał tylko o dzieciach.

– Dlaczego?

– Według jego wierzeń dzieci do pewnego wieku były nieczyste.

– Nieczyste? – powtórzyła Emilia Strzałkowska zdziwiona.

Jerzy Grala pokiwał głową.

– Dokładnie tak uważał Witalis Sobieraj. Dopiero od szesnastego roku życia dzieci mogły zostać uznane za ludzi, a co za tym idzie, mogły zostać przyjęte do sekty. Wcześniej nie miały tego przywileju.

– Może ten szkielet należał właśnie do dziecka – zastanawiał się Marek Zaręba. – Może dlatego nie było go w spisie?

To była bardzo nieprzyjemna myśl. Młody policjant spojrzał szybko do wózka z małą Zuzią, jakby chciał się upewnić, że córeczka na pewno jest bezpieczna. Dziewczynka znowu zasnęła. Długie przebywanie na świeżym powietrzu widocznie jej służyło.

– Jak to się stało, że oni stąd nie puciekali? – zastanawiała się znowu głośno Emilia Strzałkowska. – Mnie się to wydaje niepojęte. To niecały kilometr od wsi.

– Na moje, to było pieprzone pranie mózgów – usłyszeli, zanim Jerzy Grala zdążył cokolwiek powiedzieć. – I tyle.

Wszyscy odwrócili się zaskoczeni. Paweł Kamiński zbliżał się do nich, przecinając zarośniętą drogę długimi sprężystymi krokami.

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego, kurwa jego mać, nikt do mnie nie zadzwonił, że mamy akcję? – rzucił Kamiński, nie zważając na obecność Jerzego Grali. – Ktoś mi to wytłumaczy?

Daniel Podgórski odchrząknął i zerknął w stronę naukowca.

– Miałeś mieć dzisiaj wolne, Paweł – wyjaśnił krótko szef komisariatu, rzucając koledze intensywne spojrzenie.

Paweł nic sobie nie robił ze starań Daniela.

– A co robi tu Młody, skoro tak? On nie ma wolnego? Pieprzenie.

Jerzy Grala wzdrygnął się na te ostre słowa.

– Paweł – syknął Podgórski. – Właściwie nic wielkiego się nie dzieje. Musiałem wezwać ekipę techników. Chodzi o stare kości. Jutro rano będzie odprawa, to wszystkiego się dowiesz. Sam przecież wiesz.

– Nie, kurwa, nie wiem! – huknął Kamiński. – Zaczynam podejrzewać, że celowo mi o niczym nie mówisz, żeby mnie odsunąć od działań. Zleciało się tu już pół wsi. Tylko ja się dowiaduję o wszystkim ostatni.

Rzeczywiście na okolicznych wzgórzach zebrało się już sporo mieszkańców Lipowa. Wieści jak zwykle szybko się rozniosły w ich niewielkiej społeczności.

– Proszę uważać na malunki w Świątyni Kontemplacyjnej Witalisa Sobieraja! – krzyknął Jerzy Grala, kiedy kolejni technicy wchodzili do budynku. – One mają niezwykłą wartość badawczą. Bardzo proszę! Proszę ich nie dotykać. Nie zdążyłem jeszcze wszystkiego dobrze udokumentować.

Wokół zapanowało ogólne zamieszanie. Małeńka Zuzia obudziła się i zapłakała cicho zdezorientowana. Marek Zaręba wziął córeczkę na ręce i zaczął ją delikatnie kołysać. Nie był do końca pewien, czy Zuzia zaczęła płakać z powodu hałasu, czy może była głodna albo trzeba było zmienić jej pieluszkę. Język niemowlęcia nadal stanowił dla młodego policjanta zagadkę. W tej kwestii Ewelina radziła sobie znacznie lepiej.

Marek zauważył, że w ich stronę zmierza uśmiechnięty jak zwykle patolog Zbigniew Koterski.

– Witam panów! – zawołał medyk sądowy. Bujne kasztanowe loki tańczyły wokół jego wesołej twarzy. – O przepraszam, nie zauważyłem pani.

Patolog sądowy skłonił się lekko Emilii Strzałkowskiej.

– Nie wiedziałem, że macie teraz w komisariacie damę – zwrócił się do Daniela.

Podgórski i Koterski zdążyli się już dość dobrze poznać, a może nawet zaprzyjaźnić. Pracowali razem przy kilku

sprawach. Marek natomiast nie znał patologa zbyt dobrze.

– Emilia jest z nami od niedawna – wyjaśnił Daniel.

– Zastępuje Janusza Rosoła i Młodego.

– Ja jestem praktycznie na urlopie – wtrącił się Marek Zaręba.

– Widzę właśnie. – Medyk sądowy zaśmiał się jowialnie.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał Podgórski, przechodząc do rzeczy.

Doktor Zbigniew Koterski pokręcił lekko głową.

– Nie jestem specjalistą od kości – przyznał. – Na moje oko są dość stare. Mogę też powiedzieć, że należały do kobiety.

Policjanci spojrzeli po sobie. Robocza teoria, którą przed chwilą stworzyli, została szybko obalona.

– Czyli to nie było dziecko? – upewnił się młody Marek Zaręba na wszelki wypadek.

Medyk sądowy pokręcił głową.

– Nie, zdecydowanie nie. Będę jednak musiał wysłać te szczątki do zbadania antropologowi sądowemu do Warszawy, żeby dowiedzieć się więcej – wyjaśnił. – Macie szczęście. Ostatnio współpracowałem przy innej sprawie z doktor Dominiką Rzewuską. Już do niej dzwoniłem. Po znajomości zawsze szybciej to idzie. Rzewuska ma przyjrzeć się tym kościom w ciągu najbliższych dni, mimo że już prawie Boże Narodzenie. Mam nadzieję, że powie nam coś więcej.

– Czyli mogła być tu trzydziesta pierwsza osoba – mruknął ledwo dosłyszalnie Jerzy Grał. – Byłem pewien, że samobójstwo popełniło trzydzieści osób.

Wszyscy spojrzeli na Grałę, mimo że ten mówił bardzo cicho. Teraz zdawał się całkowicie pogrążony w rozważaniach.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zainteresowała się Emilia Strzałkowska. – Cały czas powtarza pan te liczby...

– Jestem naukowcem – powiedział Jerzy godnie.

– Chciałbym to wszystko rzetelnie udokumentować. Dla pani jedna osoba mniej czy więcej może nic nie znaczyć, ale dla nauki nawet najdrobniejszy szczegół ma znaczenie. O kwestiach moralnych już nawet nie wspomnę!

– Pieprzenie – zaśmiał się Paweł Kamiński, poprawiając

skórzaną kurtkę.

Jerzy Grala odwrócił się najwyraźniej obrażony tym obcesowym traktowaniem.

– Pójdę zabezpieczyć artefakty z domu Witalisa Sobieraja – oznajmił zimno, ignorując komentarz policjanta. – Bardzo państwa przepraszam.

Małeńka Zuzia rozpląkała się na dobre. Starszy sierżant Marek Zaręba znowu zaczął pocieszać córeczkę.

– Jedno jest pewne – dodał medyk sądowy Zbigniew Koterski. – Będziecie mieli trochę pracy. Ta kobieta nie zginęła śmiercią naturalną.

– Tu w Cichym Lasku nikt nie zginął śmiercią naturalną – przypomniał Daniel Podgórski. – Wszyscy członkowie sekty Świątynia popełnili samobójstwo. Użyli chyba jakiejś trucizny. Nie pamiętam, czego konkretnie.

Koterski pokręcił głową.

– Ta kobieta nie zażyła trucizny. To znaczy może i zażyła – poprawił się patolog szybko. – Ale jest jeszcze coś.

Drobna Jaśmina Ciosek-Dworakowska pomogła Albinowi wsiąść do starego saaba. Chłopiec w ciele mężczyzny był wyraźnie pobudzony. Jaśmina nie była pewna, czy kuzyna wyprowadziły z równowagi długie przedświąteczne zakupy i tłumy osób w sklepie, czy chodziło o coś zupełnie innego.

Profesor Seweryn Dworakowski przekręcił kluczyk w stacyjce, ale silnik tylko się zadławił. Auto miało już najlepsze czasy za sobą. Jaśmina westchnęła głośno. Tego tylko im brakowało. Utknąć na parkingu supermarketu w Brodnicy z marudzącym na tylnym siedzeniu Albinem. Kilku kupujących przyglądało im się dziwnie.

– Jaśmino, daj Albinowi cukierki – rozkazał wuj. – Nie mogę już znieść tych krzyków. Tego jest dla mnie za wiele.

Seweryn Dworakowski rzeczywiście wyglądał na zmęczonego. Na jego twarzy pojawiły się chyba nowe zmarszczki. Dziś bardziej niż zazwyczaj widać było, że ma już siedemdziesiąt lat.

– Cukierki – podchwycił Albin natychmiast.

Jaśmina sięgnęła posłusznie do torebki, gdzie zawsze trzymała ulubione słodczyki kuzyna. Na tylnym siedzeniu wreszcie zapanowała cisza, przerywana jedynie sporadycznymi mlaśnięciami. Za każdym razem, kiedy Albin przełykał głośniejsze, twarz profesora wykrzywiła się nieznacznie.

Wuj powtórnie przekręcił kluczyk w stacyjce. Tym razem silnik samochodu zaskoczył głośno i saab ruszył spod ogarniętego świąteczną gorączką supermarketu.

– Wuju, co jest w tych dodatkowych paczkach? – zapytała Jaśmina, żeby rozładować napiętą atmosferę. – W tych, po które poszedłeś sam.

Dziewczyna była zdania, że rozmowa o świątecznych prezentach jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Seweryn Dworakowski pilnował dwóch toreb z towarami, które kupił gdzieś poza supermarketem, jak oka w głowie. Jaśmina już się cieszyła na świąteczne niespodzianki, mimo że przecież nie była dzieckiem.

Twarz profesora Dworakowskiego stężała nagle.

– Nie będziemy o tym rozmawiać – uciął krótko.

Dalej jechali w całkowitym milczeniu. Coś było bardzo nie w porządku. Jaśmina Ciosek-Dworakowska czuła to całą sobą.

ROZDZIAŁ 8

Lipowo.

Wtorek, 3 listopada 1998

Aspirantka Zofia Dworakowska uporządkowała swoje biurko i wyszła do recepcji. Starszy aspirant Jan Kamiński stał w korytarzu i ćmił papierosa. Taki miał zwyczaj. Nikomu w komisariacie to nie przeszkadzało.

Kolega uśmiechnął się szeroko na widok Zofii. Jan był jednym z najmiłszych ludzi, jakich Dworakowska знаła. Zawsze był dla wszystkich uprzejmy i pomocny. Policjantka często porównywała kolegę z komisariatu ze swoim mężem. Profesor Seweryn Dworakowski był jej co prawda oddany, ale nigdy nie okazywał czułości. Zofia zastanawiała się, czy to jej wina, czy po prostu Seweryn takim właśnie jest człowiekiem. Zimnym.

– Wszystko w porządku, Zosiu? – zapytał Jan Kamiński, jakby przejrzał ją na wylot. – Wydajesz się przygnębiona. Co się dzieje?

– Jestem tylko trochę zmęczona – powiedziała Dworakowska szybko.

Kłamała, ale nie chciała na razie rozmawiać z Janem o mężu. Nie dlatego, że mu nie ufała. To były jej problemy rodzinne. Najpierw chciała się z nimi uporać sama. Potem być może ze wszystkiego zwierzy się koledze.

– Za długo tu siedziałas – upomniał ją Jan Kamiński. – Dziś tylko ja mam dyżur. Romek Podgórski i Maria poszli już do domu. Ty też powinnaś wracać do rodziny. Nie możesz się tak przepracowywać. To niezdrowe.

Aspirantka Zofia Dworakowska skinęła głową. Kolega niewątpliwie miał rację. W ostatnich dniach za długo przesiadywała w komisariacie. Jednak po tym, jak znalazła

tamten list, unikała towarzystwa męża, jak mogła. Profesor Seweryn Dworakowski był teraz ostatnią osobą, którą chciała oglądać.

– Męczy mnie ten Tytus Weiss – skłamała policjantka po raz drugi.

Kłamstwo wychodziło z jej ust łatwiej, niż przypuszczała.

– Znowu coś narozrabiał? – zapytał Jan Kamiński. – Nic mi nie mówiłaś.

Zofia Dworakowska pokręciła głową.

– Nie, od czasu farby na płocie nic się nie działo – przyznała.

– Może ta rozmowa z jego matką coś przyniosła. Może wreszcie Urszula Weiss wzięła się za syna. Czas najwyższy.

Jan pokiwał głową.

– Romek Podgórski wspominał, że z nią gadaliście – przypomniał sobie kolega. – Mam nadzieję, że to nie jest jakaś cisza przed burzą. Ten Tytus Weiss to diabeł wcielony. Wcale mi się nie podoba, że on chodził do jednej klasy z moim Pawłem. Kto wie, jaki to może mieć wpływ na chłopaka. Człowiek stara się wychować dziecko, a potem i tak są problemy.

Zofia Dworakowska wzruszyła ramionami. Teraz zmęczenie całkiem nią ośwładnęło. Nie miała już siły nawet na rozmowę.

– Idę do domu – powiedziała, ziewając.

– Tylko szalika nie zapomnij – upomniał Jan Kamiński.

– Zrobiło się zimno. Listopad już w pełni.

Policjantka pokiwała głową i wyszła z komisariatu. Droga do domu zajęła jej kilka minut. Mimo to była zziębnięta. W korytarzu zdjęła kurtkę niechętnie. Nadal czuła zimne powietrze, które dostało się do środka, kiedy wchodziła. Albin wybiegł, żeby ją przywitać. Ruchy syna były jak zwykle niezgrabne, ale na jego pełnej twarzy malowała się głęboka radość z powrotu matki.

– Mama! – zawołał radośnie Albin i uściśnął ją z całej siły.

Zofia nawet nie zauważyła, kiedy syn zrobił się taki wielki. Jakby jednego dnia był jeszcze chłopcem, a następnego wysokim mężczyzną.

– A tata gdzie? – zapytała, chociaż doskonale wiedziała. O tej

porze Seweryn zazwyczaj pracował w swoim gabinecie nad kolejnymi wykładami o jakichś materiałach wybuchowych. Zofia miała nadzieję, że któregoś razu nie wysadzi przypadkiem ich domu. To nie było wcale wykluczone, ponieważ mężowi zdarzało się robić w gabinecie niewielkie eksperymenty, które później demonstrował studentom.

– Malujemy – zarządził Albin.

Chłopiec był absolutnie nieczuły na nastroje innych ludzi. Nie umiał odczytać emocji z twarzy matki i nie widział, że Zofia Dworakowska wcale nie ma dziś ochoty na oddawanie się sztuce. Policjantka westchnęła cicho. Albin przypatrywał się jej uważnie. W jego oczach malowało się radosne wyczekiwanie. Nie mogła mu odmówić.

– No dobrze, idziemy malować – powiedziała.

Albin zaczął skakać z radości. Zofia próbowała przybrać wesoły wyraz twarzy, ale nie umiała. Wciąż myślała o tamtym liście, który przypadkiem przeczytała. Na szczęście syn i tak niczego nie zauważył.

Dworakowska wyciągnęła pustą butelkę po winie i farby do szkła. Wcale nie tak łatwo było je dostać, ale jej się udało. Albin uwielbiał godzinami patrzeć, jak Zofia tworzy malunki na butelkach. Opowiadała mu przy tym różne historie. Miała nadzieję, że to chociaż trochę rozwija umysł syna.

– Bajka – zarządził Albin, rozsiadając się obok niej.

Zofia Dworakowska próbowała skupić myśli na losach złotowłosej księżniczki, którą od kilku dni malowała na butelce. Nie mogła jednak nic interesującego wymyślić. Dobrze, że Albin nie był wymagającym słuchaczem i zadowolił się wyrwanymi z kontekstu półsłówkami.

Myśli policjantki po raz kolejny uciekły do listu, który odkryła dziś w skrzynce. Czy to możliwe, że wszystko, co w nim napisano, było prawdą? Być może to wyjaśniałoby chłód jej męża i to, że nigdy nie okazywał jej nawet odrobiny uczucia.

Ku niezadowoleniu syna Zofia odłożyła pędzel. Czowała, że natychmiast musi zadzwonić do siostry. Miała nadzieję, że Marta pomoże jej to wszystko uporządkować. Policjantka poszła do salonu, gdzie stał jedyny w ich domu aparat

telefoniczny. Wykręciła z pamięci numer.

– Tu Jaśmina Ciosek – odezwał się dziewczęcy głos jej siostrzenicy.

– Cześć, Jaśminko, tu ciocia Zosia – przedstawiła się Dworakowska. – Jest mama?

Dziewczynka zawołała matkę i wkrótce słuchawkę przejęła Marta Ciosek.

– Muszę z tobą porozmawiać – zaczęła Zofia.

W tym momencie usłyszała, że profesor Dworakowski otwiera drzwi swojego gabinetu. To nie był najlepszy moment, żeby opowiedzieć Marcie o liście.

– Jutro Seweryn jedzie z Albinem na rehabilitację – dokończyła niemal szeptem policjantka. – Mogłabyś przyjść? Porozmawiamy na spokojnie.

– Oczywiście, będę – zapewniła ją siostra.

Zofia doceniła, że Marta o nic nie spytała. Siostra zawsze wiedziała, jak się zachować. Nigdy nie mówiła zbyt wiele. Była jedyną osobą, której Zofia w pełni ufała.

ROZDZIAŁ 9

Lipowo.

Poniedziałek, 23 grudnia 2013. Przed południem

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wyjątkowo nie dołożył sobie ciasta, które przygotowała dla nich Maria. Matka nigdy nie zapominała o słodkim zaopatrzeniu. Tym razem przygotowała torcik makowo-kawowy z dżemem z pomarańczy i migdałami. Ciasto zdawało się wyjątkowo smakowite, ale Daniel od kilku dni w ogóle nie czuł głodu. Sprawa powrotu Tytusa Weissa z więzienia za bardzo mu ciążyła.

Policjanci z Lipowa usiedli w salce konferencyjnej swojego niewielkiego komisariatu. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska przysłała dosłownie kilka minut wcześniej. Czekali jeszcze tylko na młodszego aspiranta Pawła Kamińskiego. Danielowi Podgórskiemu dziwnie było szykować się do dzisiejszej odprawy z myślą, że nie będzie z nimi Marka Zaręby. Młody policjant zawsze wnosił do ich obrad dużą dozę entuzjazmu i chęci do działania, nawet jeżeli nie wszystkie jego pomysły były trafne.

W końcu drzwi komisariatu zaskrzypiały głośno i do budynku wszedł ciężkim krokiem Kamiński. Daniel zerknął na zegarek. Kolega, chociaż wszystko można było o nim powiedzieć, raczej rzadko narażał ich na zwłokę. To nagłe spóźnienie wydawało się więc dość zagadkowe. Z drugiej strony być może Paweł nadal miał im za złe, że nie zawiadomili go wczoraj o znalezieniu w Cichym Lasku starych kości.

– Cześć – rzucił lakonicznie Kamiński.

Daniel Podgórski postanowił o nic nie pytać. Nie miał ochoty na kolejną scysję z drażliwym kolegą. Wczorajsze krzyki w starej osadzie sekty mu wystarczyły.

– Co się stało, Pawełku? – zapytała Maria.

Daniel westchnął cicho. Tego właśnie próbował uniknąć.

– Z całym szacunkiem, pani Mario – odparł Paweł Kamiński, czerwieniejąc na twarzy. – Musiałem załatwić swoje prywatne sprawy... w końcu już jutro jest Wigilia. To chyba nic dziwnego, że się przygotowuję, prawda?

Zabrzmiało to nieco sztucznie, ale Maria Podgórska, ku zadowoleniu Daniela, o nic więcej nie pytała. Wszyscy znali reputację Pawła i jego słynne wyprawy do Brodnicy. Tym razem jednak Podgórski miał przeczucie, że chodzi o coś zupełnie innego. Miał tylko nadzieję, że nie wynikną z tego jakieś kłopoty.

– No dobrze, zaczynajmy – zaproponował, żeby uciąć ewentualne dalsze dyskusje. – Jak wszyscy wiemy, wczoraj zostały znalezione w Cichym Lasku kości kobiety. Szkielet jest stary.

– Jak wszyscy wiemy... – mruknął Paweł Kamiński znacząco. – Mnie jakoś nie poinformowałeś o akcji, Daniel.

– Paweł, dajże już spokój, co? – odezwała się po raz pierwszy dziś Emilia Strzałkowska. – Zachowujesz się jak duży dzieciak.

Policjantka wyraźnie nie miała kompleksów z powodu tego, że jest tu nowa. Daniel taką ją właśnie pamiętał ze szkoły policyjnej. Strzałkowska zawsze była wygadana i nieugięta.

Kamiński rzucił koleżance nienawistne spojrzenie, ale nic więcej nie powiedział.

– Kolejna samobójczyni z lat sześćdziesiątych? – zapytała Maria, której nie było wczoraj w Cichym Lasku.

Daniel wzruszył ramionami.

– Sytuacja jest o tyle ciekawa, że ta kobieta została postrzelona w głowę – poinformował zebranych.

Kiedy wczoraj wieczorem medyk sądowy Zbigniew Koterski poinformował ich o postrzeleniu jako prawdopodobnej przyczynie śmierci tajemniczej kobiety, Podgórski poczuł nagłą ekscytację. Miał nadzieję, że śledztwo w sprawie ukrytych za skrzynią starych kości sprawi, że kwestia powrotu Tytusa Weissa do Lipowa będzie mniej bolesna.

– Technicy znaleźli nabój? – zapytała rzeczowo Emilia Strzałkowska.

Podgórski pokręcił głową i odsunął od siebie talerzyk z ciastem.

– Niestety nie – powiedział. – Kryminaliści będą jeszcze dzisiaj przyglądać się całemu terenowi. Wygląda na to, że czterdzieści osiem lat temu, kiedy członkowie sekty Świątynia popełnili zbiorowe samobójstwo, milicja przeoczyła tę kobietę. Jej ciało dobrze ukryto w szopie na narzędzia, która mogła należeć do przywódcy zgromadzenia, czyli Witalisa Sobieraja. Więcej na razie nie wiemy.

– Jak wyglądała rana postrzałowa? – zapytał gburowato Kamiński.

– Z tego, co mówił doktor Koterski, pocisk przeszedł przez czaszkę na wylot – wyjaśnił Daniel. – Prawdopodobnie strzał zabił tę kobietę na miejscu.

– Wiadomo, jaki kaliber? – zainteresowała się znowu Emilia.

Dzisiaj policjantka miała rozpuszczone włosy. Wyglądała nawet ładnie, ale Daniel nie mógł znaleźć w niej nic atrakcyjnego. Nie rozumiał, co w sobie nawzajem widzieli kilkanaście lat temu. Strzałkowska była po prostu miłą kobietą i niezłą koleżanką, ale określenie seksowna na pewno do niej nie pasowało. Na takie jak ona ludzie często mówili „szara myszka”. Dopóki się nie odezwały.

– Prawdopodobnie chodzi o kaliber dziewięć milimetrów – wyjaśnił Podgórski, porzucając swoje rozważania na temat niepozornego wyglądu koleżanki. – Na razie zbyt dużo nam to nie daje. Nadal jest zbyt wiele możliwości. Dziewięć milimetrów to nie jest rzadki nabój.

– Dziewięć milimetrów? Kurwa, jak nasz stary, poczciwy CZAK – zaśmiał się Paweł Kamiński, klepiąc się po służbowym pistolecie.

Ręka Daniela Podgórskiego odruchowo również powędrowała do kabury. Komisariat w Lipowie był niewielki i modernizacja uzbrojenia, która od kilku lat stopniowo obejmowała całą Polskę, jeszcze do nich nie dotarła. Wszyscy policjanci z Lipowa nadal dysponowali nieco już przestarzałymi pistoletami P-64, które popularnie nazywane były CZAK-ami. Skrót ten pochodził od pierwszych liter nazwisk konstruktorów

tego pierwszego polskiego powojennego pistoletu. Rzeczywiście, Paweł miał rację, CZAK-i miały kaliber 9 milimetrów. Z tego, co Daniel się orientował, P-64 to jeden z najmniejszych pistoletów zasilanych nabojem dziewięć milimetrów Makarowa.

– Nie żartuj, Pawełku – zdenerwowała się Maria Podgórska.
– Emilia, może jednak spróbujesz kawałeczek ciasta? Upiekłam je specjalnie na naszą dzisiejszą odprawę. Człowiek lepiej myśli, jak nie jest głodny.

– Wie pani, pani Mario, że bardzo chętnie. Uwielbiam wszelkie torty – zapewniła Strzałkowska, sięgając po talerzyk.

– Myślicie, że fakt, że ktoś przestrelał czaszkę tej NN, jest ważny? Może zamiast NN będziemy nazywać ją Kobieta zza Skrzyni? Jakoś lepiej mi to brzmi.

Daniel Podgórski wzruszył ramionami. „Kobieta zza Skrzyni” – nie brzmiało to źle.

– Trudno powiedzieć, czy przestrelenie czaszki ma znaczenie. Jeżeli Kobieta zza Skrzyni umarła od jednego strzału, to może mamy do czynienia z zawodowcem? – zastanawiał się policjant. – Ktoś, kto nie umie strzelać, raczej nie miałby tyle szczęścia, żeby zabić jednym pociskiem.

– Wiadomo, czy oddano do niej więcej strzałów?

Wyglądało na to, że sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska z dość dużą łatwością weszła w miejsce wiecznie zadającego pytania młodego Marka Zaręby. Na Daniela działało to w pewien sposób uspokajająco. Mimo jego początkowych obaw wszystko było prawie tak jak zwykle.

– O tym dowiemy się, kiedy z Warszawy dostaniemy raport antropologa sądowego. Patolog doktor Koterski nie chciał się jednoznacznie wypowiadać – wyjaśnił Podgórski. – Mówił, że stare kości to nie jego dziedzina i nie chce nas wprowadzać na fałszywy trop.

– Czyli ze śledztwem czekamy do raportu antropologa? – upewniła się Maria.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski pokręcił głową.

– Mimo wszystko sądzę, że możemy już zacząć prowadzić wstępne rozeznanie co do możliwej tożsamości Kobiety zza

Skrzyni – powiedział. – To nam oszczędzi czasu później.

I pozwoli zapomnieć o Tytusie Weissie, dodał niechętnie w myślach. Nie zamierzał się jednak przyznawać przed nikim, nawet przed matką, jak bardzo powrót podpalacza wytrącił go z równowagi.

– Dlaczego ktoś zabił tę kobietę, skoro i tak wszyscy członkowie sekty planowali popełnić zbiorowe samobójstwo? – zasepiała się Maria. Automatycznym ruchem starła okruchy ze stołu. – Nie uważacie, że to trochę dziwne?

Wszyscy pokiwali głowami. Nawet Paweł Kamiński zdawał się zgadzać ze starszą panią.

– Mamo, pamiętasz może coś z tego okresu? Kiedy w Cichym Lasku mieszkali ludzie z tej sekty.

– Nie za wiele, Danielku. To było w latach sześćdziesiątych. Byłam wtedy nastolatką... Sam rozumiesz, że interesowały mnie zupełnie inne sprawy – zaśmiała się Maria. – Szkoda, że twój tata nie żyje. On by wiedział. Zawsze ciekawiły go wszystkie wydarzenia w naszej wsi. Już od wczesnej młodości. Szkoda, że twój tata nie żyje – powtórzyła ze smutkiem.

W pokoju socjalnym zapadła ciężka cisza. Roman Podgórski i Jan Kamiński zginęli w nocy z czwartego na piąty listopada 1998 roku, próbując ratować policjantkę Zofię Dworakowską i jej siostrę Martę Ciosek. To było długie piętnaście lat temu, pomyślał Daniel, ale w lipowskim komisariacie pamięć o obydwu policjantach i ich tragicznie zakończonej bohaterskiej akcji ratunkowej była nadal żywa.

Podgórski odchrząknął, przerywając nieprzyjemną ciszę.

– W każdym razie wygląda na to, że ktoś ją z jakiegoś powodu zabił i potem postanowił ukryć ciało za skrzynią w szopie. Mimo że i tak wszyscy mieli zginąć – podsumował. – Na razie nie za bardzo mogę sobie wyobrazić, jaki mógł być motyw takiego działania. Musimy nad tym popracować.

– Możemy chyba założyć, że to sprawka tego popieprzonego Witalisa Sobieraja. Zastrzelił ją i schował w składziku – zasugerował Paweł Kamiński. – Chyba nikt nie podrzucałby trupa szefowi sekty. Skoro tak wszyscy przed nim, kurwa, drżeli. Ja jebię!

– Wolalbym niczego nie zakładać – sprzeciwił się Daniel Podgórski. Sam się zdziwił, że jego głos zabrzmiał tak ostro. – Musimy po kolei ustalić, kim była Kobieta zza Skrzyni oraz kto i dlaczego ją zabił. Myślę, że jej bliscy, kimkolwiek są, zasługują na to, żeby odzyskać szczątki. Nawet po tylu latach. Jesteśmy im to winni.

– To się rozumie samo przez się – poparła policjanta matka. – Teraz i tak nic wielkiego chyba się nie dzieje. Już prawie Boże Narodzenie.

Podgórski skinął głową szybko.

– Jak dostaniemy raport antropologa, to na pewno będzie nam łatwiej. Na razie chciałbym jednak, żebyśmy chociaż ustalili, kto jest właścicielem całego terenu Cichego Lasku – zarządził. – Dotychczas kontaktowałem się tylko wstępnie z jakąś firmą prawniczą, która reprezentuje tego człowieka.

Wczoraj wieczorem Daniel Podgórski ustalił w dokumentacji gminnej, z kim można się skontaktować w sprawie parceli, na której znajduje się Cichy Lasek. Policjant chciał poinformować właściciela o konieczności wkroczenia ekipy kryminalistów na jego teren. Okazało się, że właściciel parceli jest reprezentowany przez firmę prawniczą z Warszawy. Firma ta wyraziła zgodę na wszelkie konieczne działania policji. Prawnik nie chciał jednak zdradzić tożsamości właściciela terenu, powołując się na tajemnicę zawodową i brak logicznego powodu jej złamania.

Podgórskiego to nieco zirytowało. Rzeczywiście, jak na razie nie było większych powodów, żeby niepokoić osobiście tajemniczego właściciela Cichego Lasku, ale policjant nie lubił zostawiać sobie żadnych niewiadomych. Z samego rana pytał kilka osób ze wsi, ale nikt w Lipowie nie orientował się, do kogo właściwie należy teraz teren sosnowego zagajnika, gdzie znajdowała się osada sekty. To było dosyć dziwne, zważywszy na to, że zazwyczaj w ich wsi nie mógł przetrwać żaden najmniejszy nawet sekret.

– Może ja porozmawiam z tym naukowcem Jerzym Grałą – zaproponowała sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska. Wyglądało na to, że policjantka aż rwie się do pracy. – On bada

tę sektę. Może wie coś więcej na temat jej członków. Sama nie wiem. Może Grala wie też, kto jest właścicielem terenu. Przecież on też musiał dostać jakieś pozwolenie na badanie Cichego Lasku, prawda? To by nam oszczędziło trochę pracy.

Podgórski zganił się w duchu. Powinien był o tym pomyśleć już wczoraj.

– Wy z Pawłem zróbcie patrol – kontynuowała Emilia.

– Lepiej znacie te okolice, a ja w tym czasie pogadam z Gralą.

– W porządku – zgodził się Podgórski. – Z resztą działań wstrzymamy się do czasu, kiedy dostaniemy raport od antropologa sądowego. Dobrze by było, gdyby znalazł się ten pocisk. Wtedy moglibyśmy poszukać broni.

– A właśnie – wtrącił się Paweł Kamiński. – Gdzie zabito Kobietę zza Skrzyni? Zabili ją na miejscu? W tej szopie? Czy jak?

Daniel Podgórski pokręcił głową.

– Technicy twierdzą, że nie. Zbadali szopę luminolem. Nie znaleźli śladów krwi, więc kobieta prawdopodobnie została zastrzelona w innym miejscu, a ciało tylko ukryto w tej szopie – wyjaśnił. – Tak jak mówiłem, technicy przeszukują resztę chat w osadzie sekty. Może nam się poszczęści i znajdziemy miejsce zbrodni.

– Cały ten pieprzony lasek to jedno wielkie miejsce zbrodni – powiedział Kamiński sentencjonalnie. – Zbiorowe samobójstwo, ja pierdołę, co za głupota.

– Zgadza się, ale nic na to już nie poradzimy – odpowiedział Daniel. – Musimy chociaż ustalić, co przytrafiło się Kobiecie zza Skrzyni.

– Kobieta zza Skrzyni – szepnęła sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska, jakby smakowała te słowa. – Kim ona była?

– Poproś, żeby ten Grala udostępnił ci spis osób, które należały do sekty – powiedział Daniel Podgórski. – Na pewno czymś takim dysponuje. Paweł, my się przejedziemy po okolicy. Nie chcę żadnych włamań w święta. Tego tylko by nam jeszcze brakowało. W Boże Narodzenie ma być spokojnie.

Tytus Weiss wyszedł ostrożnie z domu. Nadal trudno mu było uwierzyć, że może to zrobić bez niczyjej zgody. Tak po prostu. Przez długich piętnaście lat o wszystkim decydowali za niego inni. Teraz, można powiedzieć, nareszcie był kowalem własnego losu. Chyba właśnie z tego powodu było mu na duszy paradoksalnie ciężko. Jakby w kilka dni z nastolatka zmienił się w dorosłego mężczyznę.

Matka poszła już do biblioteki, więc Tytus postanowił, że nadszedł wreszcie czas, by zrobić to, z czym od przybycia do Lipowa wciąż zwlekał. Musiał porozmawiać z młodszym bratem. Śmieciarz Filip Weiss ani razu nie skontaktował się z nim przez te wszystkie lata. To bolało najbardziej. Więzień numer 1126 nieraz o tym myślał. Nie o tym, że cały świat się od niego odwrócił, ale właśnie o tym, że jego młodszy brat najwyraźniej nie chciał go już znać. Teraz był czas, żeby o tym wszystkim porozmawiać. Być może naprawić to i owo. Na prawdę było już jednak chyba za późno. Prawda mogła wszystko dodatkowo skomplikować.

Tytus wyszedł na dwór, nie zapinając kurtki. Było chłodno, ale nie zimno. Przyjemnie było poudawać przez chwilę, że jest już wiosna. Kiedy Weiss mijął przystanek autobusowy, kilka osób splunęło w jego stronę. Znowu. Zaczynał się już do tego przyzwyczajać. Nie reagował. Ci ludzie nie znaczyli przecież wiele. W tym momencie Tytus chciał skupić się na bracie. Czuł, że musi po kolei zamknąć wszystkie stare sprawy, żeby rozpocząć życie na nowo.

– Po co tu wracałeś, morderco?! – wrzasnął jakiś mężczyzna, wymachując rękami dla wzmocnienia wagi swoich słów. – Nie chcemy cię tu! Uciekaj lepiej, bo pożałujesz! Ludzie już się na ciebie szykują, popaprańcu.

– Morderca – dodała kobieta, która prawdopodobnie była żoną krzykacza. – Precz z Lipowa! Won!

Tytus nie pamiętał tych ludzi z czasów, kiedy jeszcze tu mieszkał. Oni jednak najwyraźniej wiedzieli, kim był on. Wyglądało na to, że każdy w Lipowie to wiedział.

Więzień numer 1126 zatrzymał się w pół kroku. W mięśniach znowu czuł znajome napięcie. Narastało stopniowo, ale

nieubłaganie. Przygarbił się i zapalił papierosa. Wciągnął głęboko dym do płuc i spojrzał ostro na nieznajomą parę. Bawił się przez chwilę zapalniczką. Zapalał ją i gasił powolnymi ruchami. Kobieta spojrzała na męża spłoszona. To był jedynie niewielki pokaz siły, ale zadziałał doskonale. Wszyscy już zawsze będą widzieli w nim podpalacza. Nikogo więcej. Równie dobrze mógł to wykorzystać. Dlaczego nie? W życiu przecież wszystkie chwytaki są dozwolone. Zupełnie jak w więzieniu.

– Mam wybór – powiedział Tytus pod nosem. – I nie jestem już numerem.

Te słowa dodały mu otuchy. Walka była niepotrzebna. Wydmuchał dym z płuc i ruszył dalej szybkim krokiem, ignorując obelgi, które zaczęły się od nowa, kiedy tylko odwrócił się plecami do nieznajomych.

Urszula Weiss wspomniała w jednym z listów do więzienia, że Filip kupił stare gospodarstwo znajdujące się nieco na uboczu wsi. Tytus pamiętał je dobrze jeszcze z czasów sprzed pożaru. Trafił więc na miejsce bez problemu. Drewniane domostwo nigdy nie było zbyt urokliwe, a jego położenie w polodowcowej dolince wśród powykręcanych krzaków dodatkowo sprawiało, że zdawało się wręcz ponure. Na widok krat w oknach na parterze więzień numer 1126 zadrżał wbrew sobie. Tak oto znalazł się przed domem brata.

Tytus Weiss stał przez chwilę w napięciu, niepewny, co powinien teraz zrobić. Czy mógł zwyczajnie podejść do drzwi i zapukać jakby nigdy nic? Matka pisała mu w listach, że Filip ma teraz rodzinę. Śmieciarz ożenił się z Izką nieco ponad rok temu. Izka była dziewczyną brata jeszcze w czasach szkolnych. Tytus nigdy jej jednak nie poznał. Widać to było już po tym, jak stał się numerem 1126 i stracił swoją tożsamość. Był też mały Oskarek. Tytus bardzo chciał chociaż zobaczyć bratanka.

– Po prostu nie wierzę – usłyszał zza pleców głos z przeszłości. Już nie chłopięcy, ale dziwnie męski.

Tytus odwrócił się na pięcie. Mięśnie znowu stężały. Przed nim stał Filip Weiss. Policzki miał tak samo rumiane i puciołowate jak w dzieciństwie, ale bardzo urósł. Tytus nie mógł oprzeć się wrażeniu, że młodszy brat bardziej przypomina

ich nieuchwytnego ojca niż on sam. Z drugiej strony, odkąd Tytus stał się numerem 1126, już nikogo nie przypominał.

– Co ty tu robisz?

Filip Weiss zrobił krok w stronę Tytusa w sposób, który chyba w zamierzeniu miał być onieśmielający. Więzień numer 1126 zaśmiał się w duchu. W zakładzie karnym wielu z nim tak próbowało. Żaden nie wyszedł z tego starcia najlepiej. Tytus znowu odetchnął. Miał przecież wybór i nie był już numerem. Takie rozważania nie były na miejscu. To był jego młodszy brat. Brat, którego zawsze starał się chronić. To nie był jakiś frajer albo chlejus, który donosił psom.

– Możemy pogadać? Nic więcej nie chcę – zapewnił młodsze go brata Tytus. – Tylko porozmawiać. Potem sobie pójdę i nie będę ci więcej przeszkadzać. Obiecuję.

Filip Weiss wyglądał na niezdecydowanego.

– Żebyś wiedział, że powinniśmy pogadać, Tytus – powiedział w końcu, jakby podjął jakąś decyzję. – Chyba nie powiedziałaś mi całej prawdy, co?

Chyba nie powiedziałaś mi całej prawdy. Więzień numer 1126 znowu poczuł, że jego mięśnie tężeją, a ciało przygotowuje się do ataku. Teraz prawda nie miała już przeciw znaczenia. Tylko by wszystko niepotrzebnie skomplikowała. Tytus nie był wcale gotowy wyznać bratu prawdę. Wszystko powinno zostać tak, jak jest. Powtarzane przez piętnaście lat kłamstwo stało się prawdą. Tak to działało.

– Nie powiedziałem ci całej prawdy? – zapytał Tytus, siląc się na spokój. – Co masz na myśli, Filip?

Śmieciarz rozejrzał się dookoła, jakby chciał mieć pewność, że nikt ich nie słyszy.

– Rozmawiałem z Patrykiem Sołtysikiem – powiedział młodszy brat. Jego twarz zrobiła się blada, jakby odpłynęła z niej cała krew. – Wiesz, co on mi powiedział?

Tytus wzruszył ramionami w napięciu. Pamiętał Patryka Sołtysika bardzo dobrze. Chudy niepozorny chłopaczek w wieku Filipa. Tak było kiedyś. Teraz był mężczyzną. Pewnie trudno byłoby go poznać.

– Wiesz co? Lepiej pogadamy o tym wieczorem – zdecydował

nagle Filip. – Teraz muszę spotkać się z Jerzym Grałą. Pracuję z nim w Cichym Lasku. Nieważne. Bądź tu wieczorem. Nie chcę tego tak zostawić. W porządku?

Więzień numer 1126 myślał gorączkowo. Niebezpieczeństwo oddaliło się na chwilę, ale nie zniknęło. Kłamstwo stało się prawdą i tak powinno pozostać.

– O której mam być? – zapytał ostrożnie.

– Przyjdź wieczorem o dziewiątej – zdecydował Filip.

– Wcześniej nie mam czasu. Chcę pogadać o tamtej nocy, okej? Będiesz o tej dziewiątej?

– Będę na pewno.

Kłamstwo zawisło w powietrzu. Serce więźnia numer 1126 zwolniło. Ciało uspokoiło się zupełnie. Nie było Tytusa Weissa. Był tylko numer.

Jeden, jeden, dwa, sześć.

Gierot delikatnie dotknął nosa. Nos był spuchnięty i bolał, więc pijak wołał postępować ostrożnie. Miał nadzieję, że Albin Dworakowski mu go nie złamał. Łagodny olbrzym? Pieprzenie! Wyglądało na to, że chłopiec w ciele mężczyzny pokazał wreszcie swoją prawdziwą naturę.

Gierot rozsiadł się na drewnianej ławce pod zadaszeniem sklepu Wiery Rosłońskiej. Sklepiarka była w porządku babką, uznał w duchu. Nie przeszkadzało jej to, że on i reszta chłopaków spędzają większą część dnia obok jej sklepu. U Solickiej pod kościołem nie byłoby to możliwe. Na pewno nie. Pod żadnym pozorem nie.

– Te, Melek. Kopsnij jakiegoś szluga – zagadnął Gierot kolegę. – Muszę zapalić, bo ten nos mnie strasznie napierdala.

Pijak nie był pewien, czy nikotyna w jakikolwiek sposób pomoże, ale nie zaszkodziło spróbować. Tonący brzytwy się chwyta, czy jakoś tak. Melek wyciągnął pomietą paczkę spod brudnej kurtki. Gierot nie miał już pieniędzy na nic. Cudzesy to było jedyne wyjście w obecnej chwili. Wołał zapomnieć o tym, że w domu miał żonę i dwóch synów. Jakoś sobie poradzą, jak zawsze. Podejrzewał, że jego Irena zapożyczała się u sąsiadki,

Grażyny Kamińskiej. Tym lepiej. To znaczyło, że żonę miał obrotną.

– A co, dziś nie widać Łysego? – zapytał Melek, odpalając papierosa bez filtra. – Patryczek nam się wykruszył?

Gierot też zapalił papierosa. Zakrztusił się kilka razy, omal nie wypluwając niedopałka. Rzeczywiście. Patryk Sołtysik nie zjawił się tego dnia pod sklepem Wiery. Gierot i Melek spojrzeli na puste miejsce, gdzie zazwyczaj siadywał ich najmłodszy kolega.

– Pewnie stara go zatrzymała na tej ich ekofarmie, czy jak ją zwał – zgadywał Gierot. – Hetera z tej Jagny taka, że nie wiem. Lepiej jej pokazać, gdzie jest miejsce żony. Za bardzo się wychyla. Ja bym się nią zajął. Patryk jest za słaby. Z babami trzeba silnej ręki. Inaczej człowiekowi na łeb wejda.

– Jo – poparł go Melek, chociaż sam nigdy nie miał żony.

Gierot znowu zakrztusił się dymem. Nos bolał go coraz bardziej. Trzeba będzie sięgnąć po cięższą artylerię. W płynie i z procentami.

– Słuchaj, ja ich dziś widziałem – powiedział Gierot powoli, wychylając potężny łyk z butelki taniego wina. Widział ich. Pamiętał to jak przez mgłę. W głowie wciąż mu szumiło. – Szedłem naokoło, bo wołałem nie spotkać Albina. Żeby mnie znowuż nie załatwił, i to na cacy tym razem. To wołałem drogi nadłożyć.

– No, ale kogo żeś widział? Skup się, Gierot!

– No, Łysego widziałem, a kogo miałem widzieć? – obruszył się pijak. Melek nic nie rozumiał. Nie kojarzył najprostszych faktów. – Widziałem Patryka Sołtysika i tę jego żonkę heterę, Jagienkę. Całą w kolorach, jak zwykle.

Melek spojrział na kolegę uważniej.

– Co robili?

Gierot podrapał się po głowie. Zadziwiający, jak ostatnio wszystko się zamazywało. Po tym uderzeniu w nos jeszcze bardziej niż przedtem.

– A ty wiesz, że jakoś zupełnie nie kojarzę – poinformował kolegę.

Melek wyglądał na zirytowanego.

- Co ty pieprzysz?
– No jo! Jakby wyparowało mi z głowy – wyjaśnił Gierot.
– Wiem, że coś robili. Reszty nie pamiętam.
Zabrzmiało to niespodziewanie komicznie. Dwóch pijaków zaśmiewało się przez chwilę z tego udanego żartu. Gierot umilkł pierwszy. Bolący nos nie pozwalał mu na więcej radości.
– Pamiętam tylko, że to było coś dziwnego – dodał już poważniej. – Że też zapomniałem, co to było!
– A gdzie to było? To chociaż pamiętasz? – zapytał Melek, nadal się zaśmiewając. Z kącika ust wypłynęła mu strużka śliny. Pijak otarł ją brudnym rękawem.
– No jak gdzie? Tam na polu. Niedaleko domu Filipa Weissa
– odparł Gierot bez wahania. Przynajmniej tyle pamiętał.
– Byli obok domu śmieciarza.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska od razu po odprawie wyruszyła do domu, który miejscowi nazywali „Wrzosa”. Tam właśnie zatrzymał się naukowiec Jerzy Grała, z którym policjantka chciała porozmawiać na temat członków sekty Świątynia i ewentualnie zdobyć jakieś dokładniejsze informacje o właścicielu parceli, na której rósł Cichy Lasek.

Emilia poczuła się nieco zaskoczona, kiedy dotarła na miejsce. „Wrzosa”. Po tej niezwykle romantycznej nazwie spodziewała się jakiegoś uroczego dworku otoczonego niskimi krzewami wrzosów. Może drewnianej chaty z ogromnych bali. Tymczasem budynek wyglądał jak niewykończony sześcian z białych pustaków i cegły. Ścian nie otynkowano, a na balkonie na pierwszym piętrze nie było jeszcze balustrad.

Drzwi otworzyła niska, uśmiechnięta od ucha do ucha dziewczyna.

– Witam. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska – przedstawiła się policjantka uprzejmie. – Jestem z tutejszego komisariatu.

– Ja jestem Jaśmina Ciosek-Dworakowska – wyjaśniła drobna kobietka. – A to mój kuzyn Albinek.

Strzałkowska spojrzała w głąb korytarza. Stał tam

imponującej postury zwalisty mężczyzna i przyglądał się jej intensywnie.

– Proszę się nie przejmować – poinformowała Jaśmina natychmiast. – Wiem, że pani jest tu nowa i go nie zna, ale zapewniam panią, że nasz Albin nie jest w ogóle niebezpieczny. Jest zupełnie niegroźny. To kilkuletni chłopiec w ciele mężczyzny. Taki był od dzieciństwa. Nikomu nigdy nie zrobił żadnej krzywdy.

Emilia Strzałkowska wyczuła nutkę fałszu w głosie rozmówcy, ale zdecydowała się nie drażnić tematu. W końcu nie po to tu przyszła. Ewentualne wyczyny tego olbrzyma to nie była w tym momencie jej sprawa.

– Czy zastałam pana Jerzego Grałę? – zapytała policjantka, przechodząc do właściwego celu swojej wizyty.

Jaśmina Ciosek-Dworakowska pokiwała energicznie głową.

– Niech pani tu chwileczkę zaczeka. Pójdę po pana Grałę. Ma teraz gości. Widziałam, że przyszedł do niego Filip Weiss – powiedziała bardzo cicho, jakby zdradzała Emilii największą tajemnicę. – Wolałabym, żeby mój wuj się o tym nie dowiedział, wie pani. Jest bardzo czuły na punkcie rodziny Weissów. Z tego, co wiem, pan Grała i śmieciarz współpracują przy badaniu tej nawiedzanej osady w Cichym Lasku. Nie mogłam przecież zakazać panu Grali zapraszać gości, a już zwłaszcza współpracowników. Ma do tego prawo, skoro wynajmuje u nas pokój, prawda?

– Oczywiście – odparła Strzałkowska nieco zdezorientowana konspiracyjnym tonem rozmówcy. – Może pani zawołać Grałę?

– Tak, już po niego idę.

Niska kobietka wbiegła zwinnie na schody. Emilia została sama z potężnym Albinem Dworakowskim. Zerknęła na niego pytająco.

– Czemu się tam chowasz? – zagadnęła.

Albin zwlekał przez chwilę z odpowiedzią.

– Bo zrobiłem zło – wykrztusił w końcu chłopiec w ciele mężczyzny.

Zanim sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska zdążyła

zapytać o szczegóły, na schodach rozległy się kroki kilku osób. Pierwszy po schodach zszedł Filip Weiss. Strzałkowska widziała go już wczoraj przy okazji rozmowy z rodzeństwem Nilssonów. Za nim szedł naukowiec Jerzy Grala i Jaśmina Ciosek-Dworakowska. Śmieciarz skinął lekko głową policjantce i wyszedł z „Wrzosów” bez dalszych wyjaśnień.

– Witam panią – zagadnął Grala, kiedy Filip zamknął drzwi za sobą. – W czym mogę pani pomóc?

– Mam kilka pytań co do sekty Świątynia – wyjaśniła policjantka. – Ma pan może teraz chwilę czasu?

– Oczywiście – zapewnił naukowiec. – I tak na razie nie możemy z Filipem Weissem wrócić do pracy w osadzie. Na miejscu ciągle jeszcze pracują wasi ludzie. Mam tylko nadzieję, że jeszcze będę miał do czego wracać. Muszę pani powiedzieć, że bardzo liczyłem na opisanie sekty Świątynia w mojej rozprawie. Mogła z tego nawet powstać książka. A teraz... Wiem, że muszą państwo wszystko zbadać, ale prosiłbym o ostrożność w traktowaniu artefaktów.

– Może usiądą państwo w saloniku? – zaproponowała Jaśmina. – Przygotuję poczęstunek. Upiekłam pierniki na Wigilię. Mogę je podać. Na pewno państwu posmakują.

Emilia Strzałkowska zaśmiała się w duchu. Jak tak dalej pójdzie, to wyjedzie z Lipowa kilka rozmiarów większa.

– Bardzo chętnie – zgodził się Jerzy Grala. – U mnie w pokoju i tak jest teraz bałagan. Pracowaliśmy trochę z panem Filipem Weissem nad materiałem, który zebraliśmy wczoraj, zanim znalazłem te stare kości za skrzynią. Zaczynam żałować, że w ogóle poinformowałem policję o tych szczątkach. Mogłem z tym poczekać do zakończenia badań nad osadą. Teraz mam z tego powodu opóźnienia.

W głosie Grali zabrzmiała źle skrywana gorycz.

– Bardzo dobrze, że pan nas zawiadomił – upewniła naukowca Emilia. – Nie wolno zostawiać takich spraw. Niedługo będzie pan mógł wrócić do pracy.

Jaśmina zaprowadziła ich do mikroskopijnego pokoju, który nazywała salonikiem. Ściany pomalowano na fioletowy kolor, który przy odrobinie dobrej woli można było uznać

za wrzosowy. We trójkę ledwo mieścili się w tym maleńkim pomieszczeniu. Strzałkowska miała tylko nadzieję, że wielki Albin nie zdecyduje się dołączyć do zgromadzenia.

– Zaraz państwu przyniosę herbatę i pierniki – obiecała jeszcze raz Jaśmina i wyszła szybko, zostawiając ich samych.

Przez chwilę panowała cisza. Emilia nie mogła się powstrzymać i uchyliła trochę okno. Miała klaustrofobiczne wrażenie, że fioletowe ściany zamkną się wokół niej.

– Mam do pana dosłownie kilka krótkich pytań, panie Grała.

– Oczywiście.

– Po pierwsze... – zaczęła policjantka.

Jaśmina Ciosek-Dworakowska otworzyła cicho drzwi i weszła z powrotem do pokoju. Przed sobą niosła tacę. Ustawiła na stoliku dwie filiżanki i parujący dzbanek z herbatą.

– Pierniki doniosę za chwilę. Bardzo bym prosiła, żeby państwo zachowali ciszę. Mój wuj pracuje w gabinecie obok. Musi przygotować się do wykładu na temat materiałów wybuchowych. Wiem, że trochę to śmiesznie brzmi, zważywszy na tematykę – Jaśmina zachichotała dziewczęco – ale wuj naprawdę potrzebuje do pracy całkowitej ciszy i spokoju. Jest na tym punkcie niezwykle wręcz czuły.

– Może niech już pani nie przynosi tych pierników – mruknęła Emilia nieco zirytowana tym, że dziewczyna przerwała jej w pół słowa i nic sobie z tego nie robi. – To potrwa tylko moment. Chyba już nie ma sensu przynosić ciastek.

– Jak państwo wolą – odparła drobna kobietka. Uśmiech zniknął z jej twarzy i przez moment wyglądała jak zupełnie inna osoba. – Nie będę już przeszkadzać.

Jaśmina zamknęła za sobą drzwi i Strzałkowska została nareszcie sam na sam z naukowcem. Jerzy Grała nalał herbaty do filiżanek z galanterią godną przedwojennych dżentelmenów.

– Po pierwsze, chciałam poprosić pana o pomoc w ustaleniu tożsamości obecnego właściciela posesji, na której znajduje się osada sekty Świątynia – zaczęła policjantka. – W tym krótkim czasie my dotarliśmy tylko do firmy prawniczej, która reprezentuje tego człowieka. Pomyślałam, że może pan wie coś

więcej i oszczędzi nam dalszych poszukiwań. Może przywódca sekty miał jakiegoś spadkobiercę?

Jerzy Grala upił niewielki łyk herbaty i odstawił filiżankę.

– Sam zadawałem sobie to pytanie przed wyjazdem i już zaglądałem do odpowiedniej dokumentacji w archiwum – wyjaśnił. – Właścicielem posesji jest niejaki Ludwik Zych. Nie wydaje mi się, żeby on był jakoś spokrewniony z Witalisem Sobierajem, ale nie sprawdzałem tego jeszcze, mówiąc szczerze. Wiem tylko, że takiego nazwiska nie było na liście członków sekty. Ten Zych chyba kupił teren później.

Ludwik Zych. Emilia Strzałkowska zapisała nazwisko w swoim notesie. Prawie wszystkie kartki były już wypełnione notatkami z poprzednich spraw. Wkrótce będzie musiała sprawić sobie nowy notes.

– Ma pan do niego, tego Ludwika Zycha, jakiś kontakt?
– zapytała, odkładając długopis.

Jerzy Grala pokręcił głową i ponownie sięgnął po parującą herbatę.

– Nigdy nie rozmawiałem z nim osobiście – przyznał naukowiec. – To nazwisko pojawiło się tylko w dokumentacji, którą przeglądałem. Wszelkie pozwolenia na badanie tego terenu uzyskałem od prawnika, który bezpośrednio reprezentuje Zycha. Mam tu jego wizytówkę, mecenas Dawid Wieczorek. Z tego, co mówił mi ten prawnik, Zych mieszka w Stanach Zjednoczonych. Bodajże w Nowym Jorku.

Emilia Strzałkowska wzięła elegancką wizytówkę, którą podał jej Grala. „Radca prawny Dawid Wieczorek” – głosiły złote stylizowane litery. Daniel Podgórski kontaktował się już z firmą prawniczą, ale rozmawiał chyba z kimś innym.

– Wspominał pan, że Ludwika Zycha nie było na liście członków sekty Świątynia – podchwyciła Emilia. – Czy ma pan może tę listę? Chętnie bym ją przejrzała.

– Uważacie, że ta kobieta była trzydziestą pierwszą członkinią sekty – bardziej stwierdził, niż zapytał, Grala.

– Nie wiem, ile ich tam było, ale od tego chcielibyśmy zacząć – przyznała policjantka. – Na razie nie mamy innych tropów.

– Dysponuję oczywiście taką listą. Witalis Sobieraj był

niezwykle skrupulatny w swoich zapiskach. Notował dokładne dane każdego nowego członka. To potem znacznie ułatwiło identyfikację samobójców. Niech pani sobie wyobrazi, że zapisywał także, ile dokładnie pieniędzy wyłudził od każdego.

– Co pan ma na myśli?

Jerzy Grala rozsiadł się wygodniej, jakby przygotowywał się do dłuższego wykładu.

– Pozostaje zagadką, jak Sobieraj to robił, ale przekonywał tych ludzi do sprzedania całego swojego majątku i przekazania go sekcje, czyli de facto jemu samemu. Uzbierało się tego całkiem sporo.

Emilia znowu sięgnęła po notes.

– O jakiej kwocie mówimy? – zapytała.

– Musi pani pamiętać, że wielu z członków sekty to byli ludzie majątni, nawet jak na tamte, komunistyczne przecież, czasy. Możemy więc nawet mówić o kwocie rządu miliona dzisiejszych złotych.

Strzałkowska zagwizdała cicho.

– Co się stało z tym wszystkim po samobójstwie całej tej zgrai? – zainteresowała się policjantka.

– Tego niestety nikt nie wie – zaśmiał się naukowiec.

– Milicja nie znalazła wtedy tych pieniędzy. Proszę mi wierzyć, na pewno szukali niezwykle skrupulatnie!

– Nadal nie rozumiem, jak to możliwe, że ci ludzie dobrowolnie mieszkali w tej osadzie. Przecież byli tak niedaleko Lipowa. Mogli uciec...

– Czasami trudno zrozumieć, jak działa nasz umysł – odparł Jerzy Grala zamyślony. – Wracając jednak do listy członków sekty, mogę ją pani zaraz przynieść z mojego pokoju. Prosiłbym jednak o jej skopiowanie i oddanie mi oryginału.

– Oczywiście.

Kiedy Jerzy Grala wyszedł z saloniku, Emilia Strzałkowska natychmiast wstała od stołu i podeszła szybko do okna. Chciała chociaż przez moment pooddychać świeżym powietrzem. Czowała, że fioletowe ściany saloniku ją przytłaczają.

Naukowiec wrócił po chwili z plikiem kartek. Nie skomentował tego, że policjantka stoi z nosem przy uchylonym

oknie.

– Tu ma pani trzydzieści nazwisk członków sekty Świątynia – wyjaśnił Grała ze stoickim spokojem, jakby widział w swoim życiu już wszystko. – To były osoby, dla których Witalis Sobieraj przygotował porcję cyjanku do zażycia w Ostatnim Dniu Chwały. Tak nazwał dzień samobójstwa. Proszę się nie dziwić. W tego typu organizacjach istnieje dziwne upodobanie do pompatycznego nazewnictwa.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska spojrzała pobieżnie na przygnębiającą listę samobójców. Żadne nazwisko nie wydawało się jej znajome, ale policjantka przecież nie była z Lipowa. Listę będzie musiał przejrzeć któryś z miejscowych policjantów albo Maria Podgórska.

– Czy milicja znalazła te wszystkie osoby? – zapytała. – To znaczy mam na myśli, czy w osadzie znaleziono ciała właśnie tych konkretnych trzydziestu osób? Wszystko się zgadzało?

Jerzy Grała pokiwał głową i usiadł z powrotem przy stoliku. Policjantka dołączyła do niego niechętnie. Przy uchylonym oknie znacznie lepiej jej się myślało.

– Znaleziono wszystkie trzydzieści osób, w tym Witalisa Sobieraja – potwierdził naukowiec. Coś w jego tonie sprawiło, że Emilia postanowiła dążyć dalej.

– Czyli trzydzieści ofiar i trzydzieści ciał? – zapytała.

Tym razem Grała pokręcił głową przecząco.

– Nie. Ciał było więcej. Dokładniej mówiąc, trzydzieści pięć.

– Co pan ma na myśli? – zapytała Strzałkowska zaskoczona. Miała wrażenie, że liczby skaczą jej przed oczami. – Przecież sam pan mówił, że do sekty należało trzydzieści osób. Skąd się wzięło więcej ciał? Skąd te dodatkowe pięć ciał?

– To były dzieci – wyjaśnił Jerzy Grała chmurnie. – Jak już chyba wspomniałem wcześniej, Witalis Sobieraj nie uwzględniał dzieci na swoich listach. Nie uważał ich za ludzi. Dopiero kiedy przekroczyło się wiek inicjacji, czyli szesnaście lat, można było wstąpić do Świątyni.

Nagle wrzosowy salonik wydał się Strzałkowskiej jeszcze bardziej klaustrofobiczny i nieprzyjemnie duszny.

– Skąd się wzięły te dzieci? Urodziły się już po wstąpieniu

rodziców do sekty? – zapytała Emilia, poprawiając kołnierzyk służbowej koszuli.

– Część z nich tak. Inne przeprowadziły się z rodzicami do osady.

– To wszystko jest dość makabryczne – mruknęła policjantka. Wolała się nad tym zbyt dokładnie nie zastanawiać. – Czyli jest pan pewien, że w sześćdziesiątym piątym roku zginęło trzydzieścioro osób dorosłych plus pięcioro dzieci, tak?

– Tak – przytaknął naukowiec Jerzy Grała. – Przynajmniej tak wynika z dokumentacji i planów Witalisa Sobieraja. Właśnie dlatego byłem taki zaskoczony, kiedy wczoraj odkryłem za skrzynią te stare kości. Wygląda na to, że zginęła tam jeszcze jedna osoba dorosła. Trzydziesta pierwsza osoba, o której nikt nie wspominał wcześniej. Nie spodziewałem się niczego podobnego. Myślałem, że znam tę tematykę dość dogłębnie. Widocznie się myliłem.

Nagle drzwi mikroskopijnego saloniku otworzyły się na oścież. W progu stanął wysoki, siwowłosy mężczyzna. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska zauważyła w nim pewne podobieństwo do Albina. Mężczyzna przypominał jej kogoś jeszcze, ale nie mogła w tej chwili skojarzyć kogo.

– Seweryn Dworakowski – rzucił siwowłosy niezwykle spokojnym, ale jednocześnie nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Bardzo bym państwa prosił o zachowanie większej ciszy. Muszę skupić się na przygotowaniu wykładu. W tym hałasie nie mogę efektywnie pracować. Tak dalej być nie może.

Jerzy Grała i Emilia Strzałkowska wymienili spojrzenia.

– Nie ma problemu. I tak już kończyliśmy – poinformowała policjantka. – Dziękuję za pomoc, panie Grała.

ROZDZIAŁ 10

Lipowo.

Poniedziałek, 23 grudnia 2013. Wieczorem

Maria Podgórska siedziała jak na szpilkach przy swoim starannie uporządkowanym biurku w recepcji lipowskiego komisariatu. Starsza pani właściwie powinna już powoli zamykać, ale jakoś nie mogła wstać od stołu. Wpatrywała się w telefon. Długo walczyła ze sobą, ale w końcu podniosła słuchawkę i wykręciła dobrze znany numer prokuratury rejonowej w Brodnicy. Od lat był ten sam. Nic się nie zmieniło.

– Prokurator Jacek Czarnecki – usłyszała w słuchawce.

Maria nie mogła wykrztusić ani słowa. Ona i Jacek prawie nie rozmawiali ze sobą od piętnastu lat, czyli odkąd zginął Roman Podgórski, Jan Kamiński, Zofia Dworakowska i jej siostra Marta Ciosek. Prokurator Jacek Czarnecki i mąż Marii bardzo się przyjaźnili. Maria też lubiła Czarneckiego, ale to, co się stało w noc pożaru i potem, skutecznie hamowało wszelką chęć wznowienia kontaktu z przyjacielem zmarłego męża. Starsza pani była pewna, że powodem był nie tylko żal po stracie ukochanej osoby, ale też wyrzuty sumienia.

– Halo? – powiedział prokurator Czarnecki z naciskiem.

– Danielu, czy to ty?

Maria Podgórska niemal upuściła słuchawkę. Skąd Jacek wiedział, że dzwoni ktoś z Lipowa, zastanawiała się gorączkowo. W końcu zorientowała się, że prokurator pewnie zobaczył na wyświetlaczu numer komisariatu w Lipowie i założył, że dzwoni do niego jej syn. Daniel Podgórski i Jacek Czarnecki współpracowali przecież ze sobą przy okazji kilku śledztw, a i teraz na pewno komunikowali się w sprawie znalezienia tych starych kości w Cichym Lasku.

– Dzień dobry, Jacku – powiedziała cicho.

Teraz nie było już odwrotu. Jej pulchne palce niemal zbiały.

Tak mocno zaciskała słuchawkę w spoconych ze zdenerwowania dłoniach.

– Maria.

Prokurator Jacek Czarnecki mimo wszystko nie wydawał się zaskoczony. Maria. Brzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

Starsza pani szukała odpowiednich słów. Wiedziała, że oboje nie postąpili całkiem uczciwie te piętnaście lat temu. Na swoje usprawiedliwienie mieli jedynie fakt, że w 1998 roku działali pod wpływem emocji i naprawdę chcieli dobrze. Przynajmniej ona tak to widziała. Intencje przecież też się liczą.

– Myślisz, że zrobiliśmy dobrze? – zapytała równie cicho jak przedtem. Potrzebowała jego potwierdzenia. Nie musiała nic tłumaczyć. Była pewna, że Jacek Czarnecki od razu zrozumie, o co jej chodzi.

– Myślałem o tym wiele razy przez te lata – przyznał prokurator. – Nigdy nie zapomniałem. Ale co było, to było, prawda? Uważam, że postąpiliśmy właściwie. Tyle powiem.

Maria Podgórska miała wrażenie, że słyszy nutę wahania w głosie Czarneckiego.

Na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno. Było zdecydowanie chłodniej niż w ciągu dnia, ale nadal bardzo ciepło jak na grudzień. Mimo to Grażyna Kamińska okręciła szyję grubym szalem. Kiedyś, dawno temu, jej matka zrobiła go na drutach specjalnie dla niej. Kamińska była wówczas prawdziwą pięknoscią. Wszyscy mężczyźni w Lipowie oglądali się za nią. Teraz szal był już nieco spruty i znoszony. Podobnie przywiedła uroda żony policjanta. Mimo to Grażyna nie chciała pozbywać się pamiątki po dawnej świetności.

– Dawid, muszę na chwilę wyjść – oznajmiła najstarszemu synowi. – Zaraz wracam.

Syn pokiwał głową ze zrozumieniem. Miał już dziewięć lat i przyzwyczyił się chyba do tego, że czasem musi wziąć odpowiedzialność za czwórkę młodszego rodzeństwa. Kamińska potrzebowała przecież od czasu do czasu chociaż

drobnej chwili dla siebie. Nie miała już z tego powodu wyrzutów sumienia.

– To idę – powtórzyła.

Dla pewności zamknęła drzwi na dwa zamki. Paweł gdzieś wyszedł, nie tłumacząc się w żaden sposób. Nie wiedziała więc, ile właściwie ma czasu. To mogło być zaledwie kilka minut, ale równie dobrze mąż mógł nie wrócić do jutra. Mimo tej niepewności Kamińska czuła, że musi zaryzykować. Chciała tylko wypożyczyć książkę z biblioteki. Paweł oczywiście nie byłby zadowolony, gdyby się o tym dowiedział. Policjant wołał, żeby Grażyna całkowicie skupiała się na opiece nad dziećmi. Stopniowo jednak, po wydarzeniach sprzed niemal roku, udało jej się przeforsować kilka przywilejów dla siebie. Mogła już na przykład od czasu do czasu wyjść do salonu Eweliny Zaręby. To już było pewne osiągnięcie. Cienkie włosy Grażyny zaczynały nareszcie nabierać jakiegoś kształtu. Książki z biblioteki to był kolejny krok naprzód.

W oknach sąsiadów nie widać było światła. Kamińska nie była pewna, czy Gierotów nie ma, czy Irena z oszczędności siedzi po ciemku. Grażyna westchnęła cicho. Pomagała sąsiadce, jak mogła, ale sama nie była przecież zbyt majątna. Nie mogła płacić za rachunki Gierotów.

Ruszyła żwawym krokiem przez Lipowo. Na głównej ulicy panował dość duży ruch. Wszyscy w ten czy inny sposób przygotowywali się do świąt. Grażyna rozejrzała się niepewnie. Miała nadzieję, że nigdzie nie zobaczy Pawła. Na pewno nie byłby zachwycony. Zachwycony? To mało powiedziane.

Szybko weszła do biblioteki, która znajdowała się niemal w samym centrum wsi, tuż obok dość dużego stawu. W środku było prawie pusto. Urszula Weiss chodziła między regałami z miotłką do kurzu. Wydawało się, że bibliotekarka mówi do siebie cicho. Na twarzy Urszuli malowało się coś trudnego do opisanego. Jakby tłumione emocje próbowały znaleźć jakieś ujście. Grażyna zadrżała. Wszystko to sprawiało dość niepokojące wrażenie.

Kiedy Kamińska była jeszcze w szkole, niektórzy uczniowie mówili, że pani Urszula Weiss jest chora psychicznie.

Prawdopodobnie robili to na złość Tytusowi i Filipowi, którzy zawsze byli szykanowani ze względu na brak ojca. Dzieci bywają okrutne, ale teraz, patrząc na wytraconą z równowagi bibliotekarkę, Grażyna gotowa była uwierzyć w te plotki.

– Och, dzień dobry – zreflektowała się Urszula Weiss. Jej rozbiegana od nerwowych tików twarz na moment znieruchomiała. – Nie zauważyłam pani, pani Grażyno.

Bibliotekarka poprawiła apaszkę nieco niespokojnym ruchem. Kamińska odchrząknęła. Miała wrażenie, że przerwała jakiś dziwny rytuał. Jakby znalazła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

– Czy przyszły już te pozycje, które zamawiałam ostatnio?
– zapytała niepewnie żona policjanta.

– Dzień dobry – powtórzyła Urszula Weiss mechanicznie.

Grażyna Kamińska spojrzała na bibliotekarkę zaskoczona. Na moment zapomniała nawet o strachu. Urszula Weiss chyba zorientowała się, że coś jest nie w porządku, bo odchrząknęła i uśmiechnęła się uspokajająco.

– Och, przepraszam. Dzisiaj jestem trochę roztargniona. Tyle się teraz dzieje. Mój starszy syn wrócił z więzienia i... no sama pani przecież rozumie – powiedziała. – Mogłaby pani powtórzyć pytanie?

Grażyna Kamińska pomyślała o zniechęconym przez wszystkich Tytusie. To na pewno przez niego Urszula Weiss jest wyprowadzona z równowagi. Nic dziwnego. Przecież jej syn doprowadził do śmierci czterech osób. Nie było chyba w Lipowie nikogo, kto darzyłby go obecnie chociaż jednym ciepłym uczuciem. Niektórzy co bardziej zapalczywi grozili linczem. Bibliotekarka na pewno była tym wszystkim przejęta. Miała do tego pełne prawo. Nic dziwnego, że zachowuje się nieco dziwnie.

– Pytałam, czy przyszły już tamte książki, o które prosiłam tydzień temu – powtórzyła Grażyna.

– Tak, ale proszę zajrzeć jutro. Dziś już muszę zamykać – oznajmiła nagle Urszula Weiss. – Proszę natychmiast wyjść.

Kamińska zerknęła na zegarek. Do zamknięcia biblioteki było przecież jeszcze co najmniej pół godziny.

– Nie wiem, czy będę mogła jutro przyjść – mruknęła błagalnie. – Możemy to załatwić dzisiaj?

Wstydziła się mówić o swojej zależności od męża, ale bardzo chciała odebrać te książki. Liczyła, że bibliotekarka zrozumie aluzję.

– Dziś już zamknięte – odparła twardo Urszula Weiss.
– Przykro mi.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska nacisnęła zieloną słuchawkę na klawiaturze telefonu i przez moment słuchała sygnału. Przez cały dzień próbowała skontaktować się z mecenasem Dawidem Wieczorkiem, który reprezentował tajemniczego Ludwika Zycha. Jerzy Grala powiedział, że właściciel parceli, na której znajduje się Cichy Lasek i osada sekty Świątynia, mieszka gdzieś za granicą i jest nieosiągalny. Na razie. Emilia postanowiła skontaktować się z jego bezpośrednim pełnomocnikiem, by uzyskać więcej szczegółów. Usilne próby nie przyniosły jednak rezultatu. Przynajmniej jak do tej pory.

Policjantka wróciła już do domu i teoretycznie miała wolny wieczór, ale w praktyce ta sprawa nie dawała jej spokoju. Właściwie nie wiedziała dlaczego. Kości znalezione na terenie dawno opuszczonej osady sekty były przecież stare, lecz Emilia Strzałkowska nie mogła pogodzić się ze śmiercią bezimiennej Kobiety zza Skrzyni. Chciała przynajmniej wiedzieć, kim ona była. Jakby przywrócenie zmarłej imienia i nazwiska w jakiś sposób mogło pozwolić jej wreszcie spocząć w spokoju.

– Chyba za dużo się nasłuchałam opowieści o duchach z Cichego Lasku – mruknęła Strzałkowska ze śmiechem.

Wykręciła numer prawnika po raz kolejny. Znowu nikt nie odbierał.

– Cześć, mamó! – zawołał Łukasz, wchodząc do domu.

– A gdzie cię nosiło do tej pory, jeśli można wiedzieć, co? – zapytała Emilia, może odrobinę za ostro.

Kiedy wróciła do ich wynajętego domu i nie zastała tam syna, poważnie się zmartwiła. Sama nie wiedziała dlaczego. Chyba

za bardzo się przejmowała.

– Poszedłem położyć. Nie mogę ciągle siedzieć w domu.

Strzałkowska pokiwała głową. Łukasz miał przecież rację.

– I co? Coś ciekawego? – zapytała nieco spokojniej, żeby załagodzić ostry ton poprzedniego pytania.

– Spotkałem tego waszego Szweda. Pogadałem z nim. Nawet nieźle mi szło – pochwalił się Łukasz z szerokim uśmiechem na ustach. – Wszystko praktycznie rozumiałem. Super, co? On nazywa się Crister i w domu, w Szwecji, jeździ na motocyklu. Pokazywał mi zdjęcia.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska wcale nie była zachwycona, że syn spędza czas z jakimś blondwłosym motocyklistą, który do tego jest agresywny wobec jednego z mieszkańców Lipowa. Postanowiła jednak, że tym razem niczego nie skomentuje. Nie chciała być zaborcza.

– Mam nadzieję, że ten cały Nilsson nie robił znowu problemów? – powiedziała tylko. – Nie chcę, żebyś się mieszał w jakieś bójki. Ten facet może być niebezpieczny.

– Mamo, spokojna głowa. Crister jest naprawdę bardzo fajny. Ma też zakład stolarski, czy coś takiego. Fajnie, co? – Łukasz był wyraźnie rozentuzjasmowany. Strzałkowska wzruszyła więc tylko ramionami. – Crister szedł coś pozałatwiać. Fajnie, że znalazł chwilę, żeby ze mną pogadać.

Zwykła rozmowa. Nie wydawało się, żeby to był jakiś problem. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska odetchnęła z ulgą. Położyła nogi na stoliku do kawy. Po całym dniu bolały ją stopy i chciała je potrzymać przez chwilę w gorze. To zwykle szybko pomagało.

– Jemy kolację? – zaproponowała synowi.

– Tak. Już idę.

Fryzjerka Ewelina Zaręba przygotowywała kolację zamyśloną. Latem zrobili z Markiem generalny remont domu. Między innymi usunęli ścianę pomiędzy kuchnią a salonem. Ewelina widziała takie rozwiązanie w jakiejś gazecie i bardzo jej się spodobało. Teraz była nowa moda na przestronnie

połączone pomieszczenia. Efekt, który uzyskali z Markiem u siebie w domu, przerósł nawet jej oczekiwania. Teraz było o wiele przyjemniej, poza tym Ewelina mogła przygotowywać posiłek, jednocześnie rozmawiając z rodziną.

Spojrzała na Marka i Andżelikę, którzy zaśmiewali się z jakiegoś serialu dla dzieci. Jej dorosły już mąż miał chyba nawet więcej zabawy niż córka. Malutka Zuzia spała w nosidelku tuż obok młodego policjanta. Wyglądało na to, że dziewczynka niespodziewanie szybko wyszła z okresu ciągłego płaczu.

Fryzjerka rozłożyła talerze na kuchennym stole. Na środku ustawiła półmisek z sałatą. Oboje z Markiem starali się zdrowo odżywiać i takie też nawyki wpoić Andżelice, a potem Zuzi. Wieczór jak co dzień. Ewelina Zaręba nie mogła jednak przestać myśleć o tym, co powiedziała wczoraj Izka Weiss.

Muszę pozbyć się Filipa. Chyba tak to ujęła przyjaciółka. Te słowa cały czas wracały do fryzjerki natrętnie. Zupełnie jakby było w nich coś więcej niż głupie gadanie.

Ewelina Zaręba jeszcze raz spojrzała na siedzącego przed telewizorem męża. Czy powinna powiedzieć o tym Markowi? – zastanawiała się, wyciągając z lodówki wędzonego łososia. W końcu uznała, że nie może zdradzać sekretów powierzonych jej przez przyjaciółkę. Porozmawia z Izką przy najbliższej okazji i wszystko wyjaśni.

– Tak będzie najlepiej – powiedziała do siebie cicho fryzjerka Ewelina Zaręba. – Marek, Andżelika! Chodźcie na kolację!

Carin Nilsson usiadła do stołu we „Wrzosach”. Crister gdzieś zniknął. Wyszedł i nie powiedział ani gdzie idzie, ani kiedy wróci. W gruncie rzeczy nie powinna mieć do niego pretensji. W końcu wcześniej sama zrobiła dokładnie to samo. Wymknęła się, żeby porozmawiać z Filipem Weissem, nic bratu o tym nie wspominając. Crister nakrył ją, kiedy wracała, i rozpułała się awantura. Być może w ten sposób brat chciał ją ukarać.

Do kuchni wszedł Jerzy Grala, który wynajmował tu drugi pokój. Mężczyzna mówił po angielsku i okazał się dość

przyjemnym rozmówcą. Niewysoka Jaśmina Ciosek-Dworakowska przygotowała bardzo dobrą kolację. Carin na chwilę nawet zapomniała o zniknięciu Cristera. Zasmakowała w polskiej kuchni. Planowała nawet kupić książkę kucharską, żeby popróbować tego wszystkiego, kiedy wróci do domu.

Po kolacji każde poszło w swoją stronę i Carin Nilsson nie mogła dłużej uciekać przed irracjonalnym strachem o brata. Usiadła w pokoju i w zamyśleniu spojrzała na zegarek. Spróbowała znowu zadzwonić do Cristera, ale nie odbierał telefonu.

Po raz kolejny spojrzała na zegarek. W głowie rodziło jej się tysiące scenariuszy.

– *Var är du, Crister?*¹⁷ – powiedziała do siebie.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski usiadł z matką do późnej kolacji. Maria przygotowała placki ziemniaczane, które policjant bardzo lubił. Daniel nie mógł się jednak zmusić do jedzenia. O dziwo matka nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Siedzieli w milczeniu, każde pogrążone w swoich myślach.

Nagle usłyszeli syrenę wozu strażackiego. Mieszkali dość niedaleko remizy ochotniczej straży pożarnej i dźwięk zdawał się dochodzić do ich domu ze zdwojoną siłą.

Starsza pani wyrzwała przez okno zaniepokojona. Podgórski zauważył, że jej wzrok powędrował automatycznie w kierunku „Wrzosów”. Na tej samej działce stał przecież dom, gdzie w płomieniach zginął jej mąż. Pech chciał, że tamtego listopada 1998 roku remiza ochotniczej straży pożarnej w Lipowie była w remoncie i wóz strażacki jechał do pożaru domu państwa Dworakowskich aż z Brodnicy. Właśnie dlatego Roman Podgórski i Jan Kamiński zdecydowali się nie czekać i bohatersko wbiegli w ogień, żeby ratować koleżankę z komisariatu i jej siostrę.

Daniel również podszedł do okna. Wóz strażacki oddalał się

17 Gdzie jesteś, Crister?

od nich, ale dźwięk syreny nadal niósł się przez wieś.

– Sprawdzę, co się dzieje – zdecydował policjant.

Matka pokiwała głową i również zaczęła się ubierać. Podgórski nie miał zamiaru jej powstrzymywać. Wyszli przed dom. Kilkoro sąsiadów stało już na chodniku i żywo dyskutowało.

– Gdzie się pali? – zapytał ich Daniel.

Stary Krymski wskazał w kierunku pól.

– Moim zdaniem to tam.

Rzeczywiście: w oddali nad polami widać było łunę, jakby płonęła tam gigantyczna pochodnia. Młodszy aspirant Daniel Podgórski miał wrażenie, że doskonale wie, czyj dom stanął w ogniu. Policjant zaczął biec ile sił w nogach.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 11

Lipowo.

Środa, 4 listopada 1998

Aspirantka Zofia Dworakowska przebiegła obok biurka Marii Podgórskiej w recepcji ich małego komisariatu w Lipowie.

– Dokąd się tak spieszysz, Zosiu? – zagadnęła Maria ciekawie.

Policjantka zazwyczaj uśmiechnęłaby się pod nosem. Z Podgórskiej zawsze była plotkara. Teraz jednak Zofia nie miała nastroju, żeby to tolerować.

– Seweryn zabiera dziś Albina na rehabilitację, a ja zaprosiłam siostrę do siebie – wyjaśniła Dworakowska szybko.

– Marta ma być u mnie za dziesięć minut. Nie chcę, żeby czekała na dworze, więc pędzę. Do jutra.

– Co tam słyszać u Marty? – zapytała Maria Podgórska, jakby nie przyjęła do wiadomości, że policjantka naprawdę się spieszy.

Zofia westchnęła i narzuciła kurtkę wprost na mundur. Zwykle po skończeniu dnia służby przebierała się w cywilne ubranie, ale nie dziś. Dziś nie było czasu. Cywilne ubranie może przecież zostawić do jutra w komisariacie. To nie był problem. I tak każde z nich dysponowało swoim własnym gabinetem. Rzeczy nie będą nikomu przeszkadzały, a Dworakowska zyska kilka cennych minut.

– Jak się miewa Marta? – powtórzyła Maria z uporem.

Aspirantka Zofia Dworakowska spojrzała na koleżankę podejrziwie. Nie była pewna, czy tamta coś wie na temat

Seweryna.

– U mojej siostry wszystko w porządku. Po staremu.

– Pozdrów ją ode mnie.

Zofia Dworakowska wybiegła na dwór bez odpowiedzi. Nie chciała tracić czasu na kolejne zbędne pytania Marii. Kiedy dobiegła do domu, Marta Ciosek stała już pod drzwiami. Siostra przytupywała na zimnie, żeby trochę się rozgrzać.

– Przepraszam, że jestem spóźniona – powiedziała policjantka.

– Nie szkodzi, ale otwieraj szybko – rzuciła Marta z uśmiechem. – Straszny ziąb!

Zofia zaczęła szukać kluczy w kieszeni spodni.

– Cholera!

– Co się dzieje?

– Przyszłam w mundurze, a klucze mam w kieszeni moich cywilnych spodni. Zostały w komisariacie – wyjaśniła Dworakowska zirytowana. To tyle, jeżeli chodzi o zyskiwanie cennych minut kosztem przebierania się.

– To idziemy do mnie? – zaproponowała Marta Ciosek.

Policjantka pokręciła głową przecząco. U Marty była przecież Jaśmina. Zofia nie chciała rozmawiać o swoim mężu przy siostrzenicy.

– Nie. Mamy zapasowy klucz. Schowaliśmy go za garażem. Poczekaj chwilkę. Zaraz przyniosę.

Zofia poszła po klucz, który kiedyś ukryli z Sewerynem w doniczce na tyłach wiaty na samochód. To był jej pomysł. Mąż na początku nie chciał się zgodzić. Bał się, że ktoś wejdzie do domu. Nie mówił dokładnie, kto by to miał być. Teraz Zofia zaczynała się chyba domyślać. Chodziło o kochankę.

Otworzyła drzwi zapasowym kluczem i wpuściła siostrę przodem. Marta Ciosek zdjęła płaszcz i od razu ruszyła do kuchni. Czuła się w domu Dworakowskich jak u siebie. Policjantka również zdjęła kurtkę i ruszyła za siostrą.

– Muszę z tobą porozmawiać – zaczęła Zofia spieszenie.

– Znalazłam pewien list. Nie chcę w to wierzyć, ale wygląda na to, że mój mąż mnie zdradził i są tego owoce... Musisz mi poradzić, co mam zrobić. Czuję się zupełnie zagubiona.

ROZDZIAŁ 12

Lipowo i Brodnica.
Wtorek, 24 grudnia 2013. Przed południem

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wysiadł ze swojego błękitnego subaru. Paweł Kamiński zatrzasnął drzwi samochodu nieco zbyt mocno. Obaj policjanci byli wytrąceni z równowagi. Podczas podróży do Brodnicy nie zamienili ze sobą ani słowa. Każdy myślał gorączkowo o tym, co się wydarzyło.

Wczorajszej nocy ktoś podpalił samotny drewniany dom Filipa Weissa. Śmieciarz przebywał obecnie w szpitalu w Brodnicy. Kiedy Daniel zadzwonił nad ranem do szpitala, mężczyzna żył jeszcze, ale był w stanie krytycznym. Nie można go było przenieść nigdzie dalej ze względu na rozległe poparzenia. Z Bydgoszczy przyjechał lekarz specjalista, ale nie dawano Filipowi zbyt wielkich szans. Do poparzeń dochodziło jeszcze ciężkie zatrucie dymem.

Policjanci z Lipowa weszli do szpitala. Nadal nie rozmawiali ze sobą ani nawet nie patrzyli w swoją stronę. Zwyczajne napięcie i niechęć pomiędzy kolegami z komisariatu zniknęły, ustępując miejsca poczuciu więzi. Wczorajszej nocy ktoś podpalił dom brata mordercy ich ojców!

Kiedy Daniel Podgórski i Paweł Kamiński znaleźli się przy recepcji izby przyjęć, od razu podszedł do nich lekarz w białym kitlu. Mężczyzna miał podkrążone oczy i niezdrowo białą ospowatą cerę.

- Doktor Kajetan Zając – przedstawił się lekarz.
- Rozmawialiśmy przez telefon kilka godzin temu.
- Jak stan pacjenta? – zapytał Podgórski bez zbędnych wstępów.

Policjant nie miał teraz ochoty na ani jedno niepotrzebne

słowo.

– Niestety pan Filip Weiss zmarł pół godziny temu – poinformował lekarz, tłumiąc ziewnięcie. – Robiliśmy, co mogliśmy, ale...

Niedokończone zdanie jakby zawisło w powietrzu. Pielęgniarka z izby przyjęć opuściła wzrok.

– Fortuna kołem się toczy – mruknął ledwo dosłyszalnie Paweł Kamiński.

Daniel zerknął w stronę kolegi, ale Paweł nadal unikał jego wzroku.

– Czy poinformował pan już rodzinę? – zapytał Podgórski doktora Zająca.

Lekarz przejechał dłonią po włosach. W jego ruchach widać było wyczerpanie.

– Czekałem na panów – przyznał. – Nie byłem pewien, czy powinienem mówić im cokolwiek bez obecności policji. Zwłaszcza po pana telefonie. Czy już wiadomo, czy to był wypadek, czy podpalenie?

Daniel Podgórski pokręcił głową.

– Wkrótce to ustalimy – zapewnił krótko. – Czy rodzina jest tu, w szpitalu?

– Tak. Nie mieliśmy serca ich wyprosić. Nocowali w pokoju zebrani personelu. Czy mam teraz poinformować ich, że pacjent zmarł?

Podgórski westchnął. Informowanie rodziny o śmierci... do tego nie można było się przyzwyczaić.

– My się tym zajmiemy – zaproponował lekarzowi. – Dziękuję za pana starania.

– To moja praca – odparł doktor Kajetan Zajac skromnie. – Zaprowadzę panów do rodziny zmarłego.

Rodzina zmarłego. Daniel Podgórski od tak dawna nienawidził każdego z członków rodziny Weissów. Może dziś trzeba było o tym zapomnieć. Doskonale pamiętał ten moment, kiedy zrozumiał, że jego ojciec naprawdę nie żyje. Nie było niczego gorszego.

Paweł Kamiński przez chwilę wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Może

pomyślał o tym samym. Daniel był koledze wdzięczny za brak zwyczajowego ostrego komentarza. Nie ufał teraz swojemu głosowi i cieszył się, że nie musi interweniować.

Doktor Kajetan Zając poprowadził policjantów do pokoju dla personelu, gdzie przenocowała rodzina Weissów. Lekarz bez słowa wskazał na drzwi i natychmiast oddalił się długim białym korytarzem.

Daniel zapukał ostrożnie do drzwi, ale otworzył je bez oczekiwania na odpowiedź. Chciał już mieć to za sobą. Matka zmarłego Urszula Weiss, jego brat Tytus i żona Izabela siedzieli w pewnej odległości od siebie. Urszula ścisnęła w rękach książkę, która wyglądała na stare wydanie Biblii. Tytus trzymał w zębach wykałaczkę. Sprawiał wrażenie kogoś, kto ma wielką ochotę na papierosa. Izabela bujała się rytmicznie w przód i w tył na rozchybotanym krześle. Trzy osoby, nikt poza tym. Pokój dla personelu opustoszał, jakby rodzina Weissów była trędowata.

Paweł Kamiński oddychał ciężko za plecami Podgórskiego. Nie wróżyło to nic dobrego. Opanowanie kolegi chyba mijało.

– I co teraz powiesz, kutasie jeden? – rzucił Kamiński w kierunku Tytusa, zanim Daniel zdążył jakkolwiek zareagować. – I co teraz czujesz, zasańcu jebany? Jak to jest stracić kogoś najbliższego, co? I co teraz powiesz!

Tytus Weiss wstał. Nie był imponującego wzrostu, ale mocno umięśniony kark i szerokie plecy robiły swoje. Mimo to Kamiński postąpił krok w kierunku mężczyzny. Daniel chwycił kolegę za kurtkę. Ostatnie, czego teraz potrzebowali, to bójka w szpitalu.

– Paweł, poczekaj na zewnątrz – rozkazał Podgórski. – Ja się tym zajmę.

Kamiński nie ruszył się z miejsca, ale nie powiedział też nic więcej.

– Czy mój brat nie żyje? – zapytał Tytus powoli, patrząc tylko na Podgórskiego. – Czy dlatego tu przyszlście? Filip umarł?

Urszula Weiss i Izka Weiss spojrzały na policjanta wyczekująco. Chciały chyba usłyszeć wyraźne zaprzeczenie. Daniel miał nieprzyjemne wrażenie, że kobiety mogą przejrzeć

go na wylot.

– Czy mój brat nie żyje? – powtórzył Tytus Weiss. Jego głos drżał lekko.

Podgórski spuścił wzrok. Nie chciał teraz widzieć ich twarzy.

– Niestety. Filip umarł kilkanaście minut temu – powiedział bardzo cicho. – Lekarze robili, co mogli, ale poparzenia okazały się... Było za późno na ratunek, kiedy przyjechała straż pożarna... już nic...

Młodszy aspirant Daniel Podgórski poczuł, że płacze mu się język. Piętnaście lat temu to on był w sytuacji tej rodziny. Z powodu mężczyzny, który stał teraz przed nim i drżącym głosem pytał, czy jego brat nie żyje.

– I jak się czujesz, jebany kutasie?! – zawołał znowu Paweł Kamiński. W jego głosie nie było jednak satysfakcji.

– Wychodzimy – oznajmił Daniel, ciągnąc za sobą Kamińskiego.

Wypchnął kolegę na korytarz i obrócił się w stronę rodziny Weissów. Tytus nadal stał na środku pomieszczenia, jakby zmienił się w marmurowy posąg. Urszula zanosila się płaczem. Izka Weiss natomiast spojrzała Danielowi prosto w oczy. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w tym spojrzeniu kryje się wyzwanie.

Jaśmina Ciosek-Dworakowska otarła pot z czoła. Albin od rana nie był sobą. Miał dziwne drgawki i mówił coś niewyraźnie. Profesor Seweryn Dworakowski przekonał ją, że te dziwne objawy miną same, ale Jaśmina bardzo niepokoiła się stanem kuzyna. Albin gorączkował. Ona sama wolałaby zadzwonić do lekarza, ale w końcu to wuj był ojcem chłopca w ciele mężczyzny i to do niego należało ostatnie słowo w tej kwestii. Na szczęście Albin w końcu zasnął.

Profesor Dworakowski siedział z synem w pokoju, trzymając go czule za rękę. Jaśmina zdecydowała więc, że czas zejść na dół i rozpocząć przygotowania do wieczery wigilijnej. Wyglądało przecież na to, że trójka ich gości zostanie we „Wrzosach” także na Boże Narodzenie. To była dobra

wiadomość. Każdy dzień ich pobytu w wynajętych pokojach był przecież zarobkiem dla niej i wuja. A pieniędzy potrzebowali jak nigdy dotąd. Leczenie Albina pochłaniało bowiem dużą część domowych funduszy. Jaśmina starała się, jak mogła, ale bała się, że w pewnym momencie Albin będzie potrzebował osobistej pielęgniarki. To mogło oznaczać duże kłopoty. O ile profesor nie zdecyduje się wysłać syna do specjalnego zakładu.

Jaśmina weszła do spiżarni. Dużą część świątecznych wiktuałów miała już gotowych. Zawsze przygotowywała się „na zaś”. Przezorny zawsze ubezpieczony, jak mawiała jej matka. Obecnie to było także motto Jaśminy i nie rezygnowała z niego nigdy. Nawet teraz, kiedy spłonął dom Filipa Weissa.

Jaśmina starała się nie myśleć o pożarze z wczorajszej nocy. Wywoływał wspomnienia sprzed piętnastu lat, do których nie chciała już wracać. Żeby oderwać się od jałowych rozważań, postanowiła przygotować kutię. Co prawda wcześniej nie planowała jej robić, ale miała mak, bakalie i ziarna pszenicy, więc równie dobrze mogła się czymś zająć.

– Gdzieś powinien być ekstrakt migdałowy – mruknęła do siebie i zaczęła rozglądać się po spiżarni.

Jaśmina zawsze dodawała ekstrakt migdałowy do kutii. Jej rodzina ze strony ojca pochodziła z Kresów Wschodnich, gdzie była to tradycyjna potrawa na wigilijnym stole. Jaśmina przygotowywała kutię nie tylko na święta. Nie utrzymywała kontaktów z rodziną dawno zmarłego ojca, więc przynajmniej w kuchni starała się kultywować ich tradycję.

Otworzyła szafkę z tyłu spiżarni. Zauważyła, że na najniższej półce leżą torby, których tak skrzętnie bronił profesor Seweryn Dworakowski, kiedy pojechali do supermarketu po świąteczne zakupy. Serce zabiło jej szybciej, kiedy zajrzała do środka. Czy to były prezenty?

– Nic z tego nie rozumiem – szepnęła do siebie Jaśmina Ciosek-Dworakowska. – Puste butelki? Po co wujowi puste butelki?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wszedł do sali

konferencyjnej na drugim piętrze Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy. Latem, kiedy pracował nad sprawą seryjnego zabójcy, który zabijał młode kobiety w ich okolicach, policjant miał okazję często tu bywać. Wszystko zdawało się teraz bezpiecznie znajome. To było przyjemne uczucie w ten trudny dzień.

Daniel i Paweł przyjechali do Komendy Powiatowej od razu ze szpitala. Tak jak wcześniej, w samochodzie policjanci z Lipowa nie zamienili ani słowa.

Podgórski nie czuł się na siłach, żeby wracać do wybuchu Kamińskiego i w jakikolwiek sposób komentować jego niewłaściwe zachowanie w stosunku do pogrążonej w żałobie rodziny Weissów. Głównie dlatego, że gdzieś głęboko Daniel sam miał ochotę krzyknąć Tytusowi w twarz, tak jak zrobił to Paweł.

W sali konferencyjnej czekał już na nich otyły prokurator Jacek Czarnecki i szef ekipy techników kryminalnych Aleksander Ziółkowski.

– Zapraszam – powiedział prokurator cicho, poprawiając sumiaste wąsy.

Wskazał policjantom z Lipowa miejsca przy stole.

– Nie mam wiele czasu – powiedział szef techników oschle.

– Jest wezwanie w okolicach Jabłonowa. Potem kończę pracę. W końcu dziś jest Wigilia. Mam nadzieję, że zbiry to jakoś uszanują. Chcę wreszcie spędzić trochę czasu z rodziną.

Ziółkowski nie należał do przyjemnych osób. Być może jednak Podgórski był do niego zwyczajnie uprzedzony. Szef techników kryminalnych i dobra znajoma Daniela, komisarz Klementyna Kopp, delikatnie mówiąc, nie darzyli się sympatią. Może przez to Podgórski również nie za bardzo lubił Aleksandra Ziółkowskiego.

– Olku, poinformuj nas tylko krótko o wynikach waszych prac w okolicach podpalonego domu Filipa Weissa – poprosił prokurator Czarnecki. Jego podwójny podbródek kołysał się przy każdym słowie. – Będziemy mogli jakoś zacząć działać. Raport prześlesz mi potem.

Daniel Podgórski i Paweł Kamiński usiedli przy stole.

– Będę się streszczał. Współpracowaliśmy przy tej sprawie z ekspertem z Komendy Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej tu w Brodnicy. Jeżeli chodzi o sam pożar, to bez wątplenia mamy do czynienia z podpaleniem – poinformował ich Aleksander Ziółkowski. – Część domu oblano benzyną. Był drewniany, więc zajął się bez problemu. Poza tym do środka wrzucono kilka butelek zapalających, czyli mówiąc kolokwialnie, koktajli Mołotowa. Oprócz benzyny znaleźliśmy też w nich ślady denaturatu.

– Czy to coś szczególnego? – zapytał prokurator.

Kryminalistyk pokręcił głową.

– Koktajl Mołotowa to rodzaj prymitywnego granatu. Łatwo go zrobić samemu. W Internecie niestety można znaleźć wiele stron, gdzie są dokładne instrukcje. Oględnie mówiąc, potrzebna jest szklana butelka wypełniona niemal dowolną łatwopalną cieczą i lont. Nie będę tu wchodził w szczegóły – stwierdził Ziółkowski. – Jako paliwa z reguły używa się benzyny albo ropy, ale można równie dobrze dodać denaturat. Tak właśnie zrobiono tym razem.

– Denaturat jest dość powszechny. Chyba ta informacja wiele nam nie pomoże – mruknął prokurator Jacek Czarnecki rozczarowany.

Aleksander Ziółkowski wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to już nie jego sprawa.

– Dodatkowo drzwi wyjściowe były podparte od zewnątrz metalowym prętem – kontynuował. – To panowie policjanci pewnie widzieli już wczoraj. Prawdopodobnie miało to utrudnić mężczyźnie ucieczkę.

– Są jakieś odciski palców na tym pręcie? – wtrącił się Daniel Podgórski.

– Nie – odparł krótko technik. – Strażacy byli w rękawicach. Więc ich odcisków nie było na pręcie. Sprawca zapewne zrobił podobnie, bo nic nie znaleźliśmy. Dosłownie nic. Prawdopodobnie pręt został wytarty.

– Czyli mamy zabójstwo? – upewnił się prokurator Czarnecki.

– Według mnie bez wątplenia chodzi o podpalenie w celu

zabójstwa – przytaknął główny technik bez wahania. – Ale to już, całe szczęście, nie moja rzecz. Czy mogę przejść do tej drugiej sprawy?

Prokurator Jacek Czarnecki pokiwał głową.

– Druga kwestia to przeszukanie tej opuszczonej osady, gdzie znaleziono stare kości postrzelonej kobiety – przypomniał Aleksander Ziółkowski. – Przeszukaliśmy już cały teren. Domostwo po domostwie i cały ten zagajnik. Nie znaleźliśmy ani broni, z której mogła zostać zabita NN, ani naboju, który przestrzelił jej czaszkę.

– To chyba oznacza, że musiały zniknąć, zanim osadę przeszukano za pierwszym razem – powiedział Daniel. – W sześćdziesiątym piątym roku. Według dokumentacji z przeszukania terenu po zbiorowym samobójstwie, broni palnej tam nie było.

Podgórski chciał już wrócić do omawiania kwestii pożaru domu Filipa Weissa. Nie miał ochoty zaprzętać sobie teraz głowy Kobietą zza Skrzyni. Może brzmiało to okrutnie, ale nieznamoma leżała w Cichym Lasku już tyle lat, że mogła jeszcze trochę poczekać.

– Jeżeli o mnie chodzi, myślę, że tą NN zabito poza terenem osady i zagajnika – poinformował ich technik obojętnym tonem.

– Dlaczego?

– Nie znaleźliśmy żadnego miejsca, gdzie byłoby wystarczająco dużo śladów krwi. Sprawdziliśmy wszystko bardzo dokładnie, mimo że ludzie nie mają teraz głowy do pracy ze względu na święta. Ale zna mnie pan, prokuratorze, mnie nic nie umknie. Ta kobieta nie została zabita w osadzie sekty. Ciało jedynie tam schowano.

Prokurator Jacek Czarnecki skinął głową.

– Zostawiam panów – powiedział Aleksander Ziółkowski.

– Wszystko dokładnie opiszę w raporcie. Teraz nie mam więcej czasu. Żegnam.

Szef techników kryminalnych wyszedł przez przeszklone drzwi sali konferencyjnej, nie czekając na odpowiedź. W pomieszczeniu zapadła cisza.

– Ja nie mam, kurwa, najmniejszych wątpliwości, kto podpalił dom śmieciarza – syknął Paweł Kamiński, jakby przez cały czas się powstrzymywał, ale w końcu wszelkie zahamowania minęły. – Kurwa jego mać! Sukinsyn znowu to zrobił.

Prokurator Czarnecki spojrział na policjanta dziwnie.

– Wtedy też były koktajle Mołotowa – przyznał młodszy aspirant Daniel Podgórski.

Wtedy, czyli piętnaście lat temu, kiedy spłonął dom państwa Dworakowskich podpалony przez Tytusa Weissa. Daniel znowu nie musiał niczego tłumaczyć. W tym pomieszczeniu wszyscy dokładnie wiedzieli, o czym mówił. Prokurator Czarnecki był przecież najbliższym przyjacielem Romana Podgórskiego i to on skutecznie doprowadził do skazania Tytusa Weissa na dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności.

– W dziewięćdziesiątym ósmym roku Tytus Weiss rzucił koktajle Mołotowa, to prawda – powiedział prokurator Czarnecki, podkreślając sumiaste wąsy. – Nie użył jednak denaturatu. Z tego, co pamiętam, jako paliwa użył benzyny zmieszanej z olejem.

– Czy to ma jakieś pieprzone znaczenie?! – zapienił się Paweł Kamiński. – Denaturat? Benzyna z olejem? Co to za różnica? Nie widzicie? Na moje, to Tytus Weiss podpalił dom brata. Kurwa, nie wiem, co temu szajbusowi chodzi po głowie, ale... facet wychodzi z więzienia i już po kilku dniach magicznym sposobem znowu mamy podpalenie. Benzyna i koktajle Mołotowa. Na moje, to nie jest przypadek.

Czarnecki i Podgórski spojrzeli na Pawła uważnie.

– Nie mogę się nie zgodzić – powiedział w końcu prokurator powoli. – Rzeczywiście podobieństw jest aż nazbyt dużo.

Paweł Kamiński pokiwał głową z zadowoleniem.

– Potrzebny jest nam tylko nakaz i zapuszczujemy go na dobre – oznajmił, przejmując kontrolę nad sytuacją.

– Sprowadźcie go do aresztu – zgodził się prokurator Jacek Czarnecki. – Przesłuchamy Tytusa Weissa dokładnie. Macie moje słowo.

Paweł Kamiński zerwał się z krzesła i natychmiast ruszył

do drzwi. Daniel Podgórski również wstał od stołu.

– Danielu – zatrzymał go prokurator.

– Tak?

– Czy rozważyłeś już moją propozycję przejścia do policji kryminalnej tu, w Komendzie Powiatowej? – zapytał cicho Czarnecki. – Niedługo przechodzę na emeryturę. Jeżeli jesteś zainteresowany, dobrze by było załatwić to szybko. Potem może być ci trudniej się przebić. Teraz mam wpływy, ale jako emeryt niewiele pewnie będę mógł.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski spojrzał na prokuratora przelotnie.

– Na razie mam chyba wystarczająco kryminału u siebie w Lipowie. Chyba jeszcze się wstrzymam.

Kiedy tylko to powiedział, poczuł, że ogarnia go dziwna ulga. Wreszcie podjął jakąś decyzję. Być może błędną, ale jednak. Daniel zawsze marzył o pracy w policji kryminalnej. Z drugiej strony nie był chyba jeszcze gotów zostawić swój niewielki komisariat w Lipowie. Weronika Nowakowska przyjęła propozycję Czarneckiego i od czasu do czasu wspierała policjantów z Brodnicy swoją wiedzą z zakresu psychologii. Daniel jednak czuł, że to nadal nie był jego czas.

– Przemyśl to jeszcze, Danielu – poradził prokurator Jacek Czarnecki, z trudem podnosząc swoje olbrzymie ciało z krzesła. – Czy ty i twoi ludzie poradzicie sobie z sytuacją, czy potrzebujecie wsparcia z komendy?

– Na razie dajemy radę – zapewnił Daniel Podgórski pospiesznie. – Chciałbym zająć się tym sam, Jacku... Weissowie... Tu chodzi o mojego ojca. Nie chcę, żeby zajmował się tym ktoś obcy. To musimy zrobić my.

Prokurator Czarnecki przyjrzał się Danielowi uważnie, jakby rozważał jego prośbę.

– Rozumiem. Moja pozycja jest mocna, więc masz wolną rękę. Wszystko załatwię – zdecydował w końcu. – Przynajmniej na razie nikt inny nie będzie się mieszał do tej sprawy.

Paweł Kamiński zajął do sali konferencyjnej.

– Daniel, idziesz czy nie? – warknął. – Tytus raczej nie będzie na nas grzecznie czekał. Powinniśmy go byli zwinąć już

w szpitalu. Od razu było widać, że jest podejrzany.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski skinął głową prokuratorowi Jackowi Czarneckiemu i ruszył za Kamińskim. Tym razem Tytus Weiss wróci do więzienia na dobre.

Naukowiec Jerzy Grala stał pośrodku osady sekty Świątynia w Cichym Lasku. Technicy kryminalni zakończyli już swoje poszukiwania ewentualnego miejsca zbrodni i pozwolili mu na wznowienie badań nad siedzibą sekty.

W zagajniku nadal było bardzo cicho, ale jakby nieco inaczej. Jakby nawet duchy tego miejsca ucichły. Grala wzruszył ramionami. Takie myśli nie uchodziły naukowcowi. Duchy? Zabobony?

Nagle gdzieś za Jerzym coś się poruszyło. Odwrócił się gwałtownie.

– Jest tu kto? – zapytał niemal wbrew sobie. – Halo?

Grala zaraz skarcił się w duchu za takie irracjonalne zachowanie. Śmierć Filipa Weissa wstrząsnęła nim chyba bardziej, niż przypuszczał. Przecież on i śmieciarz nie znali się zbyt dobrze. Połączyła ich tylko tymczasowa wspólna praca w starej osadzie w Cichym Lasku.

Po tym wydarzeniu naukowiec nie był już pewien, czy ma jeszcze ochotę zostać w Lipowie. Jerzy Grala był jednak człowiekiem sumiennym, który lubił kończyć to, co zaczął. Westchnął przeciągle i ruszył do budynku, w którym pracowali z Filipem Weissem po raz ostatni, zanim Grala znalazł stare kości zastrzelonej kobiety, a śmieciarz zginął w płomieniach. Naukowiec chciał skończyć dokumentowanie domu Witalisa Sobieraja. Potem mógł opuścić to miejsce i pracować już tylko przy komputerze.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska patrolowała starym radiowozem coraz bardziej znajome tereny Lipowa. Dziś była sama, ponieważ Daniel Podgórski i Paweł Kamiński pojechali do Brodnicy. Daniel dzwonił chwilę temu, żeby poinformować

ją, że mają do czynienia z zabójstwem. Ktoś celowo podpalił dom Filipa Weissa. Nie było mowy o żadnym wypadku. Nie wróżyło to nic dobrego. Tegoroczna Wigilia nie zaczęła się dobrze. Pożar sprawił, że świąteczna atmosfera gdzieś się ulotniła.

Strzałkowska przejechała obok spalonego domu. Z głównej drogi nie było go widać. Zatrzymała więc radiowóz i podeszła kawałek zwirowym podjazdem. Gęste zarośla, które otaczały gospodarstwo, o dziwo nie ucierpiały w ogniu zanadto. Nadal skrywały gospodarstwo śmieciarza przed wzrokiem ciekawskich.

Policjantka spojrzała na spalony drewniany budynek. Dach praktycznie się zapadł, a ściany były całkowicie zwęglone. Wyglądało to niezwykle przejmująco. Wokół wciąż unosił się nieprzyjemny zapach spalenizny.

Nagle rozdzwoniła się komórka policjantki. Spojrzała szybko na wyświetlacz, ale numer był zastrzeżony.

– Słucham – powiedziała nieco niepewnie.

Nad spalonym domem kołowało kilka gawronów, kracząc donośnie.

– Dzień dobry. Przy telefonie mecenas Dawid Wieczorek – przedstawił się mężczyzna. – Dopiero chwilę temu odsłuchałem pani wiadomość. Obecnie jestem na wakacjach z rodziną. Jesteśmy na Malediwach, więc służbowy telefon mam prawie cały czas wyłączony. Nie spodziewałem się żadnych telefonów, powiem pani szczerze. Wyjeżdżam jedynie raz w roku. Właśnie w okolicach Bożego Narodzenia. To mój czas tylko dla rodziny.

Emilia Strzałkowska niemal upuściła telefon z ekscytacji. Nareszcie! Dawid Wieczorek był osobistym prawnikiem Ludwika Zycha, czyli właściciela parceli, na której rósł Cichy Lasek. Wyglądało na to, że Daniel Podgórski i Paweł Kamiński obecnie zajęci byli jedynie sprawą podpalenia domu Filipa Weissa. Strzałkowska czuła jednak, że nie powinni zaniedbywać kwestii Kobiety zza Skrzyni.

– Dziękuję, że pan oddzwonił – powiedziała szybko policjantka.

– Bardzo mi przykro, że na terenie należącym do mojego klienta odnaleziono te... szczątki – odparł mecenas Dawid Wieczorek nieco poirytowanym tonem. – Ale nie za bardzo rozumiem, dlaczego państwu tak bardzo zależy na kontakcie ze mną! Pod moją nieobecność wszystkim zajmuje się mój wspólnik z kancelarii. O ile dobrze zrozumiałem, szkielet jest stary. Udzieliliśmy wszelkich pełnomocnictw do przeszukania terenu, kiedy państwo o nie poprosili. Wiem, że zajął się tym mój wspólnik, który jest obecnie w pracy. W przeciwieństwie do mnie.

Prawnik podkreślił ostatnie słowa wyjątkowo dobitnie.

– Tak, tak. Z tym nie było żadnych problemów – przyznała Emilia Strzałkowska. – Chciałam jednak zadać panu kilka pytań. Wiem, że państwa firma reprezentuje pana Ludwika Zycha, ale powiedziano mi, że to właśnie pan się z nim kontaktuje bezpośrednio. Nikt inny. Bardzo chciałabym porozmawiać z panem Zychem osobiście.

Prawnik westchnął głośno. W słuchawce słychać było wesołe dziecięce głosy, które tak bardzo nie pasowały do widoku spalonego domu Filipa Weissa.

– Niech pani poczeka, przejdę w inne miejsce – powiedział Wieczorek. – Źle panią słyszę. Tu jest za dużo hałasu. Jestem na plaży.

Emilia wpatrywała się w krążące nad spalonym domem ptaki. Trudno jej było uwierzyć, że gdzieś tam, niemal po drugiej stronie kuli ziemskiej, mecenas Dawid Wieczorek spędza wesoło czas z rodziną.

– Niech pani pyta – powiedział po chwili prawnik. – Wolałbym nie niepokoić mojego klienta niepotrzebnie. Ludwik Zych płaci mi właśnie za unikanie takich drażliwych sytuacji, jeśli to tylko możliwe.

– Czy pan Zych był właścicielem tej parceli już za czasów, kiedy osiedliła się tam sekta? – zaczęła Emilia Strzałkowska. – To znaczy od lat sześćdziesiątych?

Mecenas Dawid Wieczorek odchrząknął poirytowany.

– Mogła pani to sprawdzić w dokumentacji, zamiast mnie niepokoić – powiedział. – Mój klient kupił tę ziemię dopiero

później. Jeżeli mam być szczerzy, to praktycznie za bezcen. Właśnie ze względu na historię tego terenu. Ze zrozumiałych przyczyn nikt nie chciał tam mieszkać, ale mój klient potraktował to jako inwestycję na przyszłość. Miał nadzieję, że z czasem ludzie zapomną o przeszłości tego terenu i być może będzie go można sprzedać z zyskiem.

– Rozumiem. Kiedy dokładnie pan Zych nabył ten teren?

– Chyba latem dziewięćdziesiątego ósmego roku. Coś koło tego. Nie mam przy sobie dokumentacji. Może się pani skontaktować w tej sprawie z moim współnikiem – powiedział prawnik z naciskiem. – Na czas mojego urlopu przejął moje obowiązki.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska poczuła pewne rozczarowanie. Nie wiedziała, czego właściwie oczekiwała, ale obecnie miała w głowie pustkę. Zupełnie nie wiedziała, o co właściwie ma pytać.

– Dlaczego pana klient kupił akurat tę ziemię?

– Przecież już mówiłem! To była inwestycja na lata.

– Kto sprzedawał ten teren? – spróbowała znowu policjantka.

Prawniki westchnął.

– Z tego, co pamiętam, to Skarb Państwa. Proszę skontaktować się z moim współnikiem. Ja mam prawo do odpoczynku! Jak by się pani czuła, gdyby panią niepokojono podczas urlopu? Jedyne w ciągu całego roku?

Emilia zignorowała ten przytyk.

– A skąd pan Zych dowiedział się o tej parceli? – kontynuowała niezrażona. Chciała wykorzystać tę rozmowę jak najlepiej. – Był jakiś przetarg?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że pan Ludwik kiedyś wspominał, że mieszkała tam w okolicy jego rodzina i stąd wiedział o sprzedaży.

Emilia Strzałkowska nie wiedziała, do czego ją to wszystko zaprowadzi, ale poczuła, że ta nowa informacja może być ważna.

– Pamięta pan, kto to był? Ta rodzina.

Dawid Wiczorek zastanawiał się dłużej chwilę.

– Nie. Niestety nie mogę sobie przypomnieć. To byli chyba jacyś bardzo dalecy krewni. Czy to ma w tej chwili jakieś większe znaczenie? – zapytał, nie ukrywając irytacji.
– Wszystkich tych informacji mógł udzielić mój współnik.

Policjantka spojrzała po raz ostatni na spalony dom i odwróciła się. Czas wracać do radiowozu.

– Proszę jeszcze o udostępnienie jakiejś formy kontaktu do pana Ludwika Zycha – powiedziała policjantka. – Obiecuję, że nie będę go niepokoić bez potrzeby. Chciałabym mu zadać tylko kilka pytań, jeżeli to okaże się konieczne. Nie będę już wtedy przerywała wakacji panu.

Emilia Strzałkowska miała nadzieję, że taki argument na prawnika zadziała. Po drugiej stronie linii na chwilę zapadła cisza. Wyglądało na to, że mecenas Dawid Wieczorek rzeczywiście rozważał jej prośbę.

– Ponieważ pani jest z policji, dam pani numer mojego klienta, prześlę go esemesem. Proszę mu jednak nie przeszkadzać, jeżeli to nie będzie konieczne – powiedział w końcu mężczyzna. – Pan Zych to zajęty człowiek. Jest biznesmenem w Stanach Zjednoczonych. Jeżeli będzie go pani nękała bez potrzeby, zastosujemy odpowiednie kroki wobec pani.

– Bardzo dziękuję. Resztę spraw będziemy załatwiać z pana współnikiem – obiecała sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska, nie komentując pogroźek prawnika. – Życzę wesołych świąt w tropikach. No i oczywiście wszystkiego dobrego w nowym roku.

– Pani również – powiedział Wieczorek łaskawie. – Proszę tylko nie niepokoić mojego klienta bez potrzeby.

ROZDZIAŁ 13

Lipowo.

Wtorek, 24 grudnia 2013. Po południu

Gierot patrzył na Patryka Sołtysika z pewną dozą zachwytu i niedowierzania. Łysy pił dziś za dwóch. Dotychczas to Gierot miał niepodzielny tytuł największego pijaka Lipowa. Dziś Sołtysik mógłby mu bez problemu dorównać. No może prawie. Patryk pociągnął ostatni głęboki łyk i padł jak długi pod zadaszeniem sklepu Wiery Rosłońskiej.

– No, nieźle go załatwiło – skomentował Melek bez większych emocji.

– Chyba czas odstawić Łysego do domu – zdecydował Gierot autorytatywnym tonem.

Wiedział, co to znaczy obudzić się gdzieś w rowie z pękającą od bólu głową. Czasem pijak odzyskiwał świadomość dopiero rano w domu. Irena mówiła mu wtedy, że znowu odprowadził go Marek Zaręba. Najmłodszy z lipowskich policjantów był zdecydowanie w porządku gościem, uznał Gierot. Dziś była Wigilia i miał silne postanowienie, żeby zostać na nogach. Boże Narodzenie to jednak Boże Narodzenie.

– Myślisz? – zapytał Melek niechętnie.

Melek pił od rana, nie przejmując się ani datą, ani dniem tygodnia. Wyglądało na to, że nie ma ochoty ruszać się spod sklepu ani pomagać Patrykowi Sołtysikowi w powrocie do domu.

– Jo. Odstawimy Łysego jego starej, niech się Jagna martwi, jak go otrzeźwić – zarządził Gierot. – To już nie nasza sprawa, ale do domu go odstawimy. Kolegów się w potrzebie nie zostawia!

– Może i tak – mruknął Melek niezadowolony.

Wzięli Patryka Sołtysika pod ramiona i ruszyli z trudem

przez wieś. Nikt nie zwracał na nich większej uwagi. Wszyscy zajęci byli przygotowaniami do wieczery wigilijnej i obgadywaniem wydarzeń ostatniej nocy.

– Co on się tak dziś spił? – zapytał Melek, sapiąc głośno.

Sołtysik faktycznie zdawał się ważyć tonę. Gierot też zaczynał już tracić swój początkowy entuzjazm do pomocy.

– Przyjaciel mu się spalił, to co chcesz od człowieka – mruknął, dysząc ciężko. Złamany nos znowu zaczął mu dokuczać. – W takiej sytuacji każdy by popił. Normalna rzecz.

– Jo – zgodził się Melek. – Co racja, to racja. Łysy i Filip Weiss byli blisko.

W końcu dotarli pod ekologiczną famę Sołtysików. Firanka w oknie poruszyła się nieznacznie. Jagna chyba ich zauważyła, ponieważ już po krótkiej chwili wypadła przed dom.

– Wprowadźcie go do środka – rozkazała.

– Szefowo, może drobny wigilijny datek? – zagadnął Melek z nadzieją w głosie.

Jagna Sołtysik spojrzała na niego wściekle.

– Spadajcie, pijaki jedne. Już ja zadbam, żeby Patryk się z wami więcej nie kumplował. Niszczycie mu życie. Nie rozumiecie tego?! – krzyczała. – Nie zdziwiłabym się, gdybyście to wy podpalili dom Filipa Weissa! Zaraza jedna z was.

Gierot i Melek spojrzeli po sobie.

– My? Podpalili? – zapytał Gierot urażony. – O, co to, to nie, szefowo. Jesteśmy porządnymi ludźmi. Za kogo ty nas masz?

Jagna Sołtysik spojrzała na pijaka ostro.

– Już ja was znam.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski spojrzał uważnie na Tytusa Weissa. Przed chwilą przywieźli go z Pawłem Kamińskim do Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy. Mężczyzna siedział przy stole w pokoju przesłuchań przygarbiony. Nie odwracał jednak wzroku. Patrzył wszystkim w oczy chyba po raz pierwszy, od kiedy wyszedł z więzienia i wrócił w te strony. Daniel nie wiedział, co o tym myśleć. Czy

była to oznaka niewinności, czy wręcz przeciwnie.

– Zaczynamy – mruknął prokurator Jacek Czarnecki do Daniela.

Podgórski wyrecytował do dyktafonu zwyczajową formułkę z datą i celem przesłuchania oraz obecnymi w pomieszczeniu osobami. Czuł lekką treść. Wiedział, że za weneckim lustrem pokoju przesłuchań jest kilku policjantów z Komendy Powiatowej. Był tam też żądny krwi Weissa Paweł Kamiński.

Daniel Podgórski złapał się na tym, że sam chętnie zobaczyłby Tytusa Weissa znowu w Zakładzie Karnym w Starych Świątkach. To chyba nie jest dobry znak, uznał policjant. Gdzieś z tyłu głowy jakiś cichy głosik podpowiadał mu, że nie on powinien prowadzić to śledztwo. Prokurator Czarnecki miał jednak swoje wpływy i postanowił ich użyć tak, jak o to Podgórski poprosił.

Daniel postanowił wziąć się w garść. To miało być zakończenie sprawy śmierci policjantów z Lipowa w 1998 roku. Przynajmniej w pewien sposób. Mieli szansę wsadzić Tytusa Weissa do więzienia na dobre. Ponowne podpalenie, i to kilka dni po wyjściu na zwolnienie warunkowe, przekreśliłoby jego szansę na wolność.

– Pański brat zmarł dziś rano w rezultacie doznanych w pożarze swojego domu poparzeń i zatrucia tlenkiem węgla – zaczął Podgórski. Miał wrażenie, że jego głos brzmi piskliwie. Odchrząknął, żeby odzyskać panowanie nad sobą. – Dom pana brata został celowo podpalony. Oblano go benzyną i użyto butelek zapalających. Drzwi wyjściowe dodatkowo zablokowano, żeby ofiara nie mogła łatwo uciec przed ogniem. Jak pan zapewne dobrze wie, okna są zakratowane, więc szybkie wydostanie się przez nie nie wchodziło w grę. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

Tytus Weiss nie odwrócił wzroku ani na moment. Daniel czuł się tym świdrującym spojrzeniem przytłoczony. Czy ten człowiek mógł być aż tak wyprany z uczuć, żeby nie czuć zupełnie nic? Nawet w obliczu śmierci jedyne go brata? Czy to starszy z braci Weissów mógł podłożyć ogień? Czy był piromanem i nie panował nad sobą? Policjant przypomniał

sobie nagle lekkie drżenie głosu, kiedy rozmawiał z Tytusem w szpitalu. Co się tak naprawdę wydarzyło wczorajszej nocy?

– Tak, zdaję sobie sprawę – przyznał twardo Tytus.
– Zostałem poinformowany o śmierci brata.

Weiss położył ręce przed sobą. Kajdanki uderzyły głucho o metalowy stół w pokoju przesłuchań. Podgórski znowu odchrząknął.

– Gdzie pan był wczoraj pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą? – zapytał.

To było kluczowe dla sprawy pytanie. Ustalono bowiem, że dom śmieciarza został prawdopodobnie podpalony około godziny dwudziestej pierwszej trzydzieści. Sam Daniel usłyszał wycie strażackich syren dopiero około kwadransa później, kiedy to najbliższa sąsiadka Filipa Weissa zadzwoniła pod 998 i zawiadomiła o pożarze. Ponieważ gospodarstwo śmieciarza położone było na uboczu i ukryte w połodowcowej dolinie, kobieta zauważyła ogień dopiero, kiedy płomienie rozprzestrzeniły się już prawie na cały budynek. Może gdyby Filip Weiss mieszkał gdzieś bliżej drogi, teraz jeszcze by żył. Może wtedy ktoś zauważyłby, że jego brat skrada się z benzyną i koktajlami Mołotowa, żeby zadać śmierć, przebiegło Danielowi przez myśl.

Tytus Weiss milczał.

– Gdzie pan był wczoraj w tych godzinach? – prokurator Czarnecki powtórzył pytanie Podgórskiego przynaglająco.

– Byłem na stacji benzynowej za Jajkowem – poinformował ich w końcu Tytus Weiss. – Na tej, która należy do Jabłońskich.

Stacja benzynowa? Daniel Podgórski i prokurator Jacek Czarnecki wymienili spojrzenia. Dom Filipa Weissa obłany został benzyną, żeby ogień łatwiej mógł się rozprzestrześć.

– Co pan tam robił? – zapytał Podgórski.

Tytus Weiss wzruszył ramionami.

– Proszę odpowiedzieć – rozkazał prokurator Jacek Czarnecki.

– To, co zwykle robi się na stacji benzynowej – odparł Weiss, nadal wpatrując się intensywnie w Daniela Podgórskiego.
– Tankowałem samochód.

– Posiada pan samochód?

– Tankowałem auto matki. Poprosiła mnie o to wczoraj wczesnym wieczorem – wyjaśnił Tytus spokojnie. – Rzadko nim jeździ, ale lubi, kiedy jest przygotowane na taką ewentualność. Dziś miałem jej wymienić opony na zimowe.

– Tankował pan samochód matki przez całą godzinę? – zainteresował się prokurator Jacek Czarnecki. – Dobrze rozumiałem? Od godziny dwudziestej pierwszej do dwudziestej drugiej?

Tytus Weiss po raz pierwszy podczas tego przesłuchania odwrócił wzrok od Podgórskiego i spojrzał przeciągle na otyłego prokuratora. Czarnecki otarł czoło z potu.

– Możliwe, że tyle mi się zeszło – odpowiedział Tytus bardzo wyraźnie. – Przeglądałem jeszcze gazety i piłem kawę. Potem dopompowałem koła. Nie spieszyłem się nigdzie. Starłem się cieszyć chwilą. W więzieniu raczej to nie było możliwe, jak pan się pewnie domyśla.

Prokurator Czarnecki nic nie powiedział. Otarł tylko pot z czoła.

– Czy jestem oskarżony o zabicie brata? – zapytał Tytus bez cienia emocji.

– Na razie musimy ustalić, gdzie pan był w interesującym nas przedziale czasowym – odparł prokurator, nie patrząc w stronę Weissa. – To rutynowe działanie.

– Doprawdy.

Zabrzmiało tak raczej jak stwierdzenie niż pytanie. *Doprawdy*. Słowo zawisło w powietrzu. Wydawało się, że w tym jednym słowie kryło się coś więcej. Młodszy aspirant Daniel Podgórski zerknął na prokuratora Czarneckiego pytająco, ale otyły mężczyzna odwrócił wzrok.

– Jestem już tymi gierkami zmęczony – powiedział Tytus Weiss po chwili ciszy. – Możecie sprawdzić, że mówię prawdę. Zapytajcie sprzedawcy na stacji benzynowej. To był taki młody chłopaczek. Rozmawiałem z nim przez chwilę. Widziałem, że mają tam monitoring. Na pewno moja urocza gęba jest na odpowiednim filmiku. Dajcie mi już spokój. Chyba powinno wam wystarczyć, że kiblowałem piętnaście lat, co?

– Na pewno to sprawdzimy – obiecał Daniel Podgórski, siłąc się na spokój. Jak dla niego Tytus mógł kiblować do końca swoich dni.

– Póki nie potwierdzimy pańskiej wersji wydarzeń, zostanie pan w areszcie tymczasowym – poinformował Weissa prokurator Czarnecki. – Jeżeli jest pan niewinny, nie ma się pan oczywiście czego obawiać.

– Doprawdy – powtórzył Tytus Weiss bez cienia ironii w schrypniętym głosie.

Tym razem prokurator wytrzymał jego spojrzenie.

– Jeżeli nie ma pana na nagraniu, to już zupełnie inna sprawa.

– Zapewniam pana, że jestem – odparł Tytus Weiss równie pewnym siebie głosem jak przedtem. – Nie zabiłem mojego brata. Nie jestem mordercą.

Nie jestem mordercą. Młodszy aspirant Daniel Podgórski zerwał się z miejsca. Tego było już dla niego za wiele. Zamierzał jak najszybciej przekonać się, kim naprawdę jest Tytus Weiss, i umieścić go z powrotem w Zakładzie Karnym w Starych Świątkach.

Starszy sierżant Marek Zaręba przygotowywał wigilijny stół razem z córkami. To znaczy Andżelika mu pomagała, a Zuzia uśmiechała się szeroko ze swojego bujaka. Szło im całkiem nieźle. Młody policjant przyniósł z lasu kilka jodłowych gałązek i szyszek. W przyпіywie fantazji ułożył wśród nich czerwone jabłuszka. Starsza córka znalazła u siebie w pokoju białe świece z poprzedniego roku. Zapalili je w radosnym oczekiwaniu.

– Tato, włączyć kolędy?

– Jasne. Mama pewnie zaraz przyjdzie, więc musimy się pospieszyć. Chcę, żeby wszystko wyglądało idealnie.

Andżelika włożyła płytę do magnetofonu i pokój wypełniły skoczne dźwięki ulubionej kolędy młodego policjanta. Marka opanovał radosny nastrój.

Przybieżeli do Betlejem pasterze,
Grając skocznie Dzieciąteczku na lirze.
Chwała na wysokościach, chwała na wysokościach,
A pokój na ziemi.

Nagle usłyszeli, że drzwi ich domu otwierają się. Do pokoju weszła Ewelina. Prowadziła za sobą Izkę Weiss. Żona śmieciarza wpatrywała się w podłogę. Jej twarz zdawała się nieruchoma. Marek Zaręba westchnął w duchu. Świąteczny nastrój nagle się ulotnił.

– Zaprosiłam Izkę do nas na Wigilię – oznajmiła fryzjerka, zerkając na męża z naciskiem. – Jest u nas zawsze mile widziana, prawda?

Młody policjant natychmiast pokiwał głową. Izka Weiss właśnie straciła męża. Nie mógł jej przecież odmówić gościny. Dziwne było to, że nie wołała zostać z rodzicami i małym Oskarkiem, ale Marek nie zamierzał o to pytać. Był mężem Eweliny na tyle długo, że zdawał sobie sprawę, czym to mogło grozić.

– Oczywiście, oczywiście. Zapraszamy! – zawołał, siląc się na weselszy ton. – Właśnie wszystko przygotowaliśmy. Jeszcze ostatnie poprawki i teraz to już tylko czekamy na pierwszą gwiazdkę.

– Super – powiedziała Izka Weiss niespodziewanie pewnym tonem.

Młody policjant spojrział na nią zaskoczony. Teraz wdowa nie wyglądała na pogrążoną w żałobie. Raczej na zamyśloną.

– To my z Izką sobie tu usiądziemy w salonie, a wy dokończcie – szepnęła fryzjerka do męża porozumiewawczo.

Marek Zaręba wzruszył ramionami i poszedł do kuchni po talerze. Cieszył się na Wigilię z rodziną. Z drugiej strony skrycie marzył, że wobec zaistniałych wydarzeń Daniel Podgórski zadzwoni do niego i odwoła jego urlop. Nic takiego się jednak nie stało. Co więcej, wyglądało na to, że w komisariacie w Lipowie nikt go nie potrzebował.

Młody policjant położył na stole pierwszy czerwony talerz

ze świątecznej zastawy. Chyba odrobinę zbyt mocno, bo Ewelina i Izka Weiss spojrzały na niego zdziwione.

– Przepraszam – mruknął.

Marek czuł, że wkrótce będzie musiał się czymś zająć, jeżeli nie chce zwariować. Czymś innym niż tylko opieką nad maleńką Zuzią.

– Tato, mogłabym wyjść na chwilę? – zapytała Andżelika, przerywając jego smętne rozważania. Starsza córka uśmiechnęła się do młodego policjanta słodko.

– Gdzie chcesz iść? Już niedługo siadamy do stołu.

– Przyjechał ten nowy chłopak, Łukasz Strzałkowski. Mówił, że ma fajne gry – wyjaśniła Andżelika. – Chciałam tylko do niego skoczyć i zobaczyć. Zaraz będę z powrotem. Dosłownie dziesięć minut mnie nie będzie.

Marek Zaręba spojrział na swoją niemal już jedenastoletnią córkę uważnie. Jeszcze niedawno kupował jej lalki i różowe kucyki Pony, a teraz Andżelika wymykała się do chłopaków.

– Od kiedy to chodzisz grać z chłopakami w gry komputerowe? – zapytał podejrzliwie młody policjant.

– Od kiedy do Lipowa wprowadził się Łukasz Strzałkowski – poinformowała Andżelika rzeczowym tonem, jakby Marek pytał o coś zupełnie oczywistego.

Zaręba położył na stole kolejny talerz.

– Nigdzie nie idziesz – zdecydował. – Jest Wigilia. Co to w ogóle za pomysły?

– Ale tato...

– Nie ma mowy.

Córka odwróciła się na pięcie i poszła do swojego pokoju. Starszy sierżant Marek Zaręba poczuł się bardzo samotny, mimo że jego dom pełen był przecież kobiet.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski zatrzymał swoje błękitne subaru na stacji benzynowej Jabłońskich. Właściwie powinni jeździć służbowym radiowozem, ale w takie dni jak dziś Daniel zdecydowanie wolał własne auto, mimo że było już dość stare i paliwożerne.

Paweł Kamiński wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi z hukiem. Znowu. Jakiś niski mężczyzna, który właśnie tankował niewielkie audi, spojrzął na nich ciekawie.

Paweł był wyraźnie rozeźlony. Bardzo chciał jechać na stację sam i sam przesłuchać sprzedawcę, który obsługiwał Tytusa Weissa. Twierdził, że to zadanie należy do niego. Daniel nie bardzo rozumiał, skąd w Kamińskim tyle zaciętości w tej właśnie kwestii. Przez chwilę chciał nawet na to pozwolić, a samemu poczekać w Komendzie Powiatowej w Brodnicy i spróbować wycisnąć coś jeszcze z Tytusa Weissa. Potem jednak przypomniał sobie zachowanie Kamińskiego dzisiejszego ranka. Paweł bywał nieobliczalny. Daniel wolał mieć wszystko pod kontrolą. Nawet jeżeli oznaczało to, że Paweł będzie obrażony.

Stacja benzynowa rodziny Jabłońskich położona była tuż za wsią Jajkowo. Niecałe cztery kilometry od Lipowa. Daniel i Paweł weszli do sklepiku obok stacji. Za kontuarem przyozdobionym świątecznym łańcuchem stał młody człowiek, który wyglądał na jakieś dwadzieścia lat. Pod nosem miał ledwo widoczny wąsik. Ręka Podgórskiego powędrowała automatycznie do krótkiej brody, którą z upodobaniem nosił. Miał to szczęście, że jego zarost już od młodego wieku był bardzo gęsty.

– Panowie z policji! – zapalił się sprzedawca. Na jego twarzy pojawiły się okrągłe wypieki. – Jestem Sławek Jabłoński, syn właściciela.

Daniel Podgórski zapisał nazwisko młodzieńca w notesie. Bardziej, żeby zrobić mu przyjemność, niż z potrzeby. Kojarzył tego niepozornego chłopaka z Jajkowa. W okolicy wszyscy mniej lub bardziej się znali. Poza tym Daniel często tankował swój samochód na tej stacji.

Sławek Jabłoński wyglądał na zachwyconego.

– Ja cię kręcę, ale ja mam szczęście – ekscytował się chłopak.
– Ja cię! Czuję się jak w filmie. Macie prawdziwe pistolety?

Paweł Kamiński rozpiął kurtkę i pokazał na kaburę, którą miał przy pasku. Młody sprzedawca uśmiechnął się radośnie.

– Macie tu monitoring? – zagaił Daniel. Policjanci dobrze

znali odpowiedź na to pytanie, ponieważ dzwonili na stację przed przyjazdem na przesłuchanie. Podgórski uważał jednak, że od czegoś trzeba zacząć.

– Tak. Ojciec już poszedł po taśmy. Z reguły kasujemy je po dwudziestu czterech godzinach i nagrywamy ponownie – poinformował Sławek Jabłoński. – Dobrze, że tej jeszcze nie skasowaliśmy! Ojciec zaraz będzie. Będziecie mogli wszystko obejrzeć na zapleczu. Ja cię! Nasze kasetki będą prawdziwymi dowodami w sprawie?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski uśmiechnął się do chłopaka i wyciągnął z kieszeni zdjęcie Tytusa Weissa. Zrobili je w sali przesłuchań przed przyjazdem na stację paliw. Podgórski nie chciał, żeby wyglądało na zdjęcie z aresztu. Wyszło całkiem naturalnie.

– Poznajesz tego mężczyznę? – zapytał.

Sławek Jabłoński przyglądał się Tytusowi przez kilka chwil, marszcząc czoło. Wyglądało na to, że potraktował swoje zadanie niezwykle poważnie.

– Oczywiście – powiedział w końcu. – To ten podpalacz od was z Lipowa. Nawet u nas się mówiło o tym, że ma wrócić. Widziałem, że ma tatuaże na dłoniach. Może są też na całych rękach? Takie więzienne dziury to zajebista rzecz. Mój kumpel sobie zrobił takie. Zrobiliśmy maszynkę z magnetofonu! To znaczy z silniczka... zresztą wie pan, o co chodzi.

Daniel Podgórski pokiwał głową. Ręce Tytusa rzeczywiście pokryte były źle wykonanymi więziennymi tatuażami, które zdaniem policjanta stanowiły raczej wątpliwą ozdobę.

– Czy ten mężczyzna był tu wczoraj? – zapytał Paweł Kamiński niespodziewanie uprzejmie.

Sławek Jabłoński spojrział na Pawła niemal z uwielbieniem.

– Tak, był wieczorem. Sam go obsługiwałem, bo ojciec z matką do Brodnicy pojechali. Normalnie to mój ojciec jest tu wieczorami, ale tym razem pojechali na zakupy przed Gwiazdką i to ja zostałem. Jacie! Ale ja mam szczęście.

– O której on tu był? – przerwał młodemu sprzedawcy Kamiński. – Tylko powiedz w miarę dokładnie.

Sławek Jabłoński znowu zmarszczył czoło w zamyśleniu.

– O, już ojciec idzie. To będzie na monitoringu. Tam się wyświetlają godziny i w ogóle.

Rzeczywiście do sklepiku wszedł niewysoki chudy mężczyzna. Palce miał czarne od smaru i benzyny. Za stacją paliw miał niewielki warsztat, gdzie dokonywał drobnych napraw, i jego dłonie zapewne wyglądały tak zawsze.

– Tu mam te nagrania, o które panowie prosili przez telefon – poinformował policjantów bez przywitania. – Na zapleczu jest sprzęt. Można tam obejrzeć.

– Daniel, to ty tu pogadaj z naszym dzielnym pomocnikiem, a ja przejrzę nagranie – zaproponował Paweł Kamiński natychmiast.

Podgórski uznał, że to chyba rzeczywiście będzie najlepsze wyjście. Kamiński zdecydowanie nie nadawał się do rozmów ze świadkami, mimo że teraz najwyraźniej bardzo się starał. Oglądając film z monitoringu, raczej nikomu nie zaszkodzi.

– Jak się zachowywał ten mężczyzna? – zapytał Daniel Sławka Jabłońskiego, kiedy właściciel stacji benzynowej i Kamiński zniknęli na zapleczu.

Chłopak zaczął automatycznie układać towary przy kasie. Z radia przy suficie płynęła jakaś nowoczesna wersja kolędy *Pójdźmy wszyscy do stajenki*.

– Bo ja wiem... normalnie chyba – powiedział młodzieniec jakby lekko rozczarowany. – Nic szczególnego. Nie zauważyłem, żeby coś planował.

– Możesz dokładnie opisać, co on po kolei robił, kiedy tu był? – poprosił młodszy aspirant Daniel Podgórski.

– To wszystko pewnie jest na nagraniu.

Policjant skinął łagodnie głową. Sławek zaczął układać kruche ciastka, które wyglądały wyjątkowo kusząco. Daniel nie poczuł jednak znajomego burczenia w brzuchu. W ostatnich dniach zupełnie stracił apetyt. Zastanawiał się, jak będzie wyglądała dzisiejsza kolacja wigilijna. Sądząc po ilości przygotowanych przez Marię potraw, czekało ich długie biesiadowanie, a tym razem Podgórski nie miał na to najmniejszej ochoty.

– Mimo wszystko chciałbym, żebyś mi powiedział – poprosił

Sławka Jabłońskiego zachęcająco.

Młody sprzedawca znowu się uśmiechnął, zadowolony ze swojej doniosłej roli świadka.

– No, przyjechał i zatankował samochód. Potem chyba dopompował koła albo coś.

– Albo coś? – podchwycił policjant.

– No nie widziałem dokładnie, bo było kilku klientów tu w sklepie, a potem przyjechała jedna pani i musiałem jej pomóc z tankowaniem, bo średnio sobie radziła – wyliczał młody Jabłoński. – Nie patrzyłem tak dokładnie, co on wtedy robił. Skąd miałem wiedzieć, że to ważne! Wszystko wglądało normalnie. Gdybym wiedział, tobym z niego oka nie spuścił, zapewniam. Nie spuściłbym oka z tego Tytusa Weissa.

– No dobrze, a co Tytus Weiss robił później? – zapytał Podgórski.

– Potem przyszedł tu do sklepiku zapłacić za benzynę.

– Zapłacił kartą kredytową czy gotówką? – zapytał Daniel, chociaż wątpił, żeby Tytus przez ostatnie dni zdążył już wyrobić sobie kartę albo nawet założyć konto w banku.

– Zapłacił gotówką – odpowiedział natychmiast Sławek Jabłoński zgodnie z oczekiwaniami policjanta. – Pamiętam, że wydałem mu resztę w strasznie drobnych monetach, a on się tylko uśmiechnął.

Daniel starał się przypomnieć sobie, co właściwie zeznał Tytus Weiss na temat swojego godzinnego pobytu na stacji paliw Jabłońskich. Policjantowi wydawało się, że Weiss twierdził, iż spędził w sklepiku dłuższy czas.

– Tytus wszedł tu i zapłacił? – upewnił się Podgórski.

– A potem od razu sobie poszedł?

– Ano potem wsiadł do samochodu, ale tylko przeparkował – przypomniał sobie Sławek Jabłoński. – No rzeczywiście! Teraz pamiętam. Przeparkował samochód i stanął tu pod sklepikiem. To wszystko pewnie jest na filmiku, bo mamy kamery z kilku stron.

W głosie młodego Jabłońskiego pobrzmiwała nieskrywana duma.

– No i potem wrócił i kupił kawę. Zapłacił tymi drobnymi,

które mu wcześniej wydałem – kontynuował swoją opowieść chłopak. – Potem pooglądał gazety. Zerkałem na niego trochę, bo bałem się, że coś może ukradnie. Tak się jakby czał i w ogóle. Wtedy to już powoli skojarzyłem, że to on jest tym podpalaczem z Lipowa.

– Dlaczego akurat wtedy? – podchwycił Daniel. Czasem nawet najmniejszy szczegół bardzo się liczył.

– No, jak on podpałił te domy u was, to ja jeszcze byłem dzieciakiem, ale każdy tu zna tę historię i chyba gdzieś w gazecie regionalnej widziałem jego zdjęcie. On chyba właśnie wtedy przeglądał gazetę. To był chyba „Czas Brodnicy”. No i jakoś tak skojarzyłem, że to może być ten Tytus Weiss.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski przypomniał sobie, że on również widział krótką wzmiankę w lokalnej prasie na temat powrotu Weissa z więzienia. Wyglądało na to, że nie tylko w Lipowie ludzie się tym interesowali. Gazeta spekulowała na temat ewentualnej groźby samosądu. Autor artykułu cytował wypowiedzi anonimowych mieszkańców wsi, którzy odgrzali się, że nie pozwolą Tytusowi zamieszkać z powrotem w Lipowie.

– Rozumiem.

– Jak już zapłacił za wszystko i wyszedł ze sklepu, to zapalił papierosa. Takim, wie pan, mrocznym ruchem, jak to oni mają – entuzjasmował się Sławek Jabłoński. – Wtedy to już omal nie wykitowałem na serce. Myślałem, że nam stację spali. Tu nawet jest znak, że nie wolno palić na stacji, ale on sobie nic z tego nie robił! Wyobraża sobie pan? No i zapalił tego papierosa, a potem odjechał. Marki papierosów nie zauważyłem niestety, ale...

– Dziękuję – uciał Podgórski łagodnie. – Bardzo mi pomogłeś. Zostawię ci moją wizytówkę, jakbyś sobie coś przypomniał.

W tym samym momencie z zaplecza wyszli Paweł Kamiński i właściciel stacji benzynowej. Daniel spojrział na kolegę pytająco. Jeżeli Tytus Weiss był na nagraniu z monitoringu pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą, jak sam twierdził, nie mógł jednocześnie podpałać domu brata.

To by oznaczało, że ktoś inny stoi za śmiercią śmieciarza Filipa Weissa.

– I co? – zapytał Podgórski natychmiast.

Carin Nilsson usiadła przy suto zastawionym stole we „Wrzosach”. Gospodarze, profesor Seweryn Dworakowski i drobniutka Jaśmina Ciosek-Dworakowska, byli ubrani niezwykle odświętnie. Syn właściciela domu, niepełnosprawny Albin, także miał na sobie coś w rodzaju garnituru i czerwoną muchę w wielkie kropki. Jerzy Grała, który gościł we „Wrzosach” tak jak Carin i Crister, przyniósł opłatek.

Normalnie Carin byłaby bardzo ciekawa miejscowych zwyczajów. Lubiła poznawać nowe kultury. Przez ten wspólny rok z Filipem Weissem zdążyła już poznać trochę polskich tradycji świątecznych. Filip był do nich bowiem bardzo przywiązany. Nie wyobrażał sobie na przykład typowo szwedzkiej wieprzowiny na wigilijnym stole.

Tak. Carin Nilsson normalnie cieszyłaby się na polskie święta. Teraz jednak czuła się tylko zestresowana i przerażona. Filip Weiss zginął w pożarze, a Cristera nadal nie było. Carin wmawiała sobie, że nie ma się czym martwić, że zawsze przesadza. Powtarzała sobie, że nie powinna wpadać w panikę, ale...

– *My brother is still gone...*¹⁸ – oznajmiła łamiącym się z tłumionych emocji głosem.

– *I have noticed that* – powiedziała niemal pocieszająco Jaśmina. – *I didn't want to ask. I thought that mister Crister went away*¹⁹.

– *What are you talking about?* – zapytał Jerzy Grała zaskoczony. – *What is going on?*²⁰.

– *My brother, Crister, is missing*²¹ – poinformowała Carin Nilsson płacząco.

18 Mojego brata nadal nie ma..

19 Zauważyłam. Nie chciałam pytać. Myślałam, że pan Crister wyjechał.

20 Co też pani mówi? Co się dzieje?

21 Mój brat Crister zniknął.

Jerzy Grała powiedział coś po polsku. Carin zrozumiała tylko jedno słowo. Policja.

– *If your brother doesn't come back or contact you until tomorrow, we will have to call the police* – zdecydował profesor Seweryn Dworakowski. – *Today probably everybody is gone anyway. Even the police have Christmas*²².

– *Anyway, I'm sure nothing has happened!* – powiedziała Jaśmina Ciosek-Dworakowska pocieszająco. – *I'm sure Crister will come back safe and sound*²³.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska otworzyła furtkę domu Daniela Podgórskiego i jego matki. Nadal było całkiem ciepło. Ani śladu śniegu. W ogrodzie Podgórskich trawa nadal zieleń się wesoło, nic sobie z zimy nie robiąc. Strzałkowska tęskniła za prawdziwą zimą. Boże Narodzenie bez śniegu nie przypominało świąt.

Niespodziewanie dziś po południu Maria Podgórska zaprosiła Emilię i jej syna Łukasza na wspólną kolację wigilijną.

– My będziemy z Danielem tylko we dwoje, bo jego Weronika pojechała do Warszawy. Ty będziesz tylko z synem – zagadnęła starsza pani, kiedy Strzałkowska zbierała się do wyjścia z komisariatu. – Nie ma sensu, żebyśmy tak sami siedzieli. Wy u siebie, my u siebie. Przyjdźcie do nas. Będzie weselej.

Emilia Strzałkowska zastanawiała się przez chwilę. Może to i była dobra okazja, uznała w końcu policjantka. Poza tym były też kwestie praktyczne. Emilia była tak zajęta śledztwem i patrolami, że nie zdążyła przygotować za wiele na świąteczną kolację. Prawdę powiedziawszy, kupiła naprędce kilka mrożonych pizz. Nie były to zbyt tradycyjne potrawy wigilijne. Strzałkowska wiedziała, że Łukasz trochę tęskni

22 Jeżeli pani brat nie wróci do jutra albo się z panią nie skontaktuje, trzeba zawiadomić policję. Dzisiaj i tak już pewnie nikogo nie ma w komisariacie. Nawet policja ma święta.

23 Poza tym na pewno nic się nie stało. Crister na pewno wróci cały i zdrowy.

za staromodnym stołem ze specjałami domowej roboty, które zawsze szykowała jej matka.

– To bardzo miłe z pani strony – powiedziała do Marii policjantka. – Jest pani pewna, że Daniel nie będzie miał nic przeciwko, że tak będziemy zawracać głowę? I tak wydaje się zdenerwowany tym pożarem. Nie chciałabym się narzucać w takim momencie.

– A gdzie tam – odparła starsza pani z uśmiechem. – Wigilii nie spędza się w tak małym gronie! Zapraszam do nas. W taki wieczór nie myślimy o pracy.

Wigilia. *W taki wieczór nie myślimy o pracy*, przypomniała sobie Emilia Strzałkowska słowa Marii Podgórskiej i spojrzała na niebo usiane gwiazdami. Wyglądały jak porozrzucane w oddali drogocenne klejnoty. Emilia przeczytała gdzieś, że najjaśniejszym obiektem na świątecznym niebie będzie Wenus. Skierowała wzrok na południowy zachód, tam gdzie spodziewała się ją zobaczyć.

– Mamo, idziesz? – zapytał Łukasz.

Stał już w połowie wyłożonej kostką ścieżki, która prowadziła do domu Podgórskich.

– Tak, tak – rzuciła Strzałkowska.

Nagle obleciał ją strach. Nie czuła się jeszcze gotowa na poważną rozmowę z Danielem. To chyba jednak nie był ten dzień. Jeszcze nie teraz. Może jak rozwiążą już sprawę Kobiety zza Skrzyni i podpalenia domu Filipa Weissa. Może wtedy, a może nigdy.

Emilia i Łukasz weszli po betonowych schodkach na ganek. Na drzwiach wisiał śliczny świąteczny wieniec. Wśród sosnowych gałązek ukryte były bombki i inne ozdoby. Ciepłe rodzinne święta, przebiegło policjantce przez myśl. Uroczko.

– Mamo, co dzisiaj z tobą? – zapytał Łukasz niepewnie.

Teraz już syn wydawał się porządnie zaniepokojony. Strzałkowska westchnęła w duchu.

– Nic takiego – odparła wymijająco.

Zapukała do drzwi, żeby ukryć zakłopotanie. Otworzyły się niemal natychmiast. Maria Podgórska musiała zobaczyć ich przez okno już wcześniej.

– Zapraszamy – powiedziała starsza pani serdecznie.
– Daniel zaraz będzie. Mieszka na dole w suterenie. Teraz rozmawia przez telefon z Weroniką, ale zaraz dołączy. Wrócił dopiero niedawno, bo przesłuchiwali kogoś na stacji benzynowej. Ale nie rozmawiajmy o pracy! Nie dziś!

W powietrzu unosiły się zapachy świątecznych potraw, a z radia płynęła melodia znanej kolędy:

*Cicha noc, święta noc. Pokój niesie ludziom wszem,
A u źłóbka Matka Święta, czuwa sama uśmiechnięta,
Nad Dzieciątka snem,
Nad Dzieciątka snem.*

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska nawet nie zauważyła, kiedy jej syn rozsiadł się przy stole przygotowanym przez Marię.

– Wesołych świąt – odezwał się Daniel Podgórski.

Policjant wszedł właśnie do domu i zdjął kurtkę. Dziwnie było go zobaczyć bez munduru. Po cywilnemu bardziej przypominał tego młodego chłopaka sprzed kilkunastu lat, w którym Emilia kochała się krótko, acz gwałtownie.

– Wesołych świąt – odpowiedziała Strzałkowska, zbierając się w sobie. – Dziękujemy za zaproszenie. To bardzo miłe z waszej strony, że tak nas przyjmujecie!

– Cała przyjemność po naszej stronie – odparł Podgórski z uśmiechem.

Zaprowadził Emilię do salonu.

– Jak poszło z tym Tytusem Weissem? – zapytała policjantka cicho, kiedy usiedli przy stole.

Nie chciała, żeby Maria ich usłyszała, ale nie mogła powstrzymać ciekawości. Młodszy aspirant Daniel Podgórski pokręcił tylko głową. Nie wiedziała, jak miałyby to zinterpretować.

ROZDZIAŁ 14

Lipowo.
Środa, 25 grudnia 2013. Przed południem

Wstał pogodny bożonarodzeniowy poranek. Słońce sprawiało, że ogołoczone z liści zimowe drzewa wyglądały niemal wesoło. Młodszy aspirant Daniel Podgórski szedł szybkim krokiem przez Lipowo w kierunku błękitnego budynku komisariatu. Starał się cieszyć chwilą, jak to miał w zwyczaju. Mimo całego uroku tego pięknego poranka nie było to jednak łatwe.

Daniel miał mieć tego dnia wolne. Czuł jednak, że nie jest to czas na wypoczynek. Chciał zamknąć sprawę podpalenia jak najszybciej. Miał nadzieję, że w ten sposób zamknie też pewien etap swojego życia i uwolni się od pożaru sprzed piętnastu lat, który nadal go prześladował. Poza tym Daniel wcale nie chciał zostawiać sprawy śmierci śmieciarza Filipa Weissa w rękach Pawła Kamińskiego, mimo że kolega miał do pomocy Emilię Strzałkowską.

Na głównej ulicy Lipowa otoczonej szpalerem wiekowych lip roilo się od ludzi. Mieszkańcy wsi zgodnie podążali do ich ceglanego kościoła. Pozdrawiali Daniela Podgórskiego uprzejmie. Policjant miał jednak wrażenie, że wszyscy przyglądają mu się dziwnie. Daniel był ciekaw, czy Paweł czuje się teraz tak samo. Obserwowany. Uważnie. Przez wszystkich.

W końcu Podgórski przedarł się przez tłum. Odetchnął jednak z ulgą dopiero, kiedy wszedł do komisariatu. Tu nie było ciekawskich oczu.

Młodszy aspirant Paweł Kamiński czekał już w salce konferencyjnej. Nogi oparte miał niedbale o stół.

– Zabalowaliście wczoraj z Emilią, co? – zapytał zaczepnie kolega, kiedy Daniel usiadł obok niego przy stole.

– Weroniczka Nowakowska dopiero co wyjechała, a ty już się wzięłeś do dymania innych? No wiesz, Daniel? Kto jak kto, ale ty? Zawsze taki porządny! Żółty chłopak Lipowa.

Podgórski westchnął głośno. Nie dziwiło go, że Paweł wiedział już, że Emilia Strzałkowska i jej syn spędzili Wigilię w jego domu. W Lipowie plotki rozchodziły się szybciej niż gdziekolwiek indziej. Policjant nie miał teraz jednak ochoty na głupawę zaczepki Kamińskiego.

– Daj spokój – mruknął tylko.

– A co, to nieprawda?

W drzwiach pojawiła się sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska, przerywając potyczki słowne policjantów. Policzki miała zaróżowione od szybkiego marszu na świeżym powietrzu. Jej włosy naelektryzowały się od czapki i sterczały teraz na wszystkie strony, nie dodając jej uroku.

– Cześć, chłopaki – rzuciła, nie zważając na wyraźnie napiętą atmosferę. A może zwyczajnie jej nie zauważyła albo zdecydowała się ją zignorować?

Podgórski miał nadzieję, że Kamiński nie zacznie swoich popisów od początku. Daniel wiedział, że czułby się niezręcznie, mimo że przecież Emilia wcale go już nie pociągała. Przynajmniej nie w sensie seksualnym. Przy ognistorudej Weronice Nowakowskiej Strzałkowska nie wyróżniała się niczym szczególnym.

Kamiński spojrzał na Emilię dziwnie.

– Zaczynajmy – zaproponował Daniel Podgórski, próbując uprzedzić Pawła. – Dziś jesteśmy tylko we trójkę. Moja mama ma wolne. Powiem szczerze, że się z tego powodu bardzo cieszę. Nie chciałem, żeby przy tym była. Bardzo przeżywa śmierć mojego taty, a ta historia z domem Weissa... no, sami rozumiecie. Jakbyśmy cofnęli się w czasie.

– Nie tylko ona wtedy kogoś straciła – mruknął Paweł Kamiński drżącym głosem. – Ja wtedy też kogoś straciłem. Straciłem ojca, Daniel!

– Wiem o tym – powiedział Podgórski uspokajająco, chociaż sam czuł, że emocje zaczynają brać nad nim górę.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska odchrząknęła

znacząco.

– Jak poszło wczoraj? – zapytała.

Policjantka chciała chyba skierować rozmowę na właściwe tory. Podgórski był jej za to bardzo wdzięczny. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem potrzebował teraz kogoś, kto stąpałby twardo po ziemi i nie rozpamiętywał przeszłości.

– Ten kutas Tytus Weiss naprawdę jest na nagraniu z monitoringu stacji Jabłońskich! – krzyknął Paweł Kamiński wściekle. – Ma alibi na czas podpalenia domu śmieciarza. Teraz nic nie możemy mu zrobić. Ot, jak poszło wczoraj na tej pieprzonej stacji benzynowej! Masz swoją odpowiedź.

– Był na stacji przez całą godzinę? – upewniła się Emilia Strzałkowska niezrażona. – Widać go na nagraniu przez całą godzinę? Od dwudziestej pierwszej do dwudziestej drugiej?

– Nie możemy wpakować tego pieprzonego Weissa do pierdła! – krzyknął znowu Paweł Kamiński. – Wkurwia mnie to maksymalnie.

Jakby dla zilustrowania swoich ostrych słów policjant zrobił się całkiem czerwony na twarzy.

– Tak – wtrącił się Daniel Podgórski. – Przyznaję, że sam wolałbym, żeby sprawa była na tyle prosta. Tytus Weiss znowu zaczął podpalać i tym razem z jakiegoś powodu padło na dom jego brata. To by było idealne rozwiązanie. Niestety musimy się pogodzić z tym, że to prawie na pewno nie on. Nie tym razem. Był na stacji pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą. Dom jego brata podpalono coś koło dwudziestej pierwszej trzydzieści. Tytus Weiss ma więc niepodważalne alibi.

– Jak daleko jest ta stacja benzynowa, o której mówicie? – zainteresowała się swoim zwyczajem Strzałkowska.

Daniel wzruszył ramionami.

– Na oko jakieś trzy, może cztery kilometry stąd.

– Słuchajcie... widzę, że strasznie wam zależy na winie tego Weissa. Może jeszcze nie musicie go skreślać z listy podejrzanych. – Strzałkowska puściła oko do Pawła. – Tak się zastanawiam, czy nie ma możliwości, że Tytus opuścił stację benzynową na jakiś czas i potem tam wrócił? Może specjalnie

kręcił się pod kamerami przed i po wyjeździe, żeby sobie zapewnić alibi. Spotkałam się już z czymś takim w Warszawie.

To była jakaś koncepcja. Daniel Podgórski spojrział na Pawła Kamińskiego pytająco. Kasetą z monitoringu stacji paliw Jabłońskich spoczywała bezpiecznie w zamykanej na klucz szufladzie biurka w gabinecie Podgórskiego. Szef komisariatu nie zdążył jej jednak jeszcze obejrzeć. Na razie musiał opierać się na wiedzy kolegi.

Paweł zastanawiał się przez chwilę, ale w końcu pokręcił głową z wyrazem zrezygnowania na twarzy.

– Raczej nie – odparł niechętnie. – Tytus musiałby się bardzo spieszyć, żeby coś takiego wypaliło. Moim zdaniem raczej by nie zdążył. Jest widoczny na nagraniu przez większą część czasu. Takie są pieprzone fakty.

– Pracownik stacji zeznał, że Tytus kręcił się to tu, to tam, ale nie wspominał nic o tym, żeby zabierał samochód i odjeżdżał ze stacji – przypomniał sobie Podgórski. – Chyba to nie jest możliwe. Musimy odrzucić taką koncepcję.

W salce konferencyjnej na chwilę zapadła cisza przerywana jedynie tykaniem zegara, który wisiał nad drzwiami. Robocza teoria Emilii była nietrafiona. Mimo wszystko Podgórskiemu coś nie dawało spokoju. Być może nie powinni jeszcze całkowicie z niej zrezygnować.

– Dziś Weiss zostanie wypuszczony z aresztu – poinformował Daniel, przerywając milczenie. – Ale i tak musi się trzymać Lipowa. Takie ma warunki zwolnienia z więzienia. Będziemy go mieli na oku. Nigdzie nam nie ucieknie.

Paweł Kamiński zaklął pod nosem.

– Przepraszam, że tak zapytam – powiedziała Emilia ostrożnie. – Wiem, że dla was to dość drażliwy temat. Pewnie ja nie jestem w stanie tego zdenerwowania do końca zrozumieć. To przecież nie mój ojciec zginął w pożarze domu Dworakowskich piętnaście lat temu... ale...

Daniel i Paweł spojrzeli na koleżankę jednocześnie.

– Wiem, że Tytus Weiss jest tu uważany za mordercę – dokończyła Strzałkowska. – Ale... no, on podłożył ogień

pod dom Dworakowskich. To jest podpalenie, z tym się zgodzę. Tylko czy Tytus naprawdę chciał kogoś wtedy zabić? Podłożenie ognia i morderstwo to jednak coś innego. To jest o tyle ważne, że w przypadku obecnego pożaru dla odmiany mamy celowe zabarykadowanie drzwi, żeby Filip nie mógł wydostać się na zewnątrz i...

Strzałkowska zorientowała się chyba, że powiedziała za wiele, i zamilkła. W tym komisariacie temat pożaru sprzed piętnastu lat był tabu. O tym się nie mówiło, a w szczególności nie kwestionowało się winy Tytusa Weissa. A już na pewno nie w obecności Pawła Kamińskiego. Podgórski musiał przyznać, że i jego w pewien sposób słowa Emilii ubodły.

– Wiem, że jesteś tu nowa – wycedził przez zaciśnięte zęby Paweł w kierunku policjantki. – Ale nie waż się, kurwa, powiedzieć ani słowa więcej, suko. Chyba że chcesz stąd wylecieć na zbity ryj. Od razu powiem, że nie obawiam się konsekwencji. Uważasz, że co Tytus chciał, a czego nie chciał, ma dla nas jakieś pieprzone znaczenie? Celowo podpalił dom Dworakowskich. Przez niego zginęły cztery niewinne osoby. Na moje, jest pieprzonym mordercą i tyle. Sam powinien dostać karę śmierci.

Daniel Podgórski podniósł się z miejsca.

– Paweł, wystarczy. Emilia nie chciała przecież...

– Bronisz swojej dziwki?! – krzyknął Kamiński. – Chyba za bardzo po ojcu nie płaczesz, co, Daniel? Było minęło, tak? Wszystko ci jedno, że jego zabójca chodzi teraz wolny i cieszy się na święta w domu?

Podgórski uważał się za spokojnego człowieka, ale teraz poczuł narastający w całym ciele gniew. Podwinął rękawy i oparł ręce na biodrach. On także, tak jak Paweł, bardzo przeżył przedwczesną śmierć ojca. Nie miał zamiaru słuchać więcej obelg i insynuacji, że ten temat jest mu obojętny.

– Dobra, chłopaki. Dajcie już spokój. Moja wina. Przepraszam. Wyraziłam się chyba trochę niefortunnie – wtrąciła się sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska pojednawczo. – Może powinnam to była ująć inaczej. Siadajcie i ma być spokój. Skupmy się na pracy. Gadacie, że zabójca

chodzi wolny, a na razie nic z tym nie robimy. Może byśmy się wreszcie wzięli do roboty.

Na te słowa emocje opadły nieoczekiwanie. Obaj policjanci zajęli miejsca naprzeciwko siebie. Daniel poczuł ulgę. Wcale nie miał ochoty bić się z Pawłem. Przecież tak naprawdę byli w podobnej sytuacji.

– No dobrze. To ja może spróbuję inaczej. Chciałabym porównać, o ile mi tylko pozwolicie, tamto podpalenie sprzed piętnastu lat i to, które miało miejsce teraz – powiedziała Emilia Strzałkowska. – Poprawcie mnie, jeżeli coś pokręcę. W dziewięćdziesiątym ósmym roku Tytus Weiss podpalił dom profesora Seweryna Dworakowskiego i jego żony Zofii, tak? To już ustaliliśmy. Teraz pora na moje właściwe pytanie. Czy wtedy Tytus zabarykadował drzwi, żeby mieszkańcy nie mogli uciec przed płomieniami?

– Nie – przyznał Podgórski po krótkiej chwili.

Emilia pokiwała głową.

– No dobrze. A teraz następne pytanie. Czy sposób podpalenia wtedy i teraz był taki sam?

Strzałkowska zaczęła przechadzać się po niewielkim pokoju. Od jednej ściany do drugiej. Systematycznie, krok za krokiem.

– Wtedy także oblano dom benzyną i użyto koktajli Mołotowa – poinformował ją Paweł Kamiński. – Więc było dokładnie tak samo. Identyczna metoda działania.

– Niedokładnie tak samo – sprecyzował Podgórski. Czuł, że wreszcie zaczyna odzyskiwać panowanie nad sobą. Powinien postarać się patrzeć na tę sprawę bardziej obiektywnie.

– Wtedy butelki zapalające wypełnione były benzyną z olejem. Teraz jako paliwa użyto denaturatu. Biorąc dodatkowo pod uwagę, że wtedy drzwi nie były zabarykadowane, a teraz tak, mamy jednak przynajmniej dwie wyraźne różnice.

– To wszystko nie ma pieprzonego znaczenia!

Daniel spojrzął na Pawła gniewnie.

– Uwierz mi, że ja też tęsknię za ojcem, Paweł, i tak jak ty nienawidzę Tytusa Weissa – powiedział Podgórski powoli.

– Ale wszystko ma znaczenie.

Policjanci przez chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu

Kamiński skapitulował i spojrzął za okno.

– No dobrze. Idźmy dalej. Chciałabym sprawdzić, czy możemy ostatecznie wykluczyć tego Tytusa Weissa... oczywiście jeżeli chodzi o obecny pożar – dodała na wszelki wypadek Strzałkowska, zerkając na Kamińskiego. – Przejdźmy do motywu podpalenia. Wspominaliście mi, że aspirantka Zofia Dworakowska aresztowała Tytusa raz czy dwa i chłopak chciał się potem na niej odegrać. To mogę jeszcze zrozumieć... w pewien sposób. Wróćmy jednak do czasów obecnych, czyli do pożaru domu śmieciarza. Dlaczego Tytus miałby wyjść z więzienia i dosłownie po kilku dniach zabijać własnego brata? I to w tak drastyczny sposób. Nie zapominajmy o tym, bo tym razem, przynajmniej moim zdaniem, mówimy już o celowym zabójstwie. Tym razem to już nie był jakiś głupi młodzieńczy żart.

– Śmierć mojego ojca nie była głupim żartem! – wrzasnął Paweł Kamiński i zerwał się z krzesła.

– Wiem, o co chodzi Emilii – wtrącił się szybko Daniel Podgórski, chociaż też był zdania, że koleżanka powinna była lepiej dobierać słowa. – I, szczerze mówiąc, ja też na razie nie widzę, jaki Tytus Weiss mógłby mieć motyw, żeby zabić Filipa. Proponuję, żebyśmy tymczasem zastanowili się, czy jest jakaś inna osoba, która mogła chcieć śmierci śmieciarza.

Strzałkowska pokiwała głową i znowu zaczęła krążyć wokół stołu. Paweł usiadł uspokojony nieco, ale nadal oddychał ciężko.

– Pierwszą osobą, która przychodzi mi do głowy, jest ten wysoki Szwed, z którym rozmawialiśmy pierwszego dnia – zaproponowała Emilia. – Ten Crister Nilsson. No i oczywiście jest jeszcze jego siostra, Carin. Przecież cały czas grozili Filipowi Weissowi.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski, mimo całej frustracji związanej z zachowaniem Pawła Kamińskiego i smutku wywołanego wspomnieniami o śmierci ojca, zaczął odczuwać znajome podniecenie. To był pościg. Musieli znaleźć sprawcę.

– Na pewno należy porozmawiać z Nilssonami – zgodził się. – Trzeba też będzie przesłuchać rodzinę Filipa, zwłaszcza żonę

i matkę. Izka Weiss i bibliotekarka mogą coś wiedzieć na temat ewentualnych wrogów śmieciarza.

– Może też porozmawiamy dokładniej z Tytusem Weissem. Nie pod kątem tego, że to on jest winien – zaznaczyła Strzałkowska. – Może on wie coś o ewentualnych problemach brata. Przecież musieli utrzymywać jakiś kontakt przez cały ten czas. Matce i żonie nie o wszystkim się mówi. Z rodzeństwem człowiek często jest bardziej szczerzy.

Daniel pokręcił głową.

– Z tego, co ja wiem, Filip zupełnie odciął się od Tytusa. Podkreślał to wielokrotnie przez te wszystkie lata.

Kamiński uderzył nagle pięścią w blat okrągłego stołu.

– Cholera, co wy pieprzycie? Tytus jest winien. To on podpalił dom śmieciarza! Nie obchodzi mnie, że jest na tym monitoringu! – krzyczał policjant. – Intuicja nigdy mnie nie zmyliła. Jestem pewien, że to on! Musi trafić z powrotem za kratki.

– Paweł, musimy to zrobić profesjonalnie. Chcesz, żeby prokurator odebrał nam tę sprawę? – zapytał ostro Podgórski. – Prowadzimy to dochodzenie tylko ze względu na jego uprzejmość i wpływy. Chyba to rozumiesz? Chcesz, żeby przysłali tu kogoś innego?

Paweł Kamiński zamilkł momentalnie. Daniel odetchnął z ulgą. Taki argument musiał przemówić do kolegi. Obaj czuli, że tę sprawę muszą zakończyć sami.

– Jakie były relacje Filipa z żoną i matką? – zainteresowała się tymczasem Emilia. Znowu to do niej należało sprowadzenie rozmowy na właściwe tory.

– Jego matka to nasza miejscowa bibliotekarka. Filip i Urszula byli ze sobą bardzo blisko – wyjaśnił Daniel skrótowo. – Żona to Izabella Weiss. Kilka miesięcy temu urodziło się im dziecko. Nie wiem dokładnie, co zaszło między Filipem i Izką, ale teraz Izka mieszka z synkiem u rodziców.

– To podsumujmy może, co i jak robimy – zaproponowała Strzałkowska.

Koleżanka miała rację, nadeszła właściwa pora na ustalenie harmonogramu dalszej pracy. Podgórski zastanawiał się przez

chwilę, jak rozdzielić zadania, żeby Paweł Kamiński wyrządził jak najmniej szkód. Najlepiej by było, gdyby Paweł nie miał w ogóle do czynienia z żadnym z członków rodziny Weissów, uznał Daniel bez chwili wahania. Kamiński mógł porozmawiać ze Szwedami, ale tu na przeszkodzie z kolei stała bariera językowa. Paweł nie mówił prawie w ogóle po angielsku. Podgórski westchnął cicho. Nie miał wyjścia.

– Paweł, ty i ja rozmawiamy z panią Urszulą i z Izką Weiss – zdecydował szef komisariatu w Lipowie mimo wcześniejszych obaw. Miał nadzieję, że poskromi jakoś kolegę podczas przesłuchania. – Tu jest podobnie jak z Tytusem. Trudno jest mi uwierzyć, że to któraś z nich podpaliła dom Filipa, ale też nie możemy tego wykluczyć. Sprawdzamy alibi i robimy rozeznanie w tym, kto ewentualnie miał ze śmieciarzem na pieńku.

Paweł Kamiński pokiwał głową. Jego twarz przybrała chmurny wyraz.

– Emilia, czy poradzisz sobie sama ze Szwedami? – zapytał Podgórski. – Dasz radę przesłuchać ich po angielsku?

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska pokiwała głową odrobinę zbyt szybko, ale Daniel nie miał siły się nad tym zastanawiać. Podczas ostatniego przesłuchania Nilssonów Emilia jakoś sobie przecież radziła z komunikacją.

– Jasne – zapewniła koleżanka. – Ale... Daniel?

– Tak?

Policjantka założyła niesforny kosmyk bezbarwnych włosów za ucho.

– Sprawa tej Kobiety zza Skrzyni nie daje mi spokoju – przyznała. – Mam wrażenie, że trochę ją zaniedbaliśmy. Wiem, że to stare kości i teraz mamy ważniejsze rzeczy na głowie, ale może są już jakieś wieści na temat tych szczątków z Cichego Lasku?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski uśmiechnął się do koleżanki. Podobała mu się ta dociekliwość.

– Jest Boże Narodzenie, ale podobno antropolog z Warszawy ma to zrobić lada dzień. Jak będę coś wiedział, od razu ci powiem – obiecał. – Nie martw się. W swoim czasie odkryjemy

też, kim była Kobieta zza Skrzyni.

– Dziękuję.

Grażyna Kamińska z ulgą przyjęła wiadomość, że Paweł musiał pójść do pracy w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Dzięki temu mogła spokojnie sprzątnąć po wczorajszej kolacji wigilijnej i, co lepsze, bezkarnie pójść w odwiedzinę do matki. Kamiński nie lubił teściowej i z tego powodu rzadko pozwalał Grażynie bywać u rodziców. Mówił, że mają na żonę zły wpływ. Teraz, pod nieobecność męża, nadarzała się doskonała okazja, żeby nadrobić rodzinne zaległości.

Żona policjanta ubrała już odświętnie całą piątkę swoich dzieci i była gotowa do wyjścia.

– Teraz grzecznie idziemy do babci – oznajmiła gromadce swoich pociech.

Cała piątka stanęła posłusznie na ganku. Kiedy Grażyna zaczęła zamykać drzwi, jej wzrok powędrował w kierunku domu sąsiadów. Wydawało jej się, że Irena Gierot stoi przy oknie w kuchni i patrzy w jej stronę. Kamińska poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. Wczoraj była Wigilia, a jej nawet nie udało się złożyć sąsiadce życzeń.

– Poczekajcie tu – rozkazała dzieciom.

Weszła z powrotem do domu. Nie chciała iść do Gierotowej z pustymi rękami. Rozejrzała się po kuchni i chwyciła sernik, który upiekła specjalnie na drugi dzień świąt. Paweł będzie wściekły, że go oddała, ale nie może zostawić Ireny w potrzebie. Gierotowa była bowiem jedyną osobą, która w pełni ją rozumiała. Irena też wiedziała, co to ukrywanie siniaków i drżące ze strachu przed mężem spracowane ręce. Kłopot polegał na tym, że sąsiadka musiała jeszcze dodatkowo znosić to, że jej mąż uchodził za największego pijaka i nieroba w całym Lipowie. Paweł przynajmniej był policjantem i cieszył się ogólnym szacunkiem. W utrzymywaniu pozorów był mistrzem niemal olimpijskim.

Tak, Irena Gierot jest w znacznie gorszej sytuacji niż ja,

pomyślała Kamińska. Zapakowała sernik w folię bez dalszego wahania. Irenie należało się w Boże Narodzenie chociaż trochę dobrego ciasta. Tyle Grażyna mogła jej dać.

Wyszła z domu, bez słowa mijając dzieci. Nie miała zamiaru z niczego im się tłumaczyć. Zapukała cicho do kuchennego okna sąsiadki. Irena uchyliła je natychmiast. Wyglądało na to, że rzeczywiście czekała tam od jakiegoś czasu.

– Wesołych świąt – powiedziała Gierotowa niemal radośnie.

Kamińska spojrzała na sąsiadkę zaskoczona. Z reguły twarz Ireny była blada i pozbawiona wszelkich pozytywnych emocji.

– Wesołych świąt, Irenko – odparła żona policjanta, starając się nie pokazać po sobie zdumienia nagłą wesołością sąsiadki.
– Przyniosłam ci sernik. Całkiem dobrze mi wyszedł. Będziecie mieli na dzisiaj.

– Strasznie miło z twojej strony – uśmiechnęła się Gierotowa. – Ale wiesz. Mój mąż znalazł podobno jakąś pracę. W każdym razie ma trochę pieniędzy. Wkrótce może oddam ci... długi.

Grażyna Kamińska uśmiechnęła się do sąsiadki. Informacja, że Gierot, który całe życie utrzymywał się jedynie z zasiłku dla bezrobotnych i innych zapomóg, ma pracę, była doprawdy zaskakująca. Najwyższy czas, uznała w duchu żona policjanta. Chciała móc powiedzieć, że sąsiadka nie musi zwracać długu, ale sama potrzebowała tych pieniędzy.

– Dobrze to słyszeć – powiedziała więc tylko, podając Irenie Gierot sernik. – Gdzie on pracuje?

– Nie mówił mi dokładnie, ale to chyba raczej jakaś tymczasowa fucha – przyznała Irena już bardziej markotnie.
– Ale oddam ci te pieniądze, kochana, obiecuję. On i tak wszystko przepije wcześniej czy później. Postaram się zabrać mu chociaż tyle, żeby oddać tobie. Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła. Naprawdę nie wiem.

– Nie musisz się spieszyć – zapewniła Grażyna Kamińska wzruszona tymi słowami. – Na razie Paweł nie zauważył, że podbierałam mu pieniądze. Zresztą teraz jest zaaferowany tym Tytusem Weissem i podpaleniem domu Filipa. Nic innego go nie obchodzi. Nawet na dziwki przestał jeździć, a to już coś

znaczy.

– Okropna historia z tym Filipem Weissem – przyznała Irena Gierot. – A wiesz co? Nie wiem, czy to ważne, ale ja chyba coś widziałam.

Grażyna Kamińska spojrzała w kierunku swojego domu. Jej dzieci stały tam, gdzie je zostawiła. Żona policjanta uznała, że może jeszcze chwileczkę porozmawiać.

– No mów.

– Szłam do męża pod sklep Wiery Rosłońskiej – zaczęła Irena Gierot. – Bałam się, że popił z Melkiem i gdzieś znowu będzie spał w rowie. Od kiedy Marek Zaręba jest na urlopie, to nie ma kto męża do domu odprowadzić.

– No i? – ponagliła sąsiadkę Grażyna.

– Widziałam, jak Jagna Sołtysik przemykała się przez pola.

– Myślisz, że to ona podpaliła dom śmieciarza? – zapytała Grażyna Kamińska zaskoczona. – Dlaczego Jagna miałaby to robić?

– Nie wiem, ale wyglądało to podejrzanie.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska miała przesłuchać Carin i Cristera Nilssonów. Zatrzymała się przed niewykończonym domostwem zwanym „Wrzosy”. Wiedziała teraz, że kiedyś stał tu inny budynek, poprzedni dom rodziny Dworakowskich. Dom, w którym zginęli ojcowie Daniela Podgórskiego oraz Pawła Kamińskiego, a także Zofia Dworakowska i jej siostra Marta Ciosek.

Emilia rozumiała do pewnego stopnia nienawiść mieszkańców Lipowa do podpalacza Tytusa Weissa. Poczowała jednak nagle irracjonalne współczucie dla tego mężczyzny. Mimo więziennej aparycji i dzikiego spojrzenia policjantka wcale nie widziała w Tytusie zabójcy, tak jak miejscowi. Strzałkowska patrzyła na zdarzenia z 1998 roku z perspektywy zewnętrznego obserwatora i widziała je zupełnie inaczej niż koledzy z Lipowa.

W 1998 roku Tytus Weiss miał osiemnaście lat i był niesfornym zbuntowanym nastolatkiem. Prawdopodobnie

uważał koktajle Mołotowa za rodzaj dowcipu, który jedynie chwilowo uprzykrzy życie niewygodnej aspirantce Zofii Dworakowskiej. Emilia doskonale wiedziała, do jakich głupot zdolni są chłopcy w takim wieku. Wszystko potoczyło się jednak zgoła inaczej. Bohaterska policyjna akcja? Dobre sobie, zaśmiała się Strzałkowska w duchu. Dwaj nadgorliwi policjanci wbiegli do płonącego domu, nie czekając na przyjazd przygotowanych do podobnych interwencji strażaków. Zajął się piec gazowy i nastąpił wybuch, który zabił na miejscu cztery osoby. Strzałkowska nie chciała w żadnej mierze usprawiedliwiać Tytusa Weissa, ale w pewnym sensie uważała wszystkie te wydarzenia za splot niezbyt szczęśliwych okoliczności, których Tytus nie przewidział i do których wcale nie chciał doprowadzić.

Emilia zapukała do drzwi „Wrzosów”, przerywając swoje rozważania. Gdyby Paweł Kamiński wiedział, co tak naprawdę o tym wszystkim myślała, zapewne udusiłby ją gołymi rękami. Możliwe, że Daniel Podgórski też. Prawdopodobnie prawda leżała jak zwykle gdzieś pośrodku. Strzałkowska nie знаła okoliczności tego dramatu, więc postanowiła, że nie będzie oceniała postępowania poszczególnych zaangażowanych osób. Należało za to skupić się na teraźniejszości. Rozpamiętywania przeszłości i tak już było w Lipowie za dużo.

Drzwi „Wrzosów” otworzyła niewysoka Jaśmina Ciosek-Dworakowska.

– Dobrze, że pani jest! – niemal krzyknęła. – Obawiam się, że mamy pewien problem.

– Chciałabym porozmawiać z rodzeństwem Nilssonów. To bardzo ważne – wyjaśniła szybko Strzałkowska. – Potem opowie mi pani, w czym rzecz.

– Właśnie w tym jest problem – powiedziała Jaśmina nieco ironicznie. Chyba poczuła się urażona brakiem zainteresowania ze strony policjantki. – Ale może lepiej niech pani Carin Nilsson sama wszystko opowie. Ja nie będę się mieszała, gdzie mnie nie chcą. Niech pani wejdzie. Pani Nilsson jest na gorze.

Jaśmina ruszyła po schodach, nie oglądając się na policjantkę. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska weszła

za nią na pierwsze piętro. Nilssonowie zajmowali pokój od ulicy. Ten z balkonem bez balustrady, uświadomiła sobie Strzałkowska.

Jaśmina zapukała zdecydowanym ruchem do drzwi. Usłyszały ze środka jakieś przytłumione słowa i drzwi się otworzyły. Carin Nilsson wyglądała, jakby nie spała przez całą noc. Oczy miała podkrążone i spuchnięte od płaczu. Powiedziała coś niezrozumiałego.

– *Please, speak more slowly, Mrs Nilsson*²⁴ – poprosiła Strzałkowska, przechodząc na swój łamany angielski. Sama słyszała, jak kiepski był jej akcent, ale postanowiła się tym nie przejmować. To nie była szkolna olimpiada językowa, tylko policyjne śledztwo. Najważniejsze było osiągnięcie chociaż minimalnej komunikacji.

Jaśmina Ciosek-Dworakowska przewróciła oczami.

– Może ja jednak pomogę. Szybko wszystko wyjaśnię – wtrąciła się. – Brat pani Carin zniknął. Nie widziała go od poniedziałku.

Jaśmina i Carin Nilsson rozmawiały chwilę po angielsku. Emilia poczuła lekką irytację, ponieważ już po pierwszym zdaniu zgubiła wątek.

– Jest tak, jak powiedziałam – poinformowała w końcu Jaśmina już po polsku. – Ani ja, ani pani Carin nie widziałyśmy pana Cristera od poniedziałku, czyli od dwudziestego trzeciego grudnia.

Emilia Strzałkowska spojrzała na niską Szwedkę zdziwiona. Przyszła tu, żeby przesłuchać tych dwoje jako podejrzanych w sprawie podpalenia domu Filipa Weissa, a tu okazuje się, że Crister Nilsson sam zaginął, i to w dniu podpalenia. Szwed przepadł. Jak kamień w wodę, jak mawiał ojciec policjantki w takich sytuacjach. Ostatecznie ojciec także przepadł jak kamień w wodę, zostawiając Emilię i jej matkę samym sobie. Ironia losu.

– Co z pozostałymi mieszkańcami „Wrzosów”? Czy ktoś widział Cristera Nilssona od poniedziałku?

Jaśmina wzruszyła ramionami.

24 Proszę mówić wolniej, pani Nilsson.

– Nie chcieliśmy o tym za bardzo wczoraj rozmawiać – przyznała drobniutka gospodyni. – Była Wigilia, a pani Carin i tak już zdawała się roztrzęsiona. Chyba łatwo to zrozumieć w takiej sytuacji. Ja w każdym razie również go nie widziałam od poniedziałku.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska skinęła głową w stronę Carin Nilsson.

– Dobrze. Zajmę się tym od razu. Na początek będę musiała porozmawiać z pani wujem, kuzynem i Jerzym Gralą. Może oni coś wiedzą – powiedziała spokojnie policjantka. – *Don't worry, Mrs Nilsson.*

Strzałkowska miała nadzieję, że kazała ciemnowłosej Szwedce się nie martwić. Bariera językowa irytowała Emilię. Zanim tu przyszła, zastanawiała się, czy nie wziąć ze sobą Łukasza. Syn mógł posłużyć jako tłumacz. W końcu jednak zdecydowała, że nie może mieszać go w te sprawy. Tym bardziej że i tak już go zaangażowała do pomocy. Może to i było nieodpowiedzialne, ale Emilia pomyślała, że skoro Łukasz tak uwielbia siedzieć przed ekranem komputera, może znajdzie dla niej trochę informacji na temat sekty Świątynia. Kobieta zza Skrzyni nadal nie odzyskała przecież swojej tożsamości, a Emilia ciągle pamiętała pełen nadziei ton Łukasza, kiedy rozmawiali ostatnio o policyjnych obowiązkach.

Strzałkowska westchnęła cicho, spoglądając na Jaśminę i Carin. Na razie jednak Kobieta zza Skrzyni oraz przesłuchanie w sprawie alibi Nilssonów na czas podpalenia domu Filipa Weissa musiały zejść na dalszy plan. Najpierw trzeba było odnaleźć Cristera Nilssona.

ROZDZIAŁ 15

Lipowo.

Środa, 25 grudnia 2013. Wczesne popołudnie

Żona śmieciarza Izka Weiss nie mogła sobie znaleźć miejsca. Zdenerwowanie powodowało, że czuła niemal fizyczny ból. Na szczęście wszyscy odczytywali to jako żałobę po śmierci męża. Po jakże okrutnej i straszliwej śmierci, trzeba by dodać. Śmierci w płomieniach.

Wyrzuty sumienia nie pozwalały Izce spać. Nie zmrzyła oka od niedzieli. Mały Oskarek chyba wyczuwał jej zdenerwowanie, ponieważ zachowywał się zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Prawie w ogóle nie spał i ciągle płakał, jakby wiedział, że ojciec nigdy już nie potrzyma go w ramionach.

Izka Weiss nie tak to sobie wyobrażała. Co chwila zapalała zapalniczkę i patrzyła na tańczący między palcami płomyk. Czasami nawet pozwalała mu lizać boleśnie skórę. To sprawiało fizyczny ból, ale dawało ulgę zmęczonej głowie.

Dlaczego tak się zachowała?

Czy to mogło potoczyć się inaczej?

Czy była szalona?

Synek znowu zapłakał. Izka Weiss wzięła dziecko w ramiona i kołysała je odrobinę za mocno. Chciała zadzwonić do Eweliny Zaręby i opowiedzieć jej o wszystkim, ale odrzuciła tę myśl. Co jeśli fryzjerka zdradzi mężowi powierzoną jej tajemnicę? Przecież Marek Zaręba bądź co bądź był policjantem. Telefon do Jagny Sołtysik też nie wchodził w grę. Farmerka miała przecież swoje własne problemy. Co gorsza Izka czuła również, że na taki temat raczej nie może porozmawiać z rodzicami.

Była z tym sama.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski usiadł na szarej wysłużonej kanapie w salonie domu Urszuli Weiss. Na wszystkich ścianach wisały półki z książkami. Dom przypominał przedłużenie biblioteki, którą matka śmieciarza prowadziła w Lipowie. Paweł Kamiński stał obok, jakby brzydził się usiąść na starej sofie. Być może chciał patrzeć na Urszulę Weiss z góry, przeleciało Podgórskiemu przez myśl.

Bibliotekarka usiadła na kanapie obok Daniela. Cała ubrana była w żałobną czerń. Jej twarz wydawała się w połączeniu z tą ponurą kolorystyką kredowobiała. W rękach ścisnęła album ze zdjęciami. Od kilku minut prezentowała policjantom fotografie swojego syna Filipa w różnych etapach jego życia. A to na huśtawce w wieku przedszkolnym, a to przy śmieciarce kilka miesięcy temu, a to z technikum.

Podgórskiemu kręciło się w głowie od tych skoków w czasie. W przód i w tył. Na niektórych fotografiach, tych sprzed piętnastu lat, pojawiał się też Tytus. Bracia byli wówczas zdecydowanie bardziej podobni do siebie niż obecnie. Obaj byli wtedy nieco pucołowaci z rumianymi policzkami. Więzienie zmieniło starszego Weissa całkowicie. Teraz był muskularny i żyłasty, a jego twarz zdawała się należeć do dzikiego zwierzęcia, a nie do rumianego chłopczyka, którym był kiedyś. Sama Urszula również pojawiła się na kilku fotografiach. Ona, w przeciwieństwie do starszego syna, nie zmieniła się prawie wcale.

Na żadnym ze zdjęć nie było ojca braci Weissów. O tym kiedyś mówiło się w Lipowie dużo. Dzieci nazywały Tytusa i Filipa bękartami. Daniel dobrze to pamiętał. On i Tytus chodzili przecież do jednej klasy w podstawówce. Lokalne plotkarki, z panią Drewniakową na czele, wysnuwały różne tezy na temat domniemanej tożsamości ojca braci Weissów. To była jedna z nielicznych nierozwiązanych tajemnic ich wsi. Było kilku możliwych kandydatów, ale żadna z zainteresowanych stron nigdy niczego nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła, a bibliotekarka mieszkała przez całe życie samotnie.

– Pani Urszulo, musimy niestety zadać pani to pytanie – zaczął Podgórski. Czuł, że nie da już rady obejrzeć ani jednej

fotografii więcej. – Gdzie pani była w poniedziałek dwudziestego trzeciego grudnia, pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą? Proszę się dobrze zastanowić.

– Na pewno nie byłam tam, gdzie powinnam – powiedziała Urszula Weiss wyraźnie złołym tonem.

– Co ma pani na myśli, jeżeli można wiedzieć? – podchwycił Paweł Kamiński ostro.

Bibliotekarka spojrzała na policjanta przelotnie. W jej oczach malował się ból. Towarzyszył mu jednak jakiś trudny do zrozumienia błysk. Daniel poczuł, że wypełnia go nieprzyjemne uczucie niepokoju.

– Powinnam była być z moim synem. Oto gdzie powinnam była być – powiedziała Urszula Weiss. – Tam było moje miejsce. Miejsce matki. Nigdy nie powinnam była go opuszczać. Nigdy. To był błąd! A teraz mój ukochany synek nie żyje! Mój ukochany Filip!

Urszula Weiss zachowywała się dziwnie, ale być może był to skutek szoku po stracie dziecka. Podgórski zerknął na Pawła, ale kolega nie odwzajemnił spojrzenia.

– Proszę, niech pani powie, gdzie pani była – poprosił Daniel znowu. Starał się mówić jak najdelikatniej. – Musimy to wiedzieć.

– Podejrzewacie, że to ja podpaliłam dom mojego synka?! – krzyknęła bibliotekarka dziko zamiast odpowiedzi. – Ależ oczywiście. Czego innego mogłam się spodziewać po was? Ja chcę sprawiedliwości! Chcę, żebyście znaleźli tego, kto podpalił dom mojego Filipa. W tej wsi nikt nie traktuje nas sprawiedliwie! Jesteśmy dla was tylko rodziną mordercy! Nikim więcej.

Podgórski poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. W pewnym sensie Urszula Weiss miała rację. Musiał to przyznać.

– Czy kwestionuje pani nasze podejście do sprawy? Sugeruje pani, że nie jesteśmy obiektywni, co? – zapytał bardzo powoli Paweł Kamiński. – Jeżeli tak, to radzę uważać na słowa. I proszę grzecznie odpowiadać na pytania mojego kolegi, bo się, kurwa, zdenerwuję. I nie będzie już tak miłutko jak teraz. Kwestionuje pani nasze kompetencje, a sama niczego nie

ułatwia. Proszę się, kurwa, zdecydować. Albo mamy znaleźć winnego, albo nie. Jesteście przewrażliwieni na swoim punkcie. Mam już cholernie dość tej waszej pieprzonej rodzinki. Każdego po kolei.

Bibliotekarka odłożyła z namaszczeniem album ze zdjęciami na stolik kawowy obok kanapy. Wpatrywała się w album, jakby odpowiedzi na wszystkie pytania znajdowały się właśnie tam.

– Byłam w domu – powiedziała w końcu.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski zauważył, że na ustach Urszuli Weiss majaczył teraz dziwny półuśmiech.

– Czy ktoś może to potwierdzić? – zapytał. Nie mógł oderwać oczu od dziwnego grymasu na ustach matki śmieciarza.

– Byłam sama, kiedy zginął mój Filip – przyznała kobieta. Na jej bladej twarzy zagościł teraz rumieniec.

– No i proszę, jak ładnie nam idzie. Kwestię alibi, a właściwie jego braku, mamy już załatwioną – pochwalił sarkastycznie Paweł Kamiński. – Może jeszcze przed wieczorem dojdziemy do czegoś konkretnego.

Daniel zignorował ten komentarz. Nie zamierzał kłócić się z Pawłem w obecności Urszuli Weiss.

– Czy jest ktoś, kto mógł źle życzyć Filipowi? – zapytał, przechodząc do kolejnej kwestii.

Bibliotekarka zaśmiała się gardłowo.

– Chyba nie muszę nawet odpowiadać na to pytanie – powiedziała, spoglądając na policjantów wyzywająco. – Filip był bratem Tytusa. Bratem mordercy. Wszyscy tylko tak tu o nas mówicie. „Rodzina mordercy”. Już mówiłam, że w tej wsi nie możemy liczyć na sprawiedliwe traktowanie. Wszyscy są przeciw nam.

– To dlaczego, kurwa, się stąd nie wyniesiecie, skoro wam tak u nas źle?! – krzyknął Paweł Kamiński. – Droga wolna. Zapewniam, że wszyscy odetchną z ulgą.

Bibliotekarka znowu zaśmiała się dziwnie.

– Sam pan widzi, że odpowiedź na pańskie pytanie jest prosta – powiedziała do Daniela Podgórskiego triumfalnie. – Lista osób, która jest przeciwko nam, zaczyna się u was w komisariacie. Wy dwaj, Maria Podgórska... wszyscy nas

nienawidzicie, ale dlaczego zabiliście Filipa? On wam nic nie zrobił! Trzeba było wykończyć Tytusa! Czemu zabraliście mi mojego Filipka? Czemu? Filip nikomu nie wadził. To nie jego wina, jaką miał rodzinę! Dlaczego go zabiliście?

Podgórski poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. Podniósł się z kanapy i stanął obok Pawła. Czuł prymitywną satysfakcję z przewagi, jaką we dwóch mieli nad tą szczupłą kobietą.

– Czy pani oskarża nas o podłożenie ognia pod dom Filipa?

– To mogliście być wy – rzuciła Urszula Weiss. Oddychała teraz ciężko. – Dlaczego by nie, co?! Nienawidzicie nas! A może to nieprawda? Nienawidzicie nas!

W pokoju zapadła cisza. Młodszy aspirant Daniel Podgórski czuł, że powinien zaprzeczyć, ale nie mógł tego zrobić z czystym sumieniem. To była przecież prawda i wszyscy o tym wiedzieli. Czuł tę nienawiść, o którą oskarżała go bibliotekarka, całym sobą. Nienawidził Tytusa, Filipa i ich matki, mimo że tylko starszy z braci Weissów przyczynił się do śmierci jego ojca.

– Może to nieprawda? – zaatakowała znowu bibliotekarka.

– Czy jest ktoś jeszcze, kto miał szczególnie negatywny stosunek do pani młodszego syna? – zapytał Daniel zamiast odpowiedzi. Nie chciał dać się wciągnąć w przepychanki słowne. – Czy Filip miał jakichś wrogów?

– Są jeszcze Nilssonowie – przyznała Urszula Weiss. Teraz ona również wstała.

Daniel miał prawie dwa metry wzrostu. Bibliotekarka wydała mu się teraz jeszcze bardziej krucha. Po raz pierwszy poczuł, że mu jej szkoda. Była przecież matką i straciła właśnie ukochanego syna.

– Usiądźmy – zaproponował. Znowu starał się mówić delikatnie. – Porozmawiajmy na spokojnie. Przecież stoimy po tej samej stronie barykady. Przynajmniej tym razem. Postarajmy się zapomnieć na chwilę o przeszłości. Przecież wszyscy chcemy znaleźć podpalacza.

Słowa przychodziły z trudem, ale w końcu się udało. Urszula Weiss chyba doceniła jego starania, ponieważ usiadła z powrotem na kanapie i wzięła album ze zdjęciami do rąk. Paweł Kamiński przewrócił oczami, ale on również usiadł.

Napięcie na moment opadło.

– Tu mam zdjęcie Filipa i Carin. Zrobione w Trelleborgu – powiedziała bibliotekarka, pokazując policjantom fotografię.
– Byli parą przez ponad rok. Filip przysłał mi to zdjęcie na początku dwa tysiące dwunastego roku. Carin jest od niego starsza o sześć lat. To znaczy była... bo przecież Filip nie żyje...

Głos Urszuli się załamał.

– Proszę mówić dalej – poprosił Daniel Podgórski miękko.

– Carin chyba była bardzo zakochana w moim synu, ale Filip czuł, że to nie jest to – kontynuowała pani Weiss. – Tylko że nie chciał jej zranić. Był więc z nią dłużej, niż planował. Nie wiedział, jak zakończyć ten związek. Filip zawsze był wrażliwym i delikatnym człowiekiem. Może nawet nieco naiwnym, jeżeli chodzi o sprawę tego świata.

– Pieprzony altruista – mruknął Kamiński.

Bibliotekarka spojrzała na Pawła ostro. Jej usta znowu wykrzywiły się w niepokojącym grymasie.

– Filipowi średnio układało się w tej Szwecji – przyznała w końcu. – Początkowo miał pracę, ale potem ją stracił. W listach i telefonach bał się przyznać, że tak to się skończyło. Przecież wysłałabym mu pieniądze. Mógłby wrócić bez problemu. No cóż. On postanowił inaczej. Pożyczył pieniądze od Carin i przyjechał do Polski.

Paweł Kamiński zaśmiał się głośno.

– Pożyczył? – zadrwił policjant. – Dobrze powiedziane. Raczej ukradł i zwiął do Polski. Teraz Carin Nilsson przyjeżdża z braciszkiem i jest niezbyt zadowolona. Może tak lepiej to nazwać, co? Na moje, lepiej po imieniu, niż pieprzyć jakieś dyrdymały.

– Ukradł. Można to i tak ująć – odparła Urszula Weiss wyzywająco. – Ale każdy popełnia w życiu jakieś błędy. Nie ma ludzi bez skazy.

– Pieprzenie.

– A kto jest idealny? Może pan?

Paweł Kamiński zaśmiał się głucho.

– Ja na pewno nie jestem mordercą – zadrwił znowu policjant.

– Tego nie wiemy – odparła bibliotekarka natychmiast.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski westchnął ciężko. Zabranie ze sobą Pawła nie było dobrym pomysłem, tak jak się tego obawiał.

– Czy jest jeszcze ktoś, oprócz państwa Nilssonów, kto mógłby żywić urazę do Filipa? – zapytał.

– Jest jeszcze Izka – odparła szybko Urszula Weiss. – Nie będę ukrywać. I tak dobrze wiecie, że im się nie układało. Wiem, że te plotkary nas obgadywały, ile mogły. Izka wróciła mieszkać do rodziców. A Filip tak bardzo ją kochał. Ją i ich synka, Oskarka.

– Dlaczego Izka mogłaby chcieć zabić męża? Co się stało między nimi?

Bibliotekarka Urszula Weiss otworzyła album na stronie ze zdjęciami ślubnymi. Śmieciarz stał obok Izy z czerwonymi z emocji policzkami. Panna młoda miała już lekko widoczny ciężowy brzusek.

– Nie mówię, że to ona podłożyła ogień – powiedziała po namyśle matka Filipa. – Mówię tylko, że on ją kochał nad życie. A ja kochałam nad życie mojego syneczka. Tak to jest, że czasem miłość nie jest odwzajemniona. Czasem jesteśmy zdradzani.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski nie bardzo zrozumiał, co bibliotekarka miała właściwie na myśli. Spojrzał na Pawła Kamińskiego, ale on też zdawał się zaskoczony.

– Co ma pani na myśli?

Urszula Weiss pokręciła głową.

– Nic szczególnego – mruknęła pod nosem.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska skończyła właśnie rozmawiać z profesorem Sewerynem Dworakowskim i jego ogromnym synem Albinem. Żaden z nich nie widział Cristera Nilssona od poniedziałku, tak jak sugerowała to Jaśmina. Chłopiec w ciele mężczyzny kręcił z namaszczeniem głową.

– Nie, nie, nie – powtarzał, a profesor Seweryn Dworakowski głąskał go uspokajająco po głowie, jakby Albin rzeczywiście był

kilkuletnim chłopcem.

Emilia Strzałkowska czuła się zdezorientowana. Przyszła do „Wrzosów”, żeby przesłuchać Cristera Nilssona jako ewentualnego podpalacza domu Filipa Weissa. Skończyło się zaś na poszukiwaniach samego Szweda. Policjantka miała nieprzyjemne wrażenie, że to wszystko zaczyna wymykać jej się spod kontroli.

W zaistniałej sytuacji Emilia postanowiła jednak kontynuować nieprzewidziane przesłuchania. Jediną osobą we „Wrzosach”, z którą jeszcze nie rozmawiała o tajemniczym zniknięciu wysokiego Szweda, był Jerzy Grala. Strzałkowska uznała, że niejako przy okazji wypyta naukowca również o poniedziałkowy wieczór dwudziestego trzeciego grudnia. Nie zaszkodziło upiec dwóch pieczeni przy jednym ogniu, jak to powtarzała jej matka. Strzałkowska zaśmiała się w duchu. Jej rodzina była niezastąpionym źródłem różnych porzekadeł.

Jerzy Grala wszedł do fioletowego saloniku, który zmienił się w tymczasowy pokój przesłuchań. Emilia miała serdecznie dosyć tych przytłaczających wrzosowych ścian, ale nie znalazła lepszego miejsca w całym tym niedokończonym domu.

– Niech pan siada – poprosiła.

Znowu czuła, że brakuje jej powietrza. Okna w fioletowym pokoiku jak zwykle były szczelnie zamknięte. Od zaduchu bolała ją głowa i wiedziała, że nie myśli już jasno.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jerzy Grala, przyglądając się Emilii podejrzliwie.

Strzałkowska przytaknęła i napiła się wody, którą przyniosła jej kilka minut temu Jaśmina Ciosek-Dworakowska.

– Niech pan się dobrze zastanowi – poprosiła – kiedy ostatnio widział pan Cristera Nilssona? Przypomina pan sobie?

Jerzy Grala skinął głową.

– Jestem właściwie pewny, że to było w poniedziałek, czyli dwudziestego trzeciego grudnia. Szczerze mówiąc, to ja rzadko widywałem tych Szwedów – wyjaśnił. – Oni głównie kręcą się po wsi, a ja, jak pani wie, pracuję w osadzie sekty Świątynia w Cichym Lasku. Spędziliśmy wspólnie bardzo przyjemną Wigilię, ale wtedy już nie było pana Nilssona, więc chyba

rzeczywiście nie ma go od dwudziestego trzeciego grudnia.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska z trudem zaczerpnęła powietrza. Przesłuchanie wszystkich mieszkańców „Wrzosów” w tym mikroskopijnym pomieszczeniu dało jej się we znaki. Czowała, że nie wytrzyma tu ani chwili dłużej.

– Może otworzę okno? – zaproponował naukowiec, przyglądając się policjantce uważnie. – Wygląda pani, jakby miała zaraz zemdleć.

Strzałkowska pokiwała szybko głową.

– Niech pan otworzy, bardzo proszę.

Kiedy do środka wpadło trochę świeżego powietrza, Emilia odetchnęła głęboko. Wypiła do końca wodę i poczuła, że odżywa.

– Co pan sądzi o tym Cristerze Nilssonie? – zapytała nieco poufałym tonem. Poczucie bliskości czasami dobrze działało na świadków.

– Tak jak już mówiłem wcześniej, nie znałem pana Nilssona za dobrze – przypomniał Jerzy Grała. – Był imponującej postury. Zupełnie jak Albin Dworakowski. Zaskakująca jest ta genetyka. Profesor Dworakowski nie jest przecież aż tak rosy, a...

Emilia odchrząknęła cicho. Nie miała ochoty słuchać rozważań na temat genów w rodzinie Dworakowskich. Postanowiła przejść nareszcie do tego, co sobie zaplanowała wcześniej, czyli zebrania informacji na temat okoliczności podpalenia domu Filipa Weissa.

– A jeżeli chodzi o wieczór i noc dwudziestego trzeciego grudnia – zagaiła policjantka. – Zauważył pan może coś niezwykłego? Oprócz zniknięcia pana Cristera Nilssona.

– Chodzi pani o to podpalenie? – zgadywał Jerzy Grała.

Emilia skinęła głową. Naukowiec zastanawiał się przez chwilę.

– Z tego, co pamiętam, tamtego wieczoru ja, pani Carin Nilsson i pani Jaśmina Ciosek-Dworakowska zjedliśmy wspólnie kolację – powiedział w końcu. – Potem pracowałem u siebie nad dokumentacją osady sekty, którą zrobiłem, zanim znalazłem te stare szczątki i na teren wkroczyli wasi technicy.

Nie, nie przypominam sobie niczego szczególnego.

Strzałkowska miała na tyle doświadczenia w swojej pracy, że wyczuła nutkę wahania w głosie naukowca.

– Proszę się dobrze zastanowić – poprosiła. – Mamy czas.

Jerzy Grała nie wyglądał na przekonanego.

– To chyba nic takiego – mruknął w końcu z wahaniem.

– Nie chciałbym nikomu robić kłopotów. Zwłaszcza gospodarzom, którzy dobrze mnie tu przyjęli. Mimo wszystko.

Za drzwiami fioletowego saloniku ktoś się chyba poruszył.

– Proszę mówić – ponagliła policjantka Grałę, nie zważając na odgłosy z korytarza.

– Tamtej nocy widziałem, jak profesor wychodził z domu w pośpiechu – powiedział niechętnie naukowiec, ścisząc głos prawie do szeptu. Emilia ledwie go słyszała. – Na pewno miał swoje powody. To poważny człowiek. Profesor. Pamiętam jednak, że kopiowałem wtedy zdjęcia malunków z domu Witalisa Sobieraja do mojego notatnika i zobaczyłem przez okno profesora Dworakowskiego. Biurko stoi przy samym parapecie, więc dobrze widziałem. Wydało mi się to dość zaskakujące, bo pani Jaśmina nie wspominała podczas kolacji, że profesor miał gdzieś wyjść. Z drugiej strony przecież gospodarze nie muszą nam się ze wszystkiego zwierzać.

Emilia Strzałkowska znowu poczuła nieprzyjemne pulsowanie żyły na skroni.

– Pamięta pan, o której to mogło być godzinie?

Grała pokręcił głową.

– Nieszczególnie.

– Może chociaż orientacyjnie? – zapytała Strzałkowska zniecierpliwiona.

Jerzy Grała pogrążył się w rozmyślaniach.

– Wydaje mi się, że pracowałem już jakiś czas. Kolację skończyliśmy jeść gdzieś około wpół do dziewiątej, może troszkę wcześniej – powiedział, jakby liczył coś w pamięci.

– W takim razie to musiało już na pewno być po dziewiątej. Nie wiem dokładnie. Może dziewiąta dwadzieścia, a może wpół do dziesiątej? Naprawdę nie umiem powiedzieć.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska pokiwała głową.

Każda informacja mogła się przydać wcześniej czy później. Ten przedział czasowy mógł odpowiadać podpaleniu domu Filipa Weissa. Policjantka nie chciała jednak na razie wysnuwać żadnych przedwczesnych wniosków. Mimo wszystko ten wątek wydał jej się godny uwagi.

– Dziękuję za informację. Sprawdzimy to. Czy profesor Dworakowski coś ze sobą niósł?

Podpalacz nie mógł przecież iść z gołymi rękami, uznała Emilia w duchu. Dom śmieciarza oblano benzyną i obrzucono kilkoma butelkami zapalającymi. Sprawca albo niósł to wszystko ze sobą, albo miał to przygotowane gdzie indziej...

– Chyba miał ze sobą torbę, ale on często chodzi z teczką – dodał Grala, przerywając rozważania policjantki. – Żałuję, że to w ogóle powiedziałem. To na pewno nie ma znaczenia, a widzę, że pani już zaczyna robić z igły widły.

Emilia Strzałkowska znowu poczuła nieprzyjemne zawroty głowy. Musiała natychmiast wyjść z tego klaustrofobicznego pomieszczenia.

– Dziękuję bardzo – rzuciła. – Pewnie będę jeszcze z panem rozmawiać.

– Nie ma problemu – powiedział Grala, przyglądając się jej z niepokojem. – Nadal pracuję w osadzie w Cichym Lasku. Póki nie skończę, nigdzie się nie wybieram... ale czy pani dobrze się czuje?

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska wstała odrobinę zbyt szybko i ruszyła do drzwi saloniku bez odpowiedzi. Potrzebowała powietrza. Natychmiast! Wyszła na korytarz, wpadając prosto w szerokie ramiona Albina Dworakowskiego. Chłopiec w ciele mężczyzny wpatrywał się w nią dziwnie. Policjantka odskoczyła przestraszona.

– Albin? – zawołał z głębi domu profesor Seweryn Dworakowski.

Olbrzym odwrócił się na pięcie, zostawiając sierżant sztabową Emilię Strzałkowską samą w korytarzu.

Tytus Weiss wysiadł z autobusu, który przywiózł go trasą

numer 15 z Brodnicy do Jajkowa. Stąd miał jeszcze do przejścia niecałe cztery kilometry do Lipowa. Do domu...

Był wieczór pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia. Kiedy Tytus wychodził z Zakładu Karnego w Starych Świątkach, tak bardzo pragnął spędzić te święta w domu. Zwłaszcza Wigilię. Życie jak zwykle spletało mu figla i piętnastą Gwiazdkę z rzędu spędził w zamknięciu. Areszt tymczasowy czy zakład karny to bez różnicy. Kolejny raz był za kratami. A przecież przysiągł sobie, że nigdy już tam nie wróci.

Tytus zapalił papierosa i ruszył wzdłuż pobocza drogi, starając się porzucić natrętne myśli. Za plecami miał stację benzynową Jabłońskich, przed sobą drogę do Lipowa. Tu, w Jajkowie, przynajmniej nikt na niego nie pluł, chociaż kilka osób spoglądało w jego stronę z nieukrywaną ciekawością.

Powszechnie zainteresowanie nie było zbyt przyjemne. Weiss odetchnął z ulgą, kiedy znalazł się już na szosie za wsią. Potrzebował czasu, żeby wszystko dobrze przemyśleć. Teraz wcale nie spieszyło mu się do domu. O nie... Matka na pewno na niego czekała.

Przeszedł jeszcze kawałek i zauważył, że od szosy odchodzi polna droga. Ścieżka znikła wśród zaoranych na zimę pól. O ile nic się przez te piętnaście lat nie zmieniło, tędy też mógł się dostać do Lipowa. Zajmie to trochę więcej czasu, ale to było Tytusowi właściwie na rękę. Nie chciał się widzieć z matką. Przynajmniej dopóki nie obmyśli jakiegoś sensownego planu działania. Nie miał najmniejszej ochoty jeszcze umierać, a przecież nie ulegało wątpliwości, że następny w kolejce do trumny będzie albo on sam, albo... ojciec? Weiss nie wiedział, jak właściwie nazwać tego człowieka.

Nagle zobaczył, że na szczycie kamienistego wzniesienia, na które właśnie się wspinał, stoi niewysoka dziewczyna. Jej twarz wydała się Tytusowi znajoma. Nagle zrozumiał, kim ona jest. Kiedy widział ją ostatni raz, była jeszcze dzieckiem. W 1998 roku mogła mieć jakieś dziesięć lat. Może nawet mniej. Teraz była już kobietą.

Tytus zwolnił kroku, aż w końcu zatrzymał się pośrodku drogi. Jaśmina Ciosek-Dworakowska podeszła do niego

powoli. Stali w milczeniu na wzniesieniu, z którego roztaczał się widok na całą wieś i okolice. Tytus był ciekaw, czy ich sylwetki widać z Lipowa.

– Tytus – powiedziała w końcu Jaśmina, przerywając milczenie.

Miała miły dziewczęcy głos, w którym zabrzmiała nieco cierpka nuta. Weiss nie wiedział, co właściwie miałyby w tej sytuacji odpowiedzieć. Nie chciał już przeproszać. Nie chciał też dłużej grać roli mordercy. To nie miało sensu i doprowadziło tylko do straszliwej śmierci Filipa. Tytus nie był pewien, czy kiedykolwiek daruje sobie śmierć brata. Może gdyby piętnaście lat temu postąpił inaczej, mógłby temu wszystkiemu zapobiec. Może gdyby teraz zachował się inaczej, Filip by nie umarł? To pytanie nie dawało mu spokoju, od kiedy tylko dowiedział się, że brat nie żyje.

– Tak mi przykro, że Filip umarł – powiedziała dziewczyna ku zaskoczeniu Tytusa. – Wiem, co musisz czuć.

Weiss zaciągnął się głęboko papierosem. Skąd Jaśmina mogła cokolwiek wiedzieć. Wiedziała, co to ból po stracie matki, to prawda, ale czy rozumiała jego ból, jego samotność i rozgoryczenie pomieszane z wyrzutami sumienia? Czy rozumiała, jak to jest być zostawionym przez wszystkich, których się kochało?

Niespodziewanie Tytus poczuł nieprzewartą ochotę, by opowiedzieć Jaśminie, co naprawdę stało się w 1998 roku, ale się powstrzymał. Nie sądził, żeby dziewczyna mu uwierzyła. Przecież przez te wszystkie lata miała go za mordercę swojej matki. W tej sytuacji nie mógł oczekiwać po niej zrozumienia.

– Wracasz do domu? – zapytała Jaśmina.

Tytus nie bardzo rozumiał, dlaczego właściwie ta drobna dziewczyna z nim rozmawia. Czy był w tym jakiś zamysł? Dlaczego była taka miła?

– Wracasz do domu? – powtórzyła.

– Tak – odparł Tytus podejrzliwie. Głos miał trochę zachrypnięty, ponieważ nie odzywał się do nikogo od wczorajszego przesłuchania w Komendzie Powiatowej.

– W takim razie może wrócimy razem? – zaproponowała

Jaśmina i uśmiechnęła się do niego niepewnie.

Tytus Weiss wzruszył ramionami. W jego świecie nic nie działo się bez przyczyny i nikt nie był dla nikogo miły bez przyczyny. Ryzyko wspólnego powrotu do wsi wydało mu się jednak niewielkie. Gorsze zło czaiło się w Lipowie.

ROZDZIAŁ 16

Lipowo.

Środa, 25 grudnia 2013. Wieczór

Izka Weiss bujała małego Oskarka w ramionach. Znowu odrobinę zbyt mocno. Przed nią, na drewnianych krzesłach w kuchni jej rodziców, siedzieli Daniel Podgórski i Paweł Kamiński z komisariatu w Lipowie. Mama zaproponowała, że będzie jej towarzyszyć w przesłuchaniu, ale Izka wołała być sama. Jeżeli miała kłamać w jakiegokolwiek sprawie, to wołała nie robić tego przy matce. Nie potrafiłaby.

Dziwnie było patrzeć na Daniela i Pawła, którzy siedzieli przed nią sztywno z posępnymi profesjonalnymi minami mundurowych. W Lipowie wszyscy się znali. Policjanci byli cztery lata starsi od Izki, więc całkiem dobrze pamiętała ich jeszcze ze szkoły. Podgórski zawsze był wysoki. W ostatnich latach przybyło mu jednak sporo centymetrów w pasie. Kamiński mniej się zmienił. Wszyscy znali jego reputację kobieciarza i damskiego boksera. To powinno odstraszać, ale Izce Paweł zawsze wydawał się całkiem atrakcyjny.

Izka Weiss zganiała się natychmiast za te myśli. To nie był dobry moment, żeby się rozpraszać. Teraz powinna skupić się na przesłuchaniu i dobrze je rozegrać. Nie chciała po sobie pokazać niczego, co mogłoby skierować uwagę policjantów na nią. Musiała pamiętać, że przede wszystkim jest przecież matką Oskarka. Filip Weiss nie mógł jej już zagrozić. Policja stanowiła jednak całkiem realny problem. Chociażby cień podejrzenia o zabicie własnego męża mógł z łatwością sprowadzić jej na kark opiekę społeczną. To była ostatnia rzecz, której teraz potrzebowała. Musiała wytrzymać jeszcze trochę. Wkrótce pochowa Filipa i wtedy będzie po wszystkim.

– Iza, musimy cię o to zapytać – uprzedził Daniel Podgórski

służbowym tonem.

Spojrzała na jego wydatny brzuch, w jakiś sposób ten widok sprawiał, że słowa policjanta były mniej przerażające. Ten pulchny mężczyzna nie mógł jej przecież nic zrobić.

– Bardzo proszę, pytaj, o co chcesz – powiedziała całkiem gładko. Przynajmniej tak jej się wydawało.

– Gdzie byłaś w poniedziałek pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą wieczorem?

Izka Weiss spojrzała na ozdoby świąteczne, które jej matka poukładała na parapecie kuchennego okna. One też działały uspokajająco. Odetchnęła głęboko kilka razy. Miała nadzieję, że policjanci tego nie zauważą. Teraz był wielki moment.

– Byłam u siebie. Zajmowałam się Oskarkiem – powiedziała, nadal siląc się na spokój. – Gdzie indziej miałabym być?

Pobujała synka w ramionach, jakby to miał być dowód prawdziwości jej słów.

– Czy ktoś może to potwierdzić? – zapytał Paweł Kamiński.

Jego głos wydawał się Izie delikatniejszy niż Daniela, ale może dlatego, że Paweł był taki przystojny.

– Czy ktoś może to potwierdzić? – powtórzył za kolegą Daniel Podgórski.

Izka znowu spojrzała na jego pękaty brzuszek. Przecież ten wysoki grubasek jest niegroźny, powiedziała sobie w duchu, starając się nie roześmiać histerycznie. Była zresztą pewna, że matka i ojciec potwierdzą wszystko, o cokolwiek poprosi. Pora na kłamstwo.

– Moi rodzice.

– Tylko oni? – dopytywał się Podgórski.

– Daniel, daj już spokój – wtrącił się znowu Paweł Kamiński, puszczając oko do Izki. – To wystarczy. Przejdźmy do rzeczy. Czy jest ktoś, kto źle życzył twojemu mężowi, Izuńka? Zastanów się dobrze.

Izka Weiss odetchnęła. Oskarek zaśmiał się cichutko. To rozładowało trochę napięcie. Wszystkie oczy skierowały się na dziecko.

– No, są ci Nilssonowie – spróbowała.

– A ktoś oprócz nich?

Przez chwilę Izka Weiss walczyła ze sobą. Pewnie nie powinna tego robić. Były w końcu przyjaciółkami. Spojrzała na małego Oskarka. Syn był teraz najważniejszy. Zdecydowanie. W takich sytuacjach cel uświęca środki.

– Wiem, że Patryk Sołtysik pożyczył od mojego Filipa sporą sumkę na rozbudowę tej ich ekofarmy – powiedziała wdowa po śmieciarzu. Kiedy już podjęła decyzję, było znacznie łatwiej. Poza tym teraz przecież nie kłamała. – Jak przyjechali ci Szwedzi i chcieli pieniędzy od Filipa, to on potrzebował każdego grosza. Z tego, co wiem, kilka razy zwracał się do Patryka o zwrot pożyczki. No, ale Patryk Sołtysik nie za bardzo chciał mojemu mężowi oddać. Może...

Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu.

– A skąd Filip miał taką sporą sumkę? – zainteresował się Daniel Podgórski.

Izka Weiss wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może dostał od matki, a może to jeszcze z tych pieniędzy, które ukradł tym Nilssonom. Najprawdopodobniej tak – uznała w końcu. – Z pensji śmieciarza zbyt dużo uciąć nie można, ale Filipowi jeszcze zostały szwedzkie korony. Trzymał je w pudełku, jak piracki skarb. Strasznie bywał dziecinny.

– Kiedy widzieliście się z mężem ostatni raz?

– To było w południe, w dniu, kiedy umarł. Wspominał wtedy, że kłopoty finansowe wreszcie się skończyły.

Nawet ją samą zaskoczyło to wyznanie. Wyszło z jej ust tak gładko. Filip Weiss rzeczywiście tak powiedział. Izka nie zamierzała jednak wspominać policjantom o tym, co mąż dodał później. Filip zapewnił ją podczas tej ostatniej rozmowy, że teraz będzie miał pieniądze na najlepszego prawnika. Teraz bez trudu będzie mógł odebrać jej Oskarka, jeżeli żona nie zdecyduje się wrócić do domu. Izka poczuła, że w jej żyłach zaczyna płynąć gniew zamiast krwi. Nikt nigdy nie odbierze jej dziecka. Nigdy.

– Może to dlatego, że miał tę fuchę z tym naukowcem, co to bada nasz nawiedzony Cichy Lasek? – zaryzykowała Izka, żeby uprzedzić dalsze pytania policjantów. Nie była pewna, czy teraz

potrafiłaby sobie z nimi poradzić. – Chociaż tam też chyba za dużo nie zarabiał. Nie wiem. Może w końcu dostał coś w mieście. Filip już od jakiegoś czasu wspominał, że może będzie szukał innej pracy, że zostawi to wywożenie śmieci. „Zostawię to w pizdu”, tak się chyba dokładnie wyraził. Czasami przeklinał głupio.

Paweł Kamiński zaśmiał się, wyraźnie rozbawiony. Izka Weiss spojrzała na policjanta z ulgą. Chyba jej się udało.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska wróciła do domu bardzo zmęczona. Głowa bolała ją tak mocno, że nie mogła się już na niczym skupić. Prawdopodobnie był to efekt całodziennych przesłuchań w klaustrofobicznym fioletowym saloniku we „Wrzosach”.

Strzałkowska rozejrzała się po długim wąskim holu ich wynajętego domku. Można było się stąd dostać do wszystkich pozostałych pomieszczeń w budynku. Przedpokój przypominał jej długi korytarz w wagonie kolejowym. Zdaniem policjantki nie było to może najszcześniejsze rozwiązanie architektoniczne, ale zaczynała się już do niego przyzwyczajać.

Czy to był jednak prawdziwy dom? Emilia Strzałkowska nie wiedziała jeszcze, czy ona i Łukasz zostaną tu na stałe. Formalnie jedynie zastępowała Marka Zarębę i Janusza Rosoła. Czy będzie mogła zostać w Lipowie, kiedy oni wrócą z urlopu? Czy będzie chciała?

Powiesiła klucze na gwoźdźniku i zdjęła kurtkę.

– Jestem! – krzyknęła do syna.

Nie uzyskała żadnej odpowiedzi. Nie było to szczególnie zaskakujące, zważywszy na to, że z pokoju Łukasza dochodziły dość wyraźne odgłosy komputerowej strzelaniny. Zapewne syn wypróbował kolejną grę. Prawdopodobnie Strzałkowska sama mu ją nawet dała z tej czy innej okazji. Straciła już nad tym kontrolę.

Emilia weszła do kuchni z nostalgicznym westchnieniem. Przed rozmową z synem musi pozbyć się natrętnego bólu głowy. Ze zdziwieniem zauważyła, że na stole stoi kilka

brudnych szklanek i dwa plastikowe talerzyki z resztkami mrożonej pizzy, którą syn zapewne odgrzał w piekarniku.

– Miałeś gości?! – krzyknęła znowu do Łukasza.

Zero odpowiedzi. Emilia wzruszyła ramionami i połknęła proszki przeciwbólowe. Popiła wodą z kranu. Na wsi chyba woda musi być czysta, uznała i zrezygnowana powlokła się do pokoju syna. Miała wrażenie, że każdy krok zwiększa tylko ból głowy, który zaczynał rozrastać się do niewyobrażalnych rozmiarów. Mimo tabletek, które właśnie połknęła, skronie nadal pulsowały nieprzyjemnie.

Strzałkowska zajrzała do pokoju syna. Tak jak się spodziewała, Łukasz siedział przed komputerem przy starym biurku ze sklejki. Biurko było jednym z mebli, w które właściciel zaopatrzył ten dom na okres wynajmu. Było wyjątkowo brzydkie. Policjantka nie zamierzała jednak inwestować w coś lepszego, póki nie będzie pewna, czy zostanie w Lipowie.

– Miałeś gości? – powtórzyła pytanie najgłośniejszym, jak mogła.

Jej głowę znowu przeszły ukłucie bólu, ale wydawało się już nieco słabsze. Syn zdjął wielkie słuchawki i odgłosy strzelaniny stały się jeszcze wyraźniejsze.

– Przycisz to, bo w końcu ogłuchniesz – zawyrokowała Emilia.

– Daj spokój, mam – zaśmiał się Łukasz.

Syn wydawał się dziś uśmiechnięty i zadowolony. Rzadko taki bywał, ale od przyjazdu do Lipowa zdarzało się to chyba trochę częściej.

– Była u mnie taka Andżelika – wyjaśnił Łukasz. – Ona jest córką tego policjanta, którego ty zastępujesz. Graliśmy.

– Okej.

Emilia Strzałkowska poczuła, że ból głowy nareszcie ustępuje. To było wspaniałe móc znowu ruszać się bez odczucia, że czaszka zaraz jej pęknie. Tym bardziej że chciała porozmawiać z synem na poważne tematy.

– Słuchaj, Łukasz, to ważne – zaczęła. – Pamiętam, że mówiłeś mi, że widziałeś tego Szweda w poniedziałek wieczorem? Mówiłeś, że rozmawialiście, a on ci opowiedział, że

w domu ma motor. Tak było? Dobrze pamiętam?

Syn pokiwał głową od niechcenia.

– No – mruknął. – Wiesz co? Już wiem, co chcę na urodziny!

Strzałkowska uśmiechnęła się pod nosem. Rzeczywiście, czternaste urodziny jej syna zbliżały się wielkimi krokami. Łukasz urodził się piętnastego stycznia 2000 roku. Pamiętała, że wszyscy żartowali, że syn to wspaniały prezent na nowe milenium. Najpiękniejszy. Rzeczywiście tak było, chociaż wtedy była bardziej przerażona niż szczęśliwa.

– Pogadamy o tym we właściwym czasie – odparowała policjantka żartobliwie. Teraz chciała porozmawiać z Łukaszem na temat Cristera Nilssona. Możliwe, że jej syn był ostatnią osobą, która widziała Szweda przed jego tajemniczym zniknięciem. – Jak on się zachowywał?

Łukasz wzruszył ramionami.

– No, normalnie. A jak miał się zachowywać? – zapytał chłopak zdziwiony. – Był zaskoczony, że mówię trochę po szwedzku. Chyba się ucieszył. On też mówi trochę po polsku. Więc tak sobie pogadaliśmy.

Emilia usiadła na łóżku obok biurka ze sklejki. Od komputera biło przyjemne ciepło. Mimo że zima jak dotąd była łagodna, Strzałkowska zdążyła zmarznąć.

– Crister Nilsson mówi po polsku? – podchwyciła zaskoczona.

– No tak – przytaknął Łukasz od razu. – Ale ja wolałem z nim pogadać po szwedzku, żeby sobie poćwiczyć. Mówił mi o swoich motorach i w ogóle, ale równie dobrze mogliśmy gadać po polsku.

To by było na tyle, jeżeli chodzi o barierę językową, pomyślała Emilia Strzałkowska zirytowana. Skoro Crister Nilsson mówił po polsku, dlaczego udawał, że nic nie rozumie, kiedy Emilia i Daniel Podgórski przesłuchiwali go pierwszego dnia? Policjantka pomyślała z irytacją o Carin Nilsson. Czy niska Szwedka też ukrywała swoją znajomość polskiego? Dlaczego rodzeństwo Nilssonów miałooby to robić? Emilia nie widziała w tym wszystkim sensu. Zamierzała jednak to sprawdzić. Silenie się na komunikację po angielsku okazało się

zupełnie niepotrzebne.

– A gdzie on szedł, ten twój Crister? Przecież był już wieczór.

– No, poszedł tak na przełaj, przez pola. Z tego, co się zorientowałem, to chyba można tamtędy dojść do tej drugiej wsi.

– Szedł do Jajkowa? – upewniła się Emilia.

Łukasz wzruszył ramionami. Jej syn nie był już dzieckiem, tylko raczej nastolatkiem. Strzałkowska bała się, jak to będzie dalej. Czy uda jej się samej wychować Łukasza na porządnego mężczyznę? Dzieci z niepełnych rodzin miały przecież dużo trudniej w życiu. Widziała to codziennie w pracy.

– Mamo, a skąd ja mam wiedzieć, gdzie on szedł? Nie wypytywałem go przecież – zaśmiał się Łukasz. – A co się stało? Dlaczego on cię nagle tak interesuje? Podoba ci się?

Policjantka pokręciła głową rozbawiona.

– Niezupełnie.

Zastanawiała się, ile może synowi zdradzić. W końcu jednak uznała, że Łukasz i tak prędzej czy później wszystkiego się dowie. Zwłaszcza jeżeli zawierał już znajomości z miejscowymi ślicznotkami. Nawet jeżeli te ślicznotki były tylko małymi dziewczynkami.

– On zniknął – wyjaśniła Emilia krótko. Ból głowy już zupełnie się rozwiął. Tabletki nareszcie zadziałały.

– Jak to zniknął?

– No, przepadł jak kamień w wodę – powiedziała policjantka.

– Nie ma go właśnie od poniedziałku. Dzisiaj miałam go przesłuchiwać w sprawie tego podpalenia. Jest jednym z podejrzanych.

Albo był, ale tego Emilia nie zamierzała mówić synowi.

– To może został u tych znajomych? – zasugerował Łukasz beznamiętnie.

Strzałkowska spojrzała na syna uważnie.

– Co masz na myśli, mówiąc, że został u znajomych? – podchwyciła.

– No, Crister wspominał coś, że musi wstąpić do kogoś. Miał nawet taką dużą torbę Adidasa, więc pomyślałem, że może gdzieś się wybiera. No właśnie, mamo, taką torbę bym chciał.

Jak wrócimy do Warszawy, to będę chodził z Damianem na MMA...

Policjantka spojrzała na syna uważnie. Chyba czas było porozmawiać wreszcie trochę o przyszłości.

– Może zostaniemy tutaj – poinformowała syna ostrożnie.
– Chyba w Lipowie nie jest tak źle, co?

Łukasz odwrócił się od komputera natychmiast.

– Mówiłaś, że to tylko na kilka tygodni – powiedział głucho.
– W Warszawie mam szkołę i znajomych. Nie chcę tu zostawać na zawsze. To jest wiocha, mamo. Chyba żartujesz. Chcę wracać do domu. Poza tym jak byśmy mieli widywać się z babcią? Tam mieszkamy kilka bloków od siebie. Nie chcę mieszkać tutaj.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska westchnęła głośno. Nagle zrozumiała, że nie była jeszcze gotowa teraz o tym rozmawiać. Potrzebowała jeszcze trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

– Dowiedziałeś się czegoś na temat tej sekty Świątynia, tak jak cię prosiłam? – zapytała, zmieniając temat. – Obiecałeś, że poszperasz w Internecie.

Łukasz zacisnął usta obrażony. Teraz wyglądał jak mały chłopczyk, a nie nastolatek.

– Podejmujesz wszystkie decyzje beze mnie. Nie jestem już małym dzieckiem – powiedział, jakby czytał w jej myślach.

– Nie chcę tu zostać na zawsze! Chcę wrócić do Warszawy. Jeżeli ty wolisz mieszkać tutaj, to ja mogę wprowadzić się do babci. Ona przynajmniej mnie słucha. Nie tak jak ty. Tylko pracujesz, a ja zawsze jestem sam!

– Porozmawiamy o tym kiedy indziej – obiecała policjantka.

– Zawsze tak mówisz, a potem i tak robimy to, co ty chcesz!
– krzyknął Łukasz. Dawno nie widziała syna tak rozsierzonego. – Mam już tego dosyć, mamo. Pomyśl też trochę o mnie! Nie tylko o sobie!

Emilia poczuła, że chce jej się płakać. Zebrała się jednak w sobie. Emilia Strzałkowska nie płacze. Bierze tylko życie za rogi i prze do przodu.

– Nie bądź niesprawiedliwy, Łukasz – powiedziała nieco zbyt

ostro, żeby ukryć żal. – Wiele dla ciebie poświęciłam. Wszystko dla ciebie poświęciłam.

– A ja to co?! – zawołał jej syn nastolatek. Zerwał się od komputera i rzucił gniewnie słuchawkami. – A ja to niby nic nie poświęciłem? Zawsze robię dokładnie to, czego ty chcesz! Chłopaki ciągle robią rodzicom problemy, a ja siedzę cicho, żebyś ty się nie musiała martwić. Uwierz mi, że też bym chciał palić jointy jak reszta chłopaków. A ty i tak nic z tego nie doceniasz. Myślisz, że wszystko jest takie oczywiste. Wszyscy myślą, że jestem totalnym nerdem.

Nerd? Emilia nigdy nie słyszała tego słowa, ale nie zabrzmiało zbyt dobrze.

– Ale...

– Pomyślałaś kiedyś o tym?! – krzyknął znowu Łukasz, nie pozwalając się jej wytłumaczyć. – Ja nie chcę zostać w tej dziurze. Chcę wrócić do domu, do Warszawy. Co ci strzeliło do głowy, że w ogóle chciałaś tu przyjeżdżać? Miałaś pracę w komisariacie w naszej dzielnicy. Po co to zmieniać? Tam jest nam dobrze!

– Ja... porozmawiamy o tym kiedy indziej. W kłótni to nie ma sensu.

– Zawsze kiedy indziej! – krzyknął znowu Łukasz. – Kiedy indziej, kiedy indziej! Nic tylko kiedy indziej.

Emilia wstała z łóżka przy akompaniamencie skrzypienia sprężyn.

– Pogadamy kiedy indziej – oświadczyła zdecydowanym tonem. Specjalnie podkreśliła te słowa. – Nie wciągniesz mnie teraz w te gierki. Skończyliśmy na dzisiaj.

Chłopak nie miał ojca, więc to Emilia musiała mu go zastąpić. To oznaczało, że czasem musiała użyć swojego autorytetu. Jej kobieca natura buntowała się w takich momentach, ale co mogła na to poradzić?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski usiadł z matką przy stole. Maria przygotowała suty posiłek, mimo że dziś mieli być tylko we dwoje. Stół był odświętnie udekorowany i uginał się

od bożonarodzeniowych specjalów.

Normalnie policjant cieszyłby się na nadchodzącą ucztę, ale tym razem nie czuł głodu. Nie po takim dniu jak dziś. Przesłuchanie bibliotekarki Urszuli i żony śmieciarza Izki Weiss zupełnie go rozbiło. Przez lata starał się unikać wszystkich członków tej znieawidzonej rodziny. Dopiero dziś chyba zrozumiał, że teraz będzie to niemożliwe.

Maria patrzyła na Daniela wyczekująco.

– Nakładaj sobie, synku – ponagliła. – Wszystko wystygnie.

Policjant nałożył sobie niewielką porcję pierogów z kapustą i grzybami. Pierogi to była kolejna z licznych kuchennych specjalności jego matki. Prawdziwa uczta dla podniebienia. Ale nie dziś.

Radio głośno grało ulubioną kolędę Daniela.

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony!
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
ma granice Nieskończony!
Wzgardzony, okryty chwałą,
Śmiertelny Król nad wiekami,
a słowo Ciałem się stało
i mieszkało między nami.

Podgórski zanucił pod nosem, żeby trochę poprawić sobie humor. Uwielbiał podniosły charakter tej królowej kolęd.

– Daniel – zagadnęła Maria Podgórska, również nakładając sobie pierogów. – Chciałam z tobą porozmawiać, synku.

– Tak, mamu. Słucham.

– Możesz powiedzieć mi prawdę?

Daniel Podgórski spojrzał na matkę zdziwiony.

– Co masz na myśli? Jaką prawdę?

– Jak ci się układa z Weroniką?

Daniel bez słowa przekroił jeden z pierogów i na siłę wsadził kawałek do ust. Zupełny brak apetytu sprawiał, że z trudem

przelknął zbyt duży kęs. Już od pewnego czasu obawiał się, że to pytanie w końcu będzie musiało paść. Był prawie pewien, że wszystko jest dobrze, ale wolał nie dyskutować z matką na ten temat.

– Dlaczego pytasz? – rzucił od niechcienia. – Weronika pojechała do Warszawy spędzić święta z rodziną. Ma do tego prawo. Nie możemy ciągle siedzieć sobie na głowie.

Starsza pani pokręciła głową.

– To jej słowa czy twoje, Danielku? Wiem, że jej. Ty byś czegoś takiego nigdy nie powiedział.

– Mamo! Oczywiście, że to moje słowa. Daj już spokój.

– To dlaczego nie ty opiekujesz się jej domem i koniem? – zapytała Maria podstępnie. – Tylko Wiera Rosłońska?

Weronika Nowakowska poprzedniej zimy kupiła w Lipowie stary dworek wraz z przyległą stajnią. Trzymała tam swojego konia Lancelota. Wkrótce chciała też otworzyć własny klub jeździecki.

– Mamo, daj spokój. Wiera lubi zwierzęta. Ona sama zaproponowała Weronice takie rozwiązanie. Teraz ja i tak nie miałbym czasu.

Nagle rozdzwonił się telefon Daniela, ratując go z opresji. Policjant zerknął na wyświetlacz. Ku swojemu zaskoczeniu zauważył numer, który podał mu wcześniej patolog Zbigniew Koterski. Dzwoniła pani antropolog sądowa z Warszawy, która miała zbadać stare szczątki znalezione w osadzie sekty Świątynia w Cichym Lasku.

– Daniel Podgórski – przedstawił się policjant, nie zwlekając dłużej.

Maria zauważyła, że to rozmowa służbowa, więc ściszyła radio. Nuty kolędy były teraz ledwo słyszalne.

– Witam. Z tej strony Dominika Rzewuska – sądząc po głosie, pani antropolog była wieloletnią nałogową palaczką.

– Dostałam od was kości do zbadania. Przepraszam, że tak dzwonię w środku Bożego Narodzenia, ale już skończyłam i pomyślałam, że nie będę czekała. Ja i tak siedzę w laboratorium, jak zwykle. Świątek piątek.

– Nie ma problemu – zapewnił Daniel Podgórski, z ulgą

odsuwając od siebie talerz z pierogami. – Proszę mówić. Czy potwierdziło się, że mamy do czynienia z ciałem przegapionym w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku podczas milicyjnych przeszukiwań tego terenu?

Antropolog sądowa Dominika Rzewuska zaniosła się suchym kaszlem.

– Nie – odparła z trudem.

Nie. Młodszy aspirant Daniel Podgórski spojrział zdziwiony w stronę matki, jakby i ona mogła słyszeć, co właśnie powiedziała mu pani antropolog z Warszawy. Starsza pani wpatrywała się w syna intensywnie.

– Przecież te kości wydawały się stare – powiedział policjant.

– Bo są dość stare – przyznała doktor Dominika Rzewuska.

– Ale może zacznijmy od początku. Ma pan teraz małą chwilkę?

Daniel dał znak Marii, żeby podała mu kawałek papieru i długopis. Chciał mieć możliwość robienia notatek. Trochę dziwnie się czuł, siedząc przy bożonarodzeniowym stole i rozmawiając o starych kościach Kobiety zza Skrzyni. Z drugiej strony wzbierała w policjancie ciekawość i dzięki temu mógł na chwilę oderwać się od rozważań na temat śmierci Filipa Weissa.

– Niech pani mówi – poprosił.

Pani antropolog znowu zakaszłała głośno.

– Mamy szczęście, że zachowała się czaszka. Z niej można zazwyczaj wyciągnąć najwięcej informacji – powiedziała skrzekliwie. – W tym przypadku szczególnie, bo nie trzeba nawet być ekspertem, żeby stwierdzić, że ta kobieta została zabita pojedynczym strzałem w głowę. Z tego, co czytałam w raporcie z miejsca odnalezienia szczątków, niestety nie zachował się pocisk. Kaliber określiłabym jednak na dziewięć milimetrów. Kula przeszła na wylot. Mamy wyraźną ranę wlotową i wylotową.

O tym wszystkim Podgórski już wiedział, ale i tak zanotował sobie kaliber pistoletu.

– Proszę mówić dalej.

– W antropologii sądowej musimy odpowiedzieć sobie

na dziewięć podstawowych pytań – poinformowała policjanta Dominika Rzewuska. Rozkaszała się znowu. – Przepraszam. Płuca już nie te co dawniej. W każdym razie pierwsze pytanie jest następujące: czy w ogóle zajmujemy się szczątkami ludzkimi? W naszym przypadku odpowiedź jest oczywista. Sam pan widział te kości i czaszkę. Nie ma najmniejszych wątpliwości, ale dla porządku wołałam o tym wspomnieć. Kolejne pytanie to czy mamy do czynienia z jedną osobą, czy z wieloma?

– Proszę mi nie mówić, że to kilka osób – poprosił Daniel półzartem.

Zaczynał go ogarniać wisielczy humor. Maria Podgórska przyglądała się synowi z zainteresowaniem, sącząc powoli kompot z suszu. Starsza pani próbowała chyba usłyszeć coś z rozmowy.

– Nie – uspokoiła Podgórskiego pani antropolog. – To są bez wątpienia kości jednej osoby. Złożyłam szkielet i prawie niczego nie brakuje. Nawet małych kości. Pewnie dlatego, że ta kobieta została porzucona w pomieszczeniu zamkniętym.

– Czyli zgadza się pani z tym, że to kości kobiety? – upewnił się policjant. Wyglądało na to, że medyk sądowy doktor Koterski miał rację co do płci ofiary.

– Tak, ale do tego jeszcze dojdę – odparła Dominika Rzewuska wierna chyba swojemu postanowieniu zrobienia Danielowi pełnego wykładu na temat antropologii sądowej. – Proszę nie uprzedzać faktów. Zanim dojdziemy do płci, mamy przed sobą jeszcze dwa kluczowe pytania. A konkretniej, kiedy ta osoba zmarła i ile lat miała w chwili śmierci. Te informacje chyba pana również interesują, prawda?

Daniel Podgórski skinął głową, chociaż rozmówczyni nie mogła go przecież widzieć. Wyglądało na to, że doktor Rzewuska jest niezwykle przywiązana do swoich pytań badawczych. Policjant nie był przekonany, czy ich kolejność rzeczywiście jest aż tak istotna, ale nie miał ochoty się kłócić.

– Wspomniała pani, że szczątki nie pochodzą z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku, jak sądziliśmy do tej pory – przypomniał. – Mówiła pani jednak, że są dość stare.

Mogłaby pani powiedzieć coś więcej na ten temat? Jak stare są te szczątki?

Policjant usłyszał, że po drugiej stronie linii ktoś coś mówi do doktor Rzewuskiej.

– Proszę chwileczkę poczekać – poprosiła pani antropolog.

Daniel znowu pokiwał głową automatycznie. Maria Podgórska próbowała zapytać, o czym jest mowa, ale policjant dał matce znak ręką, żeby poczekała, aż skończy rozmawiać.

– Muszę już kończyć, więc będę się streszczała – odezwała się w końcu Dominika Rzewuska, pokaszując.

Policjant miał nadzieję, że oznacza to, że pani antropolog daruje sobie wreszcie przydługi wykład i zamiast tego streści mu wszystkie informacje w skrócie. Potem i tak będzie mógł zagłębić się w jej raport. Miał przecucie, że będzie on bardzo długi. Wyglądało na to, że doktor Dominika Rzewuska zawsze dba o każdy szczegół.

– No więc zabita jest na pewno kobietą – stwierdziła pani antropolog niespodziewanie krótko. – Można to łatwo stwierdzić na podstawie budowy miednicy i czaszki, dlatego tak się cieszyłam, że obie się zachowały. Jeżeli chodzi o czaszkę, u kobiet kość potyliczna ma gładką powierzchnię. Łuska kości czołowej przechodzi pionowo w kość nosową, co jest spowodowane przez występowanie guzów kostnych, których u mężczyzn w tym miejscu nie ma. Łuki brwiowe są też zdecydowanie cieńsze niż u mężczyzn. Nadaża pan?

– Tak – skłamał Daniel. Szczegóły anatomiczne nie za bardzo go interesowały. Chodziło mu tylko o potwierdzenie płci ofiary.

– Jeżeli zaś chodzi o miednicę, to jest ona szeroka i niska. Kąt łonowy jest rozwarty, kość krzyżowa szeroka i krótka. Wszystko to wskazuje na kobietę – kontynuowała pani antropolog. – Skoro już mówimy o miednicy, dla ścisłości mogę powiedzieć, że ta kobieta urodziła co najmniej jedno dziecko.

Daniel Podgórski zapisał tę nową informację.

– Z jakiego okresu pochodzą szczątki? – zapytał. – Mówimy o okresie późniejszym czy wcześniejszym niż rok sześćdziesiąty piąty, kiedy członkowie sekty popełnili samobójstwo?

– Mówimy zdecydowanie o okresie późniejszym niż zbiorowe samobójstwo w sekcie – powiedziała doktor Dominika Rzewuska i zakaszła znowu głośno. – Określiłam, że ta kobieta nie żyje minimum dziesięć lat, a maksimum dwadzieścia lat. Tyle mogę stwierdzić, bazując na oględzinach kości. Mogłabym zamówić datowanie radiowęglowe tych szczątków, żeby powiedzieć coś dokładniej, ale obawiam się, że jest bardzo długa kolejka. Zawężanie tego dziesięcioletniego okresu chyba nie ma sensu. Tym bardziej że mam dla pana więcej informacji, więc sądzę, że poradzicie sobie państwo bez tego. Ale to tylko moje zdanie.

– Dobrze zrozumiałem, że ta kobieta została zamordowana pomiędzy rokiem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim a dwa tysiące trzecim? – upewnił się Daniel Podgórski.

Wyglądało na to, że będą mieć więcej pracy, niż policjant początkowo przypuszczał, skoro okazało się, że śmierć Kobiety zza Skrzyni to była całkiem świeża sprawa. Tego morderstwa nie mogli tak zwyczajnie zignorować.

– Tak. Dokładnie.

– Co pani może jeszcze powiedzieć o tej kobiecie?

– Jeżeli chodzi o wiek w chwili śmierci... – zaczęła pani antropolog, ale znowu ktoś coś do niej powiedział.

– Przepraszam. Naprawdę muszę już się streszczać.

– Nie ma problemu – zapewnił Daniel skwapliwie.

– Jeżeli chodzi o jej wiek w chwili śmierci, to skupiłam się na zbadaniu zębów, czaszki oraz kości łonowej. Ocena na podstawie kości łonowej sama w sobie nie byłaby może dokładna, ale mamy czaszkę, więc mogłam skupić się na zębach i stopniu zrośnięcia się szwów czaszkowych – wyjaśniła pani antropolog. Mówiła teraz szybko i trudno było zrozumieć jej skrzekliwy głos. – Kość łonowa jest gładka i ma wyraźne kontury, co wskazywałoby na wiek powyżej trzydziestego piątego roku życia. Stopień zrostu szwów czaszkowych pozwolił mi ustalić, że wasza NN nie przekroczyła jeszcze pięćdziesiątki. Żeby jeszcze zawęzić jej wiek, zrobiłam bardzo dokładną analizę uzębienia. Zastosowałam kilka metod, bo badanie zębów to taki mój konik. Zrobiłam i klasyczną

metodę Gustafsona, i jedną z najnowszych, proponowaną przez Li i Ji.

– Co z tego wynikło?

– Ta kobieta mogła mieć około czterdziestu siedmiu lat, kiedy ją zastrzelono, ale oczywiście mogę się nieco mylić. Wszystko napisałam w raporcie, który panom przefaksuję jutro z samego rana – obiecała palaczka. – Teraz będzie chyba najważniejsze.

– Jakież inne cechy wyglądu? – zgadywał Podgórski.

Policjant odsunął szybko półmisek wypełniony kapustą z grzybami. Chciał mieć więcej miejsca na notowanie.

– Tak. Tu właśnie dochodzimy do sedna. Oczywiście mogę panu powiedzieć, że z pomiaru kości wynika, że wasza NN była dość niska. Metr pięćdziesiąt pięć, maksimum pięćdziesiąt siedem – wyliczała naprędce doktor Dominika Rzewuska. Znowu zaniósła się suchym kaszlem palacza. – Nie to jest jednak najważniejsze. Jest pewien szczegół, który powinien znacznie ułatwić identyfikację.

– Co to jest?

Po drugiej stronie linii znowu rozległy się przyciszone rozmowy.

– Przepraszam. Strasznie mnie tu poganiają – usprawiedliwiła się znowu Rzewuska. – Powiem więc szybko. Zmarła NN cierpiała na wrodzoną wadę rozwojową zwaną fokomelią.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski chciał zapisać nową informację, ale nie był pewien, z czym właściwie ma do czynienia.

– Przepraszam, ale nie wiem, co to jest – przyznał się. – Foko...

– Fokomelia – uzupełniła pani antropolog usłużnie. – Jest to wada rozwojowa kończyn, która w skrócie polega na tym, że występuje niedorozwój albo nawet brak kości długich. W praktyce i prostymi słowami oznacza to, że dłoń albo stopa jest połączona bezpośrednio z tułowiem.

Serce Daniela Podgórskiego zabiło szybciej. Znał tylko jedną osobę, która cierpiała na podobne schorzenie. Szybko spojrzał

do notatek, które zrobił podczas rozmowy. Pozostałe informacje też się zgadzały.

– To niemożliwe – powiedział cicho policjant. Znał tylko jedną osobę, która odpowiadała temu opisowi, ale przecież to nie mogła być ona.

– To jest jak najbardziej możliwe. Zapewniam pana – przekonywała Podgórskiego doktor Dominika Rzewuska, która myślała chyba, że Daniel odnosi się do jej diagnozy. – W tym wypadku nie ma mowy o błędzie. Zachowały się wszystkie kości i z całą pewnością mogą stwierdzić, że wasza NN miała fokomelię lewostronną. Jej lewa ręka była niezwykle krótka, ale dłoń była rozwinięta mniej więcej prawidłowo. Myślę, że to może panom bardzo pomóc w identyfikacji ofiary. Ta choroba nie jest powszechna.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski omal nie upuścił telefonu. Kobieta zza Skrzyni, NN znaleziona w osadzie sekty Świątynia, nagle zyskała imię i nazwisko. Policjant już wiedział, kim ona była.

Ale...

To nie mogła być prawda.

Starszy sierżant Marek Zaręba pchał przed sobą wózek z maleńką Zuzią. Córeczka rozglądała się ciekawie po świecie. Szczególnie podobały się jej błyszczące wśród wieczornych ciemności ozdoby świąteczne porozwieszane na domach.

Młody policjant czuł dziwną mieszaninę radości i... nie wiedział nawet, jak może nazwać drugą z tych emocji. Z jednej strony cieszył się, że spędza czas z córeczką. Z drugiej ciągnęło go do pracy. Zwłaszcza że teraz, po pożarze domu Filipa Weissa, na pewno dużo się w lipowskim komisariacie działo.

Marek Zaręba był na urlopie dopiero od pół tygodnia, ale już zaczynał mieć wrażenie, że wszyscy o nim zapomnieli. Był odstawiony na boczny tor. Niepotrzebny. Daniel Podgórski ani razu do niego nie zadzwonił. Widocznie przyjacielowi wystarczała pomoc Pawła Kamińskiego i Emilii Strzałkowskiej. Racjonalna część umysłu młodego policjanta mówiła, że Daniel

przecież chce dać mu spokojnie spędzić czas z maleńką córeczką, emocje jednak nie pozwalały Zarębie spać. Marek niemal fizycznie zazdrościł swojej zastępczyni, że to ona jest obecnie w centrum wydarzeń.

Młody policjant przyspieszył kroku. Dotarł pod sklep Wiery Rosłońskiej i zobaczył, że pod zadaszeniem jak zwykle siedzi grupka mężczyzn. Boże Narodzenie czy nie, pić trzeba, pomyślał cierpko Marek i podszedł do pijaczków. Część z nich była ubrana niemal odświętnie, ale mętne oczy mówiły same za siebie. Dzień jak co dzień.

– Cześć, szefie – rzucił Gierot, który o dziwo wyglądał dziś całkiem trzeźwo.

Młody Marek Zaręba spojrział na butelki zawierające jaskrawofioletowy płyn. Denaturat, pomyślał młody policjant z odrazą. Już gorzej stoczyć się nie można.

– Dajcie spokój, chyba nie pijecie tego świństwa, co? – zapytał. Instynktownie przysunął do siebie wózek z córeczką. Chciał chronić Zuzię przed całym złem tego świata. – Chcecie oślepnąć czy co? Przecież to jest trujące.

– Szefie, daj żyć – mruknął Gierot, ale młodemu policjantowi wydawało się, że wyczuwa w głosie pijaka pewien wstyd. – Przez chlebek to nie szkodzi. Wszystko, co złe, to się zatrzymuje. Czysty spirytus zostaje.

– Jo – poparł kolegę Melek i wyciągnął kromkę chleba w kierunku Zaręby. – Chcesz spróbować, szefie?

Marek pokręcił głową z odrazą. Lubił czasami napić się alkoholu, ale na pewno nie upiornie fioletowego denaturatu.

– Dziś sklep pani Wiery zamknięty, bo święta, i nie ma gdzie kupić co porządniejszego – tłumaczył dalej Gierot. – Melek zawsze trzyma tu za naszą ławeczką kilka butelek denaturatu na czarną godzinę, taką jak ta. Mamy nawet specjalną skrzynkę. Pani Wiera podarowała. Równa z niej babka. Nie powiem. Dykta tak gładko wchodzi przez chlebek, że nawet nie zauważamy, kiedy butelek ubywa, szefie. Nic złego się nam nie dzieje.

Młody policjant westchnął głośno.

– Patryk, ty też tutaj? W pierwszy dzień świąt? Powinieneś

być z Jagną na farmie. Szczerze mówiąc, to wstyd, że tak żonę zostawiłeś. Naprawdę wstyd.

Marek Zaręba doskonale znał Patryka Sołtysika ze szkoły. Łysy był tylko o rok starszy od policjanta i jako chłopcy często grali razem w piłkę na szkolnym boisku. Zarębie przykro było patrzeć na to, jak kolega się stacza. Prosto w ramiona zdradliwego nałogu.

– Przepraszam, Marek – rzucił Patryk Sołtysik płacząco.

Farmer wyglądał na zupełnie pijanego. Nie było sensu dyskutować z nim na jakikolwiek poważny temat.

– Chyba nie mnie powinieneś przepraszać. Mnie to, szczerze mówiąc, wisi – stwierdził Zaręba. – Przepraszaj Jagienkę.

Zabrzmiało to ostrzej, niż planował, ale zgromadzeni pod sklepem pijaczkowie pokiwali głowami ze zrozumieniem.

– On się tak zachowuje jakoś od wtorku – poinformował teatralnym szeptem Gierot. – Chyba śmierć Filipa Weissa zupełnie Patryczka rozbila. Ale to zrozumiała sprawa, szefie, w końcu oni się przyjaźnili jak mało którzy. Ten nasz Patryk i Filip Weiss. Mimo że przecież Weiss był bratem mordercy.

– Te, Gierot, ten duży Szwed idzie – syknął Melek.

Starszy sierżant Marek Zaręba odwrócił się we wskazaną przez Melka stronę. Rzeczywiście wyglądało na to, że Crister Nilsson wraca niespiesznym krokiem do „Wrzosów”, niosąc dużą czarną torbę.

Zaręba wzruszył ramionami.

– Dobra, Patryk, ty już masz dość na dziś – zdecydował.

– Wracasz do domu. Zaprowadzę cię. Wytrzeźwiejesz i jutro nie ma mowy o piciu. Teraz idziemy do domu.

– Szefie, z ciebie to dobry człowiek – pochwalił Marka Gierot.

Młody policjant uśmiechnął się pod nosem. Może w pracy o nim zapomnieli, ale przynajmniej tym nieszczęsnym pijaczkom był nadal potrzebny. Dobre i to.

ROZDZIAŁ 17

Lipowo.

Czwartek, 26 grudnia 2013. Przed południem

Młodszy aspirant Daniel Podgórski czekał na pozostałych policjantów w salce konferencyjnej. Czuł, że w żyłach krąży mu adrenalina. Był praktycznie pewien, że zna tożsamość Kobiety zza Skrzyni, której kości zostały odnalezione w osadzie sekty Świątynia. Nie mógł jednak zrozumieć, jak ona trafiła do Cichego Lasku.

Policjant usiadł przy okrągłym stole i postukał niecierpliwie paznokciami w blat. Nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie powie wszystkim, czego dowiedział się od pani antropolog sądowej z Warszawy. Nie wyjawiał nic nawet matce, która tak bardzo próbowała usłyszeć coś z rozmowy, którą Daniel prowadził wczoraj wieczorem z Rzewuską. Podgórski chciał najpierw sam to wszystko przemyśleć. Przez noc nie doszedł jednak do żadnych wniosków.

Wreszcie do pokoju przyszli młodszy aspirant Paweł Kamiński i sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska. Maria Podgórska torowała sobie drogę tuż za nimi, niosąc półmisek z makowcem. Paweł sięgnął po ciasto bez skrępowania. Daniel ciągle nie miał ochoty na jedzenie. Chciał jak najszybciej zacząć odprawę.

– Wiem już, kim jest Kobieta zza Skrzyni, której kości Jerzy Grała znalazł podczas badań nad osadą w Cichym Lasku – oznajmił Podgórski bez zbędnych wstępów.

Emilia Strzałkowska zastygła bez ruchu z kawałkiem makowca w ręce. To właśnie jej od początku najbardziej zależało na nadaniu NN imienia i nazwiska.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się policjantka, odkładając kawałek ciasta z powrotem na półmisek. – Przecież...

Daniel uśmiechnął się do koleżanki.

– Nie mam jeszcze pewności na sto procent – zaznaczył na wszelki wypadek. – Możemy przeprowadzić testy DNA, żeby się upewnić, ale... Wczoraj rozmawiałem z tą panią antropolog z Warszawy, no i jestem praktycznie pewny, kim była nasza Kobieta zza Skrzyni.

Paweł Kamiński walnął ręką w stół. Półmisek z ciastem podskoczył i uderzył głucho o blat.

– Kurwa, powiesz wreszcie? Nie chce mi się bawić w ciuciubabkę. Skąd wiesz, kim ona była? Miała imię wypisane na czaszce czy co?

Wszystkie oczy skierowały się na Podgórskiego. Daniel poczuł się dziwnie stremowany, mimo że przecież znajdował się wśród znanych sobie osób.

– Kobieta zza Skrzyni cierpiała na pewną dość rzadką chorobę genetyczną, stąd wiem, kim mogła być – policjant zerknął szybko do swoich notatek z wczorajszej rozmowy. – Ta wada zwana jest fokomelią.

Kamiński wzruszył ramionami.

– Czyli?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski był pewny, że zaraz wszystko stanie się jasne także i dla pozostałych.

– Choroba ta polega na niedorozwoju kończyn – powiedział powoli, czekając, aż ich twarze rozjaśni zrozumienie. – Jej lewa ręka nie była zwyczajna. To znaczy była znacznie krótsza, niż to jest u osoby, która nie cierpi na takie schorzenie. Na końcu krótkiej ręki znajdowała się dłoń...

– Marta Ciosek – powiedziała natychmiast Maria. – Siostra naszej Zofii Dworakowskiej z komisariatu.

Paweł Kamiński patrzył osłupiały na Daniela.

– Doszedłem właśnie do takiego wniosku. Kobieta zza Skrzyni to Marta Ciosek – pokiwał głową Podgórski. – Lewostronna fokomelia nie może być przypadkiem. Poza tym wszystkie inne dane również się zgadzają. Wiek, wzrost, nawet to, że rodziła dzieci.

– Chwileczkę – wtrąciła się sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska. – Marta Ciosek? Jak Jaśmina Ciosek-

Dworakowska. Ta, która mieszka we „Wrzosach”?

Podgórski pokiwał głową.

– Dokładnie.

– Ale... – zawahała się Emilia zaskoczona.

– Dokładnie – przerwał jej Daniel. – Marta Ciosek była matką Jaśminy.

– Marta Ciosek cierpiała na rzadką chorobę i kiedy zaszła w ciążę, a stało się to, kiedy miała prawie czterdzieści lat, wszyscy zastanawiali się, czy jej dziecko nie odziedziczy problemów po matce – wtrąciła się Maria cicho. – Niestety niektórzy sugerowali nawet, żeby usunęła ciążę. Ludzie czasem nic nie rozumieją... Marta Ciosek na szczęście się nie ugięła i urodziła Jaśminę, całą i zdrową.

– Ale Marta Ciosek przecież... – zaczęła znowu Emilia.

– Dokładnie – powtórzył Daniel Podgórski z namaszczeniem.

– Wszyscy myśleliśmy, że Marta Ciosek zginęła w pożarze domu państwa Dworakowskich. W pożarze, który wywołał Tytus Weiss. W tym samym pożarze, w którym zginęli mój ojciec i ojciec Pawła oraz ich koleżanka z komisariatu Zofia Dworakowska. Tak myśleliśmy, ale jak widać, myliliśmy się całkowicie. Marta Ciosek wcale nie zginęła w pożarze. Została zastrzelona, a jej ciało ukryto w Cichym Lasku.

Maria Podgórska sapnęła głośno i chwyciła się za serce.

– Mamo?! – krzyknął Daniel zaniepokojony.

Emilia Strzałkowska zerwała się z miejsca i pomogła starszej pani usiąść. Nalała szybko wody do szklanki i podała Marii. Podgórska zaczęła szybko pić chłodną wodę. Paweł Kamiński siedział bez ruchu przy stole. On również wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Daniel Podgórski patrzył na to wszystko niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Jakby atmosfera w salce konferencyjnej zupełnie go przytłoczyła.

– Już w porządku – poinformowała Maria Podgórska. – To za dużo emocji. Ale już dobrze. Już w porządku.

Daniel poczuł, że może znowu normalnie oddychać.

– Musi być jakieś rozwiązanie tej zagadki. Zastanówmy się nad tym spokojnie – zasugerowała Emilia Strzałkowska, wracając na swoje miejsce. – Daniel, jak to właściwie było

wtedy z tym pożarem? Opowiedz mi wszystko po kolei.

Podgórski odchrząknął i upił łyk wody. W tej chwili właściwie miał ochotę na coś mocniejszego. Wiedział, że Janusz Rosół i Paweł Kamiński mają gdzieś tu w szafce ukrytą butelkę wódki. Szef komisariatu uznał jednak, że na służbie nie powinien pić. Miał swoje zasady.

– Teraz już nie wiem, jak było naprawdę – powiedział cicho.
– Powiem ci jednak, jak dotychczas myśleliśmy, że to się odbyło.

Emilia Strzałkowska skinęła głową.

– Okej. Zacznijmy od tego.

– Tytus Weiss był miejscowym chuliganem. Co chwila miał jakieś kłopoty albo coś niszczył. Wiele razy dotyczyło to właśnie mienia państwa Dworakowskich. Pani Zosia, czyli żona Seweryna Dworakowskiego, która pracowała tu w komisariacie, kiedyś zaarrestowała Tytusa. Podejrzewaliśmy, że Tytus chyba w ten sposób się mścił na pani Zosi – wyjaśnił Daniel, mimo że nie był pewien, czy już tego koleżance nie opowiadał. – Tamtej nocy jednak przesadził. Oblał dom Dworakowskich benzyną, a do tego wrzucił do środka kilka koktajli Mołotowa własnej produkcji. Sama wiesz, jak łatwo je zrobić.

Policjantka pokiwała głową.

– Dom stanął w płomieniach – kontynuował swoją opowieść Podgórski. – Profesor Dworakowski pojechał akurat z Albinem na rehabilitację, ale w środku była pani Zosia i jej siostra Marta Ciosek, która przyszła w odwiedziny.

– Poczekaj chwilę. Zatrzymajmy się tu na moment – poprosiła Emilia Strzałkowska. Na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy rumieńców. – Skąd wiedzieliście, że Marta Ciosek była w domu siostry? Na jakiej podstawie powstało w ogóle takie założenie?

– Zosia wspominała mi o tym tamtego dnia – wtrąciła się Maria Podgórska. – Pracowałyśmy razem wiele lat... ja... Poza tym, kiedy dom już płonął, na miejsce przybiegła Jaśmina. Miała wtedy tylko dziesięć lat. Do tej pory pamiętam jej krzyk. To było straszne...

Daniel Podgórski zamknął na chwilę oczy. On też doskonale pamiętał, jak Jaśmina krzyczała. Mamo! To jedno słowo zdawało się głośniejsze niż trzask bezlitosnych płomieni.

– Ktoś wezwał straż pożarną, ale wtedy akurat nasza remiza była w remoncie. Wozy strażackie jechały aż z Brodnicy – podjął swoją opowieść policjant. – Ogień rozprzestrzenił się bardzo szybko, a żadna z kobiet nie wychodziła z domu. Żadna nawet nie próbowała.

– Mówiliście, że drzwi nie były wtedy zabarykadowane – przypomniała Strzałkowska.

– Bo nie były – tym razem odezwał się Paweł Kamiński. – W każdym razie dom płonął, a straży ani widu, ani słyhu. Nie można było tak po prostu stać i patrzeć. Trzeba było coś zrobić, jeżeli nie chcieliśmy, żeby one się spaliły w tym domu. Mój ojciec i ojciec Daniela zdecydowali, że nie można dłużej czekać. Wbiegli do budynku, żeby ratować panią Zosię i Martę Ciosek.

– I wtedy wybuchła butla gazowa czy piec gazowy, to bez różnicy – zakończyła Maria szybko. – Mój mąż zginął na moich oczach.

Daniel Podgórski spojrział zaskoczony na matkę. Jej głos rzadko stawał się tak ostry. Teraz policjant miał wrażenie, że słowa starszej pani mogą ciąć powietrze.

– A ten kutas Tytus Weiss stał obok i patrzył w ogień – syknął Paweł Kamiński. – Cieszę się, że ktoś spalił mu braciszka. Należało się mordercy. Wet za wet!

Zapadła cisza. Młodszy aspirant Daniel Podgórski miał wrażenie, że wszyscy w pokoju mogą usłyszeć, jak szybko bije mu serce. *Wet za wet.*

– Teraz okazuje się, że Marty Ciosek wcale nie było w domu Dworakowskich, kiedy wybuchł pożar – zakończył swoją opowieść policjant. – Nie wiemy nawet, czy Marta zginęła tamtej nocy z czwartego na piąty listopada dziewięćdziesiątego ósmego roku czy dopiero później. Wiemy tylko, że na pewno nie spłonęła razem z siostrą. Marta Ciosek została zabita strzałem w głowę pomiędzy rokiem dziewięćdziesiątym trzecim a dwa tysiące trzecim. Takie jest orzeczenie antropologa

sądowego po zbadaniu jej kości.

Emilia pokiwała głową i sięgnęła po kawałek makowca, którym wcześniej pogardziła.

– No dobrze. Zakładam, że było jakieś śledztwo w sprawie pożaru – powiedziała policjantka, przeżuując ciasto ze smakiem. – Co z kryminalistykami i koronerem? Kto wystawił świadectwo zgonu i tak dalej?

Daniel Podgórski spojrzął na matkę przelotnie. Starsza pani spuściła wzrok i uparcie zaczęła wpatrywać się w pokrojony na równe kawałki makowiec.

– Muszę dokładniej porozmawiać na ten temat z prokuratorem Jackiem Czarneckim – powiedział policjant. – To on prowadził tę sprawę i to on doprowadził Tytusa Weissa przed sąd. My z Pawłem mieliśmy wówczas po osiemnaście lat. To było dwa lata przedtem, zanim ty i ja... poznaliśmy się w szkole policyjnej.

– Nie wierzę, że nigdy nie czytałeś akt tej sprawy.

Daniel wzruszył ramionami niechętnie.

– Oczywiście, że je przeglądałem swojego czasu, ale później, szczerze mówiąc, nie chciałem już do nich zaglądać – wyjaśnił. – Z tego, co pamiętam, w aktach tej sprawy zapisano, że ciała Marty Ciosek nie udało się zrekonstruować. Uznano, że musiała przebywać w okolicach epicentrum wybuchu. Pozostałe... ofiary... pozostałe ciała też były porozrywane niemal na strzępy.

Ofiary, a wśród nich Roman Podgórski. Daniel starał się nie myśleć o tym, jak zginął jego ojciec, decydując się na bohaterską akcję ratowniczą.

– A ten kutas Tytus Weiss tylko stał i się patrzył – powtórzył Paweł Kamiński głucho. – Bez najmniejszego ruchu. Patrzył na swoje dzieło. Kutas jebany.

Daniel Podgórski pamiętał tę scenę dokładnie, mimo że upłynęło piętnaście lat. Tytus Weiss stoi wpatrzony w płomień, które pochłaniają dom Dworakowskich. Na jego twarzy maluje się wyraz dziwnej rezygnacji, jakby Weiss wiedział, że jego los jest już przesądzony. Wokół biega z płaczem Jaśmina Ciosek. Na koniec zjawia się profesor

Seweryn Dworakowski z Albinem. Wysiadają z saaba, który zawsze był dumą profesora. Upośledzony chłopiec wydaje z siebie dziwne jęki, a Seweryn Dworakowski musi być trzymany przez kilku mężczyzn. Inaczej prawdopodobnie zamordowałyby Tytusa Weissa na miejscu. Pośrodku tego wszystkiego stoją Daniel, Maria i Paweł, którzy patrzą na straszliwą śmierć swoich najbliższych i nie mogą już nic zrobić. Jest za późno. A wszystko to przez starszego z braci Weissów, który żywił niedorzeczną urazę do policjantki Zofii Dworakowskiej.

– Tylko się nie denerwujcie, że zapytam – zaczęła ostrożnie Emilia Strzałkowska, zerkając w stronę Pawła Kamińskiego.
– Skąd właściwie wiedzieliście, że to zrobił Tytus Weiss? To, że tam stał, nie musiało oznaczać, że to on podpalił dom. Byli świadkowie?

– Nie było problemu ze znalezieniem sprawcy – poinformował koleżankę Kamiński. Tym razem Paweł mówił nadzwyczaj spokojnie. – Kutas sam się przyznał.

Daniel Podgórski pokiwał głową dla potwierdzenia słów kolegi.

– Tytus sam się przyznał do tego podpalenia – powiedział.
– To prawda.

– Nie było innych podejrzanych? – drążyła Strzałkowska nieustępliwie.

Daniel zauważył, że w tym momencie Maria Podgórska znowu spuściła wzrok.

– A po co nam inni podejrzani? – zachnął się Kamiński.
– Kutas sam się przyznał. Czego nie zrozumiałaś, Emilia? Z całym szacunkiem!

– Poza tym Tytus już wcześniej napastował dom Zosi – dodała Maria szybko. – To była logiczna kontynuacja, prawda? Tylko że tym razem posunął się za daleko.

– Jasne, że tak, pani Mario – poparł ją Kamiński.
– Oczywiście, że nie było żadnych innych podejrzanych. Tytus jedynek miał motyw i poza tym się przyznał. Czego chcieć więcej?

Na twarzy Marii pojawił się nieokreślony wyraz. Daniel

spojrzał na matkę zdziwiony. Miał wrażenie, że starsza pani coś przed nim ukrywa. Niestety to nie byłby pierwszy raz.

– Będę musiał dokładniej porozmawiać o tej sprawie z prokuratorem Jackiem Czarneckim – zdecydował Podgórski.

– Muszę go zresztą poinformować o wszystkim, co odkryliśmy do tej pory. Nagle okazuje się, że mamy do rozwikłania nie tylko zagadkę pożaru domu śmieciarza Filipa Weissa sprzed kilku dni, ale też zabójstwo Marty Ciosek sprzed kilkunastu lat.

– Danielku, poczekaj z tym do wieczora. Jest drugi dzień świąt. I tak chciałam zaprosić Jacka Czarneckiego do nas – powiedziała nagle Maria Podgórska. – Porozmawiacie na spokojnie u nas w domu. Tak będzie łatwiej.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wzruszył ramionami. Właściwie było mu to na rękę. Nie będzie musiał jechać do Brodnicy, a nie chciał też dyskutować o tych sprawach przez telefon.

– No dobrze, w międzyczasie skupmy się może na Filipie Weissie – zdecydował. – My z Pawłem dowiedzieliśmy się interesującej rzeczy na temat Patryka Sołtysika. Izka Weiss twierdzi, że właściciel ekofarmy był winien śmieciarzowi sporo pieniędzy.

– Których nie miał zamiaru oddawać – dodał Kamiński.

– Dokładnie. Jeżeli chodzi o inne osoby, to z kolei matka Filipa wspomniała o niezgodzie pomiędzy nim a Izką – referował dalej Daniel.

– Pieprzenie. W każdym małżeństwie zdarza się gorszy czas – stwierdził Paweł, kładąc nogi na stole. – Izki Weiss bym w to nie mieszał.

– Pawełku – upomniała go Maria. – Zdejmij nogi ze stołu.

Policjant spojrział na starszą panią niechętnie, ale zrobił to, o co prosiła.

– Emilia, a jak tobie poszło wczoraj z tymi Szwedami? – zapytał Podgórski. – Mają alibi na wieczór, kiedy podpalono dom śmieciarza?

– No widzisz, i tu mamy pewien problem – zaczęła Emilia Strzałkowska. – Crister Nilsson przepadł jak kamień w wodę.

Daniel spojrział na koleżankę zaskoczony. Nic mu o tym nie

wspominała.

– To znaczy?

– No, że zniknęła.

Podgórski zaśmiał się krótko.

– Wiem, co to znaczy, że ktoś przepadł jak kamień w wodę – wyjaśnił ze śmiechem. Sam nie wiedział, dlaczego tak go to rozbawiło. – Od kiedy go nie ma?

– Carin Nilsson i reszta mieszkańców „Wrzosów” zgodnie twierdzą, że nie widzieli Cristera od poniedziałku, czyli od dnia podpalenia domu Filipa – poinformowała Emilia. – Carin próbowała dodzwonić się na jego komórkę, ale Crister nie odpowiada. Mam jednak wrażenie, że coś tu nie gra. Jeszcze dziś chciałabym z nią trochę pogadać. Chyba nie była ze mną do końca szczerą ta cała Carin. Nie wiem na razie, czy Crister Nilsson jest w jakimś niebezpieczeństwie, czy zwyczajnie się ulotnił. Rozpracuję to.

Podgórski pokiwał głową na znak zgody.

– No dobrze. Podsumujmy ewentualnych podejrzanych – zaproponował.

Szef komisariatu w Lipowie podszedł do tablicy suchościeralnej, która wisiała na jednej ze ścian. Wziął czarny marker i zapisał na białej tablicy kilka nazwisk.

- Carin i Crister Nilssonowie
- Izabela Weiss
- Patryk Sołtysik

– Nie wiem, czy się ze mną zgodzicie, ale to teraz są nasi główni podejrzani. Każde z nich miało motyw, który mógł skłonić do zamordowania Filipa Weissa – powiedział Daniel Podgórski, odkładając pisak. – Carin i Crister Nilssonowie mają motyw finansowy. Carin mogła też żywić urazę do Filipa za to, że ją porzucił i wykorzystał. To wiemy na podstawie zeznań Urszuli Weiss. Na razie nie wiemy, gdzie jest Crister ani czy ma alibi na wieczór morderstwa. Emilia, jak wygląda sytuacja z alibi samej Carin Nilsson?

– Ona twierdzi, że była wtedy w domu – poinformowała

zebranych Strzałkowska. – To znaczy we „Wrzosach”.

– Ktoś to potwierdza?

– Szczerze mówiąc, chyba muszę to jeszcze sprawdzić. Po tym, jak dowiedziałam się, że Crister Nilsson gdzieś zniknął, zapanowało małe zamieszanie – przyznała policjantka. – Skupiłam się na ustalaniu, gdzie może być Szwed i czy coś mu się nie stało.

– Nadal niestety nie możemy tego wykluczyć – powiedział Podgórski z westchnieniem. – Czy Carin chce zgłosić zaginięcie?

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Dobrze. Emilia, ustal to i przepytaj jeszcze dokładnie Dworakowskich i Jerzego Grałę, czy mogą potwierdzić alibi Carin – zdecydował Daniel. Policjant czuł, że emocje zaczęły opadać, kiedy rzeczowo podeszli do sprawy. – Idźmy dalej. O tym, że Izka Weiss i Filip się kłócą, wiedziała cała wieś.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski ciągle miał w pamięci dziwne spojrzenie Izki Weiss podczas wczorajszego przesłuchania. Coś mu mówiło, że wdowa ma coś na sumieniu, a przynajmniej coś przed policjantami ukrywa.

– Czy małżeńskie kłótnie są wystarczającym powodem, żeby kogoś zabić? – zapytał zaczepnie Paweł Kamiński. – Nie wydaje mi się. Chyba przesadzasz, Daniel. Poza tym Izka Weiss ma alibi na czas pożaru. Jej rodzice potwierdzają, że była u nich w domu z dzieckiem. Zetrzyj jej nazwisko z listy. Zamiast niej na liście podejrzanych powinien się znaleźć Tytus Weiss.

– Jego już wykluczaliśmy – przypomniał Podgórski z naciskiem. Musiał zachować względny obiektywizm, mimo że nienawidził Tytusa z całego serca. – Sam przecież powiedziałeś, że Weiss był na nagraniu z monitoringu na stacji Jabłońskich. A młody Jabłoński też tak zeznał. Nie ma praktycznie możliwości, żeby Tytus podpalił dom brata.

– Chyba że podjechał pod dom Filipa samochodem – zasugerował Paweł Kamiński uparcie.

– To już wykluczyliśmy – odparł spokojnie Daniel. Należało teraz nie dać się Pawłowi sprowokować. – Wróćmy do listy. Przedyskutowaliśmy już dwa pierwsze punkty. Nową osobą w tym równaniu jest Sołtysik. W jego przypadku, podobnie jak przy Nilssonach, także wchodzi w grę motyw finansowy. W każdym razie, jakkolwiek jest, z Patrykiem Sołtysikiem też musimy sobie na spokojnie porozmawiać i ustalić jego ewentualne alibi na czas podpalenia domu Filipa Weissa.

– Słuchajcie, przy okazji dowiedziałam się jeszcze czegoś – przypomniała sobie nagle sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska. – Może to nie ma znaczenia, ale Jerzy Grała widział, jak profesor Seweryn Dworakowski wymykał się gdzieś wieczorem w dniu pożaru.

– Seweryn Dworakowski? – zapytała Maria Podgórska zdziwiona.

– Tak – odparła Emilia, kiwając głową. – Musicie przyznać, że profesor Seweryn Dworakowski poniekąd też miał motyw do zabicia Filipa. Sami mówiliście, wet za wet. Zemsta.

Daniel Podgórski zamyślił się na chwilę.

– Ale czy profesor raczej nie chciałby zabić samego Tytusa? – zastanawiała się Maria. – Przecież to nie Filip podpalił dom Dworakowskich, tylko jego brat.

Strzałkowska wzruszyła ramionami.

– Może tak właśnie chciał ukarać Tytusa? – zasugerowała policjantka. – Może chciał, żeby Weiss poczuł, co to znaczy stracić kogoś bliskiego.

– Brzmi przekonująco. Nie możemy zaniedbać tego tropu – uznał Daniel Podgórski. – Trzeba popytać wśród mieszkańców, czy ktoś jeszcze widział profesora tamtej nocy. Emilia, skoro ty i tak idziesz do „Wrzosów” porozmawiać z Carin Nilsson, możesz przy okazji przesłuchać trochę profesora Dworakowskiego. Tylko działaj ostrożnie.

Policjantka uśmiechnęła się szeroko.

– Dobrze.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wstał i dopisał nazwisko profesora do listy ewentualnych podejrzanych na tablicy. Opatrzył je trzema wyraźnymi znakami zapytania, ponieważ

jego ewentualny udział w sprawie nie został jeszcze w pełni potwierdzony.

- Carin i Crister Nilssonowie
- Izabela Weiss
- Patryk Sołtysik
- Profesor Seweryn Dworakowski???

– Ja i Paweł porozmawiamy z Patrykiem Sołtysikiem i popytamy trochę we wsi – zarządził szef komisariatu. – Właściwie to powinniśmy byli od tego zacząć, ale Tytus zdawał się tak oczywistym winnym, że zaniedbałem... no, teraz to nie ma już co płakać nad rozlanym mlekiem. Oprócz tego wieczorem porozmawiam dokładniej z prokuratorem Jackiem Czarneckim o pożarze z dziewięćdziesiątego ósmego roku.

– Myślicie, że te sprawy są jakoś powiązane? – zapytała sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska. – Że ta sama osoba zabiła Kobietę zza Skrzyni, to znaczy Martę Ciosek, i teraz Filipa Weissa?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski uznał, że to było bardzo dobre pytanie. Miał nadzieję, że wcześniej czy później znajdą na nie odpowiedź.

– Jutro przydałoby się też dokładniej przesłuchać Tytusa Weissa. I tak musi się do nas zgłosić ze względu na zwolnienie warunkowe, więc zrobimy to przy okazji.

Jerzy Grała ruszył pełną drogą w kierunku Cichego Lasku. Chciał jak najszybciej skończyć pracę badawczą nad osadą sekty Świątynia. Miał już zdecydowanie dosyć Lipowa, mimo całego uroku tych polodowcowych terenów. Za dużo emocji naraz. Najpierw śmierć jego asystenta. Teraz zaś okazało się, że stare kości, które Grała przypadkowo znalazł w szopie za domem Witalisa Sobieraja, wcale nie należały do tajemniczej, nieznaney mu dotąd trzydziestej pierwszej

członkini sekty. Ktoś ukrył tu zwłoki później i pozwolił im zgnić na ziemiach osady w Cichym Lasku. Jerzy Grala nie umiał zdefiniować emocji, które w związku z tym odczuwał. Było to chyba coś w rodzaju złości. Jego teren badawczy posłużył komuś za kryjówkę dla starej zbrodni.

Jerzy Grala zatrzymał się na wzgórzu, z którego obserwował Cichy Lasek kilka dni temu w towarzystwie Albina. Był koniec grudnia, ale słońce nadal świeciło wesoło i można było niemal odnieść wrażenie, że zaraz przyroda ponownie zbudzi się do życia. Po prawej stronie szumiały drzewa. Gdzieś w dole natomiast, za ścianą lasu, leżało jezioro Bachotek. Zadziwiające, ale naukowiec nie miał jeszcze nawet okazji przespacerować się do ośrodka wczasowego Słoneczna Dolina. A przecież tak bardzo lubił wodę. Kojarzyła mu się z pozorną beztroską dzieciństwa i słodkim smakiem zakazanego owocu.

Nagle Grala usłyszał pękającą gałązkę. Przypomniał sobie swój strach przed duchami sprzed kilku dni. Wtedy szedł do osady w ciemnościach wczesnego zimowego wieczoru. Teraz był środek dnia i las wcale nie był aż tak przerażający.

Naukowiec wzruszył ramionami i wszedł pomiędzy wysokie trawy zarośniętej drogi, która prowadziła przez zaorane pola wprost do Cichego Lasku. Po wizycie techników kryminalnych z ich vanami i sprzętem szlak był już niemal całkiem przejezdny. Teraz być może nawet stary transporter Jerzego dałby sobie radę z dojazdem tutaj.

Grala ruszył w kierunku zagajnika, ale zatrzymał się tuż przed linią drzew. Zamknął oczy. Chciał wczuć się w nastrój tego miejsca, zanim rozpocznie pracę. Przez moment prawie słyszał kroki mieszkańców osady, ale potem wszystko ucichło.

Naukowiec otworzył oczy i rozejrzał się podejrzliwie. Kroki, które słyszał, były zadziwiająco realne jak na dzieło duchów sprzed prawie pięćdziesięciu lat. Jerzy rozejrzał się dokoła, przyciskając torbę z narzędziami do boku.

– Halo? Jest tu kto?! – zawołał.

Nasłuchiwał uważnie, ale odpowiedziała mu cisza.

– Jest tu kto?!

Ponownie nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Zamiast tego ktoś

gdzieś znowu się poruszył. Grałę przeszedł irracjonalny lęk, że to duch jego pomocnika Filipa Weissa, który nie może znaleźć spokoju, dopóki nie zostanie pogrzebany. Odgonił natychmiast te myśli. Duchy? To były przecież tylko miejscowe zabobony.

Nagle Jerzy Grała zobaczył jakąś postać pomiędzy drzewami Cichego Lasku. Tego już było dla naukowca za wiele. Najpierw stare kości, a teraz ktoś myszkuje po terenie badań. Obszar nie był co prawda zamknięty, ale Jerzy traktował go jako swój.

– Halo! – krzyknął groźnie. – Kto tam jest?

Spomiędzy drzew wyszedł Albin Dworakowski. Chłopiec w ciele mężczyzny był imponującej postury. W ciszy osady sekty wyglądał jak milczący posłaniec śmierci. Grała znowu zganił się za takie porównania. Przecież Albin jest niegroźny. Wszyscy w Lipowie to powtarzali. To tylko chłopiec, który uwielbia cukierki. Z drugiej strony ma też ciało wysokiego, ponadstukilowego mężczyzny. Z tym nie dało się dyskutować.

– Albinie, przecież nie wolno ci wchodzić do Cichego Lasku.

Grała starał się przemawiać do chłopca takim tonem, jak to robiła Jaśmina i profesor Seweryn Dworakowski. Spokój, cierpliwość i zdecydowanie.

Na twarzy Albina pojawił się gniew.

– Albinie, czas iść do domu – powtórzył Jerzy Grała, siłąc się na spokój.

Czy ten olbrzym ma coś w rękach? – przeleciało naukowcowi przez myśl. Chłopiec w ciele mężczyzny rzeczywiście chował coś za plecami. Jerzy Grała podszedł ostrożnie, żeby nie prowokować olbrzyma.

– Przecież to tylko pusta butelka. Albinie, po co ci pusta butelka? – zaśmiał się naukowiec z ulgą. Spodziewał się czegoś znacznie gorszego. – Podaj mi ją. Jeszcze się pokaleczysz.

– Nie ma! – krzyknął Albin Dworakowski i puścił się niezgrabnym truchtem na przelaj przez zaorane pole.
– Neeeeeee maa!

Jerzy Grała patrzył za chłopcem w ciele mężczyzny zaskoczony.

– Nie ma? Czego nie ma?

ROZDZIAŁ 18

Lipowo.

Czwartek, 26 grudnia 2013. Wczesne popołudnie

Ranek wstał dość pochmurny, ale nadal ciepły. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska szła do „Wrzosów” z mieszanymi uczuciami. Nie była pewna, co myśleć o Carin Nilsson i jej bracie po tym, czego dowiedziała się wczoraj wieczorem od swojego syna. Czy Crister Nilsson rzeczywiście ukrywał przed policjantami, że zna polski? Jaki miałby w tym cel? I wreszcie kluczowe pytanie: gdzie Crister Nilsson się teraz znajduje?

Crister Nilsson był właściwie głównym podejrzanym w sprawie podpalenia domu Filipa Weissa. To właśnie on jawnie groził śmieciarzowi i podobno kilkakrotnie go nawet zaatakował. Z drugiej strony Carin wyglądała na autentycznie przestraszoną niespodziewanym zniknięciem brata. Gdzie był wysoki Szwed? Czy podpalił dom Filipa Weissa i uciekł? Czy, wręcz przeciwnie, i jemu przytrafiło się coś złego?

Emilia Strzałkowska przekroczyła furtkę niedokończonego domu profesora Seweryna Dworakowskiego i niemal natychmiast uzyskała odpowiedź na jedno ze swoich pytań. Rodzeństwo Nilssonów stało przed domem, jakby nic się nie stało. W komplecie.

Wyglądało na to, że Carin i Crister kłócili się o coś żywo. Strzałkowska uznała, że język szwedzki brzmi całkiem przyjemnie dla ucha, mimo że nic nie rozumiała z energicznej wymiany zdań pomiędzy bratem a siostrą. Rozmowa ucichła, kiedy tylko rodzeństwo Nilssonów zauważyło zbliżającą się policjantkę.

– *It's OK. Crister is back*²⁵ – powiedziała Carin, przechodząc

²⁵ Już w porządku. Crister wrócił.

na angielski.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska poczuła, że ogarnia ją gniew. Blondwłosa Crister Nilsson stał przed nią cały i zdrowy. To była zdecydowanie dobra wiadomość. W jakiś sposób policjantka czuła się jednak oszukana.

– Gdzie pan był? – zapytała Emilia po polsku. Nie zamierzała dłużej silić się na angielski, jeżeli, jak twierdził Łukasz, Szwed znał jej rodzimy język. Co to, to nie.

Crister Nilsson wpatrywał się w Strzałkowską, jakby nic nie rozumiał.

– Dobrze wiem, że pan zna polski. Proszę nie udawać – rzuciła zaczepnie policjantka. Miała nadzieję, że to, co powiedział jej syn, było prawdą. Inaczej wyszłaby na idiotkę. – Proszę natychmiast powiedzieć, gdzie pan był od poniedziałku aż do dzisiaj. Najważniejszy jest dla mnie sam wieczór i noc w poniedziałek dwudziestego trzeciego grudnia. Lepiej, żeby pan miał dobre alibi, bo pobyt w naszym kraju może się dla pana skończyć fatalnie.

Crister Nilsson spojrzał na Carin przeciągle. Szwedka skinęła głową ledwo dostrzegalnie.

– Niech już się pani uspokoi, dobrze? – powiedział mężczyzna płynną polszczyzną. – Nie ma przecież żadnego powodu do gniewu.

Emilia Strzałkowska patrzyła na Nilssona osłupiała. Jej syn wspomniał, że Crister mówi trochę po polsku, więc policjantka spodziewała się raczej silnego obcego akcentu i niepoprawnej składni. Tymczasem mężczyzna mówił, jakby urodził się gdzieś na Mazowszu.

– Może wejdziemy do środka i porozmawiamy – zaproponował Nilsson niespodziewanie jak na niego układnie. – Nie ma sensu stać na dworze.

Policjantka wrzuciła ramionami. Chciała okazać swoją irytację na wszystkie możliwe sposoby. Weszła jednak do „Wrzosów” za rodzeństwem zza Bałtyku. Ona również była zdania, że to nie jest rozmowa przeznaczona dla ciekawskich uszu lipowskich plotkarek.

– *Did you know about this?*²⁶ – rzuciła Emilia oskarżycielsko w kierunku Carin.

Carin Nilsson także wzruszyła lekko ramionami. Mogło to oznaczać wszystko i nic.

– Chodźmy do naszego pokoju na górze – zaproponował znowu Crister. – Tam wszystko pani wyjaśnię.

– Lepiej, żeby pan to zrobił. Zapewniam pana.

Wspięli się po schodach. Crister Nilsson szarmancko przepuścił Emilię Strzałkowską w drzwiach.

– Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Filipa Weissa – oznajmił Szwed, gdy tylko drzwi pokoju się za nimi zamknęły. – O wszystkim dowiedziałem się dopiero teraz od siostry.

– Doprawdy – mruknęła Emilia. – Gdzie pan się tak nauczył polskiego, jeżeli można wiedzieć? I po co pan ukrywał, że pan rozumie, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy?

Crister Nilsson westchnął głośno.

– Naprawdę nazywam się Krzysztof Chmielewski. To znaczy może lepiej powiedzieć, że tak się kiedyś nazywałem – wyjaśnił szybko mężczyzna. – Pochodzę z wielodzietnej rodziny. Rodzice nie mogli nas wszystkich utrzymać, więc część z nas trafiła do rodzin zastępczych i do adopcji. Mnie adoptowali rodzice Carin, kiedy miałem jedenaście lat. Od tego czasu mieszkałem z nimi w Trelleborgu. To na południu Szwecji, w Skanii. Ot i cała historia. Nic tajemniczego. W domu gdzieś pewnie są na to papiery. Zapytam siostry.

Nilsson/Chmielewski powiedział coś do siostry po szwedzku. Carin pokiwała energicznie głową.

– Wspaniale – stwierdziła Strzałkowska nieco sarkastycznie.

Policjantka ciągle nie mogła wybaczyć Cristerowi/Krzysztofowi, że od razu nie przyznał się do znajomości polskiego. Nie ufała temu mężczyźnie ani trochę. Miała bowiem dziwne wrażenie, że kłamstwa przychodzą mu z wyjątkową łatwością. I to nie tylko kłamstwa dotyczące kwestii językowych.

– Po co właściwie przyjechał pan do Lipowa?

26 Czy wiedziała pani o tym?

Nilsson/Chmielewski zerknął znowu w kierunku siostry.

– Przyjechałem tu z Carin od razu, kiedy tylko dowiedziałem się, że ten cały Filip Weiss ją okradł i skrzywdził – wyjaśnił mężczyzna, zerkając czule na panią Nilsson. – Nie powiedziała mi o tym od razu. Niech pani zrozumie: siostra bardzo kochała tego nic niewartego faceta. W zamian on zabrał jej całe oszczędności i zostawił samą. Jak by się pani czuła na jej miejscu? Dziwi panią, że chciałem chociaż odzyskać pieniądze siostry? Przynajmniej tyle.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska nie zamierzała wchodzić w takie dywagacje. Jej osobiste zdanie w tej kwestii nie było teraz istotne. Miała zadanie do wykonania i postanowiła się tego trzymać. Musiała znaleźć tego, kto podłożył ogień pod dom Filipa Weissa i zaryglował drzwi od zewnątrz dla pewności, że śmieciarz nie umknie zgotowanemu mu losowi.

– Teraz niech pan powie, gdzie pan przebywał w ostatnich dniach – poprosiła nieco łagodniej policjantka. – A w szczególności chciałabym wiedzieć, gdzie pan był pomiędzy godziną dziewiątą a dziesiątą w poniedziałek wieczorem.

– Pojechałem odwiedzić brata. Mam na myśli mojego rodzonego brata, Sebastiana Chmielewskiego – rzucił Crister Nilsson vel Krzysztof Chmielewski bez najmniejszego wahania. – Sprawa z Filipem Weissem wydawała się już załatwiona. Obiecał, że odda nam pieniądze w ciągu kilku dni. Postanowiłem być wspaniałomyślny i rzeczywiście dać mu czas. No więc w tak zwanym międzyczasie pojechałem w odwiedziny do brata.

Policjantka miała wrażenie, że mężczyzna kłamie albo przynajmniej nie mówi całej prawdy.

– Dlaczego nic pan nie powiedział siostrze? – nacisnęła, wskazując na Carin.

Crister/Krzysztof wzruszył ramionami.

– Chyba nie muszę jej się ze wszystkiego spowiadać – odparł defensywnie. – To moja sprawa, gdzie i kiedy jeżdżę.

– Dlaczego pojechał pan tak nagle? – nie ustępowała Emilia.

– Ja i Sebastian bardzo rzadko się widzimy. Pomyślałam, że skoro jestem w Polsce, to będzie doskonała okazja, żeby się spotkać z bratem i rodziną z Polski. Nadrobić zaległości, jak to się mówi. W końcu są święta.

Strzałkowska pokiwała głową, chociaż nadal nie czuła się do końca usatysfakcjonowana.

– Gdzie mieszka pana brat?

Crister spojrzął przelotnie na Carin. Pani Nilsson zdawała się pogrążona w myślach. Chyba nie słuchała ich wymiany zdań. Emilia nie była pewna, czy Szwedka w ogóle cokolwiek rozumiała z tej rozmowy. Carin Nilsson chyba naprawdę nie знаła polskiego.

– Sebastian mieszka w Poznaniu – odparł tymczasem Nilsson/Chmielewski.

– W Poznaniu? To dość daleko. Jak pan się tam dostał? No i przede wszystkim kiedy pan wyruszył i kiedy pan dotarł na miejsce?

– Wyruszyłem późnym popołudniem w poniedziałek – powiedział mężczyzna natychmiast. – Najpierw podjechałem autobusem do Brodnicy. Poszedłem do Jajkowa i tam wsiadłem w pekaes, bo nie chciało mi się czekać tu w Lipowie. Brat mnie odebrał z Brodnicy, bo akurat jechał z Elbląga i zjechał trochę z trasy. Zabrał mnie do siebie do Poznania swoim samochodem.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska zapisała wszystko starannie w notesie. Nie było w nim już praktycznie żadnych wolnych kartek. Policjantka skarciła się w duchu. Już od kilku dni miała sprawić sobie następny, ale wciąż o tym zapominała. Notowanie na wąskich marginesach nie było zbyt wygodne i pewnie nie wyglądało profesjonalnie.

– Czy pana brat może to potwierdzić?

– Oczywiście. Jak najbardziej – zapewnił Crister. – Proszę śmiało do niego zadzwonić. Chętnie podam pani numer.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Carin Nilsson wyglądała, jakby obudziła się z transu, w który zapadła podczas przesłuchania brata. Podbiegła do drzwi i otworzyła je szybko.

– *Is there any problem?*²⁷ – zapytał profesor Seweryn Dworakowski po angielsku. – Aha, to znowu pani!

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska miała wrażenie, że słowa profesora ociekały źle skrywaną niechęcią.

– Chciałbym mieć trochę spokoju. Przez święta muszę przygotować serię wykładów. Potrzebuję do tego bezwzględnie spokoju. Bezwzględnie! – podkreślił Dworakowski. – Może mogłaby pani przestać nas tu ciągle nachodzić? – dodał obcesowo.

– Wykonuję tylko swoją pracę – oznajmiła Emilia. Bardzo nie lubiła, kiedy ktoś się tak do niej odzywał.

– To proszę ją wykonywać w komisariacie – poradził profesor Seweryn Dworakowski spokojnie. – Chyba macie tam jakieś pokoje przesłuchań. „Wrzosa” to dom prywatny, a nie posterunek policji. Przenieście się tam, gdzie wasze miejsce.

Emilia Strzałkowska uśmiechnęła się złośliwie. Nie mogła się powstrzymać przed drobną uszczypliwością.

– Oczywiście. I zapraszam tam pana serdecznie razem ze mną, bo wie pan co? Musimy sobie porozmawiać.

„Wrzosa” zdecydowanie źle na nią wpływały. Westchnęła cicho. To by było na tyle, jeżeli chodzi o delikatne podejście do sprawy przesłuchania profesora, o które prosił Daniel Podgórski. Seweryn Dworakowski nie był przecież jeszcze oficjalnie podejrzanym w sprawie podpalenia domu Filipa Weissa.

Emilia zerknęła przelotnie na Nilssonów. Oboje z ciekawością przypatrywali się jej potyczkom słownym z profesorem. Crister/Krzysztof chyba wyglądał na zadowolonego, że wreszcie ktoś inny jest obiektem zainteresowania policjantki.

Profesor Seweryn Dworakowski westchnął ciężko.

– O co chce mnie pani pytać?

– Na przykład o to, gdzie pan był wieczorem dwudziestego trzeciego grudnia, pomiędzy godziną dziewiątą a dziesiątą wieczorem?

Emilia Strzałkowska zadawała to pytanie już tyle razy, że

27 Czy jest jakiś problem?

stało się niemal automatyczną formułą.

– Pracowałem w domu – odpowiedział Seweryn Dworakowski.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Byłem w swoim gabinecie. Jak już mówiłem, pracuję nad serią wykładów – powtórzył profesor Dworakowski godnie, zgrabnie unikając odpowiedzi na pytanie Emilii.

Urszula Weiss drżała z zimna. Tak było od momentu śmierci Filipa. Rozpaliła w kominku, żeby chociaż trochę się ogrzać. Młodszy syn ją zdradził, tak to odczuła, kiedy Filip przyszedł porozmawiać z nią tamtej niedzieli i poruszył struny z przeszłości, które na zawsze już miały zamilknąć. Sugerował, że wie, co się wtedy stało. To, co mówił... Teraz bibliotekarka nie była już niczego pewna. Szum w jej głowie był zbyt silny. Nie dopuszczał prawie żadnych innych dźwięków. Tabletki pewnie by pomogły, ale wyrzuciła je do śmieci. Poza tym czuła, że jest już za późno na leki.

Rozejrzała się po salonie. Książki były wszędzie. Niegdyś przyjaciele, teraz zdawały się ją tylko przygniatać. Urszula musiała temu zapobiec póki czas. Wzięła pierwszy z brzegu tom i wrzuciła go do ognia. Płomienie lizały kartki przez chwilę, a potem książka dosłownie zniknęła w głodnej paszczy żaru.

Bibliotekarce sprawiło to dziwną ulgę. Drżenie zmęczonego ciała i szum w głowie na chwilę ustały. Zaczęła więc po kolei sięgać po książki i wrzucać je do kominka. Podłoga w salonie pokryta była teraz zrzucenymi z półek książkami. Pot zaczął spływać Urszuli po czole, ale nie przejmowała się tym zanadto.

Cisnęła w ogień kolejne tomy. Płomienie łapczywie lizały dzieła Petrarcki i Woltera.

– Nie szkodzi – powiedziała do siebie. – Nic nie szkodzi!

I tak nic nie zwróci jej Filipka. Syn już nigdy nie będzie tłumaczył jej, jak segregować śmieci. Nigdy nie zje kanapek, które dla niego przyszykowała. Nigdy.

Książki wypadły Urszuli Weiss z rąk. Musiała natychmiast zobaczyć zdjęcie syna. Zaczęła gorączkowo szukać rodzinnego

albumu wśród bałaganu, który zapanował w pokoju. W końcu dostrzegła go w kącie. Rzuciła się w tamtą stronę, jakby album miał za chwilę zniknąć.

Otworzyła na pierwszej stronie. Komunijne zdjęcie Filipa.

– Jakże był słodki – mruknęła pani Weiss rozczulona.

Na następnej stronie zobaczyła fotografię Tytusa. Wydarła ją z furją. Miała tylko jednego syna. Odkąd Tytus wyszedł z aresztu tymczasowego, trzymał się od niej z daleka. Cieszyła się z tego. Nie miała ochoty patrzeć w jego dziką twarz. To nie była twarz jej syna. Miała tylko jednego syna, a jego już przecież nie było.

– Mam tylko jednego syna! – krzyknęła z całej siły bibliotekarka. – A on mnie zdradził!

Filip niepotrzebnie słuchał tego, co nagadał mu ten pijus Patryk Sołtysik z ekofarmy. Sołtysik był przecież jak Tytus. Urszula nie mogła zrozumieć, dlaczego Filip słuchał kogokolwiek poza nią. Stare kłamstwo zmieniło się już przecież w prawdę. Ważne było to, co ona mówiła. Dlaczego Filip uwierzył innym, a nie jej? Dlaczego? Dlaczego ją zdradził? Dlaczego pozwolił, żeby ich słowa zatruiły ich miłość?

Ogień wylewał się niemal z ceglanego kominka. Urszula Weiss miała teraz wrażenie, że jest jego częścią, że zmienia się w łakomy płomień. Spojrzała w lustro, ale jej twarz nadal należała do zwykłej bibliotekarki. To sprawiło, że odetchnęła głębiej.

– Spokojnie – powiedziała do siebie.

Urszula włożyła zdjęcie Filipa do kieszeni wyprasowanych w kant spodni. Jutro jej młodszy syn zostanie pochowany. Może wszystko w ten sposób się skończy. Ale czy na pewno? Czy na pewno?

Przecież był jeszcze Tytus. Był jeszcze Patryk Sołtysik. Kto wie, ile jeszcze osób znało prawdę? Głośny szum w głowie powrócił ze zdwojoną siłą. Nie słyszała już prawie trzasku płomieni w kominku.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski i jego kolega

z komisariatu Paweł Kamiński siedzieli w salonie ekofarmy Sołtysików. Wystrój można było określić jednym słowem. Był rustykalny. Wszystkie sprzęty krzyczały tu o swoim autentycznym wiejskim charakterze. Podgórski wątpił jednak, żeby ktokolwiek inny z mieszkańców Lipowa czy okolicznych wsi kiedykolwiek urządził swój dom w taki sposób. Rustykalny salon na potrzeby turystów z miasta, poprawił się w duchu policjant. Wnętrze miało oczywiście pewien urok. Tym bardziej że Sołtysikowie zadbali o każdy szczegół. Daniel nie wątpił, że musiało ich to sporo kosztować.

Patryk Sołtysik siedział na rustykalnej ławie, okryty rustykalnym pledem. Nie wyglądał najlepiej. Oczy miał przekrwione, a na czole perliły mu się krople potu.

– Gdzie Jagna? – zapytał Paweł Kamiński tonem pogawędki.

– Z twoją żonką też będziemy musieli sobie pogadać.

– Nie wiem, gdzie jest Jagienka – odburknał Patryk Sołtysik i owinął się szczelniej pledem. – O co właściwie chodzi?

– Czy to prawda, że byłeś winien Filipowi Weissowi pieniądze? – zapytał Daniel Podgórski zamiast odpowiedzi.

Pytanie chyba zaskoczyło Patryka.

– Kto wam to powiedział?

– Słyszysz się takie wieści tu i ówdzie – zazartował cierpko Paweł Kamiński. – Więc lepiej, kurwa, nie kłam. Jeżeli nie chcesz pogorszyć swojej sytuacji.

Patryk Sołtysik zerknął na Daniela w poszukiwaniu oparcia. Podgórski uśmiechnął się lekko. Na amerykańskich filmach nazywano tę metodę dobry i zły glina. Daniel nie planował nic takiego, ale uznał, że zaraz będą mieli okazję się przekonać, czy zagraniczna metoda, przeniesiona na grunt ich małej wioski, zadziała. Uśmiechnął się do Patryka jeszcze raz zachęcająco.

– No... pożyczylem trochę od Filipa – przyznał w końcu Sołtysik zrezygnowany.

Daniel pokiwał głową z aprobatą.

– O jakiej sumie mówimy?

– Dziesięć tysięcy – szepnął właściciel ekofarmy. – W tym gospodarstwie ciągle coś trzeba zrobić. Mam już tego serdecznie dosyć. Chciałbym wszystko to zostawić

i przeprowadzić się do miasta. Jeżeli jeszcze raz wydoję kozę, to zwariuję! Przysięgam, że normalnie zwariuję! Nie miałem jak oddać tych pieniędzy. Przyznaję. Ale chyba nie uważacie, że to ja zabiłem Filipa? Bo do tego to wszystko zmierza, prawda? Nie jestem głupi. Chyba mnie nie podejrzewacie, co? Daniel, znamy się przecież od lat!

– Skąd śmieciarz miał tyle pieniędzy, żeby ci pożyczyć?
– zapytał Podgórski.

Patryk Sołtysik zadrżał nieznacznie.

– Chyba zabrał tej Carin Nilsson – wyjaśnił. – Dlatego jej brat jest taki wkurzony. Sami wiecie, jaki był Filip, jeżeli chodzi o pieniądze. Był całkiem niezyciowy. Może nawet nie pomyślał, że to była kradzież.

Daniel Podgórski i Paweł Kamiński wymienili spojrzenia. Należało przejść do sprawdzenia alibi Patryka na czas podpalenia domu Filipa Weissa.

– Gdzie byłeś dwudziestego trzeciego grudnia pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą? – zapytał powoli Podgórski.

Ręce Patryka Sołtysika drżały teraz rytmicznie. Znowu okrył się szczerzej pleciem.

– Byliśmy w domu z Jagną – mruknął. – Nie pamiętam dokładnie, co robiliśmy. Pewnie doilem te pieprzone kozy, zrywałem listki szaławii czy inne kurewstwo. Nie wiem, jak wy, ale ja mam serdecznie dosyć tego naszego Lipowa. Gdzieś poza wsią jest prawdziwe życie. Podobno w Gdyni najlepiej się mieszka. Tak czytałem w jakiejś gazecie. W Gdyni jest najlepiej z całej Polski. Może tam powinienem zacząć.

– Czyli byliście w domu we dwójkę? – zapytał Daniel dla porządku.

– Tak, tak. Dokładnie.

Podgórski westchnął. Kolejne alibi praktycznie nie do potwierdzenia. Wyglądało na to, że jak na razie wszyscy podejrzani tylko takim dysponują. „Byłem z Jagną”, Jagna pewnie powie „Byłam z Patrykiem” i skończone. Policjant postanowił więc podejść do sprawy z nieco innej strony, w nadziei, że to lepiej poskutkuje.

– Ty i Filip Weiss chyba się przyjaźniliście, co? – zapytał tonem pogawędki.

Patryk Sołtysik spojrział na Podgórskiego podejrzliwie. Chyba metoda dobry i zły glina przestała działać, zaśmiał się w duchu szef komisariatu w Lipowie.

– Tak. To chyba nic złego, prawda? – zapytał właściciel ekofarmy zaczepnie. – Każdy to wie tu we wsi, że ja i Filip się kumpłowaliśmy. Znamy się od dzieciństwa. Zresztą tak, jak i ja was znam. Pieprzone zadupie. Tęsknię za miejscem, gdzie nikt nie będzie wiedział, kim jestem. I gdzie nie będzie kóz! Cholera jasna. Chłopaki, ja muszę stąd spieprzać, bo mnie...

– Czy Filip miał jakichś wrogów? – przerwał mu Podgórski. – Wiesz coś może na ten temat? Ktoś mu źle życzył?

– Przychodzi mi do głowy tylko ta para Szwedów – odparł Patryk Sołtysik nieco uspokojony. – Ci Nilssonowie. No bo kto jeszcze?

– A Izka Weiss?

Teraz to Paweł Kamiński spojrział na Daniela niechętnie. Podgórski wzruszył tylko ramionami. Nie zamierzał przejmować się humorami kolegi.

– Filip i Izka klócili się trochę – przyznał Patryk. – Ale jak to w małżeństwie. On był marzycielem, a ona twardo stąpa po ziemi. Co to ma do podpalenia domu Filipa? Chyba nie myślicie, że to zrobiła Izka...

– Oczywiście, że nie – wtrącił się Paweł Kamiński i spojrział na Podgórskiego znacząco.

Szef komisariatu znowu wzruszył ramionami.

– A Tytus Weiss? – warknął Kamiński, ciągle wpatrując się w Daniela. – On nie groził bratu? Filip nic ci nie wspominał na ten temat?

– Jeżeli chodzi o Tytusa, to ja nie powiedziałem wszystkiego! – ryknął niemal Sołtysik. – Nie powiedziałem wtedy wszystkiego!

Policjanci spojrzeli na właściciela ekofarmy zaskoczeni tą niezwykle emocjonalną reakcją. Patryk zrzucił tradycyjnie tkany pled. Twarz miał niezdrowo rozpaloną.

– Chciałem o tym komuś powiedzieć od bardzo dawna!

– krzyknął znowu, ocierając pot z czoła. – Przez te wszystkie lata miałem wyrzuty sumienia, że milczałem. Chociaż często po prostu starałem się o tym zapomnieć.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Kamiński powoli.

Patryk Sołtysik zbył to pytanie niecierpliwym ruchem ręki.

– Tamtej nocy... wtedy, kiedy ktoś podpalił dom państwa Dworakowskich, wtedy...

Właściciel ekofarmy zaniósł się mokrym kaszlem. Otarł ślinę z ust i zaczął wpatrywać się w żyrandol wiszący pośrodku pokoju.

– No wykrztuście to wreszcie, kurwa jego mać! – wrzasnął Paweł Kamiński niecierpliwie. – Czego wtedy nie powiedziałaś?

Daniel Podgórski też miał ochotę potrząsnąć Patrykiem, żeby mężczyzna wreszcie wyrzucił z siebie to, co ma do powiedzenia. Daniel myślał, że już zdążył się pogodzić ze śmiercią ojca. Wydarzenia ostatnich dni pokazywały jednak dobitnie, jak bardzo się mylił. Coraz bardziej tracił nad sobą kontrolę.

– Tytus był tamtej nocy ze mną!

– Co?

– Tak, czwartego listopada dziewięćdziesiątego ósmego wieczorem Tytus był ze mną – powtórzył Sołtysik. – Nie wiem, kto podpalił dom Dworakowskich, ale to na pewno nie był Tytus. Właśnie mieliśmy się rozejść, kiedy Tytus zauważył, że coś się chyba pali.

– Dlaczego nie powiedziałaś tego piętnaście lat temu, kiedy badane były okoliczności... tego pożaru? – zapytał Daniel bardzo powoli. – Dlaczego milczałaś?

W pokoju zapadła na chwilę ciężka cisza.

– Miałem czternaście lat i byłem głupim wyrostkiem – powiedział w końcu Patryk Sołtysik płaczącym tonem, przerywając ponure milczenie. – Tamtej nocy rodzice zakazali mi wychodzić, ale ich nie posłuchałem. Poszliśmy z Tytusem się napić. Byłem niepełnoletni i myślałem, że dostanę szlaban, jak rodzice się dowiedzą, że jednak wyszedłem. Dlatego wolałem się nie wychylać. Zwłaszcza że przecież nikt mnie o nic nie pytał. Nikt nie wiedział nawet, że byłem wtedy w pobliżu pożaru.

Daniel pokiwał sztywno głową. Rzeczywiście nazwisko Sołtysika nigdy nie wypłynęło w związku ze sprawą tamtego podpalenia.

– No więc jak wypiliśmy już po piwie, to postanowiliśmy się rozejść – kontynuował Patryk. Łzy spływały mu po policzkach.
– Tytus pobiegł zobaczyć, gdzie się pali, a ja wróciłem natychmiast do domu i położyłem się z powrotem do łóżka. Rodzice nie zauważyli nawet, że w ogóle wychodziłem. Rano dowiedziałem się, że Tytus do wszystkiego się przyznał. Powiedział, że to on był podpalaczem. Nie wiedziałem, o co tu chodzi, ale wolałem się nie wychylać. Pomyślałem, że może Tytus ma swoje powody i to nie moja sprawa. Poza tym bałem się. Już mówiłem! Byłem głupim dzieciakiem. Teraz postąpiłbym inaczej! Wszyscy nienawidzą Tytusa, a to nie on zrobił!

Potok usprawiedliwień wypełnił powietrze. Paweł i Daniel nie patrzyli na siebie. Podgórski nie był pewien, co by się stało, gdyby teraz ich spojrzenia się spotkały.

– Wiem, że to głupie! Myślicie, że jak ja się teraz z tym wszystkim czuję? Tytus siedział w więzieniu piętnaście lat z dwudziestu pięciu, mimo że jest niewinny! – krzyknął znowu Patryk Sołtysik. – W każdym razie ja wiem, że Tytus nie mógł podpalić domu Dworakowskich. To nie on zabił waszych ojców. No i powiedziałem o tym Filipowi. On o niczym nie wiedział. Też myślał, że to Tytus był podpalaczem. Tak jak wszyscy. Nie wiem, kto podpalił dom Dworakowskich, ale to nie Tytus, cholera jasna. Jestem tego pewien.

– Kiedy? – wydusił Daniel. Mówienie sprawiało mu teraz dziwny ból. – Kiedy opowiedziałeś o tym wszystkim Filipowi?

– Nie pamiętam dokładnie, chyba w niedzielę.

– Czyli dzień przed pożarem jego domu... – mruknął Podgórski.

– Tak, to było dzień przedtem, zanim Filip zginął. Teraz sobie przypominam. Przynajmniej biedak poznał prawdę. Zanim Tytusa zamknęli, bracia byli bardzo blisko. Filip nie umiał się pogodzić z tym, że Tytus jest mordercą. Całe szczęście, że zdążyłem powiedzieć mu, jak było.

Wyglądało na to, że wyznanie długo skrywanej prawdy sprawiło Patrykowi Sołtysikowi wielką ulgę. Właściciel ekofarmy otarł znowu pot z czoła i usiadł z powrotem na kanapie. Poprawił pled. Jego ruchy wydawały się już spokojniejsze.

Myśli młodszego aspiranta Daniela Podgórskiego z kolei pędziły jak szalone. Pytanie pojawiało się za pytaniem. Czy to możliwe, że człowiek, którego policjant nienawidził przez piętnaście lat, był niewinny? Dlaczego w takim razie Tytus Weiss przyznał się do podpalenia domu pani Zosi Dworakowskiej? Dlaczego poszedł do więzienia bez jednego słowa skargi? Czy Filip Weiss zginął, ponieważ poznał prawdę na temat niewinności brata? Jeżeli to nie Tytus podpalił dom Dworakowskich, to kto? Czy to ta sama osoba zabiła teraz śmieciarza?

– Kurwa, Daniel. Patryk coś bredzi. Widzisz przecież, w jakim jest stanie – powiedział, powoli cedząc słowa, Paweł Kamiński. – Ja tego, kurwa, nie kupuję. Ani trochę. To niemożliwe, żeby Tytus był niewinny.

Jagna Sołtysik szła szybko przez wieś. Kolorowy szalik powiewał za nią, kiedy przecięła skrzyżowanie niedaleko sklepu Wiery Rosłońskiej i skręciła w stronę domu fryzjerki Eweliny Zaręby.

Właścicielka ekofarmy długo ze sobą walczyła, ale w końcu stwierdziła, że musi zacząć działać. Na początek najlepiej było chyba z kimś porozmawiać. Nie chciała teraz zwracać głowy Izce Weiss. Zwłaszcza że nagłąca sprawa dotyczyła właśnie śmierci jej męża. Znienawidzonego, ale jednak ciągle męża. Powierniczką numer dwa była fryzjerka. Kłopot polegał na tym, że mąż Eweliny był policjantem.

Kolorowa pani Sołtysik wcale nie była pewna, czy chce mieszać w to wszystko policję. Przynajmniej na tym etapie. Kiedy wymykała się z domu tylnymi drzwiami, widziała, że Daniel Podgórski i Paweł Kamiński wchodzą od frontu. Zapewne ktoś powiedział im o pożyczce. A może było jeszcze

gorzej? Może ktoś ją widział w poniedziałek wieczorem?

Bez wątpienia Jagna Sołtysik musiała zacząć działać. Wszelkimi sposobami. Może obecność Marka Zaręby podczas jej rozmowy z Eweliną wcale nie będzie problemem. Może wręcz przeciwnie, uznała po krótkim namyśle.

Na Patryka nie było co liczyć. Jak zwykle Jagna musiała zająć się wszystkim sama.

ROZDZIAŁ 19

Lipowo.

Czwartek, 26 grudnia 2013. Wieczorem

Tytus Weiss od kilku godzin błąkał się po polnych drogach. Im więcej nad tym myślał, tym bardziej nie potrafił zdecydować, co właściwie powinien zrobić. Teoretycznie najlepszym wyjściem byłoby porozmawiać szczerze z policją. Może to pozwoliłoby powstrzymać tragedię, której niebawem się spodziewał.

Szczerza rozmowa z policją to mogło być rozwiązanie. Problem polegał jednak na tym, że przez piętnaście lat pobytu w więzieniu Tytus nauczył się nie ufać nikomu, a zwłaszcza przedstawicielom władzy. W Zakładzie Karnym w Starych Świątkach był wyraźny podział na „my” i „oni”. Pomędzy poszczególnymi więźniami mogły być wzajemne animozje, agresja czy nawet gwałty, ale to zawsze byli „my” i „oni”. Dwa światy, których osoby na wolności chyba nigdy do końca nie będą potrafiły zrozumieć.

– My i oni – mruknął do siebie Tytus Weiss. – My i oni.

Czy powinien teraz zapomnieć o tym podziale? Czy miał jakąkolwiek szansę przekonać policjantów z Lipowa do swojej wersji wydarzeń? Wspiął się na wzgórze. Zapadł już wczesny zimowy zmrok. Czubek papierosa żarzył się niespiesznie.

I wtedy ją zauważył. Tytus zaciągnął się głęboko, udając zajętego swoimi sprawami. Pewnie myślała, że jej nie widzi. Jaśmina Ciosek-Dworakowska pojawiła się na polnej drodze, kiedy po raz kolejny mijał z daleka jej dom. Starał się nie podchodzić zbyt blisko, ale coś go tam cały czas ciągnęło. Wiedział, że spalony dom Dworakowskich już dawno został zburzony, a jego miejsce zastąpił nowy budynek. Matka wspomniała mu o tym kiedyś w liście. Chciał jednak zobaczyć

to miejsce ponownie.

A może chodziło o coś więcej...

Jaśmina zrozumiała chyba, że Tytus ją zauważył, przestała się więc ukrywać. Wspięła się na wzgórze i stanęła obok Weissa, niczego nie tłumacząc. Patrzyli w ciszy na ukryte w mroku Lipowo. Światła w oknach wiejskich domów wyglądały stąd jak niewielkie ogniska rozsiane to tu, to tam. Kiedyś Tytus wiedziałby, do kogo należy każde z tych migoczących świateł. Teraz pewnie duża część domów zmieniła już właścicieli.

Zabawne, ale Tytus nadal bardzo mocno czuł, że przynależy do społeczności Lipowa. Od pożaru domu brata w poniedziałek ludzie przestali pluć mu pod nogi i wyzywać go co chwila. Był im głęboko wdzięczny za tę odrobinę szacunku, jaką mu teraz okazywali. To był pierwszy drobny krok ku normalności. Mieszkańcy wsi zaakceptowali obecność Tytusa. Co nie oznaczało, że zaakceptowali jego. Na początek to musiało jednak wystarczyć.

Jaśmina stanęła blisko niego. Tytus Weiss czuł od niej kwiatowy zapach perfum. Dziewczyna wydawała się przez to taka delikatna i bezbronna. Więzień numer 1126 doskonale jednak wiedział, że to mogą być tylko pozory. Dlaczego ta drobna dziewczyna za nim chodziła? Więzienie nauczyło go, że nie wolno ufać pierwszym wrażeniom. Drugim i trzecim zresztą również. Nie wolno ufać nikomu. Nigdy. Człowiek zawsze jest sam.

Może Filip miał szczęście, że umarł? Na tej ziemi i tak nie czekałoby go nic dobrego.

Paweł Kamiński z całej siły kopnął kamień. Kamyk potoczył się na sam środek szosy. Policjant czuł się zupełnie rozbity. Po rozmowie z Patrykiem Sołtysikiem, którą przeprowadzili we dwóch z Danielem Podgórskim, policjanci zdecydowali, że rozdziela się i będą prowadzić dalsze przesłuchania oddzielnie. Pozornie po to, żeby usprawnić dalsze działania. Prawda była jednak taka, że po prostu nie mogli teraz przebywać razem. Nie

po rewelacjach Patryka na temat domniemanej niewinności Tytusa Weissa. Paweł i Daniel potrzebowali wytchnienia od swojej obecności przynajmniej do jutra.

Kamiński nie był pewien, co myśleć o wyznaniu właściciela ekofarmy na temat Tytusa. Wolał więc się nad tym na razie nie zastanawiać. Paweł potrzebował czasu, żeby to wszystko przetrwać w spokoju. Uznał więc, że równie dobrze może naprawdę zabrać się do pracy. Zaczął systematycznie przesłuchiwać mieszkańców Lipowa w sprawie poniedziałkowej nocy, kiedy to ktoś podpalił dom Filipa Weissa. To na pewno było lepsze niż jałowe rozważania. Chociaż zapewne równie bezcelowe.

Po kilku godzinach bezowocnych rozmów Pawłowi zostało tylko kopanie przydrożnych kamieni, żeby rozładować wzbierającą wściekłość. Tak jak się spodziewał, nikt nic szczególnego nie widział, chociaż każdy, jak zwykle w Lipowie, miał bardzo dużo do powiedzenia. W ich wsi zawsze tak było. Nikt nic nie widział, ale każdy dużo mówił. W tym wypadku może to i nawet lepiej, przeleciało policjantowi przez myśl. Miał nadzieję, że jego własna drobna tajemnica nie wyjdzie na jaw. Wszystko mogłoby zostać opacznie zrozumiane.

Zadaszenie pod sklepem Wiery Rosłońskiej świeciło pustkami. To, że Gierot i Melek nie tkwili dziś na swoim posterunku, było niemal zaskakujące. Kamiński rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu pijaczków. Niespodziewanie z krzaków obok remizy ochotniczej straży pożarnej wytoczył się Gierot. Zapinał właśnie rozporek.

– Znowu szczałeś do stawu, co?! – huknął Paweł.
– Opamiętajże się, człowieku, kurwa! Bo ci narobię problemów. Potem jebie szczynami w całej wsi.

Gierot zatoczył się lekko w stronę Kamińskiego, ale udało mu się złapać równowagę.

– Gdzie tam – mruknął bełkotliwie pijak. – Nie śmiałbym się odlewać do stawu!

Nagle policjantowi przyszło coś do głowy. Gierot i Melek zawsze wszystko wiedzieli pierwsi. Dotychczas nikt ich chyba nie przesłuchiwał. To mógł być poważny błąd Daniela

Podgórskiego i Paweł zamierzał to wykorzystać. Doskonale by wyglądało, gdyby to on odkrył coś istotnego.

– Może chociaż się do czegoś przydasz, nierobie jeden – rzucił Paweł do Gierota. – Widziałeś może coś podejrzanego w nocy dwudziestego trzeciego grudnia? Mówię o poniedziałku.

Pijak podrapał się po brudnych włosach z namaszczeniem. Kamiński poczuł, że robi mu się niedobrze.

– To wtedy, kiedy sfajczył się dom śmieciarza? – upewnił się Gierot. – Prawda?

Policjant pokiwał głową.

– Jo.

– Tu siedziałem, to domu Filipa Weissa nie widziałem. – Gierot zaśmiał się, ukazując rząd popsutych zębów. Wydawał się w wybornym humorze. – Niezły rym. Ma się ten dryg, co, sąsiedzie?

Paweł Kamiński wzruszył ramionami. To była chyba jednak pieprzona strata czasu. Policjant już miał odejść, kiedy Gierot odchrząknął głośno.

– Widziałem tylko, że profesor Seweryn Dworakowski gdzieś się spieszył – poinformował pijak i ruszył niepewnie w stronę swojego domu.

– Zaczekaj! – krzyknął za nim Paweł Kamiński. – Co powiedziałaś?

Gierot szedł nadal chybotliwie, ale policjant dogonił go bez problemu. Wokół mężczyzny unosił się nieprzyjemny zapach źle przetrawionego starego alkoholu.

– Co powiedziałaś? – powtórzył ostro Kamiński, odwracając nieco głowę od śmierdzącego pijaczka.

– No, nic nie powiedziałem – mruknął Gierot. – Do domu chyba idę, nie? Nic nie robię. Dajcież mi wszyscy spokój. Nie szczałem do tego stawu, człowieku!

Pijak machnął ręką i wtoczył się do swojego ogródka, nie odwracając się nawet w stronę policjanta. Młodszy aspirant Paweł Kamiński spojrział na własny dom po drugiej stronie płotu. W oknach tańczyły światła lamp. W środku czekała na niego bezbarwna Grażyna z tymi swoimi wiecznymi narzekaniami i piątką zasmarkanych dzieci. Nagle Paweł

Kamiński stracił całkowicie ochotę na powrót do domu.

– A idźże do wszystkich diabłów – rzucił do Gierota i zawrócił w stronę głównej ulicy.

Starszy sierżant Marek Zaręba zajrzał do swojej młodszej córeczki. Spała spokojnie w drewnianym łóżeczku. Chwilę wcześniej z ich domu wyszła kolorowa Jagna Sołtysik. Młody policjant ciągle miał jeszcze w pamięci jej słowa.

– Kogoś tam widzieliśmy – powiedziała właścicielka ekofarmy.

Jagna Sołtysik zjawiała się w domu Zarębów całkiem niespodziewanie. Stała na ganku i naciskała dzwonek, jakby od tego zależało jej życie. Ewelina oczywiście zaprosiła przyjaciółkę do środka. Początkowo dziewczyny rozmawiały o zwykłych damskich sprawach, takich jak tipsy czy pielęgnacja włosów. Marek Zaręba czuł jednak, że ich słowa są wymuszone jego obecnością w pomieszczeniu. Pewnie nie chciały, żeby słyszał ich rozmowę.

Początkowo młody policjant chciał ulec, zostawić Jagnę i Ewelinę same sobie. Mógł na przykład pójść do pokoju dziewczynek. Mógł, ale coś się w nim zbuntowało. Poczł ogarniającą go falę irytacji. Starszy sierżant Marek Zaręba gotuje kaszkę mleczno-ryżową o smaku bananowym dla dzieci po czwartym miesiącu życia. To były teraz jego obowiązki, prawda? Jeżeli tak, kobiety musiały jakoś znieść jego obecność w kuchni.

W końcu Ewelina i Jagna przestały się krępować i zaczęły mówić głośniej. Marek Zaręba wlał zagotowaną wodę do miseczki i stanął przy kuchennym blacie. Udawał, że czeka, aż woda trochę przestygnie. Nikt nie mógł mu nic zarzucić. Na etykiecie napisano przecież, że woda musi ostygnąć do pięćdziesięciu stopni, zanim można dolać ją do kaszki. To, że przy okazji Marek posłucha trochę, o czym dziewczyny mówią, nikomu nie zaszkodzi.

– Ewelinka, nie wiem już, co robić – powiedziała kolejny raz Jagna Sołtysik.

– Najlepiej powiedz wszystko od początku – odparła fryzjerka uspokajająco. – Poszliście z Patrykiem pod dom Filipa Weissa, tak? To było w poniedziałek, kiedy go podpalono, tak?

– Tak, dokładnie tak – przyznała głucho Jagna. – Chcieliśmy Filipa trochę nastraszyć... wiem, że to głupie... Po prostu nie mogliśmy mu oddać jeszcze tych pieniędzy. W takiej sytuacji człowiek brzytwy się chwyta.

Ewelina pogłaskała koleżankę po ramieniu przyjaźnie.

– Kochana, trzeba było przyjść do mnie. Jakoś byśmy poradziły. Pieniądze zawsze się znajdują. Chętnie bym ci pomogła.

Marek Zaręba odmierzył siedem łyżek stołowych kaszki. Na etykietce napisano, że powinno się dodać cztery do pięciu łyżek, ale młody policjant zdążył się już przekonać, że z siedmioma kaszka wychodzi znacznie lepiej. Zuzia i tak połowę wypluwała, a resztę kończył on. Też mógł zjeść coś smacznego. Systematycznie wydłużał trasy biegowe, żeby te dodatkowe porcje nie wpłynęły na jego masę. Nie chciał stać się drugim Podgórskim.

– W każdym razie poszliśmy pod dom Filipa – podsumowała Jagna Sołtysik głośno i wyraźnie. – Co się stało, to się nie odstanie.

Ewelina pokiwała głową ze zrozumieniem.

– I co było dalej?

Właścicielka ekofarmy zerknęła podejrzliwie w kierunku Marka. Zaręba zaczął więc z zapamiętaniem degustować kaszkę.

– Chyba nie jest za gorąca – poinformował wszystkich wokół, jakby nic się nie stało.

– Marek, dajże spokój i usiądź z nami – powiedziała Ewelina ze śmiechem. – I tak wiem, że nas słuchasz, kochanie. Kiepski byłby z ciebie szpieg, wiesz?

– Trudno was nie słuchać, skoro jesteśmy w jednym pokoju – odparował młody policjant. Komentarz żony go zabolął, mimo że miał być chyba żartobliwy. – Jagna, nie masz nic przeciwko temu, żebym posłuchał?

Zaręba starał się, żeby nie zabrzmiało to zbyt sarkastycznie. Pani Sołtysik zerknęła na Marka z niechęcią.

– I tak wiem, że nas podejrzewacie, ale my nic nie zrobiliśmy – powiedziała defensywnie. – Zapewniam cię.

Starszy sierżant Marek Zaręba w skupieniu zjadł jeszcze łyżkę kaszki. Wyszła mu idealnie. Maleńka Zuzia będzie zachwycona.

– Ja o nic nikogo nie podejrzewam – odparł młody policjant spokojnie. – Jestem na urlopie, jak widzisz. Od podejrzewania jest Daniel, Paweł i Emilia. Ze mną możesz porozmawiać zupełnie otwarcie.

Jagna Sołtysik zaśmiała się ostro.

– Jasne. I tak wiem, że do nich polecisz – zadrwiła.

– Od razu, jak skończymy rozmawiać, pójdziesz do Daniela. Jesteś jego chłopcem na posyłki!

Marek znowu poczuł ukłucie gdzieś głęboko w sercu. Może Jagna miała rację i rzeczywiście był tylko chłopcem na posyłki. Może właśnie dlatego Daniel się z nim nie skontaktował i nie odwołał go z urlopu.

– Dajcie już spokój tym kłótniom – rozkazała Ewelina.

– Znacnie się przecież nie od dziś. Jagusia, mów, co się stało.

Właścicielka ekofarmy raz jeszcze spojrzała uważnie na Marka, ale w końcu chyba podjęła decyzję.

– W poniedziałek wieczorem poszliśmy pod dom śmieciarza – wyjaśniła. – Byliśmy tam już kilka razy wcześniej. Obmyślaliśmy, jak by go najskuteczniej nastraszyć.

– Udam, że tego nie słyszałem. – Marek Zaręba zaśmiał się, próbując zapomnieć o jej wcześniejszych zjadliwych słowach.

– Nie wiem, co chcieliście przez to osiągnąć, ale spoko. Mów dalej.

– Sama nie wiem, co właściwie chcieliśmy osiągnąć – przyznała Jagna. Nerwowo bawiła się szalikiem. Jak zwykle ubrana była we wszystkie kolory tęczy. – W każdym razie byliśmy tam pod domem Filipa Weissa koło dziewiątej, czyli niedługo przed pożarem.

Marek Zaręba położył nosidelko z maleńką Zuzią na stole. Odkrył, że tak było najłatwiej mu ją karmić. Wziął różową plastikową łyżeczkę córeczki i zaczął powoli podawać jej

kaszkę.

– Co było dalej?

– Kogoś tam widzieliśmy... – poinformowała Jagna.

– To znaczy kogo? – zainteresował się młody policjant.

– Kogo tam widzieliście?

Pani Sołtysik wzruszyła ramionami.

– Właśnie w tym problem, że nie wiem – powiedziała szybko.

– To była przecież noc. Było całkiem ciemno. Widziałam tylko sylwetkę. Moim zdaniem to był mężczyzna. Patryk też tak uważa. Ten człowiek wydał się nam znajomy. Wtedy pomyśleliśmy, że to może Tytus albo coś. I uciekliśmy jak najciszej.

– Uciekliście – powtórzył Marek Zaręba, podając małej Zuzi kolejną porcję.

Córeczka zaśmiała się głośno. Połowa kuchni była już w kaszce mleczno-ryżowej o smaku bananowym. W każdym razie cała bluza Marka na pewno. Zuzia wydawała się tym szczerze ubawiona. Młody policjant uśmiechnął się do córeczki.

– Tak. Uciekliśmy – odparła Jagna zaczepnie. – Uwierz mi, że czuliśmy się wystarczająco idiotycznie, czatując tam pod płótnem Filipa w oczekiwaniu na jakąś okazję, żeby go nastraszyć. Nie mieliśmy wcale ochoty, by nas nakryto na gorącym uczynku. Tylko... tylko że potem okazało się, że ktoś podpalił dom Filipa. Być może widzieliśmy wtedy mordercę. To straszne...

Właścicielka ekofarmy zakryła twarz dłońmi. Jej paznokcie pomalowane były na odblaskowy pomarańczowy kolor. Ewelina objęła koleżankę ostrożnie.

– Już cicho, kochana. Jaguś, nie martw się tym – poradziła fryzjerka. – Nic nie mogliście zrobić. Prawda, Marek?

– Umiesz cokolwiek powiedzieć o tej osobie, którą widzieliście? – zapytał Zaręba rzeczowo. Na chwilę zapomniał o kaszce i był znowu policjantem. – Cokolwiek?

Jagna pokręciła bezradnie głową.

– Nic. Mamy tylko wrażenie, że to był mężczyzna – powtórzyła. – Miał na głowie kaptur.

– Jakiego wzrostu był ten mężczyzna?

– Naprawdę nie wiem. Było tak ciemno. Dom Filipa jest na uboczu. Nie dochodzi tam nawet światło latarni przy szosie – przypomniała Jagna. – Założyłam, że to Tytus Weiss, i od razu uciekliśmy. Nie przyglądałam się dokładnie.

– Dlaczego założyłaś, że to Tytus Weiss? – zapytał znowu Marek Zaręba. Miał wrażenie, że to może być istotny szczegół. – Cały czas to powtarzasz.

Jagna Sołtysik pokręciła znowu głową.

– Bo Filip wspominał wcześniej tego dnia Patrykowi, że musi pogadać z bratem. Mówił, że się umówili na wieczór. Dlatego właśnie pomyśleliśmy, że to Tytus przyszedł.

– Dlaczego Filip umówił się z Tytusem? – chciał wiedzieć Marek. – Śmieciarz powiedział coś twojemu mężowi na ten temat?

– Ja nic nie wiem.

Kogoś tam widzieliśmy – starszy sierżant Marek Zaręba powtarzał sobie te słowa po cichu. W końcu zdecydował, że nie może tego tak zostawić. Być może nie miało to większego znaczenia. Równie dobrze mógł to najpierw zbadać sam, a potem dopiero poinformować o wszystkim Daniela Podgórskiego. Marek nie był przecież niczym chłopcem na posyłki. Szef komisariatu nie uważał za stosowne zadzwonić nawet do Zaręby z informacją, jak idzie śledztwo. W tej sytuacji młody policjant też nie musiał kolegi o wszystkim informować.

– No dobrze. Już wiem, co zrobimy. Jutro pokażesz mi, w którym miejscu pod domem śmieciarza staliście tamtej nocy i gdzie widzieliście tego mężczyznę – powiedział młody policjant do Jagny Sołtysik. – Może znajdziemy na miejscu coś interesującego.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski czuł się bardzo zmęczony. Skończył już przesłuchania swojej części wsi i właściwie niczego ważnego się nie dowiedział. Ciekaw był, jak poszło Pawłowi Kamińskiemu. Daniel nie mógł się skupić na rozmowie z mieszkańcami Lipowa. Jego myśli cały czas wracały do słów Patryka Sołtysika, które sprawiły, że wszystko,

w co dotychczas wierzył, się rozpadło.

Podgórski zatrzymał się przed płotem domu matki. Jedyne, o czym marzył, to gorąca kąpiel, może nawet torebka orzechów w czekoladzie, którą schował na czarną godzinę, jeżeli tylko wreszcie udałoby mu się coś przełknąć. Do tego ciepła kołdra i ewentualnie jakiś film do kompletu. Niestety na nic takiego nie było raczej teraz szans. Na podjeździe obok błękitnego subaru imprezy Daniela stał wiśniowy fiat, który należał chyba do prokuratora Jacka Czarneckiego. Wyglądało na to, że Maria rzeczywiście zaprosiła dawnego przyjaciela ojca, tak jak obiecała dziś rano podczas odprawy. Policjant westchnął cicho. Nie miał teraz ochoty na dalsze dyskusje o śmierci ojca.

Daniel rozważał przez chwilę skorzystanie z zapasowych kluczy od dworku Nowakowskiej, które dała mu Weronika przed wyjazdem. Może w domu narzeczonej mógłby ukryć się i przeczekać. Kiedy już prawie podjął decyzję o wycofaniu się, zauważył, że Maria Podgórska wygląda przez kuchenne okno. Teraz nie było wyjścia. Daniel nie mógł udawać, że go tu nie było. Musiał wspiąć się po betonowych schodkach do domu matki i porozmawiać z prokuratorem Jackiem Czarneckim.

W domu Marii było nieprzyjemnie duszno. Daniel zawiesił kurtkę na wieszaku obok płaszcza Jacka Czarneckiego. Otyły mężczyzna siedział przy stole w salonie i popijał herbatę. Na półmiskach widać było resztki świątecznych potraw, którymi Maria i Czarnecki zapewne raczyli się przed chwilą. Policjant poczuł ogarniającą go irytację. Rzucił w ich stronę gniewne spojrzenie.

– Witaj, Danielu – powiedział prokurator, jakby niczego nie zauważył.

– Jacku, opowiedz mi, jak to było z tą sprawą z dziewięćdziesiątego ósmego roku – poprosił Daniel Podgórski wprost. Nie miał siły na kluczenie. – Dziś dowiedziałem się, że być może Tytus Weiss wcale nie podpalił domu pani Zosi Dworakowskiej. Czy to jest możliwe? Ty najlepiej znasz dowody w tej sprawie. Przecież ją prowadziłeś.

W pokoju zapanowało milczenie. Czarnecki westchnął tylko cicho.

– Poza tym nagle okazuje się, że Marta Ciosek wcale nie spłonęła w tym pożarze, tak jak myśleliśmy przez cały czas. Marta Ciosek zginęła od pojedynczego strzału w głowę – kontynuował Daniel twardo, ignorując niezręczną ciszę, która zapadła. – Kąt wejścia kuli wyklucza samobójstwo, więc możemy bezpiecznie założyć, że ktoś ją zabił. Jacku, możesz mi powiedzieć, jak to wszystko ma się do twoich raportów sprzed piętnastu lat?

Podgórski zakończył swoją przemowę i sięgnął po kompot z suszu, który stał jeszcze na stole. Nie patrzył teraz ani na matkę, ani na prokuratora Czarneckiego. Czuł, że może zobaczyć zbyt wiele w ich twarzach, a nie był pewien, czy jest na to gotowy.

– Danielku... – zaczęła Maria ostrożnie. Jej ton nie wróżył nic dobrego.

– Tak, mam? Słucham bardzo uważnie.

Maria Podgórska spojrzała bezradnie na prokuratora.

– Danielu, być może zrobiliśmy coś złego – podjął Jacek Czarnecki z kolejnym westchnieniem. – Już ty sam ocenisz nasze poczynania. Mam jednak nadzieję, że weźmiesz pod uwagę to, że chcieliśmy dobrze. Śmierć twojego ojca i pozostałych osób nie mogła przecież pozostać bezkarna.

– Może wreszcie powiecie mi, o co chodzi! – zawołał Daniel Podgórski.

Stracił już zupełnie cierpliwość. Nie zważał teraz na towarzyskie konwenanse. Miał tego wszystkiego dość. Usiadł ciężko przy stole i przysunął do siebie półmisek z keksem. Po chwili jednak odsunął go z niechęcią. Nadal nie miał apetytu.

– W dziewięćdziesiątym ósmym roku przekupiliśmy sędziego, żeby uznał Tytusa Weissa za winnego podpalenia domu Dworakowskich – powiedziała na jednym oddechu Maria. – Zapłaciliśmy też kilku innym osobom, żeby nie robiły problemów, ale to decyzja sędziego była najważniejsza. Teraz już wszystko wiesz.

– Przekupiliście sędziego? – wykrztusił Podgórski.
– Dlaczego?

– Dowody nie były wystarczające, żeby od razu skazać Tytusa – przyznał prokurator Jacek Czarnecki. – Ale, do licha! On sam się przecież przyznał! System ma wiele wad, Danielu. Tytus Weiss mógł równie dobrze zostać na wolności, mimo że doprowadził do śmierci tylu porządných osób. Nie mogliśmy do tego dopuścić. Musiał zostać ukarany, i to przykładnie. Zapłaciliśmy na tyle dużo, że sędzia zgodził się bez gadania skazać go na dwadzieścia pięć lat.

Podgórski spojrział na półmisek z ciastem, jakby tam w magiczny sposób kryło się rozwiązanie całej sprawy.

– Może Tytus powinien być zostać na wolności. Nie pomyśleliście o tym? – zapytał policjant ostro. – Zwłaszcza jeżeli był niewinny.

Maria Podgórska pokręciła głową.

– Danielku, dlaczego mieliśmy chociaż przez moment sądzić, że Tytus jest niewinny? – zapytała starsza pani. – Przecież przyznał się sam. Chodziło tylko o trudności w zebraniu dowodów. Nie chcieliśmy z Jackiem tracić na to czasu. Zrozum. Nie mogłam znieść myśli, że morderca twojego ojca pozostanie bezkarny. Dlatego zapłaciliśmy sędziemu i innym.

Czarnecki pokiwał głową. Jego podwójny podbródek trząsł się przy tym rytmicznie. Podgórski poczuł, że przepełnia go odraza.

– Ciało Marty Ciosek faktycznie nie znaleziono, ale chcieliśmy mieć już to za sobą – wyjaśnił prokurator. – Sędzia przymknął na to oko. Medykiem sądowym był jeszcze wtedy mój znajomy Antoni Kowalski. Teraz już biedak nie żyje. Dostał zawału rok temu. Antek też nie zawahał się wyświadczyć mi przysługi. Zeznał, że szczątki Marty Ciosek zostały rozerwane na strzępy i nie da się złożyć ciała. Reszta nie wyglądała w najmniejszym stopniu podejrzenie. Dom Dworakowskich obłano benzyną, wrzucono do środka mołotowy. Tytus Weiss się przyznał. Co więcej, Weiss miał już historię ataków na Zofię Dworakowską. Chcieliśmy, żeby szybciej trafił do więzienia i odpokutował swoje. Dla niego to też było lepsze wyjście. Tu, w Lipowie, nie dano by mu żyć... zostałyby zlincowany. Nastroje w Lipowie były wtedy bardzo... drastyczne. Sam

przecież wiesz.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski poczuł, że zaczyna mu się robić niedobrze.

– Czy wy w ogóle przesłuchaliście jakichkolwiek świadków?
– zapytał ostro. – Czy z tego też zrezygnowaliście?

Jacek Czarnecki pokręcił głową natychmiast.

– Kilka osób przesłuchaliśmy, ale raczej pobieżnie
– przyznał.

– Nie wiem, co wy sobie wyobrażaliście! – krzyknął policjant.
– Kurwa!

Przekleństwo zawisło w powietrzu. Daniel Podgórski rzadko używał takich słów, więc sam był trochę zaskoczony siłą swojego wybuchu. Maria podniosła rękę do ust, ale nic nie powiedziała. Nie śmiała chyba wydać najmniejszego dźwięku.

– Danielu, już niedługo przechodzę na emeryturę – odezwał się ostrożnie prokurator Jacek Czarnecki. – Byłbym zobowiązany, gdybyś to uszanował. Całe życie pracowałem uczciwie na swoją pozycję. Gdyby to teraz wyszło... byłbym skończony. Pamiętaj, że chodziło tylko i wyłącznie o twojego ojca. Ja i on byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Byliśmy sobie bliżsi niż rodzina. Inaczej nigdy nie nagiąłbym prawa. Znasz mnie przecież dobrze.

Daniel poczuł, że robi mu się nieprzyjemnie gorąco. Walczył ze sobą przez chwilę. Łamali po kolei chyba wszystkie możliwe zasady. Nie tylko policyjne, ale i jego własne. Piętnaście lat temu prokurator i jego matka przekupili sędziego. Teraz sprawą zajmował się znowu bezpośredni zainteresowany, czyli on sam. W głębi serca Podgórski czuł, że tak nie powinno być. Z drugiej strony nie mógłby się pogodzić z tym, żeby sprawę przejął ktoś inny. Musiał ją zakończyć sam. Naprawić.

– Jacku, zrób wszystko, co możesz, żebym to ja nadal mógł prowadzić te sprawy. Zarówno podpalenie domu Filipa Weissa, jak i kwestię postrzelenia Marty Ciosek. Użyj swoich wpływów, jeżeli będzie trzeba, a o wszystkim zapomnimy – powiedział Podgórski, sam nie poznając własnego głosu. – Nikt więcej się o tym nie dowie.

– Oczywiście – odpowiedział od razu prokurator. – Będzie,

jak chcesz, Danielu.

W pokoju znowu zapadła ciężka cisza. Podgórski nalał sobie jeszcze kompotu z suszu i wypił go duszkiem.

– Zastanawiam się nad jedną kwestią – wtrąciła się cicho Maria, przerywając milczenie. – Nie wiem, czy to ważne.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski i prokurator Jacek Czarnecki spojrzeli na starszą panią uważnie. Napięcie nieco opadło.

– Wtedy naprawdę nikomu z nas nawet nie przyszło do głowy, że Marty Ciosek nie było w domu Dworakowskich w momencie pożaru. Przecież miała tam być. Zosia Dworakowska mówiła mi o tym wcześniej tego dnia. Tak powtarzała też córka Marty Ciosek, Jaśmina – wyliczała starsza pani na pulchnych palcach. – Wszyscy byli o tym przekonani, dlatego przymknęliśmy oko na trudności w zidentyfikowaniu jej ciała. A jednak Marty Ciosek tam wcale nie było.

– Do czego zmierzasz, Mario? – zapytał prokurator.

– Pomyślcie o tym, jak wygodnie to poszło – powiedziała Maria Podgórska już pewniej. – Wybucho pożar i wszyscy myślą, że Marta Ciosek jest w środku. A jej przecież tam nie ma. Została zastrzelona. Być może ktoś podpalił dom Dworakowskich, żeby zatuszować to morderstwo. Żeby zatuszować, że zabił Martę z pistoletu. Tej osobie na tyle zależało, żeby ukryć swój czyn, że nie wahała się narazić życia innych osób.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski pokiwał powoli głową i sięgnął po keks. Odłamał kawałek ciasta i zaczął je z trudem przeżuwać. Może matka miała rację. Próba rozwiązania tej sprawy mogła pomóc zagłuszyć wyrzuty sumienia, które w nim narastały. Zawsze myślał o sobie jako o stróžu prawa. Teraz nie był do końca pewny, kim właściwie jest.

– Tylko kto mógłby chcieć zabić Martę Ciosek? I czy teraz to ta sama osoba podpaliła dom śmieciarza Filipa Weissa?

Pytania, pytania, pytania.

Zapadł wieczór. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska

wróciła do domu. Znowu czuła się zmęczona, ale jednocześnie rozpieła ją dziwna energia. Była jak pies na tropie zmęczony jedynie pościgiem, ale ciągle podniecony tym, co go czeka.

W powietrzu unosił się przyjemny zapach. Emilia zajrzała ostrożnie do kuchni. Łukasz wyjmował właśnie z piecyka dwie niewielkie pizze. Pudełka leżały jeszcze na stoliku. Policjantka i jej syn nie rozmawiali ze sobą od czasu ostatniej kłótni. Strzałkowska poczuła wyrzuty sumienia. Może rzeczywiście zaniedbywała syna i nie liczyła się z jego zdaniem. Może Łukasz miał rację.

– Cześć, mamó – powiedział chłopak ostrożnie, jakby sondował grząski grunt. – Pomyślałem, że zrobię dla nas pizzę i coś obejrzymy. Wczoraj przegapiliśmy Kevina, więc ściągnąłem z Internetu. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Łukasz uśmiechnął się niewinnie. Strzałkowska zawsze zabraniała mu kraść filmy z Internetu. Chciała, żeby syn miał twardy kręgosłup moralny. Cóż. Chyba jej nie wyszło. Postanowiła tymczasem machnąć ręką na to drobne wykroczenie. Zresztą sama miała wielką ochotę zobaczyć tradycyjny świąteczny film. Robili tak z synem co roku.

– Zapominamy o tej głupiej kłótni, co? – zaproponowała, przejeżdżając synowi ręką po włosach.

– Jasne – zgodził się Łukasz skwapliwie.

Policjantka odetchnęła z ulgą. Nie lubiła się kłócić. Zwłaszcza z synem.

– Pogadamy jeszcze o tym, czy będziemy chcieli zostać w Lipowie, czy nie. Nie jesteśmy tu tylko ze względu na pracę – wyznała powściągliwie Emilia.

– A ze względu na co?

– Musisz mi zaufać. W odpowiednim czasie wszystko ci opowiem – obiecała Strzałkowska. – Zobaczysz.

Łukasz chwycił dwie pizze i ruszył do pokoju, gdzie stał telewizor.

– Dobra, mamó. Nie ma sprawy – zaśmiał się nastolatek.

– Ale ja jem obie pizze.

– Oddawaj moją! – krzyknęła Emilia Strzałkowska, również się śmiejąc. To była ich własna sielanka, za którą tak tęskniła.

– Słuchaj, a nadal cię interesują informacje na temat tej sekty Świątynia, o które mnie prosiłaś wcześniej? – zagadnął Łukasz. – Bo trochę już poszperałem w necie.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska złapała się na tym, że prawie zupełnie o tej sprawie zapomniała. Może dlatego, że Kobieta zza Skrzyni zyskała już swoje imię i nazwisko. Nie była NN. Nazywała się Marta Ciosek i dożyła czterdziestu siedmiu lat. Miała kasztanowe włosy i kształtny nos. Cierpiała na wadę rozwojową zwaną fokomelią. Nie przeszkodziło jej to wieść szczęśliwego życia w Lipowie i urodzić pięknej córeczki Jaśminy. Emilia znalazła trochę wiadomości na temat Marty i teraz czuła niemal, że ją zna osobiście. Mimo to przez cały dzień nie poświęciła jej praktycznie ani jednej myśli. Taka była gorzka prawda.

Syn usadowił się na kanapie przed telewizorem. Policjantka spojrziała na niego czule. Zdecydowała, że nie powinna go dłużej zaniedbywać. Informacje na temat sekty z Cichego Lasku nie były przecież aż takie ważne. Nie będą sobie tym psuli wspólnego wieczoru.

– Nie, nie trzeba. Dawaj pizzę i oglądamy tego Kevina.

Łukasz wzruszył ramionami.

– Nawet znalazłem coś ciekawego o tej sekcje – mruknął.

– Dobra, odpalam film!

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 20

Lipowo.
Piątek, 27 grudnia 2013. Przed południem

Naukowiec Jerzy Grala stanął nieco z boku pomiędzy nagrobkami na starym cmentarzu w Lipowie. Stąd miał doskonały widok na niewielką grupkę ludzi zebranych wokół świeżego wykopu. Grala czuł, że powinien przyjść na pogrzeb swojego asystenta. Był to w pewien sposób winien Filipowi Weissowi.

Jerzy Grala uważał się za znawcę ludzkiej natury. Spojrzał teraz na wszystkich zgromadzonych uważnie. Większość osób znał już dość dobrze z widzenia. Lipowo było przecież niewielkie. Matka zmarłego, Urszula Weiss, płakała bezgłośnie. Za to całkiem głośno recytowała modlitwy, które inicjował leciwy ksiądz. Izabela Weiss, wdowa po Filipie, wpatrywała się w trumnę z dziwnym wyrazem bladej twarzy. Trudno było powiedzieć, co czuje teraz ta kobieta. Obejmowały ją dwie przyjaciółki. Jedna ubrana na kolorowo, mimo smutnej okazji, a druga z długimi lśniącymi włosami barwy hebanu.

Za kobietami stanęli dwaj mężczyźni. Jednego z nich Jerzy Grala widział kilkakrotnie pod sklepem w towarzystwie pijaków. Kiedy mężczyzna zdjął czapkę z szacunku dla zmarłego, okazało się, że jest całkiem łysy. Drugim z mężczyzn był ów młody policjant, którego Jerzy spotkał tamtego dnia, kiedy natknął się na ukryte w szopie Witalisa Sobieraja stare szczątki. Nieco z boku trzymał się muskularny osobnik

o dzikiej, niedogolonej twarzy. Prawdopodobnie ów słynny podpalacz, brat zabitego, Tytus Weiss. Nikogo więcej na pogrzebie nie było. Śmieciarz nie był chyba zbyt popularny w swojej wsi.

Stary ksiądz podniósł rękę i zaczął recytować po łacinie. Słowa płynęły z wiatrem po prawie pustym cmentarzu.

Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum;
benedicta tu in mulieribus,
et benedictus fructus ventris tui, Iesus.
Sancta Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatoribus,
nunc et in hora mortis nostrae.
Amen.

– Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą – recytował dalej kapłan, tym razem po polsku. Reszta zebranych zgodnie powtarzała za starcem słowa modlitwy. – Błogosławionaś Ty między niewiastami, i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

Jerzy Grala złapał się na tym, że sam zaczął cicho powtarzać słowa modlitwy, mimo że całe swoje dorosłe życie uważał się za ateistę. W końcu ksiądz zamilkł i mężczyźni zaczęli opuszczać drewnianą trumnę do wykopu. Tego roku zima była na tyle łaskawa, że ziemia nie zamarzła jeszcze i Filip Weiss mógł spocząć w grobie bez dalszych komplikacji.

Naukowiec uniósł wzrok i spojrzał pomiędzy nagrobkami. Ku swojemu zdziwieniu zauważył tam Jaśminę Ciosek-Dworakowską. Serce zabiło mu szybciej z niepokoju i niejkiej ekscytacji. Co robiła drobniutka Jaśmina na pogrzebie śmieciarza Filipa Weissa? Przecież powinna trzymać się jak najdalej od rodziny Weissów.

Jerzy Grala podążył za wzrokiem dziewczyny. Jaśmina Ciosek-Dworakowska wpatrywała się intensywnie w Tytusa Weissa.

Zaraz po pogrzebie Filipa Weissa starszy sierżant Marek Zaręba zostawił małą Zuzię z Ewelina. Żona nie protestowała, ponieważ zgodnie z wczorajszym postanowieniem młody policjant chciał pójść z Jagną i Patrykiem Sołtysikami przyrzeć się miejscu, gdzie właściciele ekofarmy czatowali pod domem Filipa w poniedziałek wieczorem. Ich wyjaśnienie, że chcieli nastraszyć Filipa Weissa, żeby odroczył im spłatę długu, nie do końca Zarębę przekonywało. Na razie jednak nie miał innego punktu zaczepienia. To musiało więc na początek wystarczyć. Jagna była jedną z najbliższych przyjaciółek jego żony i policjant wolał nie brać nawet pod uwagę możliwości, że któreś z Sołtysików mogło mieć na sumieniu śmierć śmieciarza.

Drewniany dom Filipa Weissa zmienił się teraz w ponure zgłiszcza. Koktajle Mołotowa i polanie budynku benzyną zrobiły swoje. Gdyby dom był chociaż trochę bliżej innych gospodarstw, być może ogień nie zdążyłby się tak rozprzestrzenić i Filipa udałoby się uratować, przebiegło Markowi przez myśl. Kraty w oknach na parterze budynku były całe czarne od sadzy. To, co w zamyśle miało bronić Filipa, stało się dla niego śmiertelną pułapką.

– Dokładnie tu kucaliśmy – wyjaśniła Jagna, wskazując osłonięte dzikimi krzewami miejsce niedaleko gospodarstwa młodszego z braci Weissów.

Patryk Sołtysik przytaknął z nieobecny wyrazem twarzy. Patryk snuł się z nimi tylko, właściwie nic nie wnosząc do poszukiwań. Marka Zarębę irytowało odrętwienie właściciela ekofarmy. Teraz był raczej czas na działanie. Zwłaszcza jeżeli Sołtysikowie byli niewinni.

– I stąd właśnie widzieliście tę postać w ciemności, tak?
– upewnił się młody policjant. – Zanim uciekliście.

– Tak.

Marek Zaręba kucnął. Próbował wyobrazić sobie całą tę scenę. Jest poniedziałkowa noc, dzień przed Wigilią. Jagna i Patryk czają się w krzakach, patrząc na dom Filipa. Nagle

w ciemności zauważają mężczyznę, którego biorą za Tytusa Weissa.

– Stamtąd nadszedł ten mężczyzna – pokazała Jagna na północ od domu, jakby czytała w myślach młodego policjanta.

Zaręba spojrział we wskazanym przez farmerkę kierunku. Nie było to zbyt pomocne. Każdy mieszkaniec Lipowa szedłby właśnie z tej strony, gdyby chciał odwiedzić odosobnione gospodarstwo śmieciarza.

– Powiedz jeszcze raz, jak to się dokładnie odbyło?

– Ten mężczyzna nadszedł cicho. Potem na chwilę się zatrzymał i rozejrzał dookoła. Teraz mi się wydaje, że na pewno miał kaptur – przypomniała sobie Jagna Sołtysik. – Prawda, Patryk? Miał kaptur, co?

– Możliwe – zgodził się automatycznie jej mąż.

– W każdym razie rozejrzał się dookoła – kontynuowała właścicielka ekofarmy, ignorując brak zaangażowania Patryka. – Dlatego właśnie wydawało mi się, że może nas zauważył.

– Co ten mężczyzna zrobił potem? – zapytał Marek Zaręba.

Jagna Sołtysik wzruszyła ramionami.

– Potem właśnie się wycofaliśmy. Nie widziałam nic więcej. Zajmowałam się głównie tym, żeby jak najciszej opuścić kryjówkę i wrócić do domu. Zrozumiałam wtedy, że zachowujemy się jak dzieci. Bez sensu było straszyć Filipa. Zwykła głupota. To ja to wymyśliłam, więc tym bardziej czułam się idiotycznie.

– Po prostu bałaś się, że Tytus nam coś zrobi – mruknął Patryk pod nosem.

– Może i tak – przyznała Jagna niezrażona. – On jest przecież nieobliczalny.

Teraz z kolei Patryk Sołtysik wzruszył ramionami.

– Mógłbyś wykrzesać z siebie chociaż odrobinę zapału. To jest ważne. Być może widzieliśmy mordercę. Zdajesz sobie z tego sprawę czy wóda ci już mózg wyżarła, co? – wybuchnęła Jagna nagle. – Widzisz, Marek, Patryk tak zawsze!

Zaręba odchrząknął, żeby ukryć zakłopotanie.

– Chodźmy tam, gdzie twoim zdaniem stał ten mężczyzna

– zaproponował. – Chciałbym zobaczyć, czy czegoś tam nie znajdziemy.

Młody policjant wątpił co prawda, że grupa techników kryminalnych cokolwiek przeoczyła, kiedy badali ten teren po pożarze. Nie zamierzał jednak rezygnować ze swojego prywatnego śledztwa w najważniejszym momencie. Miał zamiar udowodnić sobie i innym, że nie jest tylko chłopcem na posyłki i opiekunką do dzieci.

Przeszli we trójkę na skróty po zaoranym polu i stanęli na szutrowej drodze, która prowadziła do obejścia Filipa Weissa.

– Tu właśnie ten mężczyzna stanął i się rozejrzał
– powiedziała raz jeszcze Jagna.

– Jesteś pewna?

– Mniej więcej. Już mówiłam, że było ciemno.

Starszy sierżant Marek Zaręba zerknął w kierunku kępy krzaków, gdzie przed chwilą kucali. Szczerze wątpił, żeby tajemnicza postać, jeżeli rzeczywiście ktoś przyszedł tu tamtej nocy, mogła zauważyć Sołtysików ukrytych w ciemności. Mimo że liście dawno opadły, gałęzie krzewów i tak tworzyły niezły gąszcz. Nawet w ciągu dnia mogły stanowić dobrą kryjówkę.

– No dobrze – mruknął Zaręba i zaczął rozglądać się wokoło.
– Zobaczmy, czy uda nam się znaleźć jakiś ślad.

Jeżeli technicy kryminalni przeoczyli najdrobniejszy nawet dowód, młody policjant miał zamiar go znaleźć. Jagna też przystąpiła do poszukiwań. Tylko Patryk stał nadal bez ruchu, wpatrując się bezmyślnie w swoje stopy.

– Marek! – krzyknęła nagle Jagna Sołtysik. Wydawała się podekscytowana. – Zobacz, tu coś jest! Miałam rację! Ktoś rzeczywiście tu był tamtej nocy!

Młodszy aspirant Daniel Podgórski przygotował nieużywany zbyt często gabinet, który w nagłych sytuacjach stawał się prowizorycznym pokojem przesłuchań. Niedługo w komisariacie miał się pojawić Tytus Weiss, żeby spełnić warunek swojego zwolnienia z więzienia. Na posterunku

zapanowała atmosfera oczekiwania. Powietrze wydawało się teraz niemal naelektryzowane.

Każdy z policjantów zajmował się własnymi sprawami. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska sprawdzała alibi Cristera Nilssona, który okazał się z pochodzenia Polakiem. Młodszy aspirant Paweł Kamiński zajmował się bieżącymi kwestiami. Maria Podgórska zaś kolejny już raz tego dnia porządkowała recepcję. Teoretycznie wszyscy byli czymś zajęci. Praktycznie wszyscy jednak czekali.

W końcu drzwi zatrzeszczały głośno i do komisariatu wszedł Tytus Weiss. Był chyba całkowicie nieświadomy napięcia, które zapanowało w oczekiwaniu na jego przyjście. Wszyscy policjanci wyszli na korytarz i wpatrywali się w brata zabitego śmieciarza. Tytus rozejrzał się po twarzach zebranych pytająco. Wyglądał na dezorientowanego.

– Miałem dziś przyjść. Minęły dwa dni od Wigilii – stwierdził nieco posepnie swoim głębokim, zachrypniętym głosem. – Nie złamałem żadnych zasad.

Daniel Podgórski podejrzewał, że starszy z braci Weissów wracał właśnie z pogrzebu Filipa. Policjant nie był pewien, czy to jest najlepszy moment, żeby Tytusa przesłuchiwać. Z drugiej strony jednak nie miał najmniejszej ochoty czekać ani chwili dłużej. Musiał dowiedzieć się prawdy na temat pożaru z 1998 roku.

– Zapraszam tam, do pokoju przesłuchań – powiedział zachęcająco. – To zajmie tylko chwilkę.

Daniel starał się spojrzeć na Tytusa z innej strony niż dotychczas. Bardzo chciał dać mu chociaż małą szansę. Być może Weiss bardzo na nią zasługiwał.

– Słucham? – mruknął Tytus Weiss zaskoczony. – Dlaczego niby mam iść do pokoju przesłuchań? Dajcie mi mój stempelek i wychodzę. Nie zrobiłem nic złego. Już sprawdziliście przecież moje alibi na noc pożaru.

Paweł Kamiński mruknął coś pod nosem. Podgórski zerknął na kolegę karcąco. Pozwolił Pawłowi brać udział w przesłuchaniu, ale tylko pod warunkiem, że będzie się kontrolował. Daniel chciał, żeby wszystko poszło jak

najbardziej profesjonalnie. Przynajmniej tyle mógł zrobić w obecnej sytuacji.

– Chcielibyśmy z tobą porozmawiać, Weiss – powiedział Paweł Kamiński, a jego głos wprost ociekał słodyczą.

Daniel Podgórski westchnął znacząco.

– Będę w salce konferencyjnej – obiecała Emilia Strzałkowska cicho. – Gdybyś mnie potrzebował.

– Przygotować coś do picia? – zapytała Maria uprzejmie, starając się nie patrzeć na Tytusa.

– To chyba nie będzie konieczne – stwierdził Weiss. – O co chodzi? Jeżeli oczywiście mogę zapytać. Miałem stawiać się tu, w komisariacie. Pokazać, że nigdzie nie uciekłem i tak dalej. Mieliście przybijać mi pieczętkę na kwitku i tyle. Co to ma być? Już mnie przesłuchaliście. Moje alibi chyba jest niezaprzeczone, prawda?

Daniel Podgórski zerknął na Pawła. Kamiński uśmiechnął się złośliwie.

– Wyszły pewne sprawy. Chcielibyśmy zadać ci parę pytań, Tytus – powiedział Daniel miękko. – To nie potrwa długo. Obiecuję.

Tytus Weiss spojrział na Daniela podejrziwie.

– Nie chodzi o to, że cię podejrzewamy – zapewnił go Podgórski szybko. Policjant miał nadzieję, że Tytus zdecyduje się współpracować. Nie chciał robić niepotrzebnego zamieszania.

Weiss zastanawiał się chwilę. W końcu zdjął niedbale włożoną na czubek głowy czapkę i rozejrzał się po niewielkiej poczekalni komisariatu.

– Będziemy gadali tutaj? – zapytał. Z jego tonu nie dało się nic wywnioskować.

– Przejdźmy do pokoju przesłuchań – zaproponował znowu Podgórski i puścił Tytusa przodem. – Tu zaraz na prawo.

Weiss wszedł do niewielkiego pomieszczenia i usiadł ciężko na metalowym krześle przy stole, który przygotował Podgórski. Wyglądało na to, że dla Tytusa to była rutyna. Muskularny mężczyzna położył łokcie na stole i ponownie rozejrzał się dookoła.

– Całkiem tu przyjemnie – stwierdził niespodziewanie tonem pogawędki.

Daniela Podgórskiego ogarnęło dziwne wrażenie, że Tytus Weiss podjął właśnie jakąś decyzję i nie zamierzał z niej zrezygnować.

– Mam nadzieję, że będziesz gadał po dobroci, kutasie jeden – rzucił w jego stronę Kamiński. – Inaczej pożałujesz.

– Paweł – upomniał go cicho Daniel i sięgnął po dyktafon. Zamierzał nagrać przesłuchanie. Chciał oczywiście, żeby wszystko przebiegło profesjonalnie. Co ważniejsze jednak, z nagranych słów nie da się już wycofać. To mogło okazać się kluczowe w tej sprawie.

Policjant wyrecytował zwyczajową formułkę i położył dyktafon na środku stołu. Tytus Weiss nawet na niego nie spojrział. Cały czas rozglądał się po pokoju przesłuchań. W końcu zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu. Miał na sobie czarną bluzę, która opinała się mocno na nieco zbyt umięśnionym karku.

– Mogę zapalić? – zapytał Tytus. Znowu przybrał ton zwyczajnej rozmowy.

Paweł Kamiński chciał chyba coś powiedzieć, ale zrezygnował pod ostrym spojrzeniem Daniela.

– Proszę bardzo – mruknął Podgórski. Miał nadzieję, że taka taktyka zaowocuje współpracą ze strony Weissa.

Tytus wyciągnął pogniecioną paczkę papierosów z kieszeni i zapalił. Zaciągnął się głęboko i wydmuchał dym do góry. Wyglądał przy tym jak wilk wyjący do księżycy w zimową noc. Daniel uśmiechnął się pod nosem do tego nieco przechodzonego porównania. Tak jednak właśnie było. Tytus Weiss był jak samotny wilk przeciwko dwóm tresowanym psom.

– Chciałbym wrócić do sprawy sprzed piętnastu lat – zaczął Daniel Podgórski. Miał wrażenie, że głos mu drży. Odchrząknął więc, żeby ukryć zakłopotanie. – Chodzi mi oczywiście o podpalenie, w wyniku którego zginęli...

– Aspirantka Zofia Dworakowska, starszy aspirant Roman Podgórski i starszy aspirant Jan Kamiński – przerwał

policjantowi Tytus Weiss. Jego ton stał się spokojny i niemal monotony, kiedy wymieniał kolejne nazwiska. – W pożarze zginęła także jedna osoba cywilna, czyli Marta Ciosek. Mam nadzieję, że nie zapomniałem o nikim.

Ostatnie zdanie zabrzmiało miękko, niemal jak przeprosiny. Podgórski pokiwał szybko głową. Nie zamierzał zdradzać Weissowi, że Marta Ciosek wcale nie zginęła w pożarze z 1998 roku. Przynajmniej jeszcze nie w tej chwili.

Tytus znowu zaciągnął się głęboko i wypuścił dym ustami. Nikotynowe opary zaczęły wypełniać niewielkie pomieszczenie. Paweł Kamiński wstał i ostentacyjnie uchylił zakratowane okno.

– Według zeznania pewnego świadka... – zaczął ostrożnie Daniel. Nie chciał na razie wymieniać nazwiska Patryka Sołtysika. – Otóż według zeznania pewnego świadka ty nie mogłeś podpalić domu Dworakowskich w nocy czwartego listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Świadek twierdził, że jesteś niewinny. Czy to prawda?

– Pieprzenie – szepnął Paweł Kamiński, wracając na swoje miejsce.

Podgórski zignorował komentarz kolegi i zerknął wyczekująco na Weissa. Tytus jednak nic nie odpowiedział.

– Czy to prawda? – zapytał raz jeszcze policjant. – Czy to prawda, że to nie ty podpaliłeś dom państwa Dworakowskich? Odpowiedz!

Dyktafon pracował miarowo. W ciszy, która zapadła w zadymionym pokoju przesłuchań, nawet te ciche dźwięki zdawały się niezwykle donośne.

– To prawda. To nie ja podpaliłem dom profesora Dworakowskiego w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku – powiedział w końcu Tytus Weiss dobitnie. – Możecie mi wierzyć lub nie, ale to nie ja jestem mordercą waszych ojców. Zróbcie z tą informacją, co chcecie.

W jego tonie Daniel Podgórski znowu usłyszał nutę zdecydowania. Pobrzmiwała w nim też raz powzięta decyzja, która mogła stać się brzemienna w skutkach. Policjant odetchnął głęboko. Teraz była pora na kolejne ważne pytanie.

Podgórski znowu odchrząknął, żeby uspokoić uporczywe drżenie głosu.

– Czy wiesz w takim razie, kto podłożył wtedy ogień?

– Tak – odparł Weiss szybko.

– Ten jebany chuj kłamać! – krzyknął Paweł Kamiński.

– Daniel, do kurwy nędzy, nie widzisz tego? On robi z tobą, co chce! Miesza ci w głowie!

Daniel Podgórski nie zwracał już najmniejszej uwagi na kolegę. Nie miał zamiaru go teraz uspokajać. Czuł, jakby w tym małym pokoju był tylko on i Tytus Weiss, który być może znał odpowiedzi na nękające policjanta pytania. Jeżeli tylko można mu było wierzyć.

– Dlaczego miałbym kłamać? Jaki miałbym w tym interes?

– zapytał tymczasem spokojnie Tytus Weiss. – Dlaczego miałbym kłamać teraz? Odsiedziałem już swoje w więzieniu. Teraz liczy się tylko prawda. Nic więcej.

– Nie wiem, gnoju, dlaczego kłamiesz. Ale na pewno kłamiesz – upierał się Kamiński. – To ty zrobiłeś!

– Czy wiesz, kto podłożył ogień pod dom Dworakowskich?

– powtórzył Podgórski, nie zwracając uwagi na wymianę zdań, która toczyła się wokół niego. Czuł się jak w transie.

Tytus Weiss zawahał się przez ułamek sekundy.

– Zrobiła to moja matka – oznajmił. – Urszula Weiss.

– Pani Urszula z biblioteki – bardziej stwierdził, niż zapytał, Daniel. Policjant miał teraz wrażenie, że nic więcej go już nie zdziwi.

– Co za pieprzenie! – krzyknął znowu Paweł Kamiński.

– Dlaczego bibliotekarka miałaby podpalać dom Dworakowskich? Ty za to miałeś aż za dobry motyw, popaprańcu. Chciałeś się zemścić za to, że pani Zosia cię aresztowała.

Tytus Weiss westchnął przeciągle.

– Moja matka jest chora psychicznie – wyjaśnił cicho, jakby się tego wstydził. – Miewa urojenia i paranoje. Kiedy mnie zabierali do więzienia, obiecała, że nareszcie zaczniesz brać leki, które przepisał jej lekarz. Wcześniej tego unikała. Obiecała też, że dobrze zajmie się Filipem. Wydawało mi się, że dotrzymała

słowa.

– Skoro ona to zrobiła, dlaczego ty się przyznałeś? – zapytał Kamiński.

– Nie chciałem, żeby to matkę aresztowali – wyjaśnił Weiss. – Mój brat był wtedy nieletni. Miał czternaście lat. Mieliliśmy tylko matkę. Nie było innej rodziny, która by nas przygarnęła. Przecież mnie nikt by nie powierzył opieki nad młodszym bratem. Miałem osiemnaście lat, ale byłem tylko dzieciakiem. I to z policyjną kartoteką. Gdyby matkę aresztowali, Filip trafiłby do sierocińca. Nie mogłem na to pozwolić. I tak nie miał łatwego dzieciństwa jako bękart, prawda? Wydawało mi się, że będzie lepiej, jeżeli zostanie z nią. Dlatego właśnie wziąłem całą winę na siebie.

Żaden z policjantów nic nie powiedział. Daniel sam nie wiedział dlaczego, ale od razu uwierzył Tytusowi. Było chyba coś takiego w jego głosie, kiedy opowiadał o tragicznych wydarzeniach sprzed piętnastu lat i o trosce o brata. O dziwo Paweł Kamiński chyba również uwierzył Weissowi, ponieważ nie zareagował ostro, jak to miał w zwyczaju.

Tytus Weiss zgasił papierosa o kant stołu.

– Nie chciałem, żeby to kiedykolwiek wyszło na jaw – dokończył swoją opowieść. – Wyszedłem z więzienia i miałem nadzieję, że zacznę nowy rozdział. Brzmi to żałośnie, ale tak właśnie było. Miałem nadzieję, że z czasem mnie tu wszyscy zaakceptujecie, a prawda będzie mogła zostać pogrzebana. Ale teraz... teraz zginął mój brat, a ja jestem pewien, że zabiła go moja matka. Ona jest naprawdę chora i powinna trafić do jakiegoś zakładu zamkniętego, gdzie ktoś by się nią odpowiednio zajął. Dopiero teraz zrozumiałem, że tak naprawdę popełniłem błąd, ukrywając prawdę... może dziś mój brat jeszcze by żył. Może dom dziecka to nie był taki zły wybór. Przynajmniej Filip by żył. Nie chcę mieć na sumieniu nikogo więcej. Dlatego z wami rozmawiam.

– Sugerujesz, że Urszula Weiss zabije kogoś jeszcze? – zapytał młodszy aspirant Daniel Podgórski niemal półprzyciomnie.

Tytus Weiss przejechał ręką po włochatym policzku.

– Profesor Seweryn Dworakowski jest naszym ojcem. Moim i Filipa. Jesteśmy jego bękartami, jeżeli wolicie takie słownictwo – poinformował rzeczowo. – Aż dziwne, że to nigdy nie wyszło na jaw. Zwłaszcza tu, w Lipowie, gdzie wszyscy żywią się plotką.

– Jesteś synem profesora Dworakowskiego? – zapytał Paweł Kamiński z niedowierzaniem. – Męża pani Zosi?

Tytus Weiss pokiwał spokojnie głową.

– Dokładnie tak. Przez pewien czas profesor Dworakowski miał romans z moją matką. Owocem tej kilkuletniej przygody jestem ja i Filip. Dworakowski przez lata zwodził moją matkę obietnicami, że zostawi żonę i niepełnosprawnego syna, ale nigdy tego nie zrobił. Jak wiecie, nigdy nas nie uznał. Profesor nie wiedział jednak, z kim zaczął. Z moją matką się tak nie postępuje. To wszystko chyba spowodowało, że jej choroba się bardzo zaostrzyła. Ogarnęła ją prawdziwa obsesja. Seweryn Dworakowski stał się centrum jej wszechświata. Nie chciała brać leków, mimo że próbowałem ją do tego zmusić. Ale ja byłem tylko dzieciakiem. Co ja mogłem?

Daniel Podgórski nie był pewien, czy uległ jakiemuś dziwnemu czarowi wymowy Tytusa, czy wreszcie wszystko zaczyna się układać w logiczną całość.

– Mów dalej – poprosił, upewniając się, że dyktafon cały czas działa. Chciał mieć możliwość wysłuchania tego wszystkiego raz jeszcze później. Może nawet nie jeden raz.

Tytus znowu pokiwał głową.

– Matka uwzięła się na profesora i jego rodzinę – powtórzył Weiss. – Co chwila starała się jakoś utrudniać im życie. Bałem się, że dzieciaki zaczną nas jeszcze bardziej prześladować. I tak już byliśmy bękartami. A stalibyśmy się jeszcze synami wariatki. Woląłem już uchodzić za chuligana, więc starałem się brać na siebie wszystkie jej wybryki. Ona zawsze bardzo dbała, żeby nie było świadków jej poczynań, więc wzięcie na siebie jej winy nie było takie trudne. Zwłaszcza na początku. Ja... czułem, że ktoś musi panować nad sytuacją. Byłem starszy, więc padło na mnie. Filip nie wiedział o większości tych spraw. Cieszyło mnie to. Chciałem, żeby brat miał w miarę normalne,

szczęśliwe dzieciństwo. Jeżeli to w ogóle było możliwe w tych warunkach.

– Sugerujesz, że wszystkie twoje chuligańskie zachowania... że to pani Urszula z biblioteki robiła? Nie ty? – zapytał Paweł Kamiński powoli. – Kurwa, sam nie wiem...

Tytus wzruszył tylko ramionami, jakby nie interesowała go opinia Kamińskiego ani to, czy którykolwiek z policjantów mu wierzy.

– Matka chciała ukarać profesora Dworakowskiego za to, że nie uznał nas za swoich synów. Robiła, co mogła, ale on nigdy się nie ugiął. Ważniejsza była dla niego „oficjalna” rodzina, czyli Albin i Zofia Dworakowska, która chyba nie wiedziała nawet o zdradzie męża. Matka wprost nie mogła tego znieść. Czła się upokorzona.

– Co się stało czwartego listopada dziewięćdziesiątego ósmego roku? – zapytał Daniel.

– Tamtej nocy... – zaczął Tytus, ale zaraz umilkł, jakby wspomnienia były zbyt bolesne.

– Mów – rozkazał Kamiński.

– Tamtej nocy matka zachowywała się wyjątkowo dziko... – wyjaśnił Tytus. – Miałem dość jej chaotycznego belkotania i mrzonek o przyszłości z Dworakowskim, która nigdy przecież nie miała nadejść. Wszedłem więc z domu. Chciałem trochę odreagować. We wsi spotkałem Patryka Sołtysika. Już wtedy był kolegą mojego brata. Był ode mnie młodszy o cztery lata, ale potrzebowałem jakiegokolwiek towarzystwa. Wypiliśmy może jedno piwo na spółkę. Miałem gdzieś, że on jest w wieku mojego brata. Chciałem już przestać o tym wszystkim myśleć. O tym, że ojciec mnie nie chce, a matka jest wariatką. Podejrzewam, że to właśnie Patryk jest tym waszym świadkiem, prawda?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski przytaknął natychmiast, zapominając o wszelkiej ostrożności.

– Tak myślałem – mruknął Tytus. – W każdym razie nagle zobaczyłem lunę. Byłem pewien, że coś się pali. Nie słyszałem, żeby jechała straż pożarna. Ludzie już byli w domach, bo to była noc.

Weiss umilkł pograżony chyba we wspomnieniach.

– Mów dalej – rzucił znowu rozkazującym tonem Paweł Kamiński.

– Od jakiegoś czasu matka o niczym innym nie mówiła, tylko o tym, że „musi wziąć sprawy w swoje ręce”, że ona i profesor Dworakowski wreszcie będą razem – kontynuował Tytus, robiąc palcami znak cudzysłowu w powietrzu. – Dodałem dwa do dwóch. To raczej nie było zbyt trudne. Już wiedziałem, gdzie się pali. Matka podłożyła ogień pod dom naszego ojca. Zawsze lubiła bawić się ogniem. Kilka razy myślałem, że niechcący spali nasz dom. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to znowu jej sprawka. Kazałem Patrykowi wracać natychmiast do domu i trzymać głowę na kłódkę, a sam pobiegłem.

– I co było dalej?

– O dziwo zdążyłem, zanim inni się zbiegli. Kiedy dotarłem pod płonący budynek, była tam tylko ona – powiedział Tytus. – Moja matka była nareszcie szczęśliwa. To było jeszcze bardziej makabryczne. Ciągle pamiętam, co wtedy powiedziała... „Tytus, zobacz. Już wszystko załatwione. Pozbyłam się tej Zośki. Teraz ja i Seweryn będziemy razem!”. To już nawet nie był jej głos. Trudno to sobie nawet wyobrazić.

Paweł Kamiński zrobił się czerwony na twarzy.

– Wszystko, kurwa, pięknie – rzucił. – Ale jak mogłeś to wszystko wziąć na siebie? Popierdoliło cię czy coś?

Tytus Weiss zapalił kolejnego papierosa. Znowu wydmuchał dym, unosząc brodę do góry. Samotny wilk.

– Już przecież mówiłem, dlaczego to zrobiłem. Ja i Filip mieliśmy właściwie tylko siebie – powiedział bardzo cicho. Daniel podsunął dyktafon bliżej niego, żeby odpowiedź się nagrała. – Matka znakomicie umiała zachowywać pozory, kiedy wychodziła z domu do pracy i do wsi. Dopiero kiedy wracała do nas, była zupełnie innym człowiekiem. To znaczy, kiedy nie brała leków. Ja i Filip mieliśmy tylko siebie. Dlatego tak bolało, kiedy brat mnie znienawidził... bałem się jednak wyznać mu prawdę. Filip zawsze był trochę naiwny. Mógł się komuś wygadać, a to mogło oznaczać katastrofę. Domek z kart by runął. Kochałem mojego brata.

Wyznanie zawisło w powietrzu. Tytus Weiss wyglądał, jakby przeraził się własnych słów. Jakby dopiero teraz powiedział zbyt dużo.

– Dlatego teraz, kiedy on już nie... teraz nie zamierzam już chronić mojej matki – dodał po chwili, zapominając o wstydzie.

– Ta chora kobieta zabiła Filipa. Nie wiem jeszcze dlaczego. Trzeba ją powstrzymać.

– Powstrzymać?

Tytus zawahał się przez chwilę.

– Podejrzewam, że prawdopodobnie teraz matka chce zabić mnie albo profesora Seweryna Dworakowskiego – wyjaśnił w końcu. – Nie chcę, żeby zginął ktoś zupełnie niewinny. Dworakowski nie mieszka przecież sam. Jest jeszcze Jaśmina i Albin. Wtedy też tak było. Matka chciała zabić Zofię Dworakowską, a zginęła także Marta Ciosek. Nie chcę, żeby historia teraz się powtórzyła. Poza tym skłamałbym, gdybym stwierdził, że własne życie mi niemiłe. Nie chcę jeszcze żegnać się z tym światem. Od kiedy wróciłem z aresztu, cały czas mam się na baczności. Czekam na jej ruch. Mam już tego dosyć. Trzeba ją zmusić, żeby zaczęła brać leki. Choćby siłą. Inaczej może być bardzo źle.

– Porozmawiamy z twoją matką – obiecał młodszy aspirant Daniel Podgórski na dobry początek. Potrzebował jeszcze czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Dobrze przemyśleć.

– Zrobimy to dziś po południu, po odprawie.

– A jeżeli coś się stanie przedtem? – naciskał Tytus Weiss.

– Ona jest nieobliczalna, kiedy nie łyka leku. Trzeba się nią zająć natychmiast!

Daniel Podgórski nie był pewien, co robić. Były dwie możliwości, albo Tytus Weiss mówił prawdę i należało działać bezzwłocznie, albo kłamał i miał w tym jakiś ukryty cel. Jedno z dwóch. Jedno z dwóch, powtórzył w duchu Daniel. Policjant wazył możliwości niezdecydowany, jak powinien w tej sytuacji postąpić.

Paweł Kamiński spojrział na Podgórskiego wyczekująco. Chyba był zadowolony, że to nie od niego zależy decyzja.

– Tytus, ty zostaniesz tutaj. Na wszelki wypadek, jeżeli

z jakiegoś powodu kłamiesz – zdecydował w końcu młodszy aspirant Daniel Podgórski. – Ja i Paweł pójdziemy po twoją matkę i wszystko sobie z nią wyjaśnimy.

Na zarośniętej twarzy Tytusa pojawiła się wyraźna ulga.

– Dziękuję – szepnął Weiss, nie patrząc na policjantów.

ROZDZIAŁ 21

Lipowo.

Piątek, 27 grudnia 2013. Po południu

Łukasz Strzałkowski wylogował się z serwera. Nie chciało mu się już grać, tym bardziej że Andżelika Zaręba siedziała obok na łóżku i nawijała na jakieś dziewczynskie tematy. Wyglądało na to, że tak naprawdę granie w ogóle jej nie interesowało. Syn Emilii nie był do końca pewny, co właściwie mieliby teraz robić. Rozważał pooglądanie telewizji, ale chyba nie było nic fajnego. Nagle wpadł na doskonały pomysł.

– Słuchaj, Andżela – zagadnął chłopak, odkładając słuchawki obok monitora. Zawsze w nich grał, nawet jeżeli z nikim aktualnie nie gadał. – Czytałem trochę w necie o tej sekcie z Cichego Lasku. Chciałabyś się tam wybrać i wszystko obejrzeć? Będzie fajnie.

Andżelika Zaręba zastanawiała się przez chwilę.

– Tata pewnie nie byłby zadowolony, gdybym tam z tobą poszła – powiedziała po krótkim namyśle. – Zresztą jemu w ogóle się nie podoba, że przychodzę tu z tobą grać. Ostatnio w Wigilię zrobił mi o to straszną awanturę. Dziwne, bo on raczej się nie złości.

– Wiadomo, że się wścieka. Rodzicom nigdy nic nie odpowiada. To normalna sprawa – zapewnił Łukasz Strzałkowski. Był starszy od Andżeliki. Zdążył już to i owo zrozumieć. – Ja też się kłócę z moją mamą i potem zawsze się godzimy. Nieważne. Zresztą właśnie dla mamy szukałem tych informacji o sekcie Świątynia, więc twój tata nie powinien mieć nic przeciwko temu, że pójdziemy sobie wszystko pooglądać. Będziemy jak policjanci na tropie. Pójdziemy wszystko obejrzeć na żywo, a ja ci opowiem, co znalazłem w necie. To co o tym myślisz?

Dziewczynka zaczesła włosy za ucho. Miały ładny odcień ciemnego blondu. Nagle Łukasz poczuł, że chciałby ich dotknąć. Zawstydził się tych myśli. Do tej pory dziewczyny jakoś mało go interesowały. Jak pozostali koledzy obejrzał kilka pornosów w Internecie, kiedy mamy nie było w domu. Jakoś go to nie wciągnęło. Koledzy opowiadali, jakie jazdy mieli przy tych filmikach, ale Łukasz podejrzewał, że trochę z tym przesadzali. Zawsze się przechwalali bez sensu. No i oczywiście była Lena z równoległej klasy. Ale za nią wszyscy latali.

– No nie wiem – zawahała się znowu Andżelika Zaręba.
– Trochę się boję. Podobno tam straszy. Nikt tam nie chodzi.

Łukasz Strzałkowski westchnął boleśnie. Jednak z tej Andżeliki to był jeszcze dzieciak.

– Przecież idziemy razem – przekonywał dalej. – Nie masz się czego obawiać.

Prawda była taka, że Łukasz sam się trochę bał i nie za bardzo miał ochotę iść sam. Z drugiej strony chciał na własne oczy zobaczyć siedzibę sekty, o której czytał w Internecie. Zależało mu bardzo, żeby przekonać Andżelikę do pomysłu wyprawy.

– No dobra – zgodziła się w końcu córka młodego policjanta.
– Tylko musimy pójść tak, żeby nie spotkać mojego taty. On tam czasem biega przez pola. Nawet teraz z wózkiem z moją siostrzyczką. Teraz moja mama pracuje, a tata się zajmuje nami.

Łukasz poczuł ukłucie zazdrości. Zawsze tak było, kiedy ktoś opowiadał o pełnej rodzinie. Mama, tata i dzieci. To było normalne. Jego rodzina wyglądała niestety zupełnie inaczej. Była mama, babcia i on. To by było na tyle. Chłopak często wyobrażał sobie, jak może wyglądać jego ojciec. Patrzył w lustro i szukał obcych cech w swojej twarzy. Elementów, które byłyby odzwierciedleniem genów nieznanego ojca. Łukaszowi wydawało się jednak, że jest podobny tylko do mamy. Czy poznałby nieznanego tatę, gdyby spotkał go kiedyś na ulicy?

Wyszli z domu. Strzałkowski pamiętał, żeby dokładnie

zamknąć drzwi. Mama zawsze go o to męczyła. Chyba miała trochę racji.

– Chodźmy przez pole – zaproponowała Andżelika, kiedy chłopak wyjmował klucz z zamka. – Może tam nie spotkamy taty.

Przeszli przez płot i ruszyli po zaoranym polu, unikając drogi. Nadal było ciepło, więc nogi grzęzły im w błocie.

– Bez sensu – mruknął Łukasz, zerkając na swoje zabrudzone buty.

Chłopak był zdania, że w ten sposób raczej nie ukryją się przed ojcem Andżeliki. Pośrodku pola Marek Zaręba mógłby zobaczyć ich jak na dłoni. Łukasz nie chciał jednak nic mówić, żeby nie urazić koleżanki.

Wreszcie dotarli do wzgórza, skąd roztaczał się widok na całą okolicę. Po prawej stronie była ściana lasu, a w dół prowadziła zarośnięta droga.

– To jest właśnie Cichy Lasek – powiedziała Andżelika Zaręba, z namaszczeniem wymawiając nazwę tego miejsca. – Nikt z nas tam nie chodzi. To przez duchy. Kilku chłopaków mi mówiło, że widziało zjawy tych samobójców z sekty na własne oczy. Podobno to było totalnie przerażające.

Łukasz Strzałkowski ruszył powoli przed siebie. Dotarli do zagajnika, gdzie znajdowała się osada sekty Świątynia. W Internecie widział zdjęcia tego miejsca, ale na żywo wszystko wydawało się zupełnie inne.

– Ja chcę wracać – szepnęła Andżelika trwożnie, ale nie zrobiła żadnego ruchu. – Tu nie ma nic ciekawego.

– Wracaj, jak chcesz. Ja idę dalej – rzucił syn Emilii.

Nie było to może zbyt miłe, ale chłopak zaczynał odczuwać magię tego milczącego miejsca i chciał się w spokoju rozejrzeć. Wszedł głębiej do lasu. Andżelika ruszyła za nim z naburmuszoną nieco miną. Stanęli pomiędzy zrujnowanymi domami.

Łukasz wyjął smartfon i otworzył przeglądarkę, z której zawsze korzystał. Mamy nie stać było na nic szczególnego, więc ekran telefonu nie był zbyt wielki. Teraz musiało to jednak wystarczyć. Chłopak załadował zdjęcia z osady sekty Świątynia,

które znalazł na jednej ze stron poświęconej polskim sektom. W swoim czasie to był nawet popularny motyw i powstało na ten temat dużo różnych wpisów.

– Zobacz, Andżela. Mam tu zdjęcie, jak to wszystko wtedy wyglądało.

Dziewczynka nachyliła się ciekawie nad telefonem.

– Co wy tu robicie? – usłyszeli za plecami.

Z największego domu wyszedł niewysoki mężczyzna. Był bez kurtki i miał podwiniete rękawy, jakby właśnie nad czymś pracował. Łukasz od razu zrozumiał, że to musi być ten naukowiec, Jerzy Grala. Syn Emilii uśmiechnął się szeroko. Doskonale się składało. Miał do Grali kilka pytań. W Internecie napisano, że Jerzy Grala jest największym specjalistą w dziedzinie sekt i pochówków na terenie północnej Polski.

– Możemy wejść do domu Witalisa Sobieraja? – zawołał chłopak z nadzieją. – Interesuje mnie to wszystko.

– A mnie nie – rzuciła Andżelika. – Chodźmy już!

– Poczekaj, chcę tylko coś zobaczyć – zbył ją niecierpliwie Łukasz.

Jerzy Grala uśmiechnął się z niejakim rozbawieniem.

– Zapraszam – powiedział, robiąc zachęcający gest ręką.

– Właśnie kończę sporządzać dokumentację malowideł na ścianach domu Witalisa Sobieraja. Uważajcie tylko, żeby nie dotknąć ścian. Te malunki są dość delikatne. Zostały zrobione ochrą i...

Łukasz Strzałkowski wbiegł do głównego pomieszczenia. To musiała być sala zwana Świątynią Kontemplacyjną.

– *Wow* – wyrwało się chłopakowi na widok tak zwanej Ściany Chwały. – W realu to zdecydowanie lepiej wygląda niż w necie. Nieźle! Mogę zrobić zdjęcia?

Jerzy Grala uśmiechnął się wyraźnie zadowolony z zainteresowania okazywanego przez młodzieńca.

– Oczywiście, młody człowieku. Zdjęcia rób do woli. Tylko niczego nie dotykajcie! – rzucił naukowiec w kierunku Andżeliki, która właśnie wycierała zabrudzony ochrą palec. – To wszystko ma wielką wartość naukową.

Łukasz Strzałkowski zrobił kilka zdjęć swoim smartfonem.

– Czy to prawda, że Witalis Sobieraj namalował tu wszystkich członków sekty? – zapytał chłopak. – W Internecie napisano, że on wierzył, że w ten sposób jego wyznawcy oddawali mu swoje dusze i nie mogli już potem odejść z sekty, bo należeli do niego. Na własność. Czy on wszystkich tutaj namalował?

– I tak, i nie – powiedział Grala, kiwając głową. – Właściwie to Witalis Sobieraj namalował tylko siebie. Sobieraj to ten tu pośrodku. Reszta członków sekty musiała namalować swoje podobizny sama. Właśnie dlatego, że to było jak podpisanie cyrografu z diabłem. Musiało być zrobione własnoręcznie.

Łukasz zrobił jeszcze kilka zdjęć. Twarze członków sekty stanowiły nieregularny okrąg, poczynając od podobizny Sobieraja do twarzy jakiegoś czarnowłosego mężczyzny. Pomiedzy nim a przywódcą sekty było jeszcze trochę wolnego miejsca, jakby Witalis Sobieraj zostawił wolną przestrzeń dla kolejnych adeptów swoich nauk.

– Nieźle! – ekscytował się Strzałkowski. – A mam jeszcze jedno pytanie.

– Pytaj, młody człowieku – zachęcił Grala. – Cieszę się, że jesteś tak zainteresowany tą sprawą. Będiesz mógł przeczytać moją rozprawę na ten temat już wkrótce. To będzie naprawdę rzetelny opis całej historii, która miała tu miejsce. Planuję to wydać w czasopiśmie i w Internecie.

Łukasz machnął ręką.

– No dobra. Wie pan, co przeczytałem w necie?

Jerzy Grala pokręcił głową.

– Nie wiem. Powiedz mi.

– Przeczytałem, że podobno ten Witalis Sobieraj zabierał członkom sekty cały majątek. To prawda?

Grala pokiwał głową.

– Tak. Witalis Sobieraj był niezwykle dokładny w dokumentowaniu swoich wydatków – powiedział natychmiast naukowiec, jakby odpowiadał na to pytanie już wielokrotnie. – Zdobyłem dokładną kopię jego zapisków. Teraz to są archiwa policji. Wtedy to była milicja i...

– Podobno krążyły pogłoski, że Sobieraj kupił za te pieniądze

wielki klejnot – przerwał mu Łukasz Strzałkowski. – To prawda? Czy tylko takie gadanie? W necie pełno tego jest. Plotek na różne tematy i tak dalej. Człowiek nie wie już, w co wierzyć.

Graża włożył kurtkę i pokiwał głową.

– Jestem pod wrażeniem, młody człowieku! Masz rację, rzeczywiście swojego czasu krążyły takie pogłoski – przyznał naukowiec. – Kiedy członkowie sekty popełnili samobójstwo, milicja podobno bardzo dokładnie przeszukała teren. Zrobili to nawet kilkakrotnie. Właśnie z tego powodu. Szukali klejnotu.

– Co to za klejnot? – ożywiła się z kolei Andżelika Zaręba.

– Badałem już kilka takich sekt. Nie tylko w Polsce – pochwalił się Graża. – Ale nigdzie nie było aż tak interesującej historii, młoda damo. Podobno Witalis Sobieraj kupił na czarnym rynku trzydziestojednokaratowy błękitny diament, który nazywany był Dumą Bałtyku. Tak przynajmniej mówiono. Muszę was jednak rozczarować. Ta historia wydaje się raczej mało prawdopodobna. Tym bardziej że ten diament należał w owych czasach do polskiej władzy ludowej. A ta raczej nie chciała się dzielić swoimi skarbami. Wątpię też, żeby Sobierajowi starczyło pieniędzy, żeby kupić Dumę Bałtyku. Nawet jeżeli zabrał członkom sekty całe ich pieniądze.

– To skoro on nie kupił tego klejnotu, to gdzie Duma Bałtyku teraz jest? – nie ustępowała córka Marka Zaręby.

– To jest kolejna tajemnica, ale niekoniecznie związana z samym Witalisem Sobierajem – wyjaśnił naukowiec. – Już mówiłem, że Duma Bałtyku należała do władzy PRL. Kiedy Polska Ludowa zmieniła się w demokratyczną, szukano tego klejnotu, ale podobno zaginęła jeszcze w latach sześćdziesiątych. Władysław Gomułka podobno nie mógł tego przeboleć. Nie dziwię się.

– Mówił pan, że Witalis Sobieraj robił takie dokładne notatki na temat pieniędzy – podchwycił Łukasz. – Nie zapisał tam jakichś dziwnych wydatków, które mogłyby oznaczać, że jednak kupił Dumę Bałtyku?

Naukowiec pokręcił głową i zaczął pakować swoje narzędzia.

– Nie, niczego takiego się tam nie dopatrzyłem. Dlatego też

wątpię, żeby w tych opowieściach było chociaż ziarno prawdy. Przykro mi. Pamiętajcie jednak, że mimo braku klejnotu temat sekty jest interesujący sam w sobie. Nie traćcie ducha.

Łukasz Strzałkowski westchnął rozczarowany. Miał nadzieję, że przeżyje przygodę życia i odkryje zaginiony diament. Chłopak zerknął na Andżelikę. Dziewczynka też zdawała się rozczarowana. Łukasz uznał, że już pora przejść do planu B.

– Ma pan pomysł, kto mógł zabić pana asystenta? – zapytał Łukasz. Miał nadzieję, że to zainteresuje Andżelikę i zastąpi nietrafiony pomysł z szukaniem zaginionego klejnotu.

Jerzy Grała spojrział na Łukasza tajemniczo.

– Mam swoje podejrzenia, ale chciałbym się jeszcze upewnić, zanim pójdę z tym na policję – wyjaśnił naukowiec. – Ty lepiej się tym za bardzo nie interesuj. Ten człowiek może być niebezpieczny. Zostawmy to policji. Niech się tym zajmą profesjonaliści.

– Moja mama i tata Andżeliki pracują w policji – powiedział Łukasz szybko. – Wiem co nieco o metodach ich pracy.

– To pozwól im wykonywać tę pracę, młody człowieku – powiedział Jerzy Grała z westchnieniem. – Mam nadzieję, że oni wiedzą, co robią. Jakbyś miał jeszcze jakieś pytania co do sekty Świątynia albo tej osady, to dam ci moją wizytówkę. Możesz dzwonić, synu. Zawsze chętnie odpowiem na twoje pytania.

Paweł Kamiński szedł szybkim krokiem przez Lipowo w kierunku domu bibliotekarki Urszuli Weiss. Szli ramię w ramię z Danielem Podgórskim. Paweł od dawna nie czuł z kolegą takiej więzi. Kiedyś nawet się przyjaźnili, on i Podgórski. To było bardzo dawno, jeszcze w szkole. Zanim zginął tata.

Kamiński czuł się zupełnie rozbity opowieścią tego pieprzonego Tytusa Weissa. Czy gnój mógł mówić prawdę? Czy to możliwe, że to bibliotekarka była podpalaczką i zabójczynią? Jedno jest pewne, uznał Paweł, nie zaszkodzi zabrać mamuśki na badanie do psychologa. Zresztą może nawet i to nie było

potrzebne. Paweł sam mógł z nią pogadać. Od razu by wiedział, z kim ma do czynienia. Kłopot w tym, że przez te piętnaście lat unikał tej baby jak ognia. Może to był błąd. Może odkryłby prawdę już wcześniej.

Paweł zauważył kątem oka, że kilka osób zdążyło się już zainteresować, dokąd on i Daniel Podgórski tak się spieszą. Ogarnęła go irytacja. Przecież nie chcieli wzbudzać sensacji, póki nie zorientują się, co i jak. Specjalnie nie wzięli radiowożu. Wszystko na darmo.

– Kurwa, czy oni muszą się wszędzie pałętać – mruknął Kamiński. – Ciekawskie toto, że nie wiem!

Policjant nie dbał o to, że ktoś go usłyszy. Już nie. Kiedyś bardzo się przejmował zachowaniem pozorów. Teraz straciło to jakiegokolwiek znaczenie.

– Nic na to nie poradzimy – mruknął Daniel Podgórski.

Szybki marsz sprawił, że szef komisariatu oddychał ciężko. Nadprogramowe kilogramy na pewno mu nie pomagały. Kamiński miał ochotę biec. Nawet jeżeli miało to oznaczać ciągnięcie za sobą Daniela. Nie chciał zostawiać kolegi. W jakiś sposób czuł, że akurat w tej sprawie muszą działać razem. Chodziło o ich ojców.

Koło kiosku stała Izka Weiss z małym Oskarkiem w nosidełku. Wdowa po śmieciarzu odwróciła wzrok. Paweł spędził z nią wczoraj całkiem przyjemną noc. Nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Była chętną wdówką i zapewniła mu trochę rozrywki.

Wreszcie dotarli do domu Urszuli Weiss. Spora grupka mieszkańców Lipowa, która przysłała tu za policjantami, zatrzymała się przed płotem. Paweł Kamiński rzucił gapiom groźne spojrzenie. Nie ważyli się wejść dalej.

– Chodźmy – ponaglił tym razem Daniel Podgórski.

Z komina domu bibliotekarki unosił się ciemnoszary dym. Urszula Weiss chyba wróciła już do domu po pogrzebie syna. Podgórski zapukał mocno do drzwi. Policjanci czekali niecierpliwie, ale nie było żadnej odpowiedzi.

– Bibliotekarka musi być w domu – rzucił Kamiński, zerkając znowu na ulatujący w niebo dym. – W kominku się pali. Raczej

nie zostawiłaby ognia bez nadzoru, prawda?

Policjanci spojrzeli po sobie. Daniel zapukał raz jeszcze.

– Pani Weiss?! – zawołał Podgórski głośno.

Paweł Kamiński nacisnął klamkę. Ustąpiła bez problemu. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Policjanci weszli ostrożnie do przedpokoju. W środku było bardzo gorąco.

– Za bardzo nagrzała – mruknął Paweł.

Daniel Podgórski bez słowa pokiwał głową.

Kamińskiego zaczęło ogarniać nieprzyjemne wrażenie. Sięgnął po służbową broń, którą nosił przy pasku. Podgórski zrobił to samo. Zaczęli powoli posuwać się wąskim korytarzem. Dużo się tu zmieniło od czasu ich ostatniej wizyty i pierwszego przesłuchania. Półki na ścianach były teraz zupełnie puste. Wszystkie książki gdzieś zniknęły. Sprawiało to dość dziwne wrażenie. Jakby bibliotekarka spakowała wszystko i wyjechała gdzieś daleko.

Paweł Kamiński zajrzał do pierwszego pokoju po lewej stronie korytarza.

– Kurwa! Ja pierdołę! – wrzasnął wbrew sobie.

Starszy sierżant Marek Zaręba usiadł przy przykrytym krzaciastą ceratą stole w kuchni. Małeńka Zuzia zasnęła, a Andżelika gdzieś wyszła. Ewelina czesała jakąś klientkę w swoim salonie. Młody policjant był sam. Wyjął z kieszeni monetę, którą znalazła Jagna Sołtysik, kiedy przed południem poszli obejrzeć miejsce, gdzie kolorowa ekofarmerka i jej mąż zobaczyli w noc pożaru tajemniczą męską postać.

Moneta była niewielka, ale dość gruba i ciężka. Miała nominalnie dziesięć koron szwedzkich. Zaręba wpatrywał się w nią, jakby przedmiot mógł przynieść jakieś odpowiedzi. Zerknął na małeńką córeczkę pytająco, ale Zuzia nadal drzemała spokojnie w bujaku.

– Ciekawe – mruknął Zaręba, wciąż wpatrując się intensywnie w dziesięć koron. – Bardzo ciekawe.

Szwedzka moneta od razu kierowała podejrzenia na rodzeństwo Nilssonów. Kto jeszcze mógłby nosić przy sobie

pieniądze z za Bałtyku? Raczej nikt, uznał w duchu młody policjant. Jeżeli wierzyć opowieści Jagny i Patryka Sołtysików, monetę upuścił podpalacz, który skradał się do domu Filipa Weissa w noc pożaru. Czy był nim Crister Nilsson?

– Wszystko pięknie – powiedział do siebie Marek Zaręba.
– Tylko czy to nie jest aby za bardzo oczywiste?

Zaręba czuł się jak w kiepskim kryminale. Zmęczony życiem detektyw w znoszonym prochowcu chodzi dookoła miejsca zbrodni z wielką lupą w poszukiwaniu niedopałków, które sprawca przez nieuwagę tam porzucił. W życiu nie było tak łatwo. Raczej wątpliwe, żeby Crister Nilsson poszedł podpalić dom Filipa Weissa i akurat wtedy wypadła mu z kieszeni moneta, która jak po sznurku zaprowadzi śledczych wprost do sprawcy.

– To jest niemożliwe – uznał Zaręba i przypięczętował swoje wnioski łyżką kaszki dla niemowląt, która została jeszcze z podwieczorku Zuzi. – Idźmy dalej.

Młody policjant rozmyślał przez chwilę, przyglądając się śpiącej spokojnie córeczce. Jeżeli wykluczyć możliwość, że Crister Nilsson jest wyjątkowym partaczem, została tylko jedna ewentualność. Nie była ona wcale przyjemna.

– Czy to Jagna Sołtysik podrzuciła monetę? – zapytał Marek Zaręba swojej córeczki, która właśnie otworzyła błękitne oczka.
– Co o tym myślisz, Zuzia?

Dziewczynka patrzyła na ojca intensywnie. Marek wziął ją na rękę i zaczął delikatnie kołysać. Był w tym coraz lepszy.

– To by wyjaśniało, dlaczego ekipa techników przeoczyła tę monetę podczas przeszukiwań od razu po pożarze. Po prostu jej tam jeszcze wtedy nie było. Jagna podrzuciła ją dzisiaj – kontynuował swój wywód Zaręba. – Wiesz o tym, Zuzia?

To była doprawdy nieprzyjemna koncepcja, uznał Marek w duchu. Dlaczego Jagna Sołtysik miałyby podrzucać monetę? Żeby skierować podejrzenia na Cristera i Carin Nilssonów, odpowiedział sobie młody policjant natychmiast. To było bardziej niż oczywiste. A dlaczego Jagna Sołtysik chciałaby skierować podejrzenia na rodzeństwo ze Szwecji? Mogło być wiele odpowiedzi na to pytanie, ale najprostsza wcale się

Markowi nie podobała. Jagna podrzuciła monetę, żeby odwrócić podejrzenia od siebie.

– Dlaczego Jagna miałaby to robić, jeżeli jest niewinna? – zapytał Marek na głos.

Odłożył maleńką Zuzię do bujaka. Córeczka zaczęła bawić się zawieszoną na rączce grzechotką. Na jej twarzy pojawił się uśmiech całkowitego szczęścia. Marek Zaręba niestety wcale nie czuł się radosny. Czy to możliwe, że najbliższa przyjaciółka jego żony wraz z mężem podpaliła dom Filipa Weissa, żeby uniknąć spłacania długu? Czy ludzie, których młody policjant znał od wczesnego dzieciństwa, byłiby zdolni do czegoś takiego?

Starszy sierżant Marek Zaręba przypomniał sobie sprawę sprzed kilku miesięcy, kiedy znaleziono nagiego mężczyznę z odciętymi palcami i podciętym gardłem. To zdarzyło się chyba gdzieś w okolicach Warszawy. Ustalono, że mężczyznę w ten właśnie makabryczny sposób ukarano za to, że nie zwrócił dość niewielkiej pożyczki. W tym wypadku sytuacja byłaby dokładnie odwrotna, ale czy nieprawdopodobna?

Po dalszym zastanowieniu Marek Zaręba uznał, że starczy już samotnych poszukiwań. Może i był tylko chłopcem na posyłki, ale nie zamierzał działać dalej sam. Jutro zanieś dziesięciokoronową monetę do komisariatu i odda Danielowi Podgórnemu. Szukanie odcisków palców na pieniądzach właściwie mijają się z celem. Zapewne monety dotykało tysiące ludzi. Skąd policjanci mieliby wiedzieć, która z tych osób jest sprawcą. Zanieś monetę do komisariatu mogło być jednak dobrym pretekstem do oficjalnego zaangażowania się w śledztwo i powrotu do czynnej służby.

Melek pociągnął długi łyk wina. Pocziwy stary jabol to była miła odmiana po picciu dynksa podczas świąt. Pani Wiera Rosłońska na szczęście otworzyła już sklep. Nawet dała po butelce wina dla każdego. Melek dumnie dzierzył w dłoni swoją zdobycz. Na jakiś czas wystarczy.

Gierot leżał obok na ławce półprzytomny. Melek wkrótce

zamierzał do niego dołączyć. Na razie jednak nadal doskonale pamiętał, że nazywa się Włodek Melkowski, więc nie wypił jeszcze wystarczająco dużo.

Nagle Gierot otworzył oczy i rozejrzał się błędnie dookoła.

– Melek, ty wiesz co? – wybełkotał pijak. – Ja wiem, kto jest mordercooooo. Tylko ja to wiem! Nikt inny.

Melek zaśmiał się i znów pociągnął długi łyk z butelki.

– Jo. Weź ty lepiej leż, Gierot, i nie gadaj pierdółek.

– Kiedy ja wiem – powiedział pijak. – Ja wiiiieem.

Nagle usłyszeli syrenę karetki pogotowia.

– Kogoś szlag chyba trafił – uznał Gierot rzeczowo, zamykając znowu oczy.

– Jo – poparł go Melek.

Póki wiedział, że się nazywa Włodek Melkowski, nie chciał, żeby to na niego trafiło. Ten szlag. Potem to już mu będzie wszystko jedno. Niech nawet i karetka go zabiera.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski siedział w swoim niewielkim gabinecie w lipowskim komisariacie. Wszyscy pozostali zdążyli już pójść do domu. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska i Maria proponowały Danielowi co prawda, że zostaną. Podgórski zapewnił je jednak, że to nie ma sensu. Paweł Kamiński poszedł do domu, kiedy tylko ekipa techników zabrała ciało Urszuli Weiss, ale Daniel chciał jeszcze posiedzieć. Sam.

Gdy Daniel Podgórski i Paweł Kamiński weszli do gorącego przedpokoju bibliotekarki, policjant od razu poczuł, że coś jest nie w porządku. Półki, które poprzednio ugięły się pod ciężarem książek, teraz były zupełnie puste. Już to samo w sobie było dziwne. Policjanci weszli ostrożnie do salonu i od razu ją zauważyli. Urszula Weiss wisiała na grubej linie przyczepionej do haka od żyrandola. Sama lampa została zdjęta i leżała pod ścianą na podłodze. Ciało bibliotekarki kołysało się lekko, jakby popychał je nieistniejący wiatr. W kominku buzował ogień. Palily się książki.

Podgórski na chwilę zupełnie stracił głowę i stał osłupiały,

wpatrując się w bezwładne ciało. Na szczęście Paweł Kamiński zachował przytomność umysłu i odsunął szybko resztę książek od kominka. Inaczej ogień prawdopodobnie rozprzestrzeniłby się na cały dom. Tymczasem Daniel doszedł jakoś do siebie i sięgnął po telefon. Wezwał ekipę techników. Zawiadomił też karetkę, chociaż było już przecież za późno. Urszula Weiss nie żyła.

Podgórski westchnął ponuro, wspominając własną niemoc w obliczu niespodziewanej śmierci bibliotekarki. Wokół zdążyły już zapaść zimowe ciemności, ale policjant wcale nie chciał zapalać światła. Ciemność była w jakiś sposób kojąca.

– Powiesiła się sama czy ktoś jej w tym pomógł? – szepnęła do siebie sfrustrowany. – Mamy następne zabójstwo? Czy nie?

Na to pytanie pomoże pewnie odpowiedzieć autopsja. Medyk sądowy Zbigniew Koterski obiecał, że zacznie jutro rano właśnie od zbadania ciała Urszuli Weiss. Podgórskiemu pozostawało spokojnie czekać na wyniki.

Policjant znowu westchnął głośno. Nie miał wcale ochoty wracać jeszcze do domu. Czuł, że musi się czymś zająć. Wstał od stołu i zapalił lampę. Od tego trzeba było zacząć, żeby wyrwać się z odrętwienia. Światło wydawało się teraz nieprzyjemnie ostre, ale szef komisariatu poczuł, że łatwiej mu się myśli. Pomysły stawały się jakby wyraźniejsze.

Podgórski postanowił przemyśleć wszystko od początku. Po pierwsze, nadal nie był do końca pewien, czy może ufać Tytusowi. Podczas przesłuchania uwierzył w każde słowo starszego z braci Weissów na temat winy bibliotekarki. Teraz jednak Urszula Weiss nie żyła. Podgórski nie wiedział, czy to coś zmieniało. Czy Tytusa można ostatecznie wykluczyć z kręgu podejrzanych? Od tego Daniel zamierzał zacząć.

Poszedł do salki konferencyjnej i otworzył szafkę, gdzie trzymali telewizor i stary magnetowid. Zamierzał obejrzeć nagranie z kamer monitoringu ze stacji benzynowej Jabłońskich. Do tej pory Daniel nie miał czasu, żeby to zrobić. W ten stresujący wieczór nadarzała się doskonała okazja, żeby nadrobić zaległości.

Włożył taśmę do magnetowidu. Sprzęt rzadko był teraz

używany. Większość nagrań była przecież cyfrowa. Jabłońscy, jak widać, trzymali się jednak tradycji. Podgórski usiadł na drewnianym krześle i obejrzał nieostry film kilka razy.

W końcu wyłączył magnetowid. Siedział przez chwilę wpatrzony w śnieg tańczący na ekranie starego odbiornika. W nagraniu z monitoringu było coś, co nie dawało policjantowi spokoju. Jak słowo, którego nam w ostatnim momencie zabraknie. Niejasne przecucie, którego nie umiemy zdefiniować. Czy to było coś w zachowaniu Tytusa Weissa?

Podgórski uruchomił nagranie raz jeszcze.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska wróciła do domu jakąś godzinę temu, ale nadal siedziała na kuchennym krześle ubrana w mundur.

– Jakby to miało cokolwiek pomóc – mruknęła do siebie.

Sięgnęła do kieszeni po notes i zaczęła go bezmyślnie przeglądać, żeby się czymś zająć. Nagle zauważyła numer telefonu do niejakiego Ludwika Zycha. Kontakt podał jej kilka dni temu mecenas Dawid Wiczorek. Prawnik reprezentował właściciela parceli, na której położona była osada sekty Świątynia.

Myśli Emilii wróciły znowu do Kobiety zza Skrzyni, która miała już teraz imię i nazwisko. Marta Ciosek. Strzałkowska czuła, że trochę ją zaniedbała. Sprawdziała alibi Cistera Nilssona vel Krzysztofa Chmielewskiego, ale czy zrobiła cokolwiek w sprawie Marty Ciosek? Odpowiedź brzmiała krótko: nie.

Policjantka wpatrywała się przez chwilę w numer telefonu zapisany na marginesie. Prawnik wyraźnie zakazywał Emilii zakłócania spokoju tajemniczego Ludwika Zycha, który mieszkał i pracował gdzieś w Stanach Zjednoczonych. Strzałkowska uznała jednak, że nie będzie się tym zbyt przejmować. W końcu chodziło o morderstwo. Zych mógł chyba znaleźć dla niej kilka minut swojego cennego czasu.

Emilia włączyła elektryczny czajnik i wyjęła z szafki kubek. Zamierzała zrobić herbatę i dać sobie kilka minut

na przygotowanie do rozmowy z Ludwikiem Zychem. Zastanawiała się, o co właściwie ma go zapytać. Czy ma pan związek ze śmiercią Marty Ciosek? Brzmiało to niezbyt taktownie i daleko by jej chyba nie zaprowadziło.

Woda zaczęła wrzeć. Policjantka zalała herbatę. Odkroiła plasterek cytryny i wrzuciła do kubka. Dosypała kilka łyżeczek cukru i napiła się słodkiego płynu z lubością.

– Najlepiej chyba improwizować – uznała Emilia pod wpływem chwili.

Wykręciła numer z marginesu strony. Oparła się o kuchenny stół w oczekiwaniu na połączenie. Miała nadzieję, że w Stanach Zjednoczonych jest jakaś znośna godzina. Obudzenie Ludwika Zycha w środku nocy chyba nie było najlepszym pomysłem. Policzyła szybko w myślach. Za oceanem było chyba osiem godzin wcześniej niż w Polsce. To by oznaczało, że jest tam teraz środek dnia. Idealnie. O ile Emilia rzeczywiście miała rację co do stref czasowych.

Po kilku sygnałach ktoś nareszcie odebrał.

– Yes? – rozległo się w słuchawce.

Emilia Strzałkowska wzruszyła ramionami z irytacją. Miała nadzieję, że nie będzie musiała znowu dyskutować po angielsku, żeby na końcu okazało się, że rozmówca doskonale zna polski. Tak jak to było z Nilssonem/Chmielewskim.

– Dzień dobry – powiedziała na wszelki wypadek od razu w ojczystym języku. – Czy mogę rozmawiać z panem Ludwikiem Zychem?

– *Speaking*. To znaczy, przepraszam. Przy telefonie Ludwik Zych – poprawił się mężczyzna gładko. – Z kim rozmawiam?

Policjantka miała dziwne wrażenie, że skądś zna ten głos.

– Mówi sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska z komisariatu policji w Lipowie – przedstawiła się. – Dzwonię w sprawie pana parceli w tej wsi.

Po drugiej stronie linii zapadła przydługa chwila ciszy.

– *Sorry*, mój prawnik wszystkim się zajmuje – odparł Ludwik Zych natychmiast. – *Please contact Dawid Wieczorek. OK?*

Emilia Strzałkowska bardzo nie lubiła, kiedy ktoś mieszał

w ten sposób dwa języki. Nie wiedziała, jak długo Zych mieszka za granicą, ale była pewna, że umiałby to samo powiedzieć po polsku. Policjantka miała koleżankę, która wyjechała do pracy do Anglii. Natalia wróciła po pół roku i twierdziła, że zapomniała już, jak się mówi po polsku. Jasne. Emilia śmiała się z niej przez długi czas.

– Rozmawiałam już z panem Wieczorkiem – wyjaśniła policjantka. – Teraz chciałabym porozmawiać z panem.

– Aha.

Aha. Tak po prostu. Głos Ludwika Zycha brzmiał coraz bardziej znajomo. Emilia Strzałkowska czuła, że już za chwilę skojarzy go z jakąś twarzą. Kiedy prawie już знаła odpowiedź, za oknem rozdzwonił się dzwon z wieży starego ceglanego kościoła koło cmentarza, zupełnie zbijając ją z pantafelów. Kolejne powiedzonko, tak popularne w jej rodzinie.

– O co chciała pani *ask*? – zapytał Ludwik Zych. Mężczyzna wydawał się skrępowany tym, że policjantka nic nie mówi.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska wyteńczyła słuch. Była teraz prawie pewna, że po drugiej stronie linii słyszy dokładnie te same uderzenia kościelnego dzwonu co u siebie za oknem. Nagle w jednej chwili wszystko stało się jasne i policjantka skojarzyła głos z twarzą. Ludwik Zych był znacznie bliżej, niż twierdził.

– Dziękuję panu. Oddzwonię jutro – powiedziała i zakończyła połączenie.

Ludwik Zych?

– Dobrze sobie – mruknęła Emilia Strzałkowska.

W żadnym razie nie zamierzała tego tak zostawić.

ROZDZIAŁ 22

Lipowo.

Sobota, 28 grudnia 2013. Przed południem

Izka Weiss nie mogła już patrzeć na synka, chociaż przecież tak bardzo go kochała. W każdym spojrzeniu małego Oskarka wdowa widziała Filipa. To było trudne do zniesienia. Potrzebowała czasu, żeby poradzić sobie z tym wszystkim.

Zostawiła dziecko pod opieką matki i wyszła na dwór. Powietrze było przyjemnie ciepłe. Na niebie uśmiechało się słońce. Izka Weiss widziała jednak w jego złocistej tarczy tylko wyrzut.

– Czy ja zwariowałam? – szepnęła trwożnie.

Nie mogła wymazać tego, co stało się w nocy dwudziestego trzeciego grudnia. Jeżeli wyjdzie z tych kłopotów, w co szczerze wątpiła, chyba nigdy już nie będzie taka sama.

Ruszyła przez wieś szybkim krokiem. Ludzie patrzyli na nią współczująco. Nie powinni. Współczucie jej się nie należało. Izka Weiss niemal chciała, żeby ktoś poznał prawdę i ją oskarżył. Może wtedy poczułaby się lepiej.

Rozmowa z Jagną Sołtysik bądź z Ewelina Zarebą nie wchodziła w grę. Żadna rozmowa nie wchodziła w grę. Izka Weiss była zupełnie sama ze swoimi myślami.

– Jesteś winna śmierci męża – powtarzał natrętny głos w jej głowie.

W ostatnich dniach ten głos stawał się coraz bardziej natarczywy. Izka Weiss próbowała go zagłuszyć. Ale nie mogła. Nie było na to żadnych szans. Była winna śmierci męża.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski siedział ze starszym sierżantem Markiem Zarebą w salce konferencyjnej

komisariatu w Lipowie. Młody policjant kołysał swoją młodszą córeczkę w wózku. Pół godziny temu Marek przyniósł monetę, którą znalazł wczoraj z Jagną i Patrykiem Sołtysikami niedaleko spalonego domu Filipa Weissa. Dziesięć szwedzkich koron leżało w plastikowym woreczku na blacie okrągłego stołu.

Za kilka minut miała się zacząć odprawa. Daniel miał wyrzuty sumienia, że nie kontaktował się praktycznie z Markiem Zarębą przez te ostatnie dni. Podgórski czuł się jednak tak przytłoczony wszystkimi wydarzeniami, że nie miał ochoty na żadne rozmowy. Bał się też, że Zaręba, który tak dobrze go zna, zobaczy w jego oczach nieprzyjemną prawdę.

Do salki konferencyjnej weszła sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska i młodszy aspirant Paweł Kamiński. Za nimi stała Maria Podgórska. W pulchnych dłoniach trzymała półmisek parującego jabłecznika z cynamonem. Nareszcie byli w komplecie. Wraz z pojawieniem się Marka Zaręby wszystko było niemal jak dawniej. Z tą tylko różnicą, że zamiast wąsatego Janusza Rosoła w odprawie miała uczestniczyć Emilia Strzałkowska. Poza tym w pokoju było małe dziecko. Podgórski czuł się z tym trochę niezręcznie. Mieli w końcu dyskutować o morderstwie. Marek Zaręba zapewnił jednak, że to nie problem. Wyglądało na to, że bardzo zależy mu na uczestniczeniu w odprawie. Daniel nie miał serca odmówić przyjacielowi, więc zaakceptował też obecność maleńkiej Zuzi.

Policjanci poczęstowali się szarlotką i przez chwilę jedli w milczeniu. Jakby nikt nie chciał odezwać się pierwszy i skomentować tragicznych wydarzeń wczorajszego dnia.

– Zaczynamy – zaproponował w końcu Daniel Podgórski. Jako szef komisariatu czuł się zobowiązany do przełamania ciszy. – Myślę, że powinniśmy zacząć od tego, co stało się wczoraj. To znaczy od śmierci bibliotekarki Urszuli Weiss.

– Rozmawiałeś z patologiem? – zapytał Marek Zaręba.

Swoim zwyczajem młody policjant był pełen zapału do działania. Daniel Podgórski wprowadził go w bieżące wydarzenia, zanim zaczęli spotkanie. Teraz Marek najwyraźniej chciał zaznaczyć swoją obecność na odprawie.

– Koterski zrobił już sekcję? – dopytywał się dalej.

Emilia i Paweł również spojrzeli na Podgórskiego z wyczekiwaniem.

– Tak, Młody. Rozmawiałem z doktorem Koterskim jakąś godzinę temu. Rzeczywiście zrobił autopsję ciała Urszuli Weiss z samego rana – poinformował ich Daniel. – Nie zauważył nic podejrzanego. Wygląda na to, że bibliotekarka wróciła do domu z pogrzebu syna i powiesiła się. To nie było morderstwo, to samobójstwo.

– Czy technicy znaleźli list? – zainteresowała się z kolei Emilia Strzałkowska.

Marek Zaręba chciał zadać to samo pytanie, ale nowa policjantka go ubiegła.

– Ja tam żadnego listu nie widziałem – wtrącił się Paweł Kamiński.

Daniel Podgórski skinął głową.

– W całym domu nie było żadnego listu pożegnalnego – przyznał. – Sami jednak wiecie, że to przecież nie musi nic oznaczać.

– Może rzeczywiście to bibliotekarka podpaliła dom Filipa, tak jak sugeruje Tytus Weiss – zastanawiała się Emilia Strzałkowska. – Może potem miała wyrzuty sumienia i nie wytrzymała presji? Trudno się dziwić, jeżeli zabiła własnego syna.

– Ona chyba naprawdę była pieprzoną wariatką – stwierdził Kamiński sentencjonalnie. – Ten jej dom... wszystkie książki spalone w kominku. Zupełnie zwęglone. Mało brakowało, a cały budynek poszedłby z dymem. Nie wiem, czy ten gnój Tytus Weiss mówi prawdę i czy jest niewinny w sprawie podpalenia domu Dworakowskich, ale jego matka była popieprzoną maniaczką. Kto by pomyślał! Moja żona wypożyczała książki z jej biblioteki. Pomyśleć, że przymykałem na to oko! Grażyna mogła tam zginąć! Ja pierdołę.

Na chwilę zapadła cisza.

– Jak ona to zrobiła? – zapytała bardzo cicho Maria Podgórska.

– Co mówisz, mamo?

Maria odchrząknęła.

– Jak Urszula Weiss się powiesiła?

Daniel Podgórski pokiwał głową.

– Zdjęła zyrandol, mamó – wyjaśnił. – Powiesiła linę na haku. Weszła na taboret, potem kopnęła stołek i... no i tak to się prawdopodobnie odbyło.

– Nie sądzisz, że ktoś musiał jej pomóc? – zapytała starsza pani. – Urszula Weiss może i młodo wyglądała, ale tak naprawdę to była niewiele młodsza ode mnie. Trudno samej zdjąć taką lampę. Zwłaszcza ciężką. Moim zdaniem potrzeba do tego męskiej ręki. Ja nie wiedziałabym nawet, jak się do tego zabrać. Skąd ona mogłaby to wiedzieć?

– Pani Maria ma rację – uznał młody Marek Zaręba. – Rzeczywiście to wydaje się trochę podejrzane, jak się człowiek nad tym głębiej zastanowi.

– Medyk sądowy nie znalazł żadnych śladów przemocy – upierał się młodszy aspirant Daniel Podgórski. – Urszula Weiss nie była też niczym odurzona. Wygląda na to, że sama postanowiła skończyć swoje życie. Zgadzam się z wami, że zdjęcie lampy niekoniecznie było dla niej łatwe... ale jakoś musiała sobie poradzić. Kto miałby chcieć jej śmierci?

– Może ten chuj Tytus Weiss! – krzyknął Paweł Kamiński wzburzony. Twarz kolegi zrobiła się czerwona z emocji.

– Pawełku! – upomniała policjanta Maria Podgórska. – Nie przeklinaj tyle. To nie uchodzi. Poza tym ksiądz zawsze powtarza, że to grzech. Przykładny katolik powstrzymuje się od używania niektórych słów. Nawet w emocjach. Kiedy wreszcie przyjmiesz to do wiadomości?

Kamiński wzruszył ramionami.

– Paweł, pamiętaj, że mamy jeszcze zeznania Patryka Sołtysika, że Tytus był z nim tamtej nocy, kiedy podpalono dom Dworakowskich piętnaście lat temu – przypomniał Podgórski. – Jeżeli założymy, że Tytus Weiss jest niewinny w tamtej sprawie, dlaczego teraz chciałby zabijać swojego brata i matkę? To bez sensu.

Paweł nie miał na to odpowiedzi, więc znowu wzruszył ramionami.

– No dobrze, co, jeżeli założymy, że Tytus powiedział wam wczoraj prawdę? – zaczął Marek Zaręba. Jego mała córka zakwilła cicho, więc młody policjant wyjął ją z wózka i zaczął kołysać w ramionach. Był to dość niecodzienny widok w salce konferencyjnej komisariatu w Lipowie. – Co, jeżeli założymy, że bibliotekarka Urszula Weiss podpaliła dom Dworakowskich i teraz, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, podpaliła dom swojego syna, Filipa Weissa? I popełniła samobójstwo. Czy sprawa jest waszym zdaniem rozwiązana?

– Nie zapominajmy o Marcie Ciosek – wtrąciła się Emilia Strzałkowska, która od początku bardzo przejęła się sprawą Kobiety zza Skrzyni.

Daniel Podgórski uznał, że nastał dobry moment, żeby przedstawić kolegom teorię, o której policjant rozmawiał z prokuratorem Jackiem Czarneckim i Marią. Nie zamierzał jednak zdradzać szczegółów nielegalnych działań prokuratora i matki w 1998 roku.

– Zastanawiałem się, czy dom Dworakowskich nie został podpalony, żeby ukryć fakt, że ktoś zastrzelił Martę Ciosek – powiedział więc tylko. – Płomienie miały zatuszować całą sprawę. Co o tym myślicie?

Policjanci przez chwilę zastanawiali się nad taką możliwością.

– No dobrze. Załóżmy, że to rzeczywiście Urszula Weiss podpaliła dom Dworakowskich, a nie Tytus – zaproponowała Emilia. – Czy to bibliotekarka w takim razie zabiła Martę Ciosek? Z twojej teorii, Daniel, tak by wynikało.

– Dlaczego miałyby to robić? – wtrąciła się Maria. – Mogę uwierzyć w winę Urszuli Weiss, ale tylko jeżeli uznamy, że bibliotekarka nienawidziła Zosi Dworakowskiej i to jej chciała się pozbyć. Zrobiła to, żeby móc rozpocząć nowe życie u boku profesora Seweryna Dworakowskiego. Urszula Weiss nie miała najmniejszego powodu, żeby zabijać Martę Ciosek. I to strzałem w głowę. Poza tym skąd bibliotekarka miałyby mieć pistolet?

Starsza pani nałożyła sobie kolejny kawałek szarlotki z cynamonem. Wyglądała na bardzo zadowoloną ze swojej

przemowy.

– Chyba masz rację, mamo – uznał Daniel Podgórski.
– Może zastanowimy się wobec tego, kto mógł chcieć śmierci Marty Ciosek. Może to jest klucz do całej sprawy? Przynajmniej tej sprzed piętnastu lat.

– Może lepiej zapytać, kto miał sposobność? – zasugerował młody Marek Zaręba, wkładając córeczkę z powrotem do wózka. – Zgadzam się z panią Marią, że bibliotekarka nie miała chyba pistoletu. Musimy ustalić, kto miał dostęp do broni o kalibrze dziewięć milimetrów.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski znowu dotknął automatycznym ruchem służbowego pistoletu przy pasku. Stary CZAK miał właśnie taki kaliber. Dziewięć milimetrów. Policjanta opanowało nieprzyjemne uczucie. Postanowił jednak o niczym nikomu nie wspominać. Musiał sam to przemyśleć.

– Jest jeszcze jedno pytanie. Czy mamy do czynienia z tym samym zabójcą teraz i piętnaście lat temu? – dodał szybko, żeby ukryć zakłopotanie. – To pewnie będzie teraz bardzo trudne, ale może udałoby się nam ustalić, kto widział Martę Ciosek ostatni. Czy ona w ogóle dotarła do domu siostry tamtej nocy? Nawet tego nie wiemy na pewno.

– Przecież pamiętacie Jaśminę, jak krzyczała, że jej mama jest w płonącym domu – powiedziała cicho Maria. – Daniel, Paweł, pamiętacie przecież...

Daniel Podgórski zerknął na Pawła. Kamiński patrzył uporczywie w blat stołu. Na jego twarzy malowała się nienawiść.

– Może w takim razie powinniśmy przesłuchać właśnie Jaśminę? – zaproponowała szybko sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska. – Wygląda na to, że ja stałam się ekspertem od „Wrzosów”. Mogę to zrobić. Nie ma problemu.

– Okej – zgodził się Daniel. – Tymczasem proponuję, żebyśmy przyjrzeni się jeszcze raz naszej starej liście podejrzanych. Może ją zaktualizujemy albo kogoś dodamy.

Nazwiska podejrzanych w sprawie podpalenia domu śmieciarza nadal były zapisane na białej tablicy wiszącej na ścianie salki konferencyjnej.

- Proponuję dopisać kilka osób, o których już rozmawialiśmy
- zasugerował Daniel i sięgnął po czarny marker.

- Carin Nilsson i Crister Nilsson
- (Krzysztof Chmielewski)
- Izabela Weiss
- Patryk Sołtysik i Jagna Sołtysik
- Urszula Weiss
- Profesor Seweryn Dworakowski

– Emilia, miałaś sprawdzić alibi Cristera Nilssona, czyli naszego Krzysztofa Chmielewskiego – przypomniał Daniel.

– Co z tego wynikło?

Strzałkowska przytaknęła ochoczo.

– Wygląda na to, że Crister rzeczywiście był z bratem, kiedy podpalono dom Filipa Weissa – poinformowała zebranych policjantka. – Rozmawiałam wczoraj z niejakim Sebastianem Chmielewskim, czyli rodzonym bratem Nilssona. Zeznał, że spędził całe Boże Narodzenie z Cristerem i resztą rodziny.

– Może robił cię, za przeproszeniem, w chuja – podsunął Paweł Kamiński słodko. – Pomyślałaś o tym? Z całym szacunkiem oczywiście.

Daniel Podgórski westchnął cicho. Wyglądało na to, że Paweł i Emilia nadal są na wojennej ścieżce.

– Może i robił mnie w chuja – odparła równie słodko Emilia Strzałkowska. – Tylko że te zeznania potwierdziła cała rodzina Sebastiana Chmielewskiego, która zgromadziła się tłumnie na święta w jego domu. Rozmawiałam chyba ze wszystkimi wujkami i ciotkami, biologicznymi i przyszywanymi. Jak masz ochotę, Paweł, możesz to wszystko sprawdzić raz jeszcze. Bardzo proszę, nie krępuj się. Z całym szacunkiem oczywiście.

Twarz Kamińskiego wykrzywił lekki grymas.

Daniel postanowił, że czas przerwać te przepychanki słowne. Przesunął dziesięciokoronową monetę na środek stołu.

– Jak alibi Cristera Nilssona ma się do znaleziska Młodego?

– zapytał szef komisariatu. – Ta szwedzka moneta leżała obok domu Filipa Weissa.

– Crister mógł zgubić ją wcześniej – zasugerował Paweł.
– Wielkie mi co.

– Już mówiłem, że bardziej mi wygląda na to, że to Jagna Sołtysik podrzuciła monetę, kiedy byliśmy tam wczoraj – powiedział z lekką niechęcią Marek Zaręba. – Tak to przynajmniej mi wyglądało. To zbyt perfekcyjny dowód jak dla mnie.

– Faktycznie, Crister Nilsson jest dla nas idealnym kandydatem na zabójcę. Może nawet nieco zbyt idealnym – zgodził się Daniel Podgórski. – Najpierw straszył Filipa Weissa i mu groził, potem znajdujemy szwedzką monetę na miejscu zdarzenia. Crister jest idealnym kozłem ofiarnym. Ktoś rzeczywiście mógł chcieć to wykorzystać.

– Co wcale nie oznacza, że został wrobiony – stwierdziła przytomnie sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska.

Podgórski pokiwał głową.

– Czy mamy jakieś nowe wieści na temat Izki Weiss?
– zapytał policjant, przechodząc do kolejnego nazwiska z listy podejrzanych.

– Ona jest niewinna – uparł się znowu Paweł Kamiński. – To wdowa w żałobie. Zostawmy ją w spokoju.

– Z całym szacunkiem, Paweł, ale nie bądź naiwny – powiedziała słodko Emilia Strzałkowska. – Nie bądźmy, proszę cię, naiwni. Z całym szacunkiem.

Kamiński uderzył pięścią w stół, ale nic nie powiedział. Córeczka Marka Zaręby zapłakała przestraszona. Młody policjant zaczął ją z miejsca pocieszać.

– Paweł, mógłbyś trochę uważać, co? – rzucił w stronę Kamińskiego.

– Młody, ciebie w ogóle nie powinno tu być, z tego, co wiem, więc się pieprz, kurwa jego mać. Ja mam prawo tu być.

– Paweł – upomniała Kamińskiego Maria Podgórska.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski uznał, że znowu nadszedł czas, żeby interweniować, zanim sprawy wymkną się spod kontroli.

– A co z profesorem Sewerynem Dworakowskim? – zapytał szybko. – Zauważcie, że on właściwie jako jedyny miał szansę popełnić wszystkie morderstwa. To znaczy on jako jedyny miał możliwość dokonać podpalenia i wtedy, i teraz.

– Daniel, ty chyba żartujesz – wtrąciła się Maria Podgórska. – Przecież Seweryn nie podpaliby własnego domu. To niedorzeczne.

– Niekoniecznie – wtrąciła się Emilia Strzałkowska z tajemniczym wyrazem twarzy. – Zauważcie, że on na przykład miał łatwy dostęp do pistoletu.

– Co masz na myśli? – podchwycił Marek Zaręba. Małeńka Zuzia zdążyła już przestać płakać i młody policjant znowu gotowy był do działania.

– O ile dobrze zrozumiałam, jego żona, Zofia Dworakowska, była policjantką – zaczęła Emilia. – Prawda?

Maria przytaknęła natychmiast.

– Tak – powiedziała. – Wtedy pracowaliśmy tu ja, mój mąż, ojciec Pawła, i właśnie Zosia Dworakowska.

– No właśnie. Żona profesora Dworakowskiego była policjantką, która miała przecież służbową broń – kontynuowała Emilia. – Wtedy policjanci używali dokładnie takich samych CZAK-ów, jakie wy tu nadal macie. Profesor Seweryn Dworakowski mógł wziąć pistolet żony i zastrzelić jej siostrę Martę Ciosek.

Na chwilę zapadła głucha cisza.

– Wróćmy do czasów obecnych – ciągnęła swój wywód Emilia Strzałkowska zadowolona z efektu, jaki wywołały jej słowa. – Mamy świadka, że profesor Dworakowski wychodził gdzieś spieszenie z „Wrzosów” tuż przed tym, zanim dom Filipa Weissa został podpalony. Widział go ten naukowiec, Jerzy Grała. Pamiętacie?

– Nie tylko on widział wtedy profesora – wtrącił się Paweł Kamiński, na chwilę zapominając o niechęci do koleżanki. – Jest jeszcze jeden świadek. Gierot też widział tamtej nocy profesora Dworakowskiego.

– No więc właśnie – ucieszyła się Emilia. – Czyli mamy już dwóch świadków, którzy widzieli Seweryna Dworakowskiego

wieczorem dwudziestego trzeciego grudnia. Ale to nie wszystko. Odkryłam coś jeszcze.

Wszyscy spojrzeli na policjantkę.

– Pamiętacie, jak chciałam skontaktować się z Ludwikiem Zychem, który jest właścicielem terenu, gdzie była osada sekty Świątynia? Mówię o Cichym Lasku.

– Tak – stwierdził Podgórski.

Daniel nie wiedział, do czego Emilia zmierza. Koleżanka nic mu nie powiedziała przed odprawą. To było trochę irytujące, zważywszy na to, że Podgórski był obecnie jej przełożonym.

– Najpierw rozmawiałam z prawnikiem, który miał reprezentować tego Zycha – przypomniała Strzałkowska. – Sam Ludwik Zych podobno mieszka w Stanach Zjednoczonych i nie można mu przeszkadzać. Jest niezwykle zajęтым człowiekiem.

– Powiedziałaś „podobno” – podchwycił młody Marek Zaręba.

– Dokładnie. – Strzałkowska uśmiechnęła się tajemniczo. – Prawnik w końcu dał mi numer do Ludwika Zycha. Nieszczęsny mecenas raczej nie miał wyboru. Kilka razy podkreślałam, że jestem z policji i prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa. Dziwne by było, gdyby nie udostępnił mi tych danych. Nieważne. Obiecałam prawnikowi, że nie będę dzwoniła do jego mocodawcy, ale wczoraj zmieniłam zdanie. Po tym, co się stało z Urszulą Weiss i w ogóle...

– No i co? – wtrącił się Daniel.

Szef komisariatu nadal nie mógł pozbyć się uczucia irytacji, że Emilia nie podzieliła się z nim istotnymi dla sprawy informacjami.

– Zadzwoiłam do niego wczoraj. Ludwik Zych mówił wystudiowanym angielskim Polaka przebywającego długo na obczyźnie. Niemal idealna gra aktorska, muszę to przyznać. Ja jednak od razu poznałam jego głos. – Emilia Strzałkowska rozejrzała się po pokoju z satysfakcją. – To był głos profesora Seweryna Dworakowskiego, a nie żadnego Ludwika Zycha. Ludwik Zych to oszustwo. Teren osady sekty w Cichym Lasku należy do Seweryna Dworakowskiego.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła Maria Podgórska. – Nigdy czegoś takiego nie słyszałam. Wiedzielibyśmy o tym w Lipowie!

– Pewnie dlatego wynajął tych prawników – zgadywał Marek Zaręba. – Pomogli mu ukryć co nieco.

– Daniel, możesz zlecić lokalizację numeru, na który wczoraj dzwoniłam – powiedziała Strzałkowska do Podgórskiego.

– Niby jest amerykański, ale ja jestem pewna, że wczoraj rozmawiałam z Sewerynem Dworakowskim, który usilnie starał się udawać kogoś innego. To do niego należy Cichy Lasek, a Marta Ciosek była jego szwagierką. Dworakowski był też kochankiem Urszuli Weiss i ojcem Tytusa i Filipa. Nie za dużo tych zbiegów okoliczności?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski pokiwał głową. Emilia Strzałkowska miała rację. Profesor znajdował się w centrum wydarzeń.

– Musimy wezwać Dworakowskiego na przesłuchanie – zdecydował. – Porozmawiamy sobie z nim na temat obydwu podpaleń.

Jerzy Grala zamknął dom przywódcy sekty Świątynia Witalisa Sobieraja. Jerzy nie był pewien, czy „zamknąć” to jest najlepsze słowo w tej sytuacji. Zabił deskami drzwi, żeby zabezpieczyć budynek i zostawić wszystko tak, jak to zastał pierwszego dnia swojej pracy tutaj. Grala cieszył się, że do domu Sobieraja nie będzie musiał już wchodzić. Plan na dziś był prosty. Obejrzy każdy z pozostałych budynków raz jeszcze, a potem zabije deskami wejścia, żeby wszystkiego nie zniszczyli ewentualni wandale. Chciał jeszcze rozejrzeć się po pozostałych domostwach, żeby być pewnym, że niczego ważnego nie przeoczył, i móc skończyć ten etap pracy.

– Nareszcie – mruknął pod nosem. Miał już dosyć Lipowa. Czekał na chwilę, kiedy zasiądzie przy swoim biurku w Warszawie i przemyśli wszystko dokładnie.

Grala wszedł do pierwszego domu. Budynek stał przy samym wejściu do osady. To był pierwszy dom, który otworzyli wspólnie z Filipem Weisse. Dziwnie było stać tu teraz

samemu.

Nagle za plecami Jerzy usłyszał kroki. Odwrócił się gwałtownie. W progu niewielkiej chaty stał Albin Dworakowski. Naukowiec zdążył się już do pewnego stopnia przyzwyczaić, że potężny chłopiec w ciele mężczyzny pojawia się znikąd bez żadnego uprzedzenia.

– Co tu robisz, Albinie? – zapytał Jerzy Grała ojcowskim tonem.

Wyglądało na to, że Albin Dworakowski często spędza czas w Cichym Lasku, mimo początkowych zapewnień, że nigdy tu nie wchodzi.

Chłopiec w ciele mężczyzny nie odpowiedział.

– Albinie? – powtórzył Grała.

Olbrzym wycofał się z chaty i ruszył przez osadę. Wydawało się, że zmierza w kierunku domu Witalisa Sobieraja.

– Tego jeszcze brakowało – mruknął Jerzy Grała pod nosem.
– Albin!

Naukowiec popędził ile sił w nogach za chłopcem w ciele mężczyzny. Wcale nie miał ochoty zamykać domu przywódcy sekty od początku. Nieźle się zmachał przybijaniem grubych desek. Ku radości Jerzego Albin minął dom Sobieraja. Chyba jednak nie miał zamiaru wchodzić do środka. Okrążył budynek i zniknął z tyłu.

– O co tu chodzi? – szepnął naukowiec zaciekawiony.

Albin Dworakowski najwyraźniej szedł do szopy, gdzie Jerzy Grała znalazł stare kości kilka dni temu. Naukowiec okrążył dom Sobieraja i zobaczył, że drzwi składziku rzeczywiście są otwarte. Chłopiec w ciele mężczyzny był w środku. Jerzy natychmiast pomyślał o wszystkich narzędziach, które były tam zgromadzone. Profesor Seweryn Dworakowski na pewno nie byłby zadowolony, że jego niepełnosprawny syn kręci się w takim miejscu.

– Albinie, wyjdź stamtąd natychmiast! – zawołał Grała zniechęcony nową rolą opiekunki. – Jeszcze zrobisz sobie krzywdę. Albin!

Olbrzym wyłonił się z szopy z dziwnym wyrazem twarzy.

– Nie ma – stwierdził głucho.

Jerzego Grałę ogarnęło uczucie déjà vu. Albin już kiedyś coś takiego powiedział. Wtedy Grała nie uzyskał odpowiedzi, o co synowi profesora Dworakowskiego chodziło. Teraz uznał, że musi się tego dowiedzieć.

– Czego nie ma? – zapytał głośno i wyraźnie.

– Ciocia Marta – mruknął Albin Dworakowski i wszedł z powrotem do szopy, jakby chciał się upewnić, że kości naprawdę tam nie ma.

Jerzy zajrzał do środka. Promienie słońca ledwo tu docierały. Przypomniawszy sobie dzień, kiedy wszedł tu sam. Nie spodziewał się, że za wielką skrzynią znajdzie ludzkie szczątki. Przecież trzydzieści ciał osób, które popełniły zbiorowe samobójstwo, zostało oddanych rodzinom. Właściwie trzydzieści pięć, licząc dzieci. Nieudokumentowana trzydziesta pierwsza dorosła osoba zupełnie nie pasowała do tego równania. Być może właśnie dlatego Grała tak się tym przejął tamtego dnia. Nie spodziewał się ludzkich szczątków w starej szopie.

– Twojej cioci już tu nie ma – powiedział delikatnie do Albina.

Wiedząc, że kobietą ukrytą za skrzynią była niejaka Marta Ciosek, czyli matka Jaśminy, a ciotka Albina, rozniosła się po wsi lotem błyskawicy. Wszyscy byli zaskoczeni. Jerzy Grała nie mniej niż inni.

– Nie ma – powtórzył Albin, jakby był nakręconą zabawką, która nie może przestać mówić tego samego. Wciąż i wciąż.
– Nie ma. Nie ma. Nie ma. Nie ma. Nie ma.

Grała nie był pewien, na jakie schorzenie dokładnie cierpi ten wielki chłopiec w ciele mężczyzny. Wszyscy powtarzali, że Albin potrzebuje rehabilitacji. Jerzy Grała nie zauważył jednak u olbrzyma szczególnych deficytów ruchowych. Niemniej umysł Albina to była już zupełnie inna sprawa. Albin porozumiewał się pojedynczymi słowami albo krótkimi frazami. Rzadko tworzył pełne zdania. Nie było mowy o normalnej konwersacji. Jaśmina wspominała Jerzemu, że przez długi czas Albin w ogóle nie mówił, więc i tak nastąpił pewien przełom.

– Twoją ciocię zabrała policja. Niedługo na pewno będziecie

ją mogli ładnie pochować – starał się przekonać Albina.
– Wyjdź już, chłopcze. Chciałbym zamknąć tę szopę. To nie jest dobre miejsce do zabawy.

– Nie ma – powtórzył znowu chłopiec w ciele mężczyzny.
– Nie ma.

Jerzy Grala westchnął głośno. Nie był pewien, co w tej sytuacji należy zrobić. Zostawić tu Albina samego czy postarać się odprowadzić olbrzyma do domu? W końcu zdecydował, że Albin chyba umie sam o siebie zadbać.

– Zrób, jak chcesz. Ja wracam do „Wrzosów” – oznajmił głośno, żeby olbrzym na pewno go usłyszał.

– Ja i tata. Ciocia – poinformował Albin. – Tu! Nie ma.

Wyglądało na to, że chłopiec w ciele mężczyzny chce wykrztusić coś więcej, ale słowa plątały mu się w ustach. Pulchne policzki wydeły się jeszcze bardziej. Olbrzym usilnie próbował coś Grali przekazać.

Naukowiec zatrzymał się w pół kroku.

– Co chcesz powiedzieć, Albinie? Powoli. Słucham cię – zapewnił. – Nic się nie martw. Powoli mi wszystko opowiedz.

– Ciocia u aniołków – poinformował Albin, uspokajając się trochę.

To już wiemy, pomyślał Jerzy Grala z irytacją. Powolna konwersacja z młodym Dworakowskim będzie chyba wymagała więcej cierpliwości, niż naukowiec posiadał.

– Ja i tata tu. Ciocia u aniołków. Ja i tata tu. Ciocia u aniołków. Ja i tata tu.

Albin znowu powtarzał słowa jak nakręcony. Jerzy poprawił szalik. Z całej siły starał się pojąć, co chłopiec w ciele mężczyzny stara się mu przekazać.

– Kiedy ciocia umarła, przynieśliście ją tu? – zaryzykował naukowiec, chociaż brzmiało to zupełnie niedorzecznie.

Albin pokiwał głową z zapalem.

– Teraz nie ma.

Jerzy Grala spojrział uważnie na Albina Dworakowskiego. Nie był pewien, czy chłopiec w ciele mężczyzny czegoś nie pokręcił. Przecież to było niemożliwe. Profesor Dworakowski miałby przynieść Martę Ciosek do Cichego Lasku?

– Nie ma!

– Zaraz, chwileczkę, Albinie. Kiedy twoja ciocia umarła, ty i twój tata przynieśliście ją tutaj do osady? – upewnił się naukowiec. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że sam teraz gadał jak zacięta płyta. – Tak było?

Albin znowu pokiwał głową.

– Teraz nie ma.

Naukowiec poczuł, że dłużej nie zniesie powtarzania wciąż tego samego. O ile dobrze zrozumiał, Albin twierdził, że on i profesor Seweryn Dworakowski ukryli w szopie za domem przywódcy sekty ciało zastrzelonej Marty Ciosek. Tego było już za wiele. Jerzy Grała nie zamierzał sam się tym zajmować. To była robota dla policji. Niech oni przesłuchają chłopca w ciele mężczyzny i wyłuskają potrzebne informacje z tej zepsutej płyty. Grała zrobi, co do niego należy, czyli odprowadzi Albina do komisariatu. Potem zaś wróci, by nareszcie skończyć pracę w osadzie Świątyni.

ROZDZIAŁ 23

Lipowo.

Sobota, 28 grudnia 2013. Po południu

Carin Nilsson przyglądała się, jak Crister upycha rzeczy w ich wspólnej walizce. Brat nie zawracał sobie głowy równym składaniem ubrań, tylko wrzucał wszystko do środka jak leci. Chcieli jak najszybciej wsiąść do swojego forda focusa i wrócić do Szwecji. Planowali pojechać do Świnoujścia i stamtąd przeprawić się promem do Trelleborga. Carin tęskniła już za swoim rodzinnym miastem.

Crister Nilsson zapakował butelki z fioletowym płynem szczególnie ostrożnie. Carin patrzyła na to w skupieniu. Bała się, że ktoś nagle wejdzie i zapyta ich, co oni właściwie robią. Po co im to wszystko. Carin nie była taka jak brat. Nie potrafiła traktować takich sytuacji lekko. W jej umyśle powstawały tysiące czarnych scenariuszy.

– *Tror du att polisen kommer att tillåta oss att gå hem?*²⁸

– zapytała brata ostrożnie. Nie chciała go prowokować.

– *Jag vet inte* – przyznał Crister. – *Vi kommer att vänta några dagar för att inte orsaka onödig misstänksamhet*²⁹.

Zasunął zamek torby.

– *Det är bra att resväskorna redan är packade*³⁰ – poparła go Carin z uśmiechem.

– *De kan inte hålla oss kvar här för alltid* – pocieszył siostrę Crister. – *Det finns absolut inga bevis mot oss*³¹.

²⁸ Myślisz, że policja pozwoli nam pojechać do domu?

²⁹ Nie wiem. Odczekamy kilka dni, żeby nie powodować niepotrzebnych podejrzeń.

³⁰ To dobrze, że walizki są już spakowane.

³¹ Nie mogą nas tu trzymać w nieskończoność. Nie ma absolutnie żadnych dowodów przeciwko nam.

Niska Szwedka pokiwała głową. To prawda. Policja chyba nic na nich nie miała. A może jednak? Może Carin niepotrzebnie się do nich zwracała, kiedy Crister pojechał w odwiedziny do brata. Wtedy to wydawało się dobrym pomysłem, ale teraz miała niemal pewność, że jej nadgorliwość zwróciła tylko uwagę policji.

– *Ar du orolig, Carin?*³² – zapytał Crister Nilsson z ciepłym uśmiechem na twarzy.

Brat rzadko się tak uśmiechał. Był mężczyzną z krwi i kości. Nie tak jak Filip Weiss. Teraz Carin Nilsson zaczęła dobrze to rozumieć. Może Crister od początku miał rację. Pieniądzy nie odzyskali, ale przecież nie o to chodziło. Wyleczyła się z Filipa. Może ten przyjazd do Lipowa nie był jednak wcale takim złym pomysłem.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska patrzyła z satysfakcją na profesora Seweryna Dworakowskiego, który siedział przed nią na metalowym krześle w prowizorycznym pokoju przesłuchań. Daniel Podgórski pozwolił Emilii poprowadzić rozmowę z Dworakowskim. Policjantka czuła, że na to zasłużyła. W końcu to ona odkryła prawdę o tożsamości Ludwika Zycha.

Tuż przed sprowadzeniem profesora Dworakowskiego do komisariatu Daniel Podgórski dostał z Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy potwierdzenie lokalizacji numeru „Ludwika Zycha”. Okazało się, że rzeczywiście był to amerykański telefon z przedpłaconą kartą. Tyle że jego właściciel znajdował się nie za Oceanem Atlantyckim, jak sam twierdził, ale tuż obok, w samym Lipowie.

– Witam, panie profesorze – powiedziała Emilia Strzałkowska z satysfakcją, kiedy Daniel Podgórski dał jej znak do rozpoczęcia przesłuchania. – No widzi pan, jednak musiał się pan pofatygować do nas i oderwać od przygotowywania wykładów. Co za szkoda. Naprawdę bardzo mi przykro.

Profesor Seweryn Dworakowski spojrzał na policjantkę

32 Martwisz się, Carin?

niechętnie, ale na jego twarzy nadal malował się całkowity, niczym niezmałcony spokój. Strzałkowska postanowiła, że nie pozwoli, żeby postawa przesłuchiwanego zbiła ją z tropu.

– Czy podtrzymuje pan swoje wcześniejsze zeznanie na temat miejsca swojego pobytu wieczorem dwudziestego trzeciego grudnia? – zapytała Emilia. – Przypomnę, że chodzi o przedział czasowy pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą.

– Już pani mówiłem, że byłem wówczas w domu, we „Wrzosach”, i pracowałem w swoim gabinecie – powiedział mężczyzna. – Nie wiem, po co mnie tu dziś sprowadziliście. Mam powtarzać to samo? Byłem wtedy w domu.

– Nikt jednak nie może tego potwierdzić? – podchwyciła policjantka gładko.

Profesor Seweryn Dworakowski skinął głową.

– Bardzo proszę o odpowiedź. Wszystko musi być na nagraniu – wtrącił się Daniel Podgórski, wskazując na nieco staromodny dyktafon, który stał na stole.

– Tak – odparł Seweryn Dworakowski.

Emilia Strzałkowska musiała przyznać, że profesor cały czas zachowywał stoicki spokój. Krew właściciela „Wrzosów” musiała być zimna jak lód. Czas było uderzyć mocniej. Policjantka odchrząknęła znacząco i rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Podgórskiemu.

– Tak więc nie ma nikogo, kto mógłby potwierdzić, że był pan we „Wrzosach” pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą. Jednocześnie mamy aż dwóch świadków, którzy widzieli pana wówczas poza domem.

– Doprawdy?

– Jak najbardziej.

– W takim razie obaj państwa świadkowie muszą kłamać – odparł spokojnie Dworakowski. – Ja byłem w tych godzinach w domu. Nie wychodziłem. Nigdzie. Jak już mówiłem, przygotowywałem wykłady przez cały wieczór. Pracowałem do północy i nigdzie nie wychodziłem. Poważnie traktuję swoją pracę na Politechnice Warszawskiej.

Policjantka zerknęła do swoich notatek. Zdecydowanie

powinna kupić nowy notes. W plątaniu zdań nie mogła już niczego odczytać.

– Czym się pan tam zajmuje? – zapytała, żeby nieco zyskać na czasie.

– Wykładam w Zakładzie Materiałów Wysokoenergetycznych na Wydziale Chemii.

Materiały wysokoenergetyczne. Materiały wysokoenergetyczne, powtarzała sobie w duchu Emilia Strzałkowska.

– Czy dobrze rozumiem, że chodzi o materiały wybuchowe? – upewniła się policjantka. – Tak w prostych słowach.

– Tak – potwierdził profesor, kiwając głową. – Między innymi.

Emilia i Daniel znowu wymienili spojrzenia.

– Czy mówi coś panu nazwisko Ludwik Zych? – zapytała policjantka.

– Ludwik Zych? Nie, nic mi to nazwisko nie mówi – odparł Seweryn Dworakowski równie spokojnie jak przedtem. – Nie znam nikogo takiego. Dlaczego pani pyta?

– Bardzo proszę się dobrze zastanowić. Lokalizowanie numeru telefonu jest w obecnych czasach nad wyraz łatwe – zapewniła Emilia Strzałkowska. – Jak to mawiał mój ojciec, bułka z masłem.

Profesor Seweryn Dworakowski po raz pierwszy nerwowo się poruszył. Przejechał ręką po swoich mlecznobiałych włosach.

– No dobrze – przyznał w końcu. – Może niepotrzebnie się z tym kryłem. Zwyczajnie chodziło mi o dyskrecję. Nic więcej. To cała tajemnica.

– Dlaczego po prostu nie przyznał pan, że Cichy Lasek należy do pana? – wtrącił się Daniel Podgórski. – Zupełnie tego nie rozumiem. Po co te ceregiele z prawnikami?

Dworakowski wzruszył ramionami.

– Nie chciałem, żeby wszyscy w Lipowie wiedzieli, że ziemia jest moja. W pewnym momencie miałem trochę pieniędzy i ją kupiłem. Po prostu chciałem to zachować dla siebie – rzucił profesor zaczepnie. – Chyba mi wolno. To nie jest żadne przestępstwo. Mój prawnik wszystko wam udostępnił.

– Skąd miał pan pieniądze na kupno tej posesji? – zapytała Emilia ostro. – Musiała być wiele warta.

Profesor Dworakowski spojrzął na policjantkę przelotnie.

– To już moja sprawa. Ale zapewniam, że ziemia nie była zbyt droga. To przez tę sektę i zbiorowe samobójstwo. Ludzie myślą, że tam straszy. Idiotyczne zabobony. W każdym razie planowałem, że zrobię tam coś dla turystów, ale nic z tego nie wyszło. Nie miałem pomysłu ani dalszych funduszy. Poza tym w międzyczasie zginęła też moja żona i straciłem zapał do wszystkiego. Dlatego to wszystko nadal leży odłogiem.

– Od kiedy jest pan właścicielem tej ziemi?

– Chyba od lata dziewięćdziesiątego ósmego roku. O ile mnie pamięć nie myli.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska zamknęła notes. I tak nie mogła nic odczytać ze swoich notatek. Wszystko było zupełnie pomieszane.

– Wróćmy do nocy z czwartego na piąty listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku – zaproponował Daniel Podgórski. – Gdzie pan wtedy był? Pamięta pan?

Dworakowski spojrzął na szefa komisariatu w Lipowie wymownie.

– Panie Danielu, wie pan przecież doskonale, że już odpowiadałem na to pytanie – powiedział. – Nie chcę do tego wracać. To zbyt bolesne wspomnienia.

– Proszę mimo wszystko odpowiedzieć.

Profesor Seweryn Dworakowski przetarł ręką oczy.

– Jak pan chce – zgodził się mężczyzna z rezygnacją. – Byłem wtedy z Albinem na rehabilitacji. Kiedy wróciliśmy, mój dom stał już w płomieniach. Moja żona... moja ukochana Zosieńka... ona była w środku... i jej siostra Marta też... matka mojej Jaśminy. Kiedy przyjechałem, było już za późno na ratunek...

Głos profesora załamał się nagle. Mężczyzna płakał przez chwilę bezgłośnie. Emilia Strzałkowska spuściła wzrok. Czuli się zmieszani. Ktokolwiek podpalił dom Dworakowskich piętnaście lat temu, zniszczył życie nie tylko zabitych, ale także ich rodzin. Wyglądało na to, że nie tylko Daniel Podgórski

i Paweł Kamiński nie mogą zapomnieć tamtej nocy.

– Niech będzie przeklęty Tytus Weiss i jego rodzina! – rzucił profesor z mocą. – Niech będą przeklęci!

– Czy to prawda, że Tytus i Filip Weissowie to pana synowie? – zapytał nieustępliwie Daniel Podgórski. Twarz policjanta przypominała obecnie kamienną maskę.

Seweryn Dworakowski znowu przetarł ręką oczy i odetchnął głęboko, jakby chciał się uspokoić.

– Nic o tym nie wiem – odparł.

– Jest pan całkowicie pewien? – nalegała Emilia Strzałkowska. – Czyli nie miał pan romansu z Urszulą Weiss?

– Bibliotekarka była szalona – mruknął Dworakowski, odzyskując nieco panowanie nad sobą. – Rzeczywiście ona tak twierdziła. Kłamała oczywiście. Zwłaszcza dawniej. Od czasu tamtej nocy, kiedy zginęła moja rodzina, jakoś się na szczęście uspokoiła. Ja jednak i tak starałem się unikać i jej, i Filipa Weissa. Nie chciałem jej prowokować. Zresztą nie chciałem też widzieć nikogo z nich. To chyba zrozumiałe?

Ojcostwo można było ustalić przez pobranie DNA Dworakowskiego i Tytusa Weissa. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska podejrzewała jednak, że profesor nie będzie zbyt skłonny do współpracy w tej kwestii. Jeżeli zdecydują się na takie badanie, będą potrzebowali nakazu.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Danielku, Emilio! – zawołała Maria z korytarza. – Chodźcie natychmiast!

Tytus Weiss na nowo błąkał się po okolicznych polach. Wyglądało na to, że zmieniło się to już w swoisty rytuał. Policja nie miała chyba żadnych wątpliwości w kwestii samobójstwa bibliotekarki Urszuli Weiss, ponieważ pozwolono mu już wrócić do domu. Tytus nie miał jednak na to najmniejszej ochoty. Ten dom był teraz jak więzienie.

Weiss wzruszył ramionami. Nie chciał myśleć ani o matce, ani o bracie. Nie teraz. Potrzebował czasu, żeby oswoić się z myślą, że obecnie już naprawdę został sam. Przez wiele lat

w więzieniu miał poczucie odtrącenia, ale przecież oni gdzieś tam zawsze byli. Matka i Filip. Teraz został tylko on. Więzień numer 1126 Zakładu Karnego w Starych Świątkach.

Na polnej drodze zobaczył drobną sylwetkę Jaśminy Ciosek-Dworakowskiej. Serce zabiło mu szybciej. Nagle Tytus Weiss zrozumiał, że to właśnie głównie ze względu na tę dziewczynę kręcił się tu cały dzień. To była dziwna myśl. Nie rozumiał, co właściwie ich połączyło, ale niezaprzeczalnie powstała pomiędzy nimi jakaś dziwna więź. Jakby drobniutka Jaśmina rzuciła na niego czar.

Jaśmina podeszła do Tytusa szybko. Na polach panowała już ciemność. Gdyby leżał śnieg, pewnie wydawałoby się jaśniej, ale teraz Weiss ledwo widział twarz dziewczyny. Zrobiła kolejny krok w jego stronę. Wydawało mu się teraz, że Jaśmina trzyma coś w rękach, ale w ciemnościach nie mógł stwierdzić co.

Nagle księżyc wyłonił się zza chmur i stał w rękach dziewczyny błysnęła złowieszczo.

Nóż.

Melek obserwował Gierota i Patryka „Łysego” Sołtysika z rozbawieniem. Taka lekka wesołość pojawiała się jedynie po wypiciu pewnej szczególnej dawki alkoholu. Potem była już tylko melancholia zakończona zupełną ciemnością.

Tego wieczoru wszyscy trzej zdążyli już sobie trochę wypić, kiedy Gierot znowu zaczął się przechwalać.

– Ja wiem, kim jest morderca – powiedział pijak pewnym tonem i beknął. – Tylko ja znam rozwiązanie zagadki!

– Gównu wiesz – rzucił w odpowiedzi Patryk Sołtysik gwałtownie.

Melek pokiwał głową, żeby poprzeć kolegę. Jednego albo drugiego. Wszystko jedno.

– Jo – dodał na wszelki wypadek.

Melek też był zdania, że Gierot jest zwyczajnym mitomanem. Jak każdy z nich, prawdopodobnie znowu kłamał.

– Sami gównu wiecie! – krzyknął Gierot rozżłoszczony.

– Cholera jasna, chłopaki. Ja naprawdę wiem, kto to. Wiem, kto podpalił dom śmieciarza.

– To powiedz! – zawołał buńczucznie Patryk Sołtysik. – No, kto to zrobił twoim zdaniem?

Gierot zaśmiał się gardłowo.

– Chcielibyście, żebym wam powiedział, darmożjady jedne! Sam na tym zarobię. Już mi wpadło trochę grosza, ale zamierzam się bardziej obłowić. Wykorzystam to do ostatniej kropli. Koniec moich problemów z kasą. Nic wam nie powiem, najpierw wyciągnę z tego tyle, ile się da.

Melek zaśmiał się i upił niewielki łyk z butelki.

– Jo, Gierot. Jak już będziesz tym pieprzonym gryzipiórkiem, to postawisz wódeczkę, co? Tak za stare czasy.

– Chciałbyś, Melek. Ja spieprzam. Mam was dość na dzisiaj. Nic nie rozumiecie!

Gierot zatoczył się lekko i poszedł w swoją stronę. Melek pociągnął kolejny łyk. To było o łyk za dużo. Rozpoczęła się melancholia.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski usiadł w swoim gabinecie na posterunku w Lipowie. Emilia Strzałkowska i jego matka zdążyły już wyjść, ale gdzieś tam krzątał się jeszcze Paweł Kamiński. Policjanci znowu unikali patrzenia sobie w oczy.

Daniel popijał niezbyt dobrą kawę rozpuszczalną i rozmyślał o wydarzeniach minionego dnia. Razem z Emilią przesłuchiwali profesora Seweryna Dworakowskiego, kiedy na posterunku zjawił się Jerzy Grała w towarzystwie Albina Dworakowskiego. Naukowiec przekonywał ich, że chłopiec w ciele mężczyzny twierdzi, że to on razem z ojcem ukrył ciało Marty Ciosek w Cichym Lasku.

– To wydaje się wprost niedorzeczne, ale pomyślałem, że powinniście to sprawdzić – powiedział Jerzy Grała, wychodząc.

Podgórski zostawił profesora Dworakowskiego pod opieką Emilii Strzałkowskiej, a sam razem z Pawłem, Marią i młodym Markiem Zarębą próbowali dogadać się z Albinem. Było to niezwykle trudne zadanie. Daniel nie czuł się kompetentny,

żeby prowadzić tego typu przesłuchanie, ale uznał, że nie mają wyjścia.

W końcu po kilku godzinach rozmów, karmieniu Albina Dworakowskiego ciastem i uspokajaniu go udało im się uzyskać informacje, na które liczyli. Chłopiec w ciele mężczyzny potwierdził, że razem z ojcem schowali ciało ciotki w osadzie sekty Świątynia w Cichym Lasku. Nie potrafił jednak sprecyzować, kiedy dokładnie to wydarzenie miało miejsce. Dla Albina czas nie istniał, a przynajmniej nie posuwał się w tym samym tempie co dla wszystkich innych.

Daniel Podgórski wrócił do prowizorycznego pokoju przesłuchań, gdzie czekał profesor Seweryn Dworakowski. Długa „rozmowa” z Albinem sprawiła, że policjant czuł, że ból głowy zaraz rozsądzi mu czaszkę. Wszelkie pokłady cierpliwości, które mu jeszcze zostały, były zdecydowanie na wyczerpaniu.

– Pana syn zeznał, że ukrył pan ciało swojej szwagierki, Marty Ciosek, w Cichym Lasku, czy to prawda? – zapytał Podgórski bez ogródek.

Emilia Strzałkowska spojrzała na szefa komisariatu zaskoczona. Daniel nie czuł wyrzutów sumienia. Koleżanka też go o wszystkim nie informowała. Teraz byli kwita.

– Czy tak było?

– Oczywiście, że nie – odparł spokojnie profesor Dworakowski. – To bzdury.

To jego opanowanie zaczęło szczególnie irytować Podgórskiego.

– Przypominam, że nie wolno wam przesłuchiwać mojego syna bez mojej obecności – dodał Seweryn Dworakowski cierpko. W jego głosie pojawił się też cień złośliwej satysfakcji. – To naruszenie prawa. Albin jest jak dziecko. Jego umysł nigdy nie osiągnął wieku męskiego. Albin nie odpowiada za to, co mówi. Żaden sąd wam tego nie uzna.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski nie był pewien, ale wydawało mu się, że w głosie siwowłosego mężczyzny usłyszał też lekką nutę wyzwania. Policjant zdał sobie nagle sprawę, że rzeczywiście popełnili błąd. Naprawdę nie powinni byli

przesłuchiwać Albina sami. Trzeba było zrobić to oficjalnie. Trzeba było wezwać specjalistę. To było niewybaczalne niedopatrzenie. Dworakowski równie dobrze mógł ich podać do sądu.

Co gorsza, na razie nie mieli żadnych nowych dowodów przeciwko profesorowi i musieli zwolnić go do domu. Tam Dworakowski na pewno wyuczy niedorozwiniętego syna, co ten ma zeznawać w przyszłości. Po piętnastu latach policjanci stracili być może jedyną szansę, żeby ukarać mordercę Marty Ciosek. Pozostawała tylko nadzieja, że uda im się znaleźć wystarczające dowody na to, że Seweryn Dworakowski podłożył ogień pod dom Filipa Weissa kilka dni temu.

Daniel Podgórski dopił mdłą kawę. Trzeba też było dopilnować, żeby profesor Dworakowski nigdzie nie uciekł tym swoim starym saabem, uznał policjant. Nagle, zupełnie niespodziewanie, Daniel przypomniał sobie nagranie z monitoringu stacji benzynowej Jabłońskich.

– Samochód! – powiedział do siebie w nagłym olśnieniu.

Po tym, jak obejrzał nieostry filmik z kamer monitoringu na stacji Jabłońskich, Podgórski cały czas miał wrażenie, że coś przeoczył. Teraz nagle wszystko zrozumiał. Nie chodziło wcale o zachowanie Tytusa Weissa, tylko o znajomy samochód, który stał na stacji benzynowej.

Szef komisariatu w Lipowie pobiegł natychmiast do salki konferencyjnej. Chciał się upewnić, że ma rację. Włączył telewizor i stary magnetowid. Włożył kasetę do odtwarzacza drżącą ręką. Na ekranie pojawił się mętny obraz. O 20.53 wjechał na stację Tytus Weiss, który prowadził samochód matki. Daniel niecierpliwie wpatrywał się w pozostałych klientów stacji.

– Tak! – wykrzyknął podekscytowany. – Miałem rację.

Przy dystrybutorze numer cztery, nieco z tyłu ekranu, stało bmw serii 3. Nagranie było czarno-białe, ale widać było, że samochód ma ciemny kolor. Daniel Podgórski gotów był się założyć, że bmw jest w rzadko spotykanym odcieniu czarnofioletowym.

Policjant oglądał dalej w skupieniu. Kamera uchwyciła

kierowcę bmw z tyłu, kiedy wsiadał do samochodu o 20.55. Twarzy nie było widać, Podgórski był jednak całkiem pewien, że to Paweł Kamiński.

Kolega miał czarnofioletowe bmw 316 E36 hatchback z 1995 roku od niedawna. Daniel ciągle kojarzył Kamińskiego z jego srebrnym mondeo, którym Paweł jeździł bardzo długo. Może dlatego Podgórski nie zorientował się od razu przy pierwszym oglądaniu nagrania, że Paweł Kamiński był na stacji benzynowej Jabłońskich w tym samym momencie, kiedy zjawił się tam Tytus Weiss. Niedługo przed podpaleniem domu śmieciarza Filipa Weissa.

Daniel wziął pilota i cofnął nagranie o kilka minut. Wcześniej zawsze oglądał je od tego samego punktu, to znaczy od pojawienia się na stacji Tytusa Weissa. Teraz zamierzał zobaczyć, o której na stacji zjawił się Kamiński. Być może kamera uchwyciła też twarz kolegi. Podgórski chciał mieć pewność, zanim skonfrontuje się z Pawłem. Być może nie było sensu robić z tego afery, ale Daniel czuł się w pewien sposób oszukany. Dlaczego Kamiński zwyczajnie nie powiedział, że widział Tytusa na stacji? Nie mógł go przecież nie zauważyć.

Nagranie ruszyło. Dokładnie o 20.50 na stację paliw wjechało ciemne bmw. Paweł Kamiński wysiadł z samochodu i zamknął ostrożnie drzwi. Zatankował paliwo do baku. Potem otworzył bagażnik i wyciągnął dwudziestolitrowy kanister na benzynę. Daniel wstrzymał oddech, patrząc, jak kolega go napełnia i chowa z powrotem do bagażnika.

– Co ty tu jeszcze robisz? – zapytał Paweł Kamiński, stając niespodziewanie w drzwiach salki konferencyjnej.

Daniel Podgórski wyłączył szybko film. Miał wrażenie, że ręce mu się trzęsą. Czy to możliwe, że właśnie zobaczył, jak Paweł przygotowuje się do podpalenia domu śmieciarza Filipa Weissa?

– Kurwa, Daniel. Odjęło ci mowę czy co?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski zamknął szafkę z telewizorem. Starał się zachowywać normalnie.

– Pornola oglądałeś? – zaśmiał się Kamiński. – Co jesteś taki spłoszony?

– Oglądałem coś znacznie ciekawszego – mruknął Daniel.

Podgórski zdecydowanie nie miał ochoty doprowadzać teraz do konfrontacji. Być może właśnie widział najważniejszy dowód w całej sprawie. Nie zamierzał popełniać tego samego błędu co dzisiejszego dnia z profesorem Sewerynem Dworakowskim i Albinem. Trzeba było podejść do tego ostrożnie.

ROZDZIAŁ 24

Lipowo i Brodnica.
Niedziela, 29 grudnia 2013. Przed południem

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska ponownie stanęła przed „Wrzosami”. Tym razem chciała dokładniej przesłuchać Jaśminę Ciosek-Dworakowską. Gdzieś dalej, po drugiej stronie wsi, rozdzwonił się kościelny dzwon. Wzywał wiernych na niedzielną mszę, jakby w Lipowie nic niezwykłego się w ostatnich dniach nie stało.

– Oczywiście – mruknęła policjantka pod nosem.

Życie miało tendencję toczyć się dalej. Bez względu na wszystko. Strzałkowska sama kilkakrotnie się o tym przekonała. Na przykład w roku 2000, kiedy kolejny test ciążowy pokazał jej, że to nie pomyłka. W jej ciele właśnie zaczęło powstawać nowe życie. Jej synek. Czy podjęła wówczas dobrą decyzję, wybierając samotne wychowywanie dziecka? Cóż. Życie toczyło się dalej i trzeba było jakoś to ciągnąć.

Emilia Strzałkowska zapukała do drzwi „Wrzosów”. Miała porozmawiać z Jaśminą już wczoraj, ale w związku z długotrwałym przesłuchaniem Albina i profesora Dworakowskiego nic z tego nie wyszło. Strzałkowska czuła się zmęczona. O ile dobrze liczyła, pracowała już dziesięć dni bez przerwy.

Zmęczenie, które opanowało policjantkę, nie było jednak tylko efektem przepracowania. Chodziło też o tajemnicę, którą skrywała przed Łukaszem. Dotychczas jej relacje z synem oparte były na całkowitej szczerości. Teraz Emilia miała wrażenie, że przemilczenie prawdy jest najgorszym kłamstwem. Może powinna była wszystko Łukaszowi od razu opowiedzieć. Może powinna była dać synowi wybór, skoro tak bardzo tego chciał.

Nagle drzwi się uchyliły, przerywając rozważania policjantki. W progu stanęła drobnitka Jaśmina Ciosek-Dworakowska. W ciągu ostatnich dni Emilia oglądała zdjęcia Marty Ciosek wielokrotnie. W twarzy Jaśminy widziała wyraźnie cechy jej matki. Ta sama linia podbródka i kości policzkowych. Twarz może nie piękna, ale na pewno ciekawa. Może nawet w pewien sposób intrygująca.

– Muszę z panią porozmawiać – zaczęła Emilia Strzałkowska. Jaśmina zerknęła szybko w głąb domu.

– Tu, we „Wrzosach”, to chyba nie jest najlepszy pomysł – powiedziała cicho. – Mój wuj raczej nie ma ochoty pani widzieć po tym, co się stało wczoraj. Jest wściekły, że przesłuchaliście Albina sami i że jego trzymaliście tak długo.

Strzałkowska odchrząknęła, żeby ukryć zakłopotanie. Wprawdzie to wszystko były decyzje Daniela Podgórskiego, ale ona też czuła się za te błędy odpowiedzialna. Zwłaszcza za nieprawomocne przesłuchanie Albina.

– To było konieczne. Proszę mi uwierzyć – powiedziała jednak lojalnie. – Może w takim razie mogłybyśmy pójść porozmawiać gdzie indziej?

– Tu niedaleko na polach jest całkiem przyjemna droga – zasugerowała Jaśmina Ciosek-Dworakowska. – W sam raz na spacer.

– Świetnie – ucieszyła się Emilia. Spacer to zdecydowanie lepszy pomysł niż ponowne zamykanie się w klaustrofobicznym fioletowym saloniku. – Chodźmy.

Ruszyły w kierunku pól. Droga była początkowo kamienista, ale potem stała się przyjemnie piaszczysta. Kiedy tak szły w promieniach słońca, Strzałkowska miała niemal wrażenie, że jest chłodny letni poranek, a nie koniec grudnia.

– O czym chciała pani ze mną rozmawiać? – zapytała Jaśmina nieufnie.

– O pani matce i tym, co się stało w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku – wyjaśniła policjantka oględnie.

Dziewczyna pokręciła głową niechętnie.

– Nie chcę o tym rozmawiać – warknęła niespodziewanie

ostro. – Już mnie poinformowaliście, że to moja mama była w Cichym Lasku.... to znaczy jej kości. Co jeszcze więcej można na ten temat powiedzieć? Dla mnie to zamknięty rozdział.

Emilia spojrzała na Jaśminę zaskoczona. Czy ta dziewczyna w ogóle nie była zainteresowana tym, co spotkało jej matkę? To wydało się policjantce oburzające.

– Marta Ciosek została zastrzelona, a jej ciało ukryto – syknęła oskarżycielsko Strzałkowska. – To nic dla pani nie znaczy? Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę tego zrozumieć. Chodzi o pani matkę.

Dziewczyna przyspieszyła nieco kroku. Policjantka musiała teraz niemal biec, żeby ją dogonić. Dotarły w ten sposób do rozstaju dróg, gdzie rosło kilka drzewek.

– To mirabelki – poinformowała Jaśmina, jakby nie usłyszała, co przed chwilą powiedziała Strzałkowska. – Lubi je pani? Pamiętam, że moja ciotka Zosia robiła z nich pyszną marmoladę. Moja mama też kilka razy próbowała taką zrobić, ale jakoś jej nie wychodziła.

– Nie obchodzi to pani ani trochę, że Marta Ciosek została zamordowana? – rzuciła znowu Emilia. Policjantka miała ochotę mocno potrząsnąć tą drobnutką kobietą.

– Oczywiście, że mnie to obchodzi! – krzyknęła Jaśmina. Jakiś ptak ukryty wśród gałęzi dzikiej śliwy zerwał się do lotu przestraszony. – Ale ja pochowałam mamę piętnaście lat temu. Pożegnałam się z nią. Nie chcę już do tego wracać. Proszę to uszanować. Teraz, tam w Cichym Lasku, to tylko szkielet.

– Tylko?

Jaśmina Ciosek-Dworakowska zatrzymała się i spojrzała na Emilię świdrującym wzrokiem.

– Tak. Tylko – powtórzyła dziewczyna z naciskiem. – Może pani trudno to zrozumieć, ale ja właśnie tak to widzę. Pochowałam matkę piętnaście lat temu – powtórzyła. – Nie chcę rozdrapywać tej starej rany. Wczoraj zrozumiałam to najlepiej. Rozpamiętywanie przeszłości to błąd. Chcę żyć dalej. Już dosyć się wszyscy nacierpieli. Zostawmy to i idźmy do przodu.

Policjantka wzruszyła ramionami. Podejście Jaśminy

w sprawie wyjaśnienia śmierci jej matki w ogóle Emilii nie przekonywało.

– Może i pani nie chce rozdrapywać starej rany, ale ja muszę zadać pani kilka pytań. Przykro mi – powiedziała policjantka z przekąsem. – Taka praca.

– Niech pani pyta. Chyba i tak nie mam wyjścia, prawda?
Strzałkowska pokiwała głową.

– Dokładnie. Nie ma pani wyjścia – potwierdziła. – Niech pani sobie przypomni noc z czwartego na piąty listopada dziewięćdziesiątego ósmego roku. Kilku świadków zeznało, że przybiegła pani pod płonący dom wujostwa i twierdziła, że pani matka jest w środku. Czy tak było?

Jaśmina pokiwała głową.

– Tak myślałam. Mama miała iść tego wieczoru do cici – wyjaśniła dziewczyna. – Wspominała, że może zostanie nawet na noc. Czasem tak robiły. Mama i ciocia Zosia były sobie bardzo bliskie. Moja mama zajmowała się Albinem, kiedy był malutki, żeby ciocia mogła wrócić do pracy. To było, zanim mnie urodziła. Potem Albin też często nas odwiedzał.

– Zofia Dworakowska i Marta Ciosek były żyte? – upewniła się Emilia.

– Tak. Bardzo lubiły spędzać razem czas. Zwłaszcza jak wuj Seweryn zabierał Albina na rehabilitację. Gadały wtedy jak przekupki. – Dziewczyna zaśmiała się do swoich wspomnień.

– Ja wtedy zostawałam w domu.

– Z ojcem?

Zaczęły znowu iść niespiesznie.

– Jak pani pewnie wie, mój ojciec już wtedy nie żył – powiedziała Jaśmina Ciosek-Dworakowska, kręcąc głową.

– Kiedy mama szła do cici Zosi, ja zostawałam w domu sama. Miałam dziesięć lat i umiałam sobie radzić. Mama bardzo dbała, żebym nie czuła się przytłoczona jej obecnością. Byłam późnym dzieckiem. Mama urodziła mnie w wieku trzydziestu siedmiu lat. Nie chciała być wobec mnie nadopiekuńcza.

– Kiedy pani widziała matkę ostatni raz?

Jaśmina zerknęła na Emilię Strzałkowską, jakby nie rozumiała pytania policjantki.

– Niech pani przypomni sobie tamten dzień – poprosiła jeszcze raz policjantka.

– Mamę widziałam ostatni raz, kiedy wychodziła do cioci – powiedziała bez najdrobniejszego zawahania dziewczyna.
– Zjadłyśmy wczesną kolację i mama miała iść prosto do cioci Zosi. Ja miałam odrobić lekcje i położyć się spać. Miałam na nią nie czekać.

– Jest pani pewna, że Marta Ciosek nie planowała iść nigdzie indziej? Na przykład zanim poszła do siostry? Albo potem?

Jaśmina pokręciła głową natychmiast.

– Mama nawet nie ubrała się za ciepło. Pamiętam dokładnie, jak mówiła, że przecież nie będzie chodzić nigdzie daleko, więc nie trzeba...

Szły przez chwilę w milczeniu.

– Więcej nigdy jej już nie widziałam – zakończyła Jaśmina Ciosek-Dworakowska z westchnieniem.

Nagle sierżant sztabowej Emilii Strzałkowskiej zachciało się płakać. To nie było zbyt profesjonalne, ale słowa drobniutkiej dziewczyny poruszyły w niej jakąś strunę. Sama była matką, a ze swoją rodzicielką też miała bardzo bliskie stosunki. W jej rodzinie to kobiety były najważniejsze. Nie wyobrażała sobie, żeby babci Łukasza mogło zabraknąć.

– Jakie były stosunki pomiędzy pani matką a pani wujem? – zapytała po chwili, starając się przybrać na powrót profesjonalny i rzeczowy ton. – Wspomniała pani, że Zofia Dworakowska zaprosiła Martę Ciosek na wieczór, ponieważ profesor Seweryn Dworakowski odjechał z Albinem. Był jakiś szczególny powód, dlaczego chciały uniknąć jego obecności?

Jaśmina wzruszyła ramionami.

– Moja mama i wuj byli w raczej dobrych stosunkach. Proszę nie wciągać w to mojego wuja. Już mu wystarczy po wczorajszym dniu. To dobry człowiek – zapewniła. – Po śmierci mamy adoptował mnie. Dlatego mam teraz dwa nazwiska. Wuj ma już siedemdziesiąt lat. Nie chcę, żeby go teraz nękanono. Tym bardziej że nie zrobił nic złego. Czasem ma trudności z okazywaniem uczuć. Nie jest wylewny, ale to dobry człowiek. Zapewniam panią.

– Pani kuzyn, Albin, twierdzi, że to właśnie pani wuj ukrył ciało Marty Ciosek w osadzie w Cichym Lasku – przypomniała policjantka. – Co pani o tym sądzi?

– Przecież pani wie, jaki jest Albin – odparła Jaśmina z czułym uśmiechem. – On czasami po prostu nie wie, co mówi. Jest opóźniony w rozwoju, jak nazywają to niektórzy. Chociaż ja wolę mówić, że to chłopiec w ciele mężczyzny. Nie lubię określać w stylu „niedorozwinięty” i tak dalej. Albin nie jest taki jak inni i tyle. To wystarczy. „Niedorozwinięty” sugerowałoby, że jest w jakiś sposób gorszy, a to przecież zupełnie nieprawda! Albin to wspaniała osoba.

Znowu się zatrzymały. Stały na wzgórzu, z którego można było obserwować całą okolicę. Zagajnik, w którym kryła się osada sekty Świątynia, widać było stąd jak na dłoni.

– Czy pani matka miała jakichś wrogów? – spróbowała znowu Emilia.

Jaśmina pokręciła głową.

– Nie. Wszyscy zawsze ją lubili. Niektórzy bali się jej, ponieważ nie miała normalnej ręki – powiedziała dziewczyna ze złością. – Ale to były inne czasy. Mama cierpiała na wadę rozwojową ręki. Może pani o tym wie?

Policjantka przytaknęła.

– Wada była prawdopodobnie spowodowana tym, że babcia przyjmowała nieodpowiednie leki podczas ciąży. Teraz to już nieistotne. W każdym razie to tylko obcy bali się mamy. Brak ręki nie przeszkadzał jej normalnie funkcjonować. Zajmowała się mną perfekcyjnie. Pracowała też w sklepie. Nie u pani Wiery. W innym. Teraz już go nie ma – dodała dziewczyna. – Wszyscy, którzy mamę znali, bardzo ją lubili – powtórzyła. – Nie miała wrogów.

– A jednak ktoś strzelił jej w głowę i ukrył ciało w Cichym Lasku – mruknęła Emilia Strzałkowska. Znowu zaczęła ją ogarniać irytacja. – Ktoś musiał jej nie lubić... przynajmniej na tyle, żeby to zrobić.

– Nikt taki nie przychodzi mi do głowy – odparła Jaśmina Ciosek-Dworakowska niemal bezradnie. – A już na pewno nie był to mój wuj. Próbujecie zrobić go w zastrzelenie mojej

matki i teraz w podpalenie domu Filipa Weissa. Może jeszcze powiecie, że podpalił własny dom piętnaście lat temu i skazał na śmierć ciocię Zosię? To nonsens. Mówiłam już, że wuj to dobry człowiek.

Emilia Strzałkowska kopnęła niewielki kamyk. Potoczył się i zatrzymał przy miedzy. Latem pewnie kwitły tu intensywnie błękitne chabry i czerwone maki.

– Nikogo nie wrabiamy. Pani wuja widziało dwóch świadków.

– Ale czy ci świadkowie widzieli, jak wuj podpalał dom Filipa Weissa? – zapytała Jaśmina ostro. – Tak czy nie? To, że widzieli wuja, jak gdzieś szedł, nie oznacza od razu, że jest mordercą.

Policjantka wzruszyła ramionami. Nie zamierzała zdradzać zbyt wiele.

– Jeżeli nie widzieli, jak wuj podpalał dom Filipa Weissa, to na jakiej podstawie myślicie, że to wuj jest sprawcą? – zaatakowała znowu Jaśmina.

– Wszyscy wiedzą, że profesor Dworakowski nienawidzi rodziny Weissów – powiedziała Emilia lakonicznie.

– Sama pani wie, że to zdecydowanie za mało, żeby kogoś oskarżyć.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska nie odpowiedziała. Zawróciły i ruszyły w kierunku „Wrzosów”.

– Jeżeli chodzi o śmierć Filipa – zagadnęła znowu Jaśmina.

– Widziałam coś dziwnego pod łóżkiem tego Szweda, Cristera Nilssona. To może okazać się ważne.

– Co mianowicie pani widziała?

Dotarły z powrotem pod mirabelkę. Zatrzymały się pod niewysokim drzewkiem, jakby to już stało się tradycją.

– Sprzątałam w jego pokoju. Zawsze tak robię. Chcemy we „Wrzosach” mieć standardy jak w dobrym hotelu

– wyjaśniła Jaśmina Ciosek-Dworakowska z dumą w głosie.

– Tak więc sprzątałam pod łóżkiem Cristera Nilssona. On miał tam schowane butelki denaturatu. Słyszałam, że do podpalenia domu śmieciarza użyto między innymi denaturatu, więc pomyślałam, że nie powinnam zachowywać tego dla siebie...

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska wolała nie zastanawiać się, skąd drobniotka kobietka zna szczegóły śledztwa. Najwidoczniej tu na wsi wieści roznosiły się lotem błyskawicy. Rzeczywiście domowej roboty butelki zapalające, czyli koktajle Mołotowa, których użyto do podsycenia pożaru domu Filipa Weissa, zawierały denaturat. Oprócz tego drewniany dom śmieciarza polano jeszcze benzyną.

Myśli policjantki wróciły natychmiast do Cristera Nilssona, czyli Krzysztofa Chmielewskiego. Wysoki mężczyzna był od samego początku ich pierwszym i najbardziej oczywistym podejrzanym. Czy to możliwe, że to jednak on podpalił dom Filipa Weissa? Przecież w noc pożaru wyruszył na spotkanie brata. Emilia nie mogła sobie teraz przypomnieć, o której to było. Czy Crister Nilsson miał szansę najpierw podpalić dom śmieciarza, a potem pojechać na spotkanie z bratem? Może szwedzka dziesięciokoronówka, którą znaleźli Jagna Sołtysik i Marek Zaręba, należała jednak do Nilssona? Czy przeoczyli ważny trop?

Strzałkowska zakłęła w duchu. Już wczoraj, po zaskakujących zeznaniach Albina, powinni byli przeszukać dom profesora Seweryna Dworakowskiego. Przy okazji mogli zajrzeć do wynajmowanych przez gości pokoiów. Może znaleźliby denaturat, o którym mówiła Jaśmina. Chyba że alkoholu już dawno nie było. Emilia nie rozumiała, dlaczego Daniel Podgórski nie zlecił przeszukania „Wrzosów”. Jako szef komisariatu w Lipowie powinien był to zrobić od razu. Teraz już zapewne było za późno. Jeżeli we „Wrzosach” były kiedykolwiek jakieś obciążające kogoś z mieszkańców dowody, pewnie już dawno stamtąd zniknęły.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała Jaśmina Ciosek-Dworakowska, wrywając Emilię z zamyślenia.

– Oczywiście. Muszę zajrzeć do państwa domu i sprawdzić te informacje – oznajmiła policjantka.

Daniel Podgórski popełniał, nieświadomie czy celowo, zbyt dużo błędów. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska uznała, że jeżeli trzeba, będzie działała na własną rękę.

Starszy sierżant Marek Zaręba ułożył córeczkę w wózku biegowym. Kolejny dzień oznaczał kolejny trening. Przynajmniej tyle mu zostało z normalnego życia sprzed urlopu ojcowskiego. Nadal nie padał śnieg i było przyjemnie ciepło. Młody policjant szczególnie się z tego cieszył, ponieważ wszystkie jego trasy biegowe były wciąż przejezdne dla wózka. Jeżeli o niego chodzi, zima i śniegi mogły w ogóle w tym roku nie przychodzić.

Ruszył szosą w kierunku jeziora Bachotek i końca wsi. Po prawej stronie, na wzgórzu obok lasu, stał stary dworek Weroniki Nowakowskiej. Dziewczyna Daniela Podgórskiego była teraz w Warszawie. Podobno z wizytą u rodziny. Daniel nic więcej Markowi nie powiedział, a Zaręba wołał nie wypytywać. Jeżeli działo się coś złego, przyjaciel na pewno wcześniej czy później sam mu o tym powie. Na pewno?

Młody policjant dobiegł do tablicy oznajmiającej koniec wsi. Odkąd tu stanęła, tablica ta była nieprzerwanie dumą ich sołtysa. Niedaleko stąd, jakiś rok temu, znaleziona została zabita zakonnica. Teraz te wydarzenia wydawały się odległe o całe wieki i całkowicie nierealne, jakby przydarzyły się zupełnie komu innemu.

Marek zerknął do wózka. Maleńka Zuzia uśmiechnęła się do niego szeroko. Ostatnio córeczka robiła to coraz częściej. Zaręba z niecierpliwością czekał, kiedy Zuzia powie swoje pierwsze słowa. Do tej pory pamiętał te emocje, kiedy Andżelika powiedziała coś podobnego do „da-da”. Policjant miał wtedy osiemnaście lat. Teraz brakowało mu niecałych dwóch lat do trzydziestki i chyba przeżywał wszystko jeszcze bardziej.

Marek poczuł, jak stopniowo ogarnia go błogi nastrój. Uwielbiał biegać. Mięśnie pracowały rytmicznie, a wspomnienia wypełniły jego umysł wzruszającymi obrazami obu córek. Zaręba poczuł się szczęśliwy, mimo że tak bardzo brakowało mu pracy.

Niespodziewanie młody policjant zobaczył leżącego na poboczu mężczyznę. Czar chwili prysnął.

– Matko, Gierot! Znowu? – prychnął Zaręba z niedowierzaniem. – Człowieku, ty kiedyś zamarzniesz! To nie są żarty! Gierot!

To było jak codzienny rytuał. Marek mówił swoje, a pijak odpowiadał coś bełkotliwie. Niemal dzień w dzień ta sama historia.

– Gierot, pobudka! Jak ty tu doszedłeś? Twój dom jest zupełnie w inną stronę! – zawołał Zaręba raz jeszcze. – Gierot, pobudka! Czas do domu!

Młody policjant powiedział swoją zwyczajową kwestię. Czekał teraz na zbolale „Cześć, szefie. Wiesz, jak jest”, ale pijak się nie odezwał. Widocznie wczorajszej nocy Gierot wypił o wiele za dużo, uznał Zaręba w duchu. Teraz leżał na poboczu zupełnie bez ruchu. Wyglądał jak porzucona kupa brudnych ubrań.

Marek westchnął. Nie chciał zostawiać mężczyzny bez żadnej pomocy, ale nie za bardzo wiedział, jak zaprowadzi go do domu, jednocześnie pchając przed sobą wózek. Miał nadzieję, że pijak obudzi się i jakoś sam dotrze do domu.

Zaręba podjechał z wózkiem bliżej leżącego.

– Gierot! Wstawaj! – zawołał rozkazująco, ale pijak wciąż nie reagował. Nadal leżał dziwnie nieruchomy.

Starszy sierżant Marek Zaręba wcisnął hamulec wózka i podszedł do leżącego na poboczu mężczyzny. Wokół Gierota unosił się zapach starego alkoholu i brudu.

– Gierot! Gierot!!!

Jerzy Grała stanął przy drzwiach swojego pokoju we „Wrzosach”. Nasłuchiwał przez chwilę w skupieniu. Był niemal pewien, że po drugiej stronie ktoś jest. Naukowiec słyszał nierówny oddech intruza. Nie było to przyjemne.

Grała mimowolnie zadrżał. Miał swoje podejrzenia co do tego, kto jest po drugiej stronie drzwi. Profesor Seweryn Dworakowski zapewne doskonale wiedział, że to Jerzy przyproceedził Albina wczoraj do komisariatu. Co więcej, prawdopodobnie gospodarz wcale nie był z tego zadowolony.

Jerzy nie żałował jednak, że zaprowadził Albina na policję. Wiedział, że dobrze zrobił. Tak trzeba było postąpić. Zeznanie chłopca w ciele mężczyzny mogło pomóc w dotarciu do prawdy w sprawie śmierci Marty Ciosek.

Graża powoli przekręcił klucz, żeby zamknąć drzwi. Zamek był bardzo prostej budowy i pewnie dało się go łatwo otworzyć nawet spinką do włosów czy innym domowej roboty wytrychem. To był jednak jedyny sposób, żeby jakoś zabezpieczyć się przed Dworakowskim i jego olbrzymim synem.

– Co teraz? – powiedział do siebie Jerzy.

Profesor Seweryn Dworakowski może i miał siedemdziesiąt lat, ale wydawał się całkiem krzepki. Graża był od niego ponad dwadzieścia lat młodszy, ale od wysiłku fizycznego wczorajszego dnia miał już zakwasy i nie był pewien, czy dałby radę w bezpośredniej konfrontacji z profesorem.

Graża podszedł do swojej torby i wyjął telefon. Wolał mieć go przy sobie na wszelki wypadek. W razie ataku mógł przecież zadzwonić po policję. Tylko czy któryś z funkcjonariuszy zdążyłby do „Wrzosów”, zanim profesor Dworakowski zrobiłby swoje?

– A może Crister Nilsson mógłby mi pomóc – zastanawiał się na głos naukowiec, żeby dodać sobie otuchy.

Czy udałoby się krzyknąć na tyle głośno, żeby rodzeństwo Nilssonów od razu wybiegło ze swojego pokoju? To chyba byłby nawet lepszy pomysł niż wzywanie policji, uznał w końcu Jerzy Graża.

Za drzwiami znowu dało się słyszeć lekko świszczący oddech. Naukowiec zadrzał. Tym razem nie wstydził się swojego strachu. Nie chodziło przecież o duchy. Tylko o jak najbardziej realnego człowieka.

Graża wyjrzał przez okno i z ulgą stwierdził, że przez furtkę wchodzi Jaśmina Ciosek-Dworakowska w towarzystwie policjantki, która ostatnio była tu częstym gościem. Jerzy odetchnął głęboko. Chyba był bezpieczny. Przynajmniej na razie. Przecież nikt nie będzie ryzykował napaści, jeżeli w budynku jest policjantka. Jerzy miał nadzieję, że policja

szybko pozwoli mu wyjechać z Lipowa. Jeżeli nie, będzie musiał rozejrzeć się za innym lokum. Jeśli czegoś nie wymyśli, nie był pewien, czy wytrzyma kolejną noc niepewności we „Wrzosach”.

Jerzy Grała patrzył przez okno, jak Jaśmina wchodzi do domu ramię w ramię z Emilią Strzałkowską.

– Może to nie jest taki zły pomysł – powiedział do siebie, rażony nagle prostotą rozwiązania całej sprawy.

Na dobry początek porozmawia z policjantką.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski pojechał do Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy dobre trzy godziny po tym, jak ekipa z zakładu medycyny sądowej zabrała ciało Gierota. Młody Marek Zaręba, który znalazł martwego pijaka, wydawał się wstrząśnięty i Podgórski czuł, że nie powinien zostawiać kolegi samego.

– Nie mogę w to uwierzyć – powtarzał młody policjant. – Tyle razy mówiliśmy, że Gierot może zamarznąć, a w końcu ktoś go zabił. Gierot może nie był aniołem, ale nie zasługiwał też na śmierć. I to w taki sposób. Daniel, to jest zupełnie nie w porządku!

Podgórski pokiwał tylko głową. Nie wiedział, co może na to odpowiedzieć. Żadne morderstwo nie było w porządku. Marek Zaręba pograżył się w długim milczeniu. Rozglądał się co jakiś czas dookoła, jakby w poszukiwaniu wózka z maleńką Zuzią. Fryzjerka Ewelina Zaręba zabrała córeczkę niedługo po tym, jak jej mąż dokonał makabrycznego odkrycia.

W końcu Zaręba doszedł jakoś do siebie i Daniel Podgórski uznał, że może ruszyć do Brodnicy. Chciał sprawdzić, czy została już wykonana sekcja zwłok Gierota. Poza tym szef komisariatu w Lipowie miał nadzieję, że niejako przy okazji uda mu się porozmawiać z prokuratorem Jackiem Czarneckim na temat swoich podejrzeń wobec Pawła Kamińskiego i jego wizyty na stacji benzynowej Jabłońskich.

Podgórski nie mógł spać przez całą noc, ale w końcu zdecydował, że powinien szczerze pomówić z prokuratorem.

W kieszeni kurtki miał kasetę z nagraniem z monitoringu ze stacji paliw, gdzie widać było wyraźnie, jak Paweł Kamiński napełnia benzyną dwudziestolitrowy kanister. Wszystko to miało miejsce w „dogodnym czasie”, niedługo przed tym, jak ktoś podpalił dom Filipa Weissa. Na niekorzyść kolegi przemawiał dodatkowo fakt, iż wiadomo było nie od dziś, że Kamiński nienawidzi nie tylko Tytusa Weissa, ale i całej jego rodziny.

Daniel niemal czuł, jak kasetą pali go przez ubranie. Mimo raz podjętej decyzji wątpliwości ciągle nie dawały policjantowi spokoju. Czy powinien donosić na kolegę z komisariatu? Nawet jeżeli ten był winien? Podgórski zaklął w duchu. Posuwał się chyba za daleko, przecież nikt nie powinien stać ponad prawem.

– Danielu! – zawołał prokurator Jacek Czarnecki. – Witaj.

Otęły mężczyzna stał przy wejściu do Komendy Powiatowej.

– Dzień dobry! – zawołał policjant w odpowiedzi.

Podszedł do Czarneckiego niepewny, co ma właściwie zrobić. Może powinien najpierw skonfrontować się z Kamińskim? Zwyczajnie zapytać Pawła, co robił tamtej nocy na stacji Jabłońskich i dlaczego nikogo nie poinformował o swojej tam obecności. Powody mogły być prozaiczne. To, że Kamiński tankował benzynę do kanistra, nie oznaczało jeszcze automatycznie, że jest podpalaczem.

– Doskonale się składa, że już jesteś, Danielu – ucieszył się prokurator Czarnecki. – Zaraz mam spotkanie z doktorem Zbigniewem Koterskim. Zrobił autopsję Romana Gierota od razu po przywiezieniu ciała. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wreszcie działamy na światowym poziomie. Jest ofiara, mamy błyskawiczną sekcję i, mam nadzieję, równie błyskawicznie znajdziemy sprawcę. Wiem, że strasznie to zabrzmi, ale paradoksalnie więcej trupów może nam tylko pomóc.

Podgórski spojrzął na Czarneckiego zdziwiony.

– Staram się znaleźć jakieś pozytywne strony całej sytuacji – dodał prokurator szybko. – Chodźmy na górę.

Daniel i Czarnecki poszli do sali konferencyjnej, gdzie czekał

już na nich medyk sądowy Zbigniew Koterski. Patolog jak zwykle był uśmiechnięty, a jego bujna kasztanowa czupryna lśniła w świetle lampy.

– Pan Daniel, witam! – zawołał Koterski. – Świetnie, bo już nie będę musiał dzwonić do was do Lipowa. Autopsja jest już skończona, ale od razu panów uprzedzę, że raport w tej sprawie jeszcze nie jest gotowy. Nie wymagajcie panowie ode mnie zbyt dużo! Zreferuję, co odkryłem, a raport prześlę potem. W porządku?

Trzej mężczyźni usiedli wokół stołu. Młodszy aspirant Daniel Podgórski sięgnął po butelkę wody, którą ktoś przezornie dla nich przygotował.

– Wykonałem sekcję waszej dzisiejszej ofiary – zaczął doktor Zbigniew Koterski. – To był niejaki Roman Gierot.

– Zgadza się – potwierdził Daniel natychmiast. – Gierot miał trzydzieści dziewięć lat i od zawsze mieszkał u nas w Lipowie.

– Może i Gierot miał trzydzieści dziewięć lat, ale jego biologiczny wiek to już zupełnie inna sprawa – powiedział Koterski. – Narządy były koszmarnie zniszczone długotrwałym nadużywaniem alkoholu. Nie wyobrażacie sobie panowie.

Podgórski skinął głową. Wyobrażał to sobie aż za dobrze. Gierot większą część życia spędził, popijając trunki za trunkiem.

– Zgadza się – powiedział tylko. – Czy w chwili śmierci Gierot także był pod wpływem alkoholu?

– Tak – powiedział doktor Koterski, kiwając głową. – Według mnie to prawdopodobnie znacznie ułatwiło sprawę działania.

– Czyli na pewno mamy do czynienia z zabójstwem? – upewnił się prokurator Jacek Czarnecki. – To nie mógł być wypadek?

Lekarz sądowy pokiwał energicznie głową.

– Oczywiście, że mamy do czynienia z morderstwem. A konkretniej, Gierot został uduszony – wyjaśnił Koterski. – W kryminalistyce mówimy oczywiście raczej o zagardleniu. Jeżeli już mam być zupełnie ścisły, mamy do czynienia z zadławieniem ręką ludzką.

– Niech pan mówi dalej – poprosił Daniel Podgórski,

wyciągając notatnik.

Jak zwykle zamierzał wszystko sobie zapisać. Nie lubił czytać długich raportów napisanych zawiłym naukowym językiem. Wolał proste słowa, które nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Marek Zaręba miał rację, Gierot jaki był, taki był, ale nie zasługiwał na taką śmierć. Daniel miał zamiar znaleźć sprawcę i go ukarać. Kimkolwiek był.

– Jacku, ty nie miałeś chyba okazji zobaczyć ciała – powiedział patolog do prokuratora. – Zerknij tu na fotografie z sekcji.

Czarnecki obejrzał zdjęcia spiesznie i podał je Podgórskiemu. Policjant przejrzał je równie szybko i oddał medykowi sądowemu.

– Właściwie wszystko wskazuje tu na uduszenie. To praktycznie książkowy przypadek – kontynuował doktor Koterski. – Na twarzy mamy przekrwienie i oznaki sinicy. Są też wyraźne wybroczyny na spojówkach i twardówkach. Jakby tego było mało, doszło także do obrzęku płuc. To właśnie dlatego w otworach nosowych można zobaczyć płyn obrzękowy. Wiem, że nieprzyjemnie to wygląda.

Daniel Podgórski przytaknął bez słowa.

– Jeżeli chodzi o urazy wewnętrzne, to również jest podręcznikowy przypadek – ciągnął doktor Koterski. – Po pierwsze, mamy więc złamanie kości gnykowej. Zauważyłem też wylewy do mięśni gardła. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie mam praktycznie żadnych wątpliwości, że wasz Gierot został uduszony.

– Są jakieś inne urazy? – zapytał Daniel.

– Macie szczęście – powiedział tajemniczo patolog. – Wygląda na to, że sprawca i ofiara walczyli przez pewien czas. Na ciele ofiary znalazłem siniaki i otarcia. I...

– W jaki sposób go uduszono? – wtrącił się prokurator Czarnecki. – Użyto jakiegoś narzędzia? Sznura?

Medyk sądowy pokręcił przecząco głową.

– Gierota uduszono gołymi rękami, tak jak wspominałem na początku. Na bocznej powierzchni szyi mamy ślady drobnych podbiegnięć krwawych. Proszę zerknąć na zdjęcie

– zaproponował Koterski, wybierając odpowiednią fotografię.
– To są ślady po palcach sprawcy. Prawdopodobnie zaatakował Gierota od przodu. I przytrzymał go rękami za szyję.

– Czy potrzeba do tego bardzo dużo siły? – zapytał prokurator Jacek Czarnecki, dotykając ręką szyi.

– Normalnie raczej tak – przyznał Koterski. – W naszym przypadku, jak już mówiłem, Gierot był pod wpływem znacznej ilości alkoholu, więc zadanie śmierci w ten sposób nie było aż takie trudne, jak się może wydawać.

– Czy sprawca działał sam? – zapytał Podgórski.

Lekarz sądowy pokiwał głową.

– Nie znalazłem na ciele ofiary śladów, które wskazywałyby na udział osoby trzeciej.

– Powiedział pan przed chwilą, że mamy szczęście... – zaczął Daniel Podgórski, wracając do słów patologa sprzed kilku minut. Policjant miał nadzieję, że to oznacza jakiś przełom w całej tej sprawie.

Doktor Zbigniew Koterski pokiwał energicznie głową.

– Tak. Macie szczęście – powtórzył. – Pod paznokciami Gierota znalazłem fragmenty tkanek. Zapewne ofiara próbowała się bronić. Wysłałem już próbki do laboratorium. Razem z ubraniem ofiary. Może tam też uda się znaleźć jakieś istotne ślady.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. Fragmenty naskórka pod paznokciami Gierota mogły być pierwszym dużym błędem mordercy. Teraz policjanci będą mogli liczyć na badanie DNA. Jeżeli porównanie DNA podejrzanego z DNA tkanki spod paznokci Gierota wykaże zgodność, będą mieli sprawcę. Oczywiście najpierw musieli trochę zawęzić liczbę podejrzanych. Nie mogli przecież sprawdzić wszystkich mieszkańców Lipowa po kolei. Badania DNA były niestety relatywnie kosztowne.

– Czy możemy wykluczyć, że zrobiła to kobieta? – zapytał Daniel, próbując przynajmniej odrobinę zmniejszyć krąg podejrzanych.

– Raczej tak – zgodził się patolog sądowy. – Rozstaw palców w przypadku kobiety byłby raczej mniejszy. To oczywiście

zależałoby od wielkości dłoni i tak dalej. Osobiście uważam jednak, że kobieta mimo wszystko miałaby za mało siły, żeby zmierzyć się z Gierotem i udusić go gołymi rękami. Nawet jeżeli mężczyzna był odurzony alkoholem.

– Gierota znaleziono dziś z samego rana, ale o której umarł? – chciał wiedzieć prokurator Jacek Czarnecki. – Czy można to określić?

– Stało się to na pewno poprzedniego wieczoru. Zaryzykowałbym twierdzenie, że było to między godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski westchnął głośno. Jak dotychczas wszystkie makabryczne wydarzenia, oprócz samobójstwa bibliotekarki Urszuli Weiss, miały miejsce pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą. Czy ta godzina miała w sobie coś szczególnego? Czy miała jakieś specjalne znaczenie dla sprawcy, czy było to dzieło przypadku? Czy w ogóle można z całą pewnością stwierdzić, że mają do czynienia z tym samym mordercą za każdym razem? Czy jedna i ta sama osoba podpaliła dom Filipa Weissa i udusiła Romana Gierota? Wreszcie ostatnie pytanie, czy jest to ta sama osoba, która zabiła Martę Ciosek strzałem w głowę i ukryła jej ciało w Cichym Lasku? I jak do tego wszystkiego ma się pożar domu Dworakowskich w 1998 roku?

– Czy może pan cokolwiek powiedzieć na temat miejsca zbrodni? – zapytał Daniel. – Czy Gierot został zabity tam, gdzie Marek Zaręba go znalazł?

– Moim zdaniem ciało jedynie porzucono na poboczu drogi – stwierdził doktor Koterski. – Gierot nie umarł w tamtym miejscu. Na ciele nie ma śladów otarć o ziemię, igliwie czy liście. Sprawca w jakiś sposób przetransportował ciało ofiary i porzucił. Rozmawiałem z technikami, oni są podobnego zdania.

Myśli Daniela Podgórskiego automatycznie powędrowały do sprawy, którą zajmował się latem. Nadal miał przed oczami nagie, porzucone na poboczu drogi ciała młodych kobiet. Tamten zabójca już jednak nie żył.

– Jeżeli nie mają panowie dalszych pytań, wrócę do siebie

i wszystko dokładnie opiszę w raporcie – zaproponował medyk sądowy Zbigniew Koterski, wstając od stołu. – Jak już mówiłem, przesłałem próbki spod paznokci i ubranie Gierota do laboratorium. W ciągu kilku dni powinny nadejść wyniki. Jeżeli macie już jakichś podejrzanych, będzie DNA do porównania.

Patolog wyszedł z sali konferencyjnej z uśmiechem na ustach. Wyglądało na to, że Koterski nigdy nie traci dobrego humoru. Kiedy tylko drzwi sali konferencyjnej zamknęły się za medykiem sądowym, prokurator Jacek Czarnecki pochylił się do młodszego aspiranta Daniela Podgórskiego.

– Danielu, muszę z tobą porozmawiać o jeszcze jednej sprawie...

ROZDZIAŁ 25

Lipowo i Brodnica.
Niedziela, 29 grudnia 2013. Po południu

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska zapukała energicznie do pokoju, który zajmowało we „Wrzosach” rodzeństwo Nilssonów. Chciała zacząć od sprawdzenia informacji na temat denaturatu ukrytego pod łóżkiem Cristera, uzyskanych wcześniej od Jaśminy Ciosek-Dworakowskiej. Emilia czuła się teraz jak ryba wyrzucona na pokład rybackiego kutra, która desperacko skacze to w jedną, to w drugą stronę. Policjantka nie wiedziała już, kogo ma właściwie podejrzewać. Kiedy zwracała się w jedną stronę, z drugiej pojawiał się nowy podejrzany.

Drzwi otworzyła niewysoka ciemnowłosa Carin Nilsson.

– *I want to speak to Crister*³³ – oznajmiła Emilia Strzałkowska. Postanowiła nie przejmować się swoim kiepskim angielskim i skupić na działaniu. – Crister Nilsson? Krzysztof Chmielewski?

– Jestem tu – odparł po polsku wysoki blondwłosy mężczyzna. – Niech pani wejdzie. Co się znowu stało? Kiedy możemy wyjechać?

– Nigdzie nie pojedziecie, póki nie zamkniemy tej sprawy – oznajmiła Emilia twardo.

Carin Nilsson spojrzała na brata pytająco. Czekala chyba na tłumaczenie. Crister powiedział coś do siostry po szwedzku. Kobieta przewróciła oczami wyraźnie zirytowana.

– To może trwać lata – mruknął Crister Nilsson vel Krzysztof Chmielewski. – Nie będziemy czekać tu w nieskończoność. Mamy swoje życie w Szwecji.

– O tym, kiedy możecie wyjechać, nie decyduję ja

33 Chcę rozmawiać z Cristerem.

– stwierdziła Strzałkowska. – Na razie musimy porozmawiać.

Teraz z kolei to Crister Nilsson zrobił zirytowaną minę.

– Dlaczego? – zapytał gniewnie. – Mam tego serdecznie dosyć. Chyba rozmawiała już pani z moim bratem i całą rodziną. Wie pani, że byłem w Poznaniu, kiedy ktoś podpalił dom śmieciarza. Rzeczywiście miałem z tym Filipem Weissem na pieńku, to przyznam, ale może już damy temu spokój.

– Po co panu cały ten denaturat? – zaryzykowała Emilia Strzałkowska.

Crister Nilsson spojrział na policjantkę zaskoczony. Carin znowu wpatrywała się w brata pytająco. Wyczuła chyba, że padło jakieś ważne pytanie.

– Skąd pani wie o denaturacie?

– Nieważne. Chcę wiedzieć, po co on panu. I to w takich ilościach – dodała Emilia na wszelki wypadek. – Proszę natychmiast odpowiedzieć.

Jaśmina Ciosek-Dworakowska nie sprecyzowała co prawda, ile butelek widziała pod łóżkiem wysokiego Szwedo-Polaka. Policjantka uznała jednak, że musiało ich być sporo, skoro drobna dziewczyna uznała to za dziwne.

– Co to za problem? – defensywnie zapytał Crister Nilsson. – Kupiłem wszystko legalnie. To chyba nie jest zabronione. Mogę kupić tyle denaturatu, ile mam ochotę.

– Po co on panu? – nie ustępowała sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska. – Gdzie go pan trzyma?

Nilsson wskazał dużą czarną torbę podróżną.

– Wcale nie jest tego tak dużo. Ledwie kilkanaście butelek – mruknął. – Robię meble. Każdy ma swój przepis na politurę i swoją technikę wykończenia mebli. Ja na przykład używam tylko polskiego denaturatu jako rozpuszczalnika. Zawsze kiedy jestem w Polsce, robię sobie zapas. Wielkie rzeczy! Ale już kilka razy się zdarzyło, że celnik miał jakieś wątpliwości w tej kwestii. Teraz co prawda granice w Unii są otwarte, ale...

– W Szwecji denaturatu nie sprzedają? – zapytała złośliwie Emilia. Nie mogła się powstrzymać.

– Owszem. Jest T-röd, ale jak dla mnie to nie to samo – odparł Crister. – Już mówiłem, że każdy meblarz ma swoje

tajemnice. Może sobie pani sprawdzić w Internecie mój zakład meblarski. Na razie to nic wielkiego, ale ciągle się rozwijam. Jestem przy ulicy Östergatan w Anderslöv niedaleko Trelleborga. Bardzo przyjemna okolica, jeżeli byłaby pani kiedyś w pobliżu.

Carin Nilsson pokiwała energicznie głową. Chyba w potoku polskich słów rozpoznała kilka znajomych nazw.

– A... – zaczęła Emilia.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Policjantka przerwała w pół słowa. Zanim którekolwiek z nich zdążyło zareagować, drzwi otworzyły się gwałtownie. W korytarzu stał Jerzy Grała. Był blady i nie wyglądał najlepiej.

– Muszę z panią porozmawiać – powiedział bez wstępów.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska westchnęła.

– Jestem w środku przesłuchania, jak pan może zauważył – odparła zmęczonym głosem. – Czy to nie może poczekać?

Grała zawahał się przez moment.

– Ale... – zaczął niepewnym tonem.

Emilia postanowiła wykorzystać chwilę wahania naukowca, więc szybko dodała:

– Porozmawiamy kiedy indziej, dobrze? Teraz muszę skończyć rozmowę z panem Cristerem Nilssonem.

– Dobrze – zgodził się naukowiec. – Głupio mi teraz. To pewnie i tak nic takiego. Tylko moje rojenia. Proszę się już może nie kłopotać.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski i prokurator Jacek Czarnecki wyszli z budynku Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy i ruszyli do niewielkiego parku obok wieży krzyżackiej. Policjant był bardzo zaskoczony, kiedy po zakończeniu spotkania z doktorem Zbigniewem Koterskim prokurator pochylił się w jego stronę i szepnął znacząco:

– Danielu, muszę z tobą porozmawiać o jeszcze jednej sprawie...

– Czy coś się stało? – zapytał Podgórski natychmiast.

– To sprawa prywatna – odparł prokurator Czarnecki równie

cicho jak przedtem. – Nie chcę o tym rozmawiać tu, w komendzie. Wyjdźmy, bardzo proszę. Na dworze nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Tak oto Daniel dotarł spacerem w towarzystwie Czarneckiego pod starą krzyżacką wieżę. Ta konspiracja nie za bardzo się Podgórskiemu podobała. Opanowały go złe przecucia.

– Posłuchaj, Danielu. To ważne – zaczął prokurator ostrożnie, kiedy minęli wejście do muzeum. – Chodzi o Martę Ciosek, czyli waszą Kobietę zza Skrzyni.

– To znaczy? – zapytał Podgórski podejrzliwie.

Jacek Czarnecki rozejrzał się dookoła, jakby chciał sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy. Gałęzie drzew tańczyły na lekkim wietrze.

– Konkretniej chodzi mi o to, że Marta Ciosek została zastrzelona pojedynczym strzałem w głowę – mruknął prokurator nieco chaotycznie. Daniel nic z tego nie rozumiał.

– Co z tego?

Czarnecki oparł się o barierkę, która odgradzała niewielką fosę od chodnika. Daniel Podgórski nie spuszczał go z oczu. Czekał.

– Kaliber dziewięć milimetrów, na pewno pamiętasz – zagadnął znowu prokurator.

– Mogę wiedzieć, do czego ty właściwie zmierzasz, Jacku? – zapytał zniecierpliwiony już Daniel. – Nic na razie z tego nie rozumiem.

Prokurator westchnął głośno.

– Nie mówiłem o tym nawet twojej matce – wyznał w końcu. – Dopiero tobie zdradzę, co wtedy odkryłem.

– Wtedy?

Czarnecki pokiwał głową. Jego podwójny podbródek zatrzęsł się rytmicznie.

– Tak, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku. Wtedy... Nie sądziłem, żeby to miało jakieś znaczenie, ale na wszelki wypadek... no, nie chciałem, żeby twój ojciec miał kłopoty. Dlatego to zrobiłem – zapewnił prokurator. – Teraz chyba okazało się, że naprawdę dobrze zrobiłem. Chociaż przecież nie wiedziałem wtedy jeszcze, że Marta Ciosek została

zastrzelona. Myślałem, że zginęła razem ze wszystkimi w pożarze domu Dworakowskich. Danielu, nie wiedziałem wtedy, że ona została zastrzelona...

Minęła ich para młodych ludzi. Nieśli plastikowe torebki z logo supermarketu. Widocznie wracali z zakupów. Wydawali się tacy beztroscy i szczęśliwi. Daniel Podgórski zazdrościł im tego z całego serca. Czarnecki też spojrzął za młodą parą. Bardzo możliwe, że myślał o tym samym. Na chwilę zapadło ciężkie milczenie.

– Jacku, wybacz, ale ja nic z tego, co mówisz, nie rozumiem – powiedział Podgórski, kiedy przechodnie oddalili się już na bezpieczną odległość. – Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć? Mógłbyś mi to wyjaśnić?

– To może po kolei – zaproponował Jacek Czarnecki. Jego mięsista twarz zrobiła się czerwona z emocji. – To było piątego listopada, czyli dzień po śmierci twojego ojca, Romana Podgórskiego, oraz Jana Kamińskiego i Zofii Dworakowskiej. Zabrałem ich służbową broń w celu dokumentacji i tak dalej...

– I co z tego? – przerwał mu policjant.

– W broni twojego ojca brakowało jednego naboju – szepnęła prokurator.

Znowu zapadła cisza. Daniel poczuł dziwny ucisk w klatce piersiowej.

– I co z tego? – zapytał w końcu powoli, chociaż domyślał się, do czego zmierza Jacek Czarnecki.

– Jak wiesz, twój ojciec i reszta policjantów z Lipowa byli wyposażeni w stare CZAK-i, takie jak macie do tej pory – powiedział Jacek Czarnecki, odchrząkując. – W pistolecie twojego ojca brakowało jednego naboju kaliber dziewięć milimetrów Makarowa. Wiesz przecież, że każde użycie broni powinno być usprawiedliwione i udokumentowane. Twój ojciec nie zgłaszał niczego takiego. Kiedy zobaczyłem, że brakuje tego naboju... Nie chciałem mu robić problemów i nigdzie tego nie zgłosiłem. Wiedziałem, że Romek Podgórski czasem lubił sobie postrzelać dla sportu. Dołożyłem więc ten brakujący nabój do magazynku, żeby nie było jakichś problemów. Niemniej wygląda na to, że twój ojciec wystrzelił ze swojego CZAK-a i nic

nikomu o tym nie powiedział. Teraz już wiesz wszystko.

Myśli pędziły przez głowę młodszego aspiranta Daniela Podgórskiego z zawrotną prędkością. Z całej siły starał się nie myśleć o tym, jakie ta informacja mogła mieć znaczenie. Czy to możliwe, że to jego ojciec z jakiegoś niezrozumiałego powodu zastrzelił Martę Ciosek? Musiałoby się to stać niedługo przedtem, zanim zginął w pożarze domu Dworakowskich. Dlaczego Roman Podgórski miałby zabijać siostrę swojej koleżanki z pracy? Czy to możliwe, że ojciec nie był bohaterem, tylko mordercą?

Podgórski miał ochotę krzyczeć. Nie mógł uwierzyć, że coś takiego mogłoby być prawdą. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. Trzeba było działać rozważnie i spokojnie. Nie wolno mu panikować. Pod żadnym pozorem.

– W pistoletach Jana Kamińskiego i Zofii Dworakowskiej nie brakowało żadnych naboji? – zapytał Daniel powoli. – Tylko mój ojciec wystrzelił, tak?

– Tak. To dla mnie tak samo trudne jak dla ciebie, Danielu. Uwierz mi. Roman Podgórski był moim najlepszym przyjacielem – szepnął prokurator Jacek Czarnecki. – Pamiętaj jednak, że wtedy nikt nie podejrzewał, że Marta Ciosek zginęła od strzału w głowę... Dopiero teraz... Kiedy usłyszałem, że te stare kości należały do niej i że została postrzelona, zacząłem się zastanawiać. Nie wierzę w to, ale... sam chyba wiesz, o co mi chodzi.

– Sugerujesz, że mój ojciec mógł zastrzelić Martę Ciosek? – powiedział policjant spokojnie. Czuł się teraz wyprany z wszelkich emocji. – Sugerujesz, Jacku, że mój ojciec mógł strzelić jej w głowę, tak? To sugerujesz?

Prokurator Jacek Czarnecki wzruszył ramionami. Na jego twarzy malowała się wyraźna bezsilność. Wyglądał teraz jak stary, zmęczony życiem człowiek.

– Ja i twój ojciec byliśmy najlepszymi przyjaciółmi – powtórzył Czarnecki. – Znałem go doskonale. Romek Podgórski może i bywał porywczy i w gorącej wodzie kąpany, ale nigdy nie uwierzę, że był zabójcą. Miał co prawda swoje przywary, ale był też dzielnym policjantem. Taki właśnie był

i takiego ja go pamiętam. Jeżeli to on strzelił. I, zauważ, powtarzam: jeżeli to on, to musiał mieć jakiś dobry powód, żeby zabić Martę Ciosek. Być może przez ten pożar nie zdążył złożyć oficjalnego raportu...

Obaj mężczyźni wiedzieli, jak mało przekonująco to zabrzmiało. Daniel poszukał we wspomnieniach twarzy ojca. Roman Podgórski miał bujne wąsy, jak prokurator Czarnecki. Na jego twarzy często malował się zawadiacki uśmiech. Czy ten człowiek mógł być mordercą, który zastrzelił Martę Ciosek i z zimną krwią ukrył jej ciało w Cichym Lasku?

– Moja matka nic o tym nie wie? – upewnił się Daniel Podgórski.

Prokurator Jacek Czarnecki pokręcił głową.

– Nie powiedziałem jej – zapewnił. – Ani teraz, ani wtedy. W dziewięćdziesiątym ósmym roku nie uznałem tego za coś ważnego, a teraz... nie chciałem jej dodatkowo martwić. Wiem przecież, że ona to wszystko bardzo przeżywa. Czuje się winna, że przekupiliśmy wtedy sędziego i tak dalej. Sam wiesz, jaka jest twoja mama. Nic jej nie mówiłem o brakującym naboju.

– Niech to zostanie między nami – poprosił młodszy aspirant Daniel Podgórski.

Policjant po raz kolejny czuł, że robi krok w niewłaściwą stronę, ale nie umiał się teraz cofnąć ze ścieżki, którą obrał. Nad konsekwencjami będzie się zastanawiał później. Na chwilę zapomniał o swoich podejrzeniach wobec Pawła Kamińskiego. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie. Dobrze imię Romana Podgórskiego nie mogło przecież zostać skalane.

Starszy sierżant Marek Zaręba stanął na ganku domu państwa Gierotów. Wobec wzrastającej liczby ofiar Daniel Podgórski poprosił kolegę o powrót z urlopu. Zaręba nie zastanawiał się ani chwili, jak widać, nie był jednak tylko chłopcem na posyłki. Poza tym Marek i tak nie widział innej możliwości niż oficjalne włączenie się do śledztwa. Może i Gierot był pijakiem, ale należało mu się dochodzenie z prawdziwego zdarzenia.

Drzwi otworzyła Markowi Grażyna Kamińska. Kamińscy mieszkali po sąsiedzku z Gierotami i widocznie żona Pawła przysłała, żeby wspierać sąsiadkę w trudnej chwili. Grażyna bez słowa pokazała Markowi drogę do niewielkiego salonu.

Dom Gierotów przerażał skromnością wyposażenia. Meble były stare i wytarte. Nie widać było niczego, co miałyby jakkolwiek realną wartość. Irena Gierot siedziała na wyliniącej kanapie i patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Dłonie miała zaciśnięte w pięści.

– Dzień dobry, pani Gierot – powiedział delikatnie Marek Zaręba.

Grażyna Kamińska spojrzała na młodego policjanta pytająco. Zaręba dał jej znak, żeby na razie zostawiła ich samych. Musiał porozmawiać z żoną ofiary bez jakichkolwiek świadków, którzy mogliby wpływać na jej odpowiedź.

– Muszę zadać pani kilka pytań – powiedział Marek, kiedy Grażyna wyszła z pokoju. Starał się mówić równie delikatnie jak przedtem.

Irena Gierot pokiwała głową.

– Zabawne – powiedziała niespodziewanie. – Pół życia nienawidziłam męża i panicznie go się bałam. Właściwie teraz, kiedy go nie ma, powinnam się cieszyć, ale jakoś nie potrafię. Teraz mi go brakuje. Jakbym w jednej chwili zapomniała te wszystkie siniaki... Wie pan, że on złamał mi nawet rękę?

– Nie wiedziałem – odpowiedział Marek.

Gierotowa znowu pokiwała głową.

– To było raz. Jakies dziesięć lat temu, kiedy pił jeszcze trochę mniej i czasem bywał w domu – wyjaśniła. – Sam pan widzi, panie Marku. Ale mimo to nie mogę się cieszyć. To był mój mąż. Kiedyś go nawet kochałam.

Marek Zaręba położył jej rękę na ramieniu. Kobieta wzdrygnęła się. Młody policjant szybko się wycofał, nieco speszony jej ostrą reakcją.

– Czy przychodzi pani do głowy, kto mógł chcieć śmierci pani męża? – zapytał Marek, przechodząc do powodu swojej wizyty w domu rodzinnym Gierota.

Wszyscy funkcjonariusze policji w Lipowie byli właściwie

zdania, że śmierci pijaka winna jest ta sama osoba, która wcześniej podpaliła dom Filipa Weissa. Czy można było wykluczyć samą Irenę Gierot? Daniel Podgórski mówił, że medyk sądowy był zdania, że pijaka udusił mężczyzna. Z drugiej strony może nie powinni nic z góry zakładać. Podgórski zawsze to powtarzał, a Marek cenił jego zdanie. Już nieraz okazywało się, że nawet delikatne kobiety zdolne są do zadawania niezwykle mocnych ciosów, jeżeli tylko zostały odpowiednio sprowokowane.

Zaręba zawsze podziwiał Daniela i darzył kolegę dużym szacunkiem. Teraz jednak młody policjant miał wrażenie, że z Podgórskim dzieje się coś niedobrego. Jakąś godzinę temu wszyscy policjanci z lipowskiego posterunku spotkali się na krótkiej odprawie, żeby uzgodnić dalsze działania. Daniel wydawał się nieobecny duchem. Jego twarz była ściągnięta i obca. Zniknęła gdzieś zwykła dobroduszość. Paweł Kamiński nie wyglądał wcale lepiej. Marek Zaręba uznał, że teraz może liczyć chyba tylko na siebie. No i może na tę nową koleżankę, Emilię Strzałkowską. Jej przecież nadal nie znał zbyt dobrze. Wydawała się w porządku, ale Marek nie był pewien, czy może w pełni jej zaufać.

– Czy Gierot miał jakichś wrogów? – powtórzył młody policjant, głównie po to, żeby wyrwać się z zamyślenia.

– Nie wiem, naprawdę – powiedziała Irena Gierot. Zaśmiała się histerycznie i dodała: – Może ja? Na filmach zawsze żona jest winna w takiej sytuacji.

– Spokojnie. Nikt pani nie podejrzewa – zapewnił Marek, starając się, żeby jego słowa zabrzmiały szczerze. – Czy może było ostatnio coś dziwnego w zachowaniu pani męża?

Gierotowa pokręciła głową.

– Był pijany, jak zwykle.

– To wszystko na dzisiaj. Dziękuję pani za rozmowę – powiedział Marek Zaręba i ruszył w kierunku korytarza. – Jeżeli pani sobie coś przypomni, cokolwiek... wie pani, gdzie mnie znaleźć, prawda?

Młody policjant chciał dodać, że Gierot był dobrym człowiekiem, ale nie wiedział, czy to byłoby stosowne.

Zwłaszcza po jej dzisiejszym wyznaniu.

– Ostatnio mój mąż miał pieniądze – rzuciła nagle żona zabitego pijaka.

– Słucham?

– Pytał pan, czy coś było ostatnio inaczej – przypomniała Irena Gierot. – Mój mąż miał skądś pieniądze. Mówił, że dostał pracę, ale... przecież cały czas przesiadywał pod sklepem Wiery Rosłońskiej. Nigdzie nie pracował. Ale pieniądze przyniósł.

– Skąd je miał?

Irena Gierot pokręciła głową niepewnie.

– Nie mam pojęcia.

Izka Weiss stanęła niedaleko spalonego domu swojego męża. Spojrzała na odosobnione gospodarstwo. Kiedyś sama tu mieszkała. Aż trudno było uwierzyć, że te zgliszcza zdawały się kiedyś, dawno, dawno temu, bezpieczną przystanią. Izka nie mogła pozbyć się wyrzutów sumienia. Miała wrażenie, że palą ją tak jak płomień ten samotny dom.

Wdowa rozejrzała się wokoło. Nikogo nie było widać. Sięgnęła więc do kieszeni i rzuciła złotą monetę na ziemię. Dziesięć koron szwedzkich błyszczało w piasku i żwirze polnej drogi prowadzącej do gospodarstwa. Poprzedniej monety Izka nigdzie nie widziała. Jakby pieniążek rozpułynał się w powietrzu.

– Może to dobrze – szepnęła do siebie.

Izka Weiss wiedziała, że ta myśl jest zupełnie niedorzeczna, ale nic nie mogła na to poradzić. Tak właśnie pomyślała. *Może to dobrze.* W końcu tego właśnie chciała.

Żeby ją zabrał.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski patrzył uważnie na Pawła Kamińskiego. Kiedy tylko ujrzał kolegę po powrocie z Brodnicy, podejrzewa wróciły ze zdwojoną siłą. Pewnie to podświadomie pomagało szefowi komisariatu zapomnieć o wyznaniu prokuratora Jacka Czarneckiego na temat

brakującego naboju w pistolecie ojca.

Daniel czuł, że powoli śledztwo zaczyna wymykać mu się z rąk. Niekontrolowane emocje, wzajemne podejrzenia, a nawet nagminne łamanie prawa stały się podczas tego dochodzenia normą. To wszystko było całkowicie wbrew temu, w co zawsze wierzył Podgórski, i policjant czuł się z tym coraz gorzej.

Po krótkiej odprawie Daniel i Paweł poszli we dwóch przesłuchać Melka. Melek był chyba najbliższym przyjacielem uduszonego brutalnie Gierota. Podgórski mógł zabrać Emilię Strzałkowską albo Marka Zarebę. Mógł też pójść sam. Postanowił jednak, że w zaistniałej sytuacji najlepiej jest mieć Kamińskiego na oku.

Policjanci przyglądali się, jak Melek pije tanie wino z butelki. Łyk za łykiem, łyk za łykiem. Miarowo, jak metronom. Butelka robiła się pusta w oczach. Trzeba było pytać szybko, jeżeli przesłuchanie miało mieć jakikolwiek sens.

– Gierot wiedział, kim był zabójca, ot co! – poinformował ich Melek pewnym tonem, zanim Podgórski zdążył sformułować jakiegokolwiek sensowne pytanie. – I to właśnie dlatego został uduszony. Straszna śmierć. Straszna!

– Co masz na myśli, Melek? – podchwycił szybko Daniel. – Powiedziałeś, że Gierot wiedział, kim był morderca. Skąd miałby to wiedzieć?

Melek pokiwał głową z namaszczeniem.

– Jo, wiedział, wiedział. Chwalił się tym, a my mu nie wierzyli. Teraz widzę, że miał chłop rację. Miał rację. Gierot przecież nigdy nie łął! Powinienem być wiedzieć. Czuję się winny, że on nie żyje. Oj tak.

Mimo tej deklaracji w głosie Melka nie słychać było skruchy ani poczucia winy. Mężczyzna pociągnął kolejny długi łyk alkoholu.

– Skąd Gierot mógł znać tożsamość zabójcy? – dopytywał się Daniel.

– Odkrył, kto podpalił dom śmieciarza. Lepiej sobie poradził niż wy – poinformował pijak spokojnie, jakby stwierdzał coś zupełnie oczywistego.

– Nie pierdol, Melek. Kiedy widziałeś Gierota ostatni raz? – zaatakował Paweł Kamiński. – Mów natychmiast!

Młodszy aspirant Daniel Podgórski nie wiedział, czy sobie tego nie wyobraził, ale wydawało mu się, że widzi w ruchach kolegi nerwowość.

– No jak to? – odparł Melek bełkotliwie.

– Kurwa, czy ja mówię niewyraźnie czy co? Kiedy widziałeś Gierota ostatni raz? Odpowiadaj natychmiast, bo pożałujesz.

Melek opróżnił butelkę do ostatniej kropli i ustawił ją obok siebie ostrożnie.

– No już dobrze. Odpowiem przecież. Po co te nerwy, szefie. Wczoraj go widzieliśmy. Ja i Łysy.

– Łysy, czyli Patryk Sołtysik? – upewnił się Podgórski. – Ten z ekofarmy, tak?

– Jo. A jest u nas jakiś inny? – zapytał Melek. Jego oczy zrobiły się mętne, a niewyraźne słowa coraz trudniej było zrozumieć. – Gierot i Łysy pokłócili się. Potem Gierot sobie poszedł.

Daniel zerknął na Pawła. Kamiński nie spuszczał jednak wzroku z Melka.

– O co się pokłócili? – zapytał policjant.

– No właśnie o to.

– Kurwa, Melek, skup się, bo ci przypierdolę – ostrzegł pijaka ostro Paweł Kamiński. – O co się dokładnie pokłócili?

– No, Gierot mówił, że wie, kto podpalił chałupę Filipa Weissa – wyjaśnił Melek szybko. – Patryk Sołtysik powiedział, że Gierot łże. No i tak się poprzepychali. Ja tam się nie mieszałem w tę kłótnię. Po co mi to?

Patryk Sołtysik? Daniel Podgórski westchnął głośno. Nigdy tak naprawdę nie wykluczyli właściciela ekofarmy z kręgu podejrzanych. Policjant miał wrażenie, że zatoczyli koło. Sołtysik był winny Filipowi Weissowi znaczną sumę pieniędzy. Możliwe, że Gierot jakoś się o tym dowiedział i postanowił to wykorzystać. Nie, uznał Podgórski w duchu, to wszystko nie miało już sensu. Trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy. Krążyli jak we mgle. Zupełnie zagubieni. Daniel zwątpił już, że uda im się kiedykolwiek rozwiązać tę sprawę. Starał się powtarzać

sobie, że wiele razy podczas wcześniejszych śledztw czuł się podobnie, a potem jakoś udawało im się znaleźć rozwiązanie zagadki. Niewiele to jednak pomagało. Policjant czuł się zupełnie rozbity.

Kamiński zauważył chyba, że coś jest nie w porządku.

– Dobra, Melek. Na razie damy ci spokój. Idziemy sobie trochę pogadać z Patrykiem Sołtysikiem – zarządził Paweł, pociągając Daniela za sobą. – Zobaczymy, czy ma jakieś pieprzone alibi na wczoraj. Znając życie, Jagna powie, że Patryk był z nią. I nic nam to, kurwa, nie da. Ale trzeba z nim, kurwa, szczerze pogadać.

Podgórski poszedł za Kamińskim, nie stawiając oporu. Miło było dla odmiany pozwolić komuś innemu na podejmowanie decyzji. Nawet jeżeli tą osobą był Kamiński.

– Paweł, czy ty masz coś wspólnego ze śmiercią Filipa Weissa?

Kamiński stanął jak wryty i rozejrzał się dookoła. Zrobiło się późno i wokół nikogo nie było widać. Większość mieszkańców Lipowa siedziała już w domach. Zapewne przygotowywali kolację albo oglądali telewizję.

– Co powiedziałaś? – rzucił ostro kolega. Wydawało się, jakby każdą literę wpluwał osobno.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski sam nie wiedział, jak to się stało, że zadał to pytanie. Czuł, jakby jego usta mówiły same. Bez udziału woli. Daniel postanowił się temu poddać. I tak wcześniej czy później musiało dojść do konfrontacji.

– Obejrzałem nagranie z monitoringu na stacji benzynowej Jabłońskich. Chodzi mi oczywiście o to z poniedziałku – dodał, chociaż Paweł zapewne doskonale wiedział, o którym filmie mowa. – Byłeś tam i napełniałeś kanister benzyną. Za pierwszym razem nie rozpoznałem twojego samochodu. Zawsze oglądałem nagranie od momentu, kiedy na stacji zjawił się Tytus Weiss, ale ty byłeś tam już wcześniej. Paweł, czy to ty podpaliłeś dom Filipa Weissa?

– Ja pierdołę, Daniel, co ty gadasz? – Kamiński znowu rozejrzał się po cichej wsi. – Powiedziałaś o tym komuś?

Podgórski pokręcił głową.

– Chciałem najpierw porozmawiać z tobą. Odpowiedz mi. Tylko szczerze. Czy to ty podпалиłeś dom Filipa Weissa? Po co ci był kanister z benzyną?

– Brałem paliwo na zapas. Zawsze tak robię. Kurwa, Daniel, popierdoliło ci się czy coś? Przecież sam wiesz, że czasem trzeba dolać do baku, jak się ścigamy po lesie. Kurwa, sam bierzesz benzynę w kanistrze. Chyba pojechało ci się już zupełnie. Ja pierdolę! Ludzie!

Młodszy aspirant Daniel Podgórski odetchnął głęboko. Ciepłe powietrze tej dziwnej zimowej nocy wypełniło mu płuca. Tego chyba potrzebował. Musiał zacząć jaśniej myśleć, żeby to wszystko nie zakończyło się katastrofą.

Powoli jego umysł robił się jaśniejszy. Daniel musiał przyznać, że to, co mówił Kamiński, miało sens. Rzeczywiście policjantom zdarzało się ścigać samochodami po okolicznych leśnych szlakach. Czasami brali benzynę ze sobą, żeby nie tracić czasu na jazdę na stację paliw. Przy szybkiej jeździe bak robił się pusty niemal w mgnieniu oka. Zwłaszcza kiedy starali się wykorzystać pełną moc swoich starych, ale niegdyś sportowych aut.

– Dlaczego po prostu nie powiedziałeś, że byłeś na stacji? – zapytał Podgórski. – Wtedy, kiedy sprawdzaliśmy alibi Tytusa Weissa. Powinieneś był mi powiedzieć.

– Kurwa, Daniel, nie wiem, dlaczego ci nie powiedziałem. Myślałem, że może jakoś... miałem idiotyczną nadzieję, że Tytus Weiss trafi z powrotem za kratki... Nienawidzę tego faceta, rozumiesz? Tak bardzo kochałem mojego tatę. Nie mogę się pogodzić, że on odszedł, a ten drań żyje.

Niespodziewanie szczerze wyznanie Pawła zawisło w powietrzu. Podgórski wiedział dokładnie, o czym Kamiński mówi. Daniel poczuł się zawstydzony, ale objął kolegę. Miał wrażenie, że tak powinien postąpić. Stali tak przez chwilę we dwóch wśród ciemności.

Nagle zza zakrętu wyjechał jakiś samochód, oślepiając ich światłami. Daniel i Paweł odskoczyli od siebie jak oparzeni.

– Ja pierdolę. Co za gówniana sytuacja – powiedział Kamiński niespodziewanie cicho. – Czuję się jak pieprzony

pedryl.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wzruszył ramionami z pewnym rozbawieniem. Kamiński to jednak Kamiński. Chwila okazywania słabości minęła.

– Idźmy do tego Patryka Sołtysika – zaproponował Daniel, cały czas się uśmiechając. Czuł się niespodziewanie lekko. – Trzeba już zakończyć tę sprawę, bo nikomu to nie wychodzi na zdrowie. Potem będziemy mogli odpocząć.

Tytus Weiss leżał na łóżku w swoim dawnym pokoju i patrzył w sufit. Przed chwilą wrócił do domu matki. Starał się omijać salon, gdzie powiesiła się Urszula Weiss. Nie był jeszcze gotów tam wchodzić. Jego rodzinny dom przypominał teraz więzienie albo labirynt miejsc, których należy za wszelką cenę unikać.

– Jak to się skończy, pozbędę się tego wszystkiego – powiedział Tytus do siebie. – Wszystkiego!

Przejechał ręką po świeżej ranie na szyi. To była pamiątka po wczorajszej nocy na polu, kiedy Jaśmina Ciosek-Dworakowska próbowała go zabić. Cienki nóż wyglądał na nienaturalnie wielki w jej drobnych delikatnych dłoniach. Dziewczyna wymierzyła w Weissa niezręcznie. Nie wiedziała chyba, jak należy się do tego zabrać. Stali tak przez kilka minut. Może nawet kilkadziesiąt. Nie był pewien. Nie potrafił tego ocenić, ponieważ w tamtym momencie czas dla Tytusa stanął.

W końcu Jaśmina podbiegła do niego i zamachnęła się z całej swojej skromnej siły cienkim nożem. Weiss nie próbował jej powstrzymywać, póki nie przecięła mu skóry na szyi. To nie było nic groźnego, ale krew zaczęła płynąć z rany obficie. Dziewczyna upuściła nóż przerażona, jakby w rzeczywistości nie sądziła, że może mu się coś stać. Jej twarz wykrzywił grymas bólu.

Tytus Weiss odrzucił nóż na ziemię i objął Jaśminę. Niezręcznie. Równie niezręcznie, jak ona przed chwilą zaatakowała go nożem. Niespodziewanie dziewczyna pozwoliła na tę bliskość. Jej drobne ciało zniknęło niemal w jego zbyt szerokich ramionach. To było dziwne uczucie. Nie dotykał

kobiety od piętnastu lat. Panie nie miały wstępu do Zakładu Karnego w Starych Świątkach. Chyba że do sali odwiedzin.

Nagle Jaśmina wyrwała się z jego objąć i uciekła jak spłoszona sarna w kierunku domu swojego wuja, profesora Seweryna Dworakowskiego. Weiss został sam pośrodku pola z krwawiącą bruzdą na szyi.

Tytus dotknął rany jeszcze raz. Od wczoraj zdążyła się już zasklepić, ale on nadal nie wiedział, co właściwie wydarzyło się pomiędzy nim a Jaśminą. Dlaczego dziewczyna chciała go zabić? Czy nadal myślała, że to on jest winien śmierci Marty Ciosek? Wreszcie najważniejsze pytanie – co ich tak naprawdę połączyło? Dziś spotkali się znowu. Tytus przestąpił nawet próg „Wrzosów”, ponieważ Jaśmina go o to prosiła.

– Czy to ma jakąkolwiek szansę przetrwać? – powiedział znowu do siebie Weiss.

W domu samobójczyni Urszuli Weiss znowu zapanowała cisza. Tytus nie chciał jej już przerywać. Chciał to wszystko porządnie przemyśleć i postanowić, co robić dalej. Na pewno nie był odpowiednim mężczyzną dla Jaśminy.

Teraz zrozumiał, że był tylko mordercą.

Crister Nilsson usłyszał nagle przeciągły krzyk. Carin spojrzała zdenerwowana na brata. Czekali przez chwilę w skupieniu, ale nie usłyszeli nic więcej. We „Wrzosach” na powrót zapanował spokój.

– *Jag tror det var Grala*³⁴ – zasugerowała niska Szwedka.

Crister Nilsson pokiwał głową.

– *Jag går och tar reda på vad som händer*³⁵ – zaproponował.

Crister podwinął rękawy bluzy i wyszedł na korytarz. Nadal było zupełnie cicho. Z dołu nie dochodziły nawet odgłosy zwyczajowej krzątania przygotowującej posiłek Jaśminy. Nilsson przeszedł przez dość długi wąski hol i zauważył, że drzwi pokoju, który wynajmował Jerzy Grala, są otwarte.

34 Myślę, że to Grala.

35 Zobaczę, co się dzieje.

Zajrzał do środka ostrożnie. Naukowiec leżał na ziemi nieprzytomny. Obok niego leżało przewrócone krzesło. Wyglądało na to, że Grala pracował przy biurku, kiedy ktoś zaatakował go od tyłu.

– Panie Grala! Nic panu nie jest? Panie Grala!

Jerzy z trudem otworzył oczy. Rozejrzał się dookoła niepewnie, jakby w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Jego wzrok zdawał się Cristerowi niepokojąco mętny.

– Co się dzieje? – zapytał naukowiec niewyraźnie i zaraz powtórzył po angielsku: – *What is going on?*

– Spokojnie, rozumiem pana – powiedział szybko Nilsson po polsku.

Crister uznał, że nie ma sensu dalej dbać o pozory. Policja wiedziała już przecież, że z pochodzenia jest Polakiem, i było tylko kwestią czasu, kiedy reszta mieszkańców Lipowa się o tym dowie. Nilsson sam nie wiedział, dlaczego tak długo to ukrywał. Może dlatego, że większą część życia mieszkał już po drugiej stronie Bałtyku? Właściwie całe dorosłe życie, poprawił się w duchu. Czuł się teraz bardziej Szwedem niż Polakiem.

– Ja... – wybełkotał znowu Jerzy Grala.

– Spokojnie.

Naukowiec dotknął ostrożnie tyłu głowy, po czym spróbował niezdarnie wstać z ziemi.

– Niech pan się lepiej nie rusza – poinstruował go Crister Nilsson. – Trzeba chyba wezwać pogotowie.

– Proszę dać spokój – wykrztusił Grala z trudem. – Niech pan mi lepiej pomoże wstać.

Crister Nilsson wzruszył ramionami. To była decyzja tego człowieka. On nie będzie się wtrącać.

Carin zajrzała ostrożnie do pokoju.

– *Vad hände?*³⁶ – zapytała po szwedzku.

Nilsson posadził Jerzego Gralę na łóżku.

– *Jag ringer polisen!*³⁷ – powiedział Crister do siostry. Przynajmniej tyle zamierzał zrobić.

Carin skinęła głową i pobiegła po telefon.

36 Co się stało?

37 Zadzwoń na policję!

– Co się właściwie stało? – zapytał Nilsson Jerzego Grałę.
– Pamięta pan cokolwiek?

– Zacząłem pracować nad moją rozprawą – wyjaśnił naukowiec, cały czas trzymając się za tył głowy. Na jego twarzy malował się ból. – Zapomniałem chyba zamknąć drzwi na klucz. Ja... bałem się... zresztą nieważne. Ostatnie, co pamiętam, to że usłyszałem, jak drzwi się otwierają. Chyba ktoś mnie zaatakował...

– To nie ulega wątpliwości. Może pan coś powiedzieć o napastniku?

Zanim naukowiec zdążył cokolwiek odpowiedzieć, w drzwiach pojawiła się Carin. Za nią stał profesor Seweryn Dworakowski w towarzystwie swojego olbrzymiego syna Albina. Chłopiec w ciele mężczyzny wpatrywał się w Grałę intensywnie. Crister Nilsson poczuł, jak zaczyna ogarniać go niepokój.

– Co się dzieje? – zapytała Jaśmina Ciosek-Dworakowska, która pojawiła się w pokoju naukowca na końcu.

– Ktoś zaatakował pana Grałę – wyjaśnił Crister.
– Zamierzam teraz zadzwonić na policję. Tak nie może być. Proszę wybaczyć, ale nie chcę, żeby ktoś nas tu wszystkich pozabijał.

Jeżeli ktoś był zaskoczony jego nagłą znajomością języka polskiego, nie okazał tego. Być może wszyscy już od dawna o tym wiedzieli. W tak małych miejscowościach jak ta nic nie dało się przecież ukryć.

– Jak coś takiego mogło się wydarzyć u nas we „Wrzosach”? – zapytał profesor Dworakowski ostro. – Nie słyszałem, żeby ktoś wchodził do domu. Drzwi na dole są chyba zamknięte, Jaśmino? Prawda?

Drobniutka dziewczyna wyglądała na zdezorientowaną. Crister Nilsson przyjrzał się jej uważnie.

– To są zamknięte czy nie?

– Pójdę sprawdzić – oznajmiła Jaśmina.

– Chwileczkę. Proszę poczekać. Pani miała chyba gościa, prawda? – zapytał Nilsson ostro. – Proszę nie zaprzeczać. Moja siostra widziała wszystko przez okno. Był tu brat Filipa Weissa,

prawda?

Na dźwięk tego nazwiska twarz Seweryna Dworakowskiego wykrzywiła się we wściekłym grymasie.

– Jaśmino, o czym on mówi?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Spuściła tylko wzrok i wpatrywała się w podłogę.

– Odpowiedz – rozkazał jej wuj. Jego spokojny zazwyczaj głos zmienił się niemal w ryk. – Czy w moim domu był przed chwilą Tytus Weiss?

Albin zasłonił uszy przerażony nagłym wybuchem ojca. Po jego pulchnych policzkach zaczęły płynąć łzy.

– Spokojnie, zachowajmy spokój – poprosił Jerzy Grała zbolalym głosem, zerkając na Dworakowskiego niepewnie. – Nic się przecież nie stało. Czuję się już lepiej.

– Co tu robił Tytus Weiss?! – krzyknął znowu profesor, nie zważając ani na naukowca, ani na przerażenie swojego syna.

– Odpowiedz!

Jaśmina Ciosek-Dworakowska spojrzała wujowi prosto w oczy, jakby rzucała mu wyzwanie.

– Tytus nie wszedł nawet do domu. Byliśmy na spacerze, a on odprowadził mnie pod bramę. Tylko tyle. Nie zaprosiłam go do domu – zapewniła. – Skoro już pani Carin podgląda, to niech chociaż mówi prawdę.

Carin Nilsson spojrzała na Cristera. Usłyszała chyba swoje imię. Nilsson postanowił jednak nie tłumaczyć jej, co powiedziała Jaśmina.

– Wszystko jedno. I tak dzwonię na policję – poinformował zebranych, biorąc telefon od siostry. – Niech już oni się tym zajmują. Szkoda, że ta policjantka już poszła. Wreszcie na coś by się przydała. Zamiast mnie pytać o głupoty.

Crister Nilsson wykręcił numer komisariatu.

ROZDZIAŁ 26

Lipowo.

Poniedziałek, 30 grudnia 2013. Przed południem

Zostały jeszcze dwa dni starego roku. Starszy sierżant Marek Zaręba stanął przed domem wynajętym przez Emilię Strzałkowską na czas jej pobytu w Lipowie. Młody policjant chciał z nią porozmawiać, zanim dotrą do komisariatu. Sam na sam. Marek długo o tym wczoraj rozmyślał i w końcu uznał, że musi wziąć sprawy w swoje ręce. Daniel Podgórski i Paweł Kamiński nie powinni prowadzić tego śledztwa. Byli w to wszystko za bardzo zaangażowani. Zaręba miał wyrzuty sumienia, że działa za plecami Daniela, byli przecież przyjaciółmi. Z drugiej strony tak dalej być nie mogło i młody policjant wiedział, że pewnego dnia nawet sam Podgórski mu za to podziękuję.

Emilia Strzałkowska wyszła z domu, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Odwróciła się i zobaczyła Marka Zarębę stojącego przy płocie. Policjantka wyglądała na szczerze zaskoczona. Nic dziwnego, zaśmiał się w duchu Marek, przecież się nie umawiali.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

Młody policjant poruszył się niespokojnie.

– Chciałbym z tobą porozmawiać... zanim dojdziemy do komisariatu – wyjaśnił ścisłym głosem. – Okej?

– O czym chcesz porozmawiać? – zapytała Emilia podejrzliwie.

– O całej tej sprawie – poinformował ją Marek Zaręba, robiąc nieokreślony ruch ręką. – Nie podoba mi się to wszystko. Daniel zachowuje się dziwnie. Ty go nie znasz, ale ja tak. Normalnie nie jest taki... Dziwny.

Młodemu policjantowi zabrakło lepszego słowa i cała

wypowiedź wyszła trochę żałośnie. Mimo to Emilia Strzałkowska przyjrzała mu się uważniej. Wyglądało na to, że mimo wszystko przekonał ją do rozmowy.

– Znam go trochę... – powiedziała policjantka dziwnym tonem. – Znamy się ze szkoły policyjnej. Nie wiem, czy Daniel ci o mnie wspominał... Zresztą nieważne. W każdym razie mnie też to wszystko niezbyt się podoba, przyznam szczerze. Nie znam waszych tutejszych zwyczajów, ale dlaczego prokurator nie przysłał kogoś z kryminalnej? Mamy tyle ofiar.

Starszy sierżant Marek Zaręba zawahał się przez chwilę.

– Prokurator Jacek Czarnecki był bliskim przyjacielem ojca Daniela. Czarnecki ma dość duże wpływy i w prokuraturze, i w Komendzie Powiatowej. Moim zdaniem to jego decyzja, żeby nie mieszać w to dochodzenie policji z Brodnicy. Już kiedyś nam w ten sposób powierzył śledztwo, ale teraz... Bardzo lubię Daniela, ale...

Marek urwał w pół zdania. Z jakiegoś powodu nie umiał porządnie zwerbalizować swoich myśli i obaw.

– Ale to nie on powinien zajmować się tą sprawą – dokończyła za niego Emilia Strzałkowska gładko. – Zgadzam się całkowicie.

Zaręba pokiwał głową.

– Dlatego pomyślałem, że może pogadamy we dwójkę i coś razem wymyślimy – zakończył. – No, nie wiem, co trzeba robić dalej.

– Ale co chcesz zrobić? Porozmawiać z kimś z góry?

Młody policjant pokręcił energicznie głową.

– Nie – odpowiedział szybko. Na pewno nie chciał robić kłopotów ani Danielowi Podgórskiemu, ani prokuratorowi Czarneckiemu. – Nie chcę nikomu mieszać. Zwłaszcza Danielowi. Myślałem raczej, że możemy spróbować rozwiązać to porządnie we dwójkę.

– Sama nie wiem, czy to już teraz coś da – mruknęła Emilia zrezygnowana. – Daniel nie zlecił przeszukania domu Seweryna Dworakowskiego, kiedy trzeba było to zrobić. Jeszcze wczoraj ta historia z atakiem na Jerzego Gralę. Rozumiem, że ktoś może nie chcieć zgłosić takiego zajścia, ale moim zdaniem

naukowiec wyraźnie się kogoś boi i dlatego postanowił załagodzić tę sprawę. Próbował mi to wczoraj przekazać, a ja go zignorowałam. To też był błąd.

– Kogo Grała miałby się bać?

– Stawiałabym na profesora Dworakowskiego, ale może się mylę. W każdym razie powinniśmy coś zrobić. A Daniel nie zrobił nic. Znowu!

Marek Zaręba poczuł ukłucie irytacji, kiedy Strzałkowska krytykowała Podgórskiego w ten sposób, mimo że przecież to młody policjant sam przyszedł do koleżanki ze swoimi dręczącymi wątpliwościami.

– Myślisz, że atak na Grałę jest dziełem tej samej osoby co podpalenie domu Filipa Weissa i uduszenie Gierota?

– Nie wiem – przyznała policjantka. – W każdym razie znowu pojawia się w tym równaniu profesor Seweryn Dworakowski. Nie ufam temu człowiekowi. Jego syn zeznał przecież, że ukryli z ojcem ciało Marty Ciosek w Cichym Lasku. Profesor jest biologicznym ojcem Filipa i Tytusa Weissów, ale jednocześnie ich nienawidzi. Trochę tego zaczyna być dużo, nie uważasz?

– Dlaczego Dworakowski miałby atakować Grałę?

Emilia Strzałkowska wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Zupełnie – przyznała policjantka. – Może naukowiec coś wie, tak jak ten wasz pijak Gierot? Przecież to on widział profesora w noc podpalenia. Kłopot w tym, że jeżeli Grała wie coś więcej, to teraz już nam raczej nie powie. Wygląda na przerażonego. Dworakowski osiągnął swój cel.

– Może powinniśmy zapewnić Grali jakąś ochronę – zastanawiał się starszy sierżant Marek Zaręba. – Albo przynajmniej zabrać go z „Wrzosów”?

– To nie zależy od nas – prychnęła Strzałkowska. – To zależy od Daniela. Mam nadzieję, że wreszcie pójdzie po rozum do głowy.

Łukasz Strzałkowski patrzył przez okno, jak mama prowadzi ożywioną dyskusję z ojcem Andżeliki. Policjanci stali przy

furtce ich wynajętego domu przez dłuższą chwilę. Chłopak miał nadzieję, że nie chodzi o niego i Andżelikę. Przecież nie zrobili nic złego. Początkowo Łukasz próbował odczytać coś z ruchu ich warg. Widział coś podobnego na jakimś filmie. Szybko mu się jednak znudziło. Zwłaszcza że niezbyt dobrze mu szło. Mama i ojciec Andżeliki raczej nie dyskutowali o pigwie w syropie. Łukasz zaśmiał się sam z siebie.

Obserwacja policjantów przy pracy sprawiła jednak, że syn Emilii sam nabrał ochoty na jakieś zadanie umysłowe. Poszedł do swojego pokoju i włączył komputer. Równie dobrze mógł zacząć od rozwikłania zagadki sekty Świątynia i drogocennego klejnotu zwanego Dumą Bałtyku, który podobno należał do przywódcy sekty, Witalisa Sobieraja.

Na dobry początek Łukasz zamierzał zgrać na komputer zdjęcia, które zrobił swoim smartfonem, kiedy odwiedził osadę w Cichym Lasku kilka dni temu. Do tej pory nie chciało mu się tego zrobić. Fotografie zaczęły po kolei pojawiać się na ekranie. Na początek kilka pozowanych zdjęć Andżeliki. Długie włosy rozwiane przez wiatr, dziewczyna w nieco sztucznej pozie pośrodku pola. Było nawet jedno zdjęcie Łukasza. Miał dosyć skwaszoną minę, ale i tak zamierzał wrzucić je na fejsa.

W końcu wszystkie fotografie znalazły się na komputerze. Łukasz włożył telefon do kieszeni i zaczął przeglądać zdjęcia po kolei. Powiększał je, ile mógł, ale większość i tak była nieostra.

– Dno – podsumował chłopak niechętnie.

Łukasz otworzył plik z kolejnym zdjęciem. Fotografia przedstawiała ścianę z podobiznami wszystkich członków sekty, czyli tak zwaną Ścianę Chwały w Świątyni Kontemplacji. Nagle Strzałkowski coś zauważył. Otworzył przeglądarkę internetową i poszukał jednej ze stron na temat sekty Świątynia. Link miał zapisany w zakładce z ulubionymi.

– Wygląda na to, że mam rację! – krzyknął podniecony.

Chłopak wyjął telefon z kieszeni i szybko wybrał numer do Andżeliki. Rodzice mogli być niezadowoleni, ale w końcu ona też w tym wszystkim uczestniczyła. To by było niesprawiedliwe, gdyby nie powiedział jej o swoim odkryciu.

– Andżelika – rzucił Łukasz Strzałkowski, kiedy tylko córka

Marka Zaręby odebrała. – Chodź do mnie szybko. Muszę ci coś pokazać. Jestem na tropie.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski spojrział na swoje odbicie w lustrze. Siedział w łazience w komisariacie w Lipowie już od dobrych kilkunastu minut i wpatrywał się w swoją wymizerowaną twarz. Oczy miał podkrążone, a policzki zdawały się dziwnie zapadnięte. Dziś, po raz pierwszy od bardzo dawna, Daniel musiał zacisnąć mocniej pasek. Koszula też wydawała się jakby luźniejsza. Najwyraźniej ostatnio znacznie schudł. To mu się raczej nie zdarzało. Musiał przyznać, że wyglądał teraz na chorego. Miał dziwne wrażenie, jakby emocje ostatnich dni zjadały go od środka, a on sam zmieniał się w pustą skorupę.

Nagle zabrzęczała jego komórka. W niewielkim pomieszczeniu łazienki melodia dzwonka brzmiała groteskowo.

– Młodszy aspirant Daniel Podgórski – przedstawił się policjant odruchowo.

– Witam, panie Danielu, tu Zbyszek Koterski z kostnicy – powiedział wesoło medyk sądowy. – Nie przeszkadzam?

Podgórski pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie – odparł, starając się ukryć zmieszanie.

– Pewnie będzie pan miał telefon z laboratorium, ale ja przed chwilą z nimi rozmawiałem i postanowiłem, że sam pana poinformuję. Są już wyniki badania ubrania uduszonego pijaka – powiedział szybko doktor Koterski. – Może coś wam to da. Powiem szczerze, że ja mam tylko jedno skojarzenie...

– Co pan ma na myśli? – zapytał Daniel zdziwiony. W jednej chwili zapomniał o swoim ponurym odbiciu w lustrze.

– Mówiłem, że wysłałem ubranie tego uduszonego do badania, prawda?

– Tak. Mieli też zrobić DNA naskórka spod paznokci Gierota...

– No właśnie – przerwał Danielowi doktor Zbigniew Koterski. – Na DNA musimy jeszcze poczekać. Zresztą nadal nie macie chyba materiału porównawczego, prawda?

Podgórski westchnął ciężko. To była niestety prawda.

– Nie, nie mamy – przyznał. – To znaczy mamy kilku podejrzanych, ale... przede wszystkim chciałbym zawęzić grupę i...

– Zostawmy na razie DNA – zaproponował lekarz sądowy szybko. – Zaciekało mnie to, co odkryto na ubraniu zabitego. Proszę posłuchać.

Jerzy Grala szedł szybkim krokiem do osady sekty Świątynia. Miał wrażenie, że cała samokontrola, którą sobie narzucił w ostatnich dniach... że fasada spokoju i opanowania pęka w stos maleńkich odłamków. Nie mógł już dłużej udawać przed innymi, a tym bardziej przed sobą, jak robił to od czasu podpalenia. Jakby czarę goryczy przepełniła ostatnia kropla i kłamstw już dłużej nie udało się utrzymać w ryzach.

Przed chwilą naukowiec odebrał telefon od tego ciekawskiego chłopaka, który kiedyś przyszedł do Cichego Lasku i wypytywał o sektę oraz Dumę Bałtyku. To Jerzego zupełnie rozbiło, jakby wreszcie poddał się napięciu ostatnich dni. Łukasz mówił przez kilka minut podekscytowany o swoim nowym odkryciu. Grala słuchał w napięciu, próbując naprędce ustalić najlepszy plan działania w zaistniałej sytuacji.

– Spotkajmy się w Cichym Lasku – zdecydował w końcu, a Łukasz chętnie na to przystał. – Tam obgadamy wszystko w spokoju.

To, co powiedział chłopak, wcale się Jerzemu Grali nie podobało. Ani odrobinę. Nie miał na to spotkanie ochoty, ale trzeba to było zakończyć, póki jeszcze czas. Raz na zawsze. Naukowiec myślał, że sprawa jest już załatwiona. Zwłaszcza po tym, jak sfingował atak na siebie, żeby jeszcze bardziej odwrócić podejrzenia od swojej osoby. Świszczący oddech Albina pod drzwiami poddał mu ten doskonały pomysł i, przynajmniej jak na razie, wyglądało na to, że policja połknęła haczyk.

Potem był telefon od Łukasza i okazało się, że Jerzy się mylił. Sprawy wcale nie były zakończone. Co więcej,

niebezpieczeństwo przyszło z zupełnie innej strony, niż się spodziewał. Nie od policji, lecz od nastolatka, który wydawał się taki niewinny i zainteresowany nauką.

Grala nie uważał siebie za mordercę. To była raczej kwestia okoliczności, które ułożyły się w ten, a nie inny sposób. Teraz też nie zamierzał pozwolić, żeby ktoś odkrył chociaż rąbek jego tajemnicy. Tajemnicy, którą w ostatnich dniach skrywał nawet sam przed sobą. Za wszelką cenę trzeba się było zabezpieczyć. Nawet kosztem życia tego wścibskiego chłopaczka.

Jerzy zbiegł niemal z pagórka w kierunku zagajnika zwanego przez miejscowych Cichym Laskiem. Próbował przyswoić sobie tę nazwę. Przez ostatnie dni nawet mu się to udawało. Teraz jednak zrozumiał, że nie był sobą. Dla niego to już na zawsze będzie Las Chwały, tak jak wyuczył ich Witalis Sobieraj. Grala nie planował już nigdy wracać do tego przekłętego miejsca, z którego uciekł razem z matką tyle lat temu.

Tak, nie chciał spędzić tu ani minuty dłużej. Teraz jednak nie miał wyboru. Dla tego, co zamierzał zrobić, Las Chwały był idealnym miejscem. Już raz się przecież sprawdził. Tu przynajmniej nikt nie będzie mi przeszkadzał, kiedy rozprawię się z tym szczyłem, pocieszył się Grala w duchu. Chłopak sam był sobie winien, drażył za bardzo tam, gdzie nie trzeba.

Filip Weiss i Gierot też sami sobie zawinili. Naukowiec przecież nie chciał nikogo zabijać. To była ich wina. On tylko dostosował się do niełatwych okoliczności, które nie pozostawiły mu żadnego wyboru.

– Halo! – zawołał Jerzy, wbiegając do zagajnika.

Znowu miał wrażenie, że wszystko wokół rozbrzmiewa głosami nieżyjących już przecież mieszkańców osady. Grala pamiętał doskonale, jak to wyglądało w latach sześćdziesiątych, kiedy jeszcze sam był dzieckiem. Nadal mógł z łatwością powiedzieć, kto mieszkał w którym domu, mimo że minęło tyle lat.

– Halo! Jesteś tu, synu? – zawołał znowu naukowiec.

– Tu jesteśmy, panie Grala! – rozległo się z głębi starej osady. Jesteśmy? To komplikowało nieco sprawę. Jerzy ruszył w kierunku domu Witalisa Sobieraja. Nienawidził przywódcy

sekty, ale jednocześnie w jakiś sposób go podziwiał. To matka zbudowała w Jerzym ten dualizm. Matka była prawdziwą trzydziestą pierwszą, czyli kochanką i jedyną prawowitą żoną Sobieraja. Była jedyną, która zachowała na tyle trzeźwy osąd, żeby rozumieć, że rytualne samobójstwo w Dzień Chwały nie ma sensu. Zrozumieć i zebrać w sobie tyle odwagi, żeby stąd uciec, zanim wszystko się zaczęło, razem z synkiem, którego spłodził Sobieraj.

Naukowiec zobaczył, że na schodach do domostwa przywódcy sekty stoi Łukasz Strzałkowski i ta dziewczynka, z którą dzieciak był tu ostatnio. Nazywała się chyba Andżelika. Jerzy Grała odetchnął z ulgą. Przez chwilę obawiał się, że chłopak przyprowadził ze sobą matkę policjantkę. Wiedział, że poradzi sobie z tymi dzieciakami bez problemu. Stary Witalis Sobieraj i jego metody wychowawcze nareszcie się przydadzą. Grała musiał tylko zwabić Łukasza i Andżelikę w odpowiednie miejsce. Potem nikt ich już nie odnajdzie.

– Jak otworzyliście drzwi? – zapytał, siląc się na jak najmiłszy ton. – Przecież zabiłem drzwi deskami, kiedy kończyłem badanie osady.

– To nie było takie trudne – powiedział Łukasz nie bez pewnej dumy. – Mam już prawie czternaście lat. Trochę siły jest już w tych rękach. Podważyłem kijem i deski łatwo wyszły. Chyba nie przybił pan zbyt dokładnie.

– No proszę. Tym razem będziemy musieli się lepiej postarać, prawda? – stwierdził Grała. – Jak już skończymy rozmowę.

Chłopak zaczął działać naukowcowi na nerwy. Tym lepiej. Łatwiej będzie się go pozbyć.

– Niech pan szybko przyjdzie – zachęcił Łukasz. – Sprawdziliśmy już z Andżeliką. Jest tak, jak mówiłem. Jedna z postaci w Świątyni Kontemplacyjnej zniknęła ze ściany. Uwierzy pan? Wydrukowałem zdjęcie z Internetu. Było robione na początku roku. W międzyczasie ktoś wytarł podobiznę jednej z kobiet. Była narysowana tuż obok twarzy samego Witalisa Sobieraja, a teraz jej nie ma. Jak to się mogło stać?

Grała pokiwał głową. Zrobił to prawie na samym początku

swojego pobytu w Lipowie. Wytarł podobiznę matki ze Ściany Chwały. W ten sposób jej znekana dusza została uwolniona. Nie należała już do Witalisa Sobieraja. Cyrograf z diabłem został zerwany. Jerzy spełnił ostatnie życzenie matki. Po to głównie przyjechał do Lipowa. Potem jednak wydarzenia potoczyły się zupełnie inaczej, niż to sobie zaplanował.

– Uwierzy pan? – powtórzył Łukasz wyraźnie podekscytowany.

– Niesamowite – powiedział naukowiec gładko. Zaczynał się odnajdować w swojej nowej roli. – Dziwne, że tego nie zauważyłem przedtem! Dobrze, że mnie zawiadomiłeś, synu. Chodźmy do środka. Zamknę tylko drzwi. Jakoś chłodno się zrobiło. Nie będziemy przecież marzli.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski otworzył gwałtownie drzwi łazienki. Przed chwilą skończył rozmawiać z medykiem sądowym doktorem Zbigniewem Koterskim, który zreferował mu pokrótce wyniki badań ubrania Gierota.

– Wszystko w porządku, synku? – zapytała Maria. – Siedziałeś w łazience tak długo. Zastanawiałam się, czy się nie zatrueś. Wyglądasz tak blade.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał policjant, ignorując komentarz matki.

Starsza pani spojrzała na Daniela zdziwiona.

– Wszyscy przecież czekają na ciebie w salce konferencyjnej – powiedziała powoli. – Mielśmy mieć odprawę i...

– Idziemy – rzucił Podgórski do matki. – Mam ważne informacje.

Pozostali policjanci rzeczywiście zgromadzili się już w pokoju socjalnym. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska i starszy sierżant Marek Zaręba siedzieli po jednej stronie okrągłego stołu, a młodszy aspirant Paweł Kamiński po drugiej. Kamiński żuł kanapkę bez apetytu. On, podobnie jak Daniel, również tego dnia nie wyglądał najlepiej.

– Przyniosę ciasto – zaproponowała Maria swoim zwyczajem. – Mam do wyboru keks i bardzo smaczne ciasto

bananowe z orzechami włoskimi. Robiłam pierwszy raz, ale wyszło świetne. Jeżeli mogę tak skromnie powiedzieć. Co wolicie? Czy przynieść oba?

Daniel Podgórski machnął ręką zniecierpliwiony. Maria wyglądała na urażoną, ale usiadła natychmiast na swoim miejscu przy okrągłym stole.

– W laboratorium znaleźli coś ciekawego – wyrzucił z siebie szef komisariatu, chociaż miał wrażenie, że wszyscy wpatrywali się w niego dziwnie.

– Wszystko w porządku, Daniel? – zapytała ostrożnie Emilia Strzałkowska.

– Chyba wiemy, gdzie Gierot został uduszony – powiedział Podgórski z naciskiem, ignorując pytanie koleżanki. – Mamy miejsce zbrodni!

Zapadło wyczekujące milczenie. Nawet Maria zapomniała, że Daniel nie chciał spróbować jej ciasta.

– Gdzie? – zapytał młody Marek Zaręba, przerywając ciszę.

– W laboratorium znaleźli na ubraniu Romana Gierota ślady ochry – wyjaśnił Podgórski szybko. – Przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce w okolicy, gdzie jest ochra. Wiecie już, o co mi chodzi?

– Mówisz o tych malunkach w osadzie sekty w Cichym Lasku? – podchwycił Marek Zaręba natychmiast. – Tych, które dokumentował Jerzy Grała? Z tego, co pamiętam, były na jednej ze ścian w domu przywódcy sekty.

Daniel Podgórski pokiwał głową.

– Dokładnie. To chyba nie może być zbieg okoliczności, prawda? Prawdopodobnie Gierot został zabity właśnie w Cichym Lasku. Proponuję, żebyśmy poszli do osady sekty i się temu przyjrzeni. Może znajdziemy jakieś ślady.

– My? – mruknął Zaręba. – Nie sądzisz, że...

– Nie lepiej od razu wezwać techników? – poparła młodszego kolegę Emilia Strzałkowska. – My możemy nieświadomie pozacierać ślady. Niech lepiej oni się tym zajmą. W końcu po to są, prawda?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski pokiwał głową. I tak popełnił już za dużo błędów i złamał za wiele zasad.

– Masz rację. Najpierw ich zawiadomię, a potem pójdziemy na miejsce.

Jerzy Grala wszedł do pomieszczenia zwanego Świątynią Kontemplacyjną. Łukasz Strzałkowski i Andżelika Zaręba stali przed Ścianą Chwały, na której każdy z członków sekty zobowiązany był narysować ochrą swoją twarz na znak, że na zawsze oddaje duszę Witalisowi Sobierajowi.

Sobieraj nie bez przyczyny wybrał właśnie ochrę. Grala doskonale pamiętał, mimo że przecież był wtedy dzieckiem, jak przywódca sekty o niej opowiadał. Ochra używana była jako naturalny barwnik od tysiącleci. W pradawnych kulturach była symbolem krwi. Tak jak i wasza krew staje się moja, powtarzał często Witalis Sobieraj pozornie dobrotliwym tonem. Grala nigdy nie myślał o nim jako o ojcu. To zawsze był tylko „Chwalebny Przywódca”. Nawet matka tak się do niego odnosiła, mimo że miała status trzydziestej pierwszej, czyli najważniejszej kobiety w całej sekcie.

Jerzy wiedział, że ojciec go nienawidzi. Tak jak i innych dzieci w osadzie. Witalis nie mógł się ich jednak pozbyć. Członkowie sekty byli oddani swojemu przywódcy, ale Sobieraj nie chciał chyba igrzać z instynktowną chęcią opieki nad potomstwem, jak mawiał z pogardą o rodzicielskiej miłości do dzieci.

– Znalazłem w Internecie kilka informacji o tej sekcie – zaczął Łukasz Strzałkowski, wrywając naukowca z rozważań na temat znienawidzonego ojca. – Na jednej ze stron, które czytałem, była wzmianka, że do Świątyni zawsze należało trzydzieści jeden osób dorosłych. Nie mniej i nie więcej.

Jerzy Grala spojrział na Łukasza gniewnie. Już za chwilę nie będzie musiał dbać o żadne pozory.

– Rzeczywiście tak było – przytaknął.

Jerzy powiedział miejscowym funkcjonariuszom, że do sekty Świątynia należało trzydzieści osób. To było kłamstwo, które policjanci przełknęli bez mrugnięcia okiem. Nie przyszło im nawet do głowy poszukać więcej informacji na temat osady

w Cichym Lasku. Uwierzyli naukowcowi i jego sfalszowanej dokumentacji. Dlaczego mieliby mu nie ufać?

Chłopak miał jednak rację. Trzydzieści jeden to była dla Witalisa Sobieraja święta liczba, ponieważ w tym właśnie wieku miał doznać objawienia. Przywódca sekty zawsze powtarzał, że większość ludzi na ziemi ma jedną duszę. On miał ich trzydzieści jeden, swoją oraz trzydzieści pozostałych, których zrzekli się na jego rzecz członkowie Świątyni, malując swoją twarz ochrą na Ścianie Chwały. Świątynia trzydziestu jeden zagubionych dusz, tak to widział Grala. Pierwszą duszą był Witalis Sobieraj. Trzydziestą pierwszą zaś jego nałożnica, czyli matka Jerzego.

Łukasz Strzałkowski wpatrywał się w Ścianę Chwały intensywnie, jakby dzięki temu mógł zrozumieć, gdzie zniknął jeden z portretów. Chłopak wyglądał na zafascynowanego. W tym momencie Jerzy Grala mógłby go nawet polubić. Naukowiec nie miał jednak wyjścia. Musiał pozbyć się i Łukasza, i jego niespodziewanej towarzyszkii, Andżeliki.

– Masz rację – powtórzył Grala. – Do sekty należało trzydzieści jeden osób dorosłych, a dzieci się nie liczyły. Witalis Sobieraj nie uważał ich za ludzi. Dla niego wy na przykład nie bylibyście ludźmi.

Naukowiec starał się mówić neutralnym tonem. Dzieciaki wyczuły chyba jednak, że coś jest nie w porządku, ponieważ zerknęły na siebie niespokojnie. Jerzy Grala westchnął. Nie był mordercą. Po prostu nie miał wyjścia. Sytuacja ułożyła się tak, a nie inaczej, i musiał podjąć odpowiednie kroki. Nawet jeżeli były one nieprzyjemne.

Andżelika zerknęła znowu na Łukasza wymownie, jakby chciała mu coś przekazać. Grala poczuł, że już najwyższa pora, by wreszcie zacząć działać. Błyskawicznie włożył rękę do torby i wyciągnął młotek, który schował tam przed wyjściem z „Wrzosów”. Narzędzie wydawało się teraz niespodziewanie ciężkie. Jerzy ciągle jeszcze miał zakwasy po tym, jak musiał przenieść ciało Gierota z Cichego Lasku aż do szosy. Był jednak pewien, że da radę zrobić dobry użytek z młotka. To było zdecydowanie lepsze wyjście niż duszenie tych dzieci gołymi

rękami. Dziś już nie miałyby chyba na to siły.

Naukowiec ruszył w kierunku dziewczynki. Andżelika próbowała uciekać, ale Grala zdążył pchnąć ją z całej siły. Uderzyła głową o ścianę i upadła.

– Co pan robi?! – krzyknął Łukasz Strzałkowski dziko.

– Lepiej się nie ruszaj, chłopcze. Chyba że chcesz, żeby twojej przyjaciółeczce stało się coś gorszego niż kilka zadrapań na czole – ostrzegł naukowiec twardo. Nie był mordercą, ale potrafił być zdecydowany. – Radzę ci stać spokojnie.

Chłopak zastygł przerażony. Jerzy Grala podszedł do leżącej na ziemi Andżeliki. Z jej czoła płynęła krew, a na twarzy malowała się dezorientacja. Prawdziwa, nie taka udawana jak ta, którą Jerzy zagrał przed mieszkańcami „Wrzosów” i policją.

Grala szybko wyciągnął z torby sznurek, którego używał do pakowania sprzętu, i związał Andżelice ręce. Niezbyt mocno, ale na razie to musiało wystarczyć. Teraz trzeba było obezwładnić Łukasza. Inaczej chłopak mógł uciec i wezwać pomoc.

Naukowiec odwrócił się w stronę chłopaka. Strzałkowski nadal stał przy Ścianie Chwały bez ruchu.

– Podejdz do mnie natychmiast, jeżeli nie chcesz, żebym ją zabił – rozkazał Jerzy Grala. Miał nadzieję, że ma chociaż w połowie tak wielki dar przekonywania jak Chwalebny Przywódca Witalis Sobieraj.

Łukasz Strzałkowski walczył ze sobą przez chwilę, ale w końcu podszedł posłusznie. Dłonie trzymał w kieszeniach.

– Ręce – rozkazał Jerzy Grala twardo.

Tym razem chłopak zareagował od razu. Wystawił dłonie przed siebie i naukowiec związał je resztą sznurka.

– Doskonale – pochwalił Jerzy.

Wręcz doskonale. Łukasz i Andżelika byli unieszkodliwieni. Teraz wystarczyło ich tylko zaprowadzić w odpowiednie miejsce. W miejsce, o którym Grala próbował zapomnieć przez całe życie, chociaż był tam tylko dwa razy.

– Zrobił pan błąd! – poinformował go Łukasz Strzałkowski hardo. – Czemu nas pan zaatakował? Gdyby nie to, nikt by się nie domyślił, że to pan jest zabójcą. Ja w każdym razie niczego

się nie domyśliłem. Naprawdę chciałem z panem tylko obgadać zniknięcie tego portretu. Spokojnie by pan sobie wyjechał, a tak to nasi rodzice i cała policja już nigdy nie dadzą panu spokoju. Zawisnie pan!

Jerzy Grala zaśmiał się głośno. Zawisnie? Chłopak usłyszał chyba to wyrażenie w jakimś marnym westernie.

– Po pierwsze, synu, to ja nie jestem mordercą. Takie były okoliczności – wyjaśnił cierpliwie. – Musiałem działać. Nie przyjechałem tu zabijać. Uwierz mi, że przyjechałem w zupełnie innym celu.

– Przyjechał pan po ten klejnot, po Dumę Bałtyku, tak?!
– wykrzyknął Łukasz Strzałkowski nadal pewnym siebie tonem.

Jerzy Grala znowu się zaśmiał.

– Znowu nie trafiłeś, synu. Nie przyjechałem tu wcale po Dumę Bałtyku. Mylisz się.

Mimo wszystko naukowiec czuł pewną satysfakcję. To była prawda. Nie przyjechał tu wcale po klejnot. Duma Bałtyku odnalazła się przez przypadek i to właśnie ona rozpoczęła serię okoliczności, które zmusiły Gralę do sięgnięcia po drastyczne środki.

– To po co pan tu niby przyjechał?

– Naprawdę przyjechałem tu badać osadę sekty Świątynia. Jak wiesz, specjalizuję się w sektach i ich domostwach. Poza tym chciałem uwolnić duszę mojej matki, ale to już nie powinno cię interesować. Zresztą i tak byś tego nie zrozumiał, szczyłu!

Łukasz Strzałkowski spojrzał na Gralę zaskoczony.

– To dlaczego podpalił pan dom Filipa Weissa? Nic z tego nie rozumiem.

– Nie musisz. Nie twój interes.

Jerzy Grala wcale nie miał ochoty dalej rozmawiać z tym wścibskim gówniarzem. Trzeba było działać szybko. Takie dyskusje były jedynie stratą czasu. Chciał już mieć to wszystko wreszcie za sobą.

– I tak zamierza pan nas zabić – powiedział chłopak niemal rzeczowo. – Równie dobrze może nam pan powiedzieć,

dlaczego pan zabijał. Należy nam się to! Wyjaśnienie nam się należy.

Andżelika Zaręba zaczęła cicho płakać. Łzy mieszały się z krwią spływającą jej z czoła. Dziewczynka chyba dopiero teraz zdała sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Nie chcę umierać, Łukasz! – łkała. – Zrób coś!

Strzałkowski spojrział na koleżankę bezradnie.

– Zamknij się – rzucił Jerzy Grała.

– Dlaczego podpalił pan dom Filipa Weissa? – nie ustępował Łukasz Strzałkowski. – Bo to pan, prawda?

Jerzy Grała poczuł, że powoli traci cierpliwość.

– Nie twój interes, dlaczego zabiłem Filipa Weissa i tego pijaka Gierota. To moja sprawa! – krzyknął najgłośniej, jak umiał. Przecież i tak nikt ich tu nie usłyszy. – A teraz lepiej się zamknij, bo zabiję twoją towarzyszkę teraz, od razu. Natychmiast mi tu wstawać i idziemy.

– Gdzie? – zapłakała Andżelika.

– Zobaczysz. – Naukowiec zaśmiał się szyderczo.

– Zobaczysz. Chwalebny Przywódca miał swoje sekrety! Zapewniam cię.

Osada Świątyni miała swoje tajemnice, a Jerzy Grała doskonale je znał. Był teraz ostatnim żyjącym członkiem sekty.

ROZDZIAŁ 27

Lipowo.

Poniedziałek, 30 grudnia 2013. Wczesne popołudnie

Starszy sierżant Marek Zaręba i Emilia Strzałkowska weszli do osady sekty Świątynia. Daniel Podgórski i Paweł Kamiński czekali na techników kryminalnych na szczycie wzniesienia. Z zagajnika widać było w oddali ich postaci.

– Zawsze tu jest tak cicho? – zagadnęła Emilia. – Dlatego mówicie o tym miejscu Cichy Lasek?

Marek Zaręba pokiwał głową. Rzeczywiście to miejsce zawsze zdawało się wyjątkowo milczące. Miejscowi byli zdania, że Cichy Lasek jest przeklęty.

– Dlatego niektórzy mówią, że tu straszy – dodał młody policjant.

Emilia Strzałkowska uśmiechnęła się pod nosem.

– Myślisz, że technicy znajdą tu miejsce, gdzie uduszono Gierota? – zastanawiała się policjantka. Rozglądała się wokoło ciekawie. – Myślisz, że będą jakieś ślady? Może coś wreszcie by się ruszyło.

Nagle odezwał się telefon Marka. Zaręba zerknął na wyświetlacz. Dzwoniła Ewelina.

– Cześć, Ewcia – powiedział do żony czule. – Nie mogę teraz rozmawiać, kochanie, jesteśmy na akcji. Oddzwonię do ciebie potem.

– Marek! Nie mogę się dodzwonić do Andżeliki – poinformowała męża fryzjerka, nie zważając na to, co właśnie jej powiedział. – Nie wiem, gdzie ona poszła.

– Pewnie jest z koleżankami – zasugerował Zaręba.

– Miała być z tym całym Łukaszem Strzałkowskim – wyjaśniła Ewelina. – Kiedy wychodziła z domu, mówiła, że idzie do niego pograć. Chciałabym zadzwonić do niego i się

zorientować, co i jak, ale nie znam do niego numeru. Denerwuję się, że Andżelika nie odbiera telefonu.

Zaręba sam poczuł nagle irracjonalny strach o starszą córkę, a przecież nie było czego się bać. Dzieciaki pewnie grały na komputerze albo robiły coś, o czym Marek wolał nie myśleć. W każdym razie Andżelice na pewno nie było teraz w głowie odbieranie telefonu od matki.

– Jest ze mną Emilia. Poproszę ją, żeby zadzwoniła do syna – uspokoił fryzjerkę młody policjant. – Zobaczysz, że wszystko jest w porządku. Oddzwonię do ciebie, Ewelinka. Wszystko jest w porządku.

Emilia Strzałkowska spojrzała na Marka pytająco.

– Mogłabyś przedzwonić do Łukasza? – poprosił, rozłączając się. – Andżelika nie odbiera telefonu, a moja żona odchodzi od zmysłów.

Strzałkowska bez słowa sięgnęła po telefon. Zaręba również wybrał numer. Ewelina miała rację, córka rzeczywiście nie odbierała. Kiedy Marek próbował po raz kolejny, włączyła się poczta głosowa, jakby Andżelika była poza zasięgiem.

– Łukasz jest chyba poza zasięgiem – oznajmiła Emilia Strzałkowska, jakby czytała młodemu policjantowi w myślach.

– Gdzie oni poleźli? – zastanawiał się Marek z rozbawieniem.

Emilia westchnęła zrezygnowana.

– Czuję się winna, że twoja żona jest zła. Zresztą nie dziwię się jej – powiedziała policjantka. – To pewnie był jakiś pomysł Łukasza. Jest starszy. Powinien lepiej wiedzieć. Przyznam, że jestem trochę zawiedziona jego brakiem odpowiedzialności. Jak gdzieś wychodzi, to powinien mnie zawiadomić. To na pewno Łukasz wpadł na ten pomysł.

– No coś ty. Andżelika też ma niejedno za uszami – odparł starszy sierżant Marek Zaręba. – Będziemy się martwić potem. Na pewno się znajdą w swoim czasie. W Lipowie nic im nie grozi. To nie jest Warszawa.

Daniel Podgórski pomachał do nich ze szczytu wzniesienia. Technicy już jechali. Zaręba z miejsca zapomniał o niepokoju. Poczul znajomą ekscytację, która towarzyszyła każdej policyjnej akcji. Choćby najmniejszej.

Łukasz Strzałkowski szedł pochylony przez niski wąski tunel. Wydrążony w ziemi korytarz miał swój początek w piwnicy domu przywódcy sekty Witalisa Sobieraja i prowadził nie wiadomo dokąd. Drzwi do tunelu były tak dobrze ukryte, że chłopak w pierwszej chwili w ogóle ich nie zauważył. Właściwie nie widział ich aż do momentu, kiedy nie stanęły już otworem.

Wokół panowała ciemność. Jedynym źródłem światła była latarka Jerzego Grala, który szedł za dziećmi, popychając je od czasu do czasu brutalnie, żeby przyspieszyły kroku. Po kilku minutach dotarli do kolejnych drzwi. O ile Łukasz mógł się zorientować w nikłym świetle latarki, były to zwykłe drewniane drzwi z metalowym skobelkiem od strony tunelu.

– Otwieraj – rozkazał Łukaszowi Grala.

Strzałkowski posłusznie uniósł związane ręce i wypchnął skobelek do góry. Drzwi uchyliły się ze zgrzytem. Za nimi znajdowało się jakieś pomieszczenie.

– Boję się – załkała znowu Andżelika. – Nie wejść tam!

– Wchodźcie natychmiast – rozkazał Jerzy Grala twardo.

– Chyba że chcecie umrzeć od razu. Wasz wybór.

Łukasz i Andżelika weszli niechętnie do niewielkiego zdawałoby się pomieszczenia wydrążonego w ziemi.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał chłopak, starając się ukryć drżenie głosu.

Andżelika cały czas płakała. Łukasz wcale się jej nie dziwił. Sam miał ochotę wybuchnąć płaczem. Postanowił sobie jednak, że da radę. Był w końcu synem policjantki. Nigdy nie widział, żeby jego mama płakała.

– To jest Loch – oznajmił Jerzy Grala. Światło latarki odbijało się w jego oczach, powodując, że wydawały się teraz niemal diabelskie. – Właśnie tu kończą niegrzeczne dzieci. Ja byłem tu dotychczas dwa razy. Niektórzy nigdy stąd nie wyszli! Sami spójrście!

Naukowiec poświecił latarką dookoła, jakby czegoś szukał. Łukasz Strzałkowski zauważył przy ścianie jakieś stare kości. Grala zatrzymał na nich snop światła. Andżelika zaczęła

krzyżeć. Zabrzmiało to niespodziewanie słabo. Ziemia wokoło tłumiała chyba wszystkie odgłosy.

– Krzycz sobie, moja panno – powiedział naukowiec. – I tak nikt cię nie usłyszy. Przykro mi. Chwalebny Przywódca Witalis Sobieraj już o to zadbał. Widzisz, on nie lubił dzieci, ale jak chce się uprawiać seks, to dzieci w końcu są nieuniknione. Nieprawdaż? No, w każdym razie ojciec zadbał o to, żebyśmy wszyscy byli bardzo, bardzo, bardzo grzeczni. A jak nie?

Pytanie zawisło w powietrzu. Łukasz miał wrażenie, że Jerzy Grala wypowiedział je obcym, nieswoim głosem. Jakby nie mówił on, tylko...

– Pana ojcem był Witalis Sobieraj? – zaryzykował chłopak.

– Tym razem trafiłeś, chłopcze – przyznał Jerzy Grala niemal smutno. – Mam to wątpliwe szczęście być jedynym potomkiem Chwalebnego Przywódcy. Byłem jednym z sześciorga dzieci w osadzie. Jak wiesz, nastał jednak Ostatni Dzień Chwały i wszyscy oni grzecznie popełnili samobójstwo razem z rodzicami. Tylko ja przeżyłem.

– Dlaczego pan nie zginął tamtego dnia?

Naukowiec spojrzał na Łukasza ostro.

– Moja matka uciekła z tego przeklętego lasu i zabrała mnie ze sobą. Była trzydziestą pierwszą i wiedziała, co planuje ten szatan mój ojciec – wyjaśnił Jerzy Grala. – Wcale nie chciała umierać i nie chciała, żebym umierał ja. Pewnej zimowej nocy uciekliśmy stąd przez zaśnieżone pole. Sobieraj nigdy nie zdołał nas odnaleźć. Nie wiem nawet, czy próbował. Niedługo potem wszyscy tu popełnili samobójstwo. Ja i matka natomiast zaczęliśmy życie od nowa. Pod panińskim nazwiskiem matki. Nie chcieliśmy nosić nazwiska Sobieraj, żeby nikt nas nie skojarzył z tą sektą i z tym diabłem wcielonym moim ojcem. Mama do końca życia wypierała się przynależności do Świątyni, a ja przez całe życie starałem się tę jej przynależność wymazać. Sfałszowałem listę członków sekty w policyjnych archiwach, które udostępniono mi pod pretekstem badań nad osadą. Teraz zaś starałem podobiznę matki ze Ściany Chwały, żeby uwolnić jej duszę od tego piekielnika. Ochra czy nie, cyrograf czy nie, teraz matka może

wreszcie spocząć w spokoju.

Na chwilę zapadło milczenie. Łukasz potrzebował czasu, żeby przetrwać wszystkie te informacje.

– Poza tym naprawdę chciałem zbadać to miejsce – dodał po chwili Grala z pewną dozą rozbawienia. – Chciałem spojrzeć na nie jako dorosły człowiek i je opisać. To miało być zwieńczenie mojej kariery naukowej.

– Dlaczego w takim razie zabił pan Filipa Weissa i Gierota? – spróbował znowu Łukasz Strzałkowski.

Naukowiec zaśmiał się głucho i zgasił latarkę. Wokół zapadła zupełna ciemność. Czerń była prawie namacalna. Łukasz słyszał ciche łkanie Andżeliki po swojej lewej stronie. W tej ciemności tylko ten cichy płacz zdawał się dowodem, że nadal jeszcze istnieje świat poza wszechobecną czernią.

Chłopak nagle poczuł się jak w grze komputerowej, w którą kiedyś grał. Gracz poruszał się w niej w prawie całkowitej ciemności. Łukasz przypomniał sobie, jak mama pytała go, o co w tej grze właściwie chodzi, a on powiedział zgodnie z prawdą, że musi odnaleźć osiem stron manuskryptu. Emilia więcej pytań nie zadała. Uznała chyba, że chodzi o coś związanego z literaturą. Syn nie zamierzał wyprowadzać policjantki z błędu. Bał się, że inaczej mama zakazałaby mu grania. W końcu Łukaszowi udało się skończyć rozgrywkę, ale wymagało to naprawdę mocnych nerwów. Paradoksalnie teraz te wspomnienia sprawiały, że chłopak poczuł się nieco lepiej. Znalazł jakiś punkt zaczepienia.

– Dlaczego pan zabił Filipa Weissa i Gierota? – powtórzył, starając się mówić zdecydowanym głosem. Ręce zaczynały mu drętwieć związane ciasno sznurkiem, ale palce automatycznie ułożyły się jak do gry. Wiele godzin przed komputerem robiło swoje. To znowu dodało mu otuchy.

Jerzy Grala zapalił latarkę, jakby słowa Łukasza przerwały jakieś niezrozumiałe zakłęcie. Teraz, po kilku minutach całkowitej ciemności, wydawało się, jakby latarka świeciła z niesamowitą wręcz siłą.

– Jeżeli już musisz wiedzieć, to Filip Weiss znalazł Dumę Bałtyku – oznajmił naukowiec z westchnieniem.

– Jak to?

– To był zwyczajny przypadek. Kazałem Filipowi dokumentować jeden z pokoi na piętrze. Okazało się, że była tam skrytka, o której nie wiedziałem ani ja, ani nikt inny. Witalis Sobieraj uwielbiał konstruować takie miejsca – wyjaśnił Grala niemal łagodnie. – Filip Weiss niechący otworzył tę skrytkę. W środku był klejnot, o którym wszyscy myśleli, że zaginął. Duma Bałtyku. Poznałem ją od razu. Chwalebny Przywódca często nosił ją na szyi, jako symbol swojej absolutnej władzy nad nami. Wiedziałem, że milicja nie odnalazła klejnotu, kiedy wkroczyła tu po zbiorowym samobójstwie członków sekty. Moja matka śledziła wszystkie doniesienia prasowe na ten temat. O klejnocie słuch zaginął i w końcu stał się tylko legendą. Myślałem, że może któryś z milicjantów ukraść klejnot podczas przeszukiwań. Okazało się jednak, że Duma Bałtyku spoczywała cały czas w tajnym schowku ojca. Nie założył jej na szyję w Ostatnim Dniu Chwały.

– Zabił pan śmieciarza, żeby odebrać mu klejnot? – zapytał Łukasz Strzałkowski. – Chciał pan go ukraść?

– Znowu się mylisz, chłopcze – zapewnił go naukowiec. – Ten idiota Filip Weiss od razu do mnie przyszedł, kiedy tylko odkrył schowek. Pokazał mi Dumę Bałtyku. Każdy normalny człowiek wsadziłby klejnot do kieszeni i sam próbował coś z nim zrobić. Nie ten naiwniak Filip Weiss! Idiota myślał chyba, że to tylko szkiełko.

– To dlaczego pan go zabił, skoro śmieciarz oddał panu Dumę Bałtyku po dobroci?

Jerzy Grala zaśmiał się głucho.

– Chciał, żebym ocenił, czy to może mieć jakąś wartość. Musiałem wymyślić coś na poczekaniu. Nie miałem czasu na zastanowienie. Nie spodziewałem się przecież niczego takiego. Wmówiłem Filipowi Weissowi, że nie może sam próbować sprzedać klejnotu. Zapewniłem go, że ściągnie nam to na głowę policję, Interpol i co tam jeszcze, bo Sobieraj ukraść Dumę Bałtyku Gierkowi. Filip Weiss naiwnie uwierzył w każde moje słowo. Mam chyba równie trujący język jak mój ojciec. Skłamałem mu też, że znam odpowiednich ludzi, którzy

ewentualnie będą chcieli kupić klejnot. Filip zaproponował wówczas, żebyśmy podzielili się pieniędzmi. Ja się bezpiecznie pozbędę klejnotu, a on dostanie swoją część i będzie mógł spłacić tych Szwedów, a potem żyć dostatnio z żoną i synkiem. Naiwniak.

– Co było dalej?

– Jak możesz łatwo zrozumieć, chłopcze, ja nie chciałem się dzielić. – Jerzy Grała zaśmiał się nieprzyjemnie. – Dlaczego zresztą miałbym to robić? Duma Bałtyku należy przecież do mnie. Jestem jedynym synem Witalisa Sobieraja. Przywódca sekty może i zdobył klejnot na czarnym rynku, ale za niego zapłacił. To nie on ukraść Dumę Bałtyku Gierkowi. Klejnot należał do Sobieraja, a teraz należy do mnie. Proste.

Na chwilę zapadło milczenie. Światło latarki zamigotało lekko, jakby wyczerpywała się bateria. Łukasz Strzałkowski zadrżał mimo woli. Próbował grać odważnego, ale sprawa zaczynała go już teraz przerastać. Czy mama w ogóle zauważyła, że zniknął? Czy będzie go szukała? Ile czasu minęło od czasu, kiedy wyszli z Andżeliką z domu?

– Dlaczego pan podpalił dom Filipa Weissa? – zapytał chłopak, próbując zebrać się w sobie. – Mógł pan go zabić tu na miejscu. Po co to wszystko?

– Na początku wcale nie wiedziałem, że go zabiję. Już mówiłem, że mordercą nie jestem. Nie planowałem jego śmierci. Ten pomysł pojawił się dopiero potem. Przypomniałem sobie, że kilka dni wcześniej ktoś opowiedział mi historię o tym podpaleniu piętnaście lat temu. Możliwe, że to byli ci pijaczkowie spod sklepu – odparł ledwo dosłyszalnie Grała. Latarka znowu zamigotała. Naukowiec postukał nią w otwartą dłoń i światelko znowu stało się bardziej widoczne. – W każdym razie tak się składało, że akurat brat podpalacz miał wyjść z więzienia i wrócić do wsi. Postanowiłem to wykorzystać, żeby zrzucić winę na niego. Dlatego właśnie podpaliłem dom Filipa. Wiadomo było, że podejrzenia spadną na Tytusa Weissa. To oczywiste. Żeby na pewno nikt mnie nie poznał, włożyłem bluzę z kapturem. No i oczywiście działałem w nocy. Denaturat do koktajli Mołotowa wziąłem od pijaków

spod sklepu. Kiedy z nimi rozmawiałem za pierwszym razem, zauważyłem całą skrzynkę butelek. Benzynę miałem w samochodzie. Nabrałem takiego przyzwyczajenia, że zawsze wożę ze sobą kanister, bo w moim samochodzie nie działa wskaźnik zużycia paliwa i nigdy nie wiem, kiedy benzyna się skończy. Wszystko zaczyna się w tym gracie sypać. Niepotrzebnie kupowałem używany samochód.

Naukowiec wydawał się teraz zmęczony.

– Ale Tytus Weiss nieoczekiwanie miał alibi – przypomniał Łukasz Strzałkowski. Czuł, że musi wszystkiego dokładnie się dowiedzieć. Nawet jeżeli stanie się najgorsze.

– Niestety, synu. Tytus Weiss rzeczywiście miał alibi na noc podpalenia – przyznał Grała. – Musiałem szybko wymyślić jakieś wyjście z tej patowej sytuacji. Na razie nikt mnie nie podejrzewał, ale to mogła być tylko kwestia czasu. W końcu wpadłem na doskonały pomysł, że wrobię profesora Seweryna Dworakowskiego.

– Dlaczego akurat jego?

Grała wzruszył ramionami.

– Nie polubiłem znanego mojemu gospodarza we „Wrzosach” – odparł cicho. – Poza tym pomyślałem, że to może być interesujące. Przecież to jego dom spłonął piętnaście lat temu. Wydawało mi się, że to będzie dobrze wyglądało i że policja łatwo nabierze wobec niego podejrzeń. Nie pomyliłem się. Tak właśnie się stało. Z drugiej strony popełniłem jednocześnie błąd.

– Jaki?

– Gierot – powiedział krótko Jerzy Grała.

– Co z nim?

– Chciałem wrobić Seweryna Dworakowskiego w podpalenie domu Filipa Weissa – powtórzył naukowiec cierpliwie. – Zeznałem więc policji, chyba nawet tej twojej mamusce, że widziałem profesora w noc podpalenia, jak gdzieś chyłkiem wychodził. Wyglądało na to, że mi uwierzyła. Chciałem jednak mieć pewność, że tym kłamstwem nie skieruję podejrzeń na siebie. Zwłaszcza jeżeli okazałoby się, że Dworakowski miałby przypadkiem jakieś alibi na ten wieczór. Wątpiłem w to.

On cały czas przesiaduje w tym swoim gabinecie sam. Wolałem się jednak zabezpieczyć. Zapłaciłem więc Gierotowi, żeby również złożył fałszywe zeznanie. To był gruby błąd. Pijakom ufać nie można, chłopcze. Zapamiętaj. Chociaż zapewne zbyt długo już nie pożyjesz.

Śmiech Grali wypełnił na chwilę małe pomieszczenie, ale ziemia dookoła znowu stłumiła ostry dźwięk.

– Co było potem? – chciał wiedzieć Łukasz.

– Potem Gierot przyszedł do mnie żądać więcej pieniędzy. Już mówiłem, że nie jestem mordercą. To była jednak kolejna okoliczność, z którą musiałem się zmierzyć. Pijak przyszedł do mnie do osady. To był wieczór, kończyłem już pracę nad dokumentacją – wyjaśnił naukowiec. Latarka znowu przygasła niebezpiecznie, ale mężczyzna wcale się tym nie przejął. – Nie miałem wyjścia. Musiałem się pozbyć Gierota. I tak nie był wiele wart. Trochę się poszarпалиśmy, ale był na tyle pijany, że z łatwością go pokonałem. Udusiłem go tymi rękami!

Jerzy Grala wyciągnął przed siebie dłonie. W jednej migotała latarka, a w drugiej mężczyzna nadal ścisnął młotek. Przez chwilę w Lochu panowała cisza. Łukasza Strzałkowskiego znów ogarnął lęk. Nie słyszał żadnych odgłosów z zewnątrz. Nawet Andżelika przestała na chwilę płakać i uważnie słuchała rozmowy. Paradoksalnie to było chyba najgorsze. Chłopak zadrżał, chociaż w Lochu było teraz bardzo ciepło.

– Najtrudniejsze było przeniesienie Gierota na pobocze szosy – kontynuował swoje wyznania naukowiec. – Nie miałem samochodu. Ani razu nie podjechałem moim transporterem do Cichego Lasku, więc nie chciałem budzić podejrzeń. Poza tym nie chciałem ryzykować zostawiania trupa tutaj i powrotu do „Wrzosów”. Musiałem go nieść na plecach. Sporo ryzykowałem. Poczekalem, aż zrobi się późno. Liczyłem, że nikt nas nie zobaczy. Wydawał się strasznie ciężki po śmierci, ale jakoś dałem radę. Nadal bolą mnie mięśnie.

– Dlaczego nie schował pan ciała Gierota tu w osadzie? Tamte stare kości leżały tu za skrzynią i nikt o nich nie wiedział.

– Nie chciałem ryzykować, że ktoś powiąże jego śmierć

ze mną, a tak na pewno by się stało, gdyby jednak został tu odnaleziony – odparł Grala natychmiast. – Zawsze trzeba minimalizować ryzyko. Zaniesienie Gierota na pobocze szosy wydawało mi się wtedy całkiem dobrym wyjściem z sytuacji. Może postąpiłem błędnie, ale nie wydaje mi się.

– Czemu pan nie schował go tu? – odważyła się zapytać Andżelika. Jej głos drżał z przerażenia.

– W Lochu? To jest miejsce dla niegrzecznych dzieci, nie dla pijaków – oznajmił Jerzy Grala złośliwie. – Prawdę powiedziawszy, z bólem muszę przyznać, że o tym nie pomyślałem. Loch przyszedł mi do głowy dopiero, kiedy zdecydowałem się pozbyć takiego jednego wścibskiego gówniarza!

Łukasz Strzałkowski przełknął ślinę. Powoli zaczynało do niego docierać, że ten człowiek naprawdę może zrobić im krzywdę. Chłopak zerknął na Andżelikę. Dziewczynka wpatrywała się w Gralę szeroko otwartymi oczami.

– A te stare kości? Tę Kobietę zza Skrzyni też ty zabiłeś?! – zawołał Łukasz, próbując przybrać na powrót pewny ton. Mimo wszelkich starań jego głos zabrzmiał jak pisk. – Co z Martą Ciosek? Mama wspominała, że ona była zastrzelona.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy byli na ty, chłopcze – powiedział ostro naukowiec. – Zresztą wszystko jedno. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Byłem równie zaskoczony jak wszyscy inni, że w osadzie były jeszcze jakieś kości, kiedy ją znalazłem. Nie mam nic wspólnego z tą całą Martą Ciosek. Nigdy jej nawet nie poznałem. Kiedy mieszkałem tu w osadzie... nie wychodziłem nigdy do wsi. Znalezienie kości na pewien czas uniemożliwiło mi kontynuowanie prac. Z drugiej strony było jednak do pewnego stopnia korzystne, ponieważ dzięki temu policja znowu zwróciła się ku profesorowi Dworakowskiemu i jego rodzinie.

– A...

– Koniec tej rozmowy, chłopcze – uciął Jerzy Grala zniecierpliwiony. – Wystarczająco się nagadałem. Zaspokoilem twoją ciekawość, bo wykazałeś się zainteresowaniem tematem sekt. Spodobało mi się to. Przynajmniej na początku. Teraz

zapraszam do zapoznania się z Lochem. Będiesz mógł tu wykazać się swoją dociekliwością. Spędzicie tu resztę swojego krótkiego życia. Zegnam.

Naukowiec zamknął szybko drzwi podziemnego pomieszczenia. Na powrót zapadła całkowita ciemność. Łukasz usłyszał, jak Grala zamyka skobelek od drugiej strony. Byli w pułapce. Andżelika znowu zaczęła płakać.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski stanął obok młodego Marka Zareby i Emilii Strzałkowskiej. Paweł Kamiński trzymał się kawałek dalej. Wszyscy przyglądali się, jak technicy kryminalni znoszą swój sprzęt, żeby zbadać Cichy Lasek po raz kolejny. Tym razem mieli skupić się szczególnie na domu przywódcy sekty, gdzie na jednej ze ścian znajdowały się rysunki wykonane ochrą.

Daniel miał nadzieję, że tym razem im się poszczęści. Jeżeli można to nazwać szczęściem. Filip Weiss i Gierot nie żyli. Urszula Weiss popełniła samobójstwo, a przynajmniej wszystko na to wskazywało. W tej sytuacji raczej nie można było mówić o szczęściu.

Spośród drzew wyłonił się niespodziewanie Jerzy Grala. Naukowiec nadal wyglądał na zboląłego po wczorajszym ataku. Utykał nieco i co jakiś czas pocierał nieświadomie tył głowy.

– Pan tutaj? – zagadnęła Emilia Strzałkowska.

– Przyszedłem popatrzeć. – Naukowiec zaśmiał się uprzejmie. – Jak chyba cała reszta waszej wsi.

Grala wskazał na grupki ludzi gromadzące się na polnej drodze. Rzeczywiście mieszkańcy Lipowa zaczęli się już schodzić w poszukiwaniu sensacji. Daniel Podgórski westchnął cicho. Bardzo chciał już zakończyć to śledztwo. Gdy tylko odnajdą zabójcę, czas na urlop, zdecydował w duchu.

– Panie Podgórski! – zawołał szef techników kryminalnych Aleksander Ziółkowski. – Pozwoli pan tutaj na moment?

Daniel przeprosił pozostałych i ruszył w stronę Ziółkowskiego. Mężczyzna stał przy wejściu do domostwa przywódcy sekty.

– Znaleźliśmy tu krew – powiedział technik krótko.

Podgórski uśmiechnął się smutno. Na to liczył, ale jednocześnie nie mógł w takiej sytuacji odczuwać radości.

– Czyli mamy miejsce zbrodni? Tu właśnie zginął Gierot?
– upewnił się.

Szef techników odchrząknął znacząco.

– Może i tu zginął, ale krew, o której mówię, jest świeża
– wyjaśnił. – Jeszcze całkiem nie zaschła, więc to nie jest krew poprzedniej ofiary.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

– Słucham?

– To, co powiedziałem – mruknął technik nieprzyjemnie.
– Możliwe, że w międzyczasie zginął ktoś jeszcze. W każdym razie ktoś niedawno został tu zraniony. Krwi nie ma dużo, więc może nie doszło jednak do najgorszego.

Daniel spojrział w kierunku swoich kolegów z komisariatu. Wszyscy liczyli na przełom w śledztwie, a tymczasem bardzo możliwe, że czekało ich jeszcze więcej zagadek.

– Niech mi pan pokaże, gdzie jest ta krew.

Weszli do budynku. Aleksander Ziółkowski zaprowadził policjanta do pomieszczenia, gdzie na ścianie zachowały się ochrowe malowidła przedstawiające członków sekty. Trzydzieści twarzy, tak jak trzydzieści nazwisk na liście tych, którzy popełnili samobójstwo pewnej zimowej nocy w 1965 roku. Twarze tworzyły nieregularny okrąg, poczynając od posępnego oblicza Sobieraja aż do ostatniego członka sekty. Pomędzy nim a przywódcą zostało trochę wolnego miejsca. Być może Witalis Sobieraj miał na oku kolejnego kandydata, który wypełniłby lukę.

– Krew jest tu – poinformował technik i wskazał miejsce ręką.

Rzeczywiście na kamiennej podłodze tuż obok ściany widać było ślady świeżej krwi. Na ścianie też było jej trochę.

– To nie może być krew Gierota? – upewnił się Daniel, chociaż z góry wiedział, jaka będzie odpowiedź.

– Oczywiście, że nie – odparł Aleksander Ziółkowski niezbyt

grzecznie. – Chyba pan widzi, że krew jest świeża. Ile razy można to powtarzać.

Czerń i pustka.

Cisza.

Panika.

Cisza.

Czerń.

Łukasz Strzałkowski starał się myśleć logicznie, ale czuł, że ręce drżą mu coraz bardziej. To wcale nie było jak gra komputerowa. To się działo naprawdę. Powoli opanowywała go panika. Naprawdę zostali zamknięci w ciasnym pomieszczeniu gdzieś pod ziemią.

– Co bym zrobił, gdyby to była gra komputerowa? – powiedział do siebie chłopak. Głównie po to, żeby usłyszeć własny głos i uwierzyć, że on sam wciąż jeszcze istnieje. – Co bym zrobił, gdyby to była gra komputerowa? – powtórzył.

Andżelika zapłakała cicho. Jej głos zdawał się dochodzić z daleka, chociaż Loch Witalisa Sobieraja był niewielki. Łukasz nie znajdował słów, żeby pocieszyć koleżankę, mimo że bardzo tego pragnął.

– Chcę do domu – załkała dziewczynka.

– To jest gra komputerowa. Nie ma się czym martwić – powiedział Łukasz zdecydowanym tonem. – Wyjdziemy z tego.

Starał się wyobrazić sobie, że ma na uszach swoje nieodłączne wielkie słuchawki, których zawsze używał, kiedy siadywał przed komputerem. To była uspokajająca, znajoma wizja. W tych ciemnościach trudno ją jednak było do siebie przywołać. Poza tym w pomieszczeniu robiło się coraz cieplej. Duchota utrudniała wszelki wysiłek intelektualny.

– Co powiedziałaś? – zapytała Andżelika przez łyzy. – Ja chcę wrócić do domu! Chcę do rodziców! Niepotrzebnie w ogóle wychodziłam z domu. Chcę do mamy.

– Wrócisz do mamy, Andżi – powiedział Łukasz Strzałkowski. Starał się, żeby brzmiało to krzepiąco. Był

od koleżanki starszy o całe trzy lata. Czuł, że to on musi zacząć działać. Nawet jeżeli było to bardzo trudne. Odezwał się w nim pierwotny instynkt przetrwania. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie czuł. Chciał żyć. – Tylko teraz musisz mi pomagać, okej? Na pewno sobie poradzimy.

– Obiecujesz? – zapytała dziewczynka z głębi ciemności.

Łukasz Strzałkowski miał wrażenie, że czuje na sobie świdrujące spojrzenie Andżeliki. Jak mógł cokolwiek obiecywać, skoro sam nie wierzył, że uda im się stąd wyjść. Chciał wołać mamę, ale bał się, że w ten sposób doprowadzi Andżelikę do jeszcze większej paniki. Na policzki wpełzł mu rumieniec, ale ciemność wszystko zachowała dla siebie.

– Obiecujesz? – zażądała znowu dziewczynka.

– Tak. Spróbuję wyobrazić sobie, że to jest gra komputerowa, dobra? Wtedy łatwiej mi się myśli – powiedział Łukasz szybko. – Na początek musimy jakoś się uwolnić. Spróbuj mi rozwiązać ręce, a ja spróbuję rozwiązać twoje, okej?

To był pierwszy i podstawowy punkt jego planu ratunkowego. Musieli mieć wolne ręce, żeby działać. Łukasz miał nadzieję, że Jerzy Grała związał ich równie słabo, jak zabił deskami drzwi wejściowe do domostwa Sobieraja.

Z pewną trudnością odnaleźli się w ciemności. Po kilku próbach udało im się wyswobodzić związane ręce. Andżelika natychmiast przestała płakać. Chyba dodało jej to otuchy.

– Tak lepiej – ucieszyła się.

Łukasz rozmasował zdrętwiałe dłonie i sięgnął do kieszeni. Nie liczył na to, że będzie miał tu zasięg, ale ekran telefonu mógł dać im trochę światła. Strzałkowski nacisnął klawisz, który odblokowywał ekran, ale nic się nie stało. Widocznie funkcja dyktafonu, którą chłopak włączył, kiedy tylko Grała zaatakował Andżelikę w Świątyni Kontemplacyjnej, zupełnie wyczerpała baterię. Wtedy, na górze, nagranie wyznania mordercy, co chłopak widział w jednym filmie, wydawało się świetnym pomysłem. Teraz jednak pozbawiło ich jedyne źródła światła.

– Masz telefon? – zapytał Andżelikę.

Usłyszał, że koleżanka szuka w kieszeniach.

– Kurczę, musiał mi wypaść!

Łukasz poczuł, że traci wszelką nadzieję.

– To tylko gra komputerowa – powiedział do siebie, ponieważ jedynie to mu zostało. – To nie dzieje się naprawdę.

W przeciwieństwie do Andzeliki, która chyba uwierzyła, że Łukasz może ją stąd wydostać, Strzałkowski wcale nie czuł, że wiele osiągnęli, uwalniając ręce z więzów. Starał się odegnać narastającą panikę. Mamo! – krzyczał głos w jego głowie. Emilia Strzałkowska nie mogła go przecież usłyszeć. Był pod ziemią, w starym ukrytym Lochu.

W końcu zebrał się w sobie i ruszył przez ciemność w kierunku, gdzie chyba były drzwi. Chyba. Szedł na czworakach, macając otwartymi dłońmi podłogę przed sobą. Palce przesuwaly się po wilgotnej glebie. Nagle Łukasz czegoś dotknął. Z przerażeniem uświadomił sobie, że to kości, które widział wcześniej w świetle latarki. Kości niegrzecznych dzieci, które zamykał w Lochu Witalis Sobieraj. Resztki odwagi go opuściły.

Nikt ich tu nie znajdzie.

ROZDZIAŁ 28

Lipowo.
Poniedziałek, 30 grudnia 2013. Wieczór

W Cichym Lasku zrobiło się już zupełnie ciemno, ale na pewno nie cicho. Zagajnik wypełniał gwar rozmów. Wszędzie widać było niewielkie grupki mieszkańców Lipowa, którzy próbowali dowiedzieć się od siebie nawzajem, co się właściwie wydarzyło, bo że coś się wydarzyło, nikt nie wątpił. Powstało już nawet kilka smakowitych plotek. Stara pani Drewniakowa stała oparta na swojej lasce i kiwała głową, jakby to ona dowodziła działaniami policji. Jej kumy roznosiły wieści od grupki do grupki.

Tymczasem technicy kryminalni zaczęli już pakować sprzęt. Wyglądało na to, że w jednym z pomieszczeń w domostwie Witalisa Sobieraja znaleziono świeżą krew. Przynajmniej tyle starszy sierżant Marek Zaręba zdołał dowiedzieć się od Daniela Podgórskiego w ogólnym rozgardiaszu, który zapanował. Znaleziono też niewyraźne ślady walki. Być może to właśnie tam Gierot został uduszony. Trudno było jednak na razie potwierdzić tę hipotezę.

Nikt z policjantów nie miał jeszcze pomysłu, do kogo świeża krew mogła należeć. Z Lipowa nie doszło ich żadne zgłoszenie o zaginięciu. Jeżeli była kolejna ofiara, to przynajmniej na razie nikt nie zauważył jej zniknięcia.

Telefon Marka Zaręby zawibrował w kieszeni.

– Tak? – powiedział młody policjant, nie patrząc na wyświetlacz. Byli tu już dość długo, ale wcale nie czuł się zmęczony. Wręcz przeciwnie. Zaręba miał wrażenie, że wypełnia go aż za dużo energii. Mógłby nią obdzielić wszystkich policjantów z Lipowa, techników kryminalnych, a nawet zgromadzonych wokół gapiów.

– Marek, strasznie się martwię – zaczęła Ewelina Zaręba bez wstępów. Drżący głos żony od razu sprowadził Marka na ziemię. Andżelika! Jak to możliwe, że nie próbował się z nią ponownie skontaktować. Był tak zajęty pracą, że zwyczajnie zapomniał o córce. To było całkowicie niedopuszczalne. – Andżeliki nadal nie ma. Obdzwoniłam wszystkie jej koleżanki, a nawet poszłam pod dom tej twojej Strzałkowskiej. Wydaje mi się, że nikogo tam nie ma. Żadne lampy się nie świecą. Nie wiem, gdzie jest nasza córka! Marek, ja zaraz zwariuję!

Młody policjant poczuł, że zaczyna ogarniać go nieprzyjemne uczucie paniki. Strach stał się nawet silniejszy niż początkowe wyrzuty sumienia.

– Co ty mówisz, Ewelinka?

Marek zerknął na zegarek. Nieubłagane dochodziła dwudziesta. Starsza córka zdecydowanie powinna już była wrócić do domu.

– Andżelika zniknęła! Czego nie rozumiesz?! Miałaś do mnie oddzwonić! Praca jest dla ciebie ważniejsza niż my! – krzyknęła fryzjerka histerycznie. – Marek, boję się strasznie. Co, jeżeli coś jej się stało?

Zaręba poczuł, że serce zaczyna bić mu szybciej. Nagle ogarnęło go straszne podejrzenie. Wolał jednak nie dopuszczać do siebie myśli, że świeża krew w domostwie Witalisa Sobieraja mogła należeć do jego starszej córki. To nie mogło przytrafić się mojej Andżelice, powtarzał sobie w duchu Marek. Nie moja córka!

– Ewelinka, oddzwonię do ciebie – powiedział szybko i rozłączył się, zanim żona zdążyła odpowiedzieć. – Emilia!

Emilia Strzałkowska rozmawiała z jednym z kryminalistów. Odwróciła się do Marka zaskoczona chyba jego desperackim krzykiem.

– Co się dzieje?

– Zadzwoń do Łukasza – poprosił Zaręba. Starał się mówić spokojnie, ale sam słyszał, że w jego głosie zaczyna pobrzmiwać panika.

Emilia Strzałkowska nie pytała o nic więcej. Ona chyba także

nie próbowała się skontaktować z synem ponownie. Policjantka sięgnęła natychmiast po telefon i wybrała numer.

– Włącza się poczta głosowa – stwierdziła po kilku próbach.
– Dziwne. Łukasz zawsze odbiera połączenia ode mnie albo oddzwania niedługo później. Andżelika już się znalazła?

Starszy sierżant Marek Zaręba pokręcił przecząco głową.

– Marek, chyba nie myślisz... – zająknęła się Strzałkowska, która doszła do tych samych wniosków co młody policjant.
– Ze wsi nie było żadnych zgłoszeń zaginięcia... W Lipowie nikogo nie brakuje...

– Oprócz naszych dzieci – dokończył za koleżankę młody policjant.

Wokół nich zgromadziła się teraz spora grupa gapiów, która zwietrzyła kolejną sensację. Daniel Podgórski przedarł się do nich przez tłumek.

– Idę sprawdzić do domu, może tam są! – zawołała Emilia Strzałkowska i pobiegła przez pole, nie oglądając się za siebie.

Jerzy Grała wymknął się z Cichego Lasku dyskretnie i ruszył do „Wrzosów” najszybciej, jak mógł. Sadził długimi krokami, zapominając na chwilę o zakwasach, które zostały mu po przenoszeniu ciała Gierota. Kolejni mieszkańcy Lipowa zmierzali w stronę zagajnika, gdzie była osada sekty Świątynia. Nikt nie zwracał na Grałę większej uwagi.

Naukowiec dotarł wreszcie na piaszczystą pełną drogę, która prowadziła do „Wrzosów”. Teraz w jego żyłach płynęła adrenalina. Myślał szybko jak nigdy dotąd. Na razie chyba nikt nie podejrzewa, uznał w duchu. Najważniejsze, żeby nikt nie odnalazł dzieci. Tylko one znają prawdę. Naukowiec czuł się w miarę bezpiecznie. Wątpił, żeby policja odkryła wejście do tunelu, który prowadził do Lochu. Witalis Sobieraj dobrze je ukrył, więc w najgorszym razie mogło to zająć całkiem sporo czasu. Dobrze by było, gdyby do tej pory dzieci już się podusiły.

Jerzy był całkiem pewien, że Loch to idealne miejsce na pozbycie się tych wścibskich gówniarzy. Jego istnienie nie

było nigdzie udokumentowane. Tylko przywódca sekty i trzydziesta pierwsza wiedzieli, gdzie jest wejście do ukrytego pomieszczenia. Trzydziesta pierwsza mogła wypuścić z Lochu ukarane dziecko w dowolnym momencie. To był przywilej żony Witalisa Sobieraja, z którego jednak matka bała się korzystać. Zrobiła to tylko dwa razy, żeby uratować Jerzego. Sobieraj nie potrafił wykorzenić z niej miłości do syna, mimo że usilnie próbował.

Naukowiec wpadł do „Wrzosów” i zamknął drzwi wejściowe nieco zbyt głośno. Przeklął w duchu. Nie chciał przecież teraz zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi.

– Panie Grała, co się tam dzieje w Cichym Lasku?
– zagadnęła Jaśmina Ciosek-Dworakowska, kiedy naukowiec wspinał się po schodach do swojego pokoju.

– Chyba jest kolejna ofiara – wyjaśnił Jerzy neutralnym tonem. – Podobno znaleziono świeżą krew. Tak słyszałem, ale nie wiem, ile w tym prawdy. Może to tylko plotki.

Świeża krew. To był błąd, że zaatakował te dzieci w Świątyni Kontemplacyjnej. Mogło go to drogo kosztować. Gdyby nie pchnął Andżeliki na ścianę, dziewczynka nie zraniłaby się w głowę i po całej sprawie nie zostałyby nawet najmniejszy ślad. A tak policja wiedziała już, że coś się stało. W ten niedorzeczny sposób Jerzy Grała stracił nieco niezastąpionej przewagi nad ścigającymi. Zupełnie niepotrzebnie.

– To straszne. Najpierw atak na pana, a teraz ktoś znowu nie żyje – rzuciła Jaśmina przerażona. – Czy już wiadomo, kto to?

Grała pokręcił głową.

– Niestety nie. Z tego, co wiem, nie znaleziono ciała. Miejmy nadzieję, że nic nikomu się nie stało – powiedział. Dopilnował, żeby jego ton wyrażał odpowiednią boleść i nadzieję na pozytywne zakończenie całej tej trudnej sytuacji. – Pani Jaśmino, przepraszę panią na moment. Muszę pójść do siebie.

– Przygotować panu kolację?

– Bardzo proszę.

Jerzy Grała wspinał się po schodach i szybko zamknął drzwi do swojego pokoju. Przez chwilę stał pośrodku pomieszczenia i oddychał ciężko. Gdzieś z oddali dochodziły go przytłumione

rozmowy w pokoju rodzeństwa Nilssonów. Grała nie był wcale pewien, czy zamierza zostać we „Wrzosach” na kolacji. Znowu dopadły go wątpliwości. Czy Loch to na pewno bezpieczna kryjówka? Czy nie powinien uciekać? Loch był niezawodny, ale świeża krew w Świątyni Kontemplacyjnej mogła stanowić duży problem.

W jednej chwili Jerzy Grała podjął decyzję.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski bezsilnie patrzył, jak Marka Zarębę ogarnia rozpacz. Przyjaciel odchodził wręcz od zmysłów. Emilia Strzałkowska zadzwoniła przed chwilą ze swojego wynajętego domu, żeby powiedzieć im, że nie ma tam ani jej syna, ani córki Marka. Jedyнным tropem, który na razie mieli, był fakt, że Łukasz nie wyłączył komputera. Emilia zobaczyła na ekranie zdjęcia z osady sekty Świątynia. Fotografie nadal były otwarte na pulpicie.

– Od tego musimy zacząć – zdecydował Daniel, zwracając się do Pawła Kamińskiego. Nieoczekiwanie tylko Paweł zdolny był obecnie do efektywnej pomocy w opanowaniu kryzysu. – Zorganizujemy ludzi. Trzeba przeszukać całą osadę. Być może dzieci gdzieś tu są.

Kamiński kiwnął tylko głową.

– Kurwa, ta pieprzona zgraja gapiów może wreszcie się do czegoś przyda – mruknął, ruszając w kierunku zgromadzonych wokół ciekawskich mieszkańców Lipowa.

– Jest pan pewien, że nic nie przeoczyliśmy w domu przywódcy sekty? – zapytał tymczasem Podgórski szefa techników kryminalnych.

Aleksander Ziółkowski po raz pierwszy wyglądał nieco mniej antypatycznie. Co więcej, mężczyzna wydawał się szczerze przejęty zaistniałą sytuacją.

– Obawiam się, że nie, ale kazałem chłopakom przeszukać budynek jeszcze raz. Od góry do dołu, metr po metrze – powiedział szef kryminalistów, zapominając o swojej niechęci do Daniela. – Może powinniśmy sprowadzić psy tropiące? Współpracowaliśmy ostatnio z jednym treserem,

który mieszka w okolicach Lidzbarka. Mogę do niego zadzwonić.

– Szefie!

Z domu Witalisa Sobieraja wybiegł jeden z techników. W ręce trzymał torebkę na dowody. W środku znajdował się mały telefon z różowym breloczkiem. Daniel Podgórski odwrócił się w stronę Marka Zaręby. Młody policjant zauważył chyba, że dzieje się coś ważnego, ponieważ przybiegł natychmiast.

– To telefon mojej Andżeliki! – zawołał Zaręba. – Gdzie on był?!

– Znaleźliśmy go w piwnicy. Musieliśmy go wcześniej przeoczyć – wyjaśnił technik szybko, nie patrząc nikomu w oczy. – Ale tam w piwnicy nikogo nie ma. To zwykła piwnica. Jest praktycznie pusta.

Jerzy Grala wziął tylko najpotrzebniejsze rzeczy, żeby nie budzić zbędnych podejrzeń. Reszta będzie musiała zostać we „Wrzosach”. Dumę Bałtyku powiesił sobie na szyi i schował pod koszulę. Po namyśle założył jeszcze gruby szalik, mimo że na dworze było nadal całkiem ciepło. Nie chciał ryzykować, że ktoś zauważy wielki klejnot na jego piersi. Przewiesił torbę przez ramię i szedł po schodach na parter. Starał się, żeby jego ruchy nie zdradzały emocji, które w nim buzowały.

– Wychodzi pan? – zapytała Jaśmina Ciosek-Dworakowska zdziwiona. – Kolacja już prawie gotowa.

– Muszę tylko na chwilę podjechać do sklepu w Brodnicy – skłamał Grala. – Proszę mi zostawić jedzenie na stole. Zjem później sam.

– Ale...

Jerzy Grala wyszedł z „Wrzosów”, nie odwracając się. Z pewnością nie będzie tęsknił za tym miejscem. Nie podobało mu się od samego początku. Naukowiec wsiadł do swojego starego volkswagena transportera i wycofał go z podjazdu. Hamulce zapiszczały nieprzyjemnie. Samochód nie był tak sprawny jak kiedyś, ale Jerzy Grala nie miał wyjścia. Zamierzał przed świtem dotrzeć do granicy, a potem zniknąć. Był pewien,

że uda mu się sprzedać Dumę Bałtyku za duże pieniądze. W tym jednym Filipa Weissa nie oszukał. Miał swoje kontakty. Przez długie lata kariery naukowej Jerzy poznał różnych ludzi. Nie tylko takich, którzy cenili sobie wyłącznie legalne interesy.

Grała wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu. Nikt go nigdy nie odnajdzie. Matka umarła. Nic go w Polsce nie trzyma. Mógł zniknąć i zacząć gdzieś od początku. Nie był przecież mordercą. Nie planował zabijać tych wszystkich osób. Chciał tylko uratować duszę matki i zbadać osadę, żeby wreszcie uwolnić się od myślenia na jej temat. Wszystkiemu winne były okoliczności. Naukowiec czuł jednak, że sprostą im na medal. Zasłużył na Dumę Bałtyku jak nikt inny.

Łukasz Strzałkowski miał wrażenie, że się dusi. Pot spływał mu po czole do oczu, ale nie miał już siły go wycierać. We wszechobecnej ciemności Lochu chłopak nie był nawet pewien, czy jego oczy są otwarte, czy zamknięte. Tym bardziej nie potrafił ocenić, jak długo znajdują się w potrzasku. Od pewnego czasu żadne z nich nic nie mówiło. Dziewczynka siedziała oparta o ramię Łukasza. Ona też ciężko oddychała.

Kiedy tylko Strzałkowski zorientował się, że bateria w jego telefonie się wyczerpała i nie mają szansy na jakiegokolwiek światło, chociażby produkowane przez niewielki ekran smartfona, chłopaka ogarnęła panika. Dotarł jakoś w ciemności do drewnianych drzwi Lochu. Uderzał w nie pięściami z całej siły. Deski jednak nie puściły. Stary skobelek po drugiej stronie także dobrze się trzymał. Framuga nawet nie jęknęła. Andżelika również napierała na drzwi, ale to nic nie pomogło. Dłonie mieli całe w drzazgach, ale chyba żadne z nich nie zwracało już uwagi na ból.

W końcu usiedli pod ścianą Lochu ogarnięci całkowitą niemocą. Łukasz miał nadzieję, że przynajmniej są daleko od starych kości tego ukaranego wiele lat temu dziecka, które czaiły się gdzieś w ciemności. Ciszę przerywało teraz tylko tykanie zegarka Andżeliki. Sekunda mijała za sekundą, a nikt po nich nie przychodził.

Łukasz Strzałkowski czuł, że zapada w odrętwienie. Miał wrażenie, że nie jest zdolny do wykonania najmniejszego ruchu, a jednocześnie jego serce zdawało się bić z zawrotną szybkością.

Nagle, gdzieś na granicy świadomości, Łukasz usłyszał jakiś dźwięk od strony drzwi.

ROZDZIAŁ 29

Lipowo i Barcelona.
Czwartek, 2 stycznia 2014

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wszedł do salonu w domu matki. Był drugi dzień nowego roku. Za oknem pojawiły się pierwsze tej niezwykle ciepłej zimy płatki śniegu. Tańczyły wesoło w powietrzu. Maria Podgórska siedziała przy stole w salonie. Towarzyszył jej otyły prokurator Jacek Czarnecki. Popijali kawę i wyglądali na zadowolonych.

Podgórski uśmiechnął się pod nosem. On również czuł się szczęśliwy. Nareszcie. Sprawa śmierci Filipa Weissa i Romana Gierota została właściwie zakończona, chociaż Jerzy Grala dotąd nie został ujęty. Naukowiec znajdował się na liście poszukiwanych. Istniało niestety duże prawdopodobieństwo, że przekroczył granicę.

Paradoksalnie Daniel wcale się ucieczką Grali nie martwił. Czuł, że sam zrobił wszystko, co mógł. Teraz ujęcie zabójcy spoczywało już w rękach kogoś innego. Materiału dowodowego im nie zabraknie. Naukowiec pozostawił we „Wrzosach” dużo swoich rzeczy. Ze szczoteczki do zębów i grzebienia udało się pobrać materiał do porównawczej analizy DNA. Materiał genetyczny Grali okazał się zgodny z tym, który pobrano z naskórka znalezionej pod paznokciami Gierota. Na początek można więc było spokojnie oskarżyć Jerzego Gralę o uduszenie pijaka. Dodatkowo policja dysponowała nagraniem z telefonu Łukasza Strzałkowskiego, na którym naukowiec przyznawał się do podpalenia domu Filipa Weissa. Nagranie nie było najlepszej jakości, ale jeden z informatyków z Komendy Powiatowej w Brodnicy oczyścił je z szumów i dało się teraz wiele z niego usłyszeć.

Daniel Podgórski miał wrażenie, jakby nareszcie wielki ciężar

spadł mu z serca. Nie wiedział, jak to się stało, ale rozwiązanie zagadki go oczyściło. Tyle lat unikania najmniejszego choćby wspomnienia o śmierci ojca sprawiało tylko, że w Danielu rosła wewnętrzna frustracja. Konieczność zmierzenia się z tym tematem okazała się najlepszą rzeczą, która go mogła spotkać. Nadal co prawda nie dowiedzieli się, kto zabił Martę Ciosek, ale szef komisariatu w Lipowie czuł, że jeżeli będzie taka konieczność, jest już gotowy przekazać śledztwo komuś innemu. Komuś, kto nie był emocjonalnie związany z ofiarami pożaru domu Dworakowskich sprzed piętnastu lat. Tak jak to powinno od razu zostać zrobione.

Uczucie błogości, które opanowało Daniela, mogło też być związane z powrotem do Lipowa Weroniki Nowakowskiej. Podgórski zaśmiał się w duchu. On i Nowakowska spędzili bardzo przyjemnego sylwestra tylko we dwójkę. Policjant z nadzieją zaczynał nowy rok. Nowy rok, nowe nadzieje, powtarzał sobie, od kiedy tylko zegar dwa dni temu wybił dwunastą.

– Danielku, już jesteś – uśmiechnęła się do Podgórskiego matka. – Usiądź z nami. Weroniczka też przyjdzie?

– Będzie trochę później – wyjaśnił policjant. – Poszła jeszcze odwiedzić Wierę.

– Witaj, Danielu – powiedział prokurator Jacek Czarnecki zza stołu.

Podgórski i Czarnecki uściśnieli sobie dłonie na przywitanie. Daniel usiadł przy stole i spojrzał na mamine specjały. Poczuł, że nareszcie jest głodny. Po raz pierwszy od wielu dni.

– Tak więc można powiedzieć, że prawie to zakończyliśmy – podsumował prokurator Jacek Czarnecki. – Teraz już wszystko będzie zależało od decyzji sądu, efektywności naszej centrali i Interpolu. W każdym razie pewne jest, że to była moja ostatnia sprawa. Przechodzę na emeryturę, Danielu. Myślę, że mimo wszystko zasłużoną.

Mimo wszystko. Policjant wiedział, że Czarnecki ma na myśli swoją nielegalną interwencję, mającą na celu przyspieszenie aresztowania, a następnie umieszczenie Tytusa Weissa w Zakładzie Karnym w Starych Świątkach oraz dołożenie

brakującego naboju do pistoletu Romana Podgórskiego. Daniel obiecał, że nikomu o tym nie wspomni, i zamierzał dotrzymać słowa. Nie mógł jednak ręczyć za to, co odkryją osoby, które przejmą od niego śledztwo dotyczące sprawy z 1998 roku. Był przygotowany na prawdę. Nawet najgorszą. Jeżeli to jego ojciec zastrzelił Martę Ciosek, Daniel postanowił się z tym zmierzyć. Nie chciał już dłużej uciekać.

– A więc to Jerzy Grala zamordował Filipa Weissa i Romana Gierota – zagadnęła Maria Podgórska, nalewając sobie jeszcze herbaty. – Danielku, możesz mi to jeszcze raz wszystko wyjaśnić? Nie wiem, czy wszystko dobrze zrozumiałam.

Podgórski pokiwał głową. Nałożył sobie dość duży kawałek sernika wiedeńskiego. Należał mu się. Ciasto było wyborne. Policjanta opanowała wręcz pierwotna radość.

– Jerzy Grala jest synem przywódcy sekty Świątynia, Witalisa Sobieraja – zaczął opowiadać policjant. – Jego matka uciekła z osady, zabierając ze sobą syna, kiedy dowiedziała się, że Sobieraj planuje doprowadzić do zbiorowego samobójstwa.

– Dlaczego Grala wrócił po tylu latach? – zapytała Maria.

– Trudno powiedzieć. Jerzy Grala skończył studia i rzeczywiście został wybitnym naukowcem badającym sekty i sposoby pochówków różnych społeczności. Naprawdę tym się zajmował, więc tym bardziej nie było wobec niego podejrzeń, kiedy udzielał nam informacji – wtrącił się prokurator Jacek Czarnecki. – Grala sam twierdził, że przybył do osady sekty Świątynia, żeby dokładnie ją zbadać i opisać. To miało być w pewnym sensie zwieńczeniem jego życiowej pracy.

– Grala miał jeszcze jeden cel – dodał Daniel Podgórski. – Chciał zniszczyć wszelkie dowody na to, że jego matka kiedykolwiek należała do sekty Sobieraja. Naukowiec twierdził, że to było jej ostatnie życzenie, zanim umarła w zeszłym roku. Grala uzyskał dostęp do policyjnych archiwów pod pretekstem prowadzenia swoich badań. I sfalszował dokumenty. Poza tym zmazał ze ściany ochrowy malunek przedstawiający twarz jego matki.

– Spróbujcie jeszcze mojego placka drożdżowego z rabarborem – zachęciła Maria, przysuwając półmisek

w kierunku mężczyzn. – Czyli Grala jako dziecko należał do sekty. Dlaczego w takim razie zabił Filipa Weissa?

Daniel Podgórski ukroił sobie kawałek placka i spróbował go z lubością.

– Jak nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi o pieniądze. – Prokurator Jacek Czarnecki zaśmiał się głośno. Jego podwójny podbródek zatrzęsł się rytmicznie. – W tym konkretnym przypadku chodziło o niezwykle cenny klejnot, który należał do przywódcy sekty.

Daniel Podgórski wyciągnął telefon i pokazał matce zdjęcie Dumy Bałtyku, które pochodziło jeszcze z kolekcji władz PRL. Fotografie zdobyto zaraz po odsłuchaniu nagrania i złożeniu przez dzieci zeznań. Zdjęcie klejnotu z miejsca zostało rozesłane po świecie, na wypadek gdyby naukowiec próbował sprzedać Dumę Bałtyku. Być może w ten sposób łatwiej zostanie schwytany.

– Filip Weiss pomagał Grali przy dokumentowaniu osady. Śmieciarz znalazł skrytkę z klejnotem zupełnie przez przypadek – powiedział policjant. – Grala nie chciał się jednak z nikim dzielić klejnotem i postanowił zabić swojego asystenta.

– Czy Grala od początku planował znaleźć ten klejnot? – zapytała Maria, ciągle wpatrując się w zdjęcie przepięknej Dumy Bałtyku, która spowodowała tyle nieszczęść.

– Twierdził, że nie – wyjaśnił prokurator. – Myślał, że klejnot zaginął. Kiedy okazało się, że Duma Bałtyku się znalazła, postanowił wykorzystać okazję.

– Grala nie chciał dzielić się z Filipem Weissem – kontynuował Daniel Podgórski – i uznał, że najlepiej będzie go zabić. Ponieważ akurat wtedy do Lipowa wrócił Tytus Weiss i wszyscy tylko o tym mówili, Grala postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję i rzucić podpalenie domu Filipa na Tytusa. Kiedy to nie zadziało, Grala oskarżył profesora Seweryna Dworakowskiego, wykorzystując przy tym także Gierota. Gierot później zażądał od naukowca więcej pieniędzy za składanie fałszywych zeznań, więc Grala i jego postanowił uśmiercić.

– Czyli bibliotekarka Urszula Weiss naprawdę popełniła

samobójstwo? – upewniła się Maria. – Jerzy Grala tego nie zrobił?

Daniel pokiwał głową.

– Na to wygląda – przyznał policjant. – Zresztą doktor Zbigniew Koterski od razu mówił, że w jej śmierci nie widzi nic podejrzanego.

– I Grala tak po prostu przyznał się do wszystkiego? – zapytała Maria.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski i prokurator Jacek Czarnecki wymienili ukradkowe spojrzenia.

– Grala nie spodziewał się, że syn Emilii Strzałkowskiej nagrywa jego wyznania na telefon – powiedział Czarnecki. – Chłopak wykazał się dużą odwagą i pomysłowością w trudnej sytuacji, ale z drugiej strony on i Andżelika mogli zginąć.

Daniel westchnął cicho. Mało brakowało, a Jerzy Grala miałby na sumieniu jeszcze tych dwoje. Andżelika Zaręba i Łukasz Strzałkowski byli w bardzo dużym niebezpieczeństwie. Podgórski tylko tego jednego nie mógł sobie darować. Jego własne niedopatrzania mogły doprowadzić do śmierci dwójki dzieci. Pod koniec śledztwa Podgórski był zbyt zagubiony pomiędzy wspomnieniami na temat ojca, podejrzeniami wobec Pawła Kamińskiego i własną frustracją, żeby podejmować odpowiednie decyzje.

– Łukasz Strzałkowski bardzo dobrze się spisał – pochwalił chłopca Daniel.

Szef komisariatu w Lipowie ciągle jeszcze miał przed oczami wieczorne wydarzenia sprzed trzech dni. Kiedy policjanci nareszcie zrozumieli, że to dzieci Marka Zaręby i Emilii Strzałkowskiej zaginęły, zapanował chaos. W końcu jeden z techników kryminalnych znalazł w piwnicy domostwa Witalisa Sobieraja telefon Andżeliki. Pomieszczenie wydawało się jednak całkiem puste. Kiedy już mieli zrezygnować, Marek zauważył poluzowaną cegłę. Za nią znajdował się stary mechanizm otwierający ukryte drzwi. Prowadziły one do długiego niskiego tunelu, który najodważniejszych mógł przyprawić o klaustrofobię. Na końcu wąskiego przejścia znajdowały się zamknięte od zewnątrz drewniane drzwi.

Policjanci otworzyli je natychmiast. W środku znaleźli zaginione dzieci. Były niedotlenione, ale żywe. Tylko to się liczyło.

– Jak te biedne dzieci dojdą do siebie? – zmartwiła się Maria Podgórska.

– Marek i Emilia na pewno postarają się, żeby Łukasz i Andżelika szybko zapomnieli o tym wydarzeniu – zapewnił matkę Daniel Podgórski, chociaż był pewien, że czerń Lochu Witalisa Sobieraja prawdopodobnie pozostanie w pamięci dzieci na zawsze. – Przy okazji odnalezione zostały kości dziecka, które zostało zamknięte w tajnym pomieszczeniu jeszcze za czasów sekty. Teraz będzie mogło wreszcie zostać należycie pochowane.

Na chwilę w salonie Podgórskich zapadła cisza.

– Jeszcze jednej rzeczy nadal nie mogę zrozumieć – powiedziała w końcu Maria. – Ten atak na Jerzego Grałę. Przecież ktoś go uderzył w głowę!

– Grała udawał. Powinniśmy się byli domyślić od razu – przyznał Daniel Podgórski. – Nie chciał zostać zbadany przez lekarza. Wtedy prawdopodobnie wyszłoby na jaw, że nie został nawet drażniony, a jedynie symulował. Podejrzewam, że w ten sposób chciał jeszcze bardziej odwrócić naszą uwagę od siebie.

– My zrobiliśmy swoje – powiedział prokurator Jacek Czarnecki dobitnie. – Dopilnowałem, żeby śledztwo w sprawie postrzelenia Marty Ciosek zostało umorzone. Zostawmy tę starą sprawę i nasz w niej udział w spokoju. Teraz mogę już cieszyć się odpoczynkiem emeryta.

Przez chwilę w salonie znowu panowała cisza. Czarnecki czekał chyba na reakcję Daniela. Podgórski wzruszył tylko ramionami.

– Prawdopodobnie i bez mojej ingerencji zostałyby umorzone z braku dowodów – dodał prokurator. – Lepiej już nie grzebać w przeszłości, co?

– Dobrze zrobiłeś – powiedziała cicho Maria.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski spojrział na choinkę, która nadal stała w rogu pokoju. Tyle przygotowań i Boże Narodzenie już się skończyło. Co roku zaskakiwało go, jak

szybko umykał ten świąteczny czas.

Carin Nilsson położyła pojedynczą czerwoną różę na grobie Filipa Weissa. Nie było jeszcze kamiennego nagrobka, tylko skromny kopiec świeżej ziemi i drewniany krzyż. Niska Szwedka stała przez chwilę przed mogiłą, powtarzając bezgłośnie słowa modlitwy.

– Do zobaczenia – powiedziała w końcu po polsku. Najlepiej, jak umiała. Tego prostego wyrażenia nauczyła się z samouczka, kiedy jeszcze Filip Weiss mieszkał z nią w Szwecji.
– Do zobaczenia, Filip.

Odwróciła się i odeszła. Starła się nie oglądać za siebie. Crister czekał na nią w samochodzie. Wreszcie mogli wyjechać do domu, do Szwecji. Przed nimi była długa droga do Świnoujścia, ale to Carin nie przeszkadzało. Chciała wszystko dokładnie przemyśleć.

Carin Nilsson wsiadła do samochodu i ruszyli. Nie zamierzała wracać do tej wsi już nigdy. Nie zamierzała też więcej wspominać Filipa Weissa. Chciała spotkać kogoś nowego. Kogoś, kto jej nie zrani. Po raz pierwszy od dawna uwierzyła, że to możliwe.

Grażyna Kamińska rozłożyła swoją skromną zastawę na stole. Paweł wyglądał na wyczerpanego, ale coś się w nim zmieniło. Zniknął gdzieś gniew, który od wielu lat gościł na jego twarzy prawie bez przerwy. Grażyna nie sądziła, żeby mąż zmienił się z dnia na dzień, ale miała nadzieję, że jakoś wszystko stopniowo się ułoży.

– Cieszę się, że możemy zaprosić Irenę Gierot i jej dzieci – powiedziała ostrożnie. Wiedziała, że igra z ogniem, ale chciała pokazać mężowi, że docenia jego gest. – Na pewno będzie jej teraz ciężko. Bez Gierota i w ogóle.

– Gierot i tak był nierobem i do niczego jej się, kurwa, nie przydawał – mruknął Kamiński swoim zwyczajem. W jego tonie było jednak jakby mniej agresji. – Wszyscy tylko pieprzą,

jak im żal tego pijusa. Ja tam po nim nie płaczę.

Grażyna Kamińska uśmiechnęła się w duchu, ale na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Lata życia z Pawłem wiele ją nauczyły. Nie zamierzała ryzykować.

Izka Weiss zajrzała do pudełka, w którym Filip trzymał swoje dziesięciokoronówki. Zostawił ich sobie całkiem sporo na wypadek powrotu do Szwecji. Podobało mu się chyba, że wyglądały jak złoto. Nigdy nie umiał docenić wartości pieniądza. W tej kwestii był naiwny jak mało kto.

Teraz w pudełku już prawie nic nie zostało. Izka rozrzuciła prawie wszystkie monety wokół spalonego gospodarstwa męża. Zdawała sobie sprawę, że to głupota i przesady, ale nie mogła się powstrzymać. Chciała jakoś przebłagać złość zmarłego męża.

Spojrzała na synka w nosidelku. Twarz małego Oskarka zdawała się wykrzywiona z gniewu. Izka odwróciła wzrok. Tamtej nocy, dwudziestego trzeciego grudnia, poszła pod dom Filipa Weissa. Wypełniały ją nienawiść i lęk, że mąż odbierze jej dziecko. Chciała z nim porozmawiać i przemówić mu do rozsądku. Kiedy dotarła na miejsce, dom już płonął... a ona nie zrobiła nic. Odwróciła się i po prostu odeszła.

Izka co prawda nie podpaliła domu męża, ale nie zrobiła też nic, żeby go uratować. Nie była pewna, czy kiedykolwiek wyrzuty sumienia miną. Tamtej nocy jej serce chyba zmieniło się w kamień. Nie potrafiła już spojrzeć na siebie w lustrze. Nie potrafiła też kochać synka tak jak przedtem. Noc, którą spędziła z Pawłem Kamińskim, wcale nie pomogła zapomnieć. Spotęgowała tylko uczucie nienawiści do samej siebie.

Izka Weiss wyjęła ostrożnie ostatnią szwedzką monetę z pudełka męża.

– Idziemy do tatusia – oznajmiła małemu Oskarkowi nieco sztucznym tonem.

Wyszła z domu rodziców i poszła powolnym krokiem w kierunku cmentarza. Być może ta ostatnia moneta pomoże i Filip Weiss jej wybaczy.

Starszy sierżant Marek Zaręba objął Andżelikę ramieniem. Szli całą rodziną przez zasypany świeżym śniegiem las. On po jednej stronie starszej córki, a Ewelina po drugiej z wózkiem małej Zuzi przed sobą. Rozmawiali o wszystkim i o niczym.

Nagle gdzieś wśród drzew pękła gałązka. Andżelika zadrżała z przerażenia. Zaręba objął córkę jeszcze mocniej. Nie mógł sobie darować, że dziewczynka była chociaż przez chwilę zagrożona. Młody policjant chciał ją ochronić przed wszystkimi niebezpieczeństwami tego świata, ale nie podolał zadaniu.

Na leśną ścieżkę wybiegła sarna. Spojrzała na rodzinę Zarębów wielkimi czarnymi oczami. Marek zerknął na córkę. Andżelika uśmiechała się.

Tytus Weiss stanął w drzwiach salonu domu Urszuli Weiss. Nareszcie odważył się to zrobić. Po raz pierwszy od dnia samobójstwa matki. Tytus nie chciał, żeby ten dom go więził. Rozejrzał się po pokoju. Nic się nie zmieniło. Wielki ciężki żyrandol nadal leżał na ziemi, tam gdzie Tytus zostawił go w dniu pogrzebu brata. Urszula nigdy sama nie ściągnęłaby staromodnej lampy, żeby zawiesić linę na haku.

Weiss westchnął. Tamtego dnia, zanim poszedł na policję, zdjął żyrandol, żeby matka mogła się sama zabić. Chciał mieć pewność, że bibliotekarka już nikogo nie skrzywdzi. Nie dał jej wyboru. Wtedy wydawało się to najlepszym wyjściem, niemal miłosiernym zakończeniem jej naznaczonego cierpieniem życia. Wtedy Tytus był przekonany, że to Urszula zabiła Filipa. Teraz wiedział już jednak, że matka w tym jednym akurat nie zawiniła. Weiss czuł, po raz pierwszy w życiu, że rzeczywiście zasłużył na miano mordercy, za którego wszyscy go uważali do tej pory. Zmusił do samobójstwa własną matkę.

Tytus usłyszał ciche pukanie. Nie musiał nawet podchodzić do okna, żeby wiedzieć, że to Jaśmina Ciosek-Dworakowska. Przeszedł przez pusty korytarz i otworzył drzwi. Drobnutka dziewczyna stała na progu, tak jak się tego spodziewał. Żadne

z nich nic nie powiedziało. Nie umieli chyba znaleźć odpowiednich słów. Patrzyli tylko na siebie w milczeniu.

Tytus dotknął ręką szyi. Po ataku Jaśminy został już tylko niewielki strupek. Weiss niemal chciał, żeby zmienił się w głęboką bliznę. Podobną do wyrzutów sumienia, które w sobie teraz nosił. Pozwolił, żeby Urszula Weiss popełniła samobójstwo. Nie to jednak było chyba najgorsze. Wiedział, że do końca życia nie wybaczy sobie, że nie poszedł na umówione spotkanie z bratem. Czy gdyby przyszedł wtedy do Filipa, tak jak się umówili, brat jeszcze by żył? Czy Tytus mógł powstrzymać Jerzego Gralę przed podłożeniem ognia? Gdyby tylko nie pojechał na stację Jabłońskich i nie siedział tam przez godzinę jak tchórz.

– O czym myślisz? – zapytała cicho Jaśmina.

– O tym, że jesteś piękna – skłamał Tytus Weiss niespodziewanie gładko.

Więzień numer 1126 umiał przetrwać wszystko.

Patryk Sołtysik opróżnił butelkę alkoholu do rustykalnego zlewu w rustykalnej kuchni ekofarmy. Gierot i Melek pewnie uważaliby to za niepowetowaną stratę. Tylko że Gierota już nie ma, pomyślał Patryk i ta myśl była przerażająca.

Melek siadywał teraz pod sklepem Wiery Rosłońskiej sam. Wyglądało na to, że nie sprawia mu to różnicy. Był tylko nieco bardziej zamroczony niż dawniej. Patryk Sołtysik zdecydował, że musi coś zrobić, żeby do niego nie dołączyć. Jagna była dla niego zbyt ważna. Nawet jeżeli oznaczało to prowadzenie znienawidzonej ekofarmy, Sołtysik był gotów na to poświęcenie.

Może z czasem będzie łatwiej, zastanawiał się, wylewając tanie wino z kolejnej butelki. Może uda im się wreszcie na ich ekologiczne produkty? Pytania wirowały w głowie Patryka. Za szybko. Usiadł przy kuchennym stole, żeby odpocząć.

Jagna weszła do kuchni z drewnianym skopkiem koziego mleka. Jak zwykle zadbała o każdy rustykalny detal.

– Wypijesz szklaneczkę? – zaproponowała mężowi z uśmiechem.

Patryk Sołtysik też się uśmiechnął, ale pokręcił głową. Jagna wzruszyła ramionami i naląła dwa kubki mleka. Jak zwykle.

– Pomyśleć, że widzieliśmy tamtej nocy Jerzego Grałę – powiedziała w zamyśleniu Jagna. – Gdybyśmy wiedzieli, że to on... gdybyśmy wiedzieli, co on planuje! Patryk, ja ciągle nie mogę w to uwierzyć. Może mogliśmy go powstrzymać?

Może. Może. Może. Patryk Sołtysik nie chciał do tego wracać. On i Filip Weiss przyjaźnili się od dawna. Nie chciał zastanawiać się nad tym, czy mógł powstrzymać mordercę przyjaciela, czy nie. Takie rozważania prowadziły jedynie do powrotu pod sklep Wiery Rosłońskiej i kolejnych butelek pochłoniętych w towarzystwie Melka.

– Ja tam nikogo nie widziałem – powiedział twardo.

Jagna nie skomentowała tego kłamstwa. Chyba czuła, że nie powinna. Patryk znowu się uśmiechnął i sięgnął po kubek koziego mleka.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska pociągnęła za sobą syna. Stali przed furtką do ogrodu domu Podgórskich. Nadszedł czas, żeby o wszystkim szczerze porozmawiać. Ze wszystkimi zainteresowanymi stronami.

– Mamo, możesz powiedzieć, o co właściwie chodzi? – zapytał Łukasz niechętnie.

Po przeżyciach ostatnich dni chłopak wcale nie miał ochoty wychodzić z domu. Emilia przepłakała całą noc i kolejną. Myśl, że mogła stracić syna, była nie do zniesienia. Czuła, że musi zacząć poświęcać mu więcej czasu. I przestać go okłamywać. Może teraz nie był odpowiedni moment, żeby wyznać prawdę, ale nie zamierzała czekać ani chwili dłużej. Potem Łukasz będzie mógł sam zdecydować, czy zechce zostać w Lipowie.

– To ważne. Chciałam porozmawiać z tobą i z Danielem Podgórskim.

– Po co ja mam rozmawiać z twoim szefem? – mruknął Łukasz, wzruszając ramionami w typowy dla nastolatka

sposób.

Kiedy Strzałkowska teraz na niego patrzyła, miała wrażenie, że Łukasz coraz bardziej przypomina Daniela. Nie mogła i nie chciała dłużej ukrywać prawdy. Bez względu na konsekwencje. Przelotna znajomość sprzed prawie czternastu lat zakończyła się ciążą, o której Emilia nigdy Podgórskiemu nie powiedziała. Daniel był ojcem Łukasza i cała ich trójka będzie musiała jakoś zmierzyć się z tym faktem.

Emilia i Łukasz podeszli do drzwi prowadzących do mieszkania Daniela w suterenie domu Marii. Z mieszkania dochodziły odgłosy rozmowy. Mimo to Strzałkowska zapukała zdecydowanym ruchem. Drzwi odtworzyły się szybko. Stała w nich wysoka szczupła kobieta. Jej rude włosy opadały gęstymi puklami na ramiona. Emilia musiała podnieść głowę, żeby spojrzeć jej w oczy. Weronika Nowakowska.

– Witam, ty pewnie jesteś Emilia z komisariatu – powiedziała przyjaźnie Weronika, zerkając na mundur Strzałkowskiej. – Wejdz.

Policjantka zakłęła w duchu. Nie miała ochoty wyjawiać Danielowi prawdy w obecności tej długonogiej kobiety. Zerknęła na syna, który trzymał się nieco z boku. Czy prawda kiedykolwiek komuś pomogła? – przeleciało Strzałkowskiej przez myśl. Syn chciał wracać do swojego życia w Warszawie. Kilka dni wcześniej omal nie zginął w przerażającym Lochu ukrytym w podziemiach. Z Lipowem wiązały się tylko złe wspomnienia.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska spojrzała raz jeszcze na syna i podjęła decyzję.

– Wchodzimy – powiedziała do Łukasza.

Tym razem to on zdecyduje.

Jerzy Grala szedł szybkim krokiem wąską uliczką Carrer de Montserrat w starej części Barcelony. Już na turystycznej ulicy La Rambla miał wrażenie, że idzie za nim kieszonkowiec. Kilka lat temu, podczas pobytu w Barcelonie, Jerzy został w taki właśnie głupi sposób okradziony. Na szczęście stracił wówczas

nie więcej niż pięćdziesiąt euro, które wziął ze sobą na zakup książek dotyczących hiszpańskich sekt. Tym razem nie mógł sobie pozwolić na to, żeby paść ofiarą jakiegoś złodziejaska. Teraz miał przecież ze sobą coś znacznie cenniejszego.

Naukowiec przyspieszył kroku. Zmierzał do niepozornego antykwariatu przy skrzyżowaniu Carrer de Montserrat i Carrer Cervelló. Właścicielem sklepiku był niejaki Carlos Cruz Delgado. Grala poznał go, kiedy był na wykładach na tutejszym uniwersytecie. Mężczyzna zajmował się głównie sprzedażą starych książek, ale nie pogardzał też antykami i biżuterią.

Jerzy skontaktował się z Carlosem niedługo po tym, jak przekroczył granicę. To było pierwsze nazwisko, które przyszło mu do głowy. Cruz Delgado był człowiekiem niezwykle majątnym, więc mógł dysponować funduszami, żeby kupić Dumę Bałtyku od razu. Hiszpan wydawał się zainteresowany ofertą. Zadał kilka pytań i zażądał przesłania fotografii. Jerzy przesłał mu zdjęcie MMS-em. Nie wydawało się to ryzykowne. Przecież nikt nie wiedział, że Duma Bałtyku się odnalazła. Tylko dzieci... Grala nie śledził na razie doniesień z kraju, ale im więcej o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że Łukasz i Andżelika nie zostali odnalezieni. Drzwi do Lochu były przecież doskonale zamaskowane.

Jerzy odwrócił się nieznacznie. Znowu zobaczył tego kieszonkowca. Na szczęście widać już było drzwi antykwariatu. Grala przyspieszył kroku i szybko przestąpił próg. Jego wejściu towarzyszył delikatny dźwięk dzwonka, który powieszono nad drzwiami. Naukowiec odetchnął z ulgą. Już wkrótce pozbędzie się klejnotu i kieszonkowcy nie będą mu straszni.

– *Buenos días* – powiedział do czarnowłosej kobiety, która siedziała przy biurku. – *I'm looking for señor Cruz Delgado*³⁸.

Kobieta bez słowa wskazała pokój na zapleczu. Wydawała się spięta, ale Grala to zignorował. Nie było się czym martwić. Tu za drzwiami antykwariatu był już bezpieczny. Wszedł do niewielkiego pokoju wypełnionego starymi meblami. Przy jednej ze ścian stała gabłota z biżuterią. Jerzy zerknął do niej ciekawie. Żaden z wystawionych tam przedmiotów nie mógł się

38 Dzień dobry. Szukam pana Cruza Delgado.

równać z Dumą Bałtyku, stwierdził w duchu Grala. Teraz niemal nie chciał sprzedawać tego klejnotu. Z drugiej strony diament mógł naukowcowi zapewnić utrzymanie przez dłuższy czas, więc nie było co dwa razy się zastanawiać.

Przez drzwi od drugiej strony pokoju wszedł jakiś nieznajomy piegowaty mężczyzna. Za nim stał Carlos Cruz Delgado. Na twarzy starego znajomego malowała się powaga. Czoło pokryła sieć zmarszczek.

Piegowaty zrobił kilka kroków do przodu.

– *Buenos días, señor Grala. Me llamo Jordi Creus Arribas. Jefatura Superior de Policía de Cataluña* – przedstawił się nieznajomy spokojnie. – *Tenemos que hablar*³⁹.

– *What's going on?* – zapytał Jerzy coraz bardziej zaniepokojony. Chciał się wycofać, ale w drzwiach, przez które tu wszedł, ktoś stał. Był to mężczyzna, którego Grala wziął za kieszonkowca.

– *Hola*⁴⁰ – powiedział rzekomy złodziejaszek z lekkim półuśmiechem.

– *What's going on?* – zapytał Grala raz jeszcze.

Carlos Cruz Delgado pokręcił głową zza pleców oficera policji.

– *I'm sorry, Grala* – powiedział antykwariusz po angielsku z silnym hiszpańskim akcentem. – *I had to inform the police. I received an information about your gemstone a couple of days ago. They wrote that you killed somebody. I can't be associated with such a... horrible thing. I'm sorry*⁴¹.

Jerzy Grala odwrócił się na pięcie, ale rzekomy kieszonkowiec zablokował drzwi zdecydowanym ruchem.

– Proszę mnie przepuścić! – zawołał naukowiec po polsku, chociaż nikt go tu nie mógł zrozumieć. – Nie chciałem nikogo zabijać. To wszystko była tylko kwestia niefortunnych

39 Dzień dobry. Nazywam się Jordi Creus Arribas. Komenda Główna Policji w Katalonii. Musimy porozmawiać.

40 Cześć.

41 Musiałem poinformować policję. Dostałem kilka dni temu informację na temat twojego klejnotu. Napisali, że kogoś zabiłeś. Nie chcę być powiązany z tak... okropną sprawą. Przykro mi.

okoliczności! Zapewniam!

Profesor Seweryn Dworakowski stanął w korytarzu „Wrzosów” i nasłuchiwał. Wyglądało na to, że Jaśminy nie ma w domu. Wolał nie myśleć o tym, że poszła do Tytusa Weissa. Nie potrafił przestać nienawidzić tego człowieka, mimo że okazało się, że to nie on był winny pożaru z 1998 roku. Z drugiej strony Jaśmina była przecież dorosła i sama powinna decydować o swoim losie i o swoich wyborach. On był tylko starym, zmęczonym życiem człowiekiem.

Dworakowski poszedł do spiżarni. Wyciągnął z szafki pustą butelkę z zapasu, który kupił jeszcze przed świętami. Butelki go uspokajały. Miały smukły kształt i delikatne linie. Profesor zamykał się w pokoju i malował po nich farbami tak, jak to miała kiedyś w zwyczaju jego ukochana żona Zofia. Czuł się przy tym niezręcznie i głupio. Jakby jemu nie należał się ten przywilej. Albin siadywał przy biurku i patrzył na delikatne pociągnięcia pędzla ojca. Seweryn próbował opowiadać synowi bajki, tak jak robiła to kiedyś jego żona, ale nie potrafił.

Seweryn Dworakowski nigdy nie powiedział Jaśminie o malowaniu na butelkach. Tak samo jak nie przyznał się do tego, że już od dawna nie prowadzi wykładów w Warszawie. Kilka lat temu został zwolniony z Politechniki Warszawskiej. Chyba władze uczelni uważały, że jest zbyt stary albo że jego wiedza już im nie wystarcza. Może to on sam zrezygnował? Profesor Dworakowski nie był pewien, który z powodów jest bliższy prawdy. Teraz utrzymywał tylko pozory. Jeździł do Warszawy na kilka dni, a potem wracał i zamykał się w gabinecie, udając, że pracuje. Nie wiedział, czego tak bardzo się wstydzi.

– Albinie! – zawołał Seweryn Dworakowski. – Malujemy.

Na te słowa chłopiec w ciele mężczyzny stanął w drzwiach natychmiast.

– Malujemy – powtórzył Albin po ojcu.

Myśli profesora wróciły do żony. Aspirantka Zofia Dworakowska tak bardzo lubiła malować na szkłe. Niestety wszystkie jej prace zostały zniszczone w pożarze piętnaście lat

temu. Nie zachowała się ani jedna. Profesor Seweryn Dworakowski starał się pamiętać żonę właśnie taką. Pochyloną nad ozdabianą akurat butelką. Nie chciał myśleć o Zofii tamtej nocy czwartego listopada 1998. Jego żona była delikatną artystką, ale jednocześnie sumienną policjantką.

Jego żona nie była morderczynią.

EPILOG

Lipowo.

Środa, 4 listopada 1998. Wieczór

Aspirantka Zofia Dworakowska otworzyła drzwi domu i przepuściła siostrę przodem. Marta Ciosek zdjęła płaszcz i od razu ruszyła do kuchni. Czują się u Dworakowskich jak u siebie. Zofia również zdjęła kurtkę i poszła za siostrą. Ciągle miała na sobie mundur, ponieważ nie zdążyła przebrać się w komisariacie z powodu pośpiechu. Teraz też wcale nie miała ochoty tego robić. Najpierw musiała wszystko siostrze opowiedzieć.

Marta Ciosek nastawiła wodę na herbatę i przygotowała dwie szklanki. Czajnik zagwizdał niemal wesoło.

– Muszę z tobą porozmawiać, Marto – zaczęła Zofia Dworakowska spieszenie. Nie chciała teraz pić herbaty. Chciała mówić. – Znalazłam pewien list. Był od Urszuli Weiss do mojego Seweryna. Nie chcę w to wierzyć, ale wygląda na to, że mój mąż mnie zdradzał. Trwało to kilka lat, a co więcej, są tego owoce... Bibliotekarka twierdzi, że Tytus i Filip są synami Seweryna. Nie wiem, co ja mam teraz zrobić...

Zofia spojrzała wyczekująco na siostrę, ale Marta Ciosek zdawała się jej nie słuchać. Zalała saszetki herbaty wrzątkiem. Kuchnię wypełnił przyjemny aromat.

– Ja też muszę ci coś powiedzieć, Zosiu – oświadczyła Marta, ignorując wyznanie siostry. – Dusłam to w sobie od bardzo dawna.

Zofia spojrzała na siostrę zaskoczona. Co mogło być ważniejsze niż ewentualna zdrada Seweryna? W kuchni domu Dworakowskich zapadła na chwilę niemal całkowita cisza przerywana jedynie rytmicznym buczeniem starej lodówki. Marta Ciosek upiła łyk herbaty i spuściła wzrok. Wpatrywała się w blat stołu.

– Muszę ci powiedzieć prawdę, bo dłużej nie wytrzymam – powtórzyła. – Chodzi o Albina.

– Co masz na myśli? – zapytała Zofia Dworakowska. Zupełnie nie wiedziała, do czego siostra zmierza.

Marta Ciosek opuściła głowę jeszcze niżej. Odsunęła od siebie powoli filiżankę parującej herbaty.

– To stało się tydzień po tym, jak wróciłaś ze szpitala po porodzie – zaczęła. – A może to było dziesięć dni po tym, jak wróciliście z małym Albinkiem do domu? Już teraz nie pamiętam dokładnie.

Zofia Dworakowska przyglądała się siostrze podejrzliwie.

– Do czego zmierzasz?

– Wyszliście wtedy z Sewerynem na to spotkanie, pamiętasz?

Zofia pokiwała głową. Rzeczywiście krótko po tym, jak urodziła syna, Seweryn miał ważne spotkanie z rektorem uczelni. Musieli pojechać we dwoje do Warszawy. Nie chciała brać ze sobą niemowlaka w tak daleką podróż, więc zostawiła go z siostrą.

– To było dwa tygodnie po porodzie – przypomniała.

– Tak, chyba masz rację. W każdym razie to ja zostałam z małym Albinkiem sama. Miałam się nim zaopiekować – ciągnęła Marta Ciosek. Mówiła ciszej i ciszej, aż jej głos zmienił się w szept. – To się stało wtedy...

Zofia Dworakowska poczuła ucisk w klatce piersiowej. Nie wiedziała, do czego dąży siostra, ale jej ton nie sugerował nic dobrego.

– Co się wtedy stało, Marto? – zapytała policjantka jeszcze raz, powoli cedząc słowa.

– Byłam trochę nieuważna. Albin mi upadł... – wydusiła siostra. – Spadł na główkę, ale wszystko wydawało się w porządku, naprawdę. Początkowo chciałam pojechać do lekarza, ale Albinek nawet nie płakał, więc nie pojechałam. Albinek był taki spokojny. Myślałam, że zupełnie nic się nie stało. Dlatego nic wam nie powiedziałam, jak już wróciliście. On nawet nie płakał... Ja... dopiero potem pomyślałam, że może przez to... on jest teraz taki... inny.

Każde słowo siostry było jak pocisk, który trafiał w ciało Zofii

i rozszarpywał je na strzępy. Po tylu latach poznała wreszcie prawdopodobną przyczynę stanu zdrowia swojego syna. To wszystko przez Martę. Wszystko przez jedyną osobę, której Zofia zawsze ufała. Siostra ją zawiodła. Całkowicie. To Marta sprawiła, że jej syn nigdy w pełni się nie rozwinie. To ona złamała mu życie.

– Zosia, ja ciebie tak przepraszam – mówiła dalej Marta Ciosek płaczkliwie. – Powiedź coś wreszcie. No powiedz.

Aspirantka Zofia Dworakowska sięgnęła automatycznie do kabury przy pasku. Marta Ciosek zniszczyła życie Albina. Coś takiego nie mogło pozostać bezkarne. Pistolet idealnie pasował do ręki policjantki. Z tej odległości nie mogła spudłować.

Nacisnęła spust.

Zofia nawet nie słyszała wystrzału. Widziała tylko, jak w niezbyt realistycznym półśnie, że pocisk przeszywa czaszkę siostry i ginie gdzieś w ścianie za nią, tuż nad piecykiem gazowym. W kuchni znowu zrobiło się cicho. Zofia Dworakowska usiadła powoli przy stole, gdzie nadal stał kubek parującej herbaty, z którego piła przed chwilą siostra. Ciało Marty Ciosek leżało na ziemi w powiększającej się kałuży krwi.

Zofia nie wiedziała, ile czasu tak siedziała. Mogły to być minuty albo godziny, ale w końcu usłyszała, jak otwierają się drzwi do domu.

– Jesteśmy – usłyszała z korytarza donośny głos profesora Seweryna Dworakowskiego. – Odwołali dzisiejszą rehabilitację, więc wróciliśmy wcześniej. Mam nadzieję, że nie przerywamy wam wieczoru.

Zofia nie mogła wydusić ani jednego słowa.

– Mama! – zawołał Albin i wpadł do kuchni.

Zofia nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby powstrzymać syna. Albin zatrzymał się niezgrabnie w pół kroku. Wpatrywał się intensywnie w ciało martwej ciotki. Marta Ciosek i Albin byli ze sobą bardzo blisko. Policjantka nie była jednak pewna, czy syn rozumie coś z tego, co widzi. Ona sama w każdym razie nic z tego pojąć nie mogła. W jednej chwili rozmawiały, w drugiej Marta Ciosek leżała przed nią zastrzelona. To stało

się tak nagle.

– To jest niepoważne, żeby odwoływali w ten sposób – mówił dalej profesor Dworakowski. – Powinni byli nas zawiadomić telefonicznie i...

Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu, kiedy mąż policjantki wszedł do kuchni i zauważył ciało Marty Ciosek.

– Zofia! Co tu się stało?!

Aspirantka Zofia Dworakowska spojrzała na swoją dłoń, w której nadal zaciskała służbowy pistolet.

– Zastrzeliłam ją – zakomunikowała mężowi nieswoim głosem. – Nie miałam wyjścia. To ona sprawiła, że Albin jest...

Policjantka spojrzała błagalnie na męża. Przecież on powinien zrozumieć. Też miał plany wobec syna, które nigdy nie miały być spełnione. Mąż musiał rozumieć, dlaczego Marta Ciosek nie mogła żyć dalej. Zniszczyła życie ich syna.

– Dlaczego przyniosłaś pistolet do domu? – zapytał profesor Seweryn Dworakowski rzeczowo.

To było dla niego typowe, uznała Zofia. Działanie zamiast emocji.

– Spieszyłam się do domu – wyjaśniła automatycznie. – Marta już na mnie czekała. Przed domem. Nie przebrałam się w pracy, jak zazwyczaj.

– Czy wszyscy wiedzą, że Marta miała być u ciebie?

Aspirantka Zofia Dworakowska pokiwała głową. Czowała ulgę, że nie ona musi się teraz martwić. Seweryn Dworakowski jakoś to załatwi. Może i mąż ją zdradził z bibliotekarką, ale był niezastąpiony, jeżeli chodziło o załatwianie wszystkich spraw.

– Tak. Mówiłam Marii Podgórskiej, a wiesz, jaka z niej plotkara.

– Dobrze. O tym będziemy myśleli później – postanowił Dworakowski. – Ktoś ma dziś dyżur w komisariacie?

– Nie.

– Świetnie się składa. Odnieś pistolet i zamknij w sejfie jak zwykle – poinstruował Zofię mąż. – Sprawdzają wam liczbę naboji?

Zofia Dworakowska posłusznie pokiwała głową.

– Wyjmij nabój z jakiegoś innego pistoletu. Nie chcemy mieć

kłopotów, prawda? – zapytał powoli i wyraźnie Seweryn Dworakowski. – Skup się. Pomyśl o Albinie. Zrobiłaś to dla niego i teraz musisz doprowadzić to do końca. Nie może stracić matki. Rozumiesz?

Zofia spojrzała na syna szybko. Nadal stał wpatrzony w ciało Marty Ciosek leżące na środku kuchni.

– Wezmę nabój od Romka Podgórskiego. Nie chcę robić kłopotów Jankowi Kamińskiemu. On jest zbyt miły – wyjaśniła policjantka. Czują, że jej umysł zaczyna pracować normalnie.

– Potem odłożę pistolet do sejfu. Zrobię dokładnie tak, jak mówisz. Zabiorę nabój od Podgórskiego i odłożę pistolet.

– Dokładnie tak – pochwalił żonę profesor Seweryn Dworakowski. – W tym czasie ja pozbędę się ciała Marty. Już mam pomysł, gdzie je schowam. Wezmę samochód. Będzie łatwiej. Albin pojedzie ze mną. Jakby ktoś pytał, to byliśmy na rehabilitacji. Niczego nie odwołano. Rozumiesz? Byliśmy na rehabilitacji tak, jak to było zaplanowane. Rozumiesz?

Aspirantka Zofia Dworakowska pokiwała głową.

– Idź już, a ja tu sprzątnę. Jak wrócisz, Marty Ciosek już tu nie będzie – obiecał mąż. – Tylko zrób wszystko, jak ci kazałem. Rozumiesz mnie?

Policjantka znowu pokiwała głową.

– Tak, rozumiem.

– To idź już. Pamiętaj, że robisz to wszystko dla Albina.

Aspirantka Zofia Dworakowska włożyła kurtkę i wyszła z domu. Wszystko robiła niemal automatycznie, jakby to ktoś inny kierował jej wolą. Dotarła jakoś przez pustą wieś do komisariatu. Nie pamiętała, jak otworzyła sejf, gdzie zawsze trzymali służbową broń. Nie pamiętała, jak wyjęła kulę z magazynku Romana Podgórskiego. Nie pamiętała, jak zamknęła drzwi komisariatu i wróciła do domu.

Niczego nie pamiętała. Kiedy jednak znalazła się z powrotem w swojej kuchni, Zofia Dworakowska miała tylko niejasne wrażenie, że chyba się udało. Podłoga w kuchni lśniła. Marty Ciosek z krwawą aureolą wokół twarzy już nie było. Zofia przez chwilę miała wrażenie, że nic się tu nie wydarzyło. To był tylko koszmarny sen. Gdzieś głęboko czuła jednak, że to nieprawda.

Gdzieś głęboko w jej głowie jakiś głos krzyczał, że właśnie zabiła swoją siostrę.

Zofia Dworakowska zatkała uszy, ale krzyki nie zniknęły. Nie mogła dłużej tego znieść. Otworzyła kuchenną szafkę i sięgnęła po proszki nasenne, które przepisał jej kiedyś lekarz. Chyba były już dawno przeterminowane, ale policjantka miała nadzieję, że mimo to zadziałają. Doktor obiecywał, że są niezawodne. Połknęła kilka tabletek. O wiele więcej, niż zalecano w ulotce, ale liczyła, że zaśnie na tyle mocno, żeby niczego już nie słyszeć. Zwłaszcza tych głosów z głębi skołatanego serca, które nazywały ją morderczynią.

Położyła się w sypialni na piętrze i zasnęła głęboko.

Nie słyszała, kiedy pierwsza butelka wypełniona benzyną rozbiła szybę i wybuchła.

Nie słyszała, kiedy płomienie ogarnęły dom.

Nie słyszała, kiedy bibliotekarka Urszula Weiss ją wyzywała z obłędem na twarzy.

Nie słyszała, kiedy Tytus Weiss rozkazał matce wracać do domu.

Nie słyszała nawet nawoływań swoich kolegów z komisariatu, którzy wbiegli w płomienie, żeby ją ratować.

Zofia Dworakowska nie słyszała wybuchu kuchni gazowej przynoszącego ze sobą śmierć.

Słyszała tylko głos w głębi serca.

Morderczyni.

OD AUTORKI

2014

Tak oto dobiegła końca trzecia część opowieści o policjantach z Lipowa. Okazało się, że to senne miasteczko kryje w sobie tajemnice, których nawet ja się nie spodziewałam, rozpoczynając pisanie pierwszej części cyklu. Kto wie, co jeszcze czai się pod tą fasadą spokoju? Mam nadzieję, że wkrótce będziecie mogli się o tym przekonać. Dziękuję Wam, drodzy Czytelnicy, że towarzyszyście w tej drodze mnie i moim bohaterom! Mam nadzieję, że zostanieie z nami na dłużej.

Jak zwykle chciałabym też podziękować serdecznie wszystkim tym, którzy zawsze mnie wspierają: mojemu mężowi, mojej mamie i całej reszcie mojej rodziny. Dziękuję także mojej najbliższej przyjaciółce, Magdzie, oraz pozostałym osobom, których mam przywilej nazywać przyjaciółmi. Dziękuję, że jesteście.

Dziękuję również serdecznie całej ekipie Prószyński Media oraz współpracownikom wydawnictwa. W szczególności zaś: Annie Derengowskiej, Marcie Rzehak, Agnieszce Obrzut-Budzowskiej, Annie Augustyńczyk, Annie Sidorek, Maciejowi Korbasińskiemu i Mariuszowi Banachowiczowi. Bardzo sobie cenię możliwość współpracy z Wami wszystkimi. Dziękuję! Dziękuję też grafikowi, panu Mariuszowi Banachowiczowi, za wspaniałe projekty okładek do wszystkich dotychczasowych książek w serii. Dziękuję też Nicklasowi Åbergowi, który czuwał nad poprawnością dialogów pomiędzy Carin a Cristerem. *Tack, Nicklas!*

Jak za każdym razem chciałabym podkreślić, że wszystkie wydarzenia opisane w książce, jak również wszystkie osoby, które w powieści wystąpiły, są całkowicie fikcyjne i powstały w mojej wyobraźni. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych wydarzeń lub osób jest dziełem przypadku.

Jeżeli już jesteśmy przy fikcji, muszę nadmienić, że sekta Świątynia pod przywództwem Witalisa Sobieraja nigdy nie istniała. Istniała natomiast wymieniona przez Jerzego Gralę na początku tej opowieści Świątynia Ludu Jima Jonesa. Członkowie tego zgromadzenia rzeczywiście popełnili zbiorowe samobójstwo pod koniec lat siedemdziesiątych. Nie istnieje także przepiękny klejnot zwany Dumą Bałtyku. Fikcyjny jest również Zakład Karny w Starych Świątkach, gdzie swoją karę odsiadywał Tytus Weiss. Gwara więzienna, którą Weiss się posługiwał, to moje naśladownictwo – mniej lub bardziej wiarygodne – tego, jak mówią prawdziwi osadzeni. Pamiętajcie jednak, że Tytus nie jest zwykłym więźniem, więc i sposób jego mówienia nie zawsze jest taki, jak moglibyście to usłyszeć w istniejącym naprawdę zakładzie karnym. Nie istnieje także stary antykwariat przy Carrer de Montserrat, gdzie ujęto zabójcę. Po raz kolejny pozwoliłam sobie puścić wodze fantazji. Mam jednak nadzieję, że nie macie mi tego za złe, w końcu taka niezmiennie jest moja rola: wymyślać.

O Lipowie wspominałam już wielokrotnie. Jak wiesz, drogi Czytelniku, wieś ta jest także fikcyjna. Jednak tworząc ją, inspirowałam się istniejącą w rzeczywistości miejscowością, która nosi jednak zupełnie inną nazwę i nikt tam nikogo nie zabija! Po raz trzeci dziękuję jej mieszkańcom za użyczenie mi tych okolic jako tła moich opowieści.

Pozdrawiam Was wszystkich serdecznie i do zobaczenia wkrótce

Kasia Puzyńska

Copyright © Katarzyna Puzyńska, 2015

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Anna Sidorek

Korekta
Maciej Korbasiński

Łamanie
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7961-161-4

Warszawa 2015

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
Drukarnia POZKAL Spółka z o.o.
88-100 Inowrocław, ul. Cegielna 10-12

lesiojot

KOLEJNY PO MOTYLKU I WIĘCEJ CZERWIENI
TOM SAGI O POLICJANTACH Z LIPOWA.

KATARZYNA PUZYŃSKA



WIRTUALO
Księgarnia Internetowa

empik

lesiojot

Prószyński i S-ka